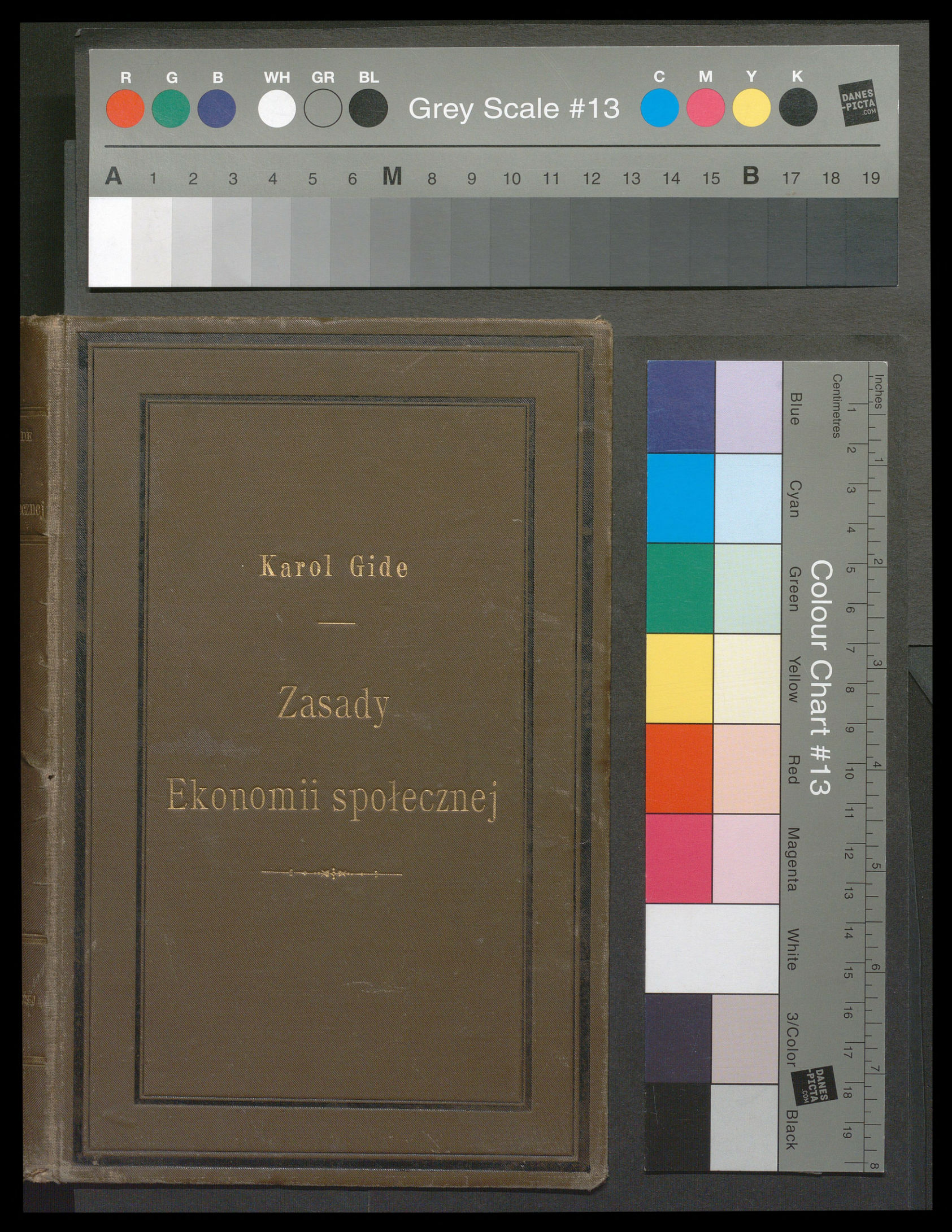

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Karol Gide
Zasady
Ekonomii społecznej
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

Karol Gide

Zasady Ekonomii społecznej

ZASADY

EKONOMII SPOŁECZNEJ.

KAROL GIDE,
PROFESOR UNIWERSYTETU W MONTPELLIER.

ZASADY EKONOMII SPOŁECZNEJ

z oryginału francuskiego przełożyli

St. Bartynowski, A. Krzyżanowski, J. Makarewicz i K. Midowicz

pod kierunkiem redakcyjnym

Dra Juliusza Leo,
Profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1893.

33

26750/2



W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

PRZEDMOWA.

W pierwszem wydaniu tego dzieła z 1883 r. nie podaliśmy żadnej przedmowy, a to w tym celu, by nasza książka sama dała się poznać czytelnikowi.

W wydaniu drugiem już silnie zaznaczyliśmy, że w sposób tendencyjny przeciwko nam wystąpiono.

W niniejszem wydaniu wcale nie zamierzamy się żalić z tego powodu, owszem nie pozostaje nam nic innego jak podziękować publiczności za życzliwość, z jaką naszą książkę przyjęła, tak w samej Francyi jako też i za granicą.

Na tę życzliwość staraliśmy się zaraz odpowiedzieć poprawieniem i uzupełnieniem tych części dzieła, które nam, jako słabsze wskazano. Spotkał nas jednak z kilku stron, i to zarówno od przeciwników, jak nawet od przyjaciół, pewien zarzut ogólniejszego znaczenia, a więc już z tego powodu zasługujący na to, by się z nim w krótkości rozprawić. Czynimy to tem chętniej, że zamilczenie o nim mogłoby na autora ściągnąć posądzenia, iż go sobie lekceważy. Mianowicie zarzucają nam, że przedstawiamy po kolei różne teorye o każdej kwestyi, nie wypowiadając przytem kategorycznie swojego na nią poglądu, przez co pozostawiamy uczących się w przykrej niepewności, a temsamem chybiamy zadaniu profesora, któremu przypada z obowiązku kierownictwo umysłów.

Otóż odpowiadamy najpierw, że nasza książka wcale nie jest przeznaczona dla uczniów szkół początkujących, ani też średnich, ani nawet wyłącznie dla studentów wydziału

prawa — ale również i dla szerszego koła czytelników, pragnących samodzielnie wyrobić sobie opinią o kwestyach ekonomicznych i społecznych; powiadam wyraźnie, pragnących samodzielnie sobie wyrobić opinią, ale nie już gotową otrzymać z ust profesora. Jeżeliby nawet nasza metoda miała tę niedogodność, iżby pozostawiała czasem czytelnika w wątpliwości i pewnego rodzaju niepewności, zdolnej zniechęcić umysły leniwe, to bynajmniej nie sądzę, żeby nie mogła być pożyteczną dla umysłów chciwych wiedzy, nieznoszących jednak prawd narzuconych. Zresztą tam, gdzie prawda okazała się niewątpliwą, nigdy nie wahaliśmy się wyznać jej w sposób kategoryczny; tam jednak — a było to niestety o wiele częstszem — gdzie wątpliwość była możliwa, przedstawiliśmy wprawdzie przedmiotowo sprzeczne ze sobą poglądy, nie zaniedbaliśmy jednak nigdy wyrazić o tyle swej opinii, by dla uważnego czytelnika jasnem było, po czyjej stronie stoimy.

Niech nam będzie wolno jeszcze zauważyć, że systemy Ekonomii politycznej wydawane dotąd we Francyi, wcale nie grzeszyły tą „zbyteczną bezstronnością,“ jaką właśnie nam zarzucano. Owszem, od wielu lat nikt inaczej nie przedstawiał ekonomii politycznej, jak tylko z jednego stanowiska, mianowicie z punktu widzenia szkoły liberalnej. To też niema powodu skarżyć się na nową książkę, która zrywając z dawną tradycyą, wskazuje należne miejsce wygnanym z kraju doktrynom, i oddaje nawet tym, na które się wcale nie godzi, tyle sprawiedliwości, ile im się należy według głębokiej sentencyi Szekspira, że „zawsze jest trochę dobrego w rzeczy, choćby złej nawet“ [1]).

Karol Gide.

Październik 1890.

---

[1]) There is some soul of goodness in things evil,
Would men observingly distil it out.
(Henryk V, akt. IV scena 1).

Zasady ekonomii politycznej.

Wiadomości ogólne.

I.

Przedmiot ekonomii politycznej.

Może się dziwnem wydawać, że zaraz na wstępie systemu ekonomii politycznej, o której już tyle innych dzieł dotychczas napisano, oświadczymy, że nie podano jeszcze dotąd dokładnej definicyi na to, czem jest właściwie ekonomia polityczna.

Tak się przynajmniej rzecz ma w rzeczywistości, czemu zresztą wcale nie można się dziwić, gdyż każda umiejętność może być tylko wtedy dokładnie określoną, kiedy już sama jest wykończona do pewnego stopnia i kiedy jej pokrewne nauki również są wykończone. Tego zaś wcale nie można twierdzić o tej umiejętności, którą my się zajmujemy; przeciwnie, ekonomia polityczna, podobnie jak i inne nauki społeczne, znajduje się dopiero w stanie rozwoju. A podobnie, jak podróżnik przybywszy do kraju zupełnie jeszcze niezbadanego, nie może z wszelką dokładnością oznaczyć na karcie granic pewnej okolicy, lecz musi poprzestać na podaniu w mniej lub więcej przybliżony sposób ogólnych zarysów, które spostrzegł, lub których dopiero sam się domyślił — taksamo i my musimy poprzestać na zakreśleniu granic dla ekonomii politycznej w przybliżeniu tylko. I nawet wcale nie kusimy

się o dokładne wskazanie tego, co ekonomię polityczną wyróżnia od innych nauk społecznych.

Nie starając się więc tu o zbyteczną ścisłość, możemy powiedzieć zgodnie prawie z wszystkimi autorami, że ekonomia polityczna jest nauką „*o dobrach*“. Wprawdzie może samo to słowo „dobra“ wymagałoby bliższego określenia.... lecz zdaje się, że potrafi ono w umyśle każdego obudzić dość dokładne pojęcie tego wszystkiego, czem istotnie zajmuje się nasza umiejętność, a ta okoliczność uwalnia nas od długiego rozwodzenia się nad jego znaczeniem. Lecz znowu nie trzeba dać się w błąd wprowadzić, i w skutek tego, że ekonomia polityczna zajmuje się „dobrami,“ a więc rzeczami *(res)*, nie starać się przypadkiem o umieszczenie jej pośród tych nauk przyrodniczych, które traktują o ciałach! Tem, z czego powstają „dobra“ są, jak widzimy, potrzeby ludzi żyjących w społeczeństwie; ztąd więc zajmować się dobrami nie znaczy nic innego, jak tylko zajmować się samym człowiekiem i badać go ze stanowiska najbardziej charakterystycznego.

Po wszystkie czasy nasuwały się tu ludziom trzy pytania do rozwiązania:

1) Jakiemi środkami można wytwarzać dobra?

2) Jaki użytek należy z nich robić?

3) W jaki sposób je rozdzielić?

A odpowiedź na każde z tych pytań tworzy osobny wielki dział ekonomii politycznej, mianowicie: *naukę o produkcyi, konsumcyi i rozdziale dóbr* [1]).

Widocznem jest, że trzy pytania, w które chcemy ująć cały system ekonomii politycznej, mają charakter istotnie *prak-*

[1]) We wszystkich systemach o ekonomii politycznej, prawie bez wyjątku, dodają jeszcze czwartą część, mianowicie *naukę o obiegu dóbr*. Wyznajemy, że nigdy zrozumieć nie mogliśmy, czemu odpowiada ten czwarty rozdział? Obieg dóbr, to znaczy przejście towaru z ręki do ręki, nie jest jak obaczymy niczem innem, jak tylko następstwem i pewnym rodzajem podziału pracy. To też poprostu jest błędnem, odrywać tę naukę od nauki o produkcyi i robić z niej osobny dział. Fakt przechodzenia dóbr z ręki do ręki sam przez się nie ma znaczenia, a nabiera go dopiero w miarę tego, jak się przyczynia do produkcyi społecznej.

tyczny, to też zdaje się, że następstwem tego i cała nauka mająca za przedmiot odpowiedź na powyższe pytania, powinna mieć także charakter praktyczny i być, jak to mówią, więcej *sztuką* niż nauką.

I w istocie nie bez racyi poczytywano od dawna ekonomię polityczną za sztukę, czyli innemi słowy, za naukę praktyczną, zdążającą świadomie do określonego celu, mianowicie do zapewnienia szczęścia narodom. Bo już sama etymologia (*οικος*, *νομος*, *πολις*, dom, prawo, miasto) jasno to wyraża i tak ją też określił Adam Smith, zwany ojcem ekonomii politycznej.

Lecz umysł ludzki, zawsze z ciekawością szukający przyczyny każdej rzeczy, pyta się teraz o co innego: mianowicie o to, czem właściwie są owe „dobra“? To pytanie różni się od trzech poprzednich tem, iż jest natury czysto filozoficznej. Chodzi tu bowiem najpierw o wyszukanie przyczyn sprawiających, że dobra są pożądanemi, a następnie o podanie stosunków, jakie koniecznie muszą istnieć pomiędzy różnemi dobrami, czyli innemi słowy, jakie są prawa wartości i ceny. To też poświęcimy tej kwestyi część czwartą, lecz aby nie psuć logicznego porządku, damy ją na początek i przedstawimy w niej stronę czysto teoretyczną ekonomii politycznej [1]).

Ekonomia polityczna wcale nie jest jedyną umiejętnością, zajmującą się stosunkami ludzi do dóbr i ludzi do ludzi, albowiem zajmuje się niemi także prawo i etyka. Te trzy wielkie nauki społeczne w szczególności mają jeden i tensam przedmiot, lecz niewątpliwie zapatrują się nań,

---

[1]) W większej części dzieł o ekonomii politycznej, nauka o wartości jest poprostu częścią nauki o wymianie, to też przedstawiają ją w sposób bardzo ścieśniony. Poznanie wartości jest podstawą całej ekonomii politycznej, a więc nie tylko wymiana, lecz także rozdział dóbr, konsumcya i produkcya nawet odnosi się do kwestyi wartości zarówno z naukowego jak i z praktycznego stanowiska. Słusznem więc będzie utworzyć dla wartości osobny dział, ażeby już nie wracać się do niej przy każdej sposobności. Studyum teoryi ekonomii politycznej jest właśnie traktatem o wartości.

każda z odmiennego punktu widzenia: ekonomista zajmuje się przedwszystkiem potrzebami człowieka, prawnik — jego prawami, a moralista znów zajmuje się obowiązkami ludzi. Ale w kwestyach własności, dziedziczenia, kredytu, lub gdy chodzi o pożyczkę lub płacę, wtedy prawnik i ekonomista muszą się spotkać — taksamo, jak spotyka się ekonomista z moralistą w sprawach zbytku, względnie ubóstwa i w wielu innych razach. Zaiste z tego wzajemnego stosunku płynie ogromna korzyść dla wszystkich trzech nauk! To też jeżeli w rzeczy samej rozdzielamy te trzy pobratymcze nauki, to nie tyle z logicznej konieczności, ile raczej skutkiem nieudolności naszej, niepozwalającej nam objąć naraz tak obszernego widnokręgu. W każdym jednak razie pozostaje tylko do życzenia, ażeby te nauki przenikały się nawzajem z każdym dniem coraz bardziej.

II.

O metodzie nauki ekonomii politycznej.

Metodą w języku uczonych nazywa się droga, którą pójść należy, aby dojść do odkrycia prawdy. Otóż otwiera nam się pod tym względem kilka dróg, a wielki spór powstał w ostatnich czasach o to, którą z nich należy wybrać. Szkoła klasyczna ekonomii, której Ricardo jest najsławniejszym reprezentantem, postępowała w sposób, który nazywają metodą *dedukcyjną*. Metoda ta bierze pewne dane, które przyjmuje za niezbite, i następnie drogą logicznej konsekwencyi wyprowadza z nich nieskończony szereg wniosków. Geometryę można uważać za typ wszystkich nauk, posługujących się metodą dedukcyjną. Można tu zacytować, jako przykład, jeszcze lepiej znany słuchaczom prawa — samo prawo, a przedewszystkiem prawo rzymskie, gdzie, jak widzimy, uczeni prawnicy wziąwszy za podstawę kilka zasad z 12 tablic lub z *jus gentium*, zbudowali ów cudowny pomnik prawodawstwa zwany Pandektami. W nauce ekonomii szkoła dedukcyjna wychodzi z tej zasady, że „człowiek dąży przy

każdej sposobności do pozyskania dla siebie maximum korzyści, kosztem jak najmniejszego trudu“ — i wyprowadza z niej cały szereg wniosków, na których jeszcze do dziś dnia wznosi się budowa ekonomii społecznej.

Nowa szkoła odrzuca ten sposób rozumowania, a sama oświadcza, że w naukach społecznych tak samo, jak we fizyce i w naukach przyrodniczych jedynie można zastosowywać metodę indukcyjną, to znaczy taką, która obserwuje pewne poszczególne zjawiska, a dopiero na podstawie tego przystępuje do wyprowadzenia ogólnych wniosków, np. ze zjawiska, że wszystkie ciała spadają, wnosi, że jest siła grawitacyi ziemskiej. W dziedzinie ekonomicznej zatem cierpliwie będzie trzeba przeprowadzić taką obserwacyę i zebrać ją ze wszystkich zjawisk społecznych, tak jak one nam się okazują w teraźniejszości przez statystykę i zeznania podróżników, a w przeszłości przez historyę. Z takiej obserwacyi możnaby zbudować całość nauki społecznej. Byłaby to dopiero prawdziwa umiejętność, w przeciwstawieniu do nauki, utworzonej z rozmaitych cząstek przez szkołę dedukcyjną, i ztąd nazwanej przez swą rywalkę umiejętnością sztuczną.

Wszelako można zarzucić jednej i drugiej metodzie, że obie posiadają charakter zbyt absolutny, do poznania prawdy bowiem nigdy się nie dociera w tak łatwy sposób. Prawdziwa metoda przechodzi przez trzy stopnie rozwoju. Pierwszym jest bezstronna *obserwacya zjawisk*, i to tych nawet, które na pierwszy rzut oka, wydają się najprostszemi. Drugim z rzędu jest *wytworzenie obrazu ogólnego* na podstawie połączenia pewnych zjawisk w odpowiedne grupy czyli innemi słowy stawianie hypotezy.

Trzecim zaś jest *sprawdzenie* owej hypotezy, bądź to za pomocą doświadczenia, jeżeli to możliwe, bądź też za pomocą specyalnie przeprowadzonej obserwacyi, czy też ona na prawdę zgadza się z rzeczywistością [1]).

[1]) Rozumie się, że nie potrzeba koniecznie, ażeby tensam uczony obserwował zjawiska, czynił hipotezy, i takowe sprawdzał zarazem. Zdolność do obserwacyi i wnioskowania, bardzo rzadko nawet spotykają się u tejsamej osoby.

W ten sposób postępuje się zresztą we wszystkich innych naukach. Wszystkie owe wielkie prawa, na których się opiera cała umiejętność dzisiejsza, zacząwszy od prawa grawitacyi Newtona, są tylko *sprawdzonemi* hypotezami; a znowu wszystkie te wielkie teorye, które posłużyły za podstawę tegoczesnych odkryć naukowych — np. we fizyce teorya o istnieniu eteru, w naukach przyrodniczych znów teorya ewolucyjna — wszystkie są tylko hypotezami, które dopiero muszą być sprawdzonemi [1]).

Nowa szkoła zatem ma wielką racyę, gdy zarzuca szkole klasycznej, że jest zanadto dogmatyczną tudzież, że uważa zasady, do których doszła drogą rozumowania, za dokładny wyraz tego co jest, albo nawet tego, co dopiero być powinno. Lecz sama z kolei popełnia błąd niemniej wielki, sądząc, że uważna obserwacya zjawisk wystarcza do wytworzenia nauki ekonomicznej i że na przyszłość można się pozbyć wszystkich abstrakcyj, hypotez i tego — tak drogiego szkole Ricarda — „przypuśćmy że“ — które szkoła nowa stanowczo potępia. Zjawiska, dostrzegane w naturze, są zbyt liczne, zbyt skomplikowane i nadto zawikłane — a zwłaszcza w naukach ekonomicznych — tworzą ogromny labirynt, z którego nie moglibyśmy się nigdy wydostać, gdyby nasz rozum lub wyobraźnia sama nie rozprószyły tych ciemności. Prawda, że te ogólnikowe zasady szkoły klasycznej np. Ricarda lub

---

[1]) Patrz: *l' Introduction à l' étude de la Médicine expérimentale* Klaudyusza Bernarda i *la Logique de l' hypotèse* przez M. Naville. Stanley Jevons zauważył w swoich: *Principles of Sciences*, że metoda, której się w nauce używa do odkrycia prawdy, jest bardzo podobna do tej, której bezwiednie używają odgadywacze szarad, lub szyfrowanych zagadek, umieszczanych na ostatnich stronnicach pism ilustrowanych. Ażeby zgadnąć taką szaradę, *wyobrażamy* sobie najpierw jakieś znaczenie, następnie *sprawdzamy* je, czy rzeczywiście się zgadza z obrazkiem lub liczbami, które mamy przed sobą. Jeżeli się nie zgadza, to hypotezę odrzucamy i wyobrażamy sobie następnie drugą itd. dopóki się nam nie powiedzie zagadki rozwiązać, albo dopokąd nie stracimy cierpliwości. Szukający nigdy nic nie wynajdzie, jeżeli wprzódy sam nie przeczuje prawdy.

Malthusa — które trochę zanadto śmiało prawami nazywają — są po największej części zaledwie hypotezami, które przyjąć, lub.... odrzucić należy. Ale też nie trzeba upatrywać w nich całego systemu nauk ekonomicznych, lecz proste tylko rusztowanie, służące do zbudowania gmachu, a przeznaczone na zrzucenie, skoro budowa już będzie skończona. I dlatego właśnie zasady szkoły klasycznej oddały całej umiejętności tyle wybitnych usług, których zapoznawanie świadczyłoby tylko o niewdzięczności.

W najnowszych czasach utworzyła się nowa szkoła dedukcyjna, która pozostając wierną racyonalnej metodzie, przez wprowadzenie formuł matematycznych jeszcze dalej nawet poszła, lecz nie pogrążyła się do tego stopnia w swoich filozoficznych spekulacyach, jak to zrobiła dawna szkoła. Abstrakcye przedstawia ona poprostu za takie, jakiemi one są w istocie t. j. za hypotezy, które mogą niejedne zjawiska wyjaśnić, a badaczowi wskazać dalszą drogę.

Pomiędzy naukami ekonomicznemi a przyrodniczemi istnieje wielka różnica pod względem metody badania, na tem polegająca, że w pierwszych robienie doświadczeń jest rzeczą bardzo trudną, a częstokroć wprost niemożliwą, zaczem hypotezy mogą pozostać na zawsze w zawieszeniu, a to wskutek braku środków służących do ich stwierdzenia. Chemik, fizyk, a nawet biolog (chociaż tutaj byłoby to już trudniejszem) zawsze może wywołać doświadczenie wśród pewnych, sztucznie określonych warunków, dających się do woli zmieniać. Chcąc np. badać przebieg oddechania u zwierzęcia, wystarczy je umieścić pod dzwonem maszyny pneumatycznej i zmieniać ciśnienie powietrza stósownie do potrzeby. Tymczasem ekonomista niema tej możności, choćby nawet działał z ramienia samego ustawodawcy lub wszystko mogącego despoty. W nauce społecznej musimy w ten sposób badać zjawiska, jak one same nam się przedstawiają, nie mogąc ich odosobnić od związku z całą grupą innych zjawisk, z któremi są złączone. Nie możemy np. całego kraju umieścić pod kloszem, a przypuściwszy nawet, że byłoby to możebnem, to bynajmniej by to nie wystarczało do wy-

prowadzenia stanowczego wniosku. Przypuściwszy, że celem zbadania skutków wolnego handlu moglibyśmy poddać badaniu dwa kraje, a mianowicie w jednym wprowadzić system wolnego handlu, a w drugim znowu system ceł opiekuńczych, i po dziesięciu latach udałoby nam się stwierdzić, że pierwszy kraj się o wiele wzbogacił, a drugi zrujnował. Byłaby to zapewne wiadomość bardzo cenna, lecz mimo takich szczególnie sprzyjających i pod żadnym względem niemylących warunków — doświadczeniemby tego jeszcze nazwać nie można. Albowiem na rozwój danych dwóch krajów może jeszcze wpływać wiele innych czynników, jak n. p. różnica warunków przyrodzonych, odmienne ustawodawstwo, różnica w zdolnościach umysłowych mieszkańców etc.

Z tego powodu miasto powoływania się wprost na doświadczenia społeczne, zmuszeni jesteśmy baczyć uważnie na to, czy przypadkiem szczęśliwy traf nie dostarczy nam pewnych szczególnych danych, takich n. p. jak: zaprowadzenie nowej ustawy, założenie jakich kolonij socyalistycznych, wreszcie wystąpienia takiego patologicznego objawu, jakim są przesilenia ekonomiczne, a częstokroć zdarza się, że nawet te bezpośrednie doświadczenia nie pozwalają nam przyjść do stanowczych konkluzyj.

I wcale nie potrzeba się dziwić — co jednak zbyt często się zdarza — jeżeli nauki społeczne na większe trudności napotykają, aniżeli nauki fizyczne lub przyrodnicze. Owszem wypadałoby raczej dziwić się, że się one rozwijają mimo tego, że z jednej strony obserwacya zjawisk jest o wiele trudniejsza, niż gdzieindziej [1]), i mimo, że

---

[1]) Obserwacya zjawisk ekonomicznych i społecznych, przechodzi siły pojedynczych ludzi, to też powinna ona być pracą zbiorową całych tysięcy ludzi, łączących w tym celu swe spostrzeżenia; albo też zadaniem samego państwa, które jest w stanie użyć odpowiednich sił do tego rodzaju badań.

I tak n. p. najprostszem zjawiskiem, które może być przedmiotem badań nauk społecznych, jest liczba osobników, składających dane społeczeństwo. Tymczasem rzecz jasna, że prywatny badacz, absolutnie nie jest w możności bezpośrednio się o tem

zbywa tu na bardzo ważnym czynniku, jakim jest możność przekonania się o istnieniu danych zjawisk, t. j. możność przeprowadzenia doświadczeń, które we wszystkich innych naukach przyczyniły się do tak cudownego i szybkiego postępu. — Oto jeden powód więcej, ażeby nie zarzucać stanowczo metody abstrakcyjnej.

III.

Czy istnieją prawa naturalne w ekonomii politycznej?

Kiedy nadajemy jakiejś gałęzi wiedzy nazwę umiejętności, to bynajmniej nie należy rozumieć, iżbyśmy jej chcieli przez to jakiś zaszczyt sprawić; uznajemy tylko w ten sposób, że zjawiska, które badamy, są powiązane jedne z drugiemi w pewnym naturalnym i regularnym porządku, czyli innemi słowy, są poddane pewnym *prawom*.

Są pewne dziedziny wiedzy, w których porządek, w jakim pojedyncze zjawiska występują, jest tak uderzający, że umysły najmniej przywykłe do umiejętnego zastanawiania się nad rzeczami, nie mogą go nie spostrzedz.

I tak wystarczy oczy podnieść na niebo, aby zobaczyć, z jaką regularnością przesuwa się co noc cały pochód gwiazd, jak księżyc co miesiąc się odmienia, jak słońce pozornie zmienia swoje stanowisko w stosunku do różnych konstellacyj. W czasach najodleglejszych w historyi, pasterze czuwający przy stadach, żeglarze kierujący swemi okrętami już znali peryodyczność tych ruchów, a spostrzegłszy to, rzucili podstawę prawdziwej umiejętności, najdawniejszej ze wszystkich t. j. astronomii.

---

dowiedzieć. To też publiczna administracya powinna sama przedsiębrać tego rodzaju obliczania, a od niedawnego dopiero czasu takie urzędowe spisy ludności doprowadzono do jakiejś znośnej dokładności.

Zjawiska, towarzyszące utworzeniu się ciał organicznych, a także i nieorganicznych, wcale nie są tak proste, ani łatwym do pojęcia porządek, w jakim obok siebie istnieją, lub po sobie następują. To też potrzeba było na to długich wieków, zanim udało się rozumowi ludzkiemu, zbłąkanemu w labiryncie rzeczy, uchwycic nić przewodnią i odnaleść porządek i prawo tych zjawisk, i w ten sposób zbudować takie umiejętności, jak fizyka, chemia, biologia etc.

Powoli ta idea stałego porządku zjawisk zaczyna wszędzie się wdzierać, i to nawet tam, gdzieby się na pozór mogło zdawać, że ma zamknięty przystęp. I przekonano się, że panowanie tego porządku rozciąga się nawet na wiatry i fale morskie, uważane po wszystkie czasy przez poetów za symbol niestałości i kaprysu. Dziś można wykazać te prawa, którym są posłuszne: atmosfera i oceany, biegi powietrza i wód, albowiem na nich się opiera cała meteorologia i fizyka. Nawet szanse wygrania przy zakładach i przy grze w kostki, słowem wszystko czynimy przedmiotem obliczeń, co więcej, nawet los ma być na przyszłość poddany prawu.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym ta ideá naturalnego porządku wszystkich rzeczy, zagarniając powoli, jak potęga zdobywcza, wszystkie dziedziny wiedzy ludzkiej, wtargnie także i do zjawisk społecznych. To też francuzkiej szkole fizyokratów przypada w udziale zasługa, iż ona pierwsza rozpoznała i ogłosiła istnienie *„porządku naturalnego rzeczy“* [1]) i fizyokraci z pewnością zasłużyliby na imię założycieli ekonomii politycznej, gdyby sława Adama Smitha nie kazała nam na chwilę o nich zapomnąć. — „Umiejętnością ludzką — mówi Quesnay — koniecznie muszą rządzić prawa Opatrznościowe, — a zadaniem państwa nie jest tworzyć prawa, lecz tylko stwierdzać prawa natury, ogłaszać je i byt im zapewniać“.

W bieżącem stuleciu, począwszy od Augusta Comte'a i Herberta Spencera, prawie wszystkie szkoły, jako to: po-

---

[1]) Nazwa całej szkoły pochodzi właśnie od dwóch słów greckich, oznaczających „rządy natury“.

zytywistów, ewolucyonistów, szkoła historyczna, a nawet i socyalistyczna — wszyscy mniej więcej na jedno się zgodzili, uważając społeczeństwo ludzkie za zbiór organizmów rodzących się i rozwijających się podług praw zupełnie analogicznych tym, które panują nad rozwojem wszystkich innych istot żyjących.

Mimo to nie można jeszcze twierdzić, aby panowanie praw naturalnych w dziedzinie ekonomii było powszechnie uznane. W rzeczywistości bowiem natrafia się tu na niemałą trudność, pochodzącą ztąd, że zjawiska ekonomiczne są wynikiem działania ludzi, a ztąd czynów zależnych od wolnej woli, trudno więc pojąć, w jaki sposób mogłyby być rządzone prawami niezmiennemi. Tę sprzeczność pozorną da się jednak usunąć.

Jeżeli zazwyczaj widzimy nieuniknioną sprzeczność między ideą wolności a ideą prawa naturalnego, pochodzi to ztąd, że to drugie pojęcie bierzemy nie w zwykłem jego znaczeniu; prawo naturalne zawsze przedstawiamy sobie w tej formie, jak prawo cywilne lub karne, t. j. jako rodzaj władzy z mieczem w ręku, której musi się bezwarunkowo uledz. Nic fałszywszego nad takie pojmowanie rzeczy. Prawo naturalne jest po prostu *wyrazem pewnego stałego stosunku, jaki zachodzi między pewnemi zjawiskami*, a w porządku ekonomicznym prawo naturalne występuje jako wyraz pewnych stosunków stałych, objawiających się w czynach i działaniach ludzkich.

Otóż statystyka już nie jeden raz wykazała regularność naprawdę zadziwiającą, z jaką się powtarzają objawy najważniejsze życia ludzkiego, n. p. zawieranie małżeństw, zarówno jak i zjawiska bardzo małej wagi, do jakich należy n. p. rzucenie do skrzynki listu niezaadresowanego. Owa regularność jest niemniej widoczną w zjawiskach, ściśle mówiąc, czysto-ekonomicznych. Bieg rzeki, którym niezaprzeczenie rządzą prawa natury, nie jest więcej stałym i regularnym, niż ruch handlowy na kolei żelaznej — a zmiany mogące zajść w jednym, nie są trudniejsze do wytłomaczenia i przewidzenia od zmian objawiających się w drugim.

Ażeby sobie zdać sprawę z tej regularności, dziwnej na pierwszy rzut oka, wystarczy nad tem zastanowić się, jak wiele rzeczy wśród społecznych zjawisk dzieje się mimo woli i mimo wiedzy, i jaki wpływ na nas wywiera i do jakiego stopnia co dzień włada nami *przyzwyczajenie, naśladownictwo i dziedziczność* — trzy czynniki, ten wspólny charakter mające, iż zupełnie nie zależą od woli ludzkiej.

Lecz nie mamy wcale potrzeby dla wytłomaczenia tego zjawiska, ścieśniać zakresu wolnej woli człowieka. Porządek, w jakim występują zjawiska ekonomiczne i społeczne, bynajmniej się nie sprzeciwia wolnej woli, owszem jest jej jasnem następstwem i odbiciem. Gdybyśmy sobie wyobrazili świat, w którymby wszyscy ludzie byli zupełnie wolni, a przytem mądrzy, to pewna, że te zjawiska występowałyby jeszcze w regularniejszym porządku, niż dzisiaj. Przeciwnie zaś, gdyby wszyscy ludzie byli niemądrymi, wtedy nieporządek i chaos panowałyby na tym świecie, a żadnego ekonomicznego zjawiska w sposób rozumny nie możnaby przewidzieć.

Przewidywanie jest właśnie kryteryum, dowodzącem istnienia praw naturalnych, oraz charakterystyczną oznaką prawdziwej umiejętności. Jeżeli w istocie zjawiska tworzą ze sobą pewien stały porządek, jakby pochód regularny, w którym każdy pilnuje swego miejsca i odległości od drugich, czyli, jeżeli — jak się zwykle wyrażamy — istnieje „następstwo zjawisk“, natenczas jest zawsze możliwem, gdy jedno zjawisko jest dane, przewidzieć drugie, które mu towarzyszy, lub które ma po niem nastąpić. W niektórych umiejętnościach można przewidywania tak dalece posuwać, że będą one zdumiewały cały ogół i pozyskają nazwę prawdziwego proroctwa, jak n. p. w astronomii.

W naukach fizycznych i w przyrodniczych, już o wiele rzadziej można się dowiedzieć o przyszłości drogą przewidywania. Lecz zawsze jeszcze, choć już w skromniejszych rozmiarach, może wiedzieć chemik, jakie ciało powstanie z dwóch pierwiastków, które mięsza w tyglu i jakie będą jego własności; geolog znów może z góry oznajmić, jakie się napotka

pokłady ziemi przy przebijaniu tunelu lub wierceniu szybu w kopalni. Przyrodnik, widząc po raz pierwszy jakieś nieznane zwierzę, nie potrzebuje go wcale krajać, aby się dowiedzieć, jakie w nim znajdzie organa i w jakim są ustawione porządku, — gdyż sądzi już o tem ze znaków zewnętrznych, jakie się mu przedstawiają.

A teraz pytanie, czy ekonomista może podobną wykazać zdolność do przewidywania zjawisk, na poparcie naukowości swej wiedzy? Niewątpliwie może.

Mając dwa przedmioty równej jakości, a różnej wartości, można z góry już przewidzieć, że każdy kupi tańszy. I znowu — bo tamten przykład może zanadto dziecinny — posiadamy różne znaki, jak n. p. kurs weksli, zarówno pewne, jak przepowiednie barometru dla marynarki, po których możemy poznać i z góry przewidzieć zbliżające się przesilenia handlowe [1]).

Musimy zauważyć, że ci właśnie, którzy najżywiej występują przeciwko możności przewidywania ekonomicznych zjawisk, sami wcale nie zaniedbują korzystać z niej tak w ogólnym trybie życia, jak i w codziennych swych interesach. I tak finansista, kupując akcye kanału Suezkiego lub kolei żelaznej, już z góry przewiduje trwałość ruchu handlowego i jego stopniowy wzrost w oznaczonym kierunku, a płacąc za nie dobrze, stwierdza temsamem, że uznaje istnienie prawa ekonomicznego. Każdy, ktokolwiek spekuluje, — a któż dziś nie spekuluje! — wykonywa umiejętnie przewidywanie tego,

---

[1]) Będziemy mieli jeszcze sposobność przekonać się o innych. — Jeżeli widzimy, że wchodzi do kraju moneta zła (n. p. pieniądz papierowy), to odrazu możemy przepowiedzieć, że dobra moneta niebawem zniknie w myśl prawa Greshama. Z jednego rzutu oka na kurs weksli, można wnosić o stanie finansowym i handlowym danego kraju. Stanley Jevons starał się nawet wykazać, że przesilenia handlowe występują peryodycznie co dziesięć lat w tem sam sposób, jak plamy na słońcu; a z odwagą, może nadto wielką, usiłował jedno zjawisko uczynić zależnem od drugiego.

BIBLIOTEKA

co ma nastąpić dopiero, i czasem to się udaje, aczkolwiek nie zawsze.

Prawda, że przewidywać można tutaj tylko w przybliżeniu, a często nawet przeciwne wypadki kłam temu zadają. Wszelako, gdyby kto chciał twierdzić, że żadne prawo istnieć nie może tam, gdzie ono z góry nie da się przewidzieć z matematyczną dokładnością, byłoby to absurdum. Każdy, kto się zastanowi, będzie przekonany, że ani wiatr, ani deszcz, ani grady, ani burze, nie są rezultatami losu, a tem mniej woli ludzkiej, a przecież nie przypuszcza nawet, ażeby te zjawiska były przeciwne prawom natury! A przecież łatwość przewidywania zjawisk w tej dziedzinie wcale nie jest większa, niż w dziedzinie ekonomicznej, owszem może nawet jest łatwiej przepowiedzieć nadejście przesilenia handlowego, niż przewidzieć zerwanie się cyklonu.

To też, jeżeli przewidywania zjawisk ekonomicznych są zawsze niepewne i nie sięgają daleko, to przyczyny tego wcale nie należy szukać w nieistnieniu praw naturalnych, ani w rzekomym nieładzie, panującym wśród zjawisk — ale poprostu w tem, że nie znamy przyczyn rzeczy, podobnie jak w meteorologii i w innych gałęziach wiedzy. I niech będzie jaka chce opinia o wolnej woli, to pewna, jak powiedział Stuart Mill, że gdyby się nawet dokładnie znało wszystkie możliwe siły, jakie w danym razie mogą wpłynąć na człowieka, to jeszczebyśmy z całą dokładnością nie mogli przewidzieć, jak on się sam zachowa i za którą z nich pójdzie A tych sił nigdy nie będziemy znali dokładnie. Lecz na szczęście nie mamy w tem żadnego interesu, gdy chodzi o zjawiska ogólno-ekonomiczne, aby przewidywać, jak się w danym wypadku zachowa jakieś indywiduum, uważane w oderwaniu od całego społeczeństwa; *nas obchodzi jedynie zachowanie się ludzi, zbiorowo wziętych.* Wobec tego bynajmniej nam nie potrzeba troszczyć się o taką dokładność, jaka jest niezbędną dla astronoma lub fizyka.

IV.

Cztery szkoły ekonomiczne.

Nauka ekonomii rozpada się na bardzo wiele szkół — prawie na tyle, co filozofia, a to jest niezaprzeczenie oznaką niskiego stopnia jej rozwoju. Na usprawiedliwienie tego nie wystarcza powiedzieć, że umiejętność ta nie istnieje dłużej nad wiek jeden, i że z czasem usunięte będą tego rodzaju braki. Albowiem nauki, wcale nie dawniejsze od ekonomii, a nawet nie liczące tyle lat istnienia, ile jeden żywot ludzki, zdobyły się już na utworzenie pewnej ilości prawd naukowych, na które się jednogłośnie godzą wszyscy, co się niemi bliżej zajmują. Do tego jeszcze nie doszła nauka ekonomii politycznej, to też wielka liczba uczonych odmawia tej nauce nazwy umiejętności, albo przynajmniej uważa ją za przedwczesną. Zaznaczyć tu należy, że te odrębne szkoły różnią się pomiędzy sobą nie tyle sposobem tłomaczenia zjawisk ekonomicznych, ile raczej metodą, używaną do ich badania, sposobem ich ocenienia, a wreszcie zastosowaniem ich w praktyce. Jeżeli więc chodzi tylko o wytłumaczenie czego, n. p. przyczyny nierówności bogactw, wtedy istniejące szkoły nie bardzo odróżniają się od siebie, — ale, jeżeli idzie o wykazanie, czy różnica warunków życia jest sama w sobie dobrą, albo gdy chodzi o złagodzenie jej, wtedy dopiero wszystkie różnice zdań na jaw występują. Te różnice zdań wypływają z charakteru etycznego i politycznego całej nauki i prawdopodobnie w zupełności usunięte nie zostaną; a są dane, z których można wnosić, że nawet w punktach najważniejszych nigdy do zgody nie przyjdzie.

§. 1. Szkoła liberalna.

Pierwszą z tych szkół zowią zwyczajnie *klasyczną* z powodu, że najpierw się uformowała i długi czas panowała bez współzawodnictwa — albo też *liberalną* wskutek zna-

nego jej hasła. Ale czy ona naprawdę jest szkołą?... Jej wyznawcy, broniąc swych zasad z pewnego rodzaju wyższością i chcąc być przedstawicielami właściwej umiejętności, nazywają się krótko „ekonomistami“, i w tenże sposób od swoich przeciwników bywają nazywani. Lecz ci ostatni — nie bez ironii — szkołę klasyczną zowią niekiedy prawowierną lub indywidualistyczną. Jej nauka jest bardzo prosta i przedstawia się w sposób następujący:

1) Społeczeństwem ludzkiem rządzą prawa naturalne, których *nie moglibyśmy zmienić w żaden sposób, nawet gdybyśmy sami chcieli*, albowiem nie od nas one zależą, a po drugie *w zmianie ich nie mielibyśmy żadnego interesu, choćby to było nawet w naszej mocy*, gdyż te prawa co najmniej są dobre, jeżeli już nie bezwarunkowo najlepsze [1]). Zadaniem ekonomisty jest odkryć stosunek wzajemny tych praw, a znowu zadaniem każdego indywiduum i państwa jest zastosowanie ich w praktyce i życiu codziennem.

2) Te prawa wcale się nie sprzeciwiają wolności ludzkiej, owszem są one wyrazem stosunków, jakie się dobrowolnie zawiązują pomiędzy ludźmi żyjącymi w społeczeństwie wszędzie tam, gdzie im pozostawiono swobodę postępowania według swego interesu. W takim razie, pomiędzy temi indywidualnemi interesami, na pozór sprzecznemi, wytwarza się stała harmonia, która właśnie stanowi ów naturalny porządek, o wiele trwalszy, od wszystkich sztucznych kombinacyj, któreby dopiero trzeba obmyślać.

3) Działalność ustawodawcy zatem powinna się ograniczać na gorliwem popieraniu prywatnej inicyatywy, na usuwaniu tego wszystkiego, coby jej stało na przeszkodzie i na niedopuszczaniu do powstawania przywilejów w społeczeństwie, temsamem mieszanie się władzy potrzeba sprowadzić aż do tego *minimum*, które niezbędnem jest do zapewnienia

---

[1]) „O prawach kapitału, pracy i rozdziału dóbr taksamo można powiedzieć, że są dobre, jak również że są konieczne, gdyż prowadzą do stopniowego podsiesienia się poziomu życia ludzkiego“. *Leroy-Beaulieu: Précis d'économie politique.*

bezpieczeństwa wszystkim razem i każdemu z osobna — jednem słowem trzeba *laisser faire* t. j. każdemu pozostawić swobodę w działaniu.

Takiemu systemowi naukowemu z pewnością nie zbywa ani na prostocie, ani na wielkości, a niech będzie jaki chce jego los, to zawsze będzie miał przynajmniej tę zasługę, że posłużył do utworzenia się nauki ekonomii. Gdyby nawet kiedyś inne teorye miały go zastąpić, to nie straci on znaczenia naukowej podstawy, na której tamte będą musiały się oprzeć.

Tej doktrynie możnaby zrobić jeden bardzo poważny zarzut, mianowicie, że wyraźnie zdąża do *optymizmu*. Dążenie to pochodzi nie tyle z umiejętnego traktowania, ile raczej z chęci usprawiedliwiania istniejącego porządku rzeczy. Bezwątpienia, jeżeli się bada organizacyę ekonomiczną jakiegoś społeczeństwa i podstawy, na których jest oparta, wtedy ma się prawo rzec, że mają one pewne swoje dobre strony, boć zresztą już świadczy o tem dostatecznie sam fakt istnienia ich i trwałości, — co ma choćby względną wartość. Również można wnosić, że są naturalne, mianowicie w tem znaczeniu, o ile one są w związku z dawnym stanem rzeczy, o ile z niego biorą początek. Ale żadną miarą nie można tych urządzeń uważać bezwzględnie za najlepsze; podobne twierdzenie byłoby zupełnie bezpodstawne.

Tembardziej niema racyi sądzić, że, ponieważ prawa naturalne są trwałe i niezmienne, przeto ekonomiczne zjawiska i stosunki istniejące powinnyby mieć także charakter trwały i niezmienny. Jest to czysty sofizmat, by nie powiedzieć gra słów. Owszem przeciwnie, skoro dzisiejsza nauka usiłuje dowieść, że zasadniczem prawem natury jest prawo ewolucyi (pr. rozwoju) to w takim razie trzebaby powiedzieć, *że prawa natury nie tylko nie wykluczają idei zmienności, lecz owszem same ją przypuszczają*. Kiedy naprzykład socyaliści domagają się zniesienia systemu płacy dlatego, że taksamo, jak płaca nastąpiła po poddaństwie i niewoli, tak teraz ona znowu ustąpi miejsca systemowi kooperacyi (stowarzyszeń) lub ja-

kiemuś innemu systemowi, — to niewątpliwie można krytykować uzasadnienie tego żądania, lecz nie można utrzymywać, że takie zmiany są przeciwne prawom natury, albowiem teżsame prawa sprawiają, że po nasieniu następuje kwiat, a po kwiecie owoc.

Ale nietylko zjawiska i stosunki ekonomiczne mogą się zmieniać, ale nawet *człowiek ma zdolność wpływania na te zmiany*. Ta zdolność człowieka objawia się w istocie codzień w sposób najbardziej skuteczny, gdy wywołujemy w zjawiskach naturalnych zmiany, stósownie do naszych potrzeb; takie rozumne oddziaływanie człowieka na zjawiska natury, da się zupełnie pogodzić z ideą praw naturalnych, a nawet jest z nią ściśle związane [1]). Gdyby naprawdę idea prawa nie istniała, gdyby nie było żadnego związku pomiędzy zjawiskami, gdyby przyczyna mogła wywołać skutek jakiś, albo nie wywołać żadnego, jednem słowem, gdyby los rządził światem, wtedy człowiek nie byłby w stanie nic uczynić takiego, coby wogóle zdążało do jakiegoś celu, gdyż zmieniając to lub owo zjawisko, nie wiedziałby co z tego będzie, słowem działałby zupełnie ślepo. Ażeby zabezpieczyć budynki, wznosi człowiek gromochrony, albowiem wierzy, że istnieje jakieś prawo naturalne, mianowicie że końce metaliczne mają pewien wpływ na elektryczność, ale gdyby iskra elektryczna biegła jakąbądź drogą, to rzecz jasna, że wtedy wynalazek Franklina na nicby się nie przydał.

Zresztą wystarczy mieć oczy otwarte, by spostrzedz, jak wielką jest ta moc człowieka, którą potrafi wpływać na zjawiska przyrody. Zapewne są takie zjawiska, które swoim ogromem i odległością wykluczają wprost wszelki wpływ na nie z naszej strony, jak n. p. wszystkie zjawiska, wchodzące w zakres astronomii, geologii, a nawet i meteorologii. Nie pozostaje tu nic innego, jak tylko poddać się im w milczeniu, albowiem nawet zdolność przewidzenia ich naprzód, nie

---

[1]) Espinas w książce p. t. *Sociétés animales* powiada dowcipnie: „Gdyby działanie ludzkie było niezgodnem z porządkiem zjawisk natury, to ugotowanie jajka trzebaby uważać za cud“.

zapobiegnie spadnięciu komety lub trzęsieniu ziemi. Są jednak dziedziny, w których umiejętność ludzka jest ledwie że niewszechwładną. I tak n. p. większą część składników chemii nieorganicznej i to najważniejsze, wynaleźli uczeni w swoich laboratoryach. Gdy się widzi, jak hodowca bydła w oborze, lub ogrodnik w swoich ogrodach ustawicznie przekształcają formy zwierząt a względnie roślin i tworzą nowe rasy — to zdawać się może, że natura żyjąca sama pozwala się przerabiać tak, jak gdyby była materyą bezwładną. Nawet zjawiska atmosferyczne nie wybiły się stanowczo z pod panowania przemysłu ludzkiego, który karczowaniem lasów lub zakładaniem nowych stara się wiatry i deszcze poddać swej władzy, niejako odnawiając w ten sposób cud proroka Eliasza, by podług swej woli spuszczać deszcz i rosę.

Wyraźniej jeszcze występuje wpływ ludzi w zjawiskach ekonomicznych, szczególnie dlatego, że są to zjawiska czysto ludzkie, nad któremi mamy bezpośrednią władzę. Bez wątpienia tak tutaj, jak i w dziedzinie zjawisk fizycznych działalność ze strony ludzi jest ujęta w pewne ścisłe granice, które umiejętność stara się bliżej określić tak, aby wszyscy ludzie koniecznie je zachowywali, czy to działając z osobna w przedsiębiorstwach prywatnych, czy też czyniąc coś zbiorowo z rozkazu przepisów prawnych. Tu miejsce przytoczyć stare przysłowie Bacon'a: *naturae non imperatur nisi parendo,* zjawisk ekonomicznych nie można zmienić inaczej, jak tylko przez poznanie praw ekonomicznych i przez zastosowywanie się do nich. Alchemia usiłowała ołów przemienić w złoto, chemia porzuciła to próżne poszukiwanie, odkąd się przekonała, że te dwa ciała są pierwiastkami pojedynczemi a przynajmniej takiemi, które się już nie dadzą dalej rozkładać. Utopista niepotrzebnie męczy naturę, aby wydobyć z niej to, czego ona dać nie może — człowiek zaś wiedzy pragnie od niej tylko to otrzymać, co jest możebnem. Lecz granica tej możliwości sięga o wiele dalej, niż to przypuszczała szkoła klasyczna.

§. 2. Szkoła socyalistyczna.

Szkoła socyalistyczna istnieje od tak dawna, jak szkoła klasyczna, a można nawet twierdzić, że jest od niej starszą, gdyż socyaliści już dawno istnieli, zanim jeszcze poznano ekonomię polityczną. Doktryny tej szkoły mają przedewszystkiem charakter krytyczny, to też o wiele trudniej je sformułować, aniżeli zasady szkoły poprzedniej. Oto główny ich zarys:

Różne szkoły socyalistyczne uważają dzisiejszą organizacyę społeczną za pełną różnych wad, niedających się usunąć, a tem samem przeznaczoną na zagładę w bliższej czy dalszej przyszłości. Sądzą, że organizacyi tej nie można nigdy uważać jako wytwór naturalnej wolności, lecz tylko jako rezultat długiego szeregu czynów niesprawiedliwości i grabieży, mniej lub więcej uświęconych przez prawa pisane. Dalej usiłują one wykazać przedewszystkiem, że *własność prywatna i wolna konkurencya* — te dwie sprężyny, wprawiające w ruch cały organizm społeczny — dążą do poświęcenia interesu całego społeczeństwa na korzyść nielicznych jedynostek w tym celu, aby mała garstka uprzywilejowanych żyła kosztem mas wydziedziczonych: *paucis humanum genus vivit.*

Szkoły socyalistyczne oczekują tedy nowego stanu rzeczy, w którymby własność prywatna, jeżeli niezupełnie zniesiona, to przynajmniej sprowadzoną była do minimum, zgodnego ze sprawiedliwemi wymaganiami ludzkości, i w którymby interes osobisty już nie był jedynym motorem, lecz poporządkowanym interesowi całego ogółu. Co się zaś tyczy urządzenia tego przyszłego stanu rzeczy, to liczne różnice zachodzą wśród tych szkół. Jedni uczeni, którychby można nazwać *idealistami*, lecz częściej występujący jako *utopiści*, stracili do dziśdnia bardzo na znaczeniu, może nawet zanadto; chcieliby oni zbudować społeczeństwo zupełnie na nowo, biorąc za punkt wyjścia pewne zasady sprawiedliwości *a priori*. Inni znów, nazywając się zuchwale nieco, wy-

znawcami socyalizmu *umiejętnego* lub *ewolucyjnego*, dążą do tego, ażeby przyszłe społeczeństwo rozwinęło się samo z siebie; — mianowicie, aby społeczeństwo istniejące pozbyło się swej obecnej formy, podobnie jak motyl wylatuje ze swej poczwarki. Najbardziej interesująca i oryginalna strona ich poglądów jest, iż twierdzą, jakoby to przyszłe społeczeństwo spoczywało niby płód, w łonie istniejącego społeczeństwa i wkrótce samo z niego wyjść miało.

Ta szkoła mając charakter nawskróś deterministyczny, nie zaprzecza zupełnie istnieniu praw naturalnych. Tylko, podczas gdy z tem słowem „prawo natury“ szkoła liberalna łączy zawsze pojęcie stałości i niezmienności, to dla socyalistycznej oznacza ono zawsze ideę zmiany i nieskończonego przekształcania się. Zamiast przedstawiać sobie społeczeństwo ludzkie tak, jak Bastiat wyobrażał sobie świat planetarny, jako obracający się naokoło pewnego punktu stałego i wiszący z wieczną równowagą, która się nigdy nie zachwieje — szkoła socyalistyczna przedstawia je sobie jako roślinę lub zwierzę jakie, które od urodzenia aż do śmierci zmienia się bez przestanku; wypada tu nadmienić, że z podobnego punktu widzenia zapatruje się na rzeczy i dzisiejsza umiejętność. Sam system słoneczny zmienia się i przekształca.

Większa część socyalistów uważa rewolucyę za niezbędny warunek tego, ażeby nowy porządek rzeczy nastąpił w miejsce porządku obecnie istniejącego. Takie zapatrywanie ze strony ewolucyonistów może nieco zadziwić, dlatego też starają się dowieść na podstawie badań, że proces rewolucyjny dokonywa się często zapomocą przesileń, t. j. szybkich i gwałtownych przejść jednego stanu rzeczy do innego, czego przykładem może być poczwarka, która musi wpierw przebić swój kokon, ażeby jako motyl z niego wylecieć lub kurczę, rozbijające dzióbkiem skorupę jajka, celem uwolnienia się z niego.

W końcu wszystkie te szkoły — z wyjątkiem jedynie szkoły anarchistycznej, która jest zupełnie indywidualistyczną, — są naturalnie gotowe do największego możliwie rozszerzania praw władz zbiorowych, występujących jako pań-

stwo lub jako gmina, gdyż ostatecznym celem ich jest doprowadzić do przekształcenia wszystkich istniejących przedsiębiorstw prywatnych na przedsiębiorstwa publiczne [1]).

Niepodobna w tym ustępie oceniać wartości krytyki, z jaką szkoła socyalistyczna wystąpiła przeciwko porządkowi społecznemu; znajdziemy ją w innem miejscu niniejszego dzieła. Powiemy na razie tyle tylko, że dość znaczną część prawdy w sobie zawiera. Wychodząc przedewszystkiem z punktu widzenia krytycznego, tegoczesny socyalizm dał początek niepospolitym pracom Proudhon'a we Francyi, a Karola Marxa w Niemczech.

Lecz właśnie słaba strona tej szkoły leży w stronie pozytywnej, czyli, by lepiej powiedzieć, praktycznej. Niech tam będą w istocie, jakie chcą, niedoskonałości, a nawet niebezpieczeństwa działania *interesu osobistego* czyli pragnienia własnego zbogacenia się, o ile ono występuje jako motor mechanizmu społecznego, to jednak niełatwo będziemy mogli wyobrazić sobie inną siłę poruszającą ludźmi, istnieją bowiem jeszcze dwie inne, z których jedna się zowie *przymusem*, a druga *miłością*.

Otóż, co się tyczy miłości, albo jak się mówi o niej w przeciwstawieniu do egoizmu, co się tyczy „altruizmu", to zaiste można się spodziewać, że w nim leży rozwiązanie kwestyi

---

[1]) Dążenie socyalizmu do rozszerzenia atrybucyj państwa jest tylko przejściowem. Owszem czuje on największą wzgardę do państwa takiego, jakiem ono jest dzisiaj t. j. do „państwa mieszczańskiego" (l'Etat bourgeois). Takie państwo prowadzi własne interesa i przedsiębiorstwa na ten sam sposób, jak prywatne jednostki, i dlatego też socyalizm powiada, że trzeba przeprowadzić zupełny przewrot. Nawet we wszystkich swoich planach urządzenia przyszłego społeczeństwa, unika zupełnie używania słowa „państwo" przenosząc nad nie „społeczeństwo". Państwo według zdania socyalistów powinno stracić zupełnie charakter polityczny, aby stać się wyłącznie ekonomicznem; a więc nie będzie ono niczem więcej, jak tylko radą zawiadowczą towarzystwa współdzielczego, obejmującego cały kraj. Tem właśnie różni się czysty socyalizm od *socyalizmu państwowego*.

i że ono kiedyś się urzeczywistni. Lecz socyaliści, licząc już dzisiaj na przewagę tego czynnika działania, są „optymistami“ taksamo, jak klasyczni ekonomiści, którymto również optymizm zarzuciliśmy. Zanimby człowiek namyślił się pracować wyłącznie dla miłości bliźniego, potrzebaby bardziej radykalnego, przewrotu, niż sama nawet rewolucya socyalna; nie wystarczy tu zmienić warunki, w których człowiek żyje — potrzebaby zmienić jego duszę.

To też zachodzi obawa, ażeby socyaliści, gdy im miłość nie dopisze, nie chcieli użyć przymusu. Otóż pomijając, że ogólny dobrobyt byłby bardzo drogim, gdybyśmy go musieli okupywać ceną wolności własnej, jeszczeby się można obawiać nieotrzymania żądanego rezultatu, nawet za taką cenę. W istocie produkcya dóbr, ażeby była obfitą, wymaga jak największego rozwinięcia indywidualnej energii, a doświadczenie uczy, że ta energia nie mogłaby się wznieść wysoko pod panowaniem przymusu. Co zaś do nadziei, jaką żywi wielu socyalistów, że możnaby się zrzec indywidualnej inicyatywy, przenosząc ją na ciała zbiorowe, jak: państwo, gminy, stowarzyszenia silnie zorganizowane, to nadzieja ta byłaby tem mniej uzasadnioną, iż wiemy z codziennego doświadczenia, że wielkie czy małe stowarzyszenia nie są więcej warte, niż jednostki, z których się składają. — Następstwem zaś tego być musi, że każdy ustrój społeczny, któryby przyczynił się do zmniejszenia energii indywidualnej, nie osiągnąłby wielkich korzyści przez związki kollektywistyczne, choćby najlepiej zorganizowane.

§ 3. Szkoła chrześcijańska.

Z nazwy, jaką ta szkoła nosi, mogłoby się wydawać, że nie należy ściśle do zakresu naukowego, wszelako bardzo wielki rozwój, do jakiego ona doszła w różnych krajach, nawet z punktu widzenia czysto ekonomicznego, którym wyłącznie tutaj się zajmiemy, — posiada cechy nadto charakterystyczne, aby ją można zbyć milczeniem.

Szkoła katolicka podobnie, jak szkoła klasyczna, wierzy silnie w istnienie praw naturalnych, nazywa je prawem *Opatrznościowem*, które panuje zarówno nad zjawiskami społecznemi, jak i nad światem fizycznym.

Sądzi jednak, że działalność tego prawa Opatrznościowego może być głęboko zaburzoną przez złe użycie wolności ludzkiej, i że to właśnie już zaszło; *przez błąd człowieka świat nie jest tem, czem powinien być, i czem z woli Bożej miał być.* W odróżnieniu od szkoły liberalnej bynajmniej nie jest ona optymistyczną, obecnego porządku społecznego wcale nie uważa za dobry, ani nawet za dążący do dobrego; przedewszystkiem żadnego zaufania w tem nie pokłada, ażeby zasada *laisser-faire* zdołała napowrót zaprowadzić harmonię i zapewnić postęp, albowiem przeciwnie, właśnie w tej wolności ludzkiej, lub przynajmniej w liberaliźmie widzi prawdziwą przyczynę rozstroju społecznego.

Co się tyczy swego programu, to szkoła chrześcijańska zamierza przywrócić spokój społeczny za pośrednictwem wpływu trzech powag: *ojca* w rodzinie, *majstra* w warsztacie, a *Kościoła* w państwie, ma się rozumieć pod warunkiem, że te trzy powagi znów ze swojej strony będą wypełniały swoje obowiązki. W ogólności szkoła ta wcale się nie sprzeciwia interwencyi państwa, „które po Kościele jest pierwszym sługą Bożym w przestrzeganiu dobra“ [1]), sama wzywa stanowczo do zapewniania spoczynku niedzielnego klasom pracującym i domaga się uregulowania warunków pracy podług zasad sprawiedliwości etc. etc.

Gwałtowna krytyka, z jaką się zwraca szkoła chrześcijańska przeciw panującej organizacyi, tudzież jej głosy wzywające w niektórych wypadkach interwencyi państwa, zjednały jej ze strony liberalnych ekonomistów nazwę *chrześcijańskiego socyalizmu.* Sama jednak bardzo żywo się jej wypiera i zresztą oprócz pewnego pokrewieństwa w poglądach na niektóre kwestye społeczno-ekonomiczne, różni się od szkoły socyalistów *toto orbe.* Boć przecież nigdy się nie zgodzi na

[1]) Słowa Papieża Leona XIII.

zniweczenie zasadniczych instytucyj porządku społecznego: jak prawa własności, dziedziczenia, płacy etc., owszem pracuje nad przywróceniem ich i utrwaleniem; w co następnie nie wierzy, to w ewolucyę i w nieskończony postęp rodzaju ludzkiego, a w końcu swego ideału nie szuka tak bardzo w przyszłości, ile raczej w koło siebie, w niektórych instytucyach, które już minęły, jak n. p. familia pierwotna (la famille souche[1]) sposób życia wiejski, stowarzyszenia zawodowe majstrów i czeladników.

Najcięższe zarzuty, jakie można było skierować przeciwko takiej nauce, pomijając naturalnie wszystkie różnice polityczne i religijne, zebrał już dawno temu Stuart Mill, twierdząc, że nie ma przykładu, ażeby jakaś klasa, mając władzę w ręku użyła tej władzy na korzyść innej klasy społecznej. Dlatego można obawiać się, aby opieka klas rządzących, jeżeliby się kiedyś im oddało sprawę rozwiązania kwestyi socyalnej, nie stwierdziła znów tak bolesnej prawdy, którą Mill zaznaczył.

Istnieje także socyalizm chrześcijański, lecz niekatolicki, który coraz większego nabiera znaczenia w Niemczech, Anglii i Stanach zjednoczonych. Również surowo, jak szkoła katolicka, gani on wadliwość obecnego ustroju społecznego, toż samo i on myśli o ziemi, na którejby sprawiedliwość panowała, — lecz głęboko się różni swoim programem od szkoły katolickiej. Aby zapewnić spokój społeczny, nie liczy na powagę pewnych klas, lecz na coraz bardziej wzrastającą solidarność wszystkich klas razem, na stowarzyszenia współdzielcze, które mu się wydają najlepszym środkiem do urzeczywistnienia

---

[1]) Nazwa ta „familia pierwotna“ oznacza w szkole Le Play'a rodzinę silnie rozwiniętą i trwającą od dawna, tworzącą maleńką społeczność, w łonie całego społeczeństwa — w przeciwstawieniu do rodziny nietrwałej i ciągle rozpraszającej się, która charakteryzuje właśnie dzisiejsze społeczeństwo. Szkoła Le Playa jest odłamem szkoły katolickiej, a różni się od niej— przez co się zbliża do szkoły liberalnej — tem, że ma charakter bardziej świecki i wyraźniej określa zakres interwencyi państwa; co do metody, to zbliża się do szkoły historycznej.

tej solidarności, a nie sprzeciwiając się pewnego rodzaju ogólnej interwencyi państwa, występuje z większym naciskiem w obronie indywidualnej przedsiębiorczości.

§. 4. Szkoła historyczna.

Zrazu nazywano tę szkołę *historyczną* lub szkołą *socyalistów z katedry* (Katheder Sozialist), lecz dziś przybiera ona chętniej nazwę *realistycznej;* wzięła swój początek w reakcyjnym ruchu, jaki powstał przeciw szkole klasycznej, tak co do metody jak i co do dążności. Pojawiła się przed czterdziestu laty w Niemczech[1]) i do dziś dnia głównymi jej wyznawcami są profesorowie uniwersytetów niemieckich. Lecz za dni naszych przyłączyła się do niej wielka liczba profesorów ekonomii politycznej z różnych krajów[2]).

Z punktu widzenia metody szkoła realistyczna odrzuca bezwzględnie metodę dedukcyjną, opierającą się na rozumowaniach *a priori*, na abstrakcyach, na hypotezach i oświadcza, że do prawdy nie można dojść inaczej, jak tylko drogą cierpliwej obserwacyi zjawisk.

Zjawiska ekonomiczne i historyczne należy przedewszystkiem przez historyą badać.—Historya jedynie w istocie naucza nas, jak się tworzą instytucye ekonomiczne, jak się przekształcają, i sama jedna może nam wyświecić ich prawdziwy charakter.

Otóż instytucye ekonomiczne, badane z punktu widzenia historycznego, okażą nam się jako nader zmienne u wszystkich narodów razem, a nawet jako zmieniające się wciąż w łonie tego samego narodu; to też ustaje tem samem po-

[1]) Datę powstania historycznej szkoły w Niemczech odnoszą pospolicie do roku 1854, w którym Roscher wydał swój *System gospodarstwa narodowego*. Należy też zaznaczyć, że w Niemczech również ze Savignym powstała szkoła historyczna prawa.

[2]) Wyjątek stanowi Francya, gdzie z przyczyn, które musimy tu wyłuszczyć, prawie wszyscy ekonomiści pozostali przy szkole klasycznej.

dwójny charakter powszechności i trwałości, jaki szkoła klasyczna przypisywała zjawiskom ekonomicznym. Ztąd według szkoły historycznej *należy zrzec się poszukiwania praw ogólnych rządzących człowiekiem*, ale trzeba się oglądać za prawami historycznemi, urządzającemi wzajemne stosunki ludzi, żyjących w danem oznaczonem społeczeństwie. Z tego powodu tę szkołę nazywają niekiedy *narodowo-ekonomiczną*[1]).

Co do swych tendencyj, to szkoła niniejsza bezwarunkowo odrzuca „laisser faire“. Umiejętności naznacza ona *praktyczny kierunek*, uważa za przestarzałe, przynajmniej dla społecznych nauk, — odłączanie nauki od sztuki, a przez to dochodzi do podobnego pojmowania rzeczy, jak pierwsi ekonomiści. Jest tego zdania, że nie możemy badać instytucyj ekonomicznych i zmieniać takowych w inny sposób, niż nas historya o tem poucza, następnie sądzi, że nauka tak samo obejmuje sztukę, jak przeszłość zamyka w sobie to, co ma nastąpić. To, co jest, to, co będzie i to, co powinno nastąpić — wszystko to jest w związku ze sobą.

Szczególnie z powodu małej wagi, jaką przywiązuje do znajomości praw naturalnych, przypisuje tem większe znaczenie *prawom pozytywnym*, które od ustawodawcy pochodzą, widząc w nich jeden z najważniejszych czynników rozwoju społecznego[2]). Skłania się do znacznego rozszerzania atrybucyj państwa, i pod tym względem żadnych nie dzieli antypatyj i nieufności szkoły liberalnej. Z tego też względu tę nową szkołę a przynajmniej jedną jej część nazywają *socyalizmem państwowym*.

---

[1]) Podczas gdy szkoła klasyczna uważa własność ziemską, płace, za instytucye stanowczo zależne od przyczyn koniecznych i powszechnych, to szkoła historyczna uważa je za zwykłe „zjawiska historyczne“, zawisłe od różnych przyczyn i przybierające różne formy stosownie do czasu i do kraju.

[2]) „Prawa, któremi się zajmuje ekonomia polityczna, nie są prawami naturalnemi. Te ostatnie uchylają się z pod woli człowieka, podczas, gdy pierwsze są jej wypływem“. De Laveley: *Éléments d'économie politique* str. 17.

Szkoła historyczna wywiera w ostatnich czasach ogromny wpływ, nie tylko na umysły uczonych, ale także na ustawodawstwo. Jej dziełem jest większa część ustaw ogłaszanych w ostatnich dwudziestu latach, znanych pod nazwą *ustaw robotniczych*, oraz ten potężny zwrot opinii, jaki się objawił na korzyść międzynarodowego uregulowania stosunków roboczych. Ona też oddała z pewnością wielką usługę nauce, rozszerzając jej ciasny dotychczas punkt widzenia, pełen wprawdzie sztucznej prostoty, a przecież swym optymizmem rażący. Szkoła historyczna owiała naukę nowem życiem, odmładzając trochę jej zastarzałe teorye przez wprowadzenie nowych pierwiastków, czerpanych z historyi, z ustawodawstwa i ze statystyki; kazała jej wybrnąć z tej bezczynności systematycznej, w jakiej się zamknęła, a na zapytanie od tak dawna stawiane przez ludzi: co czynić? postarała się o inną odpowiedź, niż to bezpłodne *laissez-faire*.

W tem, co dotyczy tak delikatnej materyi, jaką jest interwencya państwa, to godzimy się z nową szkołą i uznajemy, że nieustanny rozwój atrybucyj państwa jest zjawiskiem historycznem, a może właśnie jednem z tych praw naturalnych, którym szkoła historyczna zaprzecza. Sądzimy, że zadaniem państwa powinno być rozwijanie coraz bardziej solidarności społecznej, której ono jest żywym obrazem; a w celu dopięcia tego musi ono wymagać na mocy swej władzy, pewnych ofiar od jednych, któreby były z korzyścią dla drugich ludzi. Jeżeli państwo nie zawsze okazało się zdolnem do spełnienia tego wysokiego zadania społecznego, to z tego tylko powodu, że nadto często w przeszłości było ono narzędziem, działającem na korzyść jednej klasy, a w rządach demokratycznych za dni naszych bywa narzędziem pojedynczej partyi. I na tem też do pewnego stopnia polega słuszność wywodów szkoły liberalnej. Kształcenie się państwa postępuje zwolna, — lecz zawsze może szybciej, niż kształcenie się jednostek, które ustawicznie śmierć zabiera; wolno więc nam spodziewać się, że nadejdzie dzień, w którym budowa państwa spocznie na podstawach bardziej umiejętnych, dzień, w którym ekonomia polityczna wskaże pań-

stwu jego zadanie i kiedy sprawy praktyczne zastąpią miejsce tak płonnych rozpraw politycznych; — a wtedy państwo będzie w stanie rozwinąć roztropniejszą działalność w dziedzinie ekonomicznej i bardziej skuteczną od tej, którą do dziś dnia wykonywało.

Co się tyczy metody, to nowa szkoła otwiera krytyce szerokie pole. Już wyżej mówiliśmy, że przez wyszydzanie postępowania i metody szkoły dedukcyjnej, szkoła nowa dała próbkę swych wygórowanych pretensyj, a nawet i niewdzięczności, gdyż ostatecznie ona obraca się zawsze w granicach zakreślonych przez dawną szkołę; sama zaś nie stworzyła żadnej nauki, tylko dotychczasową nowym ożywiła duchem. Szkoła historyczna przez zwracanie uwagi głównie na obserwacyą zjawisk i na zmiany, którym ulegają ludy i czasy, zanadto się zagłębia w szczegółach, a traci z oczu ogólne prawa, cechujące wszędzie zjawiska ekonomiczne. Jeśliby wypadało zaprzeczyć wykryciu stałego związku i ogólnych praw nawet i w zmianach dostrzeganych w występowaniu zjawisk — to wtedy stanowczo także trzebaby się sprzeciwić uznaniu ekonomii politycznej za umiejętność; otóż śmiałe stawianie hypotez, choć nie zawsze bezpiecznych, będzie mniejszem złem, niż przyznanie się do nieudolności pod tym względem.

KSIĘGA I.
DOBRO i WARTOŚĆ.

ROZDZIAŁ I.
Dobra czyli bogactwa.

I.
Pożądanie dóbr (bogactw).

Być bogatym, w pospolitem słowa rozumieniu, znaczy oczywiście na tyle posiadać środków, ażeby się dobrze wyżywić, przyzwoicie ubrać, odpowiednio mieszkać, mieć dobrą opiekę na przypadek choroby, posiadać ciepłą odzież na zimę znów lżejsze ubranie na lato, mieć możność dostania się wszędzie, dokąd kto chce się udać, wreszcie posiadać środki na używanie wszystkich tych rozrywek, jakich życie cywilizowane nastręcza każdemu, kto może z nich korzystać. Należy tu także zwolnienie od konieczności zarabiania na życie, wolność czynienia tego, co się komu podoba tudzież postępowania podług swego gustu i fantazyi, a w końcu zabezpieczenie od kłopotów swojej przyszłości, tudzież przyszłości własnych dzieci. Bogactwo w ten sposób uważane zależy od *ilości dóbr*, posiadanych przez człowieka, która jest synonimem *obfitości*.

Lecz słowo „bogactwo“ każe jeszcze coś więcej przypuszczać, gdyż oznacza ono także pewien stan wyższości,

i wskutek tego mieści w sobie pojęcie nierówności warunków. Ono określa również uprzywilejowane położenie człowieka, stawiając go w możności rozporządzania pracą wielu innych ludzi, — czyli, co na jedno wyjdzie — w możności rozporządzania wytworami ich pracy. „Bogactwo jest to władztwo“, jak powiada Hobbes, i takie też w istocie jest etymologiczne znaczenie francuskiego słowa *richesse* (*Reich*, panowanie, rządy). Z tego punktu widzenia uważane bogactwo jest stanem rzeczy czysto względnym, i zależy nie tyle od ilości dóbr, posiadanych przez jednego człowieka, ile raczej *od tej ilości, jaką posiadają jemu podobni*; jeżeli mają mniej, niż on, natenczas jest bogatym, jeżeli zaś posiadają tamci tyle, co i on sam, wtedy nie można go nazwać bogatym. A rzecz jasna, że gdyby wszyscy na świecie byli bogatymi, wtedyby właściwie bogatych nie było.

I wcale to nie jest dziwnem, że ludzie po wszystkie czasy z taką usilnością starali się o bogactwa; a jakkolwiek wolno przypuszczać, że to pragnienie, doszedłszy do namiętności w pewnem społeczeństwie,— ma się rozumieć w takiem, wśród jakiego my żyjemy, — mogłoby pociągnąć za sobą zgubne skutki, i chociaż surowe zasady moralności starają się, bez wielkiego powodzenia zresztą, umiarkować ten zapał, — to mimo to bez wahania możemy oświadczyć, że to pożądanie bogactw jest naturalnem, a nawet, że jest uprawnionem.

Zresztą potrzeba tu rozróżnić dwojakie pobudki, skłaniające człowieka do starania się o bogactwa czyli dobra, odpowiadające również dwojakiemu zapatrywaniu się na istotę bogactwa. Ludzie szukają bogactw (dóbr) zawsze, aby uczynić zadość swoim potrzebom, ale także w celu wyróżnienia się od drugich; z jednej strony popycha ich do tego *pragnienie dobrobytu*, a z drugiej znów *dążenie do nierówności*.

Usprawiedliwienie pierwszej z tych pobudek jest bardzo łatwe, człowiek bowiem ma prawo a nawet obowiązek szukać zaspokojenia wszystkich swych potrzeb, które zmierzają do zachowania i rozwoju jego bytu, w obszerniejszem znaczeniu tego słowa. Co jednak wypada zganić, to nie tyle samo ubieganie

się za bogactwem, ile raczej środki, jakich używamy celem pozyskiwania go, a przedewszystkiem użytek, jaki zeń robimy. Gdyby bogactwo na świecie było zawsze wynikiem pracy osobistej, a z drugiej strony, gdyby go używano zawsze na zapewnienie największego fizycznego, umysłowego i moralnego dobra człowieka — to w tym wypadku zawszeby ono miało skutek dobroczynny, a nie działałoby zgubnie; nigdyby go nie było za dużo i nigdy nawet pod dostatkiem.

Jest rzeczą, niestety — aż nadto pewną, że na całym świecie, a nawet w nowoczesnem społeczeństwie, tak dumnem ze swej nauki, a tak chełpiącem się swym zbytkiem, ogromna większość ludzi nie posiada nawet tego minimum dóbr, które się składa na chleb codzienny, a tembardziej tych wygód, których brak nie licuje z godnością natury ludzkiej. To też tylko nierówność rozdziału dóbr może wywołać złudzenie co do ich rzeczywistej obfitości. Gdyby można dokonać równego między wszystkich podziału, wszyscybyśmy byli zdumieni, widząc, jak skromna cząstka przypadłaby na każdego. Pozostaje nam tylko pocieszać się myślą, że skoro już my sami mamy trochę więcej od naszych ojców, to nasi synowie będą kiedyś jeszcze bogatszymi od nas. A jeżeli nadejdzie kiedyś dzień, w którym, jak się spodziewamy, dobra dostatecznie namnożone, wystarczą na obfite zaspokojenie potrzeb materyalnych całej ludzkości — wtedy czas będzie zatrzymać się na dotychczasowej drodze, a cała ludzkość będzie mogła na przyszłość poświęcić swe siły i swój czas na dążenie do dóbr wyższego rzędu.

Co się zaś tyczy drugiej pobudki, to jej usprawiedliwienie jest trudniejsze, a nawet możemy powiedzieć, że pragnienie nierówności wcale nie jest uczuciem dodatniem. Tymczasem jest prawdopodobnem, że jego usunięcie albo przynajmniej zmniejszenie, nie mogłoby być wolnem od wielkich strat cywilizacyjnych; bez tej pobudki źródło bogactw z pewnościąby szybko wyschło. Celem ich przysparzania wcale nie potrzeba opierać się wyłącznie na pierwszym z tych czynników, mianowicie na dążeniu do dobrobytu, zwłaszcza, że to dążenie bynajmniej nie jest tak wrodzonem sercu ludz-

kiemu, jak to powszechnie utrzymują, — dowodem tego są pierwotne społeczeństwa, żyjące w wiecznem ubóstwie, i nie starające się wcale wyjść z niego. Oto właśnie pragnienie nierówności czyli, co jest zupełnie to samo, chęć wyniesienia się nad poziom ogólny [1]), jest tym czynnikiem, co nieustannie podnieca leniwą naturę człowieka.

II.

Potrzeby człowieka.

Każda istota żyjąca ma swoje potrzeby — choćby tylko samą potrzebę wyżywienia, którą jednak koniecznie zaspokoić trzeba, aby dana istota mogła żyć i osiągnąć swój cel.

Im bardziej się rozwija życie, im więcej organizm staje się skomplikowanym i wrażliwym, tem więcej mnoży się potrzeb i tem one stają się różnorodniejsze; to też istota, stojąca na najwyższym szczeblu hierarchii, t. j. człowiek, ma ich najwięcej. A gdybyśmy mogli poznać istotę wyższą jeszcze od człowieka, to z pewnością odkrylibyśmy w niej nieskończoność potrzeb takich, o których my na tym świecie nawet pojęcia nie mamy.

Jeżeli, przechodząc od istot niższych do wyższych, znachodzimy tak znaczną różnicę potrzeb, to niemniej uderzająco występuje ona także, jeżeli od człowieka dzikiego wzniesiemy się do poziomu człowieka cywilizowanego. Gdyby trzeba było oznaczyć wybitny charakter tego stanu społecznego, który się tak ogólnikowo „cywilizacyą“ nazywa, to możeby go najdokładniej określała ilość potrzeb... Cywilizować jaki naród, nie co innego oznacza, jak tylko wzbudzać w nim

---

[1]) Autor angielski Mallock poświęcił całą książkę: *l'Égalité sociale* rozwinięciu tej idei, i określa ją, może cokolwiek przesadnie, w następujących słowach: „cała praca wytwórcza, przechodząca zaspokojenie potrzeb niezbędnych do życia, ma zawsze za pobudkę dążenie do nierówności społecznej“.

poczucie nowych potrzeb. Przykład ludów dzikich dostarcza nam na to tysiącznych dowodów.

Potrzeby całej ludzkości można porównać z potrzebami dziecka. Zaraz po urodzeniu nie potrzeba mu nic więcej, jak tylko trochę mleka i ciepłego okrycia. Powoli jednak pożywienie staje się coraz różnorodniejszem, rodzaje odzieży się mnożą, a także i zabawki stają się niezbędnemi; słowem z każdym rokiem powstają jakieś potrzeby, i rodzi się coraz to nowsze pragnienie. — Tak samo rzecz się ma i z nami, weźmy n. p. tysiące potrzeb zbytku, hygieny, czystości, wykształcenia, podróży i korespondencyi — wielu z nich nasi przodkowie nie znali, a możemy być pewni, że nasi następcy będą ich mieli jeszcze więcej. Im więcej widzimy, tem więcej wiadomości nabywamy, tem więcej obudza się nasza ciekawość, i o tyle też więcej rosną i mnożą się nasze pragnienia. Każdy wynalazek, każdy pomysł rodzi na tym świecie odrazu całe masy nowych potrzeb. Bez wątpienia są pośród nich i takie, które się nie mogą dłużej utrzymać, lecz potrwawszy przez kilka pokoleń, a może nawet przez parę dni tylko, przestają istnieć, jak te listki, spadające z drzewa na ziemię, bądź dla tego, że kaprys, który, je kiedyś zrodził, dziś je znów odrzuca, bądź też dla tego, że nowa potrzeba, nie mogąc się z dawną pogodzić, musi tamtą wyprzeć. Lecz biorąc rzecz ogólnie, widzimy, że liczba potrzeb znikających daleką jest od zrównoważenia liczby potrzeb nowo powstających, i tak samo, jak pokolenia ludzkie, ilość ich wzrasta z pokolenia na pokolenie.

Pewna szkoła moralistów, sięgająca bardzo odległej starożytności, albowiem jeszcze Dyogenesa liczy do swych założycieli, uważa to coraz szybsze mnożenie się bez końca potrzeb ludzkich za wielką klęskę, nad usunięciem której powinnaby pracować ekonomia polityczna. Jednak co do nas, to widzimy w tym rozwoju potrzeb, nic innego, jak tylko normalny rozwój istoty ludzkiej; to też sądzimy, że pracować nad zatamowaniem pierwszego, znaczy tyle co przytłumiać drugi, a znosząc potrzeby, trzebaby w następstwie stłumić i rozwój ducha.

Rzecz prosta, że pośród tych nowych potrzeb, bezustannie wzrastających w społeczeństwach ludzkich, jest wielka liczba czczych, a nawet wprost zgubnych, które dalekie od sprzyjania rozwojowi człowieka, szkodzą mu tylko, jak n. p. pociąg do alkoholicznych napojów. Musimy jednakowoż zaznaczyć, że mimo najusilniejszej pracy nad wykorzenieniem jakiejkolwiek potrzeby, nie znaleziono lepszego środka nad zastąpienie jej inną potrzebą [1]). A można spodziewać się, że kiedyś człowiek, lepiej poznawszy swoje cele, nie mając na myśli innych pragnień, jak tylko te, które odpowiadają ludzkiej naturze, będzie mógł oddać im się zupełnie, i bez wyrzutów pracować nad ich zaspokojeniem, nie myśląc już o innych.

Przypuśćmy nawet, że zasada: *contentus sua sorte* mogłaby być dewizą człowieka mądrego, to jednak nigdy nie może jako taka służyć całemu społeczeństwu. Biada narodom, zadowalniającym się byle czem i swemi pragnieniami, nie sięgającym po za ciasne koło otaczającego ich horyzontu, którym wystarcza do życia odrobina dojrzałych owoców i lada kąt przy murze do przespania się w cieniu słońca! Albowiem niezadługo znikną z tej ziemi [2]), z darów której nie umieli należycie korzystać.

Łatwo zrozumieć, dlaczego ludzkie potrzeby dążą do ustawicznego rozwoju. Oto najpierw zaczyna się jakaś potrzeba budzić u jednego człowieka, albo u niewielkiej liczby osób — naturalnie u takich, które mając zapewniony dobrobyt, nietylko są w stanie zaspokoić obficie potrzeby niezbędne do

---

[1]) W celu zwalczania alkoholizmu n. p. nic lepszego nie umiały wynaleść towarzystwa wstrzemięźliwości nad zakładanie sklepów, w których usiłują alkoholistów przyzwyczaić do pijania herbaty lub kawy.

[2]) Szkoła, o której powyżej wspomnieliśmy, wychodzi z tego założenia, że im mniej potrzeb będzie miał jakiś naród, tem więcej czasu poświęci czynnościom umysłowym. Tymczasem doświadczenie uczy, że rzecz się ma wprost przeciwnie, że, im mniej jakie ludy mają potrzeb, tem są bardziej leniwe i niewykształcone i ulegają najniższym żądzom.

życia, lecz, które zwracają swe oczy ku nowym horyzontom. Ponieważ człowiek jest istotą naśladującą, a *naśladowanie* wywołuje także potrzebę, która podobnie do epidemii, przechodzi z jednego na drugiego, zaraz ktoś drugi zaczyna odczuwać tę nową potrzebę, a przynajmniej tak mu się zdaje i wymyśla sobie środki do jej zaspokojenia. I w miarę tego jak postęp przemysłu łatwiej i taniej pozwala nam dostać tych rzeczy, których na razie pragniemy, tem szybciej powiększa się liczba z początku naśladowców i to, co było kaprysem i zbytkiem wyłącznie ludzi majętnych, niebawem staje się potrzebą najniższych warstw społecznych.

Z drugiej znów strony potrzeby nietylko się rozszerzają, lecz także wnikają w głąb natury ludzkiej. Człowiek bowiem nie tylko jest istotą naśladującą, lecz także i *przyzwyczaja* się łatwo, a pragnienie raz zaspokojone, i zaspakajane regularnie, powoli się utrwala i zakorzenia, tak, że potem nie można się go pozbyć, bez głębokiego wstrząśnienia, i w końcu staje się, jak słusznie powiada znane przysłowie, drugą naturą. Był czas, kiedy robotnicy nie nosili ani bielizny, ani obuwia, kiedy nie pijali kawy, nie palili tytoniu, nie jedli mięsa, ani chleba białego; dzisiaj tymczasem, potrzeby te do tego stopnia się przyjęły, że gdyby robotnik nie był w stanie ich zaspokoić i gdyby znalazł się nagle w podobnych warunkach, w jakich żyli jemu równi za czasów Ludwika Świętego lub Henryka IV, to bez wątpienia musiałby zginąć.

Jeżeli w końcu dodamy, że przyzwyczajenie, przechodząc przez szereg pokoleń, utrwala się przez dziedziczność, że dana potrzeba coraz bardziej się potęguje i staje niezbędną, —to zrozumiemy wtedy, do jak despotycznej władzy dojść może z biegiem czasu każda potrzeba, która z początku zdawała się być błahą i mało znaczącą.

Niemożliwem jest podanie wyczerpującej klasyfikacyi potrzeb człowieka. W każdym razie jednak większą ich część można sprowadzić do następujących kategoryj: *pożywienie*, *pomieszkanie* (sprzęty domowe. światło, opał), *odzież i strój*. Pierwsze dwie są wspólne ludziom i zwierzętom, następne zaś dwie są tylko człowiekowi właściwe, a nawet strój jest

dlań tak naturalną potrzebą, jak wyżywienie i pomieszkanie. Należałoby go nawet położyć przed odzieżą, gdyż, według opowiadań Teofila Gautier, Papuasi chodzą nago i żywią się robakami ziemnemi, a szyję i uszy zdobią kolorowemi jagodami, ciało zaś pokrywają malowaniem.

Prawie wszystkie dobra, w jakimkolwiek kraju istniejące, nie mają innej racyi bytu, jak tylko zaspokoić potrzeby materyalne, a nadewszystko potrzebę wyżywienia, i to nawet w społeczeństwach doszłych do wysokiego stopnia zamożności, które nie potrzebują się troszczyć o pierwsze warunki bytu [1]). Atoli oświata, poczucie piękna, potrzeba pisemnego znoszenia się, przenoszenia się z miejsca na miejsce, otrzymywania świeżych wiadomości, chęć rozrywki, zwłaszcza zaś chęć prowadzenia wojen, — powoduje również zużycie pewnej ilości dóbr i to dość znacznej, pod postacią bibliotek, telegrafów, telefonów, powozów, tramwajów, omnibusów, dzienników, teatrów, obrazów, muzyki, armat i pancerników.

III.

Definicya dobra.

Słowa „*bogactwo*“ używają zazwyczaj na oznaczenie położenia człowieka, posiadającego wiele dóbr. W języku ekonomicznym używa się go także na oznaczenie samychże dóbr, wziętych przedmiotowo i zupełnie niezależnie od idei ilości lub obfitości. W tem więc rozumieniu, kawałek chleba, szpilka, jedna sztuka monety, będzie dla ekonomisty „*dobrem*“ zarówno, jak posiadłość ziemska, zbiór brylantów albo obligacya renty państwowej.

---

[1]) Przypuśćmy, że ilość żywności wypadającej dziennie na każdego Francuza, przedstawia wartość pół franka, co z pewnością nie jest przesadzonem, to razem wziąwszy cały naród francuzki spożywałby rocznie za sumę czternastu miliardów franków, czyli więcej niż połowę ogólnej produkcyi rocznej całej Francyi.

Aby jakąś rzecz można poczytywać za *dobro*, to jako pierwszy tego warunek musi ona być zdolną do zaspokojenia jakiejśkolwiek potrzeby, czyli innemi słowy potrzeba, *abyśmy ją przynajmniej uważali za użyteczną*, gdyż użyteczność nie jest niczem innem, jak tylko uznanym przez nas stosunkiem, istniejącym między pewnemi rzeczami a naszemi potrzebami.

Być może, że sąd, jaki sobie o użyteczności rzeczy w ten sposób wyrobimy, będzie zupełnie błędnym. Relikwie mniej lub więcej autentyczne, były przez wiele wieków i są jeszcze dziś w niektórych krajach przedmiotami niezrównanej wartości, z powodu wielkiej wagi, jaką się do ich posiadania przywiązuje. Jest wiele wód mineralnych i wyrobów farmaceutycznych, bardzo nawet poszukiwanych, choć ich własności lecznicze nie są jeszcze zbadane. Mało na tem zależy, czy są rzeczywiście użyteczne, czy też nie, wystarczy, jeżeli je za takie uważamy.

Lecz zazwyczaj nasz sąd nie jest zupełnie mylny. Jeżeli sądzimy, że jakaś rzecz jest użyteczną, to dlatego, że mamy pewną racyę uważać ją za taką, tj. że już wykryliśmy jakiś związek pomiędzy jej fizycznemi własnościami a jedną z naszych potrzeb. Jeżeli chleb jest pożyteczny, to z jednej strony dlatego, że mamy potrzebę żywienia się, a z drugiej znów, że zboże zawiera właśnie jeden ze składników w szczególniejszy sposób nadających się do odżywiania. Dyament jest bardzo poszukiwany dlatego, iż jest rzeczą udowodnioną, że człowiek, a zresztą także i niektóre zwierzęta, z przyjemnością przypatrują się temu, błyszczy, a nadto ponieważ dyament, z powodu mocy załamywania światła w wyższym stopniu, niż wszystkie inne ciała, posiada własność rzucania niezrównanych blasków.

Zadaniem nauki jest wyświecać nasze sądy i pouczać nas o własnościach ciał i prawach natury. I tak dzięki odkryciom i wynalazkom, dziedzictwo ludzkości z dniem każdym się powiększa przez jakąś nową zdobycz: jużto, gdy przemysł fabryczny, z gliny tworzącej błoto po ulicach, wytwarza lśniący metal, trwały i nader lekki, zwany „aluminium“, już też, gdy tenże cuchnące pozostałości węgla

zmienia na farby, wspanialsze od purpury z Tyru. W każdym razie jeszcze bardzo niewielkim jest szereg przedmiotów, które umiemy spożytkować, w stosunku do niezmiernie wielkiej cyfry tych, których nie umiemy zużytkować. Na 140.000 rodzajów znanych z królestwa roślin, zaledwie 300 umiała spożytkować kultura. Na setki tysięcy rodzajów, które liczy królestwo zwierząt, znajdzie się z biedą 200 takich, z których ciągniemy jakieś korzyści; co zaś do ciał nieorganicznych, to stosunek ten wcale nie jest korzystniejszy. Lecz z każdym dniem suma naszych dóbr wzrasta, a można się spodziewać, że skoro nauka dojdzie do swego szczytu, wtedy na całym tym olbrzymim świecie nie będzie ani odrobiny ziela, ani ziarnka piasku, któregobyśmy nie umieli w jakikolwiek sposób spożytkować.

Aby można jakąś rzecz zaliczyć do rzędu dóbr, nie wystarczy tylko umieć ją zużytkować, ale potrzeba także *znajdować się w możności użytkowania jej*. Mówi się wprawdzie, że umieć znaczy tyle, co módz, — ale to nie zawsze jest prawdą; nasza wiedza może pozostać w stanie czysto teoretycznym tj. nie dostarczyć nam środków praktycznych do osiągnięcia naszych celów. Wiemy przecież, że dyament jest skrystalizowanym węglem, mimo to nie udało nam się jeszcze dyamentów fabrykować z węgla; wiemy także, że w Chinach są bardzo obfite kopalnie węgla kamiennego, dalej, że na równinie Afrykańskiej, jest wiele żyznej i urodzajnej ziemi, jednak dla różnych powodów, ani jednem ani drugą nie możemy rozporządzać. Skarbów tych też za dobre uważać nie możemy, przynajmniej na razie, podobnie, jak nie byłyby niemi także urodzajne ziemie i drogie kruszce odkryte na Marsie lub Wenerze za pomocą teleskopu lub analizy spektralnej.

Pierwsze dwa przymioty „dobra“, o których dopieroco mówiliśmy, odpadają tem samem z dyskusyi. Następne dwa jednak od dawna stały się w nauce przedmiotem słynnych kontrowersyj; szczęściem tylko, że to jeszcze pytanie nie rozstrzygnięte, czy należą one wogóle do definicyi dobra.

Oto pierwszem z nich jest pytanie: czy definicya dobra koniecznie musi zawierać pojęcie *materyi?* Dawniej wszyscy ekonomiści i jeszcze dziś wielka ich liczba, uważa niniejszy warunek za niezbędny i zapewne w potocznej mowie, słowo „dobro“ wywołuje koniecznie pojęcie jakiejś rzeczy, *res*, podpadającej pod zmysły nasze, którą można dotykać, liczyć, zważyć. Nazywają wprawdzie dobrami cnotę, talent, umiejętność pracy, atoli tylko w przenośnem znaczeniu.

Sądzimy jednak, wprawdzie nie bez pewnego wahania, że wspomniany warunek wcale nie jest niezbędnym. Nie byłoby zapewne stosownem, w języku naukowym nazywać cnotę albo talenta dobrami, ale zupełnie będzie poprawnem wyrażenie, *że każda czynność człowieka, która z natury swej jest zdolną zadośćuczynić pragnieniom drugiego człowieka,* i przysporzyć mu pewnych korzyści, wkracza przez to w sferę ekonomii i stanowi dobro. Porada lekarska jest dla człowieka z tej samej przyczyny dobrem, co i dawka zaordynowanej mu morfiny, choć może ani jedno ani drugie nie będzie dlań środkiem do wyzdrowienia; lekcye wykładane przez profesora uczniom są dobrem na tej samej podstawie, co i książka przez tegoż wydana i będąca na składzie w księgarni; chociaż możliwem jest, że ani z lekcyj, ani z książki żadnej nie odniosą korzyści. Usługi, jakich żądamy od drugich, nie mniej przyczyniają się do naszego dobrobytu i nie pośledniejsze miejsce zajmują w naszem życiu, jak rzeczy, których używamy.

Nie chcąc jednak zadawać gwałtu przyjętemu zwyczajowi, możnaby nazwę „dóbr“ zachować dla rzeczy, w właściwem słowa znaczeniu, *usługami* po prostu zaś nazywać wszelkie czynności człowieka, zdolne do zadosyćuczynienia potrzebom innych ludzi, a już nie zaliczać ich do rzędu pojęć materyalnych.

Pytanie drugie: czy definicya dobra koniecznie musi zawierać pojęcie *wartości?*

Warunek ten wydaje nam się również niekoniecznym. Pojęcie wartości nie jest koniecznie związane z pojęciem dobra, albowiem z pewnością ziemia urodzajna, pogodne niebo,

rozgałęziona sieć rzek do żeglugi zdolnych, zabezpieczone i obszerne porty, są pierwszemi dobrami kraju, gdyż są niezbędnemi warunkami jego rozwoju, — mimo to nie posiadają one żadnej wartości zamiennej. Przypuśćmy, że wskutek jakiegoś szczęśliwego cudu wytwory przemysłu ludzkiego takby wzrosły, i tak byłyby obfite, jak woda w źródłach lub piasek w rzekach, w takim razie nastąpiłoby nietylko pomnożenie dóbr, ale nawet ich nadmiar. Mimo tego jednak, w danym wypadku, wszystkie dobra z powodu nadmiernej obfitości straciłyby całą swoją wartość; nie wartałyby może więcej, jak ta woda w źródłach lub piasek w rzekach, z któremi je porównaliśmy.

Prawda, że w mowie codziennej słowo „dobro“ mieści zawsze w sobie ideę wartości. Pochodzi to zaś ztąd, że ludzie żyjący w społeczeństwie oszacowują rzeczy przez siebie posiadane, nie podług ilości potrzeb, którym one czynią zadość, lecz podług sumy pieniężnej, jaką mogą za nie dostać — nie podług ich użyteczności, lecz stosownie do ich siły kupna. Zamożność n. p. właściciela winnic nie zależy od tego, czy zbiór jest mniej lub więcej obfity, ale od tego, czy ten zbiór ma mniejszą czy też większą wartość.

Gdyby zatem nikt więcej oprócz niego nie zebrał, to wtedy bogactwo jego doszłoby do maximum; jeżeli przeciwnie wino pojawi się w takiej obfitości, jak woda w źródle, to gotów jeszcze wielkie szkody ponieść. Dlatego gdyby można sobie wyobrazić, jakto uczyniliśmy, że ilość dóbr aż do nadmiaru się zwiększy, to jasnem jest, że w takiej krainie nie byłoby wcale bogatych, albowiem wszyscy ludzie byliby równi, wobec nieistniejącej wartości rzeczy, tak samo, jak Rothschild i żebrak równymi są dziś sobie, o ile korzystają ze światła słonecznego.

Ponieważ idea wartości odmienną jest od idei „dobra“, przeto z kolei musimy się nią zająć.

ROZDZIAŁ II.

Wartość.

I.

Co to jest wartość?

Skoro wiemy, że jakaś rzecz jest zdolna zaspokoić jakąś naszą potrzebę, wtedy staje się temsamem przedmiotem naszych pragnień.

Lecz nawet z pośród rzeczy, które z natury swej mogą nam świadczyć pewne usługi, nie wszystkich w równym stopniu pożądamy. Nie kładziemy też wszystkich rzeczy bez różnicy w jedną kategoryę, lecz tworzymy wśród nich pewien rodzaj hierarchii. Niektóre cenimy sobie bardzo wysoko, o niektóre znów nie wiele dbamy. Jednem słowem mamy *większe i mniejsze upodobania.*

Otóż porządek tych upodobań, ten nierówny stopień ważności, jaki różnym rzeczom przypisujemy, jest właśnie tem, co wyraża słowo *wartość.* Powiedzieć, że złoto więcej warte niż srebro, lub — ogólniej mówiąc — że ma wielką wartość, jest to poprostu stwierdzić fakt, że dla tej lub owej przyczyny (a niebawem przekonamy się dla jakiej) pożądamy więcej złota niż srebra, lub jakiegokolwiek innego przedmiotu. Wartość, która jest przewodnią ideą całej nauki ekonomii, nie oznacza tedy nic więcej, jak tylko to samo w sobie bardzo proste zjawisko, że jakaś rzecz jest mniej lub więcej pożądaną. I dlatego też, jeżeliby podobne słowo istniało, to wartość nazwalibyśmy po prostu *pożądalnością.*

Z tego pojęcia, tak prostego na pozór, wypływają pewne, bardzo ważne następstwa.

§ 1.

Ponieważ źródłem wartości jest pożądanie, przeto zależną jest ona bardziej od nas, aniżeli od przedmiotu, czyli, jak

się dziś wyrażają, jest bardziej *subjektywną*, niż objektywną. Wartość wcale nie jest związaną z danym przedmiotem, tak jakby jakiś przymiot zmysłowy, lecz rodzi się dopiero z chwilą obudzenia się naszego pożądania, a znika wtedy, gdy to pożądanie gaśnie. I z niem też w parze przechodzi z przedmiotu na przedmiot, zatrzymując się tam tylko, gdzie i ono spoczęło.

Bezwątpienia, jeżeli jakieś dobro należy do liczby tych, które zaspakajają stałe potrzeby ludzkości, jak np. zboże lub żelazo, wtedy będzie ono mogło zatrzymać swą wartość i wieki całe, lecz jeżeli to dobro jest z rzędu tych, co zależne od zmiennych potrzeb ludzi, lada kaprysem mody lub naukowem odkryciem mogą być codzień wyrugowane, to wartość ich będzie tak nietrwała i przemijająca, jak potrzeba, która je stworzyła. Stroje, których się już nie nosi, książki których się więcej nie czyta, obrazy, na które już nikt nie patrzy, lekarstwa, które straciły swą moc leczniczą... jakżeż długi byłby zresztą szereg tych dóbr, które już utraciły swą wartość! Dopiero wtedy, kiedy przypadkiem żądza jakiegoś zbieracza, (z pewnością najsilniejsza ze wszystkich) zatrzyma się na tych martwych już dobrach, wtedy nabierają one nowego życia, a przez to odzyskują także wartość, i to o wiele wyższą może od tej, jaką posiadały za swego pierwotnego istnienia.

Nietylko jednak z biegiem czasu zmienia się wartość, ale także przechodząc z kraju do kraju, a nawet gdy dobro przechodzi z rąk jednej osoby do drugiej. Czyż nie znane nam przysłowie, że ani o upodobaniach, ani o barwach nie można dysputować? My dodajmy, że i o wartościach, albowiem i one również zależą od upodobania każdej jednostki.

To jeszcze nie wszystko! Wartość bowiem rzeczy może się zmieniać nawet w mniemaniu tego samego indywiduum, z powodu różnych okoliczności. Głodny na pierwszem miejscu w porządku swych pragnień zamieści pożywienie, i tak jak Ezaw, gotów jest całe swe mienie oddać w zamian za miskę

soczewicy,— ale, gdy już raz się nasyci, za to samo nie dałby więcej grosza [1]).

Zadawalniając się cyframi przeciętnemi, a pomijając przypadki czysto indywidualne, moglibyśmy ułożyć porządek, w jakim dobra po sobie następują, oparty na upodobaniach ludzi w pewnym kraju i w pewnym oznaczonym zasie, w którymby się mieściły wszystkie dobra w następstwie swej wartości, począwszy od dyamentu, którego gram wart jest parę milionów franków, a skończywszy na wodzie, której beczka kosztuje ledwie kilka sztuk drobnej monety. Otóż w tej właśnie formie należy sobie przedstawiać ideę wartości; z pewnością podobne wykazy byłyby bardzo pouczające, i bardzoby nas mogły oświecić o obyczajach i pojęciach różnych ras i różnych czasów.

§ 2.

Z naszej definicyi wynika jeszcze, że pojęcie wartości jest zupełnie względne, polega bowiem na przekładaniu jednej rzeczy nad drugą, przypuszcza więc koniecznie *porównywanie* dwóch rzeczy ze sobą. Jest to pojęcie tego samego rodzaju, co pojęcie wielkości lub ciężaru. Powiedzieć, że jakaś rzecz

---

[1]) Pewna wątpliwość nasuwa się jednak pod uwagę. Jeżeli wartość ma charakter tak czysto podmiotowy i indywidualny, to mogłoby się wydawać, *że każda rzecz powinnaby mieć tyle odmiennych wartości, ilu jest osobników?* Tymczasem bynajmniej tak nie jest, zboże sprzedaje się na targu wszystkim ludziom po równej cenie, głodny nie więcej płaci za nie, niż syty. A tak przyzwyczailiśmy się do tego zjawiska, że takowe wydaje nam się aż nadto naturalne. — Jest to wprawdzie trochę dziwnem, zjawiskiem lecz tłomaczy się konkurencyą, jaka się wywiązuje na tymsamym targu między sprzedającymi a kupującymi; a ta sprawia, że chociażby niewiedzieć jak kto pragnął jakiejś rzeczy, to mimo to nie zapłaci za nią więcej, niż jego sąsiad. Wartość zatem worka zboża nie zależy jedynie od stopnia pożądania go przez osobę, która ten worek chce nabyć, ale od ogólnego pożądania, jakie wszystkie worki zboża, wywiezione na targ, wywołają u wszystkich osób na targu obecnych.

ma wartość, byłoby to jeszcze niezrozumiałem, gdyby się nie dodało, że ona warta *mniej* lub *więcej*, niż inne. A kiedy się mówi, używając zwykłego wyrażenia, że jakiś przedmiot np. dyament ma „wielką wartość," nie dodając nic więcej, to jeszcze temsamem bynajmniej nie wyrażamy, iżby pojęcie rzeczy, z którą dany przedmiot się porównywa, wcale nie istniało. Rozumiemy tylko przez to, że *ów przedmiot ma wielką wartość w stosunku do jednostki monetarnej*, a w tym wypadku porównywamy go z tym przedmiotem, który się nazywa sztuką monety, albo też chcemy powiedzieć, że zajmuje on wysokie stanowisko wśród ogółu dóbr, i porównywamy go przez to ze wszystkimi innemi dobrami, zbiorowo wziętemi.

§ 3.

Wreszcie nasza definicya wskazuje, że nigdy nie można mówić o wznoszeniu się lub spadaniu *wszystkich* wartości odrazu. Podobne twierdzenie byłoby wprost śmiesznem. Skoro bowiem wartość niczem innem nie jest, jak tylko porządkiem i stosunkiem jednych dóbr do drugich, to jakżeby można wyobrazić sobie, aby naraz wszystkie w górę poszły lub spadły. *Aby jedne mogły o pewien stopień w górę postąpić* potrzeba, by zajęły miejsce drugich, które temsamem *spaść* muszą. Zupełnie taksamo, jak gdyby kandydaci, przypuszczeni do szkoły politechnicznej i uklasyfikowani podług swych zasług, wszyscy naraz zażądali, aby każdego z nich przypuścić do najwyższego stopnia [1]).

II.

Jaka jest przyczyna wartości?

Dopiero co stwierdziliśmy, że rzeczy mają mniejszą lub większą wartość, stosownie do tego, czy ich mniej czy więcej

---

[1]) Jednakowoż, jak się niebawem przekonamy, ogólna zwyżka lub zniżka *cen* jest przeciwnie pojęciem nader zrozumiałem, i zdarza

pożądamy, i w ogóle, że porządek wartości wcale nie różni się od porządku naszych *upodobań*.

Ale to nie wystarcza; zechciejmy dalej badać i wyszukiwać przyczyny istnienia owych pożądań i upodobań. Dla jakiej racyi przekładamy tę rzecz nad ową? Gdy zdołamy odpowiedzieć na to pytanie, to jużeśmy doszli przyczyny, a zarazem wykryli istotny czynnik pojęcia „wartości.“ Lecz niestety — właśnie wyświecenie tej kwestyi, należy do najmozolniejszych zadań ekonomii politycznej.

Jeżeli chodzi o dwa przedmioty, odpowiadające tejsamej potrzebie, to w tym wypadku nie trudno o odpowiedź; albowiem będziemy woleli ten, który dla swej jakości wyda nam się lepszym do zadosyćuczynienia naszej potrzebie, czyli innemi słowy — przedmiot użyteczniejszy. Z dwóch owoców wybierzemy bardziej soczysty, z dwóch owiec tłuściejszą, z dwóch mieszkań to, które urządzono z większym komfortem.

Jeżeli zaś z dwóch przedmiotów jeden i drugi w równym stopniu zadość czynią tejżesamej potrzebie, wtedy wartość ich musi być równa.

Użyteczność zatem występuje wobec tej hypotezy, jako racya istnienia naszych upodobań, a temsamem jako podstawa wartości.

Ale teraz weźmy pod uwagę dwa przedmioty, odpowiadające *różnym* potrzebom, np. chleb i kapelusz, gdzie tu znaleść miarę naszych upodobań? Nić przewodnia już nam znika, bo w istocie chodzi teraz o porównanie nie dwóch przedmiotów, ale dwóch *potrzeb*, podczas gdy potrzeby nasze wspólnej miary nie mają.

Powie ktoś może, że nasze potrzeby mogą być wybornie uporządkowane, z punktu widzenia rozumu, moralności, hygieny, że zresztą przenosimy, a raczej powinniśmy przenosić te przedmioty ponad inne, które nam są bardziej niezbędne, że tu właśnie zachodzi przypadek, zaliczania

---

się nawet bardzo często. Jeżeli bowiem wartość pieniądza się zmienia, wówczas, ceny w pieniądzach wyrażane bądź się podnoszą, bądź też spadają.

w potocznej mowie, pewnego przedmiotu, że tenże należy do kategoryi przedmiotów potrzebnych, pożytecznych, przyjemnych albo zbytkowych.

W tym wypadku użyteczność występowałaby jeszcze, jako przyczyna naszych upodobań i podstawa wartości, używając naturalnie tego słowa w pospolitem jego znaczeniu, mianowicie, oznaczając przezeń własność rzeczy, wskutek której czyni ona zadość jakiejś potrzebie w sposób mniej lub więcej naturalny. Powiemy więc, że chleb więcej jest wart od kapelusza, albowiem bardziej jest człowiekowi potrzebne pożywienie, niż nakrycie głowy.

Lecz już sam wniosek taki świadczy, jak niedorzecznem jest podobne rozumowanie. Przecież każdy wie o tem, że chleb nie jest wart więcej od kapelusza; owszem rzecz się ma wprost przeciwnie. Wystarczy rzucić okiem choćby powierzchownie tylko na wszystkie rzeczy, z których się składają nasze majątki, ażeby się przekonać, że ich wartość bardzo często wcale nie stoi w prostym stosunku — owszem o wiele częściej w odwrotnym — do ich użyteczności. Jakieżto więc przedmioty zajmują ostatnie szczeble w skali wartości? Zboże, węgiel, żelazo, woda, — to znaczy właśnie przedmioty, odpowiadające najniezbędniejszym potrzebom ludzi, bez których nie mogliby się wcale obejść. A jakież znów dobra najwyżej stoją na skali wartości? Złoto, dyamenty, koronki, może jaki kawałek fajansu, na którym właśnie zbywa w pewnym zbiorze, lub rzadkie wydanie przestarzałej książki, której nikt nigdy nie czytał i nigdy czytać nie będzie — a więc przedmioty służące tylko do zaspokojenia naszej ciekawości, lub które jedynie naszej próżności schlebiają [1]).

[1]) Można zarzucić, że gdyby ktoś zamiast porównać *jeden* dyament z *jednym* korcem zboża, uważając je jako jednostki, porównywał *dyamenty* ze *zbożem* w pojęciu zbiorowem, to doszedłby do różnych konkluzyj. Nie ulega wątpliwości że żadne indywiduum nie wahałoby się przełożyć dyament nad korzec zboża, jednak rodzaj ludzki, albo nawet kraj jakiś w razie potrzeby z pewnościąby przeniósł zboże nad dyamenty. W istocie

Nie można bynajmniej twierdzić, że, jeżeli rzeczy taki obrót wzięły, to tylko dlatego, że ludzie są niemądrzy i że, gdyby byli mądrymi, wtedy ich upodobania byłyby rozumne, a porządek wartości zgodnym byłby z porządkiem użyteczności. Najpierw na nic się tu nie przyda dochodzić, jakiemi powinny być pod tym względem upodobania ludzi — o wartości bowiem rzeczy stanowi ta okoliczność, że ich ludzie na razie pożądają, a bynajmniej nie to, że ich pożądać powinni. Zresztą zarzut ten nie jest uzasadniony. Zapewne można sądzić, że ludzie nie mają słuszności, przypisując nieraz zbyt wielką wagę bagatelkom, ale nikt nie może twierdzić, iż błądzą, gdy żadnej wartości nie przywiązują do posiadania kubka wody. Choćby ziemię sami mędrcy zamieszkiwali, to mimo tego woda nie zyskałaby centa na wartości.

Lecz wróćmy do naszego pytania i szukajmy innej odpowiedzi. Weźmy chleb i odzież. Co za przyczyna może nas skłonić do przenoszenia jednego nad drugie? Nie zastanawiając się nad tem długo, odpowiemy, że to będzie zależeć od okoliczności. Potrzeby ludzkie nie dadzą się ostatecznie w tak niezmiennym ułożyć porządku, jak siedm kolorów w pryzmacie. One są ustawicznie w ruchu i raz jedna, to znowu druga bierze górę. Jeżeli jesteśmy głodni, to będziemy woleli chleb, a znów gdy będziemy syci, ale przytem marzli od zimna, wtedy oświadczymy się za okryciem. A jeżeli nam nie dolega ani głód, ani zimno, to myśląc bardziej o przyszłości niż o teraźniejszości, w końcu tak sobie pomyślimy: jeżeli nasza spiżarnia jest dobrze zaopatrzona, to trzeba wybrać ubranie, a jeżeli naszej garderobie na niczem nie zbywa, to odpowiednem będzie zaopatrzyć się w chleb.

---

też całkowita wartość zboża, które obiega w świecie, jest o wiele wyższą, od wartości wszystkich dyamentów. To tylko dowodzi, że tak dla wartości, jak i dla oceny dóbr istnieje punkt widzenia ogólno-społeczny, który różnym jest od punktu widzenia indywidualnego. Lecz punkt widzenia indywidualny nas jedynie obchodzi, albowiem kupujemy i sprzedajemy tylko oznaczone przedmioty; całkowita zaś wartość zboża albo wszystkich innych istniejących na świecie towarów ma znaczenie tylko dla statystyka.

Zawsze więc, z dwóch rzeczy skądinąd równych, wybierzemy tę, *w którą mniej jesteśmy zaopatrzeni.*

Ale na cóż te rozumowania? Rzecz przecież prosta, żadna z naszych potrzeb nie jest nieograniczoną, a że skoro już posiadamy dostateczną ilość rzeczy na jej zaspokojenie, to nie mamy powodu do pragnienia jeszcze więcej. Na cóż więcej, niż potrzeba? Nie wiedzielibyśmy, co z tem robić [1]). Jeżeli podstawą wartości, jakeśmy to wykazali, jest pożądanie, to nie może wartość tam istnieć, gdzie ono jest zaspokojone, czyli gdzie go nie ma. Każda potrzeba ludzka wymaga pewnej ilości dóbr, *ale nie ilości nieskończonej, bo jest zawsze pewna granica,* dopóki się do niej nie dotarło, tak długo pragnienie istnieje, jakkolwiek coraz bardziej słabnie w miarę, jak się do niej zbliżamy. Wraz z niem istnieje i maleje także wartość. Ale skoro się już raz tę granicę osiągło, wtedy pragnienie nasze gaśnie i wartość znika natychmiast.

Ograniczenie w ilości, lub jeżeli kto chce *rzadkość*, występuje więc po użyteczności i obok niej, jako przyczyna naszych upodobań. A jeżeli rzadkość tak ważne zajmuje miejsce w naszym sądzie o rzeczach, to nie trzeba się temu wcale dziwić, ani w niej widzieć skutek jakiegoś dziwnego kaprysu, n. p. jakiejś manii zbieracza, który poszukuje każdy rzadki przedmiot, jedynie, aby sobie powiedzieć, że tylko on sam go posiada. Przenigdy — jeżeli bowiem ograniczenie w ilości stanowi racyę bytu wartości, to dla tego, że ono wypływa z natury fizycznej i moralnej człowieka i samo

[1]) Ale może kto powie, że zawsze znajdziemy kogoś, komu by można daną rzecz *odstąpić*, wskutek czego też nie spotykamy często ludzi odmawiających przyjęcia jakichś dóbr z przyczyny, że już tych dóbr mają dosyć. Owszem panuje przekonanie, że dobrze wszystko brać. — Zapewne, ale tylko w tym wypadku, gdy innym ludziom *brakuje* danego dobra, którego my właśnie posiadamy za wiele, a następnie, gdy wiemy, że będziemy je mogli pozbyć z korzyścią dla siebie. Lecz skoro danego dobra jest taka ilość, że wszyscy są w nie dostatecznie zaopatrzeni, to jasnem, że niktby go nie chciał ani dla siebie, nie wiedząc, co ma z tem zrobić, ani dla drugich, nie mogąc nań znaleść nabywców.

ma podstawę swą w tem prawie fizyologicznem i psychologicznem, które sprawia, że każda potrzeba jest ograniczoną.

Jednak ograniczenie w ilości nie jest samo przez się zjawiskiem bezwzględnem, bo nie ma z pewnością rzeczy na świecie wśród tworów natury, a tembardziej wśród wytworów przemysłu ludzkiego, której ilość byłaby tak ograniczoną, żeby choć z trudem już wzrastać nie mogła. Kiedy się mówi, że dyamenty są rzadkie, nie ma to znaczyć, że natura wydała je w pewnej, ściśle oznaczonej ilości, tylko, że potrzeba wiele trudu i szczęścia, aby je znaleść i że istniejąca ilość wzrastać może tylko z wielkim mozołem. Mówiąc o chronometrach, że są rzadkie, nie daje się przez to do zrozumienia, że tylko ich pewna oznaczona liczba na świecie istnieje, owszem można je wyrabiać w nieskończoność, lecz wyrób dobrego chronometru wymaga znacznej ilości czasu, i szczególnej zręczności, to też ilość ich jest ograniczoną przez pracę i czas [1]). Ograniczenie w ilości czyli rzadkość jakiejś rzeczy łączy się zatem ściśle z mniejszą, względnie większą trudnością, potrzebną do jej pozyskania.

Nie trudno nam teraz wytłomaczyć, dlaczego powietrze i woda nie mają wartości. Przecież są to rzeczy nader użyteczne? Bez wątpienia w tem znaczeniu, o ile one odpowiadają naszym najgłówniejszym potrzebom; lecz mimo tej użyteczności nie są pożądane, gdyż obfitość ich jest tak wielką, że codzień jesteśmy w nie podostatkiem zaopatrzeni. I któż troszczy się dziś o szlankę wody, przynajmniej w naszym kraju? Zawsze pozostanie jej jeszcze jakaś *reszta*, jak ktoś trafnie powiedział.

Prawda, że gdybyśmy znajdowali się na pustyni, „w kraju pragnienia“, lub poprostu w miejscu, gdzieby nie łatwo można dostać kubka wody, wtedy stałaby się woda

[1]) Niepodobna, ażeby istniało mniej spodni niż kamizelek, owszem przeciwnie, a jednak można powiedzieć, że spodnie są rzadsze od kamizelek w tem zrozumieniu, iż robota ich wymaga więcej materyału i czasu. Skoro więc nie jest równie łatwą rzeczą pomnażać ilość spodni, co kamizelek, muszą być dlatego pierwsze droższe od drugich.

rzeczą nader pożądaną, a w podobnym wypadku mogłaby zyskać nawet nieskończoną wartość t. j. wyższą od wszystkich rzeczy na świecie[1]). A dlaczego? Właśnie dlatego, że w podobnych warunkach ilość wody okazałaby się niewystarczającą.

Temsamem wyjaśniamy, dlaczego dyament lub perła, które odpowiadają dość błahym potrzebom, tak wysokie stanowisko zajmują w rzędzie wartości. Otóż dlatego, że ilość ich jest tak niewielką, że przeważna większość rodzaju ludzkiego wcale ich nie posiada, a nawet ci uprzywilejowani, którzy je posiadają, nie są zazwyczaj do tego stopnia zaopatrzeni w nie, żeby już nie mogli więcej ich pragnąć. Tego punktu granicznego, z którym rozpoczyna się nasycenie, a pragnienie gaśnie, nigdy się nie osiągnie odnośnie do tej kategoryi dóbr.

Na pytanie więc, co jest przyczyną wartości, możemy odpowiedzieć w następujący sposób:

Rzeczy mają większą lub mniejszą wartość, stósownie do tego, czy ich mniej, czy więcej pożądamy.

Pożądamy zaś ich mniej lub więcej stósownie do tego, czy ilość ich jest mniej lub więcej niewystarczającą dla zaspokojenia naszych potrzeb.

Ilość zaś ich jest mniej lub więcej niewystarczająca w miarę tego, o ile możemy je pomnażać z większą lub mniejszą trudnością.

III.

Krytyczny pogląd na teorye wartości.

Ekonomiści zawsze szukali przyczyn wartości. Każda szkoła stósownie do swoich przekonań, oświadczała się bądź za jedną, bądź za drugą. *Użyteczność, rzadkość, trudność*

[1]) Zresztą, jeżeli woda nie ma wogóle wartości w naszych okolicach, to tylko jako woda do picia, o ile ma na celu zaspokojenie naszego pragnienia, gdyż z tego punktu widzenia jest jej naprawdę podostatkiem. Ale, ilekroć ma ona zaspokoić potrzeby

pozyskania, praca, — oto główne przyczyny wartości, które szczegółowo rozbierano.

Często przedstawiano *użyteczność* jako dostateczną przyczynę wartości, zwalniającą już od szukania innych *(Condillac, J. B. Say, Stanley-Jevons)*. Na zarzut, który się najpierw narzuca, mianowicie, że wielka liczba rzeczy bardzo użytecznych nie ma żadnej wartości, niniejsza szkoła odpowiada, że użyteczności nie można sobie wyobrazić bez pewnego ograniczenia w ilości, albowiem w niej samej tkwi pojęcie ilości. Gdy jakaś rzecz znajduje się w bardzo obfitej ilości, n. p. woda, wtedy niktby nie powiedział o cząstce tej rzeczy, n. p. o szklance wody, że jest użyteczna; użyteczną nie jest, gdyż nikt tak nie utrzymuje. Co jest bardzo obfitem, jest zarazem i zbędnem, a jeśli zbywa czego, to widać, że nie jest użytecznem. Teorya ta bardzo się zbliża do prawdy. Zawsze jednak trzeba zauważyć, że biorąc słowo „użyteczność“ w odmiennym sensie, niż jego zwykłe znaczenie, i każąc mu oznaczać wiele rzeczy, których w istocie nie wyraża — zadaje się przez to gwałt językowi.

Szkoła matematyczna z *Walras'em* na czele, daje przewagę *rzadkości*. A znajduje w niej tę zaletę, zwłaszcza dla tych, którzy chcą metodę matematyczną wprowadzić do ekonomii, że można w tym razie teoryę wartości zupełnie oprzeć na matematycznem pojęciu, mianowicie — na ilości. Rzadkość istotnie jest ograniczeniem ilości; — lecz czy nie łączy się z nią zarazem pojęcie użyteczności? Twierdzić o jakiejś rzeczy, że jest rzadką, czy to nie to samo, co powiedzieć, że jest poszukiwaną, a konsekwentnie, że jest użyteczną? Gdyby w istocie nie mogła do niczego służyć, niktby jej nie chciał; a gdyby jej nikt nie chciał, tem samem nie byłaby rzadką, choćby nawet zresztą jedyną była na świecie, jak n. p. list pisany ręką chłopa, który rzeczywiście tylko jeden list w swem

---

nawadniania, ilekroć służy dla przyjemności, lub staje się siłą poruszającą, wtedy zwykle nabiera wartości i to wartości znacznej. Dlaczego? Dlatego, że dla podobnego użytku nie znajduje się w dostatecznej ilości, aby zaspokoić potrzeby wszystkich posiadaczy; to właśnie czyni ją pożądaną i nadaje jej wartość.

życiu napisał. — Trzeba atoli zaznaczyć, że idea rzadkości sama w sobie nie wystarcza; że użyjemy tu znanego przykładu: wiśnie z początkiem sezonu nie są mniej rzadkie, jak z końcem jego, a przecież, skoro już przestały być nowalią, a tem samem, kiedy już więcej nie ma na nie tak wielkiego popytu, wtedy już nie mają takiej wartości.

Szkoła klasyczna angielska kładzie znów główną wagę *na trudność pozyskania (difficulty of attainment)*. Zapewne mniejsza lub większa trudność, jakiej doświadczamy w nabyciu rzeczy, jest *warunkiem* wartości, ale bynajmniej nie jest jej przyczyną. Nie dlatego zboże ma wartość, że wymaga długiej uprawy i ciężkiej pracy, lecz jedynie dlatego, że jesteśmy głodni, a to ziarno bardzo się nadaje do nasycenia nas. Większa czy mniejsza trudność, jakiej zaznamy przy uprawie zboża, nie wywrze innego wpływu na jego wartość, jak tylko tyle, że wpłynie na jego ilość, czyli na nasze nasycenie.

Inna w końcu szkoła wyznaje, że *praca* jest prawdziwą przyczyną wartości, a ta teorya, przedstawiana pod dość rozmaitemi formami, zajmuje w nauce poważne stanowisko. Przedstawiona po raz pierwszy przez *Ricarda*, zjednoczyła ekonomistów, należących do najskrajniejszych obozów, począwszy od *Bastiat'a*, aż do *Karola Marx'a*. Ma się rozumieć, że teorya ta nie przeczy, że użyteczność, t. j. własność zadośćuczynienia jakiejś potrzebie lub pragnieniu człowieka — jest w pierwszym rzędzie warunkiem wartości. Potrzebaby chyba zmysły postradać, ażeby sądzić, że rzecz, która do niczego nie służy, mogłaby posiadać jakąś wartość, choćby nie wiedzieć ile pracy kosztowała. Ale skoro według tej szkoły użyteczność jest tylko warunkiem wartości, to tem samem jeszcze wcale nie jest jej przyczyną, ani też miarą. Podstawą wartości byłaby więc tylko praca człowieka, a rzecz każda wartałaby mniej lub więcej w miarę tego, jak wymagałaby lżejszej czy cięższej pracy.

Niniejszej teoryi zjednało tyle poważnych umysłów to właśnie, czem się ona różni od teoryi poprzedzającej; gdy tamta opiera wartość na zjawiskach czysto materyalnych — na

użyteczności i rzadkości — ta opiera ją na moralnem zjawisku — na *pracy*. Gdyby można wykazać, że *wartość wszystkich rzeczy*, które możemy posiadać, n. p. ziemi *jest zawisłą od pracy, na nie wyłożonej*, to mielibyśmy prawo twierdzić, że własność i majątek każdego jest w stosunku prostym do jego pracy, a cały organizm społeczny znalazłby się wskutek tego trwale opartym na zasadzie sprawiedliwości [1]).

Byłoby do życzenia, ażeby tę teoryę można było uważać jako wyraz rzeczywistości, onaby tworzyła szczęśliwą harmonię między ekonomią a etyką, między tem, co jest, a tem, co powinno być. — Niestety niniejsza teorya nie może się utrzymać wobec obserwacyi zjawisk.

Bez wątpienia zawiera ona w sobie część prawdy. Niezaprzeczenie praca konieczna do produkcyi rzeczy, wywiera znaczny wpływ na ich wartość, to też właśnie dla tego uwzględniliśmy ją w naszej analizie wartości; poznaliśmy, że wartość zależy w końcu od okoliczności, czy większą lub mniejszą napotykamy trudność w pomnażaniu rzeczy. Gdy praca jest głównym czynnikiem produkcyi, to jasnem jest, że mniejsza lub większa łatwość pomnażania rzeczy, będzie zależeć ostatecznie od tego, czy mniej czy też więcej pracy będzie wymagać ich produkcya.

Z tego samego rozumowania wynika, że praca nie może inaczej oddziaływać na wartość, jak tylko w sposób pośredni i tylko o tyle, o ile może działać na ilość; temsamem więc na wartość wcale ona nie oddziaływa, a zjawiska, które można każdej chwili obserwować dostatecznie tego dowodzą:

---

[1]) Ta doktryna zresztą, podobnie jak bajeczny miecz Józefa *Prudhomme'a* posłużyć może tak dobrze na zwalczanie istniejących stosunków, jakoteż i na ich obronę. Podczas gdy szkoła *Bastiat'a* używa jej na wykazanie, że majątek każdego stosuje się do jego pracy, to *Karol Marx* przeciwnie walczy nią, by wykazać, że wartości posiadane przez klasy bogate, zawdzięczają one jedynie pracy robotników, z których ich obdarły w sposób niegodny i kończy żądaniem, aby one wróciły znów do rąk, które je wytworzyły.

1) Nasamprzód, gdyby przyczyną albo istotą wartości jakiejś rzeczy była praca, poświęcona na jej wytworzenie, toby i ta wartość musiała być koniecznie niezmienną, albowiem, jak uznaje sam *Bastiat*, „praca dokonana już ani zwiększoną ani zmniejszoną być nie może“. Tymczasem przeciwnie każdy wie, że wartość przedmiotu ciągle i bezustanku się zmienia. A przecież jest widocznem, że te zmiany zupełnie nie zależą od pracy do produkcyi potrzebnej. Zresztą *a prori* było to niedorzecznem sądzić, że wartość jakiejś rzeczy może w ten sposób być zawisłą od przyczyny, która bezpowrotnie już przeszła.

2) Gdyby praca była przyczyną wartości, to równym pracom odpowiadałyby zawsze równe wartości, a nierównym pracom nierówne wartości. — Tymczasem każdej chwili widzimy, że przedmioty, które równą pracę kosztowały, bywają sprzedawane po bardzo różnych cenach, a na odwrót znów przedmioty, które wymagały bardzo odmiennych robót sprzedają się po równych cenach.

3) Gdyby praca była przyczyną wartości, to tam, gdzie nie było pracy, nie byłoby także żadnej wartości. — Otóż istnieją niezliczone rzeczy, które posiadają wartość i to często nawet bardzo wielką, a pozyskanie ich nie wymaga żadnej pracy: n. p. źródło wody mineralnej lub nafty, nawóz, znoszony przez morskie ptaki, ławy piasku jedynie przez wiatr naniesione, a które drogo się sprzedają do winnic, kilka metrów gruntu położonego w środku dużego miasta i t. p.[1])

---

[1]) *Ricardo* i jego szkoła nie przeczy temu (bo zresztą nie da się to zaprzeczyć), że „są pewne przedmioty, których wartość zależy tylko od rzadkości, albowiem żadną pracą nie jest się w stanie powiększyć ich ilości“. Tylko, że uważa je za mało znaczące, a za przykład przytacza jedynie obrazy kosztowne lub posągi etc. Tymczasem przeciwnie te przedmioty bardzo liczne stanowią wyjątki tak, że mogą tworzyć osobną kategoryę.

Bastiat przeciwnie przeczy temu, aby wyliczone przez nas dobra (ziemia i płody naturalne) miały jakąś wartość; użytecz-

4). W końcu, jeśliby praca była przyczyną wartości, to cóż wtedy byłoby przyczyną *wartości samej pracy?* Przecież praca niezaprzeczenie ma wartość jakąś, sprzedaje się i kupuje, lub jeżeli kto chce, najmuje się ją co dzień za pewną cenę. Łatwo wytłomaczyć wartość pracy przez wartość jej wytworów, n. p. wartość ziemi oznacza się wartością zbiorów, jakie dać może. Lecz gdyby kto chciał wartość samych wytworów oznaczyć znów za pomocą wartości pracy, która dała im istnienie, to błądziłby w kole bez wyjścia.

Użyto kilku zręcznych sposobów, ażeby wspomnianą teoryę obronić przed zarzutami, o której wyżej wspomnieliśmy.

Carey twierdzi, że wartość jakiegoś przedmiotu, nie zależy jedynie od pracy, poświęconej na jego produkcyą, lecz od pracy, potrzebnej do wytworzenia drugiego podobnego przedmiotu, to znaczy od *pracy* do *reprodukcyi* potrzebnej. *Bastiat* znów sądzi, że nie trzeba zważać na pracę wykonaną przez tego, kto zrobił dany przedmiot, ale na pracę oszczędzoną temu, który chce go nabyć [1])

---

ność, pochodząca od natury, jest zawsze *darmo*, jak powiada, i nigdy się za nią nie płaci. Tak twierdzi, lecz wcale tego nie dowodzi.

[1]) Ponieważ oszczędzić komuś pewnej pracy, jest to, według *Bastiata*, *oddać mu usługę*, przeto autor, przedstawia w ten sposób wartość, jako: *stosunek dwóch wymienionych usług*, i oznacza tem samem, że przyczyną i miarą wartości jest *oddana usługa*. Ta formułka mimo sławy, jaką sobie przez pewien czas zjednała jest po prostu tautologią. Na pytanie, dlaczego dyament ma większą wartość niż kamień? odpowiada ona: „dlatego, że przez danie mi dyamentu wyświadcza mi każdy większą usługę, niż daniem kamienia“. Wprawdzie temu nikt nie zdoła zaprzeczyć, choć to dziecinna odpowiedź, lecz wystarczy powiedzieć, że jeżeli usługa wyświadczona przez danie dyamentu jest większa od usługi, wyświadczonej daniem kamienia, to tylko dlatego, że dyament większą ma wartość niż kamień, — i tak znowu wrócilibyśmy do tego samego miejsca. Otóż nie usługa, wyświadczona przez tego, który mi daje jakiś przedmiot, stanowi o wartości tego przedmiotu, ale przeciwnie wartość przedmiotu otrzymanego, jest dopiero oznaką i miarą doniosłości wyświadczonej usługi.

Karol *Marx* w końcu oświadcza, że nie ma po co zajmować się pracą indywidualną, którąby mogła być zużytą na wytworzenie jakiegoś przedmiotu, lecz tylko *pracą społeczną* albo jeżeli kto chce, *pracą przeciętną*, potrzebną do produkcyi danego towaru w ogólności.

Wreszcie miasto używania słowa „praca“, używają nieraz wyrazu *trudność pozyskania*, oznaczającego także pracę, lecz, zawierającego w sobie również wiele innych pojęć jak rzadkość, użyteczność etc., a który z powodu tego wszystkiego, co wyraża i czego nie wyraża, może być dobrze zastósowanym do wszystkich systemów.

Tych różnych teoryj nie możemy tu roztrząsać, ograniczymy się na zaznaczeniu, że one wszystkie, biorąc swój początek w idei pracy, napotykają na trudności mniej więcej te same, co ich zasadnicza teorya i że nie mają nawet tej zasługi, jaką ma ta ostatnia, t. j. że nie czynią zadość idei sprawiedliwości.

Wykazaliśmy, że istniałaby harmonia, gdyby było można wykazać, że wartość danego przedmiotu jest odpowiednią do trudu, jakiego trzeba było sobie zadać na jego wytworzenie jednakowoż ta harmonia znika, a przynajmniej staje się bardzo niejasną, jeżeli się poprzestaje na wykazaniu, że wartość jakiegoś przedmiotu jest jedynie proporcyonalną do pracy potrzebnej do odtworzenia takiego samego przedmiotu, jak to utrzymuje *Carey*, — lub do trudu, jakiego trzebaby sobie zadać w celu nabycia przedmiotu równego, jak to twierdzi *Bastiat*, lub wreszcie do pracy przeciętnej, wymaganej do produkcyi odnośnej kategoryi przedmiotów, według zdania *Marxa*.

W krótkości można te niezliczone teorye, jakie sobie wymyślono w celu wytłómaczenia zjawiska wartości podzielić na dwie grupy:

Jedne trzymają się idei użyteczności i wartość czynią zależną od *potrzeb* człowieka.

Drugie przywiązuje wagę do idei pracy, i wartość czynią zależną od *trudu* człowieka.

Pierwsze z nich są wyrazem tego, *co jest*; w istocie bowiem wartość rzeczy pozostaje w stosunku do naszych po-

trzeb i żądań. Drugie znów wyrażają to, co *być powinno*, albowiem byłoby bardzo do życzenia, ażeby wartość odpowiadała naszym staraniom i naszej pracy.

IV.

Zmiany wartości.

Wartość wszystkich rzeczy, a przez to rozumiem ów porządek, w jakim jedne po drugich następują, zmienia się ustawicznie. Przyczyna tego bardzo jasna, albowiem wartość ma swoje źródło w naszych pragnieniach, a cóż bardziej zmiennego nad te nasze pragnienia? Przypuściwszy nawet, że chodzi o jakąś fizyologiczną potrzebę, jak n. p. o pożywienie, to ponieważ przedmioty, których naturalnem przeznaczeniem jest zaspokoić ją, — są nieskończenie rozmaite, przeto pragnienie nasze może przechodzić z jednego przedmiotu na drugi i jego wartość po kolei to podwyższać, to obniżać.

Czy można określić jakieś zasady ogólne, jakieś prawa rządzące temi zmianami. Niewątpliwie i nie ma pracy bardziej zajmującej, nad ich wyszukiwanie.

Jeżeli, jakeśmy wspomnieli, użyteczność i ograniczenie w ilości są dwoma czynnikami wartości, zmieniającemi się wraz z naszemi pragnieniami, to za tem idzie, że jeżeli oba te czynniki, lub jeden z nich przynajmniej ulegnie zmianie, to i wartość musi się koniecznie zmienić:

1). Jeżeli użyteczność jakiejś rzeczy będzie róść ustawicznie, to i wartość jej wzrośnie temsamem.

Tak też ma rzecz się z ziemią, z miejscem pod budowę w mieście lub z gruntem uprawnym po wsiach, których użyteczność wzrasta z dniem każdym w miarę tego, jak rozwijające się coraz więcej społeczeństwo potrzebuje więcej miejsca i więcej żywności. Ztąd wartość gruntu ustawicznie wzrasta, z wyjątkiem chyba chwilowych przesileń.

2) Kiedy przeciwnie użyteczność się zmniejsza, wszystkie rzeczy podobnego gatunku powinny na wartości stracić. Tak jest z drogiemi kruszcami, a w szczególności ze srebrem, które z dnia na dzień tracą na wartości, nietylko dlatego, że wybredny smak naszych czasów już tak bardzo ich nie poszukuje we formie naczyń, czy klejnotów, — lecz przedewszystkiem dlatego, że udoskonalone środki kredytu zwolna zmniejszają ich użycie na pieniądze.

3). Kiedy ilość wzrasta, wartość wszystkich rzeczy danego rodzaju powinna się zmniejszać. Tak się dzieje z wyrobami fabrycznemi, których ilość maszyny pomnażają z dnia na dzień z coraz to większą łatwością.

4). Kiedy ilość się zmniejsza, wartość rzeczy, o ile zresztą nic się nie zmieni, powinna się podnosić. Tak się też stało np. z dziczyzną, która będąc dawniej codziennem pożywieniem wszystkich ludzi, żyjących w społeczeństwach pierwotnych, wskutek trzebienia lasów i zajęcia ziemi pod uprawę, jest dzisiaj we wszystkich krajach cywilizowanych jedynie przedmiotem zbytku, pojawiającym się tylko na stołach bogaczy. To samo może kiedyś stanie się z mięsem w jatkach, albowiem z tych samych powodów, zdążają dziś we wszystkich cywilizowanych krajach do coraz większego ograniczenia ilości ziemi poświęconej na pasze i chów bydła, a przez to i do ograniczenia ilości bydła w stosunku do liczby ludności. Mięso jest tym właśnie ze wszystkich przedmiotów, którego cena najgwałtowniej się podnosi.

Lecz prócz tych zmian, któreby wiecznemi można nazwać z tego powodu, że od wieków powoli i jednostajnie poruszają dobrami na skali wartości, a które lepiej poznamy w nauce o produkcyi, — każda wartość podlega jeszcze innego rodzaju zmianom, któreby odpowiedniej było nazywać przejściowemi, albowiem występują w krótkich odstępach czasu, mając raz jedno, to znów drugie znaczenie. Wyrażone w pieniądzach przedstawiają się jako zmiany cen towarów, które bywają podawane w codziennych gazetach. Zmiany te, choć mało zajmujące dla ekonomisty, są bardzo

ważne dla handlarza i przemysłowca, gdyż od nich zawisł ich zyski lub straty.

Naprzykład ryby mają najpierw wartość t. zw. normalną, t. j. taką, która z jednej strony zależy od użyteczności tego pożywienia, mianowicie od tego, czy spożywający mają mniejsze czy też większe upodobanie dla tego rodzaju żywności, a z drugiej strony od ilości, stósownie do tego, czy dany kraj posiada lub więcejmniej rozwinięte wybrzeża, czy te wody są zarybione czy nie, czy mniejsza czy też większa liczba mieszkańców oddaje się rybołowstwu etc.

Lecz oprócz tej wartości normalnej — wprawdzie samej w sobie zmiennej, lecz zmieniającej się zwolna i zwykle w kierunku zwyżkowym — wartość ryb ulega jeszcze na targu mnóstwu zmianom czasowym n. p. w krajach katolickich idzie w górę w dni postne, albowiem w tych dniach ten rodzaj żywności zyskuje nową użyteczność, z powodu przepisów Kościoła, wzbraniających wtedy spożywania mięsa innych zwierząt. Na odwrót wartość ryb spada, gdy morze szczególnie zaobfituje w ryby.

W ogólności powiadają, że to chwianie się wartości zależy od *prawa podaży i popytu*. Sławną tę formułkę uważano dawniej za zasadnicze prawo ekonomii politycznej, i w celu wytłómaczenia niewiedzieć jakiego zjawiska uciekano się zawsze do niej. Lecz od pewnego czasu została silnie zaczepioną i straciła w części swą dawną powagę.

Ta formułka wzięta w najprostszym znaczeniu wyraża myśl, że „cena wszystkich towarów na targu zmienia się odpowiednio do stosunku, jaki istnieje między ilością ofiarowaną przez sprzedających, a ilością żądaną przez nabywców“. Jeżeli popyt przewyższa podaż, wtedy cena się podnosi; jeżeli przeciwnie podaż jest wyższą od popytu, natenczas cena się obniża.

W tem znaczeniu powyższa teorya jest słuszną. Lecz prawdę powiedziawszy ta formułka nie zawiera nic więcej nad dwa znane nam już czynniki wartości, t. j. użyteczność i rzadkość, uważane jako działające w pewnem oznaczonem miejscu i czasie. Przecież jasnem jest, że mniejsza lub wię-

ksza ilość towarów, jaką sprzedający mogą na targ wystawić, stanowi właśnie to, co nazywamy *rzadkością*, podczas gdy mniejsza lub większa ilość, żądana przez spożywających zależy od mniejszej lub większej intenzywności ich potrzeb czy pragnień—inaczej mówiąc od mniejszej lub większej *użyteczności*, jaką dane towary mogą dla nich posiadać. Wspomniana teorya nie rzuca więc wiele światła na tę kwestyą, lecz posiada zaletę, że w jednej krótkiej formułce zawiera bardzo skomplikowane prawo tak, że już o nic więcej nie potrzeba się pytać. A dlatego pozbawiono ją znaczenia, iż chciano jej nadać takie znaczenie, jakiego bynajmniej nie wyrażała. Dlatego błędem było n. p. gdy chciano wyrazić przez tę matematyczną formułę: „że wartość zmienia się w stosunku prostym do ilości żądanych, a w odwrotnym do ilości dostawionych na targ“, co wychodzi na to, że jeżeli popyt się podwoi, a podaż pozostanie taką samą, to wartość się podwoi; na odwrót, jeżeli podaż się podwoi, a popyt pozostanie ten sam, to wartość zniży się o połowę. — Otóż w takiem rozumieniu formułka powyższa jest z gruntu fałszywą, jak to już oddawna wykazali *Stuart Mill et Cournot*.

Istotnie zapomina się, że jeżeli podaż i popyt działają na wartość, to i ona z kolei *oddziaływa* na podaż i popyt, aby przywrócić między nimi chwilowo zwichniętą równowagę. Kiedy popyt przewyższa podaż, wartość bezwątpienia rośnie, ale ta zwyżka wartości ma właśnie ten skutek, że zmniejsza popyt ze strony kupujących, a powiększa podaż ze strony sprzedających dopóty, dopóki ilości dostarczone na targ i żądane nie zrównają się [1]).

---

[1]) Najprostsza obserwacya wystarczy, aby tego dowieść. Weźmy jakąkolwiek wartość na targu giełdowym, n. p. 3 procentową rentę i przypuśćmy, że kurs jej wynosi 80 franków. Przypuszczam, że przy otwarciu giełdy ilość rent żądanych będzie dwa razy większa, od ilości rent ofiarowanych. Któżby się mógł spodziewać, że cena renty się podwoi i konsekwentnie wzrośnie do 160 franków? A tymczasem takie zjawisko musiałoby nastąpić, gdyby formuła była zawsze i zupełnie dokładną. Otóż naprawdę kurs nie podniesie się może nawet o całego

V.

Oddziaływanie wolnej konkurencyi na wartość.

Jeżeli w jakim kraju każda jednostka ma wolność postąpić sobie tak, jak się jej podoba, czyto w wyborze zawodu, czyto w rozporządzaniu swemi dobrami, wtedy twierdzimy, że się żyje pod panowaniem *wolnej konkurencyi*.

To panowanie, pod którem żyją dziś prawie wszystkie społeczeństwa ucywilizowane, wywiera stanowczy wpływ na wszystkie zjawiska ekonomiczne, a więc oczywiście także na wartość.

Co się tyczy wartości, to działanie wolnej konkurencyi objawia się w następujący sposób:

1. Dąży do zrównania wartości wszystkich wytworów podobnych.

Ponieważ pragnienia i potrzeby człowieka są różne, przeto zdawałoby się, że tensam przedmiot powinien mieć odmienną wartość dla każdego osobnika, że n. p. na targu zboża powinno być tyle różnych cen, ilu jest kupców. Lecz konkurencya przeszkadza wytworzeniu się takiego stosunku i w rzeczywistości jest tylko *jedna cena* na tym targu dla wszystkich worków zboża! Dlaczego? Dlatego, że gdyby się zdarzyło, żeby jeden z nabywców ofiarował wyższą cenę za worek zboża, aniżeli cenę targową, wtedy wszyscy sprzedający cisnęliby się do niego, chcąc oddać mu swoje worki

---

franka. A to z tej prostej przyczyny, że większa część osób, które były gotowe kupować po 80 fr., powstrzyma się od zakupna, skoro się cena podniesie. Jasnem jest, że jeżeli liczba rent żądanych zmniejsza się w miarę tego, jak cena wzrasta, to równocześnie i dla tejsamej przyczyny liczba rent ofiarowanych podnosi się. I koniecznie musi przyjść chwila, kiedy popyt malejący i wzrastająca podaż zupełnie się zrównają, a wtedy zapanuje równowaga. Lecz zwyżka o kilka centymów jest zazwyczaj wystarczająca, aby doprowadzić do tego rezultatu.

po wyższej cenie i sprawiliby to, że cena spadłaby do ogólnego poziomu.

Na odwrót, jeśliby jeden ze sprzedających zgodził się odstąpić swój worek zboża poniżej ceny targowej, wtedy znów wszyscy kupujący rzuciliby się w jego stronę i podbijaliby cenę dopóty, dopókiby się nie podniosła do ogólnego poziomu.

2. *Dąży do sprowadzenia wartości do minimalnego poziomu, oznaczonego kosztami produkcyi.*

Zobaczymy w nauce o produkcyi, że do wytworzenia każdego dobra trzeba koniecznie zużyć pewną ilość innych dóbr. Wartość dóbr wytworzonych jest zawsze wyższą od wartości dóbr zużytych, albowiem, gdyby było przeciwnie, wtedy producent poniósłby stratę; to też, wyjąwszy chyba nieprzewidziane wypadki, zawsze jest pewna różnica między temi dwoma wartościami, a ta właśnie różnica stanowi zysk i korzyść przedsiębiorstwa.

Producent ma widoczny interes w rozszerzaniu tej granicy, o ile się da, bądź to starając się o zniżkę wartości dóbr zużywanych (surowców, płacy etc.), bądź też podnosząc wartość nowo wytworzonego dobra. Lecz konkurencya pomiędzy producentami działa właśnie w kierunku przeciwnym. Każdy producent, starając się o kupców, usiłuje ich do siebie przyciągnąć ścieśnianiem, o ile można tej granicy, jaka istnieje między ceną produkcyi a ceną sprzedaży, — aż do tego minimum, poniżej którego nie wartałoby zadawać sobie trudu w celu wytwarzania [1]). Koszta produkcyi bardzo mogą się

---

[1]) Rozpowszechniło się zdanie, że koszta produkcyi pozostają do wartości w tym stosunku, w jakim przyczyna do skutku, czyli innemi słowy, że *rzeczy mają dlatego pewną wartość, że ich produkcya wymaga pewnych kosztów i że właśnie te koszta produkcyi są miarą wartości.* Lecz jest to czysty sofizmat.

Prawda, że wobec działania tej zewnętrznej przyczyny, która się wolną konkurencyą nazywa, pomiędzy wartością a kosztami produkcyi zachodzi stosunek stały, lecz to jeszcze nie wystarcza, aby utrzymywać, że koszta produkcyi określają wartość wytworu. O wiele ściślejszem byłoby twierdzenie, że

zmieniać i to nietylko dla różnych wytworów, bo to się rozumie samo przez się, lecz nawet przy wytworach tegosamego rodzaju. Zjawisko to jest bardzo zajmującą ekonomiczną kwestyą, której rozwiązanie posiada niezmierną doniosłość.

Weźmy n. p. kilkaset worków zboża, dostarczonych na targ. Oczywista, że nie wszystkie z nich zostały wytworzone w równych warunkach; jedne z nich otrzymano przy pomocy nawozu i pracy, inne znów jakby same wyrosły na urodzajnej ziemi; te, okrążywszy cap Horn, przybyły ze San-Francisco, podczas gdy drugie pochodzą ze sąsiedniego gospodarstwa. Gdyby każdy worek nosił napisaną na kartce sobie właściwą cenę, to z pewnością nie znalezionoby może dwóch kartek, na którychby można było tęsamą cenę wyczytać. Przypuśćmy n. p., że mieściłaby się pomiędzy 10 a 20 franków. Jakaż będzie cena targowa w tych warunkach? Czy zrówna się cenie, odpowiadającej temu workowi zboża, który najwięcej kosztował, czy temu workowi, co najmniej kosztował, czy też jakiemuś pośredniemu workowi? Czy pozostanie przy 20 fr., czy przy 10, czy też przy 15 frankach? Innemi słowy, czy wartość ureguluje się w danym przypadku podług *maximum* kosztów produkcyi, czy podług *minimum*, czy też na podstawie *średnich* kosztów produkcyi.

Otóż trzeba tutaj rozróżnić:

---

przeciwnie wartość wytworu stanowi o kosztach produkcyi. Każdy bowiem producent, zanim poczyni koszta na produkcyę jakiejś rzeczy, rozpoczyna od zadania sobie pytania, jaka może być wartość tego wytworu? Jeżeli osądzi, że ta wartość będzie dostateczną, aby pokryć koszta produkcyi i jeszcze pozostawić pewną zwyżkę, wtedy przystępuje do przedsiębiorstwa. W przeciwnym razie, wstrzymuje się od niego. Ale, jeżeli się pomyli w swoim obrachunku, to źle na tem wyjdzie, albowiem wszystkie koszta, jakie mógł poczynić, nie mają nawet tego wpływu, aby choć o centa podnieść cenę wytworu ponad wartość oznaczoną prawem popytu i podaży. Jest to zresztą *petitium principii* twierdzić, że koszta produkcyi są przyczyną wartości rzeczy. Zresztą koszta produkcyi są tylko wartością dóbr zużytych na cele producyi, — a więc takie rozumowanie byłoby tłomaczeniem wartości przez wartość.

Jeżeli chodzi o wytwory, których nie można dowoli pomnażać, które istnieją tylko w bardzo ograniczonej ilości, — taki właśnie przypadek zachodzi przy zbożu, — to cena targowa powinna się wtedy stosować do ceny tego worka, który najwięcej kosztował, a więc w przykładzie przez nas przytoczonym doszłaby do 20 fr. W tym wypadku cena reguluje się według *maximum* kosztów produkcyi.

Jeżeli się przypuszcza, że wszystkie worki na targ dostarczone niezbędnemi są dla wyżywienia danej ludności, a więc, że żadnego z nich pominąć nie można, wtedy odrazu należy przyznać tak wysoką cenę, aby produkcya żadnego z nich nie odbywała się ze stratą; albowiem, gdyby u jednego z nich zaszedł ten przypadek, wtedy na przyszłość zaprzestanoby jego produkcyi i wskutek tego powstałby niedobór.

Jeżeli przeciwnie chodzi o wytwory, które można pomnażać do woli, n. p. o parę metrów wyrobów bawełnianych, albo o setkę gwoździ i t. p., to cena targowa, — jeżeli nie zaraz, to przynajmniej po upływie pewnego czasu, — obniży się do poziomu najniższej ceny produkcyi, innemi słowy: wartość ułoży się według *minimum* kosztów produkcyi. Producent bowiem, który najtaniej wytwarza, ma w tem interes, by wyzyskać swe uprzywilejowane położenie i zniżyć swe ceny do granicy najbliższej kosztów produkcyi, a to w celu zwalczenia swoich konkurentów i zapewnienia sobie jak największego zbytu. Jeżeli przypadkiem zdołał sam cały targ zaopatrzyć, natenczas jego mniej szczęśliwym rywalom nic innego nie pozostaje, jak tylko usunąć się, gdyż już ich więcej nie potrzeba.

A zatem streszczając powyższe wywody:

Ilekroć chodzi o wytwór, którego nie można pomnażać do woli, maximum kosztów produkcyi rozstrzyga o jego cenie targowej.

Ile razy zaś chodzi o wytwór, który można do woli pomnażać, wtedy przeciwnie minimum kosztów produkcyi stanowi o cenie targowej.

VI.

Czy konkurencya obniża ceny?

Jest zdaniem bardzo rozpowszechnionem, że konkurencya zawsze sprowadza taniość, a monopol drożyznę. To też konkurencyę uważała zawsze publiczność jako potęgę dobroczynną, demokratyczną, zgodną zawsze z interesem ogółu, podczas gdy monopol uchodzi za plagę publiczną. Wielu nawet mniema, że całą ekonomię polityczną można sprowadzić do tego axiomatu. Dalekim on wszakże od bezwzględnej prawdy.

Zdarza się często, że konkurencya, przekroczywszy pewną granicę, wywołuje podrożenie towarów. Przez powstanie wielkiej liczby produkujących lub pośredników, nieproporcyonalnej do potrzeb np. przez budowę dwóch lub trzech linij kolei żelaznych tam, gdzieby jedna była wystarczającą, przez osiedlenie się stu piekarzy w jakiemś mieście, które dawniej poprzestawało na dziesięciu — wywołuje konkurencya marnowanie kapitałów w formie płacy, surowców, narzędzi, miejsca etc., a przez to podnosi koszta produkcyi [1]).

Nie trzeba tu upatrywać sprzeczności z tem, cośmy powiedzieli w rozdziale poprzednim. Powiedzieliśmy, że konkurencya zmniejsza zysk, zbliżając cenę sprzedaży do ceny naturalnej. Lecz ten skutek można taksamo osiągnąć przez podniesienie ceny naturalnej i kosztów produkcyi, jak przez zniżenie ceny sprzedaży. Tylko, że podczas gdy drugi wypadek jest korzystnym dla publiczności, to pierwszy jest dla niej bardzo niepożądanym.

Jeżeli konkurencya nie sprowadza koniecznie niskich cen, to na odwrót monopol nie wywołuje koniecznie drożyzny. Prawda, że ma tę niekorzyść, że pozwala producentowi, posiadającemu monopol, ciągnąć wyjątkowe korzyści, lecz z dru-

---

[1]) O niedogodnościach wynikających z nadmiernej liczby pośredników patrz poniżej.

giej znów strony, pozwala mu zniżyć cenę wskutek oszczędności, jaką zrobił na ogólnych kosztach. Uprawnienie do pobierania dochodu bez wątpienia jest „dobrem,“ ale zaoszczędzenie (ekonomia) w produkcyi jest o wiele większem dobrem. Kiedy jakieś towarzystwo rywalizujące buduje drugą linię kolei żelaznej, lub drugą linię telegraficzną tam, gdzie jedna wystarcza na zaspokojenie potrzeb, to prawdopodobnie, rozpocznie ono od zniżenia cen, aby w ten sposób przyciągnąć publiczność. Lecz, gdy wypadnie z powodu zaistnienia drugiego takiego samego przedsiębiorstwa ponosić podwójne koszta exploatacyi i oprocentowywać oraz umarzać dwa razy większy kapitał, — to rzecz jasna, że w końcu oba towarzystwa będą musiały się porozumieć co do cen, i powrócą do poziomu dawnej ceny, a prawdopodobnie nawet ją podniosą.

Zresztą nie potrzeba wyobrażać sobie, by producent posiadający monopol, używał władzy ustalania ceny według swego upodobania, a publiczność była zdana na jego kaprys. W rzeczywistości wartość jego wytworów również jest ograniczona temsamem prawem wartości, co każda inna wartość, mianowicie prawem popytu i podaży. A ponieważ popyt, na podstawie stałego prawa ekonomicznego, wzrasta w stosunku prostym do zniżki cen, przeto bardzo często jest właśnie interesem monopolisty postawić ceny bardzo niskie, i jak najbardziej zbliżone do ceny naturalnej, w celu zapewnienia sobie jak największego zbytu. Tego też nigdy nie zaniedbują czynić rozumni producenci, którzy znajdują się w posiadaniu monopolu, czy to prawnego, czy też faktycznego. Sprzedawać tanio, aby módz dużo sprzedać i tak powetować sobie na ilości, stało się powszechną dewizą współczesnego handlu.

W końcu nie należy zapominać, że, ilekroć monopol jest ustanowiony przez prawo, to powszechnie to prawo, które go stwarza, ogranicza go także za pomocą *taryf*, a w tym wypadku zyskuje się wszystkie korzyści wielkiej produkcyi, unikając zupełnie niedogodności zbytecznego wyzysku. Taki przypadek np. zachodzi, gdy państwo powierzy zarząd kolei żelaznych jednemu lub kilku towarzystwom uprzywilejowanym,

system ten daje o wiele lepsze rezultaty, niż system wolnej konkurencyi.

To też widocznem jest, że organizacya przemysłowa naszego czasu zwraca się nie do konkurencyi, lecz do monopolu, — mianowicie do monopolu faktycznego, wykonywanego przez zamożne towarzystwa bądź to odosobnione, bądź też zbiorowe. Handel, przewóz, przemysł etc., kopalnie, dążą do skupienia się w ręku wielkich towarzystw, a te znów z kolei łączą się celem utworzenia związków, znanych w ostatnich czasach pod nazwą: *Kartelów*, *Trust'ów*, *Ring'ów*. Nie bardzo przychylnem okiem patrzą wogóle na nie rządy i publiczność, piętnując je mianem „wyzyskiwaczy.“ W istocie zasługują one zawsze na taki sąd surowy, ilekroć zmierzają wprost do spekulacyi. Jednakowoż jako nowa forma organizacyi przemysłowej, mogą oddać wielkie usługi, stając na przeszkodzie marnowaniu sił wytwórczych, regulując produkcyę, podtrzymując ceny, a w ten sposób uchylając przesilenia i bezrobocia. Zresztą potrzebną dla siebie modyfikacyą znajdują one do pewnego stopnia w interwencyi państwa.

ROZDZIAŁ III.

Cena.

I.

Jak się mierzy wartość przy wymianie?

Niezbitą zasadą jest to dla wielu ekonomistów, że wartości nie można sobie wyobrazić bez pojęcia zamiany.

Tymczasem rozbiór, jaki zrobiliśmy, przeciwnie wykazuje, że idea wartości jest dawniejszą od pojęcia zamiany. Pojęcie bowiem wartości nie oznacza nic więcej, jak tylko danie pierwszeństwa jednej rzeczy nad drugą, a więc porównywanie ze sobą i ważenie się *dwóch pragnień*. A przecież takie znaczenie nie wiąże się koniecznie z pojęciem

zamiany. — Robinson z pewnością miał swoje upodobania. Wprawdzie przyznaję, że były one w stanie ukrytym, a warunki jego odosobnionego życia nie pozwalały mu odkryć ich drugim, ani nawet samemu sobie. Gdyby ktoś był zażądał od niego, ażeby je określił i aby dobra, stanowiące jego majątek, uporządkował podług wartości, jakie im przypisywał, z pewnością sprawiłby mu kłopot niemały. Co najwięcej, potrafiłby je z grubsza podzielić na dwie lub trzy części, stosownie do tego, czyby odpowiadały mniej lub więcej istotnym jego potrzebom. Lecz łatwo można wyobrazić sobie tę okoliczność, która nagle obudziła w jego umyśle to przyćmione i niewyraźne pojęcie wartości i zmusiła je do objawienia się na zewnątrz. Mianowicie taka sposobność zaraz nastręczyła mu się w pierwszych dniach jego wylądowania. Kiedy musiał jedno „dobro“ po drugiem wykładać ze swej łodzi na ląd stały, gdyż burza mogła mu nie pozostawić potrzebnego czasu do zabrania wszystkich ze sobą, wtedy koniecznie musiał dokonać wyboru, i zabierać po kolei to „dobro,“ które w pierwszej linii pragnął ocalić. Otóż porządek, w jakim jedne po drugich wykładał na ziemię, wybornie nam oznacza porządek jego upodobań, a zarazem i względne wartości, jakie każdemu z nich przypisywał.

Atoli wyznajemy, że w praktyce prawie wyłącznie zamiana jest tem, co obudza pojęcie wartości, że tak powiemy drzemiące w naszej duszy, oznacza je i mierzy. Przy każdej zamianie, a zamiany w naszych społeczeństwach są niezliczone, bierze się pod uwagę dwa „dobra,“ i każdy biorący udział w zamianie ze swej strony, waży sobie w myśli to dobro, które ma odstąpić z tem, które chce pozyskać. Lecz tutaj nie zajmujemy się zamianą, albowiem tę znajdziemy przy organizacyi produkcyi, w której stanowi jeden z głównych działów, lecz tylko wykażemy, w jaki sposób zamiana jest oznaką i miarą wartości. — Wartość jakiejś rzeczy, jak wiemy, nie jest niczem innem, jak tylko mniej lub więcej żywem pożądaniem, jakie ona w nas wzbudza. Lecz może ktoś zapyta: jakże mierzyć te pożądania? Tak, jak się mierzy siły, t. j. *za pomocą ich skutków*. Otóż wiemy, że

przy zamianie każdy jej uczestnik musi ponieść pewną ofiarę, by zadosyć uczynić swemu pragnieniu; potrzeba, aby odstąpił pewną ilość dóbr, które posiada, celem otrzymania tych, które chce posiąść. To też jasnem jest, że doniosłość tej ofiary może posłużyć za miarę wielkości jego pragnienia. Jeżeli dziesięć baranów daje się za jednego wołu, to czyż nie jest to dowodem, że z tej lub owej przyczyny wół jest dziesięć razy bardziej pożądanym dla ludzi, niż baran?

Im żywszem jest to pragnienie, jakie dany przedmiot w nas wzbudza, tem trudniej nam przyjdzie rozstać się z nim. A im wyższe miejsce zajmuje on w porządku naszych upodobań, tem większą będzie ilość wszystkich innych dóbr, jaką trzebaby nam ofiarować, aby obudzić w naszej duszy pragnienie przeciwne, lecz równie silnie i przechylić szalę na stronę tego ostatniego. To też słusznie się mówi, że *wartość rzeczy jest oznaczona przez ilość innych rzeczy, za które ją można zamienić,* albo jeszcze krócej, *o wartości danej rzeczy rozstrzyga jej siła kupna* [1]).

Jeżeli zatem przy zamianie wołu mogę za niego otrzymać 8, 10 lub 12 baranów, to powiem, że wartość wołu jest 8, 10 lub 12 razy większą od wartości barana, albo przeciwnie, że wartość barana jest 8, 10 lub 12 razy mniejszą od wartości wołu, co można ogólnie wyrazić mówiąc, że *wartości towarów stoją w odwrotnym stosunku do ich ilości zamienianych.* Im więcej trzeba dać jakiej rzeczy, tem mniej ona warta, a im mniej trzeba jej oddać w zamian za inne, tem większą posiada wartość. Zupełnie taksamo, jak przy wadze, kiedy szale są w równowadze, wtedy można powiewiedzieć, że ciężary przedmiotów w odwrotnym stoją stosunku do ilości ważonych. Jeśliby trzeba było położyć 10

---

[1]) Lecz nie można mówić, jak to bardzo często czynią, że siła kupna jest tem, *co stanowi* wartość. Wartość stanowią jedynie nasze upodobania. Siła ta jest tylko *skutkiem* wartości, taksamo jak siła przyciągająca elektro-magnesu jest tylko skutkiem prądu, który ją wywołuje.

baranów na jednej szali, aby zrównoważyć jednego wołu, będącego na drugiej, to dlatego, że ciężar barana jest jedną dziesiątą częścią ciężaru wołu.

II.

O wyborze wspólnej miary (miernika) wartości.

Ażeby sobie zrobić jasne pojęcie o wielkości, o ciężarze, o wartości, wogóle o wszystkiem, co dotyczy ilości, nie wystarczy dwie rzeczy porównać ze sobą, jak to dopiero co uczyniliśmy, lecz trzeba porównywać wszystkie rzeczy z jedną, ściśle oznaczoną i zawsze tąsamą; przedmiot, z którym porównywać mamy, musi być jeden, jednem słowem, musimy mieć *jedną wspólną miarę*. Do mierzenia długości wybrano jako taki przedmiot części ciała ludzkiego, jak stopę, palec, łokieć lub też cząstkę obwodu kuli ziemskiej. Przy mierzeniu ciężaru za przedmiot porównania służy oznaczona waga wody destylowanej. W celu mierzenia wartości, używa się znów do porównania wartości innej jakiejkolwiek rzeczy. Lecz którą wybrać?

Jest to zjawisko godne uwagi, że prawie wszystkie narody zgodziły się, ażeby na miarę wartości, wybrać wartość kruszców szlachetnych, mianowicie złota, srebra, a także i miedzi, lecz przedewszystkiem dwóch pierwszych. To też wszystkie używają małych krążków srebra lub złota, które nazywają frankiem, funtem szterlingiem, marką, dolarem, rublem etc. etc. Chcąc mierzyć wartość jakiegoś przedmiotu, porównywamy ją z wartością tych małych ciężarków złota albo srebra, tworzących jednostkę monetarną, to znaczy pytamy się, ile potrzeba dać tych małych krążków, aby módz nabyć jakiś towar; jeżeli potrzeba dać za niego np. 10, to powiadamy, że towar wart 10 franków lub dolarów.

Dlaczego kruszce szlachetne wybrano na miarę wartości? Dlatego, że kruszce szlachetne z powodu pewnych swych

niepospolitych własności, zostały środkiem wymiany, a wymiana, jak wykazaliśmy, służy w szczególniejszy sposób do mierzenia wartości; to też metale szlachetne są jakby z natury przeznaczone do spełniania tego ważnego zadania [1]).

Potrzeba wreszcie przyznać, że jakkolwiek drogie kruszce ze względów naturalnych o wiele więcej na to są przeznaczone, by służyły jako środek zamiany, aniżeli na miarę wartości, mimo to jednak posiadają dwie szczególne własności, pozwalające im spełniać to drugie zadanie w sposób, jeżeli nie bezwzględnie doskonały, to przynajmniej doskonalszy od każdej innej wartości, jakąbyśmy sobie mogli wyobrazić.

Temi własnościami są: z jednej strony wielka łatwość *przewozu*, a z drugiej strony *trwałość* prawie nieskończona. Dzięki pierwszej z tych dwóch własności, wartość drogich kruszców ze wszystkich innych wartości najmniej się zmienia wskutek przenoszenia ich z jednego miejsca na drugie; dzięki znów drugiej, należy ona do tych, które się najmniej zmieniają z jednego roku na drugi. A ta podwójna, co najmniej względna, niezmienność *w przestrzeni i w czasie*, jest istotnym warunkiem każdej wspólnej miary.

1. Co do pierwszego warunku niezmienności w przestrzeni, to jasnem, że gdyby trudność przewozu jakiegoś towaru mogła być usuniętą, i gdyby mu można zapewnić warunki istnienia na każdem miejscu, to osiągnęłoby się ten skutek, że jego wartość byłaby zupełnie tą samą we wszystkich miejscach. Przypuśćmy nawet, że w jednej miejscowości

---

[1]) Jakkolwiek te dwie funkcye w praktyce zawsze się łączą, to teoretycznie są bardzo różne tak, że gdyby kto chciał, możnaby je rozdzielić. Naprzykład kollektywiści, w organizacyi społecznej, nad którą pracują, zamierzają znieść zamianę, a tem samem i środek zamiany; lecz wcale nie myślą o zniesieniu wartości, przeciwnie wnoszą, aby pewną miarę wartości stanowiły „bony“ (przekazy) pracy.

Właśnie dlatego, że w obu razach moneta spełnia odmienne zadania, uważaliśmy za potrzebne przedstawić je w dwóch osobnych rozdziałach tej księgi i mimo to, że nam z powodu takiego rozdziału czyniono zarzuty, pozostajemy przy nim, jako przy zupełnie logicznym.

byłaby mniej wysoką, niż w drugiej, to nie omieszkanoby w takim razie postarać się, o przewiezienie danych rzeczy z pierwszego z tych miejsc na drugie; a ponieważ przewóz, według założenia, nie przedstawiałby żadnych trudności i nic by nie kosztował, przeto najlżejsza różnica jużby wystarczyła, by dana czynność przyniosła zysk. Równowaga, na razie stracona, wróciłaby zatem w oka mgnieniu, podobnie jak zaraz do niej powraca poziom płynu, którego molekuły znajdują się w stanie zupełnie ciekłym.

Otóż drogie kruszce, posiadając ze wszystkich towarów, wyjąwszy drogich kamieni, największą wartość przy najmniejszej objętości, nadają się najłatwiej do przewozu, a wskutek tego wartość ich najprędzej powraca do zwykłego poziomu. Za opłatą jednego procentu od całej wartości, za przesyłkę wraz z jej zabezpieczeniem, można całą masę złota lub srebra z jednego końca świata przewieść na drugi, podczas gdy za przewóz takiegoż samego ciężaru zboża, stósownie do odległości trzebaby zapłacić 20, 30, a nawet 50 procent jego wartości. Z tegoby wynikało, że wartość szlachetnych kruszców powinnaby być równą na wszystkich punktach ziemi. Lecz taki wniosek byłby w każdym razie za daleko idący. Przeciwnie, jest rzeczą pewną, że wartość drogich kruszców nie jest wszędzie jednaką, mianowicie niższą jest w miejscach ich produkcyi, w krajach obfitujących w złoto i srebro (tem się też tłomaczą ceny zazwyczaj wysokie w tych okolicach), lecz nie mniej przez to twierdzić można, że wartość drogich kruszców zupełnie czyni zadość pierwszemu warunkowi, t. j. niezmienności w przestrzeni.

2. Lecz już nie tak szczęśliwie czyni ona zadość drugiemu warunkowi, mianowicie *niezmienności w czasie*. W każdym razie nawet z tego punktu widzenia, drogie kruszce przewyższają większą część towarów, a to dla tej drugiej przyczyny, jakąśmy podali, t. j. dla swej bardzo wielkiej trwałości.

Główną w istocie przyczyną, która sprawia, że wartość jakiejś rzeczy zmienia się z jednej epoki na drugą, jest zmiana w jej ilości. Jeżeli się weźmie pod uwagę przedmiot,

którego ilość może się zmieniać od zera aż do nieoznaczonej liczby, to zmiany w jego wartości będą olbrzymie, ten przypadek zachodzi n. p. przy zbożu. Przed zbiorem śpichlerze mogą stać zupełnie puste, a po zbiorze będą przepełnione, również różnica między złym a dobrym rokiem może być ogromna. A ztąd ogromne zmiany wartości tego rodzaju żywności, które byłyby jeszcze o wiele znaczniejsze, gdyby łatwość przewozu i międzynarodowa zamiana nie utrzymywały pewnej równowagi w produkcyi. Tymczasem drogie kruszce z powodu swojej trwałości, dla której te same sztuki raz i drugi przebijane na monetę trwają wieki całe, — przedstawiają odmienne zupełnie właściwości. Gromadząc się zwolna, tworzą ogromną masę, do której przybywa coroczna produkcya, jakby do rezerwoaru ciągle się zwiększającego, wskutek czego zmiany przypadkowe muszą się coraz bardziej zmniejszać.

Potok, który szybko płynie, ledwie że wzbierze, a już sprawia ogromne zmiany w poziomie wody, lecz najsilniejszy wzrost Rodanu poziomu jeziora Genewskiego nie podniesie. Tak samo rzecz się ma z wartością. Przypuściwszy, że zbiór wina jednego roku podwoi się na całym świecie, to także i podaż jego dwa razy wznośnie, a cena niesłychanie spadnie. Ale przeciwnie, niechby produkcya min złota lub srebra w jednym roku i dwa razy się zwiększyła, to skutek wywołany byłby nieznaczny, albowiem ta produkcya stanowiłaby zaledwie 2% całej dotychczas istniejącej ilości złota, a względnie srebra.

W każdym razie jednak te zmiany byłyby po pewnym czasie znaczne, gdyż z powodu zwyżki o 2%, doszłoby się po upływie 36 lat do podwojnej ilości. Jeżeli tedy wartość drogich kruszców przedstawia dostateczną gwarancyę stałości w czasie, kiedy się mówi o krótkich czasokresach, to wcale jej nie daje odnośnie do dłuższych epok — nie mówimy tu już o kilku wiekach, lecz choćby tylko o jednej generacyi. Z tego punktu widzenia obrana miara bardzo jest niedostateczną.

Ale czy można znaleść lepszą miarę wartości? — Przedstawiano ich wiele, zbadajmy zatem przymioty każdej z osobna.

1. Wartość zboża. Wybór ten zadziwia zaraz na pierwszy rzut oka, jeżeli się bowiem zauważy wartość tego rodzaju żywności na różnych miejscach w różnych epokach, to przychodzi się do przekonania, że wartość zboża nie tylko nie jest niezmienną, ale że mało która wartość jest — tak zmienną.... W jednej i tej samej chwili sprzedaje się we Francyi hektolitr zboża 25 fr., kiedy w Stanach zachodnich Ameryki płaci się za niego 7 lub 8 fr. A znowu na tem samem miejscu, stósownie do tego, czy rok był zły, czy dobry, może wartość zboża niesłychanych doznać zmian, tylko łatwość wymiany łagodzący wpływ na nie wywiera. Lecz na to odpowiadają, że jakkolwiek wartość zboża bez porównania szybszej ulega zmianie, niż wartość drogich kruszców, w krótkich odstępach czasu, to jednak odnośnie do dłuższych czasokresów jest o wiele od tamtej stalszą. Wobec gwałtownego i ustawicznego chwiania się innych wartości, wartość żboża dąży do jednostajności, a to z następujących powodów:

Przedewszystkiem użyteczność zboża można uważać za stałą. Zboże czyni przecież zadość potrzebie stałej i zawsze mniej więcej równej, tak długo przynajmniej, dopóki fizyczny ustrój człowieka zupełnie nie zostanie zmieniony. Z drugiej strony jego rzadkość, t. j. stosunek do ilości żądanej, również należy uważać za nieulegającą zmianie z jednego stulecia na drugie. W istocie zawsze uprawiano i uprawiać będą ilość zboża konieczną do wyżywienia mieszkańców danego kraju, albowiem poniżej tej granicy musieliby z głodu pomrzeć; a znów nie będą uprawiali go więcej, gdyż powyżej tej granicy nie wiedzianoby co z niem zrobić, a zbyteczna obfitość pociągnęłaby za sobą ogromną zniżkę ceny. Bez wątpienia nieprzewidziane wypadki mogą tę równowagę zwichnąć, lecz zboże zawsze będzie dążyć do odzyskania jej znowu i to tem silniej, im gwałtowniej ją utraciło.

Otóż, jeżeli dwa czynniki rozstrzygające wartości zboża, tak jak każdą inną wartość, t. j. użyteczność i rzadkość,

można uważać za stałe, przeto i samą wartość zboża należy uważać jako ilość stałą, która może posłużyć do mierzenia wszystkich innych wartości.

Niestety — wszystko to są czyste abstrakcye. Najpierw jest nieprawdą, ażeby ludzie spożywali dziś tę samą ilość zboża co dawniej, przynajmniej jeżeli się przez to rozumie pszenicę; owszem jedzą jej o wiele więcej, gdyż w wieku poprzednim żywiono się przedewszystkiem zbożem gorszącego gatunku. Przeciwnie, jest bardzo możliwem, że z czasem, skoro się powiększy spożywanie mięsa i jarzyn, to konsumcya zboża się zmniejszy. A przypuszczając nawet, że użyteczność zboża pozostałaby nadal stałą, to zawsze jeszcze jeden czynnik jego wartości podlegać będzie zmianie, a tym jest mniejsza lub większa łatwość w nabywaniu zboża, już to wprost za pomocą produkcyi rolniczej, już to pośrednio drogą międzynarodowej zamiany.

To jednak nie ulega wątpliwości że co do zmiany swej wartości, zboże przedstawia *wprost odmienne* właściwości od tych, które charakteryzują drogie kruszce. I z tego tytułu może być obok nich zastosowane, jako dość dobry środek kontroli.

2. *Wartość jednego dnia pracy*, biorąc pod uwagę pracę najgorzej wynagradzaną.

Ta teorya jest oparta na podwójnej idei: z jednej strony na tem, że istotne i nieodzowne dla istnienia człowieka potrzeby, są dla wszystkich ludzi te same, a z drugiej strony, że w całem społeczeństwie jest pewna liczba ludzi, którzy za swój zarobek w nic więcej nie mogą się zaopatrzyć, jak w to tylko, co należy do pierwszych potrzeb życia. Jeżeli te zasadnicze potrzeby są stałe, to i minimum płacy przeznaczonej na ich zaspokojenie, powinno także przedstawiać jakąś wartość stałą.

Hypoteza niniejsza jest jeszcze bardziej złudną, niż poprzednia. Bo najpierw wcale tego nie dowiedziono, że w każdem społeczeństwie koniecznie musi istnieć jakaś klasa ludności, poprzestająca li tylko na tem, co jest niezbędnem do życia; a zresztą oczywista, że co innego było niezbędnem dla parobka w XII-tym wieku, a co innego jest niem dla chłopa za dni naszych; czego innego potrzebuje robotnik

w Ameryce, a czego innego człowiek pracujący w Chinach. Jeden będzie wygodnie żył z tego, z czego by drugi musiał umrzeć z głodu.

3. Ilość pracy. Tę teoryę przedstawił *Adam Smith* i *Ricardo*, a szerzej rozwinął ją *Karol Marx*.

Nie trzeba mięszać tej teoryi z poprzednią, jak to niesłusznie czyni wielu ekonomistów, a może pierwszy uczynił *Adam Smith*. Zupełnie inną rzeczą jest brać jako miarę wartości rzeczy — *wartość pracy*, tak jak dopiero co przedstawiliśmy, n. p. cenę rękodzieła, jednem słowem płacę, — a zupełnie inną, uważać za miarę wartości *ilość pracy* t. j. ilość trudu poniesionego, o którym teraz właśnie mówimy.

Oryginalność tej teoryi polega, jak widzimy, na tem, że ona wcale nie zamierza oznaczać wartości rzeczy za pomocą innej jakiejś wartości, lecz tylko za pomocą ilości *innego rodzaju*, jest to więc metoda zupełnie odmienna od tych, któreśmy dotychczas poznali. Ta teorya polega na tem, że pomiędzy wartością każdego przedmiotu a ilością pracy nań wyłożonej zachodzi stały związek w ten sposób, że pierwszą z nich można mierzyć za pomocą drugiej. A jeżeli kto zapyta, jak się mierzy samą ilość pracy, to na to odpowiemy: trwaniem jej, t. j. ilością dni lub godzin wyłącznie poświęconej tej pracy. Tak więc *czas* ostatecznie staje się wspólną miarą wszystkich wartości.

To też słusznie twierdzimy, że ludzie łożą tem większe trudy na produkcyę jakiejś rzeczy, im bardziej jej pragną, czyli innemi słowy im większą jej przypisują wartość. I tak samo, jak dotychczas mierzyliśmy wartość rzeczy ofiarą, jaką ktoś gotów był ponieść celem pozyskania jej — n. p. ilością pieniędzy danych przez kupca — tak samo także możemy ją mierzyć ofiarami czasu i trudu, jakie ludzie z chęcią ponoszą, by daną rzecz wytworzyć. W tem właśnie znaczeniu można przyjąć piękne zdanie *Adama Smitha*, że praca była pierwszym pieniądzem, którym ludzie wszystko kupowali. Pomimoto ta teorya natrafi na wielkie trudności albowiem praca daleką jest od tego, aby być dobrą miarą;

ją samą przez się trudno jest ocenić, a czas jej trwania jest miarą bardzo niedoskonałą.

III.

Co to jest cena?

Wartość jakiejś rzeczy można w tysiączny sposób wyrazić. Homer powiada, że zbroja Dyomeda wartała sto wołów, Japończyk jeszcze przed kilku laty powiedziałby, że warta tyle a tyle centnarów ryżu, a znów czarny mieszkaniec Afryki, że tyle a tyle metrów materyi bawełnianej, myśliwy w Kanadzie, że tyle a tyle skór lisów albo wydr, Francuz lub Amerykanin XIX wieku powie, że warta tyle i tyle franków względnie dolarów. — Każde z tych wyrażeń jest w swoim rodzaju mierzeniem wartości, lecz tylko to ostatnie, które polega na oznaczaniu wartości jednej rzeczy za pomocą wartości pewnej ilości sztuk złota lub srebra, — nazywa się *ceną*.

A zatem cena jakiejś rzeczy, jest to wyrażenie stosunku jaki istnieje między wartością tej rzeczy a wartością pewnego ciężaru złota lub srebra, albo krótko mówiąc — jest to jej wartość, wyrażona w pieniądzach, a ponieważ we wszystkich krajach cywilizowanych pieniądz jest jedyną miarą wartości przeto słowo „cena“ stało się synonimem tego rodzaju wartości. I jest to jedyny sposób wyrażenia wartości, jakiego istotnie zwykle używamy, jakkolwiek teoretycznie moglibyśmy używać nieskończenie wielu innych. Zupełnie tak samo, jak przy mierzeniu długości, mówi się zawsze tylko o metrach i centymetrach, choć moglibyśmy także wyrażać długość przez porównanie ze wzrostem człowieka, wysokością drzewa lub niewiedzieć jaką inną długością.

Nie mniej jednak nie należy mieszać ceny z wartością, jak to czyni lud i n. p. sądzić, że ponieważ cena dwóch rzeczy jest taka sama na dwóch różnych miejscach, to i wartość ich powinna koniecznie być taką samą, albo na odwrót, ponieważ cena jakiejś rzeczy się zmieniła, to i wartość jej

powinna w tym samym stosunku uledz zmianie. Takie rozumowanie może być bardzo błędne.

Przypuśćmy w istocie, że wartość drogich kruszców uległaby zmianie, to rzecz jasna, że i wartość wszystkich rzeczy, którą oznaczamy za pomocą wartości drogich kruszców, także powinnaby się zmienić; a więc i cena ich zmieniłaby się także i to mianowicie w stosunku odwrotnym do zmiany, jakiej uległy drogie kruszce.

Gdyby n. p. długość metra albo raczej długość obwodu ziemi, której metr jest tylko podpodziałem, wskutek jakiegoś szczególnego zjawiska, zmniejszyła się o dziesiątą część, to czyż nie naturalna, że wszystkie przedmioty, którebyśmy mierzyli na przyszłość, zdawałyby się nam przez to o jedną dziesiątą dłuższe lub wyższe? Tymczasem nicby się nie zmieniło w rzeczywistości, byłoby to tylko złudzenie, spowodowane skróceniem jednostki miary. Tak samo, gdyby pieniądz, a raczej drogie kruszce, które go stanowią, stracił $^1/_{10}$ część na wartości z powodu zjawiska już nie tak zadziwiającego, n. p. wskutek zbytniej obfitości złota lub srebra, to jasnem, że i cena wszystkich przedmiotów, w pieniądzu wyrażona, podniosłaby się na pozór o jedną dziesiątą.

To też można postawić zasadę, że: *każda zmiana w wartości pieniądza wywołuje zmianę w cenie, ale w stosunku odwrotnym*[1]).

Ponieważ zaś mniejsza lub większa ilość pieniędzy jest głównym czynnikiem oddziaływającym na ich wartość, przeto postawićby można i tę drugą zasadę, chociaż nie tak bezwzględnie prawdziwą jak pierwsza, mianowicie: *każda zmiana w ilości pieniędzy powoduje w pewnym stosunku*

[1]) A twierdzenie na odwrót czy byłoby również prawdziwe i czy możnaby twierdzić, że każda zmiana w cenie przypuszcza odwrotną zmianę w pieniądzu? Zaiste można, ale tylko wtedy, gdyby zmiana w cenie była *w istocie powszechną*, tj. gdyby objawiła się na wszystkich przedmiotach. Jeżeliby zaś tylko to się objawiło przy niektórych wytworach, wówczas przypuścić należy, że zmiana ceny tych lub owych przedmiotów widocznie zależną jest od przyczyn poszczególnych, im samym właściwych.

zmianę w cenie. Jeżeli np. ilość pieniędzy podwoi się w jakimś kraju, to z pewnością podniosą się ogromnie ceny; wszelako niebezpiecznem byłoby utrzymywać, że się ich cena także podwoi[1]).

IV.

Czy miara (miernik) wartości nie jest zagadnieniem nierozwiązalnem?

Zadaniem wspólnej miary jest *porównywać dwie rzeczy, znajdujące się w dwóch różnych miejscach*, które temsamem nie mogą być wprost porównywane ze sobą; albo *porównywać tą samą rzecz w różnym czasie* i przekonywać się, czy się zmieniła i do jakiego stopnia. Metr dozwala nam porównywać wzrost Lapończyków ze wzrostem Patagończyków i dokładnie wymierzać, o ile jedni są wyżsi od drugich. On dozwoli nam także, jeżeli będzie używany lub przynajmniej znany po upływie tysięcy lat, porównywać ludzi tych przyszłych czasów z ludźmi za dni naszych i przekonać się, o ile ich wzrost się zmienił.

Rzecz jasna, że nasze orzeczenia o tyle tylko będą dokładne, o ile nabierzemy pewności, że długość miary używanej w Laponii jest taka sama, co w Patagonii, i że taką samą będzie za tysiąc lat. Niezmienność rzeczy, obranej za wspólną miarę, *niezmienność w przestrzeni i w czasie*, występuje więc jako niezbędny warunek jej dobroci.

Podobnych usług żądamy od wspólnej miary wartości, tj. od pieniędzy. Chcemy bowiem za pomocą niej porównywać wartość towarów, znajdujących się w różnych

[1]) Ta druga zasada nie jest bezwzględnie prawdziwą, albowiem ilość nie jest jedynym czynnikiem, który wpływa na wartość pieniędzy. Rozwój zamiany, wzrost ludności i zastąpienie metalicznego pieniądza środkami kredytowemi, mogą różnie podziałać na użyteczność pieniędzy, a przez to i na ich wartość, niezależnie jednak od jakiejkolwiek zmiany w ich ilości.

miejscach, zarówno jak i wartość jednej rzeczy w różnych epokach.

Jakże wielkie znaczenie ma dla kupca zboża wiadomość, czy zboże jest więcej warte we Francyi, czy w Rosyi lub czy go w tym roku więcej zebrano, niż w poprzednim! Lecz na cóżby się zdały te obliczania, jeśliby wartość towaru obranego za jednostkę miary, tj. wartość pieniądza, nie była we Francyi i w Rosyi taką samą, i to zarówno tego roku, jak i poprzedniego? Czyż nie potrzeba zatem, aby także wartość pieniądza spełniała warunek każdej wspólnej miary, tj. aby była niezmienną w przestrzeni i w czasie?

Atoli z poprzedniego wiemy, że wartość każdej rzeczy ulega zmianie, a więc i wartość kruszców drogich, — jakkolwiek w mniejszych rozmiarach, niż innych przedmiotów. To też wydaje się, że szukanie wspólnej miary wartości jest zadaniem nierozwiązalnem, a nawet sprzecznem w samem sobie — kwadraturą koła ekonomii politycznej. Taką przynajmniej jest prawie jednozgodna opinia ekonomistów.

W zupełności nie zgadzamy się na to zdanie. Wprawdzie musimy zaprzeczyć możności wynalezienia jednostki miary zupełnie niezmiennej, jednak warunek ten nie jest bezwzględnie konieczny. Prawdę mówiąc, w żadnej dziedzinie nauki nie znamy miary, którąby nie podlegała wcale zmianie. Nawet metr z platyny, z wielkim trudem i kosztem ulany dla paryzkiego Muzeum przemysłowego i mający służyć jako wzór miary dla wszystkich krajów, które przyjęły system metryczny, zmienia długość z każdą zmianą temperatury; lecz nic to nie szkodzi, albowiem znając współczynnik rozszerzalności, można poczynić potrzebne poprawki. Litr wody destylowanej, służący nam jako jednostka do mierzenia wagi, pod nazwą kilograma, w rzeczywistości zmienia swój ciężar na każdym stopniu szerokości geograficznej i przy każdym metrze wysokości nad poziomem morza. Lecz znanem jest prawo tych zmian i podług niego się je uwzględnia. To też niby nam nie szkodziło, choćby nasz miernik wartości podlegał zmianom, *jeślibyśmy tylko mogli je poznać*

i bliżej oznaczyć; nic potem łatwiejszego, jak zrobić potrzebne poprawki.

Tak więc całą rzecz można sprowadzić do pytania: czy jest w naszej mocy poznać i obliczyć te zmiany?

Otóż przypuśćmy, że w dniu dzisiejszym wykonano dokładnie spis cen wszystkich towarów, nie wyłączając żadnego. Przypuśćmy następnie, że za 10 lub 100 lat zostanie przeprowadzony znowu drugi spis, a porównawszy go z dawnym przekonamy się, że wszystkie ceny bez wyjątku podniosły się o 50%, natenczas na podstawie dostrzeżonych i stwierdzonych zmian będziemy mogli twierdzić, że wartość pieniądza zmniejszyła się w rzeczywistości o 33%. Albowiem odtąd każda rzecz, która dawniej kosztowała 2 franki, kosztuje 3 fr., czyli temsamem 3 franki nie wartają teraz więcej, niż dawne dwa, a w skutek tego pieniądz stracił $^1/_3$ część swej wartości.

Ale zapytać ktoś może, co za przyczyna upoważnia nas do podobnego wniosku?

Oto następująca. — Zjawisko takie, jak *powszechna i jednakowa zwyżka cen*, dopuszcza dwie tylko możliwości: albo potrzeba przypuścić, że wszystkie rzeczy w stosunku do siebie pozostały takiemi, jakiemi nam się wydają, to znaczy, że wszystkie towary uległy zwyżce powszechnej i zupełnie równej — albo też przypuszczamy, że wartość jednej tylko rzeczy, t. j. pieniądza uległa zniżce, niepociągając zresztą za sobą żadnej zmiany we wszystkich innych towarach. — Którąż tedy wybrać z tych dwóch hypotez? Zdrowy rozum nie pozwala ani chwili się wahać. O ile druga z nich jest prosta i łatwa, o tyle pierwsza nieprawdopodobna, z powodu, że przypuszcza nader dziwny zbieg okoliczności. Cóż bowiem za przyczynę możnaby sobie wyobrazić, któraby równocześnie i z równym skutkiem wpływała na wartość przedmiotów najbardziej się różniących tak pod względem swej użyteczności, jak ilości i sposobu produkcyi, — i któraby sprawiała, żeby na raz i w równym stosunku wzrastała cena jedwabiu i oliwy, zboża i dyamentów, koronek i win, ziemi i wyrobów przemysłowych, — słowem przed-

miotów, nie mających żadnej wspólności ze sobą, które zupełnie nie zależą jedne od drugich? — Oświadczyć się za tą drugą możliwością, byłoby zarówno nierozumnem, jak w celu wyjaśnienia ruchu gwiazd kierować się raczej systemem Ptolomeusza, niż Kopernika. Wspomniany ruch można również w dwa sposoby wytłomaczyć, albo przez posuwanie się całego sklepienia niebieskiego z wschodu na zachód, albo po prostu przez obracanie się ziemi w kierunku odwrotnym. Otóż nawet w braku wszelkich dowodów wprost, nie możnaby się wahać, którą z tych dwóch hypotez wybrać. Boć jakże sobie wyobrazić, aby te ciała niebieskie, tak różne ze swej natury i tak cudownie obok siebie rozłożone, jak: słońce, księżyc, planety i gwiazdy stałe, mogły tak razem naprzód kroczyć, zachowując przytem i swój porządek i odległości wzajemne, słowem zupełnie taksamo jakby żołnierze na manewrach?

Tożsamo rozumowanie odnosi się do zwyżkowego ruchu, jakiemu ulegają ceny — to też dla naszego umysłu jest on rodzajem optycznego złudzenia, albowiem ten ruch jest tylko *pozorny*, bo spowodowany prawdziwym, lecz odwrotnym ruchem pieniądza.

Prawda, że zjawiska nie przedstawiają się w sposób tak prosty, jakeśmy to przypuszczali. I tak nigdy nie można wykazać powszechnej i równej zupełnie zwyżki cen; przeciwnie, ponieważ wartość każdej rzeczy ma odrębne przyczyny, dla których zmianie ulega, przeto nieraz można stwierdzić, że niektóre ceny poszły w górę i to w bardzo różnym stosunku, podczas gdy inne pozostały niezmienne, a inne nawet spadły. Mimoto, ilekroć można stwierdzić za pomocą dobrze przeprowadzonego rachunku przeciętną ogólną zwyżkę cen naprzykład o 10%, to nie inaczej ona powstaje, jak tylko w sposób dopieroco podany, tj. przez odpowiednią zniżkę pieniądza. Zatem bardzo łatwo zrozumieć, że za pomocą zmian w cenach można obliczać zmiany miernika wartości, a nawet w terminach oznaczonych ogłaszać wykazy tych zmian, *któreby mogły służyć jako urzędowy kurs do usuwania błędów, wynikających w praktyce z używania pie-*

niądza jako miernika wartości. N. p. na tej postawie możnaby pozwolić dłużnikowi, który pożyczył 100 fr., uiścić się z długu przez zapłacenie tylko 90 fr., albo na odwrót zmusić go do zapłacenia 110 fr., odpowiednio do tego, czy stwierdzonoby zwyżkę czy zniżkę wartości pieniędzy o 10%.

V.

Czy pieniądz wyróżnia się czemś wśród wszystkich innych dóbr?

Jeżeli chodzi o ogólną opinię ludzi, to odpowiedź na to pytanie nie będzie wątpliwą. Wszędzie i po wszystkie czasy, przynajmniej w społeczeństwach cywilizowanych, przyznawano pieniądzowi wyższe miejsce w rzędzie dóbr, ku którym się zwracają starania i upodobania ludzkie. Uważano go, jeżeli nie za najwyższe dobro, to przynajmniej jako jedno z najznaczniejszych i prawdę powiedziawszy, wszystkie inne dobra zdajemy się oceniać tylko odpowiednio do wartości pieniędzy, jaką przedstawiają, lub za jaką je można dostać. Być bogatym, znaczy posiadać albo pieniądze, albo środki do pozyskania takowych.

Ciekawem byłoby śledzić w historyi rozwój tej idei, która pojęcie bogactwa łączyła z posiadaniem pewnej ilości złota. W wiekach średnich objawia się ona w próbach alchemistów, chcących inne kruszce w złoto zamienić i ziścić to, co się „wielkiem dziełem“ nazywać miało; a chodzi im przy tem nie tyle o odkrycie chemiczne, ile o ekonomiczny przewrót. Za przybyciem znowu pierwszego okrętu z Ameryki, entuzyazm ogarnia ludzi starego świata i radzi im, ażeby do nowej podążyć ziemi, do tego istnego Eldorado i aby tam znaleść wybawienie ze swej nędzy. W czasach późniejszych ideę, o której mówimy, urzeczywistniają rządy, siląc się na zaprowadzenie słynnego systemu merkantylnego, którego

zadaniem miało być gromadzenie złota w krajach, które go nie posiadały, a zakaz wywożenia go z tych, które dostatecznie były w niego zaopatrzone. I dziś jeszcze to dążenie przebija w tych uprzedzeniach, z jakiemi mężowie stanu i finansiści śledzą pilnie przypływ i odpływ pieniędzy z kraju, który zdaje się pochodzić z chwiejności między wywozem a przywozem towarów do kraju.

Jeżeli jednak zwrócimy się do ekonomistów, to odpowiedź będzie zupełnie odmienna. Można powiedzieć, że właśnie tem sprzeciwieniem się powszechnej opinii daje ekonomia polityczna po raz pierwszy znak swego istnienia. Oto zaraz w pierwszych chwilach swego istnienia, wypowiada już przez usta Boisguillebert'a, że: „pieniądz sam przez się jeszcze wcale nie jest „dobrem“ i że zamożność kraju bynajmniej nie zawisła od jego ilości.“ Odtąd niema już ekonomisty, któryby nie traktował pieniądza z prawdziwą pogardą i nie zapewniał, że jest to tylko towar, podobny do wszystkich innych, a nawet o wiele od nich niższy pod względem znaczenia, albowiem sam przez się bezpośrednio nie jest zdolnym do zaspokojenia jakiejkolwiek potrzeby naszej, ani też do sprawienia nam rozrywki, — przez to właśnie *pieniądz jest jedynem dobrem, o którem możnaby powiedzieć, że jego obfitość lub rzadkość są objawami zupełnie obojętnemi.* Jeżeli w kraju jest mało pieniędzy, wtedy każda sztuka monety będzie posiadała większą siłę nabywczą, jeżeli znów jest ich dużo, to siła nabywcza każdej się zmniejszy. A to przecież dla nas jest zupełnie obojętnem!

Te dwie opinie, choć na pozór sprzeczne, można bardzo dobrze ze sobą pogodzić. Publiczność bowiem ma racyę z punktu widzenia *indywidualnego*, z którego jedynie ma zwyczaj każdą rzecz oceniać; ekonomiści znowu mają słuszność ze *społecznego* punktu widzenia.

Każdą sztukę monety musimy uważać, jako „przekaz“ (bon) na wszystkie inne istniejące dobra, nadający swemu posiadaczowi prawo nabycia jakiejś cząstki tych dóbr, stosownie do jego woli, aż do wysokości wartości samegoż pieniądza.

Rzecz jasna, że w interesie każdego z nas leży, by posiadać największą możliwie liczbę tych „przekazów“ i że tem bogatsi będziemy, im więcej ich będziemy posiadali.

Rozumie się samo przez się, że przekazy te nie mogą ani nas nasycić, ani naszego pragnienia ugasić; tak naiwni zresztą nie jesteśmy i jeszcze przedtem, zanim ekonomiści odkryli tę prawdę, starożytna legenda opisywała nam malowniczo króla Midasa, umierającego z głodu wśród bogactw, które niebacznie na złoto przemienił. Niemniej jednak sądzimy, że o wiele wygodniej jest posiadać tego rodzaju dobra, niż jakiekolwiek inne i doskonale wiemy dlaczego. Jeżeli weźmiemy pod uwagę organizacyę naszych społeczeństw, to zauważymy, że każda osoba, pragnąca pozyskać dla siebie jakiś przedmiot, jeżeli go sama nie wytwarza, (a takich właśnie jest ogromna większość), musi go nabyć za pośrednictwem podwójnego działania, które polega najpierw: 1) na zamianie produktów własnej pracy lub samej tylko pracy na pieniądze, co się nazywa *sprzedażą*; 2) na wymianie tych pieniędzy na przedmioty, których się pragnie, co znów zowie się *kupnem*. Otóż druga z tych dwóch czynności, t. j. kupno, jest nader łatwą, mając bowiem pieniądze, zawsze można to kupić, co się komu podoba. Lecz pierwsze zadanie, t. j. sprzedaż, jest w porównaniu nieskończenie trudniejsza, gdyż, choć się posiada jakiś przedmiot, to jeszcze nie zawsze łatwo dostać za niego pieniądze. Posiadacz zatem pieniędzy znajduje się w położeniu o wiele korzystniejszem, od posiadacza jakiegoś przedmiotu; albowiem pierwszego czeka jedno tylko zadanie bardzo łatwe, tymczasem drugi ma do wykonania dwa, z których jedno często wcale nie jest łatwem. To też bardzo dobrze powiedziano, że *każde inne dobro, pozwala zadość uczynić tylko pewnej szczególnej i oznaczonej potrzebie, podczas gdy pieniądz pozwala zaspokoić jakąkolwiek potrzebę, zupełnie do woli naszej*. Posiadacz jakiegoś towaru może nie wiedzieć, co z nim zrobić, lecz kto posiada pieniądze, bynajmniej się o to nie kłopocze i zawsze znajdzie tego, coby je wziął. A jeśliby ich przypadkiem nie mógł sam użyć, to przynajmniej znajdzie sposób, aby je na lepsze czasy zachować;

a to nie zawsze da się uczynić z jakimkolwiek innym towarem [1]).

Jeżeli jednak nie będziemy uwzględniali stanowiska jednego tylko indywiduum, ale weźmiemy pod uwagę ogół jednostek tworzących społeczeństwo, wtedy punkt widzenia zmieni się, a natomiast tem bardziej prawdziwem okaże się zdanie ekonomistów, utrzymujących, że to rzecz obojętna, czy jest pieniędzy więcej, czy też mniej. W rzeczywistości na niewiele mi się przyda to, że ilość pieniędzy, którą posiadam, powiększy się dziesięć razy, *jeżeli tejsamej zmianie ulegną pieniądze u wszystkich członków społeczeństwa.* — W tym wypadku wcalebym się nie stał przez to bogatszym, ponieważ bogactwo jest rzeczą czysto względną, i nie byłbym w stanie czynić zadość swoim potrzebom w sposób bardziej obfity, niż dotychczas; — skoro bowiem ogólna suma tych dóbr, od których zawisło znaczenie pieniądza, bynajmniej się nie powiększyła, przeto każda sztuka pieniądza mogłaby na przyszłość rościć sobie prawo tylko do ilości dziesięć razy mniejszej — innemi słowy, każda sztuka pieniądza miałaby siłę nabywczą dziesięć razy zmniejszoną — czyli

[1]) Pieniądz, oprócz tej własności, że jest jedynym bezpośrednim *środkiem nabywania*, posiada jeszcze drugą bardzo ważną, mianowicie, że jest jedynym *środkiem zwalniania od zobowiązań.* Niema żadnego dobra, któreby posiadało tę moc szczególną, albowiem tak prawo jak i zwyczaj nie uznaje innego sposobu zwalniania od zobowiązań, prócz zapłaty pieniądzmi. Nie ma osoby w świecie handlowym lub przemysłowym którąby codzień nie była dłużnikiem mniejszej czy większej sumy. I na darmo posiadanoby w jakimś sklepie dużo towarów, choćby nawet ich wartość przewyższała sumę długów (w istocie nieraz się wydarza w przypadku upadłości, że po przeprowadzeniu całego obrachunku, stan czynny okazuje się wyższym od stanu biernego), gdyby w chwili potrzeby nie miano pod ręką tego uprzywilejowanego dobra, które się pieniądzem zowie. W podobnym wypadku musiałby być ogłoszonym stan upadłości. Czyż wobec tego może jeszcze zadziwiać, dlaczego tak wielką przypisujemy wagę temu towarowi, od posiadania którego jest w każdej chwili zależnym nasz kredyt i nasz honor?

inaczej, ceny wzrosłyby dziesięć razy, a temsamem moje położenie pozostałoby takiesame, jak pierwej.

Jednakowoż *jednym krajom w stosunku do drugich*, taksamo jak i jednostkom w swych wzajemnych stosunkach [1]), zależy na tem aby, w pieniądze były zawsze zaopatrzone. Gdyby ilość pieniędzy, obiegających we Francyi, dziesięć razy się powiększyła, to z pewnością nicby się przez to nie zmieniły stosunki jednych Francuzów do drugich, (przypuszczając, że to powiększenie byłoby dla wszystkich stosunkowo równem) ale za to wielkiej zmianie uległoby położenie Francyi wobec innych narodów, a ekonomiści nie mieli dlatego słuszności w swojej walce przeciwko systemowi merkantylnemu, zaprzeczając tak oczywistemu zjawisku. Prawda, że wszystkie sztuki monety, z powodu swej wielkiej obfitości, straciłyby we Francyi na swej wartości, nie zaś gdzieindziej; owszem zachowałyby niezmienioną siłę na bywczą na obcych targach, a Francya tymczasem mogłaby powiększyć miarę zaspakajania swych potrzeb, odpowiednio do wzrostu ilości pieniędzy [2]).

Twierdzenie ekonomistów, że mniejsza czy większa obfitość pieniędzy jest rzeczą obojętną, wtedy dopiero stanie się bezwzględnie prawdziwem, gdy obejmiemy myślą już nie tylko jedno indywiduum, albo nawet jeden kraj, — ale zbiorowo cały ród ludzki. To też z całą pewnością można twierdzić, że, choćby odkryto kopalnie złota sto razy obfitsze

---

[1]) Zawsze jednak *w mniejszym stopniu*, niż jednostki, albowiem wzajemne stosunki kredytowe i handlowe nie zachodzą tak często pomiędzy państwami, jak wśród jednostek, — i pieniądz, czy to jako środek nabywania dóbr, czy to jako środek zwalniania od zobowiązań nie odgrywa takiej roli w stosunkach jednego kraju do drugiego, jak w stosunkach jednostki do jednostki. Wszelako nabiera on coraz to większego znaczenia w miarę tego, jak się rozwijają stosunki międzynarodowe

[2]) Prawda jednak, że takie uprzywilejowane położenie nie mogłoby potrwać czas dłuższy. Patrz o tym przedmiocie w rozd. o „międzynarodowym handlu.“

od dziś istniejących, to jeszczeby ludzie przez to nie odnieśli żadnej korzyści; byłoby to raczej nieprzyjemnym objawem, albowiem w tym razie złoto nie wartałoby więcej niż miedź i zmuszeni bylibyśmy wtedy dźwigać po kieszeniach takie stosy monety, jak owe z żelaza, które Lykurg chciał zaprowadzić w Sparcie.

KSIĘGA II.
PRODUKCYA.

CZĘŚĆ I.
Warunki produkcyi indywidualnej.

Czynniki produkcyi.

Nasamprzód musimy się zająć warunkami produkcyi *indywidualnej*, a rozumiemy przez nie te, którymby człowiek podlegał, nawet gdyby sam żył na świecie tak, jak Robinzon na swej wyspie. Następnie zajmiemy się warunkami produkcyi *społecznej*, to znaczy temi, którym ludzie podlegają jako członkowie społeczeństwa, a które inaczej nie występują na zewnątrz, przynajmniej nie rozwijają się, jak tylko z postępem cywilizacyi.

Na podstawie uświęconej już dziś tradycyi, rozróżniają trzy czynniki produkcyi: *ziemię, pracę i kapitał.* Ten podział potrójny ma tę korzyść, że jest prosty i dogodny, lecz z tego względu nie ma racyi, iż nie wypowiada tego, co potrzeba, a nieraz mówi o tem, czego nie potrzeba.

Najpierw nie jest poprawnym dlatego, że stawia na równej stopie czynniki produkcyi, bardzo nierówne pod względem swej doniosłości; i tak n. p. z jednej strony pracę, która jest prawdziwym czynnikiem produkcyi, a z drugiej znów kapitał, który jest tylko narzędziem jej; — z jednej strony pracę i naturę, będące *pierwotnemi* czynnikami każdej

produkcyi, a z drugiej kapitał, który jest tylko czynnikiem *pochodnym*, albowiem sam jest wytworem dwóch pierwszych.

Po drugie nie jest zupełnym, gdyż pomija niektóre warunki produkcyi, zarówno ważne jak te, które wylicza, a mianowicie czas, miejsce i t. p.

Powinniśmy sobie przedstawiać produkcyę indywidualną w sposób następujący:

Człowiek jest jedynym właściwie czynnikiem produkcyi, w ścisłem słowa tego znaczeniu, to znaczy, że jedynie on tylko może powziąć pomysł wszelkiej czynności wytwórczej. A ta działalność człowieka, o ile zdąża do produkcyi dóbr, nazywa się *pracą*.

Lecz człowiek swej działalności nie może wykonywać w próżni, on nie działa tak, jak Stwórca za pomocą *fiat*, ale, aby coś uczynić, potrzebuje nadto pewnych warunków, które zaraz podamy. Jest ich pięć:

1. Pewna ilość *surowca*. Człowiek, jak dopieroco mówiliśmy, nie może jakiejkolwiek rzeczy wytworzyć z niczego, jest to zatem *conditio sine qua non*.

2. Pewien *obszar ziemi*. Celem wytworzenia czegokolwiek, potrzeba odpowiedniego miejsca, choćby tylko, aby sam warsztat ustawić.

3. *Pewien czas*. Człowiek w swoich czynnościach ograniczony jest czasem, zarówno jak i przestrzenią. Żadna czynność wytwórcza nie może być nieskończoną co do czasu. A zobaczymy, że niniejszy warunek zarówno jak i poprzedni, wcale nie posiada charakteru czysto metafizycznego, owszem, sprowadza bardzo ważne następstwa ekonomiczne i wielkie ma znaczenie praktyczne.

4. *Odpowiednie narzędzia*. Przy pracy wytwórczej nie może się człowiek obejść bez tych narzędzi, które, jak trafnie powiedziano, odgrywają dla niego role organów uzupełniających. Pomiędzy wieloma definicyami, wyróżniającemi człowieka od zwierzęcia, znajduje się także i ta, że człowiek jest to robotnik, który za pomocą narzędzi pracuje.

5. *Sprzyjające warunki naturalne*, rozumiejąc przez to warunki klimatyczne, geograficzne, geologiczne etc. etc. Dzia-

łalność człowieka, podobnie zresztą, jak wszystkich istot żyjących, jest zależna od warunków, wśród których żyje i wśród których ma się rozwijać.

Oto porządek, według którego powinnibyśmy rozebrać warunki indywidualnej produkcyi. Lecz mimo tego, że pozostajemy przy naszem zdaniu i za błędny uważamy dawny podział — to jednak jesteśmy zniewoleni przyjąć go tu, przynajmniej dla formy: trudno bowiem w książce tego zakresu, co niniejsza, zrywać z podziałem jednozgodnie przyjętym we wszystkich książkach i we wszystkich wykładach. Jedno tylko możemy zrobić t. j. do ram dawnego klasycznego podziału, starać się zarazem i nasz podział wprowadzić, o ile to będzie możliwem (w wielu bowiem razach nie przyjdzie to z łatwością). Rozbierzemy tedy po porządku: „ziemię“ albo raczej „przyrodę“, „pracę“ i „kapitał“ i wykażemy w każdym z tych trzech rozdziałów te warunki, które dopieroco wyliczyliśmy.

ROZDZIAŁ I.

Przyroda.

Przez słowo „przyroda“ wcale nie trzeba rozumieć jakiegoś ściśle określonego czynnika produkcyi, gdyż w takim razie to słowo nie określałoby zrozumiałego pojęcia, — lecz jest to *ogół odwiecznie istniejących żywiołów, których nam nasze otoczenie dostarcza* [1]).

[1]) Niekiedy nazywamy to *ziemią*. I wyraz ten jest równoznacznym, jeżeli się przez niego rozumie nietylko grunt uprawny, ale całą kulę ziemską. Naturalnie, że tylko zewnętrzna skorupa naszej planety jest tą cząstką wszechświata, która może posłużyć za teatr naszej działalności ekonomicznej. Skoro jednak widzieliśmy, jak narody potrafiły zużytkować ogień rodzimy, znajdowany w aerolitach, spadłych z nieba, i skoro my również zapożyczamy bezpośrednio od słońca jego światła do fotografii, jego ciepła znów do maszyn Mouchot'a, przeto zdaje się, że słowo „przyroda“ będzie określeniem ściślejszem.

Ażeby człowiek był w stanie wytwarzać (produkować), potrzeba, aby mu przyroda dostarczyła, jak to powiedzieliśmy w poprzednim rozdziale, przyjaznych *warunków*, wystarczającego *miejsca* (obszaru)[1]) i zdolnego do użycia *surowca*. Przyroda dostarcza mu również *sił poruszających*, które jego machiny w ruch wprawiają. Kilka słów teraz o każdym z tych czterech sposobów współdziałania przyrody.

I.

Warunki naturalne.

Historycy lub filozofowie mogą przesadnie opisywać wpływ warunków naturalnych na rozwój społeczny i polityczny narodów, trudno jednak przesadzić, gdy się mówi o ich wpływie na rozwój ekonomiczny i na siłę wytwórczą narodów. Powietrze, woda i ziemia wywierają stanowczy wpływ na rozwój ludzkich społeczeństw.

A więc: 1. *Klimat.* W krajach strefy gorącej może rozkwitnąć najświetniejsza nawet cywilizacya, lecz nigdy nie widziano tam ras pracowitych i przemysłowi oddanych. Tam natura swoją hojnością i swoją potęgą zdaje się produkcyę pozbawiać odwagi. W tym szczęśliwym klimacie, „gdzie chleb rośnie, jakby owoc jaki,“ gdzie łagodna temperatura zwalnia od starania się o odzież, a nawet o mieszkanie, człowiek przywyka do zdawania wszystkiego na naturę, a sił własnych oszczędza. Z drugiej strony siły przyrody w tych okolicach występują z taką gwałtownością i tak trudno je opanować w jej rozmaitych objawach, jak n. p. w nawałnicach, powodziach, trzęsieniach ziemi, cyklonach etc., że nawet nieustraszony skądinąd człowiek, nie może myśleć o tem, aby je uśmierzyć i swym celom powolnemi uczynić; ledwie, że zdoła tylko bronić się przed niemi. W naszej umiarkowanej strefie przy-

[1]) Montesquieu, jak wiemy, stanowczy wpływ przypisywał klimatowi.

roda jest dość skąpą i dość surową, aby zmusić człowieka do liczenia na własne siły, — ale z taką znów grozą na zewnątrz nie występuje, iżby jej umysł ludzki złagodzić nie zdołał. To też można powiedzieć, że nasza strefa sprzyja produkcyi, gdyż, choć nam jednych rzeczy odmawia, to w innym względzie znowu z pomocą nam spieszy.

2. *Położenie geograficzne.* Któżby mógł wyobrazić sobie, że Anglia byłaby pierwszą na świecie potęgą morską i handlową — gdyby nie była wyspą?[1]) Jeżeli się zapytamy, dlaczego Afryka, znana w całej starożytności, która nawet była teatrem rozwoju najstarszej cywilizacyi, mianowicie egipskiej, aż do dnia dzisiejszego pozostała w tyle poza wszelkim ruchem ekonomicznym, podczas gdy dwie Ameryki, odkryte od czterech zaledwie wieków, są poprzecinane wzdłuż i wszerz liniami handlowemi, — to głównej przyczyny należy szukać w odmiennem rozłożeniu rzek. Podczas gdy rzeki Nowego Świata olbrzymiemi łożyskami uchodzą do oceanu, a sieci ich są tak rozgałęzione, że z dorzecza La-Platy można się dostać do dorzecza Amazonki, albo z jeziora utworzonego przez Missisipi do Wielkich-jezior, prawie nie opuszczając drogi wodnej — to tymczasem rzeki afrykańskie, lubo nie mniej szerokie od tamtych, jednak w dolnych częściach swych biegów przedstawiają dla żeglugi przeszkody, jak katarakty lub zaraźliwe bagniska.

3. *Układ geologiczny* powierzchni ziemi i niższych jej warstw nie mniejszej jest doniosłości. W istocie od niego to zawisła produkcya rolnicza, tudzież przemysł górniczy. Obawa, z jaką Anglia oblicza, kiedy się w jej licznych kopalniach węgiel wyczerpie, dostatecznie dowodzi, jakie znaczenie posiada węgiel dla rozwoju całego przemysłu. Chiny mają swoją „ziemię żółtą“, Rosya znowu wiele zawdzięcza swej bogatej „czarnej ziemi“, i to naprawdę bogatej, albowiem według

[1]) Gdyby potrzeba było dowodu na to, jak ważną rolę odgrywa dla Anglii ten pas wody, który ją od lądu przedziela, to znaleźlibyśmy go z pewnością w tem dziwnem przerażeniu, jakie wśród Anglików niedawno powstało na samą myśl połączenia Anglii z kontynentem za pomocą podmorskiego tunelu.

obliczeń statystyków, zawiera ona w sobie nie mniej, jak za 16 miliardów franków azotu.

Wydawałoby się na pierwszy rzut oka, że człowiek nie może zmieniać warunków naturalnych, czyli innemi słowy — że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko zastosować się do nich. Jednakowoż człowiek nie przestaje ciągle wywierać dobroczynnego wpływu na te warunki, jakkolwiek z pewnością tylko w bardzo ograniczonym stopniu.

I tak n. p. z punktu widzenia geologicznego: nie może człowiek tam zakładać kopalni, gdzie niema za czem kopać, ale może za pomocą nawozów w najrozmaitszy sposób przerabiać uprawną ziemię, — może bagniska, sadzawki, a nawet zatoki zasypywać urodzajną ziemią i t. p.

Co się znowu tyczy położenia geograficznego, to człowiek wprawdzie nie może zmieniać tych wielkich granic, jakie z natury istnieją, lecz może wydoskonalić i uzupełniać sieć dróg wodnych wewnątrz kraju, może usuwać przeszkody, jakie w jednym miejscu nastręczają góry, a znów w innem wody, przeprowadzając drogi ponad nie, albo jeszcze lepiej popod ich koryta. Tak n. p. Afrykę oderwano od lądu stałego, próbowano odłączyć Amerykę Północną od Południowej etc. Zapewne klimatu zmienić niepodobna, jednakowoż za pomocą wytrzebienia lasów, przeprowadzonego na wielką skalę, za pomocą pewnych rodzajów uprawy, a może jeszcze za pośrednictwem innych szczególnych środków, których dotychczas nie uznano [1]), przemysł ludzki zdoła kiedyś w sposób jeszcze bardziej stanowczy zapanować i nad deszczami i wiatrami.

---

[1]) Kilku uczonych postawiło wniosek, aby wielkie prądy morskie, jak *Gulf-stream* i t. p., zwrócić w stronę przeciwną, a to celem rozdzielania ciepła lub zimna na lądzie, podobnie jak się rozprowadza po miastach gaz lub wodę.

II.

Miejsce [1]).

Człowiek potrzebuje na ziemi miejsca jakiegoś, choćby tyle tylko, aby mógł swobodnie stanąć. Już więcej miejsca potrzeba do przespania się, jeszcze więcej, aby dom wybudować, a o wiele więcej jeszcze — aby je zbożem obsiać lub na niem trzodę paść.

Otóż ta kwestya miejsca staje się bardzo ważną, ilekroć ludność w jakimś kraju dojdzie do pewnej gęstości. Kiedy istoty ludzkie, idąc za swym popędem życia wspólnego, zaczną się gromadzić w jednem z takich olbrzymich mrowisk, jak n. p. Paryż, Londyn lub New-York, to z czasem zaczyna brakować miejsca potrzebnego na mieszkanie. Widzimy wtedy, że place pod budowę nabierają większej wartości, niż same budynki na nich postawione, choćby to były pałace z marmuru, a to wszystko wywołuje opłakane objawy społeczne, jak to zobaczymy, mówiąc o czynszach.

Byłoby to absurdum obawiać się, że nadejdzie kiedyś dzień, w którym zabraknie miejsca na ziemi na mieszkania ludzkie — ale wcale nie jest niedorzecznem zapytać się, czy zawsze będzie na ziemi miejsca na tyle, aby się ludzie mogli wyżywić... Przecież sporego potrzeba obszaru, aby wystarczył na wyżywienie jednego człowieka. Prawda, że postęp cywilizacyi i rolnictwa ustawicznie zdąża, do możliwego zmniejszenia tej przestrzeni. U ludów myśliwskich potrzeba było dla każdej jednostki kilku mil kwadratowych, u ludów pasterskich — już kilku kilometrów kwadr., ludom

---

[1]) Słowo *ziemia* (terra), którego się zwykle używa, łączy w sobie kilka w związku ze sobą będących pojęć: najpierw pewien *kawałek powierzchni ziemi* i to właśnie nazywamy miejscem, potem *ogół tych surowców*, jakich dostarcza ziemia i jej wnętrze, a wreszcie *wiele czynników fizycznych i chemicznych*, które ustawicznie działają w ziemi uprawnej, pod postacią światła, ciepła, wilgoci, elektryczności etc. etc.

rolniczym wystarcza na to kilka hektarów, a w miarę tego, jak uprawa extenzywna przechodzi w intenzywną, ta granica coraz bardziej się zmniejsza. Chiny, dzięki uprawie intenzywnej, która stała się prawie ogrodową uprawą — doszły do tego, że jeden hektar może tam wyżywić więcej osób, niż u nas. Mimo tego jednak, że ta przeszkoda ciągle maleje, to przecież istnieje jeszcze zawsze i wystarcza aby ród ludzki nadal niepokoić o jego przyszłość.

Bez wątpienia, kiedy człowiekowi zaczyna brakować przestrzeni, to jej może gdzieindziej poszukać. Odkrycie Nowego Świata i Australii nieskończenie rozszerzyło obszar zdolny do zamieszkania przez człowieka, i zapewniło miejsce jeszcze dla wielu a wielu pokoleń. Lecz ta rezerwa na przyszłość jednego dnia się wyczerpie. Jeżeli już obliczamy z niejaką obawą ilość węgla, która pozostaje nam jeszcze do spalenia — to z tem większą pewnością możemy obliczyć ilość ziemi, która pozostaje do zajęcia. W istocie już nie mamy więcej nadziei odkrycia ziem nowych. Jeżeli jeszcze nie cała powierzchnia ziemi jest zamieszkałą, a nawet nie cała poznaną, to przynajmniej cała jest już zmierzoną. Zanim jeszcze jeden wiek upłynie, a już ostatnia piędź ziemi wolnej będzie zajętą, ostatni zagon zasiany i odtąd cały rodzaj ludzki będzie zmuszony zadowolnić się 13 miliardami hektarów swego dziedzictwa, nie mogąc nawet spodziewać się więcej nowych zdobyczy. — I pociechą będzie dlań wtedy powtarzać wiersz, (skądinnąd zresztą nie bardzo usprawiedliwiony), który Regnard napisał na jednej skale Lapońskiej: *Et stetimus tandem, ubi defuit orbis.*

II.

Surowce.

Materyały surowe, z których jest utworzona skorupa ziemi aż do tej nie wielkiej głębokości, do której my dotrzeć możemy, tudzież *ciała organiczne*, pochodzące od istot

żyjących, (roślin lub zwierząt) zaludniających powierzchnią ziemi — dostarczają przemysłowi *surowców*. Surowiec jest niezbędny dla przemysłu, albowiem stanowi podstawę każdego dobra.

Niektóre z tych materyałów natura użyczyła nam w olbrzymiej obfitości, a znów inne, w których okazała się bardzo skąpą. Do pierwszych można n. p. zaliczyć te, które tworzą samą skorupę ziemską, jak granit, wapień, glina a także i woda, tak słodka jak i słona, zajmująca trzy części powierzchni ziemi. Przeciwnie znów — kryształy węgla, zwane dyamentami, albo niektóre kruszce, jak złoto lub rtęć, napotykamy tylko w ilości nieskończenie małej. Zaznaczyć tu musimy, że nawet te materyały, których ilość jest bardzo wielką, mogą być nie mniej rzadkie, jeżeli je weźmiemy pod uwagę ze względu na pewną okolicę. Z pewnością na świecie jest tyle budowlanych kamieni, że możnaby z nich tysiące takich stolic, jak Paryż wystawić, ale to wcale nie przeszkadza, aby ich nie brakowało do budowy w takiej miejscowości, gdzie dawniej była Niniwa, lub gdzie dziś stoi Londyn. Chlorek sodu (sól), istnieje w niezliczonej ilości, lecz w Afryce środkowej jest tak kosztownym, że odgrywa rolę pieniądza. Woda słodka jest jednem z tych ciał, które powszechnie stawia się za przykład dóbr o nieograniczonej ilości. Tymczasem nie ma miasta większego, w któremby woda nie znajdowała się w niedostatecznej ilości i gdzieby jej nabytek nie trzeba było okupywać wielką pracą. Prawdę powiedziawszy, znamy tylko jedyne ciało, które się wszędzie znajduje w nieograniczonej ilości, a tem jest — powietrze atmosferyczne, wśród którego znajdujemy się i w którego objęciach cała kula ziemska zawisła, — a przecież jeżeli zażądamy od tego powietrza pewnych szczególnych warunków czy to zdrowotnych, czy ciepła, czy też zimna, to i ono okaże się niewystarczającem na dogodzenie wszystkim. Jeżeli w Cannes albo w Nicei płaci się 100 franków za metr piaszczystego gruntu, to nie płaci się tyle za prawo własności ziemi, ile raczej za używanie powietrza i korzystanie z takich promieni słonecznych, o jakie trudno gdzieindziej.

Gdy chodzi o takie materyały, które się znajdują w wielkiej obfitości, lecz są nierówno rozdzielone, wtedy przemysł ludzki zaradza tej niedogodności, przenosząc je na to miejsce, w którem ich potrzeba. Dlatego to, jak zobaczymy, przewóz jest naprawdę aktem produkcyi. Ale ponieważ materya z powodu swego ciężaru i bezwładności przedstawia pewien opór przenoszeniu jej z miejsca na miejsce, który może być bardzo znacznym, i ponieważ siły i koszta potrzebne na zwyciężenie tego oporu, rosną proporcyonalnie do odległości, przeto przemysł dalekim jest jeszcze od pokonania wszystkich tych trudności i tylko może w pewnej mierze, łagodzić te nierówności panujące w przyrodzie. Na każdy sposób, człowiek jest dzisiaj tak zaopatrzony w środki do tego rodzaju czynności, że osiągnięte rezultaty posiadają już ogromne znaczenie.

Co się zaś tyczy materyałów, których ilość rzeczywiście jest ograniczona, to widocznem jest, że człowiek powiększać jej nie może. Stworzenie atomu nawet, jak wiemy, nie leży w mocy od człowieka. Lecz zapomocą połączeń i rozkładów chemicznych, można częstokroć wytwarzać ciała, jakich się potrzebuje. Jeżeli n. p. zabraknie dyamentów, to może kiedyś będzie można pozyskiwać je przez skrystalizowanie węgli, a jeżeli znów węgla zabraknie, to może będzie można otrzymywać go z węglanu wapna, tak rozpowszechnionego w składzie skorupy ziemskiej. W każdym innym przypadku przemysł ludzki musi się zadowolnić wyszukaniem jakiegoś *środka zastępczego*, to znaczy jakiegoś ciała, mającego analogiczne własności z tem (ciałem), którego braknie; a prawie zawsze, łatwiej czy trudniej, uda się znaleść takie ciało, albowiem w tej nieskończonej ilości ciał organicznych i nieorganicznych wiele jest takich, które mają podobne właściwości i które przez to mogą się uzupełniać w pewnej mierze [1]).

---

[1]) Wskutek licznych polowań na słonie zagrażał brak kości słoniowej, tymczasem w lasach Amazonki znaleziono roślinną kość, która doskonale może zwierzęcą zastąpić.

IV.

Siły poruszające.

Praca wytwórcza polega jedynie, jak zobaczymy, na zmianie i przemianie materyi. Opór, jaki stawia materya z powodu swej bezwładności, może być znaczny, wobec czego niknie siła muszkułów człowieka. Po wszystkie czasy zatem — a zwłaszcza odkąd zniesienie niewoli nie pozwala za darmo korzystać ze sił swoich bliźnich — człowiek starał się uzupełnić swą słabość zapomocą pewnych sił poruszających, których mu natura dostarcza. Nie są one bardzo liczne, jakkolwiek obliczenia pod tym względem są dosyć różne. Prawdę mówiąc, człowiek może tylko cztery siły spożytkować dla produkcyi: *siłę muszkułów u zwierząt, siłę poruszającą wiatru i biegu wody*, a przedewszystkiem *siłę rozprężającą gazu* a w szczególności pary wodnej.

Oto przy pomocy *maszyn* może człowiek spożytkować siły przyrody. Maszyna jest tylko użytecznem narzędziem, które zamiast być poruszane ręką ludzką, jest w ruch wprawiane siłą przyrody n. p. spadkiem wody, parą etc. Lecz ze względów mechanicznych trudnem jest dla człowieka zadaniem, owładnięcie jakiejkolwiek siły przyrody, która choć raz oporu nie stawia, to drugi raz znowu jest nie do opanowania — nie łatwo ją zmusić, aby obracała koło, aby posuwała hyblem, lub wprawiała w ruch statek. Należy przytem zauważyć, że im potężniejsze są te siły natury, tem więcej czasu i trudu potrzebuje człowiek, aby je spożytkować i do swych celów zastosować. I to jest zupełnie naturalnem, że opór wzrasta w stosunku prostym do wielkości siły.

Oswojenie pewnych *zwierząt*, jak konia, wołu, wielbłąda, słonia, renа, psa Eskimosów etc. dostarczyło ludziom pierwszej siły naturalnej, którą umieli spożytkować przez użycie jej do zaprzęgu. I to już było wielką zdobyczą, gdyż zwierzę jest stosunkowo o wiele silniejsze od człowieka. Siła konia jest równą sile 7 ludzi, podczas gdy jego utrzymanie o wiele

mniej kosztuje. Jednakowoż liczba tych zwierząt jest zawsze ograniczoną, a staje się jeszcze tembardziej ograniczoną, im kraj jest gęściej zaludniony, albowiem na wyżywienie ich potrzeba dosyć miejsca; to też wobec tego siła poruszająca zwierząt nie przedstawia zbyt wielkiego znaczenia.

Siła poruszająca *wiatru i biegu wód*, była po wszystkie czasy używana do przewozu, a już w starożytności do obracania młynów. Siła to bardzo potężna. Obliczono, że siła poruszająca biegu wód w samej tylko Francyi, którą się traci niepożytecznie, przedstawia siłę pary mniej więcej 30 milionów koni parowych, to znaczy siłę, co najmniej równą sile wszystkich ludzi w wieku zdolnym do pracy, zamieszkujących całą kulę ziemską. Jeden wodospad taki n. p. jak Niagara wystarczyłby dla wszystkich fabryk Anglii. Cyklon, pustoszący wszystko w kilku godzinach swego istnienia, rozwija tyle siły poruszającej, że mogłaby wystarczyć dla wszystkich fabryk całego świata, przez tysiąc lat, gdyby potrafiono ją zużyć; a prawdziwie już niewyczerpane rezerwoary sił tworzą bałwany, unoszące się na powierzchni morza, lub przypływ morza, który dwa razy na dzień ogarnia sobą tysiące mil na wybrzeżach. Niestety człowiek nie znalazł dotąd środków, aby z tego korzystać. Te siły znajdują się jeszcze w stanie dzikim, są zanadto gwałtowne, to znów za złabe, albo nieregularne. To też takich sił, któreby mogły świat cały podnieść, używamy dzisiaj zaledwie do obracania młynów.

Siła rozprężająca *pary wodnej*, albo raczej ciepło wywiązujące się z węgla, którego tylko przekształceniem jest ta siła, ma przeciwnie tę nieocenioną korzyść, że człowiek może jej używać *gdzie chce, kiedy chce i jak chce*. Jest ona ruchomą, przenośną, stałą, wielką lub małą — stósownie do potrzeb. Możemy za jej pomocą wywołać ciśnienie 1, 2 3, 4.... i 10 atmosfer i w teoryi przynajmniej, nie przebrać jeszcze ostatecznej granicy [1]). Słowem siła pary wo-

---

[1]) Wystarczyłoby ogrzać wodę do 516°, co jeszcze nie jest zbyt wysoką temperaturą, aby wywołać ciśnienie 1,700.000 atmosfer, a zatem więcej jeszcze siły, niżby jej trzeba było do

dnej jest sztuczną, w tem rozumieniu, że nie przyroda wytworzyła ją, tylko człowiek wywołuje ją dla swej usługi i każe jej tak działać, jak tego zachodzi potrzeba. Najuleglejszy nawet niewolnik, nigdy z takiem posłuszeństwem nie uginał się pod jarzmem.

Przedhistoryczny wynalazca, o nazwisku niestety na zawsze nieznanem, ubóstwiony od wdzięcznego ludu pod imieniem Prometeusza, który pierwszy z dwóch krzemieni wykrzesał iskrę, ani nie przeczuwał nawet, gdy się zastanawiał nad tym płomieniem, powstałym raczej przypadkiem niż siłą z geniuszu, — jak cudowną potęgą obdarzył przemysł ludzki. Z początku niewątpliwie zaspakajał ogień najniższe potrzeby domowego życia. Potem używano go do celów przemysłowych, jak do wydobywania, przelewania i obrabiania metali. Jako siły poruszającej zaczęto go dopiero wtedy używać, kiedy odkryto siłę wybuchową, jaką jedna iskra może udzielić innym materyom, to znaczy, z wynalezieniem prochu strzelniczego; i w tej też formie i my go dziś używamy, nietylko do strzelania na odległość kilku kilometrów, ale zarazem i do innych przemysłowych celów. Lecz dopiero od tego czasu, kiedy Newcomen (1705) a później James Watt (1769) użyli ciepła do wytwarzania *pary wodnej*, szczelnie w rezerwoarach zamkniętej, i w ten sposób stworzyli to cudowne narzędzie [1]) nowoczesnego przemysłu, które się zowie *maszyną*

---

podniesienia gór Himalaya. Jedna tylko zachodziłaby trudność t. j. znaleść naczynie, któreby mogło wytrzymać taki opór...

[1]) Powiedziałem „cudowne“ — mianowicie w stosunku do wyświadczanych usług. W rzeczywistości zaś parowa maszyna jest przeciwnie narzędziem bardzo nie doskonałem, w tem rozumieniu, iż zużytkowuje tylko bardzo niewielką część, najwięcej $^1/_{10}$ część tego ciepła, które się wywiązuje przez spalenie węgla. Ogromna strata ciepła następuje w przejściu z ogniska do kotła i znowu bardzo znaczna, jakkolwiek już mniejsza, w przejściu z kotła do właściwej maszyny. To też inżynier Bon mógł wyrzec te słowa: „Spodziewam się, że nie minie lat dwadzieścia, kiedy ostatnie egzemplarze tego ogromnego aparatu będą złożone w muzeach między kamiennemi narzędziami naszych pra-pradziadów.

parową — od tego czasu dopiero ogień stał się prawdziwym sprzymierzeńcem przemysłu.

Z pewną obawą możemy teraz zapytać, co się stanie z przemysłem ludzkim, skoro dnia jednego zabraknie mu węgla — chyba będzie musiał zagasić swoje ogniska [1]).

Już zaczęto się zastanawiać nad tem, czy nie będziemy musieli zaczerpnąć kiedyś z innego źródła, mianowicie ze słońca, — tego ciepła, którego nam będzie potrzeba [2]). Przypuściwszy nawet, żeby nam się to udało, to siła zapożyczona od słońca miałaby tę wadę innych sił przyrody, że nie możnaby było korzystać z niej *wszędzie*, gdzieby się chciało, ani *kiedy*by się chciało, ani wreszcie *w tym stopniu, jakby się* chciało. Gdyby słońce miało w ruch wprawiać nasze fabryki, cóżtoby za klęska była wtedy dla Anglii? Gęste mgły morza Północnego pogrzebałyby cały przemysł angielski, a odtąd w głębi Sahary znalazłby ludzki przemysł największe kapitały.

W każdym razie chcąc osiągnąć korzyści z tej niezmiernej siły biegu wód, trzeba najpierw znaleść sekret na *przenoszenie* tej siły z jednego miejsca na drugie, aby ją *tam* zużytkować, gdzie tego potrzeba, a po drugie trzebaby wiedzieć, jak *gromadzić* te siły chwilowo działające, w ten sposób, ażeby z nich można było skorzystać *wtedy, kiedy* byśmy tego potrzebowali. Otóż właśnie *elektryczność* nadaje się do oddania nam tej podwójnej usługi [4]). Może kiedyś bę-

---

[1]) Nasze rozumowania opieramy częstokroć na dość nierozważnych podstawach. I tak powiadają, że ciepło będzie można zastąpić elektrycznością, tymczasem jednym z najgłówniejszych środków w praktyce znanych, któremi możemy wytwarzać elektryczność, jest właśnie maszyna parowa.

[2]) W słońcu posiadamy źródło prawdziwie nieobliczalnych sił, których działanie na jeden kilometr kwadratowy posiada siłę pary o natężeniu sześciu milionów koni. W tym celu uczyniono już próby za pomocą maszyny Mouchota, jednakowoż nie doprowadziły one jeszcze do pożądanych rezultatów.

[3]) Doszło już do tego, że można przenosić siły tak samo, jak depesze, za pomocą prostego drutu telegraficznego miedzianego, tylko cokolwiek grubszego od zwykłych. Również

dzie można siłę poruszającą rozdzielać pomiędzy mieszkania tak, jak dziś wodę lub gaz, i może wystarczy wtedy kurek tylko odkręcić, ażeby potrzebną siłę otrzymać.

ROZDZIAŁ II.

Praca.

I.

Jaką rolę odgrywa praca w produkcyi?

Dla urzeczywistnienia swych celów, a zwłaszcza dla zadośćuczynienia potrzebom swego istnienia, każda istota żyjąca musi wykonywać pewną pracę. Nawet samo nasienie musi zadać sobie pracy, aby podnieść stwardniałą powierzchnię ziemi, która je przykrywa, i tak wydostać się na powietrze i światło. Ostryga przyczepiona do swego pnia, otwiera i zamyka skorupy, aby z otaczającego ją płynu zaczerpnąć dla siebie pożywienie. Pająk snuje swą pajęczynę. Lis i wilk chodzą na łowy. I człowiek nie może się uchylić z pod ogólnego prawa, — i on musi ustawicznie się starać, aby czynić zadość swoim potrzebom [1]). To staranie bezwiedne u rośliny, instynktowe u zwierzęcia, odbywa się u człowieka z wiedzą i wolą i nosi nazwę *pracy*.

Czy niema jednak pewnych dóbr, któreby człowiek mógł nabyć bez pracy, t. j. przynajmniej tych, których mu przyroda tak hojnie dostarcza?

Najpierw trzeba zauważyć, że z pośród tego rodzaju dóbr, które *wytworami* nazywamy, jednego nawet nie ma, któreby nie wymagało do pewnego stopnia współdziałania

---

można gromadzić elektryczność za pomocą *akumulatorów*, używanych dziś do wprawiania w ruch tramwaju, statku, balonu.

[1]) „Bogowie, powiada Xenofont, udzielają nam wszystkich dóbr za cenę pracy“.

pracy. To już wynika wynika ze samej etymologii słowa „wytwór“ *productum* t. j. to co zostało z czegoś wytworzone. Otóż, któż to wytworzył, jeżeli nie ręka człowieka? Ażeby owoce mogły służyć naszym potrzebom, i to nawet takie, których nam sama przyroda dostarcza, jak owoc z drzewa chlebowego, banany, daktyle, następnie muszle, tak zwane „owoce morza“ — potrzeba przecież trudu człowieka przy zbieraniu. Otóż to zbieranie zaiste przedstawia pewną pracę, która stósownie do okoliczności może nawet stać się bardzo uciążliwą.

Należy zresztą zaznaczyć, że zazwyczaj nie posiadamy dokładnego pojęcia o tem, jak znaczną rolę odgrywa praca, zwłaszcza przy powstawaniu tych wytworów, które się niewłaściwie „naturalnemi“ nazywają. Przyzwyczajeni jesteśmy naprzykład utrzymywać, że wszystko to, co wyrasta z ziemi, jak zboże, jarzyny, owoce, płynie ze szczodrobliwości tej ziemi — tej *alma parens rerum*. Tymczasem w rzeczywistości, większa część roślin, które ludziom służą na pożywienie, jeżeli nie utworzona, to przynajmniej do tego stopnia (przekształcona) zmieniona została przez uprawę i pracę setek pokoleń, że dotąd botanicy nie mogą odszukać ich pierwotnych typów. I tak zboża, kukurudzy, soczewicy, bobu nigdzie nie można odszukać w stanie dzikim. A nawet gatunki, które znaleziono w stanie natury, różnią się nadzwyczajnie od pokrewnych sobie a uprawianych. Pomiędzy kwaśnemi jagodami dzikiego wina a słodkiemi winogronami,—pomiędzy jarzynami lub soczystemi owocami naszych sadów a twardemi korzonkami lub wilczemi jagodami, etc. będącemi nieraz trucizną— jest taka różnica, że snadnie można te jarzyny, czy owoce uważać za sztuczne wytwory, mianowicie za prawdziwe wytwory ludzkiego przemysłu. Dowodzi tego zresztą i ta okoliczność, że skoro się przerwie na parę lat bezustanną pracę nad ich uprawą, wtedy te wytwory natychmiast zaczną się, jakto mówią, wyradzać, co po prostu oznacza, że znów powracają do swego naturalnego stanu, utracając przy tem wszystkie zalety, jakiemi ich przemysł ludzki obdarzył.

Są jednak pewne dobra, nie będące wytworami pracy, właśnie dlatego, że nie są „wytworami“, to znaczy, że *poprzedzają swem istnieniem wszelki akt produkcyi.* Do tych należy najpierw ziemia wraz ze wszystkiemi dobrami, bądź to surowcami, bądź też dobrami do użytku zdolnemi, których dostarcza, a więc źródła tryskające wodą albo naftą, drzewa, łąki naturalne, kopalnie kruszców lub węgla, wodospady mogące obracać koła młyńskie, kamieniołomy, nawóz ptaków morskich składany po wybrzeżach, stawy obfitujące w ryby, muszle, korale, — jednem słowem pierwotne zapasy, z których czerpiemy nasze dobra. Zaiste są to dobra i to najważniejsze ze wszystkich pod względem doniosłości, a istnieją one niezawiśle od wszelkiej pracy ludzkiej.

W każdym razie, ażeby sobie wyrobić należyte pojęcie o roli, jaką praca odgrywa w produkcyi, trzeba jeszcze zauważyć.

1) Że te dobra, istnieją tylko o tyle jako dobra t. j. jako rzeczy użyteczne i posiadające wartość, o ile umysł ludzki, po pierwsze — *odkrył ich istnienie* a po drugie, *o ile znalazł w nich te własności, które je czynią zdolnemi do zaspakajania naszych potrzeb.* Weźmy np. pod uwagę jakikolwiek kawał ziemi urodzajnej w Ameryce. Jeśli w istocie jest „dobrem“ to tylko dlatego, że ten, co go uprawia lub inny jaki podróżnik, poszedłszy drogą Krzysztofa Kolumba, sam pierwszy to miejsce odkrył i innym jego istnienie oznajmił. Otóż samo to zjawisko odkrycia, czy ono dotyczy Ameryki, czy też grzybów w lesie, zawsze przypuszcza jakąś pracę.

2) Że te dobra o tyle mogą być *zużytkowane*, to znaczy o tyle tylko mogą czynić zadość potrzebom człowieka, o ile mniej lub więcej ulegną pewnemu działaniu pracy. Jeżeli chodzi o ziemię dziewiczą, to o tyle tylko można z niej korzystać, o ile zostanie wykarczowaną, jeżeli chodzi o jakieś źródło wody mineralnej, to o tyle tylko, o ile będzie można do niego się dostać i wodę do flaszek przelewać, jeżeli znów mowa o grzybach lub muszlach, to o ile będą pozbierane i do garnka wrzucone.

Nawet wobec tych dóbr, zwanych naturalnemi, praca występuje jako prawdziwy czynnik produkcyi, albowiem bez niego istniałyby tak, jakby ich wcale nie było, — i bez niego do niczegoby nie służyły; to też ten czynnik obudza w nich życie i czyni dobra pożytecznemi.

II.

W jaki sposób praca wytwarza?

Widząc, jak nieskończenie różnorodną jest ilość wytworów, powstających w tem zaklętem kole przemysłu ludzkiego, wyobrażamy sobie, że praca musi być potęgą w działaniu swem bardzo zmieniającą się i skomplikowaną, i że to właśnie pozbawia nas odwagi, bliżej ją rozebrać. Lecz wcale tak nie jest. — Praca bowiem nie jest niczem więcej, jak siłą muszkułów, którą kieruje rozum, i nie może wywierać innych skutków, od zwykłej siły poruszającej, i to jeszcze bardzo słabej; to też działalność jej polega tylko na *ruchu* i *zmianie*.

Ta zmiana może być dwojaka: już to zmiana położenia całego przedmiotu, już też zmiana w układzie składowych jego cząstek. W tym ostatnim wypadku, powiadamy właściwie, że przedmiot uległ przekształceniu, jakkolwiek każde przekształcenie polega na zmianie. Wyszukane kształty, jakie glina przybiera w ręku garncarza lub rzeźbiarza, bogate i misterne desenie koronkowe, wychodzące z pod rąk pracownicy, wszystko to są skutki zmian molekułów gliny, lub nitek tkaniny. Wogóle wszystko, co może zdziałać praca człowieka, jest poruszaniem, dzieleniem, łączeniem, mięszaniem, przekładaniem lub porządkowaniem, a więc niczem innem, jak tylko ruchem. Weźmy na przykład pod uwagę produkcyę chleba, i przeglądnijmy jej rozmaite czynności: uprawę ziemi, sianie, koszenie, przewiewanie zboża, mełcie, pytlowanie, rozczynianie, wreszcie pieczenie, — a zobaczymy, że te wszystkie czynności przedstawiają pewne zmiany dokonywane w materyi. Inna rola nie przypada człowiekowi w dziele produkcyi.

Na tem ogranicza się jego możność. Wszystkie zewnętrzne przekształcenia zachodzące w układzie ciał, które wywierają wpływ na ich fizyczne i chemiczne własności, i w ten sposób współzawodniczą z produkcyą, — n. p. ten tajemniczy rozwój, sprawiający, że z nasienia wyrasta roślina, — fermentacya, wskutek której słodki sok owoców przekształca się w napój alkoholiczny, połączenie chemiczne, które sprawia, że za pomocą żelaza i węgla wytwarza się stal — to wszystko nie są dzieła ręki ludzkiej. Do człowieka należy tylko rozporządzić danemi materyałami w sposób odpowiedni, a więc ziarno w ziemię rzucić, sok z owocu ponalewać do beczek, kruszec wstawić do pieca hutniczego, — a reszty dokona sama przyroda.

Gdy widzimy, jak słabą jest ta siła poruszająca człowieka [1]) i jak ograniczoną w swym sposobie działania, tembardziej się nam dziwnem wydaje, że pomimo tego wystarczającą jest, aby świat przekształcić.

Wszelka praca materyalna powinna być właściwie poprzedzoną pracą umysłową, która się nazywa *wynalazkiem*, a która polega na znalezieniu praktycznych środków do tego, aby użyć do naszych celów tych sił, któremi rozporządzamy i tych przedmiotów, do których one mogą się nadać. Wynalazek więc nie jest, jakby ktoś sądził, zjawiskiem rzadkiem, mogącem powstać tylko w głowie człowieka wykształconego; stolarz, który szuka sposobu, jakby najlepszy kawałek wykroić z deski, również czyni wynalazek w właściwem słowa znaczeniu. Robotnik nie wykonuje żadnego ruchu, czyto ramionami czyteż palcami, któryby pierwotnie nie był wynaleziony przez kogoś. To też z tego punktu widzenia możemy powiedzieć, że rozum ludzki jest pierwszym i jedynym czynnikiem wszelkiej produkcyi.

---

[1]) Ta siła człowieka jest stosunkowo słabą, jeżeli się ją porówna ze siłą zwierząt. I tak n. p. jest jedną siódmą częścią siły konia, jakkolwiek koń ani nie jest 7 razy cięższy od człowieka, ani 7 razy większy.

Musimy tu nadmienić, że każdy wynalazek ma ten przywilej, że raz zrobiony, może służyć nieskończonej liczbie aktów produkcyi — czyli lepiej mówiąc — reprodukcyi. A dodajemy zarazem, że ta właśnie okoliczność sprawia największe trudności dla ustawodawcy, ilekroć chodzi o uregulowanie i ochronę własności wynalazku [1]).

III.

Które prace nazwać należy produkcyjnemi?

Jest to rzecz bardzo ciekawa, studyować rozwój różnych doktryn ekonomicznych, jakie w tym względzie panują i widzieć, jak ta nazwa *produkcyjności*, pierwotnie zastrzeżona, tylko pewnej kategoryi prac powoli się rozszerzała, tak aż się na tem skończyło, że ją dziś bez różnicy przyznajemy każdemu rodzajowi pracy.

1) Szkoła fizyokratów przyznaje jedynie pracy *rolniczej* (także rybołowstwu, polowaniu i pracy w kopalniach) nazwę produkcyjnej, a odmawia jej wszystkim innym pracom i to nawet rękodzielniczej. A jako przyczynę tego podaje tę okoliczność, że jedynie tamta praca dostarcza materyi do wszelkich dóbr, którą przemysł tylko przerabia.

---

[1]) Słowa *wynalazku* nie należy mięszać z *odkryciem*, zwłaszcza, że i w pospolitem znaczeniu bardzo się od siebie różnią. Dobrze powiadamy, że Krzysztof Kolumb „odkrył“ Amerykę, lecz byłoby niewłaściwem powiedzieć, że ją „wynalazł.“ „Odkryć“ znaczy wyjawić jakąś rzecz, która istnieje, lecz która była przedtem nieznaną (np. ziemia, ciała, gwiazdy, lub jakaś nowa własność ciała, która jednak już istniała). Tymczasem „wynaleźć,“ jest to wyobrazić sobie nowy zupełnie sposób korzystania z czynników nam znanych, któremi możemy rozporządzać. Odkrycie zatem można uważać jako najpierwszy akt całego wytwórczego procesu, jako pierwsze ogniwo łańcucha, na którem szereg innych zawisł. — I nie ma ziemi istotnie uprawianej, żadnego dobra na prawdę użytecznego, żadnej siły faktycznie zużytkowanej — któreby nie musiały być kiedyś odkryte.

2) Definicya fizyokratów była niezawodnie za szczupłą. Takie materyały, jakich nam dostarcza rolnictwo i górnictwo, zazwyczaj dla naszej konsumcyi zupełnie się nie nadają, gdyż dopiero potrzeba, aby uległy rozmaitym przemianom, które właśnie są dziełem przemysłu *rękodzielniczego*. To też tego ostatniego przemysłu zupełnie nie można rozdzielać od pierwszego, a również i produkcya byłaby bez niego niezupełną, tak jak sztuka, której brak ostatniego aktu. Na cóżby się przydał kruszec wydobyty z kopalni, gdy nie miał przejść przez kuźnię lub przez gisernię? Cóż za korzyść byłaby ze zboża, jeśliby nie przeszło przez ręce młynarza i piekarza? Jeżeli usuniemy pracę tkacza, wtedy len nie będzie dla nas wiele użyteczniejszym od pokrzywy. Z jakiejże racyi mamy odmawiać tym pracom nazwy produkcyjnych, skoro bez nich te dobra byłyby dla nas nieużyteczne, lub innemi słowy nie byłyby wcale dobrami?

Utrzymywać znów, że przemysł rolniczy i górniczy *tworzą* dobra, podczas gdy przemysł rękodzielniczy je tylko przekształca — jest zasadą błędną. Rolnik, jak to już zauważyliśmy, bynajmniej nie tworzy, lecz taksamo tylko przekształca te czynniki, jakie czerpiemy z ziemi tudzież z atmosfery. On wytwarza zboże z wody, potasu, krzemienia, fosforanu i azotu, w sposób zupełnie podobny jak fabrykant mydła, który znowu swoje mydło wyrabia z połączenia sody z ciałami tłustemi. To też począwszy od Adama Smitha, nikt nie wahał się już zaliczać także prace rękodzielnicze do prac produkcyjnych.

3) Co do pracy w *przemyśle przewozowym*, to dłużej trwały wątpliwości pod tym względem, a to z tej przyczyny, iż wydaje się, że sam fakt przewozu nie wytwarza jeszcze żadnej zmiany w przedmiocie. Przesyłka, odchodząca z jednego dworca kolei, czyż nie pozostanie taką samą, aż do swego przybycia na drugi dworzec? To też właśnie na tem, powiadają, polega charakterystyczna różnica między przemysłem przewozowym a rękodzielniczym.

Jednak to wyróżnienie nie jest naukowe, albowiem każda zmiana miejsca jest istotną przemianą ciał, — i, jak to

dopiero co wykazaliśmy, jedyną zarazem przemianą, jaką możemy wywołać w materyi. Jeżeli się zatem sądzi, że zmiana miejsca nie jest dość istotną przemianą, aby ją można nazwać produkcyjną, to wtedy i przemysłowi wydobywczemu trzebaby także odmówić nazwy produkcyjności; cóż bowiem innego czyni górnik, jak tylko przewozi kruszec z dna szybu na powierzchnię ziemi? A czemże znów różni się jego praca od pracy tego, który ten kruszec i węgiel przewozi z kopalni do fabryk? — Chyba, że będziemy twierdzić, że tylko ta zmiana miejsca jest produkcyjną, która się odbywa w kierunku pionowym, a przestaje nią być, skoro swój kierunek zmieni na poziomy!

W końcu zbyteczna nadmieniać, że taksamo, jak przemysł rękodzielniczy jest niezbędnem uzupełnieniem przemysłu rolnego i górniczego, tak przemysł przewozowy jest koniecznem następstwem rękodzielniczego. Albowiem, do czegóżby służyło obdzieranie z kory drzew chinowych w lasach Brazylii, wydobywanie nawozu ptasiego z wysp peruańskich, polowanie na słonie we wschodniej Afryce — gdyby nie było marynarzy i przewoźników, którzyby dostawiali wspomniane wytwory na miejsca, gdzie z nich robią użytek? Cóż przyjdzie posiadaczowi gruntu z najpiękniejszego w świecie zbioru, jeżeli dla braku dróg zboża nie będzie mógł przewieźć? — To tak, jakby go wcale nie posiadał.

4) *Co do przemysłu handlowego,* to wątpliwość jest jeszcze większa.

W istocie można spostrzedz, że czynności handlowe, sprowadzone do swego najprostszego znaczenia t. j. do faktu kupna-sprzedaży (bo taką jest ich prawnicza definicya), wcale dóbr nie tworzą. Niewątpliwie ten, kto się handlowi oddaje, może zarabiać przez to wiele pieniędzy, lecz jeszcze przez tosamo bogactwo społeczne wcale się nie powiększa, a nawet, jak zobaczymy, mnożenie się handlarzy i pośredników może stać się prawdziwą plagą nowoczesnego społeczeństwa. Lecz z drugiej znów strony należy przyznać, że przemysłu handlowego nie można zupełnie odłączać od przemysłu przewozowego; wystarczą za przykład okręty handlowe, które

wywożeniem i przywożeniem towarów sprawiają, że handel wzrasta. O handlujących można nawet powiedzieć, że oni właściwie kierują przewozem na całym świecie, i że przemysł przewozowy to tylko spełnia, co oni rozkażą. — Co więcej, handlujący zajmują się *przechowywaniem* towarów, zaopatrując się w nie na przyszłość, a nawet mogą je do pewnego stopnia zmieniać i tak np. w sklepie bławatnym ze sztuk materyj odcinają kawałki, w handlu korzennym znowu palą kawę etc. W końcu: ponieważ przez ręce handlujących dostają się towary do rąk tych ludzi, którzy mają je spożytkować, przeto, na nich już temsamem kończy się cały proces produkcyi.

5) Najbardziej jednakowoż spierano się o to, czy do prac produkcyjnych należy także zaliczyć i te prace, które polegają na *świadczeniu usług*, a więc *zawody wyzwolone*. Może to trochę śmieszne, uznawać za dobro produkcyjne pracę chirurga amputującego nogę, lub pracę kata, gdy głowę ścina!... Mimo to ostatnie zdanie przezwyciężyło, i już dziś, nie zwracając uwagi na przestarzałe i scholastyczne wyróżnienia, do prac produkcyjnych zaliczamy wszelkie prace, które w jakikolwiek sposób pomagają do zaspokojenia potrzeb człowieka. Jest to logiczną konsekwencyą teoryi poprzednio przez nas rozwiniętej, na podstawie której usługi zarówno należy zaliczać do rzędu dóbr, jak i materyalne przedmioty.

I nawet w razie, gdybyśmy nie przyjęli tego ostatniego punktu wyjścia, i do liczby dóbr zaliczali tylko materyalne przedmioty, to nawet wtedy znaczenie słowa „produkcyjność“ należałoby zatrzymać w tej rozciągłości, co poprzednio. Albowiem w organizmie społecznym, dzięki prawu podziału pracy, o którem później będzie mowa, istnieje taka solidarność pomiędzy pracami ludzi i taki ścisły zachodzi związek między jedną a drugą, że ich niepodobna od siebie oddzielać.

Ot weźmy na przykład produkcyę chleba. Z pewnością bez wahania zaliczymy do prac produkcyjnych prace: oracza, siewcy, żniwiarza, woźnicy, młynarza, piekarza, a również i pracę mitycznego wynalazcy zboża Tryptolema, tudzież jego następców, co różne gatunki zboża odkryli i wynaleźli

już to wogóle zmianę uprawy, już też podniesienie jej intenzywności. Lecz nie możemy poprzestać na tych pracach, ściśle mówiąc, ręcznych. Rzecz jasna, że praca dzierżawcy lub właściciela dóbr, choćby on sam nie przykładał ręki do pługa, mimo to bardzo jest pożyteczną dla produkcyi zboża, zupełnie taksamo, jak praca owczarza jest pożyteczną dla produkcyi wełny, nawet w tym wypadku, gdyby sam nie strzygł owiec. Również nie można pominąć pracy inżyniera, który wykonał plan nawodnienia okolicy, lub pracy architekta, który wystawił zabudowania gospodarcze i spichrze.

Czy należy już na tem zakończyć? Zapewne możnaby, lecz czyż nie przyczyniła się także do produkcyi zboża praca straży polnej, co wypłoszyła złodziei, a dalej praca prokuratora, który ich ścigał, praca sądu, który ich skazał, następnie praca żołnierza, który ochronił cały plon przed pustoszącą ręką zbrojnego nieprzyjaciela. Czyż więc wszystkich tych prac nie trzeba również za produkcyjne uznać? A cóż powiedzieć o tej pracy, którą wykonał sam rolnik lub jego ludzie, o pracy nauczyciela, który w nich wszczepiał pojęcia o rolnictwie i podawał im środki do ich nabycia, o pracy lekarza, który ich wszystkich przy dobrem zdrowiu utrzymywał? Czy można uważać za obojętne dla produkcyi zboża okoliczność, czy robotnicy są zdrowi, pouczeni o spełnianiu swych obowiązków czy też nie? Czy to także obojętna rzecz, że istnieją energiczne rządy, dobra administracya, że panuje porządek, publiczne bezpieczeństwo, słowem, że rolnicy zażywają wszystkich skutków dobrych rządów i praw? A czy mamy prawo wykreślić, jako niedotyczące produkcyi zboża, prace już bardziej oddalone od rolnictwa, jak np. utwory poetów, artystów i literatów? Czy sądzi kto że powieściopisarze nie mogą korzystnie wpływać na rozwój rolnictwa w danem społeczeństwie, przez opisywanie scen z życia wiejskiego taksamo, jak poeci, którzy unosząc się nad urokiem prac w polu, uczą nas powtarzać za autorem Georgik:

Fortunatos nimium, sua si bona norint
Agricolae!

Lecz gdzież się wreszcie zatrzymać? Widzimy bowiem, że koło prac produkcyjnych rozszerza się w nieskończoność, aż do ostatecznych granic społeczeństwa — podobnie jak te koła odśrodkowe na powierzchni wody, które rozchodząc się w koło z punktu, w którym się wodę poruszyło, gubią się gdzieś w dali, zanim jeszcze mogliśmy dostrzedz, jak daleko dotarły... Zapewne, rzec można, że prace, nad któremi dopieroco zastanawialiśmy się, nie wszystkie w równym stopniu przyczyniają się do produkcyi zboża; jedne z nich działają bezpośrednio, drugie znowu w sposób pośredni; ale, prawdę mówiąc, żadnej z nich — począwszy od pracy robotnika, aż do pracy prezydenta rzeczypospolitej — nie można opuścić bez straty dla uprawy zboża.

Chociaż niepodobna, wobec tak rozmaitych prac, dokładnie odgraniczyć jednych od drugich, to na każdy sposób można wśród nich utworzyć pewne stopnie, nie kierując się przytem bynajmniej względami na ich doniosłość, lecz tylko opierając się na ich ekonomicznej użyteczności. Toż według porządku potrzeb ekonomicznych, którym zadość czynią, należałoby pierwsze miejsce przeznaczyć dla odkryć i wynalazków, potem umieścić prace rolnicze, potem rękodzielnicze, z kolei prace przewozu, wreszcie na ostatku prace handlujących i czynności publiczne. Jakkolwiek niniejszy podział może się wydać zbytecznym, to jednak nie od rzeczy było o nim wspomnieć z uwagi, że codzień widzimy, jak bywa coraz bardziej zapoznawanym przez prawa i zwyczaje. I tak na przykład widzimy, jak rządy wydają miliardy na ułatwienie środków przewozu, nie troszcząc się zupełnie o to, czy będzie co przewozić; widzimy również, jak z dniem każdym wzrasta ilość ludzi zajmujących się drobnym handlem, podczas gdy do prac rolniczych coraz mniej ludzi się garnie.

IV.

Trud jako składowy czynnik pracy.

Składnikiem każdej pracy produkcyjnej jest pewien trud. To prawo ma doniosłe znaczenie dla ekonomii politycznej. Gdyby bowiem praca nie była połączona z trudem, wtedy możnaby z góry już wiedzieć, że wiele zjawisk ekonomicznych byłoby innemi, niż obecnie. N. p., gdyby ludzie pracowali jedynie dla przyjemności, natenczas nie byłoby potrzeba wysławiać korzyści własności indywidualnej, jako zachęty do pracy. Najcięższy zarzut, jakiby można zrobić komunizmowi, musiałby upaść.

Dobrze to pojął socyalista Fourier — to też za podstawę przyszłego społeczeństwa, które zamierzał utworzyć, przyjął taką pracę, któraby posiadała urok dla wszystkich. On również oświadczył, że jeżeli praca dotąd była tak uciążliwą, to jedyną tego przyczyną był wadliwy ustrój tegoczesnych społeczeństw; to też w swoim programie usiłował pracę uczynić dla wszystkich ludzi miłą, przez wolny wybór zawodów, przez rozmaitość zajęcia, przez niedługie wykonywanie pojedynczych czynności, przez współzawodnictwo, wreszcie przez tysiące innych, jużto bardzo genialnych, jużto bardzo fantastycznych pomysłów.

Lecz może ktoś zapyta — dlaczego? Przecież praca jest ostatecznie formą działalności ludzkiej, a ta działalność jeszcze sama w sobie nie jest uciążliwa; działać, to znaczy żyć; owszem, zupełna bezczynność jest karą i to tak okrutną, że gdy trwa czas dłuższy w więzieniu celkowem, to skazanego ogłupia, jeżeli już nie zabija. Nie widać istotnej różnicy pomiędzy pracą a wielką ilością ćwiczeń fizycznych, wykonywanych jedynie dla zabawy, choć nieraz wymagają o wiele większych sił, niż praca; ot n. p. jak chodzenie po górach, jeżdżenie łódką, ogrodnictwo, a nawet taniec. Jeżeli Kandydus znajdował przyjemność w uprawianiu swego ogrodu, a Ludwik XVI w robieniu zamków, dlaczegóżby wszyscy ludzie nie mogli znaleść upodobania w pracy?

Kwestya to nieco zawiła. Nam jednak wydaje się, iż można rozwiązać ją w ten sposób, że człowiek znajduje wogóle upodobanie w działaniu o tyle, o ile jakaś czynność sama w sobie jest dlań przyjemną i o ile ta praca jest czynnością zupełnie naturalną. Przeciwnie zaś, skoro ta czynność wystąpi jako *warunek zaspokojenia niezbędnej potrzeby*, skoro trzeba będzie koniecznie ją przedsięwziąć, aby dojść do wytkniętego celu — a to właśnie charakteryzuje pracę — wtedy ona staje się uciążliwą. Pomiędzy tym, który wiosłuje dla przyjemności, a wioślarzem z zawodu, — pomiędzy turystą zwiedzającym góry a przewodnikiem, który mu towarzyszy, — pomiędzy młodą panienką, spędzającą całą noc na tańcu a tanecznicą, która bierze udział w balecie — nie widzę innej różnicy, jak tylko tę, że jedni wiosłują, spinają się i tańczą jedynie, aby wiosłować, spinać się i tańczyć, podczas gdy drudzy wiosłują, spinają się i tańczą na to, aby zarobić na życie. To też ta różnica, jakkolwiek tylko subjektywna, wystarcza już, aby tensam rodzaj pracy jedni uważali za zabawę, a drudzy za trud. Ten, kto chodzi zawsze jedną drogą jedynie dla przechadzki, może w tem znajdować przyjemność, choćby sama droga była mało interesująca; lecz ten, kto dla pewnego celu musi chodzić nią codzień rano i wieczór, temu ta droga wyda się długą i nużącą. Otóż praca, prawie dla całego rodu ludzkiego, jest ową drogą, po której postępować przymusza każdego potrzeba życia, i dlatego też każdy, według słów księgi Genezis: „musi pracować w pocie swego czoła“.

Bezwątpienia praca, nawet najniższa, ma swoje przyjemności, przyjemności, płynące ze spełnionego obowiązku, oraz z dobrowolnego poddania się prawu naturalnemu; wszelako tych przyjemności wewnętrznych mogą kosztować tylko jednostki wybrane. To też zdaje się, że nie chcąc pogrążyć się w bardzo łudzącym optymizmie, nie możemy sobie schlebiać, że doczekamy czasu, kiedy wszyscy ludzie będą pracować wyłącznie dla przyjemności, innemi słowy, kiedy nie będzie ich skłaniał do pracy ani interes, ani przymus.

Aby skłonić człowieka do pracy, a temsamem przezwyciężyć to odczuwanie trudu, jakie rodzi praca, potrzeba siły wyższej, którą dla niewolnika jest bat, dla człowieka zaś wolnego — chęć zaspokojenia swych potrzeb. W każdym człowieku pracującym dwa budzą się uczucia sprzeczne: z jednej strony chęć sprawienia sobie jakiejś *rozrywki*, z drugiej strony chęć *zaoszczędzenia trudu, jaki powoduje praca*. Odpowiednio do tego, które z tych uczuć przeważa na szali, człowiek albo dalej pracuje, albo się wstrzymuje od pracy.

Słusznie zauważa Stanley Jevons, że trud, ponoszony przy pracy, z każdym dniem wzrasta w miarę tego, jak się praca przedłuża, — podczas gdy wynagrodzenie, którego się spodziewamy, nieustannie maleje w miarę tego, jak nasze najważniejsze potrzeby znajdują zaspokojenie. To równoważenie się tych dwóch pragnień, z których jedno skłania do pracy, a drugie radzi zaprzestać jej, oczywista kończy się na tem, że prędzej czy później drugie z nich odnosi zwycięztwo. Zastanówmy się nad robotnikiem, wyciągającym wiadra wody ze studni. Znużenie wzrasta z każdem nowem wiadrem wody, które trzeba ze studni wyciągnąć, z drugiej strony użyteczność każdego wiadra zmniejsza się, albowiem jeżeli pierwsze było niezbędnem dla człowieka do picia, to drugie już służy do napojenia zwierząt, trzecie do zachowania czystości, czwarte do podlewania ogrodu, piąte do mycia podłogi etc. I dopokądże tak będzie czerpał? To zależeć będzie od miary tego oporu, jaki stawia znużeniu ten, kto wodę czerpie, a przedewszystkiem od doniosłości jego potrzeb. Eskimos, który wodzie przypisuje jedyną tylko użyteczność, mianowicie zaspokojenie pragnienia, poprzestanie zaraz na pierwszem lub drugiem wiadrze, lecz Holender, który myje cały swój dom aż po dach, może dopiero po zaczerpnięciu 50 wiader przyzna, że jest dostatecznie zaopatrzonym.

Jeżeli do tej pobudki, którą stanowią potrzeby obecne, czynne, przyłączą się jeszcze potrzeby przyszłości, — jeżeli n. p. w kraju, gdzie woda jest rzadką, robotnik musi myśleć o napełnieniu cysterny na dni posuchy — natenczas może działalność produkcyjna w szczególny sposób wzróść. Wszelako ta

własność zestawiania trudu bezpośredniego z zaspakajaniem potrzeb dalszych, własność, która w rzeczywistości zowie się *przewidywaniem,* pojawia się tylko pośród ras cywilizowanych. Jest ona również charakterystyczna u wieśniaków we Francyi, ludzi pracowitych, a przytem oszczędnych, z czego można wnosić, że oni pracują nie tyle dla zaspokojenia swych potrzeb teraźniejszych, których mają nie wiele, ile raczej, ażeby zaopatrzyć swe przyszłe potrzeby, potrzeby starości, tudzież potrzeby swej rodziny.

V.

Czas jako składowy czynnik pracy.

Tak, jak do wykonania każdej pracy potrzeba pewnego trudu, taksamo też każda praca wymaga pewnego czasu do jej wykonania. Widzieliśmy już, że to jest jednym z istotnych warunków produkcyi, i to warunkiem powszechnym, albowiem sama natura, ilekroć współdziała z człowiekiem w produkcyi, również temu warunkowi podlega. Trzeba bowiem parę miesięcy czekać, zanim ziarno, leżące w ziemi, stanie się kłosem, a wieleż lat upłynie, zanim z żołędzi wielki dąb wyrośnie!

Między chwilą rozpoczęcia pracy, a chwilą otrzymania oczekiwanych rezultatów z danej pracy, upływa zawsze jakiś krótszy lub dłuższy czas, przyczem można stwierdzić, że jest to jakby prawem powszechnem, że im trwanie jest dłuższe, tem praca jest produkcyjniejszą. Kiedy chodzi o pracę, której owoce człowiekowi są codzień potrzebne do życia, które zaraz idą *from hand to mouth* (z ręki do ust), jak mówi Anglik, a więc o taką pracę, jak polowanie, rybołowstwo, zbieranie owoców dziko rosnących, to czas jej trwania może być bardzo krótki, czasem kilka godzin wystarczy. Lecz skoro idzie o prace rolnicze, o wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, o dzieła sztuki, któremi słyną nasze czasy, o kopalnie, o studnie artezyjskie, o koleje żelazne, tunele lub wreszcie o kanały, wtedy potrzeba olbrzymiego czasu do wykonania tych

prac, ale bo też i rezultaty ich są ogromne. Ileż lat upłynie od czasu, odkąd zaczęto przekopywać przesmyk Panamski, aż do tej chwili, kiedy pierwszy statek przez niego przepłynie?

Czas, będąc warunkiem każdej czynności produkcyjnej, jest właśnie, jak niebawem zobaczymy, jedną z głównych przyczyn znaczenia kapitału, a zarazem uprzywilejowanego położenia tych ludzi, którzy go posiadają. Ponieważ trzeba mieć środki na utrzymanie, zanim się doczeka rezultatu swej pracy, przeto żaden robotnik nic może niczego przedsięwziąć, nie otrzymawszy naprzód jakiejś zaliczki — a zaliczek tych dostarczają właśnie kapitaliści.

Nie wystarcza stwierdzić tylko, że czas jest niezbędnym czynnikiem wszelkiej produkcyi, trzeba nadto zaznaczyć, że czas, którym człowiek może rozporządzać, znajduje się w ilości bardzo ograniczonej; nie tyle z powodu, że życie ludzkie jest krótkie, ile raczej dlatego, że człowiek musi spełniać rozliczne zadania. W istocie należy przyznać, że:

1. Nie można pracować *przez wszystkie godziny dnia.* Trzeba bowiem odtrącić czas potrzebny do snu, tudzież do wypoczynku, a doświadczenie uczy, że zbytecznem przedłużaniem dziennej pracy nic się nie zyskuje na jej produkcyjności. Zwyczaj, a nawet samo prawo ustaliły czas pracy dziennej na 12 a nawet na 10 godzin, jednak słynna zasada *trzech ósemek* dąży do skrócenia tego czasu do 8 godzin, a więc do trzeciej części dnia [1]). A więc jedną trzecią część dnia poświęcić na sen, drugą część na pracę, to znaczy na zaspokojenie potrzeb ekonomicznych, wreszcie ostatnią część na zadośćuczynienie potrzebom innego rzędu, niemniej ważnym jak poprzednie, do których należą: rozwój człowieka umysłowy, obowiązki rodzinne i społeczne, kształcenie się, rozrywka (umysłowa i fizyczna) ducha i ciała. Trudno

[1]) Eight hours to work, eight hours to play,
Eight hours to sleep, eight shellings a day.
„Ośm godzin pracy, ośm godzin zabawy, ośm godzin snu i ośm szylingów na dzień“, mówi wiersz starej piosnki angielskiej, która znów weszła w modę, z okazyi ostatnich obrad nad ograniczeniem pracy dziennej (patrz niżej rozdział *o placy*).

wyobrazić sobie, aby w normalnym porządku rzeczy możebnem było jeszcze większą część dnia poświęcić pracy.

2. Nie można pracować *przez wszystkie dni w roku*. Nie ma kraju, w którymby nie istniała pewna liczba dni świątecznych. Anglia i Ameryka ściśle przestrzegają wypoczynku niedzielnego; Anglicy po większej części święcą także nadto popołudnie w soboty, co wraz z innemi świętami czyni mniej więcej 80 dni rocznie. Rosya liczy ich jeszcze więcej z powodu licznych świąt, które uroczyście obchodzi. Kraje takie, jak Francya, które się silą na to, aby nie święcić niedzieli, to święcą za to poniedziałek, a nieraz i wtorek. Rzadko się zdarza, aby robotnik paryski, i to z pośród najbardziej pracowitych, mógł dojść do 300 dni pracy w jednym roku. Zresztą także trzeba odliczyć jeszcze dni choroby. A taksamo tu, jak i gdzieindziej, musimy zauważyć, że przez zwiększanie liczby dni pracy, a przez ograniczanie dni wypoczynku, nic się nie zyskuje, prócz niepotrzebnego zużywania produkcyjnych sił człowieka.

3. Nie można pracować *przez całe życie*, lecz trzeba odtrącić za każdym razem lata dziecinne, a nadto i lata starości w razie, jeżeli się do nich doszło. Przypuszczając, że życie ludzkie dochodzi przeciętnie do 70 lat, a okres produkcyjny rozpoczyna się z 18-tym, a kończy się z 60-tym rokiem, jakkolwiek i to jest zbyt optymistyczne, potrącamy temsamem od całych lat 70-ciu 28 lat nieprodukcyjnych czyli 40%.

Jeżeli tedy, powtarzamy jeszcze raz, człowiek pracuje od 18-go do 60-go roku życia przez 300 dni rocznie, a po 8 godzin dziennie, to doszedłszy do 70-go roku [1]), będzie mógł

---

[1]) Oczywista, że siła wytwórcza jednostki zależy od stosunku pomiędzy dwoma okresami jej życia t. j. pomiędzy podwójnym okresem nieprodukcyjnym (młodość i starość) z jednej strony, a okresem produkcyjnym (wiek dojrzałości) z drugiej strony. Dziecko i starzec nietylko że sami niczego nie wytwarzają, lecz owszem jeszcze spożywają. Wypadkiem najbardziej korzystnym z punktu widzenia ekonomicznego byłoby, gdyby człowiek umierał zaraz, skoroby doszedł do końca okresu produkcyjnego, a przed rozpoczęciem drugiego nieprodukcyjnego peryodu. Śmierć

zaiste, spojrzawszy wstecz powiedzieć, że dobrze pracował przez cały swój żywot, a przecież mimo to pracował tylko 100.800 godzin na 613.200 przeżytych, a więc niespełna niż szóstą część swego życia.

Nic można się przeto dziwić, że człowiek dąży do oszczędzania czasu, i że najczynniejsze narody naszej epoki wzięły sobie za dewizę: *Time is money* (czas to pieniądz).

---

wcześniejsza byłaby zmniejszeniem okresu produkcyjnego, a znów późniejsza, niepotrzebnem zwiększeniem liczby lat nieprodukcyjnych. Dlatego niektóre dzikieludy starców u siebie mordują. Jednakowoż u wszystkich narodów bez wyjątku żywot przeciętny człowieka dalekim jest od osiagnięcia tego kresu. Zazwyczaj chwieje się między 40-tym a 50-tym rokiem najwyżej, to znaczy że okres produkcyjny jest połową, a co najwięcej $^3/_5$ całego istnienia człowieka.

Krajem najbardziej uprzywilejowanym pod względem potęgi wytwórczej jest oczywista ten kraj, który może wykazać największą liczbę ludzi pomiędzy 18-tym a 60-tym rokiem życia, czyli jeszcze *w sile wieku*, jak to się zwykle mówi. Francya, z tego punktu widzenia, znajduje się w dość dobrych warunkach, liczy bowiem na 1000 mieszkańców 610 dorosłych od 15 do 60 roku życia, Niemcy już tylko 565. Ten podział według wieku, zależy przedewszystkiem od przeciętnej długości życia ludzkiego w danem społeczeństwie; im ono jest dłuższe, tem więcej podstawy do przypuszczenia, że i dorosłych będzie większa liczba. W każdym razie jednak i takie rozumowanie może prowadzić do błędnych konkluzyj. Jeżeli n. p. w jednym kraju połowa dzieci umrze przy piersi, podczas gdy w drugim kraju ta sama liczba umrze w 15-tym roku życia, to naturalnie przeciętna długość życia w tym ostatnim okaże się większą, podczas gdy tymczasem warunki produkcyi będą tam o wiele gorsze, niż w pierwszym kraju, i w stosunku do niego liczba głów nieprodukcyjnych będzie w drugim kraju o wiele znaczniejsza. To też zarówno z punktu widzenia ekonomicznego, jak i uczucia mniejszyby się stratę poniosło, gdyby dziecko zaraz po urodzeniu umarło, aniżeli dopiero w 15-tym roku życia.

ROZDIAŁ III.

Kapitał.

I.

Funkcya kapitału w produkcyi.

Zdawałoby się, że praca człowieka przy pomocy przyrody powinnaby już wystarczyć do produkcyi. I w istocie zwierzęta nie posiadają nic więcej, by czynić zadość potrzebom swojego bytu, prócz swej własnej pracy i prócz tych dóbr, których im natura dostarcza. Przecież praca ludzka i przyroda, same sobie pozostawione, wielkich rezultatów nie osiągnęłyby z pewnością. Produkcya ludzka potrzebuje jeszcze czegoś więcej, mianowicie pewnej ilości dóbr, poprzednio już wytworzonych.

Z pośród licznych autorów, którzy nam opowiedzieli historyę Robinzona i którzy wzięli sobie za zadanie przedstawić człowieka zupełnie osamotnionego w walce z potrzebami życia, — nie masz jednego nawet, któryby nie postarał się o dostarczenie swemu bohaterowi kilku jakichś narzędzi lub środków do życia, zazwyczaj uratowanych z jakiegoś okrętu. Wiedzieli bowiem dobrze, że bez tego zastrzeżenia musieliby przerwać opowiadanie zaraz na drugiej stronie, gdyż życie bohatera niebawem musiałoby się skończyć. Na czemże tedy zbywałoby, tym wszystkim Robinzonom? Czyż nie mogli znaleść ratunku w pracy i w bogactwach ziemi urodzajnej, chociaż nieuprawnej? Prawda, lecz mimo tego brakowałoby im jeszcze czegoś, a ponieważ bez tego obejśćby się nie mogli, przeto autorowie musieli się postarać, aby im tego właśnie dostarczyć: brakłoby im dobra wprzód wytworzonego, czyli *kapitału*. — Taką też nosi nazwę trzeci czynnik produkcyi.

Nie trzeba zresztą szukać przykładu aż u Robinzona, ażeby się przekonać o użyteczności kapitału, albowiem i po-

śród naszych cywilizowanych społeczeństw rzecz się ma nie inaczej. W świecie, w którym my żyjemy, nie ma zadania bardziej trudnego do rozwiązania, jak chcieć jakąś rzecz nabyć, kiedy się nic nie posiada. Wyobraźmy sobie człowieka prostego, to znaczy indywiduum, u którego nie widać żadnego postępu, — jakże on sobie radzi, aby wytworzyć dla siebie to, co jest dlań niezbędnem do życia — wogóle, aby utrzymać się przy życiu? Nie trzeba się długo zastanawiać, aby nabrać przekonania, że taki człowiek nie będzie mógł poświęcić się żadnemu zawodowi przemysłu wytwórczego: na polowanie nie pójdzie dla braku strzelby lub przynajmniej sideł, nawet nie będzie mógł zbierać gałganów, gdyż i do tego potrzebowałby kosza plecnego i haczyka. To też znalazłby się w takiej samej nędzy, tak bezsilnym i tak niechybnie skazanym na śmierć głodową, jak ten Robinzon, któryby nic nie ocalił ze swego okrętu, — jeśliby organizacya społeczna nie przyszła mu w pomoc przez dostarczenie środków produkcyi, mianowicie dóbr, pozyskanych już poprzednio przez innych ludzi. Do posiadania tych dóbr mógłby dojść w różny sposób, jeżeli już nie drogą pożyczki (rzecz nie bardzo prawdopodobna, albowiem pożycza się zwykle tylko ludziom zamożniejszym), to sposobem zarobkowania, oddając się na usługi przedsiębiorcy, któryby mu dostarczał pod pewnemi warunkami surowców i narzędzi do produkcyi potrzebnych. W takiem położeniu zazwyczaj znajduje się proletaryat. Niektórzy socyaliści sądzą, że takie stosunki są nieprawidłowe i spowodowane wadliwym ustrojem całego społeczeństwa. Ale tak nie jest: albowiem ta quasi niemożność nabycia dóbr nowych bez pośrednictwa dóbr poprzednio wytworzonych jest prawem naturalnem, równem dla człowieka dzikiego, jak cywilizowanego — taką samą była w czasach przedhistorycznych, jak w czasach obecnych.

Jakkolwiek wielką jest doniosłość tego trzeciego czynnika produkcyi, to przecież jest on tylko *wytworem przyrody i pracy*. Dobrze, że dziś nabrał takiego znaczenia, że równe miejsce zajmuje wraz z innemi współczynnikami, a nawet niekiedy ma między niemi pierwszeństwo, ale nie

trzeba zapominać, że logicznie, historycznie i genealogicznie kapitał pochodzi z dwóch pierwotnych czynników. Przeto sam *nie jest czynnikiem produkcyi*, jak to bardzo często utrzymujemy, lecz tylko narzędziem, lub powiedzmy inaczej sprzymierzeńcem produkcyi, bez którego pomocy człowiek prawie nie może się obejść. Jednakowoż był dzień, kiedy i bez niego trzeba było się obejść. Oczywista, że pierwszy kapitał rodzaju ludzkiego musiał być utworzony bez pomocy innego kapitału. Zaiste kiedyś musiał człowiek, pozbawiony bardziej wszystkiego, niż Robinzon na swej wyspie, — podjąć to trudne zadanie wytworzenia pierwszego dobra, bez pomocy dóbr innych. Była to bez wątpienia ciężka chwila dla rodu ludzkiego! Toż poprzestając jedynie na sile rąk własnych, musiał człowiek wprawiać w ruch to olbrzymie koło przemysłu ludzkiego. Lecz skoro już raz zostało w ruch wprawione, temsamem przełamano trudność największą, gdyż odtąd najlżejsze poruszenie wystarcza, aby mu nadać szybkość, która już sama ciągle róść będzie.

Było to bez wątpienia straszne przejście w historyi ludzkości, — długi i bolesny początek, lecz skoro już raz dobro powstało, to nadal już samo ze siebie mogło się rozwijać i wzrastać. Pierwsze utworzone dobro, choćby najbardziej niekształtne, jak n. p. kawałek krzemienia ułupanego ze skały, posłużyło zarazem jako środek do utworzenia nowego dobra, wśród warunków już przychylniejszych, a to znowu posłużyło do wytworzenia innych, i w ten sposób łatwość produkcyi rosła, można powiedzieć, w stosunku geometrycznym do ilości dóbr już nabytych. Wiadomo, że szereg geometryczny, doszedłszy do pewnej granicy, wzrasta nadzwyczaj raptownie, podczas gdy na samym początku, ten wzrost odbywa się bardzo zwolna. Tak samo też i nasze obecne społeczeństwa, które, żyjąc z dóbr nagromadzonych poprzednio przez tysiące pokoleń, dziś robią sobie zabawkę z każdego pomnażania ilości tych dóbr, — nie powinny zapominać o tem, jak powolne i niebezpieczne musiało być z początku to gromadzenie dóbr i jak wiele wieków minęło, zanim pierwotnym społeczeństwom udało się zebrać pierwsze kapitały. Z pewno-

ścią wielu musiało zginąć, zanim dokonano tego trudnego zadania, a tylko niewielkiej liczbie wybranych ludów udało się szczęśliwie przejść przez te trudności i podnieść się do rzędu społeczeństw na prawdę kapitalistycznych — *ad augusta per angusta.*

II.

Jak należy rozumieć produkcyjność kapitału?

Rola, jaką kapitał odgrywa w produkcyi, zazwyczaj jest źle zrozumiana.

Wyobrażają sobie, że każdy kapitał daje dochód w tensam sposób, jak drzewo daje owoce lub kura znosi jaja; sądzą, że *dochód* jest to wytwór, powstający wyłącznie z kapitału i różniący się od niego. Do szerzenia tego fałszywego pojęcia przyczynia się okoliczność, że większa część kapitałów występuje pod formą tytułów renty, akcyj lub obligacyj, od których, jak mówi utarty frazes, *odcina się kupony*, które właśnie stanowią ów dochód. Przez trzy albo sześć miesięcy lub przez jeden rok, stósownie do natury papieru, wartość kuponu wzrasta, a za nadejściem dnia wymiany staje się on dojrzałym — można go odciąć, i w istocie też oddziela się go jednem cięciem nożyc.

Co więcej, taksamo, jak można z owocu zebrać nasienie, zasiać je na nowo i sprawić, że nowa roślina wyrośnie, tak samo też, jak można jajo dopiero co zniesione, znów do wysiedzenia podłożyć i sprawić przez to, że się kurcze wylęgnie, które również kiedyś będzie znosić jaja — taksamo lokując kupon, można stwarzać nowy kapitał, który przyniesie znów nowe kupony w formie procentu. Wydaje się w ten sposób, że kapitał wzrasta i mnoży się podług tych samych praw, podług których rozmnażają się rośliny i zwierzęta. Jednakowoż prawidła *procentu składanego*, tak się bowiem nazywa taki dochód, są zupełnie odmienne od tych praw, według których rozmnażają się śledzie lub grzyby, tak często przy-

taczane z okazyi praw Malthusa i Darwina. Albowiem obliczono, że zaledwie pięć centymów, umieszczonych na procencie składanym w pierwszym dniu ery chrześciańskiej, przyniosłyby do dziśdnia sumę, równą wartości kilku miliardów globów ziemskich, ze szczerego złota. Przykład ten pozostanie sławnym na zawsze.

Lecz porzućmy te wszystkie złudzenia, które, może nawet słusznie, psują tylko humor socyalistom. Ten rodzaj tajemniczej siły produkcyjnej, którą przypisują kapitałowi, ta jego możność rozradzania się jest czystym wymysłem. Już samo przysłowie powiada, że srebro nigdy nie zrodzi srebra, ani kapitał kapitału. Nie tylko worek talarów, ani jednego talara nigdy nie wytworzy, jak to już Arystoteles wypowiedział, lecz ani ze zwoju wełny, ani z beczki żelaza, nie powstał jeszcze ani jeden strzęp wełny, ani jeden atom żelaza. A jeśli owce mogą znowu płodzić drugie owce — jak mówi Bentham, myśląc nad tem, jak zbić zdanie Arystotelesa — to wcale nie dla tego, że są właśnie kapitałem, lecz po prostu dlatego, że są owcami, t. j. że z natury swej istoty żyjące mają możność płodzenia istot sobie podobnych. Kapitał zaś jest materyą bezwładną i zupełnie bezpłodną. Bardzo się przyczynia do pracy wytwórczej, lecz sam przez się nic nie wytwarza. I w rzeczywistości wszystko, co się nazywa dochodem lub wytworem kapitału, jest tylko wytworem pracy [1]).

Zkąd to złudzenie? Oto ztąd, że widzimy wielką liczbę kapitalistów, którzy żyją bez pracy, a majątek ich szybko wzrasta. Pytamy się więc, skądże się bierze ten dochód? Z pewnością nie jest to wytwór ich pracy, skoro nie trudnią się żadnym przemysłem, ani nie wykonują innego zajęcia;

---

[1]) Nie trzeba koniecznie wyprowadzać ztąd wniosku, jak to czynią socyaliści, że robotnik ma prawo do całkowitego wytworu swej pracy i że zatrzymywanie części dochodu przez kapitalistę jest zawsze bezprawnem. Nie tu miejsce do wyjaśnienia tego, lecz musimy zauważyć, że bez pomocy kapitału zdolność robotnika do pracy pozostałaby bezpłodną, a rezultat otrzymywany przez *samego* robotnika możnaby sprowadzić niemal do zera. (Patrz niżej *o zysku*).

nie jest to wytwór czynnika przyrody, albowiem przypuszczamy, że nie są właścicielami ziemskimi. A zatem ten dochód, zdawałoby się, nie pochodzi skądinąd, jak tylko z kapitału, któryby go w tym razie wytwarzał *sponte sua?*

Tymczasem w istocie pochodzi on najzupełniej z pracy, tylko że się tej pracy nie widzi, lecz nie trudno ją znaleźć, skoro się dobrze poszuka, jest to mianowicie praca tych ludzi, którzy dane kapitały wypożyczyli od kapitalistów i używają ich na cele produkcyi. Kupony procentowe od akcyj lub obligacyj kopalni węgla, przedstawiają wartość ton węgla, wydobywanych za pomocą pracy górników, a znów kupony od akcyj, względnie obligacyj kolei żelaznej, przedstawiają rezultaty pracy tych, którzy współdziałają przy przewozie towarów.

Może się wprawdzie zdarzyć, że kapitał zostanie rozprószony lub nieprodukcyjnie użyty przez tego, komu go wypożyczono, lecz nawet w tym wypadku, procent pobierany przez wierzyciela, będzie przedstawiał jakąś pracę; jeżeli nie pracę bezpośredniego dłużnika, to przynajmniej pracę osoby trzeciej. Naprzykład kupony od tytułów renty państwowej, nie przedstawiają wcale dóbr wytworzonych za pomocą pracy lub przemysłu państwa, albowiem państwo zwykle nie wytwarza, owszem zazwyczaj nieprodukcyjnie zużywa większą część kapitałów sobie powierzonych; ale przedstawiają wytwory pracy wszystkich obywateli państwa, które corocznie we formie podatków wpływają do kas państwowych, poczem znów dostają się do rąk kapitalistów. Tak więc możemy zakończyć zdaniem, że czerpać dochody z kapitału znaczy to samo, co pobierać pewną część wytworów *czyjejś pracy*, a prawo do pobierania ich da się zresztą usprawiedliwić pomocą, jaką kapitał użyczył pracy (w produkcyi). Lecz tą kwestyą nie zajmujemy się na razie.

III.

Jaka różnica zachodzi pomiędzy kapitałem a innemi dobrami?

Wszyscy rozumiemy jasno pojęcie kapitału. To też wśród tego, co posiadamy, zaraz na pierwszy rzut oka możemy rozróżnić dwie kategorye dóbr. Jedne z nich są na to przeznaczone, aby bezpośrednio służyły do rozrywki lub do zaspokojenia jakichś innych potrzeb, jak np. pożywienie, odzież, domy mieszkalne, przedmioty należące do stroju, konie pod wierzch, park do przechadzki, pieniądze w kieszeni etc. Inne znów są przeznaczone na to, aby nam dostarczać dochodu, jak np. folwarki, domy czynszowe, papiery wartościowe, fabryki, maszyny, instrumenta, zakłady handlowe etc. Pierwsze służą nam *do użytku osobistego* lub do użytku naszej rodziny — drugie do *celów zarobkowych*. Otóż tylko tym dobrom, które należą do drugiej kategoryi, przyznajemy nazwę kapitału.

Różnice pomiędzy temi dobrami, które są kapitałem, a które nim nie są, wydają się bardzo proste. Tymczasem przypatrzywszy się jej z bliska, widzimy, że definicya kapitału zdaje się być jedną z najbardziej zawiłych kwestyj nauki ekonomicznej.

Najpierw trzeba zauważyć, że wielka liczba przedmiotów, mających różne własności, a temsamem i użyteczności różne, może należeć już to do jednej kategoryi, już też do drugiej, odpowiednio do tego, na co ich się użyje. Kwestya zatem, czy dany przedmiot powinien być zaliczonym do kapitałów, czy nie, leży *nie tyle w naturze przedmiotu, ile raczej w przeznaczeniu, jakie się mu nadaje*. Dyament jest kapitałem wtedy, jeżeli jest użyty przez szklarza do przecinania szyb, nie jest zaś kapitałem, gdy zostanie oprawiony w kolczyki; w pierwszym bowiem razie używa się go dla jego twardości, w drugim razie dla połysku. Jajo wtedy jest kapitałem, gdy je podkładamy kurze do wysiedzenia kurcząt, a nie jest nim, jeżeli je kładziemy na patelnię, aby zeń zrobić

omlet; w pierwszym wypadku spożytkowuje się jego zdolność do życia, którą posiada w zawiązku, a w drugim wypadku korzystamy tylko z cząstek pożywnych, jakie się w niem mieszczą. Węgiel, wrzucony do kotła maszyny parowej, jest kapitałem, gdyż w ten sposób spożytkowujemy jego siłę poruszającą, która w nim tkwi w stanie ukrytym; lecz przestaje być kapitałem, skoro się nim pali w kominie, albowiem w tym razie nie żądamy od niego nic więcej, prócz ogrzania nas. Zbyteczna przytaczać więcej podobnych przykładów. Liczba ich jest zresztą nieskończona.

Takich przykładów dostarczają mianowicie wytwory, zaspakajające potrzeby wielkiej doniosłości, wytwory, które we formie żywności, odzieży, schronienia lub innego jakiegoś zaopatrzenia, mogą posłużyć do utrzymania sił wytwórczych człowieka. Te, z powodu swego podwójnego przeznaczenia, stosownie do okoliczności, mogą być lub nie być kapitałem. Dla człowieka, który pracuje, pożywienie jest z pewnością zarówno niezbędne do produkcyi, jak narzędzia albo surowce; azot i węgiel, które spożywa we formie mięsa lub chleba, odgrywają zupełnie tęsamą rolę, co węgiel, który się pali w kotle maszyny parowej. To też większa część ekonomistów zalicza środki pożywienia, do kapitałów, przynajmniej, o ile one występują we formie zapasów dla pracujących. Lecz z drugiej strony, człowiek jedzący obiad czy to w restauracyi, czy też przy rodzinnym stole, jeszcze nigdy nie uważał potraw, które mu podają, za narzędzia produkcyi ani za środek, wprawiający w ruch ludzką maszynę; człowiek wymaga od nich tylko zaspokojenia głodu, albo przyozdobienia stołu.

Lecz to nie wszystko. Weźmy np. przedmioty, które w żaden sposób i pod żadną formą nie mogą być użyte do celów produkcyjnych np. klejnoty, koronki, obrazy, stroje teatralne lub karnawałowe, ekwipaże i konie zbytkowne, tytoń, absynt, fotografie, powieści etc. — to i te nawet, jeżeli się je będzie uważało z punktu widzenia subjektywnego i indywidualnego, mogą uchodzić za kapitały, i w istocie też są niemi zawsze. Toż wszyscy sprzedający wyż wspomniane

przedmioty — złotnicy, modniarki, kostiumierzy, handlujący staremi obrazami, fotografowie, księgarze, dalej ci, co sprzedają tytoń albo napoje — wszyscy oni uważają towary, znajdujące się w ich sklepach, za kapitał, zresztą mają prawo uważać je za takie, skoro są narzędziem ich przemysłu i źródłem dochodów.

Wypada nam tedy *rozróżnić dwa rodzaje kapitałów*: t. j. a) te, które istotnie służą do wytwarzania nowych dóbr, a które my nazwiemy *kapitałem produkcyjnym* czyli społecznym, i b) te, które po prostu służą do przysporzenia dochodu swym właścicielom, a które my nazwiemy *kapitałem prywatnym*, t. j. przynoszącym dochód osobie właściciela. Każde dobro, choćby nawet strój karnawałowy, może być kapitałem prywatnym, jeżeli je będzie można wypożyczać, lub przeznaczyć na sprzedaż; przeciwnie zaś, są tylko nieliczne dobra, które już ze swej natury, mogą uchodzić za kapitały produkcyjne [1]).

---

[1]) W pierwszem wydaniu tej książki zrobiliśmy przegląd różnych kategoryj dóbr, badając każdą z nich, czy zasługuje na nazwę „kapitału.“ Teraz uważamy za stosowne skrócić tę długą dyskusyę, której przedmiotem jedynie była kwestya definicyj i poprzestać na ogólnem tylko pojęciu, któreśmy w tekscie podali. Tylko co do kilku kategoryj dóbr potrzeba bliższego objaśnienia.

Tak np. w codziennej mowie nazwą „kapitału“ oznaczamy zwykle — w przeciwstawieniu do własności nieruchomej — wszystkie *kapitały ruchome*, przedstawiające się w tytułach renty, akcyach, lub obligacyach towarzystw przemysłowych, w wierzytelnościach hipotecznych lub zwykłych. Otóż należy zauważyć, że wspomniane dobra żadną miarą nie są kapitałami w naukowem tego słowa znaczeniu, albo przynajmniej są tylko kapitałami prywatnemi, jako tytuły wierzytelności. Bez wątpienia one przynoszą dochody swym posiadaczom, wszelako ten dochód, który pobiera wierzyciel, płynie z kieszeni dłużnika w ten sposób, że kraj przez to nie staje się bogatszym, chyba, że chodzi o dochody z tytułu wierzytelności, pobierane od obcokrajowca, albowiem w tym razie oczywista, kraj ocenia swój dochód z tego samego punktu widzenia, co każdy pojedyńczy człowiek.

IV.

Trwałość kapitałów stałych i obiegowych.

Kapitał może trwać krócej lub dłużej. Odpowiednio do tego, czy jego trwałość będzie krótszą czy dłuższą, posłużyć może do mniejszej lub większej liczby aktów produkcyi.

Nazwą *kapitałów obiegowych* oznaczamy te kapitały, które mogą służyć tylko raz jeden, albowiem znikają w samym akcie produkcyi, n. p. zboże, które się sieje, nawóz, którym się ziemię uprawia, węgiel, który się spala, nić, którą się przędzie ete.; zaś *kapitałami stałemi* nazywamy te, które mogą służyć do większej liczby aktów produkcyi, począwszy od narzędzi najkrócej trwających, jak igła lub worek, aż do najtrwalszych, jak tunel lub kanał.

I znowu na odwrót, nigdy w mowie codziennej nie nazywa się kapitałem własności nieruchomej, *ziemi* lub *domu*. Podczas gdy w wielu wypadkach ta nazwa zupełnie się im należy. Niewątpliwie, nie można ziemi nazwać kapitałem, jeżeli się mówi o ziemi dziewiczej, o gruncie pierwotnym, jakiego nam przyroda dostarcza, byłoby to bowiem *mięszaniem pojęcia przyrody z kapitałem*. Ale skoro ten grunt zostanie przekształcony przez pracę człowieka, skoro wobec nas wystąpi jako ziemia uprawiona, wykarczowana, ogrodzona, zasiana, skropiona wodą etc., to odtąd najzupełniej wstępuje już w zakres definicyi kapitału produkcyjnego, albowiem stanowi wytwór przyrody i pracy i niezaprzeczenie służy do produkcyi dóbr nowych. Co się zaś tyczy budynków, to te są kapitałem produkcyjnym lub nie, odpowiednio do tego, czy służą celom eksploatacyi (zabudowania gospodarskie, fabryki, składy etc.), czy też innym celom.

Znów co do *zdolności nabytych*, co do wykształcenia zawodowego, tudzież co do wykształcenia w ogólnem znaczeniu, to często się mówi w potocznym języku, że są kapitałami, i to nie bez racyi. Naturalnie trzeba uważać, aby nie podciągać pod nazwę kapitału zdolności osobistych, które niczem innem nie są, jak tylko formą czynności ludzkich — to byłoby znów *mięszaniem pracy z kapitałem*. Lecz z dniem, kiedy te naturalne zdolności człowieka zostaną rozwinięte i wykształcone i okażą nam się we formie wiadomości nabytych, wtedy można im dać nazwę

Jeśli kapitał trwa długo i jeśli może posłużyć do znacznej liczby aktów produkcyi, to jeszcze niekoniecznie można nazwać jego użycie produkcyjnem, potrzeba bowiem jeszcze, ażeby on przy każdym akcie produkcyi zaoszczędzał znaczną ilość pracy. Kanał Panamski lub Sueski, tunele alpejskie, mogą tak długo przetrwać, jak te góry i kontynenty. Choćby bardzo wielkiej pracy potrzeba było do ich wybudowania, a choćby najmniejszą była ilość pracy rocznie zaoszczędzonej przy ich pomocy, to koniecznie musi nadejść chwila, w której praca zaoszczędzona wyrówna, pracy wyłożonej na ich budowę. Skoro to się osiągnie, wtedy kapitał zostanie *umorzony*, by użyć technicznego wyrazu, to znaczy, że na przyszłość praca zaoszczędzona będzie stanowić czysty zysk dla społeczeństwa. Począwszy od tego dnia, po wszystkie wieki, usługa świadczona będzie odtąd zadarmo. Kapitały zatem długotrwałe mogą zazwyczaj z większą służyć korzyścią niż inne, to też postęp cywilizacyi zdąża dziś ustawicznie do tego, aby kapitały mniej trwałe zastąpić na przyszłość kapitałami długotrwałemi.

W każdym razie nie trzeba zapominać:

1. że tworzenie takich kapitałów wymaga *tem więcej pracy, im dłużej mają trwać*, temsamem, że zachodzi tu pewna równowaga, którą potrzeba utrzymać. Prawda, że zwiększanie się ilości pracy wyłożonej, zazwyczaj nie jest

---

kapitałów produkcyjnych, albowiem one również w tym wypadku są wytworem przyrody i pracy i niezaprzeczenie służą do produkcyi dóbr samych.

Pieniądz ze względu na swoją własność, iż jest środkiem zamiany, powinien być zaliczany do kapitałów produkcyjnych, wprawdzie nie do najważniejszych, ale zawsze do posiadających to samo znaczenie, co ciężarki, miary, wagi, słowem wszelkie narzędzia, służące do ułatwiania zamiany. Aby jakiś kraj znajdował się w możności wytwarzania, potrzeba, ażeby posiadał pewną ilość pieniędzy, taksamo, jak i pewną ilość wagonów. Zaś z punktu widzenia podmiotowego i indywidualnego, pieniądz jest, co najwięcej, kapitałem prywatnym, kiedy się uwzględnia jego wartość, a nawet wcale nie jest kapitałem, kiedy się go wydaje.

proporcyonalne do wzrostu zdobytej trwałości, ale też właśnie ta okoliczność czyni korzystnem użycie podobnych kapitałów.

2. Że do powstania kapitałów stałych potrzeba ofiary obecnej i bezpośredniej we formie wielkiej ilości pracy lub kosztów, podczas gdy wynagrodzenie, jakie powinno się za to otrzymać w postaci zmniejszonej pracy, względnie zaoszczędzonych kosztów, jest bardzo odległe, i to *zazwyczaj tem odleglejsze, im dłuższą jest trwałość kapitałów*. Jeżeli przeprowadzenie kanału morskiego — n. p. panamskiego — ma kosztować 2 miliardy i koszta nie mogą być umorzone, jak dopiero po 50 latach, to trzeba zatem z jednej strony na szali położyć bezpośrednią ofiarę dwóch miliardów, a z drugiej znów to wynagrodzenie, jakiego się będzie można spodziewać po upływie 50 lat. Otóż, ażeby to drugie na szali przeważyło, potrzeba być obdarzonym w wysokim stopniu przezornością, odwagą, tudzież szczególne zaufanie pokładać w przyszłości, — oto trzy warunki, które razem występują jedynie w społeczeństwach o wysokiej cywilizacyi. To też z tego powodu ludy, u których życie społeczne mało postąpiło naprzód i u których urządzenia polityczne nie wiele przedstawiają trwałości, nie mogą tworzyć kapitałów stałych, chyba tylko w bardzo skromnej mierze. Wszystkie ich dobra nabierają znaczenia przedmiotów przeznaczonych na spożycie, albo kapitałów obiegowych.

Choćby zresztą ta zdolność przewidywania była bardzo wielką, to mimo okoliczności najbardziej sprzyjających, jeszczeby nie mogła przekroczyć pewnych granic. Albowiem nigdy ani pojedynczy człowiek, ani towarzystwo jakieś, ani nawet państwo, nie zgodziłoby się na wydanie naprzód kapitałów, któreby nie mogły być wpierw umorzone, jak n. p. dopiero do upływie dwóch wieków, choćby nawet ten przyszły kapitał z natury swej mógł i 1000 lat przetrwać, a tem samem choćby był zdolnym całe 800 lat darmo świadczyć usługi. Dlaczego? Dlatego, ponieważ przewidywania ludzkie nie liczą wcale na rezultaty, któreby dopiero po upływie tak długiego czasu mogły być urzeczywistnione. W istocie można

przyjąć za zasadę, że wszelkie użycie kapitału, któreby nie pozwalało spodziewać się jego zwrotu w ciągu życia jednego pokolenia, traci praktyczne znaczenie.

3. W końcu jeszcze to trzeba zauważyć na niekorzyść kapitałów stałych, że jeżeli ich trwanie jest zbyt długie, — to zachodzi niebezpieczeństwo, *iż stracą użyteczność* i z tego punktu widzenia potrzeba wielkiej roztropności w przewidywaniu, o której zaraz pomówimy. W rzeczy samej materyalna trwałość kapitałów nie jest jeszcze wszystkiem, nas bowiem interesuje tylko trwałość ich użyteczności. Toż jeżeli w pewnych razach można liczyć na pierwszą, to jeszcze bynajmniej nie odnosi się to koniecznie do drugiej. Użyteczność, jak wiemy, jest niestałą i ta, którą uważaliśmy za najbardziej pewną, może po upływie pewnego czasu zniknąć. Nic nam nie poręcza przy wierceniu tunelu lub przy przekopywaniu kanału, czy po upływie jednego wieku handel nie znajdzie sobie jakiej innej drogi. Otóż jeżeli do dnia, w którym ta zmiana nastąpi, kapitał wydany na przekopanie tunelu nie zostanie jeszcze umorzony, wtedy wartość jego zupełnie zniknie, a nadto okaże się, że pewną ilość pracy nadarmo wyłożono. Dlatego jest rzeczą roztropną wobec tego, że nie znamy dalekiej przyszłości, nie budować na wieki i z tego punktu widzenia wytwarzanie kapitałów zbyt trwałych, może być rzeczą bardzo niebezpieczną.

V.

Jak się tworzy kapitał?

Kapitał, będąc dobrem nabytem, nie może inaczej powstawać, taksamo jak każde inne dobro, jak tylko za pomocą dwóch zasadniczych czynników wszelkiej produkcyi — t. j. pracy i przyrody. Wystarczy tylko zrobić przegląd wszystkich kapitałów, jakie sobie wyobrazić można — narzędzia, maszyny, roboty sztuczne, materyały wszystkich kategoryj, ażeby się

upewnić, iż nie mogą mieć innego początku prócz tego, któryśmy dopieroco wskazali [1]).

Nie byłoby celu rozwodzić się nad rzeczą tak oczywistą, gdyby niektórzy nie upatrywali w dziele powstawania kapitału, czynnika nowego i odrębnego, który się zowie *oszczędnością*. Otóż powiadają, że każdy majątek powstaje przez oszczędność. — Cóż to za nowe pojęcie występuje na widownię? Czy to może jaki trzeci pierwotny czynnik produkcyi, o którym dotąd zapomnieliśmy? Bynajmniej, — innego wcaleby nie można wyobrazić sobie, prócz pracy i sił naturalnych. Czyżby to była jaka odrębna forma pracy? Wprawdzie za taką ją miano, lecz cóż mają wspólnego ze sobą te dwie czynności? Pracować znaczy działać, a oszczędzać znaczy powstrzymywać się od wydatków? [2]) Nie można bowiem pojąć, myśląc logicznie, w jaki sposób akt czysto negatywny, proste powstrzymanie, — może *wytwarzać* rzecz jakąkolwiek. *Montaigne* miał zwyczaj mówić, że „nie zna zajęcia bardziej czynnego i więcej potężnego nad tę bezczynność“; może to być prawdziwem z punktu widzenia moralnego, a wcale nie tłómaczy, w jaki sposób mogłaby powstać z tej bezczynności choćby tylko jedna szpilka.

Kiedy się mówi, że to lub owo dobro zostało stworzone za pomocą oszczędności, zapewne chce się przez to powiedzieć, że gdyby te dobra w takiej ilości zostały spożyte, w jakiej powstały, to jużby ich do tej chwili nie było; to się samo przez się rozumie. Lecz w ten sposób

---

[1]) Wyrażenie się Karola Marxa, że kapitał jest „skrystalizowaną pracą“ byłoby odpowiednie, gdyby nie pomijało udziału przyrody w tworzeniu się kapitału; lecz Marx pozostaje zawsze wiernym swojej zasadzie, że wszelka wartość pochodzi jedynie tylko z pracy.

[2]) Courcelle-Seneuil utrzymuje wprawdzie, że oszczędność jest tylko „formą pracy“ (patrz *Journal des Économistes* czerw. 1890), ponieważ jednak takie twierdzenie, według zdania samego autora, nie ma innego celu, jak tylko usprawiedliwić społeczną działalność kapitalistów oraz usługi, które oni świadczą, przeto nie widzimy potrzeby nad tem dłużej się zastanawiać.

niszczenie musiałoby być zaliczane do przyczyn produkcyi, a to byłoby tylko zwykłym sofizmatem [1]).

Pojęciu oszczędności mogło dać początek jedynie użycie pieniądza. Oszczędzać bowiem, w naszych cywilizowanych społeczeństwach, oznacza zachowywać pewną ilość pieniędzy. Otóż ten, kto pieniądze składa do szuflady, zapewne nie stwarza przez to ani bogactw, ani kapitałów (przeciwnie, pewną część dóbr wycofuje z obiegu), ale — ponieważ każda sztuka pieniądza przedstawia pewnego rodzaju dobro, uprawniające swego posiadacza do wybrania sobie z ogółu istniejących dóbr jakiejś równoważnej wartości, przeto jasnem jest, że ten, kto pieniądze gromadzi, zaoszczędza sobie przez to dobro w gotówce, posiadające dla niego takie samo znaczenie jak to, któreby własną pracą wytworzył. Lecz taki punkt widzenia jest czysto indywidualny.

Widzimy zatem, że gromadzenie skarbów odnosi się głównie do pieniędzy, a jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy po za niemi powstał kiedy jaki kapitał. Siekiera, którą pierwszy człowiek wyciosał z kamienia, z pewnością nie była rezultatem jakiejś oszczędności. Zapewne trzeba było, ażeby człowiek dla jej sporządzenia pozyskał dla siebie jakiś czas wolny, aby się przez jakąś chwilę wstrzymał od uciążliwych codziennych zajęć. Ale czyż to oszczędność, t. j. wstrzymanie się od jedzenia lub zachowanie go na kiedyindziej — stworzyła dlań tą wolną chwilę? Przeciwnie jest prawdopodobnem, że on taksamo nie był w stanie ograniczyć ilości swego pożywienia, jak proletaryat dzisiejszy, który właśnie tyle tylko zarabia, ile koniecznie potrzeba, aby nie umrzeć z głodu. To też niewątpliwie w dzień po szczęśliwie udanem polowaniu, które mu więcej przyniosło niż zwykle, albo w chwilach

---

[1]) Gdybyśmy dziecku pytającemu, skąd się biorą kurczęta, odpowiedzieli, że celem stworzenia kurcząt potrzeba wstrzymać się od jedzenia jaj, to słusznieby każdy powiedział, że taka odpowiedź jest bardzo dobrą jako rada, lecz jako wyjaśnienie dziwnie niemądrą. Dlatego też twierdzenie, jakoby oszczędność była pierwotną przyczyną tworzenia się kapitałów, nie wydaje się nam wystarczającem.

pozostałych od pracy, wytworzył sobie właśnie swój pierwszy kapitał. Czy myślimy, że ludy, aby przejść ze stanu myśliwskiego do gospodarstwa rolniczego, musiały zaoszczędzić sobie środki do życia na cały rok naprzód? Nic mniej prawdopodobnego. One poprostu oswoiły swoje zwierzęta, a to bydło, które było dla nich pierwszym kapitałem, dało im sposobność do przedsięwzięcia dłuższych prac, bez troski o jutro. I gdzież tu znów mowa o jakiejś oszczędności, bardzo słusznie zapytuje *Bagehot*[1]). Czy właściciel tego bydła musiał się czego pozbyć? Przeciwnie, otrzymuje on mléko i mięso, czemu zawdzięcza lepsze pożywienie, a znów dzięki wełnie i skórze może się odziać lepiej, niż przedtem.

Nie zamierzamy zresztą zaprzeczać w jakikolwiek sposób znaczenia i użyteczności oszczędzania. Ale jeżeli oszczędność odgrywa rolę, i to rolę znaczną w konsumcyi, to nie ma dla niej miejsca w produkcyi.

---

[1]) *Economic studies.* — Growth of capital. str. 166, 167.

CZĘŚĆ II.

Społeczne warunki produkcyi.

Organizm społeczny.

Dotychczas rozbieraliśmy produkcyę taką, jaka mogła się odbywać na wyspie Robinsonowskiej — produkcyę odosobnioną.

Takie założenie jednak nadaje się tylko do powieści, bo człowiek jest stworzeniem towarzyskiem, a produkcya dziełem zawsze mniej lub więcej zbiorowem.

Samo się rozumie, że owa społeczna produkcya podlega przedewszystkiem warunkom wytwórczości indywidualnej osobnika, a więc co do środowiska, umieszczenia, czasu, surowców i t. d., nie mogłaby posługiwać się innemi czynnikami i innemi narzędziami, jak temi, które już znamy, mianowicie pracą, ziemią, kapitałem, lecz za to znów podlega pewnym warunkom, sobie tylko właściwym, a związanym z faktem życia w społeczeństwie.

Warunki te, lub inaczej mówiąc — czynniki organizacyi społecznej produkcyi są następujące:

1. Assocyacya (stowarzyszanie się).
2. Podział pracy.
3. Wymiana.
4. Kredyt.

Nie są to, prawdę powiedziawszy, cztery odmiany organizacyi zupełnie różne i odrębne, bo zlewają się w wielu punktach. Kredyt jest tylko szczególną formą wymiany, wy-

miana do pojęcia swego wymaga koniecznie podziału pracy, to znów ze swej strony jakiegokolwiek stowarzyszenia świadomego lub nie.

Lecz nie można odwracać tego stosunku. — Assocyacya może istnieć bez podziału pracy, w razie jeżeli każdy członek bierze udział w ten sam sposób i za pomocą tych samych aktów w wspólnem dziele (robotnicy podnoszący ciężar, wioślarze na swych burtach, lub majtkowie kręcący kołowrot). Podział pracy może znów istnieć bez wymiany n. p. w łonie rodziny, wewnątrz pracowni jakiejś lub w społeczeństwie komunistycznem. Wreszcie wymiana może doskonale istnieć bez kredytu i rzeczywiście kredyt rozwinął się dotychczas w bardzo małej ilości społeczeństw. Assocyacya, podział pracy, wymiana, kredyt przedstawiają się zatem jako *zjawiska po sobie następujące i coraz bardziej złożone* w urządzeniu społecznej produkcyi, co zresztą odpowiada zupełnie prawom rozwoju.

Możnaby sądzić, że te warunki społecznej produkcyi w przeciwieństwie do tych, które już rozebraliśmy nie mają wcale cechy konieczności lub naturalnego powstania, lecz możnaby je po prostu uważać za wynik urządzeń mniej lub więcej rozumnych, a zresztą sztucznych, wspólnie i świadomie tworzonych. Te stosunki assocyacyi, podziału pracy, wymiany i kredytu mimo nieskończonej różności postaci, pod któremi mogą się zjawiać, noszą na sobie znamię konieczności, powszechności i trwałości, powstają dowolnie w różnych czasach i krajach bez poprzedniej umowy, lub rozmyślnego postanowienia.

W istocie odnajdujemy je nawet w dziedzinie po za ekonomią polityczną właściwą i nawet w prawach rządzących rozwojem wszystkich żyjących stworzeń [1]).

---

[1]) „Z jednej strony grupa historyków, z drugiej przyrodników dokonały swego dzieła nie znając się i nie porozumiewając z sobą, a jednak dzieło jest to samo. Możemy rzec śmiało, że to spotkanie jest największem zdarzeniem w świecie ducha naszych czasów. Edgard Quinet. *La Creation*".

I tak przyrodnicy uczą nas, że każde ciało organiczne zawiera niezliczone komórki, z których każda żyje własnem życiem i każda tworzy odrębne istnienie, że więc każda istota żyjąca jest w rzeczywistości związkiem milionów i miliardów osobników — liczniejszym oczywiście od największych ludzkich społeczeństw, — jednostek nieskończenie małych, które, jak mówi Klaudyusz Bernard, „łączą się, a jednak zachowują swą odrębność, jak ludzie trzymający się za ręce“.

Mówią uczeni, że każde ciało organiczne podlega prawom fizyologicznego podziału pracy. W organizmach najniższych, wszystkie czynności zlewają się w masę bezkształtną i jednolitą, lecz w miarę jak organizacya się wykształca, różne czynności żywienia, odtwarzania, poruszania i t. d. oddzielają się i każda z nich rozporządza osobnym organem. Można też powiedzieć, że tem jest doskonalszym organizm, im bardziej w nim jest podzieloną praca fizyologiczna [1]).

Mowią nam oni także, że każda istota żyjąca jest siedzibą ciągłego ruchu *wymiany i obrotu,* wymiany usług a nawet materyałów, bo niemożliwem jest, by jeden organ wyłącznie zajmował się pewną czynnością organizmu, jak to wyżej widzieliśmy, gdyby inne części na jego rachunek nie podjęły się innych istotnych czynności i nie obdzielały go ztąd wynikłemi dobrodziejstwami [2]). Spencer zauważył, że „klasa kupująca i sprzedająca dalej, czy w wielkich ilościach

---

[1]) „Podział pracy, z którego pierwsi ekonomiści stworzyli pierwszorzędne zjawisko społeczne, a który biologowie uznali i wliczyli do objawów ciał żyjących, zwąc go podziałem fizyologicznym pracy, jest faktem, kierującym życiem zwierzęcia i społeczeństwa. Nie ma wątpliwości, że co się tyczy tego punktu zasadniczego, między organizmem społecznym a osobnikiem zachodzi zupełna analogia“. Herbert Spencer: *Principes de sociologie.* Tom II. rozdz. II.

[2]) „Jedna część organicznego ciała nie może się poświęcić wyłącznie czynności oddychania, a zaprzestać starania o własne wyżywienie, jeżeli jej w tem nie przyjdą na pomoc inne części, wyłącznie się poświęcające spożywaniu“. Por. Herbert Spencer: *Introduction à la science sociale* éd. Germ. Baillière rozdz. XIV.

czy drogą drobiazgowej rozsprzedaży, wytwory każdego rodzaju, a więc rozdzielająca je tysiącami odpływów, spełnia tę samą czynność, którą wykonywa w ciele żyjącem system naczyń krwionośnych“.

Wreszcie zapewniają nas, choć tu być może, podobieństwo jest nieco naciągniętem, że kredyt nawet jest koniecznym dla działalności istot żyjących tak jak dla organizmu społecznego. „Jeżeli część ciała zwierzęcego lub politycznego,“ mówi jeszcze Spencer, „powołaną jest nagle do wykonania pewnej poważnej czynności... musi otrzymać dodatkowo te materyały, które zużywa w czasie swej działalności — musi mieć *kredyt* otwarty na spełnianą przez się czynność. W organizmie osobnika służy do tego celu nerw naczynio-ruchowy, ściąga on lekko arteryjki nieczynnych części, co zmniejsza dopływ krwi do tych organów, które nie uczuwają potrzeby jej, a pozwala go zwiększyć tam, gdzie jest niezbędnym [1])“.

Możliwem jest, że cokolwiek przesadzono analogie te, zachodzące między formami organizacyi ciała żyjącego, a urządzeniem ludzkich społeczeństw, lecz w każdym razie uprawniają nas one do widzenia w typach społecznej produkcyi — objawów prawdziwego prawa naturalnego [2]).

ROZDZIAŁ I.

Assocyacya.

I.

Różne formy assocyacyi w produkcyi.

„Dziś, w wielki Piątek“, pisał Fourier w r. 1818 „odkryłem tajemnicę powszechnej assocyacyi“. Była to czcza przechwałka, nie odkrył on jej zaiste — choć rzeczywiście

---

[1]) Por. *Principes de sociologie* Herberta Spencera tom II. str. 130 tłomaczenia francuskiego. Analogie te możnaby posunąć jeszcze dalej do stopnia, w którym zaczynają być prawie zabawnemi, jak w sławnem dziele Schäfflego: *Bau und Leben des sozialen Körpers.*

[2]) Por. wyżej: Czy są prawa naturalne. Str. 13 i nast.

z szczególnym talentem odsłonił jej cechy charakterystyczne— bo assocyacya nie należy do rzędu tych zjawisk, które trzeba odkrywać: rzuca się sama w oczy wszystkich, jest najogólniejszem prawdopodobnie z wszystkich praw rządzących wszechświatem, skoro się objawia nietylko w stosunkach ludzi w społeczeństwie żyjących, lecz także w związku łączącym światy w systemy słoneczne i molekuły lub komórki w ciała organiczne lub nieorganiczne, a nawet w związkach logicznych pozwalających nam myśleć. Zwierzęta także znają prawa assocyacyi i niektóre z tych zwierzęcych stowarzyszeń jak n. p. pszczoły, mrówki lub bobry były po wszystkie czasy niewyczerpanem źródłem dobrych przykładów i ciągłym przedmiotem podziwu [1]).

Stowarzyszenie jest niezbędnem przedewszystkiem dla prac przechodzących granice możności sił jednostki — choćby tylko chodziło o podniesienie ciężaru; drogą tej pracy wspólnej zdołali ludzie dawnych czasów wznieść mury Cyklopów lub pyramidy Egipskie [2]) i poruszać statkami o trzech lub czterech szeregach wioseł.

Jest jednak inna jeszcze okoliczność, dla której łączenie się jest niezbędne: a jest nią sposób rozdzielenia czynników produkcyi między ludzi. Wiemy, że dla każdej wytwórczej działalności potrzeba koniecznie pewnej przestrzeni ziemi, pewnej ilości kapitałów, a przedewszystkiem pewnej ilości pracy. Otóż rzadkiem jest zjawiskiem połączenie tych różnych czynników w jednej osobie, to znaczy, rzadko się zdarza, aby jeden człowiek mógł dostarczyć pracy osobistej, ziemi i kapitałów koniecznych dla produkcyi. Wypadek ten może zachodzić w małej produkcyi n. p. u wieśniaka, uprawiającego swe pole wyłącznie zapomocą swych rąk i drobnych oszczędności lub nawet u rzemieślnika lub kramarza, którzy zdobywają sobie środki do życia wyłącznie własną

---

[1]) Por. piękną książkę M. Espinas'a: *Societés animales.*

[2]) Płaskorzeźby egipskie przedstawiają nam setki ludzi, przyprzągniętych do jednego sznura i poruszających się ustawicznie w takt dawany za pomocą spiżowego instrumentu.

zabiegliwością, lecz w regule rzecz się przedstawia inaczej. Społeczeństwa ludzkie zawsze dzieliły się na dwie klasy: jedną — posiadaczy środków produkcyi pod postacią ziemi lub kapitałów, drugą — ludzi posiadających tylko ręce do pracy t. j. przedstawiających czynnik pracy. Ponieważ ani jedni, ani drudzy w odosobnieniu od siebie nie mogą wytworzyć niczego, bo jak praca bez narzędzi, tak narzędzia bez pracy są bezużyteczne, dlatego wytworzyło się z konieczności i po wszystkie czasy — *stowarzyszenie między właścicielami ziemi i kapitałów z jednej strony, a pracownikami z drugiej.*

To stowarzyszenie jednak między właścicielami i proletaryatem przyjmowało w różnych czasach różne kształty a rozwój tych form przejściowych jest jedną z dziedzin, gdzie z największym pożytkiem możnaby zastosować historyczną metodę badania.

Z początku stowarzyszenie to było *przymusowe*, narzucone z góry: nazywało się niewolnictwem. Ludzie rasy obcej, zwyciężeni, poddani bezwzględnej władzy pana, utrzymywani przez niego w jego dobrach lub domu, wykonywali wszystkie rodzaje pracy wytwórczej.

Ten przymusowy charakter pierwszego systemu wytwórczego współdziałania z czasem powoli łagodniał przez przejście niewolnictwa w kolonat i poddaństwo, a znikł prawie zupełnie pod rządem systemu pracy najemnej, poddającej w wielkich fabrykach setki i tysiące ludzi władzy właściciela; są to bowiem ludzie wolni, mogący w służbę wstąpić lub z niej wystąpić. Tymczasem pomimo tej wolności, będącej zresztą więcej teoretyczną niż praktyczną, postać ta połączenia daleką jest od odtworzenia cech charakterystycznych doskonałej assocyacyi; najlepszym tego dowodem jest, że ani język prawniczy, ani codzienny nie używają w tym wypadku wyrazu „stowarzyszenie,“ co prawdopodobnie zdziwi nawet czytelnika. Jest to raczej stowarzyszenie faktyczne niż prawne, *stowarzyszenie w wytwarzaniu, nie rozdzielaniu.* Robotnicy nie mają wcale świadomości, iż tworzą jedno stowarzyszenie z pracodawcą — i to w istocie, jak zobaczymy później, jest jednym z błędów pracy najemnej.

Organizacya przymusowa przemysłowego przedsiębiorstwa w przeszłości oraz forma monarchiczna [1]), która dziś jeszcze przybiera w nowożytnych społeczeństwach, mogły być koniecznemi do rządzenia pracą i zmuszania ludzi do udziału w wspólnem dziele produkcyi. Lecz prawdopodobnem jest, że nie są ostatecznemi formami rozwoju, i że tak samo, jak pierwsza ustąpiła miejsca drugiej, tak ta znów ze swej strony zrobi miejsce dla stowarzyszenia skończonego, t. j. wolnego, zupełnego, obejmującego rozdział tak dobrze jak produkcyą, i w którem *każdy posiadać będzie jasne przeświadczenie, że tworzy część zbiorowego dzieła i wolę niezłomną brania w niem udziału.* — Oto dlaczego te przedsiębiorstwa, które urzeczywistniają udział w zyskach, a jeszcze bardziej stowarzyszenia produkcyjne, choć drobną jest ich liczba dotychczas, należy uważać za typ organizacyi, ku któremu zmierza społeczny rozwój [2]).

Lecz zostawiwszy na boku przyszłość i przeszłość, a badając lepiej teraźniejszość, widzimy w naszych nowszych społeczeństwach produkcyę urządzoną w postaci *przedsiębiorstwa* (jest to wyrażenie utarte w języku ekonomii politycznej), t. j. połączenia dobrowolnego większej lub mniejszej liczby osobników, w którem jeden *przedsiębiorca* dostarcza kapitału, (narzędzi, ziemi), a inni, *najemnicy* siły do pracy.

---

[1]) W dziedzinie polityki przechodzi rozwój, jak się zdaje, te trzy postępujące po sobie postacie: absolutna monarchia, monarchia konstytucyjna, rzeczpospolita. Rozwój ekonomiczny z swą formą z początku przymusową, potem patronatem, a wreszcie patronatem złagodzonym, udziałem w zyskach i przyznaniem robotnikom pewnego udziału w zarządzie przedsiębiorstwa lub co najmniej w prowadzeniu kas zabezpieczenia na starość i wreszcie formą udziałową (kooperacyjną) — odpowiadałby swemi przejściowemi formami — rozwojowi politycznemu.

[2]) Por. w tym kierunku Hertzka: *Die Gesetze der sozialen Entwickelung;* Lange — *Arbeiterfrage:* Mentchikoff *La civilisation et les grands fleuves historiques;* Secretan *Etudes sociales* i naszą pogadankę *o przyszłości kooperacyi* (w Revue socialiste z 15 czerwca 1888). Lecz znów odwrotnie twierdzenie to zwalcza żywo większość ekonomistów ze szkoły klasycznej, (wyjąwszy Stuart'a Mill'a) a nawet kilku mistrzów szkoły historycznej jak p. Lujo Brentano.

Jednakowoż każdym razem, kiedy przedsiębiorstwo przybiera znaczniejsze rozmiary, co jak zobaczymy w następującym rozdziale, jest właśnie jego cechą rozwoju — zdarza się często, że ten sam człowiek nie może dostarczyć kapitałów w dostatecznej ilości i w stosunku do liczby pracowników. Wtedy większa lub mniejsza ilość kapitalistów łączy się w celu dostarczenia koniecznych kapitałów i przedsiębiorstwo się urządza pod postacią t. zw. *spółki akcyjnej* [1]), postacią nową, która jednak w naszych czasach jest coraz częstszą i zmierza do zupełnego wyłączenia dawnej postaci przedsiębiorstwa jednostkowego.

Spółka akcyjna przedstawia rzeczywiście wielkie korzyści, szczególnie ze względu, że jest wyłącznie połączeniem kapitałów, bo z trzech czynników produkcyi, do których należy praca, ziemia i kapitał, ten ostatni nadaje się najlepiej do połączenia z powodu pewnych cech charakterystycznych, jemu właściwych, których dwa inne czynniki nie posiadają w tymsamym stopniu, t. j. dla swej *podzielności i ruchliwości*.

Kapitał przedewszystkiem da się podzielić na nieskończenie małe cząstki, co pozwala każdemu kapitaliście, biorącemu udział w spółce, udział ten swój ograniczyć, a co za tem idzie, zmniejszyć ryzyko, o ile to uzna za stosowne. To właśnie jest przyczyną powodzenia spółek akcyjnych, skoro bowiem każda akcya opiewa na 500 franków (a czasem i na mniejszą sumę), każdy może wziąć ich tyle, ile chce, stosownie do swego stanu majątkowego lub stopnia zaufania, jakie czuje do danego przedsiębiorstwa [2]).

---

[1]) Mówią także kompania (Compagnie), jeżeli chodzi o bardzo wielkie stowarzyszenie (La Compagnie de Paris-Lyon-Mediterranée, la Compagnie d'Auzin itp.). Nauka o różnych postaciach stowarzyszeń, spółek akcyjnych, komandytowych i komandytowo-akcyjnych należy do prawa handlowego.

[2]) Podzielność ta dozwala także na tworzenie olbrzymich a bardzo ryzykownych przedsiębiorstw, które bez niej byłyby niemożliwe. Żaden kapitalista, jakkolwiekby był bogaty, nie mógłby i nie odważyłby się dostarczyć dwu miliardów, potrze-

Co więcej, kapitał cieszy się cudowną łatwością przenoszenia z miejsca na miejsce, którą z dnia na dzień zwiększa wzrost instytucyj kredytowych. Aby pracownicy lub właściciele ziemi mogli wziąć udział w przedsiębiorstwie wytwórczem, potrzeba, by ono powstało na tem właśnie miejscu, gdzie oni się znajdują, a nie może łączyć osób nie żyjących w tej samej okolicy. Praca bowiem nie da się łatwo przenosić, ziemi zupełnie nie można, lecz kapitały mają orle skrzydła i potrafią przebiegać ziemię z jednego końca na drugi, jeżeli tylko widzą, że się da coś zarobić.

Z drugiej strony jednak ta forma assocyacyi przedstawia wielkie niedogodności i nie zgodzilibyśmy się na to, by widzieć w niej postać powszechną w przyszłości, jak to nam zapowiadają niektórzy ekonomiści [1]).

Już ta sama okoliczność, że nie łączy osób, lecz tylko kapitały, jest znamienną cechą niższości. Stowarzyszeni, zwani akcyonaryuszami, nie znają się między sobą i często nawet nie znają przedsiębiorstwa, w którem biorą udział, jak tylko z imienia widniejącego na akcyach.

Spółka akcyjna składa się z dwu kategoryj osób: jednej — akcyonaryuszów, stowarzyszonych dla zysku, lecz nie dla pracy wytwórczej, drugiej—najemników, połączonych przez fakt wspólnej produkcyjnej pracy, lecz bez prawa do zysku. Jedni dzielą między siebie wytwory przedsiębiorstwa, w którem nie pracują wcale; drudzy pracują w przedsiębiorstwie, z którego nie mają żadnych zysków. Oto stosunek, który wydaje się pozostawać w sprzeczności z prawami moralności, a który zdaje się być, nawet przy zachowaniu warunków równowagi, jeszcze bardzo niestałym.

---

bnych na przecięcie osławionego dziś przesmyku panamskiego, a to dla obawy ryzyka, podczas gdy ryzyko to, podzielone do nieskończoności, nie przerażało już nikogo.

[1]) Por. Molinari. Rozwój ekonomiczny w XIX wieku. *Molinari. L'évolution économique au XIX siècle.*

II.

Korzyści i niekorzyści wielkiej produkcyi.

Stwierdziliśmy właśnie, że w organizacyi produkcyi typ zbiorowy zmierza z dniem każdym coraz bardziej do zastąpienia typu produkcyi jednostkowej. Dawniej większość dóbr wytwarzał szereg osobników, pracujących oddzielnie [1]) — rzemieślników, jak ich nazywano — dziś większość tych samych dóbr wytwarzają gromady więcej lub mniej liczne, a często nawet prawdziwe armie przemysłowe, pracujące zbiorowo. Rozwój ten, zmierzający od małej produkcyi ku wielkiej, jest jednym z rysów najbardziej charakterystycznych dzisiejszej doby [2]).

Lecz, jeżeli rozwój ten się dokonywa, nie jest to wcale wynikiem jakiegoś ślepego przeznaczenia, ale po prostu znajduje on swe usprawiedliwienie w korzyściach niezaprzeczonych, które przedstawia ze względu na wytwórczość. Jakież są te korzyści?

Przedewszystkiem on tylko pozwala na podjęcie pewnych przedsiębiorstw, które bądź dla swych rozmiarów, bądź dla długości trwania, przechodzą znacznie granice sił i życia jednostki.

Lecz nawet ze względu na przedsiębiorstwa, które ściśle wziąwszy nie przechodziłyby możności jednostki, przedsiębiorstwo zbiorowe przedstawia jeszcze wyraźną wyższość.

---

[1]) Kompania górnicza w Auzin, Kuźnice w Creuzot zatrudniają każda z osobna 10—15000 robotników: odlewarnia Kruppa w Essen w Prusiech blisko 30000. Wielka kompania kolei żelaznej jak np. Paris-Lyon-Mediterranée liczy 60000 urzędników.

[2]) Jest to nawet główny argument, którym posługują się kollektywiści dla poparcia swego twierdzenia. Według nich rozwój ten, zdążający bezustannie do zastąpienia produkcyi osobnika wytwórczością zbiorową, wyraz swój ostateczny znajdzie w pochłonięciu wszystkich przedsiębiorstw indywidualnych w najobszerniejszem ze wszystkich przedsiębiorstw zbiorowych t. j. w państwie lub społeczeństwie.

Łącząc razem wszystkie czynniki produkcyi, pracę, kapitały, czynniki przyrody, oszczędza się ich t. j. osiąga się produkcyę tej samej ilości dóbr mniejszym kosztem, lub co na jedno wyjdzie, wytwarza się ich więcej tym samym kosztem.

1. Przedewszystkiem oszczędność *pracy*. Ta pierwsza korzyść wiąże się wogóle ściśle z możliwością wytworzenia doskonalszego podziału pracy, jak to wkrótce zobaczymy, lecz prócz tego wynika także z prostego faktu połączenia pracowników. W produkcyi podzielonej traci się wiele czasu; godzin każdego pracownika z osobna nie wypełnia się dostatecznie pracą. I tak weźmy 100 domów handlowych, zatrudniających po 10 urzędników, połączmy je razem, a z pewnością nie będzie trzeba — dla załatwienia ilości spraw równającej się sumie interesów owych 100 domów oddzielnie wziętych — zatrzymywać wszystkich ich urzędników, nie będzie bowiem potrzeba 100 kasyerów lub 100 buchalterów.

Każdy urzędnik mogąc pracować odtąd bez przerwy, będzie mógł wykonać dwa lub trzy razy większą pracę, a więc zastąpić swą własną osobą dwu lub trzech pracowników.

2. *Zaoszczędzenie miejsca*. Aby uzyskać sto razy więcej miejsca dla magazynu lub fabryki nie potrzeba wcale zajmować powierzchni sto razy większej lub zużyć sto razy więcej materyałów dla wzniesienia odpowiedniego budynku. Najprostszy rachunek wskazuje, że skoro stosunek objętości dwu sześcianów jest jak 1 : 1000, to stosunek ich powierzchni wyniesie 1 : 100. Otóż tylko powierzchnia kosztuje. Nawet w braku rachunku matematycznego, codzienne doświadczenie dowodzi, że koszt budowy lub czynsz najmu nie wzrasta stosunkowo do miejsca zajętego. Najmniejszy magazyn paryzki, mający za 100 fr. dziennie targu płaci 5—6000 fr. czynszu rocznego, a czynsz magazynu „au Bon Marché“ sprzedającego dziennie za 100.000 fr. i mającego 1000 razy więcej targu, nie jest 1000 razy wyższym — toby wynosiło 5 do 6 milionów, kiedy w rzeczywistości wynosi zaledwie 400.000 fr.

3. Oszczędność na *czynnikach przyrody*. Wielka maszyna parowa zużywa stosunkowo znacznie mniej węgla, niż

słabsza: różnica może najwyżej dojść do stosunku 1 : 10 [1]). Oświetlenie elektryczne kosztuje mniej niż gazowe w razie zużycia na wielkich przestrzeniach, lecz na małą skalę jest za kosztowne.

4. Oszczędność na *kapitałach*. Wielki magazyn, dajmy na to, ma 100 razy więcej targu niż mały, nie potrzebuje jednak wcale mieć 100 razy więcej towarów na składzie: wystarcza mu mieć 10 razy więcej i 10 razy do roku towary odmienić. Może więc mieć 100 razy większy dochód z kapitału tylko 10 razy większego, a także i publiczność kupująca więcej będzie zadowoloną, mając do wyboru towary nowsze i modniejsze, oczywiście skutkiem tego ciągłego odnawiania zapasów. Co więcej, kupując hurtownie, otrzymuje się towar za znacznie niższą cenę. Wielki magazyn lub wielka fabryka zaopatrująca się w wielkie ilości naraz, osiąga i z tego tytułu znaczną oszczędność kapitałów włożonych w interes [2]).

Czyż więc wielka produkcya przedstawia same tylko korzyści? Trzebaby być wielkim optymistą, by tak sądzić.

Gdyby ten rozwój dokonywał się wyłącznie drogą doskonałego stowarzyszenia, drogą powolnego wstępowania pracy stowarzyszonej w miejsce odosobnionej, być może, że wtedy możnaby w nim widzieć tylko dodatnie strony; a nawet w razie, gdyby rozwój organizacyi zbiorowej miał sprowadzić osłabienie i zmniejszenie bodźców działalności i odpowiedzialności osobnika, jak sprężyn rdzewiejących skut-

---

[1]) Siła jednego konia, wydobyta parą, kosztuje 0·40 fr. na godzinę, wytworzona przez maszynę o sile 5 koni; 0·27 fr., jeżeli maszyna wytwarza siłę 10 koni; 0·105, jeżeli zdoła produkować siłę 50—100 koni; a wreszcie 5 centimów przy maszynach najsilniejszych. (Achard, *Sur distribution municipale de force motrice*. Revue d'Economie politique Septembre 1880).

[2]) Uwzględniając wszystkie przytoczone okoliczności, obliczono, że wydatki ogólne magazynu nowości zwykłego wynoszą 40%, podczas gdy wydatki magazynu takiego jak *au Bon Marché* wynoszą 14% to znaczy, że tychsamych towarów, które au Bon Marché może sprzedać za 114 fr., mały magazyn nie może oddać niżej 140 fr. Por. De Foville *Des moyens de transport*.

kiem nieużywania, bylibyśmy jeszcze w prawie wyrazić pewne obawy lub co najmniej żal.

Z większą jeszcze racyą możemy się niepokoić, widząc jak rozwój ten dokonuje się pod postacią wielkich przedsiębiorstw jednoosobowych lub spółek akcyjnych, to znaczy, drogą powolnego wstępowania pracy *najemnej* w miejsce pracy *samodzielnej*.

Przyszłość, która się nam ukazuje, jeżeli ruch ten będzie się odbywał zawsze tym samym torem, przedstawia się w postaci powolnego zaniku z widowni ekonomicznej tych wszystkich, którzy pracują na własny rachunek: małych rzemieślników, małych kramarzy, drobnych właścicieli ziemskich a wstępowania tych warstw w szeregi najemnych robotników, pracowników, urzędników pracujących na rachunek cudzy, na rachunek akcyonaryuszów a w takim razie zaiste nie byłoby się czem cieszyć, ani z punktu widzenia ekonomicznego ani moralnego — z tej zamiany ról. Trochę za drogo zapłaciłoby się za oszczędności osiągnięte w dziale ogólnych kosztów.

Nadzieją kollektywistów jest, że państwo lub gminy powoli zajmą miejsce przedsiębiorców lub akcyonaryuszów, i że te prywatne przedsiębiorstwa zmienią się na „urzędy publiczne“ (*services publics*).

Lecz korzyść, że się jest urzędnikiem państwa lub gminy, zamiast być urzędnikiem przedsiębiorcy, bardzo jest drobną, jeżeli wogóle istnieje, a zarzuty dopieroco podniesione, utrzymują się w całej swej osnowie. Miejmy raczej nadzieję, że owe wielkie przedsiębiorstwa staną się pewnego dnia własnością samych pracowników, tworzących między sobą stowarzyszenie, a którzy tą drogą staliby się napowrót tem, czem byli za rządów drobnego przemysłu t. j. właścicielami swoich narzędzi pracy, produkującymi na swój własny rachunek.

III.

Czy produkcya rolnicza ma się odbywać w wielkich przedsiębiorstwach?

Rozwój zmierzający ku wielkiej produkcyi, nie postępuje równomiernie we wszystkich dziedzinach. Najdalej posunięty w przemyśle przewozowem i handlowem, mniej już postąpił w przemyśle przetwórczem — drobne rękodzielnictwo zajmuje dziś jeszcze, zwłaszcza we Francyi, miejsce dość wybitne [1]) — lecz zwłaszcza w produkcyi rolniczej nie daje się wcale uczuwać. Ani we Francyi ani w Europie nie widzimy wcale, aby uprawa roli na małą skalę zanikała, robiąc miejsce uprawie na wielkie rozmiary [2]). Cóż może być za przyczyna tego zjawiska?

Kollektywiści, zgadzający się w stwierdzeniu tego faktu z większością ekonomistów szkoły klasycznej — utrzymują, że jest to tylko objaw wyjątkowy, małe spóźnienie w rozwoju, co zresztą należy przypisać charakterowi samej produkcyi rolniczej, polegającej na nieco bezmyślnem stosowaniu starych utartych metod. Jako przykład przytaczają Stany Zjednoczone, uprawiające rolnictwo na wielką skalę zapytując, czyż nie w tej właśnie okoliczności leży przyczyna ich przewagi, pozwalającej im zwyciężać naszych europejskich rolników na naszych własnych targach [3])?

---

[1]) W r. 1860 liczył Paryż 62000 rękodzielników pracujących w domu bez pomocników lub z jednym terminatorem. W r. 1872 liczba ich doszła do 100000.

[2]) Według rolniczej statystyki z r. 1882 jest we Francyi 5.672.007 rolniczych gospodarstw, co daje przeciętnie 9 hektarów na gospodarstwa. Lecz w rzeczywistości największa ich liczba zawiera mniej od tej przeciętnej, liczą 2 miliony przeszło gospodarstw nie mających hektara.

[3]) Taką jest produkcya tych folwarków, które mają wycej niż 15000 hektarów ziemi uprawnej, a gdzie wszystko się robi maszynami parowemi; widzi się setki pługów wyruszających w szeregu rano a wracających wieczór po przewróceniu jednej tylko bruzdy.

Czyż wielka produkcya nie przedstawia rzeczywiście w rolnictwie tych samych korzyści, jak w przemyśle, to znaczy oszczędności ogólnych kosztów? To prawda, odnajdujemy je tu, choć w mniejszych rozmiarach:

— Oszczędność umieszczenia i budowli, bo mniej się traci w wielkiem gospodarstwie na gruncie pod rowy, ogrodzenie, miedze, a także na piwnice, spichlerze, obory, niż w małym folwarku.

— Oszczędność pracy także, bo choć podział pracy daleko trudniej zastosować w folwarku, niż w warsztacie, to jednak można go wprowadzić w życie w części, a zwłaszcza używanie zwierząt roboczych i maszyn pozwala znacznie zmniejszyć ilość pracy.

— Oszczędność kapitału przedewszystkiem. Jest zupełnie naturalnem, że uprawa 500 hektarów nie zatrudni tej samej ilości wołów, koni, wozów i różnorodnych przyrządów rolniczych, co 10 folwarków po 50 hektarów.

Lecz mimo tych wszystkich korzyści, uprawa prowadzona na wielką skalę, przedstawia znów braki pod względem wydajności: uzyskuje bowiem z gruntu stosunkowo do uprawianej przestrzeni znacznie mniejszą ilość dóbr niż uprawa drobna; może ona dać w ostatecznym wyniku znaczniejszy czysty dochód, t. j. większy zysk przynieść właścicielowi, lecz daje dochód *brutto* znacznie mniejszy [1]). Otóż w razie wzrostu gęstości zaludnienia we wszystkich cywilizowanych społeczeństwach, przyszłość należy do tego rodzaju uprawy, który potrafi z ziemi wydobyć największą ilość środków do życia.

[1]) P. Hipolit Passy w swem nieprzestarzałem jeszcze dziele: *Traité des systèmes de culture*, przyznaje wyższość drobnej uprawie roli, nietylko z punktu widzenia dochodu *brutto*, lecz także ze względu na czysty dochód. Wyższość wielkiej produkcyi rolniczej polega na złudzeniu, spowodowanem wyższością umysłową właścicieli większych gospodarstw nad małym wieśniakiem: widzimy, że wielkie dobra lepiej są zagospodarowane a przedewszystkiem, że dają przykład rolniczych ulepszeń i tym sposobem przypisuje się różnicy między sposobami uprawy to, co w rzeczywistości odnosi się do różnicy osób.

Przykład Stanów Zjednoczonych niczego nie dowodzi pod tym względem. Te olbrzymie folwarki w Nowym Świecie, jeżeli rzeczywiście przedstawiają korzyść tańszej produkcyi zboża, to łączą się z drugiej strony z niekorzyścią, że dają go za mało. Wynik zbiorów nie przechodzi średnicy 10—11 hektolitrów z hektara, to jest mniej, niż z najgorszych gruntów we Francyi [1]).

Można sobie pozwolić na taką uprawę ekstenzywną w Stanach Zjednoczonych, bo tam ziemi jest pod dostatkiem a ludność dość rzadka, lecz z dniem, kiedy ludność będzie tam równie liczną jak u nas, trzeba będzie wkrótce odstąpić od prowadzenia wielkich gospodarstw, a pracę i kapitał ześrodkować na coraz mniejszych przestrzeniach, chcąc zwiększyć wydajność ziemi. Już obecnie po każdym nowym spisie ludności, okazuje się ciągłe zmniejszanie rozmiarów gospodarstw rolnych, a w dniu, kiedy Stany Zjednoczone zaludnią się tak jak Chiny, jeżeli do tego przyjdzie, że hektar ziemi będzie musiał wyżywić całą rodzinę, zobaczymy, że tak jak w Chinach, uprawa roli stanie się niemal ogrodniczą, t. j. wszystkie siły będzie zużywać w gospodarstwach nie większych od małych ogrodów.

Wierzymy więc, że przyszłość należy raczej do małych, niż do wielkich gospodarstw i znajdujemy w tem stwierdzenie i wyjaśnienie tego prawa, które zaznaczyliśmy już wyżej, to jest, że ciągłe zmniejszanie się uprawianych przestrzeni, postępuje w miarę przechodzenia ludu przez stopnie rozwoju: życia łowieckiego, pasterskiego, rolniczego a w samej epoce rolniczej w miarę przechodzenia od uprawy ekstenzywnej do intenzywnej, a od tej znów do ogrodniczej, tak, jak się ją stosuje dziś przy zaludnieniu najgęstszem t. j. w okolicach pod wielkiemi miastami. Uprawa ogrodnicza w okolicach Paryża daje do 20 i 30000 franków dochodu *brutto* z hektara, jest więc z czego utrzymać 50—60 osób, lecz oczywiście rozciągłość gospodarstw pozostaje w stosunku odwrotnym do

[1]) Średnia wydajność wynosi we Francyi 15 hektolitrów z hektara, a w Belgii, Holandyi i Anglii dochodzi do 25 i 30.

wysokości przychodów: trzeba już być dość majętnym, by módz uprawiać, choćby jeden tylko hektar w podobnych warunkach [1]).

Małe gospodarstwa nie potrzebują wcale wyłączać stowarzyszenia lub nawet środków technicznych wielkiego gospodarstwa, jeżeli się pod tem rozumie ześrodkowanie najnajwiększej możliwie ilości kapitału i pracy na danem miejscu. Wszyscy drobni gospodarze mogą się między sobą łączyć dla zastosowania w swych posiadłościach udoskonaleń rolniczych, a więc w celu kupowania lub wynajmowania maszyn i reproduktorów zwierzęcych, w celu wspólnego przewozu zbiorów za pomocą polnych kolei żelaznych systemu Decanville, dla zakupu nawozu, nasion i roślin w wielkich ilościach i wspólnej sprzedaży swych wytworów; czynią to już dziś, choć na bardzo małą skalę we Francyi, syndykaty rolnicze. W każdym razie stowarzyszenie właścicieli, mające za zadanie nie kilka tylko spraw wspólnie załatwiać, lecz wprost wspólną prowadzić uprawę ziemi — przedstawia bezwątpienia trudności nie do pokonania. W istocie podobne stowarzyszenie może powstać z korzyścią między sąsiadującemi gospodarstwami, lecz niestety sąsiedztwo właścicielom ziemskim nadaje się dziś zwykle lepiej do prowadzenia procesów, niż do ułatwienia stowarzyszenia.

ROZDZIAŁ II.

Podział pracy.

I.

Różne rodzaje podziału pracy.

Assocyacya sama przez się jest tylko połączeniem sił pewnej liczby jednostek, czyli tak zwanem *prostem współ-*

[1]) „W Chinach gospodarstwa nie są zbyt wielkie — jednodwu- lub pół-hektarowe są już dość znacznemi, bo hektar może

działaniem (kooperacyą). Podział pracy zaś wymaga do swego pojęcia, pewnego rozdziału ról między wszystkich stowarzyszonych w ten sposób, by każdy z nich miał za zadanie wykonać jedną tylko czynność: możnaby to nazwać *współdziałaniem złożonem.*

Jeżeli praca, którą należy wykonać, jest bardzo prostą (skopać ziemię, podnieść ciężar, wiosłować, ścinać drzewo), to nie nadaje się w takim razie do jakiegokolwiek podziału; każdy z swej strony wykona te same ruchy; lecz jeżeli tylko zadanie jest złożonem i obejmuje różne ruchy — nader korzystnem jest rozłożenie pracy, która razem wzięta przedstawiałaby jedną robotę, na szereg częściowych robót i przeznaczenie każdej z tych robót jednemu człowiekowi.

Pierwszą postacią, pod którą występuje podział pracy, jest *rozdział zajęć czyli zawodów.*

W czasie, kiedy społeczeństwo dopiero powstaje, n. p. w epoce wędrówek, lub nawet władzy patryarchalnej, każdy osobnik oddaje się dowolnej pracy. Lecz zaraz z początkiem urządzeń społecznych, każda jednostka zdąża do tego, by się poświęcać jednemu oznaczonemu zajęciu, i w ten sposób powstaje podział pracy: jedni przygotowują pożywienie, drudzy wytwarzają odzież, inni stają w obronie całości. Później, w miarę doskonalenia się urządzeń społecznych, specyalizacya zawodów, rozdziela się na coraz drobniejsze gałęzie. Produkcya żywności i odzieży, daje początek setkom różnych zawodów, te znów ze swej strony mogą się rozdzielać na pewne oznaczone prace, z których każda pozwala na zastosowanie osobnych rzemieślników [1]).

---

wyżywić rodzinę złożoną z 20 osób.“ Jenerał Czengi-Tong *Réforme sociale* 15 października 1886. Por. także w tej kwestyi Toubeau: *Relèvement de la population* i Fernand Maurice *Reforme agraire.*

[1]) Co się tyczy historycznego rozwoju podziału pracy w rodzinie, przemyśle, rolnictwie. handlu, por. uwagi godne artykuły p. *Schmoller'a*: *La division du travail étudiée au point de vue historique* w *Revue d'économie politique* 1889 i 1890.

Drugą postacią, pod którą się zjawia podział pracy, jest *podział pracy techniczny*. Ten rodzaj rozdziału zadań zwrócił pierwszy uwagę Adama Smith'a na to cudowne zjawisko i podyktował mu owe ustępy tysiąckrotnie już powtórzone[1]). Skoro każda praca przemysłowa, jak widzieliśmy wyżej, składa się tylko z szeregu czynności, rozkłada się ten ruch złożony na szereg ruchów jak najprostszych, powierzając je odpowiednej liczbie robotników w ten sposób, by każdy z nich miał, o ile możności, jeden tylko a zarazem tensam ruch do wykonania.

Wreszcie zobaczymy później ostatnią postać podziału pracy, któryby można nazwać *międzynarodowym*, ponieważ zjawia się skutkiem rozwoju międzynarodowego przewozu i handlu; polega on na tem, że każdy naród poświęca się szczególnie produkcyi tych płodów, które zdają się najlepiej odpowiadać gruntowi, klimatowi lub szczególnym właściwościom rasy.

Aby podział pracy mógł wogóle powstać, a następnie się rozwinąć pod jakąkolwiek z trzech wzmiankowanych postaci, konieczną jest jako warunek istotny *produkcya na wielką skalę*.

Podział pracy jest faktycznie tem doskonalszym, im większą jest liczba aktów cząstkowych, na które można pracę rozdzielić, lecz liczba robotników musi koniecznie pozostawać w odpowiednim stosunku do liczby owych oddzielnych zadań. Otóż jasną jest rzeczą, że ilość robotników, zatrudnionych przez przemysłowca, zależy od rozmiarów jego produkcyi, a ponieważ wiemy, że rozmiary produkcyi zależą od wielkości targu, — możemy zatem ostateeznie stwierdzić, że podział pracy pozostaje w prostym stosunku do *rozciągłości targu*.

Dlatego to często zwracano uwagę na zjawisko, że podział pracy istnieje wyłącznie w wielkich miastach, a nieznanym jest na wsi lub małem miasteczku. Tutaj znajdziemy

---

[1]) Por. wspaniałe ustępy, które Adam Smith poświęcił temu przedmiotowi (t. I. ks. 1. r. 1.) Przykład zresztą, który wybrał, jest już nieco przestarzały, bo większość szpilek robi się dziś maszynowo.

w jednym i tymsamym sklepiku obok siebie sklep korzenny, masarnię, zabawki dla dzieci, handel papieru, wstążki, igły itp., co w wielkiem mieście stanowiłoby przedmiot sprzedaży różnorodnych sklepów [1]). Przyczyna tego zjawiska jest zupełnie jasna: na wsi trzeba się zajmować wszystkiemi zawodami, naraz, trzeba być *Jack of all trades*, jak mówi Anglik, z tego prostego powodu, że jeden zawód nie dałby mu jeszcze środków do życia.

W bardzo wielu podręcznikach ekonomii politycznej spotykamy jeszcze drugi warunek, a mianowicie *ciągłość produkcyi* bez żadnej przerwy, a z tego zwykle wyciąga się wniosek, że podział pracy nie może mieć zastosowania w rolnictwie. Teorya ta, choć wyznawaliśmy ją w pierwszem wydaniu tego dzieła, nie zdaje się nam być zupełnie ścisłą. Bez wątpienia niemożliwem jest wprowadzić na folwarku podział pracy zupełnie taki sam, jak we fabryce, nie można jednego człowieka przeznaczyć do siania, dziesięciu do zbierania zboża, innego wreszcie do zbierania wina, szczepienia, obcinania winnej latorośli, sadzenia — jednem słowem nie można żadnej z tych czynności z osobna oddać jednemu robotnikowi, bo każda z nich: siejba, zbiór wina, zbiory zboża, szczepienie, obcinanie latorośli, sadzonka, może się odbywać tylko w okresie oznaczonym, w krótkim przeciągu czasu. Robotnik poświęcający się wyłącznie jednej z tych czynności, musiałby pozostać bezczynnym przez 11 miesięcy w ciągu roku. Możliwem jest jednak, a przynajmniej byłoby pożądanem, osiągnąć podział pracy pod inną postacią — mianowicie zajmowania się jednego człowieka lub całych grup — uprawą pewnej oznaczonej rośliny. Z drugiej strony bardzo jest prawdopodobnem,

[1]) Możnaby sądzić z pierwszego wejrzenia, że przy wielkich magazynach w stolicach jak Louvre lub Bon Marché, zachodzi tensam wypadek, bo sprzedają różnorodne przedmioty. Lecz one przeciwnie w wyższym jeszcze stopniu stosują podział pracy — bo każdy oddział sprzedaży tworzy oddzielny sklep — mający na czele osobnych *chefs de rayons;* jeden zajmuje się wyłącznie koronkami, drugi tylko wschodniemi dywanami etc.

że do tego przyjdzie, w miarę jak uprawa roli stanie się więcej intenzywną i zbliży się do ogrodnictwa [1]).

II.

Korzyści i niekorzyści podziału pracy.

Podział pracy wzmacnia siłę produkcyjną pracy w rozmiarach przechodzących najśmielsze marzenia, a to z następujących powodów:

1) Praca najzawilsza *rozkłada się* tak, jak to przedstawiliśmy, *na szereg bardzo pojedyńczych ruchów,* prawie automatycznych, a ztąd nadzwyczaj łatwych do wykonania, co niezmiernie ułatwia wytwórczość.

Możliwem jest dojście tą drogą do ruchów tak prostych, że praca ludzka jest zbyteczną, a zastąpi się ją produkcyą maszynową — i w rzeczywistości tą drogą rozkładu doprowadzono do wykonywania za pomocą maszyn, najzawilszych na pozór zadań.

2) Różnorodność zadań ztąd powstałych zupełnie różnych z punktu widzenia trudności, siły lub uwagi, której wymagają, dozwala na *zastosowanie każdego zadania do osobistych zdolności pracowników.* W ten sposób można zużyć przyrodzonych właściwości każdego pracownika a uniknąć marnowania czasu, sił a nawet kapitału, — które musiałoby nastąpić, gdyby wszyscy, silni i słabi, głupcy i rozumni, mieli wykonać tę samą pracę — marnowania pracy najsilniejszych lub najzdolniejszych na pracy zbyt łatwej dla nich i odwrotnie straty pracy najsłabszych lub najgłupszych na zadaniu przechodzącem ich siły.

---

[1]) Tak właśnie rozumiał Fourier podział pracy w swej *Association agricole* — doprowadzał go jednak do przesady tworząc tyle kół pracowników, ile było gatunków (kapuściarze, rzepiarze, gruszkarze, wiśniarze etc.) a nawet tyle podpodziałów, ile mogło być odmian w tymsamym gatunku rośliny uprawnej.

3) *Ciągłe powtarzanie tego samego ruchu* powoduje u wszystkich ludzi zadziwiającą wprost przewagę prawej ręki, a tak samo praca umysłowa przez ciągłe i trwałe stosowanie rozwija szczególnie umysłowe zdolności, a skutkiem tego i zdolność produkcyjną. Lekarze, adwokaci, malarze, powieściopisarze, uczeni, mają dziś każdy z osobna jakąś specyalność; każdy z nich ciągnie zysk z zamknięcia się w jednym małym kąciku ludzkiej wiedzy i ciągłych badań nad tymsamym przedmiotem. Dążenie to przedstawia swoją drogą w dziedzinie pracy umysłowej pewne niekorzyści, lecz w zakresie ściśle wziętej pracy produkcyjnej pewnem jest, że to udoskonalenie pracy, wynikłe z długiego ćwiczenia, stanowi główną korzyść podziału pracy.

Do wyżej przytoczonych powodów, dodaje się jeszcze zazwyczaj trzy inne, mniejszej doniosłości:

4) *Oszczędność czasu,* wynikająca z ciągłości pracy: robotnik często pracę zmieniający, traci przy każdej zmianie nietylko ów przeciąg czasu między jedną a drugą czynnością, lecz przedewszystkiem czas, *potrzebny do rozpoczęcia każdej czynności.*

5) *Oszczędność narzędzi* doprowadzoną do najwyższego stopnia w razie, jeżeli każdy pracownik z osobna używa jednego tylko narzędzia, a używa go stale.

6) Wreszcie *krótsze trwanie okresu nauki,* albowiem jest on tem dłuższym, im więcej złożone są czynności.

Lecz jako przeciwwagę tych korzyści oddawna już podnoszono następujące bardzo ciężkie zarzuty:

1) *Zepchnięcie pracownika do roli maszyny,* skutkiem powtarzania ciągle tegosamego ruchu, możliwie najprostszego, a czysto automatycznego.

Na to można odpowiedzieć, że używanie maszyn dąży ciągle do usunięcia tego smutnego wyniku podziału pracy. Można być pewnym w istocie, że, skoro tylko do tego stopnia uprości się czynność, że stanie się czysto automatyczną, nie długo trzeba będzie czekać na wstąpienie maszyny w miejsce pracownika, bo w tym razie można zawsze uzyskać pewną oszczędność.

Ograniczenie dnia roboczego, pozwalające robotnikowi zająć w sposób odpowiedniejszy ciało i umysł — należy uważać także za konieczną poprawkę podziału pracy w nowoczesnej produkcyi przemysłowej [1]).

2) *Najwyższa zależność robotnika*, który niezdolnym jest wytwarzać po za oznaczoną czynnością czysto specyalną, w której się wyćwiczył, a ztąd jest na łasce i niełasce pracodawcy. Tak jak cząstki, które on wyrabia, a które mają wartość tylko jako część całości, można powiedzieć, że i robotnik sam wartością swą równa się jednemu kołu tej wielkiej maszyny, zwanej fabryką: po za nią jest do niczego.

Bez wątpienia w tej ostrej ocenie mieści się część prawdy; — zapewne — z dzisiejszego urządzenia przemysłu wraz z przesadną specyalizacyą w czysto automatycznych czynnościach — mogą wynikać pewne niekorzyści, zwłaszcza na wypadek oddalenia robotników dla braku zajęcia: lecz wogóle, w zasadzie nie można się uskarżać na to, że człowiek zdąża do coraz większej zależności od swych bliźnich. Ta wzajemna zależność, ten węzeł coraz ciaśniejszy, wiążący jednostki w związki — nie osłabia skutkiem tego osobistości,

---

[1]) Por. w tej kwestyi wspaniałe ustępy u Lemontey'a i jego sławne zdanie: „Przykro się do tego przyznać, że w ciągu całego życia robiło się zawsze tylko $^1/_{18}$ część szpilki.“

Socyalista Fourier sądził, że można równocześnie osiągnąć korzyści podziału pracy a uniknąć niekorzyści, zapomocą tak nazwanych przez niego *courtes séances*. Każdy pracownik ma wykształcić się w kilku zawodach i następnie przechodzić je po kolei. Zachowuje się tem korzyści specyalizacyi — bo nie potrzeba do tego, by coś robić dobrze, robić to przez całe życie, można nabyć wprawy w pięciu lub sześciu różnorodnych czynnościach zwłaszcza, jeżeli skutkiem podziału pracy są bardzo proste; a z drugiej strony unika się zabijającej monotonii. Tak też i namiętność, którą Fourier malowniczo nazywa *motylową*, znajduje swe zaspokojenie. Myśl Fouriera nie jest wcale tak śmieszną, jak ją przedstawiano; tylko należy sobie życzyć, by robotnik, przechodząc do nowej pracy, nie tracił zbyt wiele czasu; dlatego to właśnie wynalazł on *falanster* i tam gromadził pracowników wszystkich, chcąc ułatwić wymianę pracy, aby kowal mógł zaraz po opuszczeniu kowadła, zacząć uprawę róż.

lecz przeciwnie ją wzmacnia. Słusznie mówi Espinas *(Sociétés animales)*: „zdolność do życia w odosobnieniu jest bardzo niską właściwością jednostki... Nie upadkiem, lecz raczej postępem jest dla osobnika wejść jako część składowa do wielkiej, znacznie rozciąglejszej całości i utrzymywać związki liczne z innemi ogniskami życia, z innemi jednostkami.“

To jest zresztą wynikiem przyrodzonego i bezwzględnie ogólnego prawa; w pierwotnych, słabo urządzonych społeczeństwach, a nawet skutkiem ich niedoskonałego urządzenia, każda jednostka zachowuje swe osobiste znaczenie i mogłaby żyć w odosobnieniu od społeczeństwa, do którego należy bez wielkiej szkody dla siebie, jako też dla społeczeństwa samego— tak jak gąbki, polipy, lub nawet dżdżownice można oddzielać kawałkami bez wielkiej niekorzyści, bo urwana część wystarcza sobie. Lecz w społeczeństwie urządzonem, zorganizowanem, gdzie podział pracy silnie się rozwinął, jednostka znajduje się w takiej zależności od swych bliźnich, że w razie odosobnienia, życie staje się dlań niemożliwem tak, jak u istot wyższych, członek oddzielony od ciała ginie natychmiast i w pewnych wypadkach może pociągnąć za sobą śmierć samego ciała, do którego należał. Zawsze się sprawdza ta stara bajka Meneniusa Agryppy, który przecież nie znał ani socyologii, ani biologii; owa stara bajka o członkach ciała i żołądku.

We wszystkich wypadkach więc, kiedykolwiekby ktoś uskarżał się, choćby na temat podziału pracy — że zabija on osobistość pracownika, poniżając go do stanu części dodatkowej i wytwarzając zupełną jego zależność — nasuwa się odpowiedź, że jest to małą bardzo niekorzyścią w porównaniu do wielkiego dobrodziejstwa, które przynosi, a którem jest: *coraz większy rozwój ludzkiej łączności* [1]).

---

[1]) Krytycy, podnoszący te zarzuty, popełniają błąd historyczny i praktyczny sądząc, że człowiek przed wejściem w życie podziału pracy był więcej zbliżonym do ideału ludzkiej osobistości, więcej harmonijnym... Bez podziału pracy byłby dzikim, myślącym o jedzeniu, piciu i próżnowaniu... Tylko skutkiem podziału pracy

III.

Wolność pracy.

Jakież to tajemnicze prawo wprowadziło podział pracy do ludzkich społeczeństw? Nie wystarczy odpowiedzieć, że powstaje on sam z siebie, jako wynik z góry postanowionego rozwoju podobnego do tego, który ukształca i rozdziela części ciała ludzkiego; trzeba jeszcze wiedzieć, jak ludzie będący z natury wolnymi rozdzielają między siebie zawody tak, że każdy zawód zatrudnia odpowiednią tylko liczbę rąk, a nie więcej.

Jeżeli chodzi o pracę warsztatową i jej podział, odpowiedź na to pytanie nie napotyka na żadne trudności: dyrektor lub pracodawca rozdziela sam role między pracowników fabrycznych; lecz kiedy chodzi o społeczny podział pracy, podział zawodów i rzemiosł — jakaż to moc rozdziela zadania?

Jest nią wyłącznie prawo wartości — lub, jeżeli ktoś chce inaczej — prawo popytu i podaży. Jeżeli do pewnego zawodu lub rzemiosła napływa zbyt wielka liczba ludzi, praca ich lub usługa traci na wartości skutkiem samej ich obfitości, to też dlatego niektórzy szybko się z niego wycofują lub przynajmniej odradzają swym dzieciom obierania tak niewdzięcznego kierunku. Jeżeli przeciwnie pewien zawód lub rzemiosło nie ma zapełnionych szeregów swych praco-

---

stał się możliwym wysoki rozwój umysłowy, moralny, estetyczny i ekonomiczny — pierwotnie, co prawda, tylko dla małej garstki, lecz z czasem dla coraz większej liczby jednostek. Nie stworzymy człowieka doskonałego starając się o rozwój harmonijny wszystkich jego sił — bo to byłoby niemożliwem. Słabość ludzka i krótkotrwałość życia nie pozwalają na nic więcej i na nic szlachetniejszego, jak na oddanie się zawodowi specyalnemu, zachowując umysł przystępny dla wszystkiego, co jest pięknem i wielkiem w innych zakresach działania: *Schmoller* art. cyt. *Revue d'écon. polit.* 1890. str. 246.

wników, pracę tej małej niedostatecznej ilości ocenia się drogo dla jej rzadkości — a ta premia płacy robotniczej lub zysków niedługo ściąga w ową stronę licznych współpracowników.

Jest to więc gra wolnej konkurencyi — czyli inaczej mówiąc wolności, przysługującej każdemu wybierania sobie tego rodzaju pracy, który uważa za najstosowniejszy, co pozwala na utrzymanie pewnej równowagi między różnemi zawodami i zajęciami. Nie można wcale twierdzić, by ten podział pracy, który napotykamy w naszych nowoczesnych społeczeństwach jako wynik wolności pracy, miał być idealnym i pod tym względem nie możemy podzielać zachwytu pełnego zadowolenia bardzo wielkiej liczby ekonomistów. Spoglądając nań bez powziętego z góry uprzedzenia — ogarnia przeciwnie przerażenie na widok rozwoju wprost niezwykłego przemysłów pasożytniczych lub nawet zgubnych, jak szynków przedstawiających liczbę równą prawie armii francuskiej. Nawet w zawodach pożytecznych, jedne zatrudniają liczbę zupełnie niedostateczną jak lekarzy wiejskich [1]); inne są znów nadmiernie przepełnione jak n. p. sklepy korzenne i piekarze, rozmnażający się w miastach francuskich na własną i konsumentów szkodę [2]). Okoliczność, że osobisty interes pcha pracowników w tym lub owym kierunku nie zawsze się godzi z interesem społecznym. Wynagrodzenie, przyznane prawem podaży i popytu pracy jakiejś lub usłudze, pozostaje wprawdzie w stosunku do użyteczności tej pracy lub usługi, lecz wiemy, że użyteczność ta nie musi mieć wartości istotnej

---

[1]) W całej Francyi jest 14.668 lekarzy i urzędników zdrowia; liczba ta byłaby dostateczną (1 na 2.600 mieszkańców), gdyby lepiej byli rozdzieleni, lecz prawie wszyscy mieszczą się po miastach, a tylko 3—4000 zostaje dla wiejskiej ludności, liczącej 20 milionów mieszkańców (1 na 6—7000 mieszkańców i to rozsianych).

[2]) We Francyi jest 106.101 sklepów korzennych średnio 1 na 90 rodzin, 52.957 piekarzy i mniej więcej tyleż rzeźników, mniej więcej 1 na 184 rodzin. Biorąc jednak same tylko miasta pod uwagę, znajdziemy stosunek znacznie wyższy.

lub moralnej — i nie dowodzi niczego, jak tylko, że odpowiada pewnym pragnieniom lub pewnym słabościom ludzkim.

Mimo tych ciemnych stron, które przedstawia wolność pracy i konkurencyi w roli regulatora społecznej produkcyi, nie można sobie jednak wyobrazić środka, któryby ją mógł zastąpić, chyba przymusu, co byłoby gorszem. Systemy kolektywistyczne i komunistyczne chełpią się, co prawda, że korzystnie ją zastąpiły, nakładając na władzę społeczną samą obowiązek przeznaczania z urzędu pracowników w liczbie potrzebnej dla każdego zawodu, a obliczonej na podstawie doskonałych wykazach statystycznych. Społeczny podział pracy odpowiadałby wtedy rozkładowi jej w warsztacie t. j. każdy miałby sobie z urzędu wybrane miejsce, któreby władza kierująca uznała za stosowne. Na nieszczęście jednak, przyjmując nawet, że władza, do której należeć będzie przydzielanie robót, będzie nieomylną, nie jest dość widocznem, coby na tem zyskał mechanizm wytwórczości, a jasnem jest za to, co wolność jednostki na tem ucierpieć może.

ROZDZIAŁ III.

Wymiana.

I.

Rola wymiany w produkcyi.

Funkcya, jaką wymiana spełnia w życiu społecznem, jest niesłychanie ważną. Aby się o tem przekonać, wystarczy zaznaczyć, że prawie ogół dóbr wytwarzanych produkuje się dla wymiany wyłącznie. Weźmy zbiory w spichrzach lub lamusach właścicieli ziemskich, ubiory w magazynach ubrań, obuwie u szewca, klejnoty u złotnika, chleb u piekarza... i zapytajmy się, jaką jest ta część tych dóbr, przeznaczona do osobistego użytku wytwórcy: albo jej nie ma

wcale, albo jest nieznaczną. Są to tylko *towary* czyli przedmioty przeznaczone do sprzedaży. Nasz przemysł, nasza zręczność, nasze zdolności również i to najczęściej są przeznaczone do zaspakajania potrzeb cudzych, a nie naszych własnych. Ileż to razy zdarza się, że lekarz lub notaryusz pracuje na własny rachunek, prowadzi własny proces, dogląda własnej słabości lub spisuje akta dla siebie samego? oni także czynności swe oceniają ze stanowiska wymiany. Jest to prawdą tak oczywistą, że ilekroć chodzi o ocenienie naszych dóbr, oceniamy je, jak wiemy, nie ze stanowiska większej lub mniejszej przyjemności, jaką nam mogą sprawić, lecz wyłącznie ze stanowiska wartości ich czyli, inaczej mówiąc, ze stanowiska ich zdolności do wymiany.

Rodzina wieśniacza, żyjąca na własnej ziemi i mająca małe potrzeby, mogłaby ściśle wziąwszy spożywać tylko własne wytwory i wytwarzać wyłącznie dla własnej konsumcyi— a jednak nie sądzę by można znaleźć choć jeden przykład podobny w cywilizowanem społeczeństwie.

Podział pracy tak, jak go poznaliśmy w poprzednim rozdziale, sprowadził ten porządek rzeczy, w którym wymiana jest naczelną władczynią. Jakżeby człowiek mógł się ograniczyć do jednego tylko zajęcia, n. p. poświęcić się w ciągu całego życia wyrabianiu gwoździ lub serów, gdyby nie mógł liczyć na to, że inni będą wyrabiać chleb dla siebie i dla niego i że on tym sposobem drogą wymiany otrzyma wszystko, czego sam nie wytwarza [1]).

---

[1]) Należy dodać, że niektóre szkoły socyalistyczne podejmują się stworzyć społeczeństwo, w którem wymiany nie będzie, bez naruszenia podziału pracy. Rozwiązanie tego zadania mieści się w *komunizmie*. W łonie rodziny rzeczywiście, a nawet plemienia — ma miejsce podział pracy choć tylko w początkach, a jednak nie ma wymiany między członkami. Każdy oddaje na wspólną własność wytwory własnej osobistej pracy i bierze dla siebie wytwory, których używa dla własnej konsumcyi. Czy nie możnaby sobie wyobrazić tego systemu rozszerzonego na cały kraj? Nie — bo faktyczna wspólność może istnieć tylko między osobami żyjącemi razem n. p. w jednej gminie: otóż śmiesznem byłoby sądzić, że każda gmina w cywilizowanym kraju może

Stara to kwestya teoretyczna: czy należy wymianę uważać za wytwórczą? Fizyokraci dają odpowiedź przeczącą na to pytanie. Jeżeli się bierze fakt wymiany oddzielnie w ograniczeniu do czynników prawniczych prostego przeniesienia własności: *do ut des*, nie można jej w takim razie uważać za akt produkcyjny, bo wynika z samej definicyi, że nie chodzi tu o tworzenie nowych dóbr, lecz przeniesienie już istniejących. Lecz nie z tego stanowiska należy oceniać wymianę. Należy w niej widzieć ostatni akt tego szeregu czynności produkcyjnych, który rozpoczyna się wynalazkiem, więc równie niematerialnym aktem, przechodzi przez całą grupę czynności rolniczych, przemysłowych i przewozowych, posuwając wytwory stopień za stopniem ku ostatecznemu ich przeznaczeniu, którem jest dostać się do rąk spożywcy. Zmiana *postaci zewnętrznej*, zmiana *miejsca*, zmiana *rąk* wszystkie trzy są równie niezbędne dla osiągnięcia tego końcowego wyniku. A bez wątpienia ta ostatnia zmiana nie jest najmniejszego znaczenia [1]).

---

wytworzyć to wszystko, co spożywa i że może ograniczyć konsumcyę na własne tylko wytwory — musiałoby się wejść w związek wymiany z innemi gminami. Gdybyśmy zaś poszli dalej i postawili śmieszne założenie rozciągnięcia wspólności na cały kraj — trzebaby jeszcze wymiany między różnemi krajami. Tak więc komunizm może co najwyżej zastąpić *wymianę między jednostkami wymianą między ciałami zbiorowemi.*

[1]) Fizyokraci starali się nawet wykazać, że wymiana nie dostarcza żadnego zarobku; w rzeczy samej, mówili oni, wszelka wymiana, jeżeli jest słuszną, ma za założenie *równowartość obu wymienionych przedmiotów*, a zatem nie pozwala na przyjęcie zysku lub straty z tej lub owej strony. Możliwem jest wprawdzie istnienie wyzyskanego, lecz zyskowi z jednej strony odpowiada strata po drugiej, tak że ostateczny wynik równa się zawsze zeru (por. Quesnay *Dialogues sur le Commerce* i le Frôsne *de l'intérêt social*). Jest to jednak czysty sofizmat, który zwalczał oddawna Condillac. Wystarczy z góry zaznaczyć, że gdyby nikt nie mógł nic zyskać z wymiany, lub gdyby musiała polegać na wyzysku jednej strony, trudnoby zrozumieć, dlaczego ludzie przez tak długie wieki ciągle wymianę stosują. W rzeczywistości wartość przedmiotów wymiany nie jest równą: To, co ja daję, ma dla mnie

II.

Korzyści wymiany.

Korzyści wymiany można sprowadzić do dwu następujących:

1. Wymiana pozwala zużytkować w najlepszy sposób wielką ilość *dóbr, które bez niej byłyby bezużytecznemi.*

Bez wymiany cóżby robiła Anglia ze swym węglem kamiennym, Kalifornia ze złotem, Peru z guanem, Brazylia ze swą korą chinową? Rozbierając znaczenie dobra, stwierdziliśmy, że koniecznym warunkiem zaliczenia pewnego przedmiotu do rzędu dóbr jest możność jego użycia. Otóż, by można użyć pewnego dobra, trzeba je oddać drogą wymiany w ręce tego, który ma go użyć, więc chininę w ręce chorego na febrę, guano rolnikowi, węgiel kamienny fabrykantowi i t. d. Wyobraźmy sobie, że nagle skutkiem jakiegoś rozkazu usuwa się wymianę wszędzie i że każda jednostka i kraj każdy ma zatrzymywać u siebie i dla siebie ogół posiadanych dóbr, a obaczymy, jak wiele dóbr od razu stałoby się bezużytecznemi i zdolnemi chyba do gnicia na miejscu. Nietylko należy stwierdzić, że bez wymiany większość dóbr byłaby bezużyteczną, lecz nadto, jak wkrótce zobaczymy, że bez niej nigdyby ich nie można wytworzyć.

2. Wymiana pozwala przedewszystkiem zużyć jak najlepiej wielką ilość *zdolności wytwórczych*, które bez niej leżałyby odłogiem.

Zwróćmy uwagę na tę okoliczność, że gdyby nie było wymiany, każda jednostka musiałaby się zająć produkcyą

---

mniej wartości, niż to, co otrzymuję, bo inaczej nie odstępowałbym, a strona przeciwna rozumuje w ten sam sposób. Każdy z nas spodziewa się *otrzymać drogą wymiany więcej niż daje.* I obaj mamy słuszność. Nie ma tu wcale sprzeczności w tych odmiennych zapatrywaniach i wzajemnem przenoszeniu towaru obcego — bo wiemy, że użyteczność każdej rzeczy jest czysto podmiotową i zmienia się stosownie do potrzeb i życzeń jednostki.

tego wszystkiego, czego potrzebuje, a przyjmując, że liczba jego potrzeb wynosi np. 10, musiałaby trudnić się dziesięciu różnemi zawodami; czyby je wykonywała dobrze czy źle, nie wchodzi w rachubę, — byłaby bowiem obowiązaną produkcyę swą *stosować nie do zdolności, lecz do potrzeb.* Z dniem wejścia w życie wymiany postać rzeczy się zmienia: każdy osobnik, pewny odtąd, że drogą wymiany otrzyma wszystko, czego będzie potrzebował, oddaje się wyłącznie wytwarzaniu tego, co robi najlepiej; stosuje się też odtąd produkcyę swą *nie do potrzeb, lecz zdolności lub środków.* Przed wymianą każdy musiał zajmować się wytworem tego co mu było najpotrzebniejszem, pod rządem wymiany trudni się wyłącznie produkcyą tego, co jest dlań najłatwiejszem. Jest to uproszczenie wielkie, niemal zdumiewające.

Można powiedzieć, że korzyści powyżej zaznaczone są bardzo podobne do korzyści wynikających z podziału pracy, i w rzeczywistości są to te same, lecz jakżeż zwiększone i o ile liczniejsze! Raczej możnaby powiedzieć, że wymianie samej zawdzięczamy podział pracy wraz z zyskami ztąd płynącemi: wymiana sama pozwala podziałowi pracy wyjść poza ciasne koło warsztatu lub rodzinnej wpólności na to, by się rozszerzyć po całej powierzchni rozległego kraju a nawet od jednego do drugiego krańca ziemi. Gdyby nie było wymiany assocyacya i podział pracy wymagałyby uprzedniej umowy między współpracownikami: musieliby wszyscy porozumieć się między sobą co do rozdziału ról w wspólnem dziele. Lecz wymiana *uwalnia od tego układu wstępnego*, odtąd każdy zbliska lub zdala będzie wytwarzać stósownie do swych zdolności przyrodzonych lub przyswojonych stosownie do właściwości przyrodzonych okolicy, którą zamieszkuje; będzie mógł poświęcać się całkowicie jednej jedynej pracy i dostarczać na targ zawsze ten sam wyrób, będąc pewnym dzięki znakomitym urządzeniom, które poznamy później, że drogą wymiany otrzyma jakibądź przedmiot, którego właśnie potrzebuje. Niejednokrotnie już zrobiono to spostrzeżenie, że na to, co każdy z nas spożywa w jednym dniu, składa się

czynność setek a może tysięcy pracowników — zjednoczonych węzłem istotnego choć nieświadomego związku.

W ten to właśnie sposób w każdym kraju a nawet, w całym świecie można wyciągnąć największą możliwą korzyść z każdej pracy z wszystkich kapitałów i z wszystkich czynników przyrody, któremi rozporządzamy, umieszczając, jak mówi Anglik: „the right man in the right place“, człowieka odpowiedniego w miejscu odpowiednem i podnosząc do najwyższego stopnia zdolność produkcyjną każdej jednostki i wszystkich ras.

III.

Środki do ułatwienia wymiany.

Wymiana byłaby bardzo utrudnioną, niemal niemożliwą, gdyby nie odkryto pewnych środków, służących do jej uproszczenia i ułatwienia.

Środki te można ugrupować w następujący sposób:

1) Stworzenie koła pośredników, oznaczonych mianem *kupców* lub *handlarzy* i innych różnych sposobów połączenia wytworców z konsumentami.

2) Stworzenie i udoskonalenie *środków przewozowych*, przeznaczonych do łatwiejszego przewożenia towarów z miejsca na miejsce.

3) Wynalazek środka wymiany, oznaczonego mianem *pieniądza*, którego celem jest rozłożyć zamianę na kupno i sprzedaż.

Przejdziemy środki te jeden po drugim.

IV.

Rola kupców w produkcyi.

Handel nie znalazł początku swego, jakby sądzić można między sąsiadami, aby później powoli rozszerzać się coraz

dalej. Między członkami jednego plemienia zbyt wiele było jednolitości zwyczajów i potrzeb, za mało rozwinięty podział pracy, aby mógł powstać ruch prawidłowej wymiany. Między oddalonemi od siebie ludami, i różnemi okolicami powstała wymiana poraz pierwszy: była najprzód międzynarodową, nim się stała wewnętrzną.

Z tego też wynikło, że pierwsi kupcy musieli być *podróżnikami*, awanturnikami, na co też wskazują jasno historye Marka Polo, lub równie znamienne, choć fantastyczne Sindbada Marynarza w tysiąc i jednej nocy.

Wynikło ztąd również, że skoro handel odbywał się między cudzoziemcami czyli między nieprzyjaciółmi (bo u starożytnych pojęcia te się zmięszały) rozpoczynał swe pierwsze występy podstępem, oszustwem a nieraz i gwałtem i że podówczas Merkury mógł być bez wywołania zdziwienia i zaniepokojenia opinii publicznej—bogiem kupców i złodziei.

Wynikło ztąd wreszcie, że z początku kupcy byli osobistościami wybitnemi, którym zazdroszczono i których się obawiano, stojącemi znacznie wyżej od rękodzielników i rolników — tworzącemi prawdziwą arystokracyę. W najnowszych to dopiero czasach zjawia się drobny handel cząstkowy [1]).

Można zaznaczyć w historyi kupców dwie epoki:

1) Pierwszą jest faza kupca *wędrownego*. Wszystkie kraje gdzie handel mało się jeszcze rozwinął są właśnie w tym okresie: handel przybiera tam postać *karawan*. Po wsiach naszych odkrywamy to samo pod postacią *domokrążcy*, a nawet pod postacią *wykrzykiwaczy*, których wywoływania rozbrzmiewają po ulicach Paryża.

System ten kupca podróżującego z swym towarem jest bardzo niedoskonałym, bo może znaleść zastósowanie tylko w handlu towarami zbytkowemi i takiemi, które można łatwo przewozić, a najmniej można go stósować do towarów ciężkich, bo obciąża każdy przedmiot olbrzymiemi wydatkami

---

[1]) Por. odnośnie do całej tej historyi kupców artykuły Schmollera: *Podział pracy z punktu widzenia historycznego w Revue d'économie polit.* Marzec, kwiecień 1890.

ogólnemi. Zyski kupców, idących z karawanami do Afryki środkowej muszą wynosić najmniej 400 na 100, by się wyprawa opłaciła.

2) Również, gdzie tylko handel się cokolwiek rozwinie, wkrótce handlarz wędrowny ustępuje miejsca kupcowi osiadłemu stale — *właścicielowi sklepu.* Przedtem szukał kupiec nabywcy, odtąd szuka nabywca kupca, lecz odtąd też musi kupiec zwracać uwagę przechodnia czyto za pomocą *znaków mówiących*, których ślady odnajdujemy dzisiaj w talerzykach wiszących u drzwi fryzyeryów, w drewnianej fajce sterczącej u wstępu do handlu tytoniem lub w blaszanym kapeluszu zdobiącym wejście do kapelusznika — czy też za pomocą wystawy samych towarów, wspaniale rozłożonych w oknie sklepowem — lub wreszcie musi się starać o ściągnięcie nabywcy z daleka bądź za pomocą *ogłoszeń reklamy i cenników*, bądź za pomocą *komiwojażerów*, lub jak dziś się mówi grzeczniej — „zastępców firmy“, którzy przypominają dawnych kupców wędrownych z tą tylko różnicą, że wożą z sobą wyłącznie tylko próbki.

Korzyści wynikające dla społeczeństwa z istnienia kupców są następujące:

1) Służą oni za pośredników między wytwórcą a konsumentem, oszczędzając jednemu i drugiemu czasu na szukanie się wzajemne.

2) Nabywają towary w wielkiej ilości u producenta a sprzedając je cząstkowo usuwają tym sposobem trudności, któreby oczywiście musiały wyniknąć z różnicy zachodzącej między ilością towaru ofiarowaną przez wytwórcę, a ilością żądaną przez konsumenta.

3) Przechowują towary na składzie, usuwając tym sposobem trudności, które musiałyby wyniknąć z niezgodności pod innym względem, mianowicie czasu, w którym wytwórca chce się pozbyć swego towaru z chwilą, w której konsument skłania się do nabycia.

Są to bez wątpienia cenne usługi lecz, jak to zobaczymy, opłaca się je za drogo.

V.

Niekorzyści wynikające z nadmiernej liczby kupców.

Skutkiem różnych okoliczności, między któremi w pierwszym rzędzie zajmuje miejsce sama istota handlu, nie wymagającego wielkich trudów, i ta siła przyciągająca, którą handel wywiera na wiele osób zwłaszcza we Francyi — wynikło, że liczba tych pośredników a przedewszystkiem kupców cząstkowych, sklepikarzy (kramarzy) przechodzi już znacznie rzeczywiste potrzeby. To zwiększenie się liczby pośredników, zmniejszając obrót handlowy każdego z nich, musiało pociągnąć za sobą niezmierne obciążenie każdego przedmiotu ogólnemi kosztami i wywołać zwyżkę cen w całem tego słowa znaczeniu sztuczną. Na darmo postępy mechaniki i rozwój międzynarodowego handlu obniżają coraz bardziej ceny produkcyi całego szeregu wytworów, konsument nie płaci skutkiem tego taniej; ceny handlu cząstkowego pozostają mniej więcej w tej samej wysokości, jeżeli się nie podnoszą a tak ogół nie bierze udziału w korzyściach przemysłowego postępu. W rękach pośredników zostaje cała różnica i to najczęściej bez wielkiego zysku dla nich samych, bo korzyści te pochłaniają ogólne koszta. Jest to właśnie jeden z wypadków, o których wyżej wspominaliśmy a w których konkurencya zamiast sprowadzać taniość — powoduje drożyznę; tu a nie gdzieindziej należy też szukać stałego podrożenia środków do życia, na które się tak słusznie ogół skarży.

Jeżeli do tej wielkiej już niekorzyści dodamy fałszowanie środków żywności, — które staje się prawdziwie groźnem dla zdrowia ogólnego, a jest również wynikiem zapamiętałej konkurencyi naszych kupców — musimy się zapytać, czy usług, które oddają ci pośrednicy, nie opłaca się dziś zbyt drogo i czy nie możnaby znaleźć jakiegoś innego

sposobu urządzenia wymiany, mniej uciążliwego dla społeczeństwa.

Prawdziwym środkiem zaradczym byłby bezpośredni związek między wytwórcą a konsumentem i w ten sposób usunęłoby się pośredników, lub przynajmniej ograniczyło ich liczbę do minimum.

Oddawna i to bez wątpienia zanim powstał zawód kupiecki, wytwórcy i konsumenci wynaleźli sposób stykania się bezpośredniego na *targach i jarmarkach*, które odgrywały swego czasu tak wielką rolę, a które dziś jeszcze zachowały pewne znaczenie dla ludności wiejskiej. Lecz o powróceniu do podobnego systemu nie ma mowy, bo byłby on jeszcze uciążliwszym. niż posługiwanie się kupcami. a to dla straty czasu i kosztów przewozu, których wymaga. To też słusznie coraz bardziej traci on na znaczeniu.

Największą trudnością, jaką się napotyka chcąc stworzyć związek między wytwórcą a konsumentami jest, że producent nie może sprzedawać częściowo, a konsument tem mniej może nabywać w wielkich ilościach. Trudność tę można jednak szczęśliwie ominąć drogą stowarzyszenia dwojakiego: bądź stowarzyszenia wytwórców, zawierających umowę w celu bezpośredniej sprzedaży publiczności n. p. *syndykatów rolniczych*, bądź stowarzyszenia konsumentów, umawiających się między sobą o bezpośrednie kupno od wytwórców, — które to zadanie przypada *udziałowym stowarzyszeniom spożywczym*. Jedne i drugie, mogąc sobie zresztą udzielać wzajemnej pomocy, powołane są do oddania społeczeństwu ogromnej usługi przez zupełne przekształcenie urządzeń handlowych.

W ogóle można stwierdzić, że mechanizm handlowy oddawszy raz wielkie usługi dziś już przeżył się w większej ilości krajów cywilizowanych: należy w nim widzieć, że użyjemy tu wyrażenia modnego, kategoryę historyczną, która zadanie swe spełniła, a do której usunięcia rozwój ekonomiczny będzie zdążać.

VI.

Środki przewozowe.

Wymiana może istnieć i można ją sobie łatwo wyobrazić bez zmiany miejsca wymienianych przedmiotów, n. p. jeżeli się ją stosuje do nieruchomości, lub jeżeli chodzi o prostą spekulacyę towarami. Mimo to przenoszenie z miejsca na miejsce można uważać za część istotną tej szczególnej formy wymiany, której praktyka i język prawniczy nadaje imię handlu. Otóż sama czynność przenoszenia, czyli przewóz (transport), wymaga wiele pracy, a ztąd i kosztów. Każdy wynalazek, zmierzający do ułatwienia środków przewozowych, ułatwi temsamem wymianę, a z tego wynika, że historya handlu zlewa się pod pewnym względem z historyą rozwoju komunikacyj lądowych i morskich.

Trudności przewozu są różnego rodzaju.

Mogą mianowicie dotyczyć:

1. *Oddalenia.* Geniusz ludzki nie ma żadnego środka na oddalenie: nie może żadnym sposobem zmniejszyć lub znieść przestrzeni, dzielącej dwa punkta kuli ziemskiej, ale przeszkoda oddalenia praktycznie przedstawia się pod postacią straty czasu; otóż pomysłowość ludzka w sposób szczególnie skuteczny starała się o skrócenie czasu, potrzebnego do przebycia danej przestrzeni. Jeżeli czas, potrzebny do przebycia jakiejś przestrzeni, jest dziś 20 razy mniejszy, niż w w. XIII, to można zupełnie słusznie twierdzić, że skutek tym sposobem osiągnięty, jest całkiem tensam, jak gdyby Francya była dziś 400 razy mniejszą, niż w wieku XIII (bo powierzchnia zmienia się w stosunku prostym do kwadratu promienia). Otóż wiemy, że dzięki kolejom, twierdzenie to stało się rzeczywistem, można więc powiedzieć, że postępy, dokonane w szybkości komunikacyi, osiągają nieskończone zmniejszenie powierzchni kuli ziemskiej.

2. *Istoty towaru.* Wołu nie można przewozić równie łatwo, jak jarzyny, a jarzyn tak, jak węgle kamienne, a tych

znów tak, jak złota. *Ciężar, kruchość, trudność przechowania* są przeszkodami także. Ta sama szybkość przewozu, o której dopiero co mówiliśmy, może i tu pozwolić na ułatwienie w znacznej mierze. Bydło lub mięso nie mogło przybyć w dobrym stanie z Ameryki lub Australii w epoce statków żaglowych, podczas kiedy dziś jest to możliwem, dzięki krótkiemu trwaniu przewozu. Ryb, nowalii, dziczyzny, nie można było dawniej przesyłać z prowincyi do Paryża, dziś przychodzą codziennie, bo przewóz ich dokonywa się w 24 godzinach. Oprócz szybkości przewozu, różnorodne wynalazki pomogły do usunięcia tej przeszkody, n. p. zastósowanie mrożenia przy przewozie mięsa, dzięki czemu przychodzi mięso świeże z Australii, lub procesów chemicznych do konserwowania środków żywności (mięso wędzone, metoda Apperta). Pomimo tego wszystkiego, trudność przewozu pewnych przedmiotów, a zwłaszcza mięsa, dziś jeszcze wywołuje pewne ważne a niemiłe następstwa ekonomiczne.

3. *Stanu dróg przewozowych.* Jest to przeszkoda najpoważniejsza, lecz jedna z tych, nad któremi pomysłowość ludzka odniosła świetne zwycięztwo.

Na morzu droga jest gotową lub wcale jej nie potrzeba; czynnik płynny niesie każdy ciężar bez wyjątku, a powierzchnia jego pozioma z matematyczną dokładnością pozwala statkom poruszać się dowolnie w każdym kierunku. Najsłabsza siła ruchu, zupełnie bezpłatna, jeżeli się używa wiatru, wystarcza, by ogromne masy poruszyć. Niema się więc czemu dziwić, że morze po wszystkie czasy było wielką handlową drogą i że okolice, oddzielone od siebie tysiącami mil morza, w rzeczywistości są sobie bliższemi, niż inne, oddzielone tylko stu milami lądu stałego. Nawet obecnie, mimo postępu środków przewozowych lądowych — przewóz morzem jest nieskończenie mniej uciążliwym, co znaczy, że wymaga nieskończenie mniejszej pracy. Koszt przewozu jednej tonny kilometrycznej (10.000 klgr. przez jeden kilometr) nie przechodzi nigdy 2 centimów, a zniża się bardzo często do $^1/_2$ centima i jeszcze mniej, podczas gdy, jak zobaczymy, cena przewozu koleją żelazną wynosi 8—9 centimów.

Na lądzie trudność jest już znaczniejszą. Powierzchnia chropowata naszego płanety nie pozwala zupełnie na przewóz towarów bez użycia sztucznych dróg. Przewóz karawanowy, t. j. na plecach ludzkich, jak w Afryce, lub na zwierzętach pociągowych, jak w środkowej Azyi, może bez wątpienia obejść się bez nich, lecz nie przewóz kołowy. Stworzenie drogi jest właśnie zadaniem bardzo kosztownem i to tem kosztowniejszem, im droga jest doskonalszą, t. j. im oporniejszą jest powierzchnia, a im więcej linia drogi zbliża się do poziomu. Kolej żelazna jest szlakiem doskonałym, lecz też i najdroższym. Koszt budowy jednego kilometra dochodzi we Francyi do 400.000 fr., a najmniej do 100.000 fr. w razie dokonania jej z najmniejszym możliwym wydatkiem. Wkłada się więc olbrzymi kapitał, który oczywiście obciąży przewóz towarów całą sumą, konieczną dla pokrycia odsetek i umorzenia kapitałów. Mimo tego, jeżeli ruch przewozowy jest dostateczny, t. j. jeżeli towary przewożone są drogą żelazną w ilości znacznej, robi się wielkie oszczędności w przewozie nie licząc już nawet jego regularności, wygody i szybkości. Cena przewozu tonny kilometrycznej waha się między 8 a 9 centimami [1]), podczas gdy przy kołowym przewozie wyniosłaby 30 centimów. Tak więc oszczędza się najmniej $^2/_3$ kosztów. Niema się jednak temu co dziwić, jeżeli się zważy, że do wykonania pracy lokomotywy, przyprzężonej do pociągu towarowego, trzebaby najmniej na zwykłej drodze 300 koni, a i tak zrobionoby 10 razy mniejszą drogę.

VII.

Rozkład zamiany na kupno i sprzedaż.

Aby zamiana mogła przyjść do skutku, nie wystarcza do tego owa osoba trzecia, pośrednicząca między wytwórcą

[1]) Zwykle liczy się 5 centimów. Taką jest cena wymagana przeciętnie przez towarzystwa kolejowe, lecz należy wziąć w rachubę, przynajmniej we Francyi, prace, które państwo wykonuje

a konsumentem, zwana kupcem; potrzeba jeszcze towaru trzeciego, pośredniczącego między rzeczą wystawioną na sprzedaż, a rzeczą do nabycia — jest nim *pieniądz*. Wymiana bezpośrednia towaru za towar nosi miano *surowej* (troc), jest ona jednak najniewygodniejszą, a często najtrudniejszą do urzeczywistnienia. Aby wymiana surowa przyszła do skutku, potrzeba, aby posiadacz pewnego przedmiotu znalazł *osobę gotową do nabycia jego towaru* i (wypadek trudniejszy jeszcze do urzeczywistnienia) *gotową odstąpić mu tego właśnie towaru, którego on potrzebuje*. Lecz to nie wszystko; trzeba jeszcze, — przypuśćmy, że szczęśliwe to spotkanie może nastąpić — aby dwa przedmioty, przeznaczone do wymiany, *przedstawiały całkiem równą wartość*. Przybywa więc jeszcze jedno nieprawdopodobieństwo.

Niekorzyściom tym zapobiega wynalazek towaru trzeciego. Wymaga on oczywiście do pojęcia swego pewnej wyraźnej lub milczącej umowy między ludźmi, żyjącymi w społeczeństwie, a mianowicie zgody każdego z nich na przyjmowanie owego towaru w zamian za swe wytwory. Jeżeli się to raz umówi, sama czynność postępuje po myśli. Przypuśćmy, że do tego celu wybrano srebro, otóż w zamian na towar przezemnie wyprodukowany, a którego chcę się pozbyć, przyjmuję chętnie pewną ilość srebra, wtedy nawet, gdy nie mam z niem co robić: a to dlaczego? dlatego, bo wiem, że jeżeli zechcę nabyć potrzebny mi przedmiot, wystarczy mi ofiarować jego posiadaczowi tę samą ilość srebra, a on przyjmie ją znów z tego samego powodu, dla którego ja przyjąłem.

Jasnem jest na podstawie tego, cośmy powiedzieli, że czynność wymiany surowej rozdzieli się na dwie odrębne czynności. Zamiast wymieniać swój towar A za towar B, wymieniam swój towar A za pieniądze, aby potem wymienić pieniądze za towar B. Pierwsza czynność nosi nazwę *sprzedaży*, druga *kupna* (przynajmniej w takim razie, jeżeli towar trzeci przedstawia się pod postacią pieniądza właściwego);

---

bezpłatnie na rzecz towarzystw, a które, ponieważ przedstawiają znaczny kapitał, zwiększyłyby znacznie cenę przewozu, gdyby się chciało je potrącić.

zdaje się na pozór, że czynności te wywołują raczej zagmatwanie, niż uproszczenie; ale droga najkrótsza nie zawsze jest dobrą, a to genialne zboczenie z drogi usuwa przeciwnie niezliczoną ilość trudu i pracy. Tem, co czyniło w rzeczywistości surową zamianę tak trudną, była okoliczność, że — jak powiedzieliśmy — producent jakikolwiek, *primus*, musiał, chcąc zamiany dokonać, spotkać inną osobę — *secundusa*, którąby się godziła równocześnie: 1) nabyć rzecz, której *primus* chciał się pozbyć; 2) odstąpić mu właśnie tę rzecz, której chciał dostać. Odtąd producent *(primus)* będzie się musiał zająć wyszukaniem nabywcy na towar, lecz nie będzie już potrzebował od nabywcy żądać towaru, który sam chce nabyć. W tym celu zwróci się on do innej osoby, w innym czasie i w innem miejscu. Obie powyższe czynności były bardzo trudnemi dla ich *niepodzielności;* jeżeli zerwiemy raz łączący je węzeł, każda z nich osobno wzięta, staje się dość prostą. Nie będzie już bardzo trudno znaleźć nabywcę towaru, t. j. kupca. Niemniej nie będzie bardzo trudno znaleść kogoś drugiego, gotowego odstąpić towar, którego się potrzebuje, t. j. sprzedawcę.

Nie należy jednak zapominać, że choć dwie te czynności są odtąd oddzielone od siebie, to mimoto tworzą całość tak, że nie możnaby pojąć jednej bez drugiej. Zanadto jesteśmy skłonni w życiu codziennem do wyobrażania sobie, że sprzedaż lub kupno są czynnościami, nie mającemi związku między sobą i sobie z osobna wystarczającemi. Jest to złudzenie. *Każde kupno łączy się z pojęciem poprzedniej sprzedaży,* bo zanim można wymieniać pieniądze za towary, trzeba przedtem zmieniać towary za pieniądze. Odwrotnie znów, każda sprzedaż każe przypuszczać *kupno w przyszłości,* bo jeżeli się wymienia towar za pieniądze, to tylko na to, by wymieniać później te pieniądze za inne towary; bo cóżby z niemi zrobiono w przeciwnym razie? W każdym razie, ponieważ pieniądze można przechowywać w nieskończoność bez użycia ich, jest możliwem, że upłynie bardzo długa przerwa, kilku lat lub może nawet kilku pokoleń, między dwiema czynnościami, pozostającemi w ścisłym związku, między sprzedażą

i odpowiadającem jej kupnem. Lecz w myśli można te czynności zbliżyć i rzeczywiście pomimo współudziału towaru trzeciego, wszyscy, czy w społeczeństwie cywilizowanem, czy pierwotnem, stosujemy jeszcze ciągle zamianę towarów lub usług za inne wytwory.

Tak przyszliśmy do pieniądza kruszcowego. Choć przedmiot ten, tak jak pieniądz papierowy i międzynarodowy handel, powinienby być przedstawiony w rozdziale o wymianie, z którą się ściśle łączy, to jednak z powodu szerokiego sposobu traktowania, jakiego kwestye te wymagają, musimy poświęcić każdej z osobna — jeden rozdział.

ROZDZIAŁ IV.

Pieniądz kruszcowy.

I.

Dlaczego wybrano szlachetne kruszce na środek wymiany?

Jeżeli ten lub ów towar stał się owem *medium* wymiany, stało się to nie dla jakiejś wyraźnej umowy, lecz ponieważ pewne przedmioty skutkiem pewnych szczególnych przymiotów, które je przeznaczały do tej ważnej czynności, nasuwały się człowiekowi pod rękę.

W społeczeństwach patryarchalnych dobro wszędzie poszukiwane, bydło, wół lub baran, odgrywało, jak się zdaje, rolę owego towaru trzeciego i wiele języków indo-europejskich a nawet język Basków, przechowały nam ślad tej pierwotnej postaci pieniądza w samej nazwie, którą mu nadają.

Wiele innych towarów odgrywało prawdopodobnie także stosownie do okoliczności i kraju, rolę towaru pośre-

dniczącego, jak ryż w Japonii, cegiełki herbaty w Azyi środkowej, futra w okolicach zatoki Hudsońskiej, szklanne paciorki i materyały bawełniane w środkowej Afryce, topki soli w królestwie Dahomeyu, lecz pewien rodzaj dóbr miał wyłączny przywilej zwracania na siebie i to wcześnie uwagi człowieka i on też niedługo we wszystkich społeczeństwach, nawet na niskiej stopie kultury stojących, usunął na bok wszystkie inne towary. Chcę tu mówić o tak zwanych szlachetnych kruszcach, jak złoto, srebro i miedź.

Dzięki ich chemicznym właściwościom, które czynią je prawie niezmiennemi, mogła natura dostarczyć ich nam *w stanie pierwotnym*, a skutkiem tego ludzie mieli sposobność je poznać i wyzyskać, zanim ich wiadomości metallurgiczne pozwoliły im na poznawanie i wyzyskanie innych kruszców, jak n. p. żelazo. Godną uwagi jest okoliczność, że owe stare podanie o czterech wiekach, wieku złotym, srebrnym, miedzianym i żelaznym, szereguje te cztery kruszce w tym samym porządku, jak je człowiek poznawał. Ich właściwości fizyczne nie mniej ważne: blask, barwa, ciągłość, które uczyniły je poszukiwanemi tak wcześnie, czy to w celach ozdoby, czy to dla pewnych celów przemysłowych, jużby dostatecznie usprawiedliwiły ważną rolą, jaką odgrywały w różnych czasach i u różnych ludów.

Innym-to jednak, ważniejszym przymiotom i wybitnej wyższości nad resztą towarów zawdzięczają one stanowisko, które dziś zajmują wśród dóbr ekonomicznych.

Wyższość ta ich, jako towaru trzeciego, opiera się na następujących właściwościach [1]).

1. *Łatwość przewozu.* Żaden inny przedmiot nie ma tak wielkiej wartości, obok tak małego ciężaru. Ciężar, który człowiek może unieść na plecach, dochodzi do 30 kilogramów. Otóż 30 klg. węgla kamiennego przedstawiałoby zaledwo

---

[1]) Wyżej przeglądnęliśmy już przyczyny, które usprawiedliwiają przewagę szlachetnych kruszców nie jako środka wymiany, lecz jako miernika wartości. Są to bowiem kwestye odrębne, por. str 81—82.

wartość 1 franka; w zbożu 7 fr. w wełnie 30—40 fr. w miedzi 70 fr., w kości słoniowej 7—800 fr., w jedwabiu surowym 1.500 fr., w srebrze 5—6000 fr., a w czystem złocie 100.000 fr.

2. *Tożsamość gatunku (jakości).* Ponieważ szlachetne kruszce, jak stwierdza chemia, są ciałami pojedynczemi, więc w każdej swej cząstce są równemi co do swego składu. Doświadczony kupiec potrafi rozróżnić zboże odeskie od kalifornijskiego, garść wełny australskiego barana od wełny hiszpańskiego merynosa, lecz najzdolniejszy złotnik lub chemik, uzbrojony w najsilniejsze środki rozkładające, nie znajdzie różnicy między australskiem złotem a uralskiem. Nie potrzeba tu żadnych próbek.

3. *Trudność fałszowania.* Szlachetne kruszce można poznać na pierwszy rzut oka, uchem, przez dotknięcie, po barwie, ciężarze i dźwięku; to też łatwo je odróżnić od innych ciał.

4. *Zupełna podzielność.* Należy to rozumieć nietylko ze stanowiska czysto mechanicznego, (złoto i srebro rzeczywiście dają się ciągnąć na drut i rozpłaszczać w blachy), lecz także z punktu widzenia ekonomicznego: dzieląc sztabę kruszcu na sto części, nie zmieniamy wcale jej wartości: każdy kawałek przedstawia wartość stosunkową do swego ciężaru, a wszystkie cząstki w połączeniu dają wartość zupełnie równą pierwotnej sztabie.

Drogie kamienie na pierwszy rzut oka przedstawiają wyższość nad szlachetnemi kruszcami, bo posiadają wielką wartość przy małej objętości, lecz ze względu na inne właściwości — są znacznie gorzej uposażone. Ogromnie się różnią jakością, dają się łatwo naśladować, a przedewszystkiem nie można ich dzielić bez zniszczenia wprost ich wartości.

5. *Wysoki stopień trwałości.* Skutkiem właściwości chemicznych, czyniących je nieczułemi na wszelkie działanie chemiczne a zwłaszcza na wpływ powietrza, daje się złoto i srebro przechowywać w nieskończoność bez zmiany. Nie ma drugiego ciała, o któremby można powiedzieć to samo,

a dla ciała, które ma przedstawiać i przechowywać wartość jest to przymiot nieporównany.

II.

Wynalazek pieniądza stemplowanego.

Inną jest rzeczą używać szlachetnych kruszców jako środka wymiany, inną zaś używać właściwego pieniądza. Przejście od jednego stadyum do drugiego nastąpiło drogą trzech odrębnych stopni rozwoju:

1. Zaczęto używać szlachetnych kruszców pod postacią surowych sztab. Trzeba tu było przy każdej wymianie najprzód sztabę *odważyć*, następnie poddać *próbie*. Prawne czynności starego prawa rzymskiego n. p. *mancipatio* ze swym *libripens*, zachowały nam ślady tych czasów, kiedy to ważono środek wymiany — srebro lub bronz. Dziś jeszcze w Chinach, gdzie nie używa się pieniądza bitego, widzi się kupców noszących u pasa wagę i kamień probierczy.

2. Zmęczeni koniecznością ciągłego powtarzania tej podwójnej czynności przy każdej wymianie, wpadli ludzie na pomysł używania sztab obciosanych, których ciężar i jakość zostały z góry oznaczone i stosownie do potrzeby potwierdzone jakąś pieczęcią, jakimś stemplem urzędowym. Prawodawca, który pierwszy powziął tę myśl znakomitą, może śmiało żądać przyznania sobie zasługi rzeczywistego odkrycia pieniądza, bo odtąd zaprzestano już ważyć sztaby kruszcu, lecz je liczono — a to jest cechą pieniądza. Według tradycyi, należy rasie greckiej, której już tak wiele ma do zawdzięczenia ród ludzki zbawiennych wynalazków, przypisać tę zasługę. W Chinach sztaby noszą czasem na sobie znak pewnych domów handlowych, których zadaniem jest stwierdzić wagę i jakość kruszcu.

3. Pozostaje jeszcze krok jeden: nie tylko forma sztaby sześcienna lub nieregularna jest niewygodną, lecz mimo cechy stemplowej, nie ma nic łatwiejszego, jak ją oberznąć bez

zostawienia śladu tego fałszerstwa. Zawsze byłoby dowodem przezorności zważyć ją dla przekonania się, że jej nie uszczuplono; chcąc tych praktycznych trudności uniknąć, wprowadzono, co było koniecznem, tę postać pieniądza bitego, która jest wspólną wszystkim cywilizowanym ludom, mianowicie postać małych krążków, ozdobionych wypukłymi wyciskami na całej powierzni na stronie górnej, dolnej i naokoło a to w tym celu, by nie można naruszyć sztuki bez równoczesnego naruszenia rysunku, pokrywającego ją ze wszystkich stron.

Z tą chwilą dochodzi się do typu pieniądza właściwego, który od wieków nie uległ żadnej wybitnej zmianie i do którego można zastosować określenie podane przez Stanley'a Jevons'a: krążki, których ciężar i jakość poręcza państwo a całość stwierdzają znaki, które je pokrywają.

III.

Jakie przymioty musi posiadać dobry pieniądz?

Każdy pieniądz ustawowy powinien przedstawiać wartość rzeczywistą, zupełnie równą nominalnej.

Wiemy, że pieniądz spełnia podwójne, ustawą przepisane zadanie: jedynego środka zapłaty i jedynego środka zwalniania od zobowiązań — czyli inaczej mówiąc, nie może go odrzucić jako środka zapłaty ani sprzedawca, ani wierzyciel. Jest to przywilej, stanowiący t. zw. *prawną walutę*. Ten przywilej jednak każe przypuszczać warunek wyżej wymieniony. Mamy np. złotą 20-stofrankówkę: polecając wyryć na tej sztuce złota cyfrę 20 franków i herb państwa, rząd chce stwierdzić, że sztuka ta przedstawia rzeczywiście wartość 20 franków, i że każdy może ją przyjąć z zupełną ufnością; w razie, jeżeli sztuka ta nie ma tej wartości, popełnia państwo fałszerstwo w całem słowa tego znaczeniu. W ciągu wieków jednak rządy mało robiły sobie niestety skrupułów pod tym względem; dziś natomiast jest to kwestyą godności i uczciwości, której nie zechciałoby się państwo sprzeniewierzyć.

Każdy pieniądz należy brać pod uwagę z dwojakiego punktu widzenia: *jako sztuka bitego pieniądza, przedstawia on wartość oznaczoną i wyrytą na jednej stronie a jako sztaba kruszcu, ma wartość stosunkową do ceny kruszcu na targu;* bo są targi i ceny oznaczone dla złota i srebra tak, jak dla zboża i bawełny.

Ilekroć schodzą się te dwie wartości, ilekroć mały krążek 6 gramów 451 miligramów o jakości $^{9}/_{10}$ złota, przedstawiający 20-frankówkę, ma na targu wartość 20 franków, (odpowiada to cenie 3.444 franków za kilogram czystego złota), mówi się, że pieniądz jest dobry, lub używając wyrażenia technicznego, że jest pełnowartościowy *(la monnaie droite* [1]*).*

Jeżeli wartość krążka przenosi wartość nominalną sztuki pieniądza, jeżeli np. sztuka 20-frankowa zawiera kruszcu za 21 lub 22 franków mówimy, że pieniądz jest *nadwartościowy (la monnaie forte).*

Jest to miła wada, lecz jest to zawsze wada, która może nawet, jak to wkrótce zobaczymy, pociągnąć za sobą znaczne niekorzyści. W każdym razie nie ma potrzeby zbytnio się niepokoić tym wypadkiem:

1. ponieważ nie zdarzy się to często, by państwo wybijało rzeczywiście monety nadwartościowe; a jeżeli to

---

[1]) Mogłoby się jednak wydawać, jakoby sztaba złota przebita na pieniądze, powinna wartać zawsze cokolwiek więcej niż surowy kruszec ze względu, że każdy przedmiot, przetworzony ręką ludzką wart więcej niż w stanie surowym, a różnica powinnaby odpowiadać kosztom fabrykacyi. Rzeczywiście zachodzi ten wypadek przy monecie, lecz koszta fabrykacyi odgrywają tu tak małą rolę, że nie pociągają za sobą znacznej różnicy. Mennica paryska każe za przebicie kilogramu złota na pieniądze płacić 6 fr. 70, czyli mniej więcej 2 per mille. Przedstawia to przy 20-frankówce, mniej więcej różnicę 4 centimów między wartością pieniądza a sztaby kruszcu. Państwo mogłoby, gdyby chciało, uniknąć tej małej różnicy, zmieniając sztabę w pieniądze bezpłatnie, biorąc więc na siebie koszta wybicia. Stosuje to u siebie Anglia, to też suweren angielski jest typem idealnego pieniądza. Wartość ustawowa pokrywa się zupełnie z targową.

czyni, to tylko skutkiem nieświadomości, bo operacya ta naraża je na oczywistą stratę; bić 20-frankówki ze sztaby złota, przedstawiającej wartość 21 lub 22 franków byłoby równie rujnującem, jak dla przemysłowca wyrób szyn tonna po 100 franków z żelaza, przedstawiającego wartość 110;

2. ponieważ, przyjmując nawet, że ten wypadek się zdarzy skutkiem pewnych okoliczności, które później poznamy (np. nagłej zwyżki ceny krnszcu już po wybiciu pieniędzy), to nie może stan ten trwać długo, każdy bowiem z nas, chcąc wyciągnąć z tego korzyść, prędkoby się starał traktować pieniądz jako towar, sprzedając go jako kruszec, a czynność ta powtarzałaby się tak długo, dopóki wszystkie sztuki złota nie zniknęłyby z obiegu. Zobaczymy, że wypadek ten zachodzi dość często w systemie bimetalistycznym.

Jeżeli przeciwnie wartość krążka kruszcu niższą jest od wartości pieniądza, jeżeli n. p. wartość metalu, zawartego w 20-frankówce, wynosi 18—19 franków, mówimy, że pieniądz jest podwartościowy *(la monnaie faible)*.

Wypadek ten jest znacznie groźniejszym, niż poprzedni, a to z dwóch powodów:

1. ponieważ mieści się w tem silna pokusa dla rządu: wybijać 20-frankówki ze sztab kruszcu, przedstawiających wartość 18 lub 19 franków, jest czynnością dość ponętną dla rządu, będącego w złych stosunkach finansowych a przytem niesumiennego; w rzeczy samej ilość monarchów, którzy się dali do tego skłonić, jest znaczną; wystarczy tylko przypomnieć przydomek „fałszerza pieniędzy“, z którym w opinii publicznej wiąże się pamięć niektórych królów francuskich, między innymi Filipa Pięknego [1]);

---

[1]) Wiemy, że jednostka monetarna pod dawnemi rządami we Francyi nazywała się *funtem (livre)*. Lecz zazwyczaj nie wszyscy znają pochodzenie tej nazwy, nie wszyscy wiedzą, że pierwotnie, n. p. za Karola Wielkiego, przedstawiała w rzeczywistości ciężar jednego funta srebra (funt Karolingów równał się zaledwo 408 gramom, t. j. przedstawiał wartość równą przeszło 82 franków dzisiejszych, nie zwracając już uwagi na różną siłę kupna pieniądza). Jak się to stało, że jego waga spadła do 5

2. ponieważ, skoro pieniądz taki raz dostanie się w cyrkulacyę, nie usunie go ztamtąd sam porządek rzeczy, jak pieniądza nadwartościowego; przeciwnie, pozostaje w obiegu, a nawet, jak to zobaczymy (por. prawo Greshama), ma się do czynienia z największemi w świecie trudnościami, chcąc się go z obrotu pozbyć.

Aby utrzymać równowagę między wartością krążka i sztuki pieniądza, pozostawia się zazwyczaj w każdym dobrym systemie monetarnym osobom prywatnym wolność przekształcania ich, nie u siebie oczywiście, lecz za pośrednictwem mennicy; jest to t. zw. *wolność bicia monet.* Zaręcza ona równowagę w czasie swego trwania, bo gdyby wartość monety złotej była wyższą od wartości krążka kruszcu, każdyby się spieszył skorzystać z tego zysku, któryby wynikł z fabrykacyi tej monety: każdy kupowałby złote sztaby i niósł do mennicy dla przebicia na pieniądze tak długo, ażby zmniejszenie się ilości kruszcu, a zwiększenie ilości monet nie wprowadziło na nowo równowagi między temi dwoma wartościami. Mimo to jednak w każdym kraju spotykamy pewne rodzaje monet, nie spełniające wyżej wymienionego warunku, t. j. mające wartość rzeczywistą, mniej lub więcej niższą od wartości ustawowej; zwiemy je *monetami zdawkowemi.* Są to wogóle monety małej wartości, najczęściej z miedzi, czasem także ze srebra, których nie używa się zazwyczaj do znacznych wypłat, lecz tylko jako dodatki. W tych warunkach można bez niekorzyści odstąpić od ścisłego trzymania się powyższych zasad. Lecz mimo to, nawet odstępując od zasadniczego przepisu, zatrzymuje go ustawa w mocy o tyle, że *odmawia monecie zdawkowej cha-*

---

gramów tj. do wagi dawnego liwra i dzisiejszego franka? Jedynie tylko dzięki szeregowi emisyj coraz gorszych pieniędzy; każdy król zmniejszał ciężar dawnego funta, starając się z drugiej strony utrzymać dawną jego ustawową wartość. Taka sama mniej więcej jest historya funta angielskiego, cokolwiek zaszczytniejsza dla rządu angielskiego, bo wyszedłszy z tego samego punktu wyjścia, zatrzymał się przecież w swej zniżce na wartości 25 franków, jaką zawiera dzisiejszy funt szterling.

rakteru monety ustawowej; nie uważa za stosowne zmuszać nikogo do przyjęcia zapłaty w niej ponad pewną sumę. Oczywiście także *zawiesza w tym razie wolność bicia monet*, bez czego cały świat kazałby bić monety zdawkowe, by uzyskać różnicę między wartością faktyczną a ustawową. Rząd zastrzega sobie prawo emisyi takiej ilości monet zdawkowych, jaką uzna za potrzebną, a powinien wziąć sobie za zasadę nie wypuszczać w obieg ilości zbyt wielkiej.

Monety zdawkowe nie mają więc pełnej waluty, t. j. prawa zwalniania od zobowiązań bez ograniczenia, lecz tylko walutę ograniczoną.

W odróżnieniu od zdawkowych, nazywamy pieniądze, mające pełną walutę, monetami *obiegowemi.*

IV.

Prawo Greshama.

W każdym kraju, gdzie są w obiegu dwie monety ustawowe — zła wypędza zawsze dobrą.

W powyższych wyrazach ujmuje się jedno z najdziwniejszych praw ekonomii politycznej, ochrzczone imieniem kanclerza królowej Elżbiety, który je wykrył przed trzema wiekami. Dawno jednak przed nim Arystofanes w sztuce swej *Żaby* zaznaczył, a nawet bardzo dobrze wytłumaczył to dziwne zjawisko, t. j. wyższość, którą przyznają ludzie zawsze złemu pieniądzowi.

Tę cechę dziwaczności nadaje temu prawu okoliczność, że nie możnaby go zastosować do innego przedmiotu, oprócz pieniądza. Nie możnaby pojąć, by ludzie mieli tak popsuty smak, aby przenosić zawsze i wszędzie zły towar nad dobry. Ekonomiczne urządzenie naszych społeczeństw z wolnością pracy i wolną konkurencyą nie może istnieć bez przyjęcia hypotezy, że w każdej okoliczności życia człowiek będzie przenosił towar lepszy i ten, który lepiej odpowiada jego potrzebom. Dlaczegóż ma się inaczej, wprost odwrotnie zachować wobec monety?

Zdziwienie zniknie, jeżeli zważymy, że moneta nie jest przeznaczoną tak, jak inne dobra, do konsumcyi lub produkcyi, lecz wyłącznie do wymiany. Z pomiędzy dwu owoców wybierzemy soczystszy, z pomiędzy dwu maszyn lepiej idącą; lecz mając do wyboru dwa pieniądze różnej jakości, mało nam zależy na tem, którego z nich użyć, bo nie przeznaczamy ich do naszego osobistego użytku, a żądamy od nich tylko możności spłaty naszych wierzycieli i osób, od których kupujemy. Nie mamy więc interesu z tego względu wybierać najlepszy; przeciwnie, interes nasz leży w wyborze najgorszego, to też uczynimy to bez wahania, byleby wierzyciel lub sprzedający nie mógł odmówić jego przyjęcia, t. j. aby moneta zła miała równie jak dobra zdolność uwalniania od zobowiązań. To też z tym tylko warunkiem da się zastosować prawo Greshama, t. j. chodzić musi o dwie monety, z których obydwie są ustawowemi.

To nam tłómaczy, dlaczego zła moneta zostaje w obiegu, lecz nie tłómaczy, dlaczego dobra znika? Co się z nią więc dzieje? Ucieka ona trzema różnemi drogami; są niemi: gromadzenie skarbów, sprzedaż na przetopienie i wypłaty zagraniczne.

1. *Gromadzenie skarbów.* Kiedy ktoś chce zachować sobie pewną ilość pieniędzy na nieprzewidziany wypadek, nie uchyla się już tym razem z pod ogólnego prawa i nie stara się już tym razem o wyszukanie złych sztuk, przeciwnie wybiera jak najlepsze, bo te właśnie dają największą rękojmię. W czasie rewolucyi francuskiej, jeżeli kto strwożony chciał zebrać skarb, nie bawił się wcale w zbieranie papierowych asygnat, lecz szukał dobrych luidorów. Tą drogą już może, zwłaszcza w czasach przesileń, pewna ilość najlepszego pieniądza zniknąć z obrotu. W każdym razie ta pierwsza przyczyna zniknięcia pieniądza odgrywa małą rolę i trwa tylko przez pewien czas.

2. *Wypłaty zagraniczne* pociągają za sobą poważniejsze następstwa. Choćby kraj jakiś miał małą tylko część swego dowozu opłacić gotówką, to jednak zawsze musi się część spłaty dokonać w gotówce. Otóż, jeżeli wewnątrz kraju

i w stosunkach ze współobywatelami ma się spłacać długi, to ustawa nadaje nam prawo użycia tak dobrze złego, jak dobrego pieniądza — lecz ta możliwość odpada przy spłatach i zakupnach zagranicznych. Wierzyciel zagraniczny nie jest obowiązanym do przyjęcia naszych pieniędzy, to też przyjmie je tylko na wagę kruszcu szlachetnego w nich zawartego, więc po rzeczywistej ich wartości. Niema więc mowy o tem, by mu módz posłać pieniądz podwartościowy, — z czego wynika, że musimy tenże zachowywać tylko dla wewnętrznego handlu, bo w tej dziedzinie odda usługi takie, jak każdy inny — a dobry zatrzymywać dla naszego handlu zagranicznego. Oto jest druga, a ważna przyczyna utraty dobrej monety.

3. Lecz przyczyną, która powoduje najszybsze znikanie dobrego pieniądza, jest *sprzedaż na przetopienie*. Sprzedawać pieniądz jako kruszec na wagę, jest czynnością dość dziwną pozornie, której pożytku nie można zrozumieć — a jednak jakże jest prostą! Jeżeli tylko skutkiem zwyżki ceny złota, złoty pieniądz ma przypadkiem wartość rzeczywistą większą od ustawowej, jeżeli tylko jako sztaba kruszcu warta więcej, niż jako pieniądz, jest czystym interesem nie używać go jako pieniądza, lecz jako kawałka kruszcu; to też usuwa się go z obiegu, a posyła na targi szlachetnych kruszców. Jeżeli wartość miedzi wyraźnej doznała zwyżki, czyż znacznej ilości przedmiotów bronzowych, zegarów, dział, figurek nie niszczy się dla otrzymania wartości zawartego w nich kruszcu? Lub nawet gdyby wartość papieru, przypuśćmy, bardzo się podniosła, czyżby wiele książek nie opuściło pułek bibliotecznych, by się dostać kupcowi starego papieru? Zupełnie taksamo ma się rzecz z pieniądzem; skoro tylko szlachetny kruszec podnosi się w wartości, sztuki pieniądza bitego z tego kruszcu tracą swą cechę pieniądza, a stają się towarami, których wartość staramy się szybko zrealizować, t. j. drogą sprzedaży. Prawo Greshama znajduje zastosowanie w następujących przypadkach:

1. Ile razy *pieniądz starty* obiega równolegle z *nowym*.

Wśród takich to właśnie okoliczności spostrzegł to prawo Tomasz Gresham. Kazano mianowicie w tym czasie wybić nowy pieniądz dla zastąpienia dawnego, całkiem już zniszczonego, a to więcej skutkiem obcinania, niż używania; ze zdumieniem jednak spostrzeżono, że nowe pieniądze znikły bezzwłocznie, podczas kiedy dawne krążyły jeszcze lepiej, niż przedtem. To też rząd powinien dokonywać częstego przetapiania, bez czego później natrafi na wielkie trudności, chcąc stary pieniądz zastąpić nowym.

2. Ilekroć *moneta papierowa ze zmniejszoną siłą kupna*, znajduje się w obiegu obok *kruszcowej*.

W tym razie, byle tylko zmniejszenie wartości pieniądza było cokolwiek znaczniejszem, wywóz monety kruszcowej dokonuje się na wielką skalę. Do ostatnich lat widzieliśmy wszystek włoski pieniądz na wygnaniu we Francyi; rząd włoski uznał za stosowne uciec się do różnych środków, by go zmusić do powrotu, a nawet uzyskał u rządu francuskiego zakaz jego obiegu we Francyi, lecz wszystko to byłoby nie pomogło, gdyby nie był stłumił złego w zarodku, usuwając pieniądz papierowy, a przynajmniej jego kurs przymusowy. Widzieliśmy dwa kraje, będące dostawcami szlachetnych kruszców: Stany Zjednoczone i Rosyę w niemożności zatrzymania u siebie pieniądza kruszcowego, na który przecież dostarczały surowca całemu światu. Lecz nadarmo starano się go wybijać, ich pieniądz papierowy wypędzał go z kraju bez litości.

3. Każdym razem, ilekroć moneta *podwartościowa* znajduje się w obiegu równocześnie z *pełnowartościową*, lub nawet ilekroć *pełnowartościowa* rywalizuje z *nadwartościową*, w tym wypadku pieniądz o niższej wartości wypędzi pieniądz o wyższej wartości. Jest to najbardziej zajmujący wypadek; zdarza się prawie w każdym kraju, który przyjął równoczesny obieg złotej i srebrnej monety. Rozbiór też tego zjawiska odkładamy do przedstawienia kwestyi mono- i bimetalizmu, którą się zajmiemy w następującym ustępie.

Kwestya mono- i bimetalizmu.

I.

Konieczność używania kilku kruszców i wynikające ztąd trudności.

Rozprawy, które oddawna na temat tej sławnej kwestyi się toczą, nie odnoszą się zupełnie do pytania, jakby ktoś mógł sądzić, czy dany kraj ma używać więcej kruszców dla stworzenia swego organizmu monetarnego, czy tylko jednego. Tego pytania nie stawia się, bo przecież jest widocznem, że wszystkie kraje cywilizowane muszą koniecznie posiadać równocześnie sztuki pieniądza złote, srebrne, z miedzi lub podobnego kruszcu. Jakżeżby sobie można przedstawić używanie samego tylko złota? Już pięciofrankówka złota jest niewygodna dla swych drobnych rozmiarów; czemżeż byłby 5-centymowy pieniążek złoty: ziarnkiem nieuchwytnem. Tem mniej można sobie wyobrazić, chybabyśmy wrócili do czasów Lykurga, używanie samej tylko miedzi, bo 20-frankówka miedziana ważyłaby 10 kilogramów. Nawet samo srebro, choć już wygodniejsze dla swej pośredniej wartości, nie mogłoby wystarczyć, bo 5-frankówka srebrna jest już za wielką, a 20 centymów jest sztuką za małą do obiegu. Tak więc z konieczności musimy używać równocześnie trzech kruszców. Nie jest jednak koniecznem używać wszystkich trzech jako *pieniądza obiegowego;* w rzeczywistości wiemy, że jeden z nich nie ma nigdy tego charakteru: jest nim miedź, będąca zawsze monetą zdawkową. Pozostają nam dwa inne: czy należy więc przyznać cechę i właściwości obiegowego pieniądza obu, czy też jednemu tylko? Oto jest pytanie, znane dawniej jako kwestya pojedynczej lub podwójnej waluty, a które dziś oznaczamy zwyczajnie mianem: *monometalizmu* i *bimetalizmu.*

Jeżeli się przypisuje znaczenie obiegowego pieniądza jednemu tylko z dwu kruszców, n. p. złotu, wówczas nie ma

trudności; pieniądz srebrny usuwa się równolegle z miedzią do rzędu monety zdawkowej — przyznaje się mu wartość dowolną, z góry oznaczoną, lecz nie zmusza się też nikogo do przyjmowania go ponad pewną ilość, jako środka uwalniania od zobowiązań. Złoty pieniądz jest jedynym, który ma w takim razie pełną walutę i tylko przy nim należy się starać o zachowanie równowagi między wartością rzeczywistą a nominalną.

Jeżeli zaś chcemy przyznać dwu kruszcom równocześnie cechę obiegowej monety, położenie znacznie się gmatwa. Weźmy n. p., chcąc sobie lepiej zdać sprawę, system francuski, który można uważać za typ systemu bimetalicznego i wróćmy do chwili, w której go ustawodawca tworzył w całej jego osnowie (ustawa z 7 germinala roku XI).

Jednostką monetarną był dawny funt (livre), zmieniony we franka. Był to pieniądz srebrny — srebro zatem przyjęto za monetę obiegową, zresztą w tym czasie nikt nie byłby mógł mu odmówić tego tytułu. Lecz musiano jeszcze przyznać go złotu.

Weźmy dla większej jasności dwie sztuki podobne, istniejące w francuzkim systemie monetarnym: 5-cio frankówkę złotą i srebrną. Chcemy, aby obie były monetą obiegową, trzeba więc, aby obie miały wartość rzeczywistą, zupełnie równą ich wartości nominalnej; jest to jak wiemy warunek konieczny. Nie trudno to uskutecznić o ile chodzi o pieniądz srebrny; srebro kosztuje lub przynajmniej kosztowało w badanej przez nas epoce 200 fr. za kilogram, tak więc sztabka srebra 25-cio gramowa kosztowała 5 franków ściśle; ztąd 5-cio frankówce mamy nadać ciężar 25-ciu gramów, a spełnimy żądany warunek. Lecz jaką wagę dać należy złotej 5-cio frankówce? W owej to epoce kilogram złota kosztował 3.100 fr. (przy tym samym stosunku aligerowania jak srebra t. j. $^9/_{10}$). Jeżeli więc z kilogramu złota bije się 620 sztuk, a każda będzie przedstawiać ściśle wartość 5-ciu franków ($620 \times 5 = 3100$) i każda będzie ważyć 1 gr. 613 — warunek postawiony zostanie spełniony także i w zastosowaniu do złota.

Weźmy teraz te dwie sztuki pieniądza i połóżmy je na dwu szalkach wagi, a zobaczymy, że chcąc stworzyć przeciwwagę dla srebrnej pięciofrankówki, trzeba będzie do drugiej szalki włożyć $15^1/_2$ złotych 5 frankówek — lub inaczej mówiąc dla przeciwwagi dwu srebrnym sztukom pieniądza, należy do drugiej szali włożyć 31 złotych tej samej wartości. To dowodzi, że czynność została wykonaną dokładnie. Rzeczywiście kilogram złota wartał w tej epoce $15^1/_2$ kilograma srebra (3100 fr. kilogr. złota; 200 fr. kilogr. srebra). Zatrzymajmy ten stosunek 15·5; ustawowy ten stosunek wartości dwu kruszców jest równie sławnym w ekonomii politycznej jak znany stosunek $\pi = 3{\cdot}1416$ w geometryi. Jak dotychczas, idzie wszystko gładko, lecz czekajmy końca.

W roku 1847 odkrywają kopalnie złota w Kalifornii, w roku 1851 w Australii. Ilość złota dobywanego corocznie wzrasta w pięcioro (5—600 milionów rocznie zamiast 100 mniej więcej). Przeciwnie znów srebro staje się coraz rzadszem skutkiem rozwoju indyjskiego handlu, pochłaniającego znaczne jego ilości, ztąd też stosunek wartości obu kruszców się zmienia. Na targu szlachetnych kruszców do nabycia 1 kilogr. złota nie potrzeba, jak dawniej, $15^1/_2$ kilogr. srebra, wystarczy 15 lub nawet $14^1/_2$, czyli inaczej mówiąc złoto straciło 6% swej wartości. Odtąd jest rzeczą jasną, że te małe krążki złota, które stanowią złote pieniążki, doznały stosunkowego spadku wartości: 5 frankówka złota warta w rzeczywistości tylko 4 fr. 70.

Cóżby więc należało uczynić dla wprowadzenia równowagi? Oczywiście dodać trochę więcej złota każdemu złotemu pieniążkowi, mniej więcej 6%; dla stworzenia równowagi między wartością rzeczywistą a nominalną trzebaby, aby 5 frankówka srebrna równała się 15-tu lub $14^1/_2$ sztukom złotej 5-cio frankówki — na wagę. Tak więc trzebaby przetopić cały zapas złotej monety. Ale chwilę cierpliwości.

Dwadzieścia lat później koło roku 1873 nastaje nowa zmiana. Kopalnie srebra odkryte na zachodzie Ameryki rzucają na targi ogromne ilości srebra; w tym samym czasie Niemcy, przyjmując złotą walutę — swej srebrnej monecie

odmawiają charakteru pieniądza i rzucają ze swej strony na targi swe talary, których nie chcą już więcej posiadać. Stosunek wartości zmienia się po raz wtóry, lecz tym razem w kierunku odwrotnym: na targu szlachetnych kruszców za kilogram złota można dostać już nie $15^1/_2$ kilogr. srebra, lecz 16, 17, 18, 20 a nawet 22 kilogramów. Tak więc srebro utraciło przeszło $^1/_4$ swej wartości w stosunku do złota. Odtąd jest już jasnem, że każdy krążek srebrny, stanowiący srebrny pieniążek dozna tego samego losu: srebrna 5-cio-frankówka w rzeczywistości warta tylko 3 fr. 50. Cóż więc należałoby uczynić dla uratowania równowagi? Oczywiście dodać każdej sztuce srebrnej więcej srebra, zwiększyć ciężar jej o $^1/_4$ tak, aby srebrna 5-cio frankówka ważyła tyle, co 20 złotych 5-cio frankówek; wtedy stworzylibyśmy na nowo równowagę między wartością rzeczywistą a nominalną. A zatem cały nasz zasób srebrnych pieniędzy należałoby przetopić.

Jakżeż więc, czy dla zachowania charakteru pieniądza pełnowartościowego obu naszych monet t. j. ścisłej równowagi między ich rzeczywistą a ustawową wartością, musiałoby się koniecznie i to na przemian to jeden to drugi pieniądz przetapiać, aby zastosować ich ciężar do zmian wartości obu kruszców? Jest to wniosek, który się sam nasuwa, lecz trudnym jest do wprowadzenia w życie i wprost niedorzecznym [1]).

---

[1]) Bez długiego namysłu można wpaść na pomysł, że w tym celu wystarczyłoby zmieniać ciężar jednej tylko monety, biorąc niezmiennie drugą za podstawę, n. p. biorąc za jednostkę 5-cio gramowy frank srebrny — zmieniać ciężar złotych pieniędzy powyżej lub poniżej ustawowej wagi — stosownie do zmian wartości złota. Lecz mimo tej zmiany nie możnaby tego stosować.

Możnaby także, nie zmieniając ciężaru pieniążków — zamazać znak ustawowej wartości na nich wyryty, a pozwolić na dowolne wahanie się wartości stosownie do prawa popytu i podaży, jak się to n. p. dzieje z piastrem w Kochinchinie. Wówczas jednak sztuki złotego pieniądza nie są właściwie monetą, są to tylko sztabki krążące jak zwykły towar. Będzie się notować kurs 20-to frankówek równie zmienny, jak bawełny lub zboża.

II.

Jakim sposobem kraje bimetaliczne mają w rzeczywistości jednę tylko monetę?

Wszystkie systemy bimetaliczne przedstawiają, jak widzieliśmy tę wielką niekorzyść, że nie mogą utrzymać dla obu monet równocześnie tej równowagi między wartością rzeczywistą a ustawową, stanowiącej cechę dobrego pieniądza. Nieustannie, stosownie do zmian wartości kruszcu, jedna lub druga będzie albo nadwartościową albo podwartościową.

Możnaby sądzić, że niekorzyść ta jest natury więcej teoretycznej niż praktycznej. „Co na tem zależy, mógłby ktoś powiedzieć, czy nasze złote lub srebrne pieniądze mają ustawową wartość nieco wyższą lub niższą od rzeczywistej? Nikt na to nie zwraca uwagi, a w każdym razie nikt na tem nie cierpi“.

Jest to stanowisko fałszywe: w tem położeniu tkwi rzeczywiście niekorzyść, a nawet prawdziwa strata, mianowicie następująca: podwartościowy pieniądz wypędza powoli z obrotu pieniądz nadwartościwy tak, że kraj o t. zw. podwójnej walucie znajduje się w rzeczywistości w tem szczególnem położeniu, że *zachowuje w obiegu jedną tylko monetę i to gorszą*. Ruch peryodycznego przypływu i odpływu unosi z sobą kruszec, cieszący się zwyżką, a przynosi kruszec zniżkowy.

Jest to proste i czyste następstwo prawa Greshama, które już poznaliśmy — a historya francuskiego systemu monetarnego od lat 40 jest ciągłym i znakomitym dowodem jego trafności.

Ileż tu pogmatwania w interesach, ile pułapek na prostaczków. Byłaby to wówczas jedynie *moneta handlowa* (n. p. 8-mio guldenowe złote pieniądze w Austryi). Ustawodawcy z germinala r. XI. tworząc francuski system monetarny, przewidzieli te możliwe trudności, to też doradzają obu tych środków.

Kiedy za drugiego cesarstwa złoto doznało zniżki skutkiem wskazanych w poprzednim rozdziale stosunków, francuski srebrny pieniądz zaczął znikać i ustępować miejsca złotemu, tym pięknym Napoleonom, pieniądzowi, do którego jeszcze się nie przyzwyczajono, a który bardzo podziwiano, w którym dworacy witali bogactwo i świetny blask nowej monarchii, lecz który w rzeczywistości nie był tak cennym, bo był z kruszcu zniżkowego. To też łatwo się tłumaczy to zjawisko przemiany kruszców. Londyński bankier, pragnący zaopatrzyć się w srebro dla przesyłki do Indyj, starał się o jego zakupienie tam, gdzie znajdował je tańszem, W Londynie za 1 kilogr. złota byłby mógł dostać najwyżej 14 kilogr. srebra, posełając jednak do paryskiej mennicy swój kilogram złota, mógł kazać sobie wybić 3100 franków w złocie, następnie wymienić je na 3100 franków w srebrze ważących całkiem ściśle 3100×5 gr.=15½ kilgr. Tak więc za swój kilogr. złota zdołał ostatecznie uzyskać 15½ kilogr. srebra.

Łatwo można zrozumieć, że dzięki temu postępowaniu, pewna ilość pieniędzy srebrnych opuściła Francyę i ustąpiła miejsca równej ilości złotej monety. Jest to bezwątpienia zjawisko, pozostające w związku z prawem Gresham'a: pieniądz nadwartościowy usunął się przed podwartościowym. Całemi okrętami wywożono do Indyj francuskie srebrne pieniądze, kupowano je na wagę i sprzedawano mennicom w Bombayu i Madras mieniając na rupie. W tym czasie mennice te zmieniły na rupie przeszło 2 miliardy sztuk francuskich pieniędzy srebrnych.

Wkrótce dał się uczuć zupełny niedostatek srebrnej monety. Aby wstrzymać jej ucieczkę, z pewnością wiek temu zastosowanoby pewne środki prohibicyjne lub może ściganoby w drodze karnej tych, którzy przyczyniali się do wywozu pieniędzy srebrnych. Ekonomia polityczna, wskazując przyczynę złego, pozwalała na skuteczniejsze zaradzenie mu: srebrny pieniądz znikał, bo był nadwartościowy, wystarczało więc zmniejszyć jego wartość przez zmniejszenie ciężaru lub tylko stosunku szlachetnego kruszcu do domieszki, a można

było być pewnym, że mu się odetnie skrzydła —że nie ruszy się już więcej. Tego też dokonały za wspólną zgodą kraje: Francya, Włochy, Belgia, Szwajcarya, układem z 23 grudnia 1865. Zawartość szlachetnego kruszcu wszystkich monet srebrnych *z wyjątkiem 5-cio frankówek* zmniejszono z $^{900}/_{1000}$ na $^{835}/_{1000}$, co im odbierało 7% wartości. *Wszystkie też te monety stały się więc i odtąd już pozostały monetą zdawkową* i stosownie do niezmiennych zasad w tej kwestyi utraciły też swój charakter obiegowego pieniądza i krążą tylko jako moneta dokładowa. Dlaczego stworzono wyjątek dla 5-cio frankówki. Nie było żadnego rozumnego powodu — lecz Francya to sobie zastrzegła. Wszystkie srebrne pieniądze zmienić w monetę zdawkową znaczyłoby to porzucić zupełnie pieniądz srebrny jako monetę obiegową, znaczyłoby to stać się krajem złotego monometalizmu, jak Anglia, a ten przewrót w systemie monetarnym strasznym był rządowi francuskiemu. Zatrzymano więc 5-cio frankówkę wraz z swym ciężarem, jakością i charakterem obiegowego pieniądza. Oczywiście 5-cio frankówka uciekała dalej, lecz można się było łatwiej obejść bez niej, niż bez monety zdawkowej: w razie potrzeby można ją było zastąpić złotemi 5-cio frankówkami.

Od roku 1870 jesteśmy świadkami przewrotu wprost przeciwnego w stosunku wartości obu kruszców: francuski organizm monetarny popsuł się na nowo, lecz obecniew kierunku wprost przeciwnym. Teraz złoty pieniądz stał się nadwartościowym i oczywiście zaczął odpływać — srebrny za to jako podwartościowy zaczął się mnożyć.

Rozpoczęły się te same czynności, co wyżej przedstawiono, lecz w odwrotnym kierunku. Bankier paryski nabywał 3100 franków w złocie, w sztukach 20 lub 10 frankowych — mniejsza o to. Znaczy to ściśle kilogr. złota. Wkładał je do worka i posyłał do Londynu. Na targu kruszców szlachetnych w Londynie można było nabyć za 1 klgr. złota 20 klgr. srebra — kupował więc tych 20 klgr. srebra, kazał je sobie odesłać do Paryża, kazał je następnie wybić sobie na pieniądze w paryskiej mennicy. Ponieważ z jednego kilogr. srebra mennica ma wybić 200 frankówek lub 40 5-cio frankówek, więc

(20×200) wydawała naszemu bankierowi 4000 franków w sztukach 5-cio frankowych. Zysk *brutto* wynosił 900 franków; odliczmy od tego koszta przewozu, wybicia i tp., a także pewny naddatek dla nabycia coraz rzadszych pieniędzy złotych, to w każdym razie czynność ta była bardzo zyskowną. Jasnem jest, że dla Francyi operacya ta pociągała za sobą zmniejszenie się ilości złotych pieniędzy, a zwiększenie srebrnych. Powtarzana zaś w nieskończoność, czynność ta byłaby z biegiem czasu sprowadziła zupełne zastąpienie w obiegu pieniędzy złotych srebrnemi.

Trzeba więc było, aby te mocarstwa, które stworzyły unię łacińską (do której tymczasem przyłączyła się Grecya) ułożyły się dla zaradzenia temu nowemu niebezpieczeństwu. Tak jak w r. 1865 wstrzymano ucieczkę monety srebrnej przez zmniejszenie zawartości szlachetnego kruszcu lub ciężaru, tak i teraz mogły zaradzić ucieczce złotej przez zmniejszenie jej jakości lub ciężaru. Lecz to ciągłe przetapianie to jednej, to drugiej monety byłoby się zakończyło dezorganizacyą samego systemu monetarnego. Uważano też za korzystniejsze uciec się do prostszego znacznie środka. *Układ z 5 listopada 1878 r. zawiesił zupełnie wybijanie monet srebrnych.* Odtąd wyżej przedstawiona czynność stała się niemożliwą. Nie było już interesu zakupować srebrne sztaby za granicą, skoro ich nie można było więcej zmienić na pieniądz.

To też środek ten w zupełności cel swój osiągnął i zatrzymał Francyi piękny jej zapas złota jeszcze nie naruszony zbytnio, lecz jak łatwo sobie wyobrazić, układ ten zamykający srebru targ blisko 80 milionów ludzi, a tem samem ograniczający znacznie jego rynki zbytu, pociągnął za sobą gwałtowną zniżkę w cenie srebra czyli innemi słowy, zło jeszcze pogorszył. Wtedy to widzieliśmy, że srebro, które dotychczas utraciło zaledwo 10—12% swej wartości spadało coraz bardziej w cenie aż do 138 franków za kilogr. (w 1888 r.) zamiast ustawowej ceny 200 franków, co odpowiadało stosunkowi wartości obu kruszców 1:22½.

Dziś jeszcze nikt nie podjął na nowo bicia srebrnych pieniędzy i nie wiemy, czy kto podejmie. Tak więc można powiedzieć, że choć kraje Unii łacińskiej są jeszcze ustawowo pod rządami bimetalizmu, faktycznie zmieniły swój system monetarny. *Z wszystkich ich pieniędzy srebrnych został tylko jeden mający charakter obiegowego, a i tego się już nie wybija.* Waluta podwójna straciła więc swój czysty charakter, polegający na 1) wolności wybijania złotych i srebrnych monet; 2) na daniu obydwu charakteru pieniędzy obiegowych. Powstał więc niejako nowy system waluty zwany *walutą ułomną*, gdzie celem sztucznego utrzymania pełnej wartości monet srebrnych obiegowych ogranicza się ich cyrkulacyą, wstrzymując dalsze ich wybijanie.

III.

Czy należy przyjąć monometalizm?

Zdawałoby się po powyższem przedstawieniu, że nie ma się co wahać — monometalizm jest systemem znacznie prostszym, usuwa wszystkie dopiero co zaznaczone trudności. Poco się więc wahać?

Twierdzenie to wywiesza na swym sztandarze szkoła klasyczna ekonomii, dla której monometalizm oraz wolny handel międzynarodowy stanowi dogmat wiary.

Ten pogląd zresztą oddawna już wprowadził w praktykę naród, najhandlowniejszy w świecie — Anglia (od 1816) i kilka innych krajów, jak Portugalia, Niemcy (w r. 1873), trzy państwa Skandynawskie (w r. 1875). W każdym jednak razie kraje bimetaliczne, najprzód grupa Unii łacińskiej z Francyą, Włochami, Belgią, Szwajcaryą i Grecyą, a nadto inne państwa Europejskie, tego samego systemu, jak Holandya, Hiszpania, Rumunia, Serbia itd., a wreszcie Stany Zjednoczone Ameryki, do dziś jeszcze nie powzięły zamiaru porzucenia swego systemu i nawet wcale o tem nie myślą. Przeciwnie na powtarzanych kilkakrotnie kongresach, t. zw. *kon-*

ferencyach monetarnych, które się zbierały kilkakrotnie (w r. 1867, 1878, 1881), starały się, choć bez pomyślnego skutku, nakłonić do bimetalizmu państwa, które go porzuciły [1]).

Przyczyną tego zjawiska jest, że przyjęcie monometalizmu pociąga za sobą pewne niekorzyści i niebezpieczeństwa, a to tak w chwili obecnej, jak na przyszłość:

1) Pierwszą niekorzyścią jest, że przyjęcie złotej waluty pociąga za sobą utratę po stronie srebra charakteru pieniądza: bo odejmując np. pięciofrankówce charakter ustawowego pieniądza, należy ją równocześnie usunąć z obiegu. Otóż we Francyi jest ich blisko 3 miliardy, które na wagę sprzedane przedstawiałyby wartość zaledwo $2^1/_2$ miliarda. Koszta więc tej czynności wyniosłyby około 500 milionów, a może i więcej, bo jest rzeczą jasną, że podobny środek musiałby koniecznie wywołać jeszcze gwałtowniejszą zniżkę srebra [2]).

---

[1]) Rosya i Austro-Węgry faktycznie nie mają monety kruszcowej, będąc pod rządami papierowej. Austro-Węgry w 1892 r. uchwaliły wprowadzić u siebie walutę złotą, zatrzymując jednak na razie jako monetę obiegową guldeny srebrne. Tem samem zbliżają się one do krajów o walucie ułomnej.

W listopadzie 1892 r. zebrała się nowa konferencya monetarna w Brukseli za inicyatywą Stanów Zjednoczonych.

Stany Zjednoczone nie przyjęły stosunku wartości obu kruszców, wprowadzonego przez Unię łacińską; między dolarem złotym a srebrnym zachodzi stosunek 1 : 16. Stany Zjednoczone dawno już byłyby nawróciły się do monometalizmu, jak Anglia, gdyby nie konieczność zachowania rynku zbytu dla swych bogatych kopalni srebra. Oto dlaczego wybijały od 1878 roku 2 miliony dolarów miesięcznie w myśl ustawy t. zw. *Bland-Actu*, i dlaczego w myśl ustawy z 1890 r. t. zw. *Silver-Bill'u* podniosły cyfrę tę do $4^1/_2$ milionów. Przez to *Silver Bill* przyczynił się chwilowo do zwyżki wartości srebra.

[2]) Możnaby postawić wniosek, by państwo pozostawiło stratę posiadaczom 5 frankówek. Lecz nie licowałoby to z godnością państwa, które poręczyło wartość tych monet przez wypisanie na nich tej wartości, a w każdym razie pociągnęłoby za sobą ruinę banku francuskiego, który posiada w swej kasie przeszło 1200 milionów w srebrze, z czego musiałby stracić najmniej 200, to jest więcej, niż wynosi jego kapitał zakładowy.

2) Drugą niekorzyścią jest, że, gdyby wszystkie kraje przyjęły walutę złotą, należałoby się obawiać, że ilość tego kruszcu nie wystarczy na zaspokojenie zapotrzebowania. Dziś już produkcya złota okazuje tendencyę do zmniejszania się, ilość wydobywana corocznie w kopalniach, wynosząca dawniej przeszło 200 tysięcy kilogramów, zmniejszyła się do 160—180.000 kilogramów, a w dodatku nie należy zapominać, że połowę co najmniej zużywa się do celów przemysłowych.

Zachodzi więc obawa, że złoto, stając się rzadszem i więcej poszukiwanem, zyska znacznie na wartości. Cóż na tem zależy? zapyta ktoś, jedyny skutek będzie, że za 20-frankówkę będzie można kupić sobie dwa razy tyle towarów, co dawniej; gdzie tkwi złe? Złe tkwi bezwątpienia w ogólnej zniżce cen, która wyniknąć musi z podobnego założenia. Wielu już ekonomistów twierdzi, że przesilenie, na które od kilku lat uskarżają się wszyscy wytwórcy, ma za przyczynę wyłącznie „zdrożenie złota,“ jak mówią Anglicy t. j. zwyżkę jego wartości, wywołaną jego rzadkością, z czego wnoszą, że gdyby monometalizm stał się powszechnym, zwiększyłoby to tę rzadkość, a, co za tem idzie, pogorszyło położenie.

3) Trzecią wreszcie niekorzyścią jest, że przy pojedynczej walucie należy się więcej obawiać zmian w cenach, niż przy podwójnej.

Jeżeli jeden tylko kruszec mierzy wartość, każda zmiana w jego wartości wywołuje odwrotną zmianę w cenach, a jeżeli zmiany te są częste i nagłe — psują cały organizm handlowy i wywołują przesilenia.

Używając przeciwnie dwu kruszców do mierzenia wartości, *wytwarza się między niemi pewien stan równowagi, wyrównania zmian wartości*, bardzo korzystnie wpływający na stałość cen, a co za tem idzie, na korzystny rozwój handlu,

---

Kiedy Niemcy w r. 1873 chciały pozbawić srebro charakteru pieniądza, musiały czynności tej zaprzestać, bo narażała na zbyt wielkie straty, choć zniżka srebra nie była tak wielka, jak później.

bo w interesach głównie na stałość wartości pieniędzy należy zwracać uwagę. Wytłómaczenie tego zjawiska wyrównania jest nieco trudnem, lecz łatwo wyrobić sobie o niem ogólne pojęcie.

Wystarczy przypomnieć sobie, że główną przyczyną wyższości szlachetnych kruszców, jako mierników wartości, jest okoliczność, że zmiany ilości małą grają rolę w porównaniu z istniejącym ich zapasem. Lecz warunek ten spełnia się tem lepiej, im większy jest zapas kruszcu, a także z im większej ilości różnych źródeł płynie. Z dwu kruszców powstanie przedewszystkiem zapas dwa razy większy, a nadto, ponieważ mało jest prawdopodobnem, by przyczyny wzrostu produkcyi obu kruszców się schodziły, zmiany też będą mniej znaczne; taksamo, jak tem rzadsze jest wezbranie wody w rzece i tem mniej należy się go obawiać, im liczniejsze są jej dopływy, im dalsze są okolice, w których biorą swe źródło i im większe zachodzą między niemi różnice geologiczne lub klimatyczne. Z tego punktu widzenia raczej życzyć sobie należy, by nasz zapas kruszcu posiadał dwa dopływy t. j. złoto i srebro, niż jeden tylko, a gdyby ich było cztery, byłoby jeszcze lepiej. Rzeczywiście, gdyby tylko złoto istniało jako materyał monetarny, odkrycie pokładów złota w Kalifornii i Australii wywołałoby wstrząśnienie bardzo gwałtowne skutkiem nadmiernej zwyżki cen. Wyczerpanie się ich spowodowałoby przesilenie równie groźne. *Mało na tem zależy, czy ceny są wysokie czy niskie, lecz bardzo wiele na tem, by ceny niskie zbyt szybko nie następowały po wysokich i vice versa.*

Łatwo też sobie wytłómaczyć, dlaczego kraje bimetaliczne wahają się z przyjęciem monometalizmu: choć tak słabą jest nić, łącząca je jeszcze z bimetalizmem, mimo to przecięcie jej wieleby kosztowało. Na razie dostatecznie czują się bezpiecznemi pod rządami ustawy, zabraniającej wybijania monety srebrnej i rzeczywiście od czasu jej wprowadzenia, nie widzi się wcale niepokojącego zmniejszania się ilości złota, krążącego we Francyi, — to też czekają korzystniejszej sposobności, np. otwarcia Chin lub Afryki środkowej dla europejskiego handlu, co podniesie wartość srebra. Polityka

tego *status quo* zdaje się być rzeczywiście najrozumniejszą. Nie byłoby to wcale nieszczęściem, byłoby nawet dobrodziejstwem, gdyby się świat podzielił na kraje złotego monometalizmu, srebrnego monometalizmu (jak Chiny i Indye) i kraje bimetalizmu, służące za pośrednika między niemi. Bez wątpienia położenie bimetalicznych jest nieco trudniejszem: muszą bronić zawsze tej monety, która znajduje się w zwyżce, choć można to osiągnąć w pewnej mierze, a zresztą, gdyby nawet musiały odstąpić zagranicy części monety zwyżkowej, będzie to ostatecznie rodzajem czynności handlowej, bo nie odstąpią jej za darmo, lecz za zapłatą pewnej premii — a nieszczęście nie będzie tak wielkiem.

IV.

Czyby stosunku wartości obu kruszców nie można ustalić drogą porozumienia t. j. układu międzynarodowego?

Zwolennicy bimetalizmu idą jeszcze dalej; twierdzą bowiem, że nie ma żadnej trudności, wypływającej z istoty bimetalizmu, któraby stała na przeszkodzie wprowadzeniu go drogą układu międzynarodowego wszystkich ludów cywilizowanych z przyjęciem stosunku 1 : $15^1/_2$ lub jakiegokolwiek innego.

Przeciw temu twierdzeniu występują szczególnie ekonomiści szkoły klasycznej. Nie może bowiem zależeć, zdaniem ich, od woli rządu lub nawet od wszystkich rządów połączonych ze sobą ustalenie stosunku wartości złota i srebra na zawsze taksamo, jak nie można go ustalić między wołami a baranami, lub pszenicą a owsem. Wartość rzeczy utrwala wyłącznie prawo popytu i podaży, co zupełnie usuwa się z pod władzy ustawodawczej, a wartość szlachetnych kruszców nie stanowi wyjątku od ogólnego prawidła.

Rozumowanie to szkoły klasycznej nie zdaje się nam być całkiem trafnem. Złoto i srebro nie są wcale towarami, któreby można zestawiać na równi z wołami i baranami lub innemi towarami a to z powodu, że ich głównem zadaniem jest służyć jako materyał monetarny. Ztąd mówiąc o popycie na kruszce szlachetne należy, przez to zrozumieć prawie wyłącznie popyt kilkunastu rządów, chcących je nabyć dla swych mennic. To też nie ma nic niedorzecznego w przypuszczeniu, że tych kilkunastu kupców skutecznie może się porozumieć celem ustalenia stosunku cen obu kruszców. Jeżeli oświadczą, że zakupią wszyscy kilogram złota po 3100 fr., a kilogram srebra po 200 fr., to bardzo jest prawdopodobnem, że tym sposobem naznaczą cenę targową. Zarzuca się, że dziwacznem jest twierdzenie, jakoby można zawyrokować wartość wołu równą zawsze dziesięciu baranom, a hektolitra pszenicy równe dwu hektolitrom owsa. Niezawodnie, bo targ na te towary jest ogromny, a każdy z nas swemi osobistemi zakupami nań wpływa. Lecz gdyby na świecie kilkanaście tylko osób było, któreby nabywały barany lub woły, to z wszelkiem prawdopodobieństwem od nich tylko zależałoby drogą układu ustanowić cenę w stosunku 1 : 10 lub w innym, któryby uznały za odpowiedniejszy. Wypadek ten zachodzi zbyt często w handlowych spekulacyach, tworzonych przez połączenie wielkich firm handlowych w t. zw. *kartele* lub *trust'y* [1]).

Bez wątpienia nie należy wniosku tego posuwać zbyt daleko. Wynika samo z siebie, że nie leżałoby w możności rządów, choćby jednomyślnych pod tym względem, zawyrokować, że odtąd złoto i srebro będą sobie równe co do wartości lub co więcej, że stosunek będzie odwrotny i że odtąd 1 kilogram srebra będzie wartać $15^1/_2$ kilogramów złota!

[1]) Można zresztą przytoczyć liczne przykłady tego wpływu, który ustawodawca wywiera na cenę szlachetnych kruszców, np. zniżkę srebra od 15 lat, wynikłą z pozbawienia przez Niemcy srebra znaczenia materyału monetarnego, a zwiększoną jeszcze skutkiem układu, znoszącego wybijanie srebrnych pieniędzy w Unii łacińskiej.

Dlaczego podobne orzeczenie stałoby się martwą literą? Bo przemysłowe zużycie szlachetnych kruszców, choć jest mniejszego znaczenia, niż monetarne, nie znikłoby tymczasem, a byłoby dostatecznem, aby przeszkodzić ustaleniu stosunku tak dziwacznego, jak powyższy. Wszystkie rządy całego świata mogłyby postanowić, że srebro równa się co do wartości złotu — nigdy nikt nie zapłaci za zegarek lub pierścionek srebrny tej samej ceny, co za zegarek lub pierścionek złoty.

Lecz w rozumnych granicach nie wahamy się ani chwili z wypowiedzeniem twierdzenia, że układ międzynarodowy mógłby skutecznie wpłynąć na ustalenie stosunku wartości obu kruszców i, co za tem idzie, usunąć główną niekorzyść bimetalizmu, a mianowicie ucieczkę to jednego to drugiego kruszcu. Gdzieby bowiem uciekał, gdyby świat cały podlegał jednemu i temu samemu prawu? Jeżeli dziś złoto stara się odpłynąć z Francyi do Anglii — to tylko dlatego, że w Anglii ma większą wartość, niż we Francyi; we Francyi kosztuje $15^1/_2$ jednostek srebra, kiedy w Anglii dają zań przeszło 20. Lecz gdyby i w Anglii oznaczała ustawa wartość złota na $15^1/_2$, to jakąż korzyść przedstawiałby wywóz złota? Jeżeli we Francyi wołu nie sprzedawanoby drożej od barana, to z pewnością wszystkie woły sprzedawanoby za granicą: lecz gdyby i za granicą zatrzymano ten sam stosunek, zostałyby one na miejscu.

ROZDZIAŁ V.

Pieniądz papierowy.

I.

Czy można pieniądz kruszcowy zastąpić papierowym?

Gdybyśmy nie wiedzieli już z praktyki, z ciągłego stykania się z tem zjawiskiem, że można pieniądzem papierowym zastąpić kruszcowy, trudnoby nam przyszło temu uwie-

rzyć i pytanie umieszczone w nagłówku tego rozdziału wydałoby się nam dziwnem.

Jasną jest rzeczą, że nie można zastąpić zboża, węgla lub jakiegokolwiek innego dobra prostemi świstkami papieru, — na którychby się kazało wypisać 100 hektolitrów zboża lub 100 cetnarów węgla — papierki te nas nie pożywią, ani nie ogrzeją. Gdybyśmy nawet mieli zwyczaj używania pieniędzy w celach ozdoby, jak to czynią córy Wschodu, wieszając złote i srebrne cekiny na szyi, jasnem jest również, że kawałki papieru nie zrobiłyby tego wrażenia. Wiemy jednak, że zadanie, które spełniają w naszych cywilizowanych społeczeństwach pieniądze, jest zupełnie niemateryalnem. Sztuka monety nie jest niczem innem, jak przekazem (bonem), dającym nam prawo nabycia pod pewnemi warunkami części istniejących dóbr. Otóż rolę przekazu może grać świstek papieru równie dobrze, jak kawałek kruszcu.

Aby lepiej wyjaśnić to, wypada rozróżnić trzy rodzaje pieniądza papierowego:

1) Pieniądz papierowy *reprezentacyjny*, który tylko przedstawia odpowiedną ilość gotówki, złożonej gdzieś, np. w kasie jakiegoś banku, a służącej jako poręczenie. Tak to rząd Stanów Zjednoczonych widząc, że ogół nie lubi zbytnio srebrnych dolarów, zatrzymuje je w swych kasach, zastępując w obiegu zapomocą t. zw. *srebrnych certyfikatów (silver certificates)*, będących właśnie dlatego, że są świstkami papieru — znacznie wygodniejszemi do użycia. Ta pierwsza postać papierowego pieniądza nie może przedstawiać żadnych trudności w praktycznem zastosowaniu.

2) Pieniądz papierowy *dłużniczy*, przedstawiający się pod formą tytułu pożyczki, właściwie pod formą przyrzeczenia wypłaty pewnej ilości pieniędzy. Jasnem jest, że wartość tej wierzytelności zależy wyłącznie od wypłacalności dłużnika; lecz, jeżeli dla tego lub owego powodu mamy zupełną wiarę w tę wypłacalność, jeżeli, jak się często mówi w języku giełdowym, „obligacya warta jest złota,“ nie ma więc, rzecz

jasna, przyczyny, dla którejby ten kawałek papieru nie miał obiegać z równą łatwością jak pieniądz kruszcowy. Banknoty należą w ogóle do tej kategoryi, wyjąwszy niektóre szczególne przypadki, które poznamy niżej.

3) Pieniądz papierowy *umowny*, niczego nie przedstawiający i do niczego nie dający prawa — dla niego to zachowuje się zwykle miano *pieniądza papierowego (papier-monnaie)* w znaczeniu ścisłem. Należą tu np. kawałki papieru puszczane w obieg przez państwo, które nie ma wcale gotówki. Noszą one, co prawda, na sobie napis: „nota na 100 fr.“ lub „na 1000 fr.“ i tym sposobem przybierają pozory tak, jak poprzednie, obietnicy wypłaty pewnej ilości pieniędzy. Lecz wiemy, że to jest czystą fikcyą i że państwo nigdy ich nie wypłaca gotówką, bo nie ma na to pieniędzy.

W tej to ostatniej postaci zdaje się być trudnem do zrozumienia, jak mógł pieniądz papierowy zastąpić kruszcowy i rzeczywiście nie jest to zadaniem tak łatwem. Tymczasem doświadczenie, stokrotnie powtarzane we wszystkich krajach, wykazało, że to zastąpienie było możliwem pod pewnymi warunkami a nawet, że ludy łatwo się do niego przyzwyczajały. Rosya, Austro-Węgry i rzeczypospolite Ameryki południowej, mają system ten od wielu pokoleń. Bo dlaczegóżby miało być przeciwnie? Jeżeli z woli ustawy i powszechnego uznania, które powinno zawsze pod pewnym względem zatwierdzać rozporządzenie ustawodawcy, — te białe lub niebieskie kawałki papieru otrzymały zdolność pokrycia naszych zakupów, długów, podatków, dlaczegóżby nie miały krążyć równie dobrze, jak białe lub żółte monety? Przecież one nie służą nam do niczego więcej.

Mimo to należy przyznać, że między wartością pieniądza kruszcowego a papierowego będą zawsze zachodzić ważne różnice. Wartość pieniądza papierowego będzie zawsze dowolniejszą, będzie się obracać w ciaśniejszych granicach terytoryalnych i będzie bardziej zmienną:

1) Wartość pieniądza papierowego jest *dowolną*, bo opiera się wyłącznie na woli ustawodawcy i ta sama ustawa, która go do życia powołała, może go znieść. Jeżeli ustawa odbiera

papierowi znaczenie monety, w rękach jego posiadacza zostanie świstek bez wartości; ze stratą prawem przyznanej wartości, traci on wszystko. Wcale inaczej przedstawia się rzecz przy pieniądzu kruszcowym. Po za swą wartością ustawową ma on jeszcze wartość zwykłą, codzienną, którą zawdzięcza właściwościom fizycznym i chemicznym kruszcu, w nim zawartego. Bez wątpienia, jeżeliby złoto i srebro utraciło znaczenie pieniądza w całym świecie, pieniądz kruszcowy utraciłby największą część swej wartości; nie ma się co łudzić pod tym względem a zniżka obecna pieniądza srebrnego, wywołana przez odmówienie srebru charakteru materyału monetarnego w kilku tylko krajach (po 1873 r.) — dowodzi tego aż nadto wymownie. W każdym razie jednak, nawet przyjąwszy powyższe założenie, musimy stwierdzić, że szlachetne kruszce mimo to przedstawiałyby pewną użyteczność, bo możnaby ich używać do celów przemysłowych a ponieważ tem częściej i w tem większych rozmiarach używanoby ich, im mniejszą byłaby wartość kruszcu, możliwem jest, że zniżka nie byłaby tak wielką, jak przypuszczamy. Przypuśćmy, że wartość szlachetnych kruszców spadłaby do $^1/_3$ lub $^1/_4$ wartości obecnej, mimo to jednak w rękach posiadaczy monet zostałaby pewna wartość, którejby im ustawa nie mogła odebrać, prawdopodobnie nawet wartość wyższa od wszystkich innych towarów.

2) Wartość pieniądza papierowego jest *więcej ograniczoną terytoryalnie*, bo opierając się na ustawie, nie może się rozciągnąć po za granice tego terytoryum, które ustawie owej podlega, nie może więc służyć do wymiany międzynarodowej. Przeciwnie wartość pieniądza kruszcowego, normowana wartością kruszcu, równą jest mniej więcej w całym cywilizowanym świecie; może on krążyć wszędzie, jeżeli nie jako pieniądz, to przynajmniej jako kawałek kruszcu. Oto dlaczego pieniądz kruszcowy jest z istoty swej powszechnym i międzynarodowym, podczas gdy pieniądz papierowy z istoty swej jest państwowym.

3) Wreszcie wartość pieniądza papierowego jest zmienniejszą, niż pieniądza kruszcowego, a to dla bardzo prostej

przyczyny, że cała ilość papierowego pieniądza zależy wyłącznie od ustawodawcy, a pieniądza kruszcowego wyłącznie od przyczyn naturalnych, mianowicie od odkrycia nowych pokładów złota lub srebra. Papier puszczają w obieg ludzie, kruszec przyroda. W ręku ustawodawcy nieprzezornego leży możność obniżenia wartości pieniądza papierowego przez puszczenie w obieg zbyt wielkiej ilości, co się niejednokrotnie zdarza, lecz nie leży to w mocy żadnego rządu obniżyć w ten sposób wartość pieniądza kruszcowego. Gdyby nawet państwo puszczało w obieg ilość oznaczoną pieniądza papierowego, mimo to niekorzyść trwałaby, bo potrzeby zmieniają się z biegiem czasu i jeżeli po czasie ruchu handlowego wymagającego zwiększenia ilości środków wymiany nastąpi, co się najczęściej zdarza, czas zastoju, okaże się ilość papierowych pieniędzy zbyt wielką.

Prawdą jest, że odkrycie pokładów wyjątkowo bogatych może rzucić w świat w danej chwili znaczną ilość drogich kruszców i, co za tem idzie, sprowadzić zniżkę wartości pieniądza kruszcowego. Prawdą jest również, że jeżeli po epoce ruchu nastąpi epoka zastoju, może być w danym kraju zbyt wiele pieniędzy kruszcowych. Zdarza się to niejednokrotnie, lecz zmiany te nie przybierają nigdy tak wielkich rozmiarów i nie wywołują tak smutnych następstw, jakie pociąga za sobą wszelka zmiana w ilości pieniądza papierowego, bo rozciągają się na cały świat cywilizowany; wszędzie poszukiwane i przyjmowane kruszce szlachetne, jeżeli się znajdują w jednym kraju w zbyt wielkiej ilości, szybko odpływają do innego, podczas gdy wezbranie nagle papierowych pieniędzy, ograniczone na pewien oznaczony kraj, tworzący jakby zamknięty zbiornik, na zewnątrz którego nie może wypłynąć, jest zgubnem.

Dopiero co zaznaczone niekorzyści powodujące, że pieniądz papierowy jest w stosunku do kruszcowego tak niedoskonałym środkiem wymiany — zmniejszają się w znacznej mierze, jeżeli mamy do czynienia z rozumnym rządem, który puszcza w obieg ilość pieniędzy papierowych taką,

jaka jest niezbędnie potrzebną dla zaspokojenia potrzeb cyrkulacyi i odpowiednio do zasad, które poznamy niżej. W zupełności zaś prawie znikłyby one, gdyby sobie można wyobrazić międzynarodowy układ, zawarty między wszystkiemi krajami cywilizowanemi, mocą którego zobowiązywałyby się one:

1) nadać kurs ustawowy pieniądzowi papierowemu;

2) nie zwiększać jego ilości lub zwiększać ją tylko w stosunku z góry oznaczonym i osobno obliczonym dla każdego kraju np. według wzrostu ludności.

W tym razie wartość pieniądza papierowego, choć opierająca się na umowie, t. j. jednomyślnej zgodzie narodów, spoczywałaby odtąd na podstawie prawie równie szerokiej i równie pewnej, jak wartość samego pieniądza kruszcowego a być może nawet mniej byłaby zmienną, skoro jej ilość zamiast zależeć od przypadku, zawisłą byłaby od stałej i znanej ustawy.

II.

Czy stworzenie pieniądza papierowego jest równoznacznem ze stworzeniem nowego dobra?

Ludzie, którzy pierwsi wpadli na myśl robienia pieniędzy papierowych, mniemali, że tym sposobem zwiększą społeczny majątek tak, jakby odkryli pokład złota lub dokonali wielkiego dzieła przemiany kruszców, o którem marzyli alchemicy.

W tej postaci myśl ich była oczywiście absurdem, bo przypuszczali tworzenie bogactw z niczego. A jednak śmieszniejszą starano się ją zrobić, niż na to zasługuje, bo jest wielką prawdą, że puszczenie w obieg pieniędzy papierowych może pomnożyć w pewnej mierze ilość dóbr znajdujących się w pewnym kraju. Lecz jakim sposobem? Pierwszy Adam Smith wyjaśnił to zjawisko; spostrzegł on, że pieniądz kruszcowy obiegający w danym kraju jest kapitałem nieproduktywnym i że zastąpienie go papierowym, oddając kapitał

ten do rozporządzenia, pozwala go użyć w kierunku produkcyjnym. Tak samo mówił on w sławnem odtąd porównaniu, gdybyśmy mogli podróżować w powietrzu, możnaby oddać pod uprawę i produkcyę całą powierzchnię ziemi zajętą obecnie na drogi.

Znakomite porównanie Adama Smitha pozostawia jednak pewną wątpliwość. Oto widzimy jasno, że z dniem, w którym nie będziemy już więcej potrzebowali dróg ani kolei żelaznych, będzie można oczyścić zajmowaną przez nie przestrzeń i oddać tym sposobem uprawie i produkcyi około 400.000 hektarów w samej Francyi, lecz wcale nie jest widocznem, coby można zrobić z kruszcowym pieniądzem w dniu, kiedy się potrafimy bez niego obejść. Czy każemy go przetopić, by zrobić naczynia stołowe lub kolczyki? Zysk będzie bardzo mały. — Nie! lecz umieścimy go za granicą: oto leży zysk. Francya ma kapitał 8 miliardów mniej więcej w postaci srebrnej i złotej monety. Ten olbrzymi kapitał służy do wymiany, lecz nie przynosi żadnego dochodu; przypuśćmy, że znajdziemy sposób zastąpienia go pieniądzem papierowym: oto 8 miliardów można będzie umieścić za granicą, bądźto kupując papiery rentowe, akcye kolei żelaznych, ziemie, okręty, bądź odnawiając zasób narzędzi przemysłowych lub rolniczych, co w ten lub ów sposób może Francyi przynieść 5—6% t. j. 4—500 milionów dochodu. Zachodzi tu ten sam wypadek, co z ojcem rodziny, który mając kilka milionów franków w srebrach i sądząc, że równie dobrze mógłoby służyć srebro chińskie, sprzedaje swe srebra dla zwiększenia dochodów, lub z człowiekiem, który świadom tego, że pieniądz spoczywający w kieszeni lub kufrze nie przynosi dochodu żadnego, stara się o to, by zatrzymywać u siebie tylko niezbędnie potrzebną ilość, a resztę umieszczać na procent. Najbogatsi, zwłaszcza w Anglii, mają najczęściej najmniej gotówki u siebie. Wieśniak ma skrytkę w swej szafie pełną napoleonów lub dukatów, lecz milioner dla zapłacenia swego dostawcy daje mu *czek* na swego bankiera. Narody robią dziś podobnie: najbogatsze mają najmniej pieniędzy. Kiedy Francya ma ich 8 miliardów, Anglia zadowalnia się trzema, a reszty używa do produkcyi.

A więc, jeżeli się stawia pytanie: czy leży w mocy państwa lub nawet banków zwiększenie rzeczywiste bogactwa kraju przez puszczenie w obieg pieniądza papierowego? nie jest to dość ścisłem odpowiadać na to stanowczem przeczeniem. W rzeczy samej można cel ten osiągnąć, lecz *tylko w granicach zakreślonych przez ilość obiegowej monety kruszcowej.* Zastępując 8 miliardów gotówki we Francyi odpowiednią ilością papierów, puszczenie takie w obieg pieniądza papierowego mogłoby rzeczywiście wywołać zwiększenie majątku o 8 miliardów a nawet trudnoby było dojść aż do tej cyfry bez sprowadzenia zniżki jego wartości.

Trzeba jednak zaznaczyć, że dopiero co wskazany zysk możnaby osiągnąć w kilku krajach, lecz nie we wszystkich naraz. Kraj dany może użyć swego zasobu kruszcowego w sposób produkcyjny, oddając go zagranicy, lecz gdyby wszystkie państwa chciały to samo uczynić — żadnoby nie było w stanie tego dokonać. Gdyby wszystkie kraje ofiarowały gotówkę w złocie i srebrze, chcąc się jej pozbyć, to ponieważ niktby jej przyjąć nie chciał, stałaby się towarem nagromadzonym w zbyt wielkich zapasach, a ztąd bez wartości.

W każdym razie jednak, nawet gdybyśmy przyjęli to dość zresztą nieprawdopodobne założenie, ród ludzki miałby w tem zysk swój, obchodząc się bez szlachetnych kruszców. Oszczędzałby odtąd całą pracę, którą rok rocznie poświęca na utrzymywanie swego zasobu kruszcowego na przemianę sztab w pieniądze, na wypełnianie próżni, którą wywołuje codziennie *ścieranie się* i przypadkowe straty, a przedewszystkiem na utrzymanie całego zasobu na poziomie odpowiadającym potrzebom handlu i ciągle wzrastającej ludności. Mógłby ktoś myśleć, że praca ta gra małą rolę: roczna produkcya złota i srebra w świecie całym trzyma się od kilku lat stale cyfry miliarda; otóż z drogimi kruszcami ma się rzecz jak z wszystkimi towarami, ich wartość, o ile nie ma monopolu, stosuje się do ilości wyłożonej pracy. Mamy więc wszelkie prawo twierdzić, że świat chcąc utrzymać i zwiększyć swój zasób kruszcu, musi corocznie utrzymywać mniej więcej od 4 do 500.000 robotników, t. j. ilość, odpowiadającą wielkiej

armii. Usuńmy konieczność używania szlachetnych kruszców, a wszystkie tu zajęte ręce będą do rozporządzenia na inne cele produkcyjne; tak więc wzrośnie siła produkcyjna ludzkości.

Z powyższego się okazuje, że pieniądz papierowy powiększa bogactwo kraju, nie, jak sądzono dawniej, *w miarę zwiększania zapasu kruszcowego, lecz przeciwnie w miarę, jak pozwala na jego zmniejszenie.*

Oto jest korzyść, jaką może przynieść puszczenie w obieg pieniędzy papierowych w danym kraju. Jeżeli ktoś zapyta się, jaką korzyść finansową może przynieść puszczenie w obieg pieniądza papierowego *państwu*, odpowiedź jest daleko łatwiejszą. Jeżeli skarb ma za mało pieniędzy, stworzenie pieniędzy papierowych jest dla niego bardzo wygodnym środkiem zapłacenia swych dostawców, urzędników, żołnierzy lub rentyerów, pokrycia jednem słowem wszystkich swych wydatków *bez potrzeby pożyczania i, co za tem idzie, płacenia procentu.* W ogóle ilekroć państwo znajduje się w tem położeniu, to widocznie nie cieszy się zbyt wielkim kredytem: to też gdyby musiał pożyczyć, wysokość procentu byłaby prawdopodobnie znaczną, pieniądz papierowy pozwala w tym razie dokonać oszczędności nie do pogardzenia. Wiele też państw uciekało się do tego środka i w ogóle z korzyścią, pod warunkiem oczywiście, że w swych emisyach trzymały się granicy wyżej wskazanej, którą przedstawia ilość pieniądza kruszcowego w obiegu. Każda emisya, przechodząca tę granicę, musiałaby pociągnąć za sobą utratę wartości i spowodowałaby dla państwa samego i dla kraju straty, przewyższające znacznie oszczędność osiągniętą.

III.

Niebezpieczeństwa, wynikające z używania pieniądza papierowego i środki, służące do ich uniknięcia.

Korzyści, które pieniądz papierowy może przynieść czy krajowi czy państwu, są więc rzeczywistemi, lecz nie jest wykluczonem, że się je drogo opłaca, a być może nawet

wyżej ich wartości. Mógł też nawet ktoś twierdzić, że wynalazek pieniądza papierowego „więcej klęsk wywołał, więcej sprawił złego i zabił więcej ludzi, niż sama wojna".

W każdym razie należy zaznaczyć, że te skutki smutne trzeba przypisać raczej nieroztropności rządów, niż samej istocie pieniędzy papierowych; zdarzają się zaś one faktycznie tylko w razie, jeżeli rząd chciał przekroczyć już wskazaną granicę i puścić w obieg więcej pieniędzy papierowych, niż trzeba było (potrzeby mierzy dostatecznie ilość pieniędzy kruszcowych będących zwykle w obiegu). Niestety pokusa jest wielką dla zadłużonego rządu przekroczyć tę granicę fatalną, to też wiele już rządów ją przeszło i skończyło bankructwem.

W każdym razie można powiedzieć, że przy obecnym stanie wiedzy ekonomicznej nie można uniewinnić rządu, który ją przekracza. W istocie są pewne znaki zrozumiałe dla ekonomisty i finansisty, po których można poznać niebezpieczeństwo nawet z daleka, a które dają wskazówki lepsze i pewniejsze, niż może je dać ołów sondy lub znaki morskie żeglarzowi.

1. Pierwszym jest *agio pieniędzy kruszcowych*. W dniu puszczenia w obieg pieniędzy papierowych w ilości przechodzącej potrzeby, zaczynają one tracić na wartości stosownie do stałego prawa wartości, a pierwszym skutkiem tej zniżki wartości, pierwszym znakiem, który ją odkrywa, jest agio pieniędzy kruszcowych. Pieniądz kruszcowy nie bierze wcale udziału w tej rozpoczynającej się zniżce wartości środka wymiany, bo i dlaczegóżby miał brać, skoro złoto i srebro zachowało wszędzie swą dawną wartość? Bankierzy i kantory wymiany zaczynają go poszukiwać w celu wysłania za granicę w postaci sztab i płacą małe agio, aby go dostać. Jest to chwila, wymagająca czujności finansistów [1]).

[1]) Kiedy po wojnie r. 1870 Francya była pod panowaniem pieniądza papierowego, a całe złoto przeszło do Niemiec dla zapłacenia długu wojennego, była chwila, w której płacono $2^1/_2\,\%$ agia od złota. Było to nie wiele, lecz dość, aby zwrócić uwagę rządu, który zażegnał burzę.

2. Drugim znakiem jest *zwyżka kursu weksli*. Wierzytelności płatne na zagranicę t. j. weksle stały się na wszystkich miejscach handlowych świata przedmiotem znacznego obrotu. Mają one oznaczony kurs, jak każdy inny towar, t. zw. kurs wymiany zwany kursem weksli. Otóż wierzytelności te na zagranicę są zawsze płatne w złocie lub srebrze, najczęściej w złocie, bo jest to pieniądz międzynarodowy. Jeżeli więc n. p. Francya jest pod rządami pieniądza papierowego, a papier ten zacznie spadać w wartości, wierzytelności na zagranicę, jak weksle na Londyn lub Brukselę pójdą w górę tak, jak samo złoto, bo w istocie wartością równają się ze złotem i jeżeli sztuka złota będzie mieć 2% agia i 20 fr. będzie się sprzedawać po 20 fr. 40 ct., to weksel na 100 fr. na Brukselę będzie mieć również agio 2% i będzie się sprzedawać po 102 fr.

3. Trzecim jest *ucieczka pieniądza kruszcowego*. Choćby zniżka wartości pieniądza papierowego była jak najmniejszą, to jeżeli się jej nie zatamuje bezpośrednio przez usunięcie nadmiaru papieru, lecz pozwoli trwać dalej i coraz bardziej postępować, to w krótkim czasie zniknie cały zasób pieniądza kruszcowego. Zjawisko to jest bardzo charakterystycznem i powtarza się we wszystkich krajach, gdzie pieniądz papierowy nadużył swej władzy; wyjaśniliśmy je już dokładnie przy sposobności rozbioru prawa Gresham'a — to też nie będziemy to samo powtarzać.

4. Wreszcie — czwartym jest *zwyżka cen*. Zjawia się ona później i wskazuje, że zło jest już poważnem i że granicę dozwoloną przekroczono już znacznie. W czasie, kiedy zniżka wartości pieniądza papierowego była małą n. p. 2—3% ceny jej jeszcze nie odczuwają wcale (z wyjątkiem cen kruszców szlachetnych). Kapelusznik lub szewc bądź wcale nie podwyższy ceny swego towaru, bądz też uczyni to tak, że sobie publiczność kupująca nie zda z tego sprawy. Lecz z dniem, kiedy zniżka wartości pieniądza papierowego dosięga 10, 12 lub 15%, wszyscy kupcy i producenci podnoszą

swe ceny w odpowiednim stosunku [1]). Zło, ukryte można powiedzieć, dobywa się na zewnątrz i zjawia się w pełnem świetle.

Należy zaznaczyć, że dawne ceny pozostają w tej samej wysokości, co dawniej dla tych, którzy mogą płacić monetą kruszcową, jeżeli jeszcze obiega: nie utraci ona bowiem na wartości, lecz zyska. Widzi się podówczas ciekawe zjawisko *podwójnych cen*: każdy towar odtąd ma dwie ceny — jedną płatną w kruszcowym, drugą w papierowym pieniądzu, a różnica między niemi jest dokładną miarą zniżki wartości pieniądza papierowego. Kiedy tylko spostrzeże rząd powyższe objawy, mianowicie agio złota lub zwyżkę kursu weksli pierwszym jego obowiązkiem jest zakazać stanowczo wszelkiego dalszego wypuszczania w obieg papierowych pieniędzy: już bowiem doszły one do granicy, przy której winne się zatrzymać. Jeżeli jednak rząd na nieszczęście już ją przekroczył i jeżeli widzi się, że skutkiem tego zjawia się ów groźny objaw zdwojenia cen, powinien dołożyć wszelkich starań, by wrócić wstecz i niszczyć pieniądz papierowy w miarę, jak wraca do kas, aż się osiągnie odpowiedni stosunek ilościowy. Ten heroiczny środek jednak, który w następstwie wywołuje częściowe zmniejszenie dochodów państwowych, nie leży w możności wszystkich rządów. Aby go można zastosować, trzeba być w możności obejścia się bez pewnej części dochodów t. j. trzeba mieć w budżecie nadwyżkę.

---

[1]) Kupcy i producenci nie gniewają się na tę zwyżkę; przeciwnie znajdują ją bardzo korzystną (choć w rzeczywistości jest illuzoryczną, bo jeżeli sprzedają drożej, to też sami kupują także drożej) i przyzwyczajają się do niej tak łatwo, że przywiązują się do rządów pieniądza papierowego i sprzeciwiają się jego usunięciu, któreby przywróciło dawne ceny. Kiedy Stany Zjednoczone były pod panowaniem papierowej monety, było osobne stronnictwo pod wiele mówiącą nazwą „Inflacyonistow“, dokładające wszelkich starań, by je zatrzymać i dziś jeszcze pragnące jego powrotu.

IV.

Jak można usunąć pieniądz papierowy?

Jeżeli pieniądz papierowy przedstawia tę korzyść, że się oszczędza pieniądz kruszcowy, to uzyskuje się ją tylko kosztem ciężkich niekorzyści, a nawet wielkich niebezpieczeństw. Gdyby więc można znaleść jakiś sposób zaoszczędzania pieniedzy kruszcowych bez uciekania się do tego niebezpiecznego środka — to byłoby to z pewnością wielkiem dobrodziejstwem.

Otóż środek ten istnieje: jest on zarazem znacznie radykalniejszym i mniej szkodliwym. Polega on po prostu nie na zastąpieniu środka wymiany kosztownego przez inny mniej kosztowny, lecz na *usunięciu w ogóle środka zamiany*.

Oto, jak należy rozumieć ten system: Przedewszystkiem zastępuje się *sprzedaż za gotówkę* t. j. wymianą towarów za pieniądze *sprzedażą na termin* t. j. wymianę towarów za wierzytelność — bo tak się ostatecznie rzecz przedstawia: oddaję ci towar, a za to otrzymuję obietnicę zapłaty w postaci wekslu.

Następnie, stworzywszy już te wierzytelności, należy się zająć ich urzeczywistnieniem w inny sposób, niż drogą spłaty gotówką kruszcową; to też nauka prawa dostarcza nam w tym kierunku różnych sposobów osiągnięcia tego celu n. p. *kompenzacyą*, przy której dwie wierzytelności gasną, skoro dwie osoby znajdują się względem siebie równocześnie w położeniu dłużnika i wierzyciela lub *zlaniem się*, kiedy jedna osoba jest równocześnie dłużnikiem i wierzycielem lub *nowacyą*, jeżeli wierzytelność gaśnie skutkiem stworzenia nowej.

Wielkie skomplikowanie społecznych stosunków i okoliczność, że każdy z nas lub przynajmniej każdy producent jest raz kupcem, raz sprzedającym, ułatwia w wysokim stopniu użycie tych różnych sposobów uiszczania się z wierzytelności, niemożliwe z pierwszego wejrzenia.

W międzynarodowym handlu po raz pierwszy zastosowano formy kredytowe i zaczęto obchodzić się bez pienię-

dzy. Trudność i niebezpieczeństwo przewożenia wielkich ilości gotówki na wielkie odległości poddały myśl Lombardom, jak mówią, utworzenia wekslu. Obaczmy, jak w praktyce dochodzi się do tego celu. Przypuśćmy, że kupcy francuscy sprzedali za 100 milionów fr. wina do Anglii. Sprzedali na termin t. j. zamiast otrzymać gotówkę, dostali na 100 milionów fr. weksli na swych dłużników angielskich. Przypuśćmy, że towarzystwa angielskie kopalń węgla kamiennego sprzedały ze swej strony za 100 milionów fr. węgla przemysłowcom francuskim i otrzymały równowartość w wekslach, płatnych we Francyi. Jeżeli przemysłowscy francuscy zechcą swe zakupy pokryć, czyż poszlą 100 milionów gotówką? Nie! Poproszą po prostu handlarzów wina o odstąpienie owych 100 milionów efektów płatnych w Anglii (nie będzie im trudno je dostać, bo jak zobaczymy istnieje kategorya ludzi zwanych bankierami, których zajęciem jest właśnie handel wekslami t. j. szukanie papieru płanego na zagranicę, aby go odstąpić temu, który go potrzebuje) a poszlą swym wierzycielom t. j. owym właścicielom kopalń węgla w miejsce 100 milionów w gotówce — odpowiednią wartość w wierzytelnościach do ich współobywateli Anglików. Tak uniknie się przewożenia dwukrotnego przez morze tego samego zasobu pieniędzy.

Prawda, że ten przykład przypuszcza istnienie dwu krajów nawzajem będących wierzycielami i dłużnikami na sumy zupełnie te same, co jest założeniem niezbyt prawdopodobnem. Lecz, jeżeli się nie zdarzy w praktyce, to można dojść do niego inną drogą. Przypuśćmy, że Francya zakupiła 50 milionów herbaty w Chinach, a nic im nie sprzedała, kompenzacya jest więc, jak się zdaję, niemożliwą i czyż nie jest koniecznem, by Francya przesłała Chinom tych 50 milionów w gotówce? To wcale nie jest koniecznem. Jeżeli sami bowiem nie sprzedaliśmy Chinom niczego, to jest wiele innych krajów, które im sprzedały, są więc ich wierzycielami. Wystarczy nam zupełnie zwrócić się do tych krajów i popostarać się o odstąpienie ich wierzytelności, a w ten sposób, będąc już wierzycielami Chin, będziemy mogli z łatwością potrącić swą pretensyę. N. p. możliwem jest, że Anglia sprze-

dała Chinom za 50 milionów opium; w tym wypadku Francya postara się o odstąpienie tej wierzytelności (w języku technicznym: zakupi w Londynie papiery płatne na Shanghai lub Hong-Kong). Lecz powie ktoś — w każdym razie Francya będzie musiała zapłacić 50 milionów czy Anglii czy Chinom, czyż to nie jest obojętne? Owszem, to wcale nie jest obojętnem, bo wystarczy, by Francya stała się wierzycielem Anglii na 50 milionów (n. p. za sprzedane wina), aby wyrównać wymianę między trzema krajami bez rozwiązywania trzosa.

Bez tych świetnych kombinacyj handel międzynarodowy byłby wprost niemożliwy, bo Francya musiałaby corocznie płacić gotówką 4—5 miliardów za dowiezione towary, a skąd wzięłaby tak olbrzymią ilość pieniędzy? Nie posiada ich w całym obiegu więcej i w istocie gotówka przewożona z kraju do kraju przedstawia tylko mały ułamek, najwyżej 8—10% wartości wymienionych towarów. — W stosunkach między osobami prywatnemi znacznie mniejszy postęp pod tym względem da się zaznaczyć.

Dla uregulowania wymiany między jednostkami bez pośrednictwa pieniędzy można przedewszystkiem użyć tego samego systemu, który stosuje się między dwoma krajami t. j. sprzedaży na termin, wystawiając weksle i puszczając je w obieg na tak długo, dopóki nie zgasną skutkiem potrącenia lub zlania się dwóch pretensyj. Jestem, dajmy na to, adwokatem, a jeden z mych klientów, handlarz win, winien mi jest pewną ilość pieniędzy. Zamiast mi ją zapłacić, podpisuje weksel, a ja chcąc zapłacić mego księgarza, mogę mu dać ten weksel. Jeżeli przypadkiem księgarz zaopatruje się w wina u mojego handlarza — ze swej strony zamiast płacić, odda mu tylko ten weksel.

Można sobie wyobrazić jeszcze prostszy w teoryi system i jeszcze łatwiejszy do zrozumienia. Przypuśćmy, że wszyscy Francuzi bez wyjątku mają otwarte *konto* w tym samym domu bankowym, który będzie obowiązanym przyjmować przychody wszystkich swych klientów, które zapisuje

na ich „ma“ i pokrywać wszystkie wydatki, zapisując je na ich „winien“.

Przy podobnym systemie możnaby usunąć pieniądze do ostatniego centa. Ilekroć robię zakupy, zamiast spłacić swemu dostawcy, ograniczę się na poleceniu swemu bankierowi przeniesienia danej sumy na mą niekorzyść a na korzyść mego kupca, który znów ze swej strony postąpi podobnie przy przy każdorazowym zakupie jakichkolwiek towarów. Jeżeli zamiast pokrywać swe wydatki, chcę umieścić pewną sumę pieniędzy — postąpię w podobny sposób: bank zapisze na mą niekorzyść sumę przedstawiającą wartość zakupionej obligacyi a równowartość na rzecz towarzystwa, które ją puściło w obieg lub poprzedniego jej posiadacza, który mi ją sprzedał. Na końcu roku bank poszle każdemu ze swych klientów rachunek, który wyrówna się bądź na korzyść banku, bądź na korzyść klienta. Nadwyżkę tę przeniesie się na rachunek roku przyszłego bądź na niekorzyść klienta, jak w pierwszym razie, bądź na jego korzyść, jak w drugim i tak dalej. Jasnem jest, że przy tym systemie możnaby teoretycznie wyrównywać ogół załatwianych interesów za pomocą prostego przenoszenia wpisów *(virement de parties)*.

V.

Udoskonalenie wymiany prowadzi do wznowienia zamiany surowej.

Rozwój dopiero co wskazany, przedstawia nam ciekawe zjawisko: widocznem jest w istocie, że zdąża przez zupełne usunięcie środka wymiany do zwrotu w kierunku bezpośredniej wymiany towaru za towar czyli surowej zamiany. Rzeczywiście w tych sztucznych i skomplikowanych systemach, tworzących ostatni wyraz ekonomicznego postępu, dziwne tkwi podobieństwo do pierwotnych urządzeń ludów barbarzyńskich. Nie pierwszy to raz zaznacza historyczny rozwój ludów ten szczególny pochód umysłu ludzkiego, który

doszedłszy do ostatnich granic swego biegu, zdaje się wracać do samego prawie punktu wyjścia, zakreśliwszy w ten sposób jeden z owych kręgów, tak uderzających zmysł spostrzegawczy Vica [1]).

Do surowej zamiany zdąża handel międzynarodowy, bo ostatecznie każdy kraj płaci za swój dowóz wywozem, to znaczy wymienia swe wytwory za wytwory obce.

Do surowej zamiany doprowadzi nas także założenie, że wszyscy mieszkańcy danego kraju mogliby być klientami jednego i tego samego banku: jeżeli nikt nie potrzebowałby pieniędzy, wszyscy opłacaliby ostatecznie wytwory i usługi własnemi wytworami lub własnemi usługami.

Również rodzaj surowej zamiany ma miejsce w przedziwnej instytucyi t. zw. *Clearing-house,* bo te ogromne masy czeków, weksli, efektów handlowych, które codziennie się wymienia i kompensuje, są tylko znakami przedstawiającemi stosy skrzyń, pak, beczek, które zamieniono w naturze, to też Clearing-house dla tego, który umie patrzeć po za kulisy, jest wspaniałym bazarem podobnym do bazarów Kachgaru lub Tombuktu z tą tylko różnicą, że zamiast wymieniać towary w naturze — wymienia się przedstawiające je papiery kredytowe.

VI.

Upadek szlachetnych kruszców.

Jeżeli, co zresztą nie ulega wątpliwości, powyższe systemy rozszerzą się i rozkrzewią po całym świecie, może się

[1]) Jest to zjawisko analogiczne do owego zwrotu, którym zajmowaliśmy się w rozdziale o handlu. Widzieliśmy, że rozwój społeczny tworzy najprzód klasę kupców, których zadaniem jest ułatwienie stosunków między producentami a konsumentami, następnie zaś ten sam rozwój zmierza dziś do powolnego usunięcia tej klasy kupców i do odnowienia za pomocą pojedynczych i niekosztownych środków bezpośredniego związku między producentem a konsumentem.

zdarzyć pewnego dnia, że ludzie nie będą już potrzebować gotówki do wymiany a kruszce szlachetne stracą odtąd prawie całą swą wartość.

Czy choć ich użyteczność z punktu widzenia przemysłowego trwać będzie? To nie jest pewnem a nawet z tego punktu widzenia wysokie stanowisko, które opanowały dotąd w świecie, mogą łatwo utracić. Wykwintny smak naszych czasów małą przywiązuje wagę do bogatego materyału a ocenia wyłącznie wykończenie pod względem formy i dokładność roboty. Zbytek, czy to publiczny, czy prywatny, nie myśli już o pokrywaniu gmachów złotem, jak Salomon, który zawiesił trzysta złotych puklerzy na murach świątyni lub o napełnianiu kredensów naczyniem szczero-złotem lub srebrnem, jak to czynili nasi przodkowie, ani też o wyszywaniu naszych ubrań koronkami i złotemi lamami, jak dworzanie Franciszka I-go lub jak córy Wschodu, noszące na szyi cały swój posag. Nie! przedmiotem wytworów artysycznych są materyały najpodlejsze: drzewo, glinka wypalona, fajans, miedź co najwyżej, spiż, które raz wyszedłszy z pod ręki artysty, zdobią nasze pałace i mieszkania a co do ubiorów, to najnowsze rozporządzenia mody wzbraniają mężczyznom noszenia złotych kosztowności.

Tak więc z jakiegokolwiek punktu widzenia bierze się je pod uwagę, kruszce t. zw. szlachetne, zdają się być w przededniu utraty tego przydomku, jaki im zawsze przyznawano. Dziwna to ich historya a może kiedyś będzie ona w podziw wprawiać naszych potomków. Jakże długiem było ich panowanie i na jak silnych podstawach zdawało się opierać! Między dobrami zajmowały miejsce w pierwszym szeregu a nawet były typowym przedstawicielem bogactwa, dobijano się o nie i walczono. Alchemicy pracują nad wielkiem dziełem przemiany kruszców, wychodźcy opuszczają w masach cały kraj rodzinny tak w XVI, jak w XIX wieku, aby tylko z jakiego Eldorado przywieść nieco kruszcu poszukiwanego; układy, traktaty, bitwy staczane na lądzie i na morzu przez narody, walczące o swe systemy kolonialne lub merkantylne... ileż to wysiłków, ile walk dla ich zdobycia!

I oto ich właściwości, które podniosły je na stanowisko pierwszorzędne, zdają się powoli odpadać jak klejnoty z korony. Usunięte jako środki wymiany przez udoskonalenie handlu i kredytu, wzgardzone jako przedmioty zbytku i odepchnięte przez modę naszych czasów — być może, że będąc tak długo typem bogactwa, złoto i srebro doczekają się wykreślenia z listy dóbr [1]).

ROZDZIAŁ VI.

Międzynarodowa wymiana.

I.

Dlaczego zbyt wielką wagę przywiązuje się do handlu zewnętrznego.

Pomimo, że wymiana międzynarodowa, handel zewnętrzny zwrócił na siebie ogólną uwagę w znacznie wyższym stopniu, niż handel wewnętrzny — posiada przecież mniejsze znaczenie. Handel zewnętrzny Francyi, biorąc pod uwagę nawet handel ogólny [2]), nie przechodzi 9—10 miliardów, podczas gdy ruch wymiany wewnętrznej, choć znacznie trudniej go oznaczyć, nie może być niższym od 40—50 miliardów mniej więcej.

---

[1]) Przewidywania szanownego autora może się w pewnej mierze sprawdzą kiedyś w dalekiej przyszłości. Obecnie trwa jeszcze i zapewne trwać będzie długo walka o złoto, albowiem popyt nań wzrasta ustawicznie, zarówno na cele monetarne jak przemysłowe, a produkcya bardzo powoli tylko się podnosi. Wartość srebra byłaby się również nie obniżyła w ubiegłem dwudziestoleciu, gdyby nie gwałtowny przybytek produkcyi i ubytek popytu wskutek przyjęcia waluty złotej w kilku państwach (Przyp. tłum.)

[2]) Przez *handel ogólny* rozumie się ruch wszystkich towarów wchodzących do Francyi i ztamtąd wychodzących, a przez *handel szczegółowy* wyłącznie ruch towarów wytworzonych wewnątrz i przeznaczonych do wewnętrznej konsumpcyi, nie obejmuje więc

Stosunek ten zmienia się oczywiście dla każdego kraju stosownie do jego położenia, rozciągłości, własnych zasobów; można w ogóle twierdzić, że powszechnie stosunek ten okazuje dążenie ku zwiększeniu się, ponieważ łatwość komunikacyi pozwala coraz więcej każdemu krajowi spowadzać z daleka obce wytwory i daleko wysyłać własne. Pewnem jest, że w Tyrze i Kartaginie w starożytności, w Wenecyi i miastach hanzeatyckich w wiekach średnich handel był wszystkiem a dziś także w Anglii odgrywa ważną rolę w życiu narodowem. Dziś jednak w wielkim kraju wymiana, łącząca go z innemi, gra małą tylko rolę w ogólnym ruchu jego wymiany. W tym względzie różni się kraj od jednostek: podział pracy posunięty w naszych społeczeństwach do ostatecznych granic, doprowadził do tego, że każdy z nas, jak to wyżej podnieśliśmy, wytwarza wyłącznie na rachunek swych sąsiadów a spożywa tylko to, co sąsiedzi wytworzyli; tak więc wszystko co wytwarza i wszystko co spożywa, musi przejść przez wymianę. Inaczej się rzecz ma, gdzie chodzi o kraj i to o wielki kraj. Jeżelibyśmy mieli go porównać do osobnika, to tylko do właściciela ziemskiego mieszkającego w swych posiadłościach, który wytwarzając największą część potrzebnych mu artykułów, zewnątrz potrzebuje kupować to tylko, czego sam nie wytwarza i który, spożywając też największą część tego, co wytwarza, nie czuje potrzeby sprzedawania na zewnątrz, chyba nadwyżki swych zbiorów. Na szczegół ten należy zwrócić uwagę, bo, jak zobaczymy przy sposobności rozbioru systemu ceł opiekuńczych, powszechnem jest zdanie, że kraj należy sobie przedstawiać w postaci kupca, który tylko sprzedaje i kupuje.

---

ani towarów tranzytowych, ani czasowych przyjęć. Ztąd też handel szczegółowy jest niższym oczywiście od ogółowego. Różnica ta wynosi we Francyi co najmniej 1500 milionów. Znaczniejszą jest w innych krajach, dzięki ich położeniu geograficznemu n. p. w Szwajcaryi.

II.

Dlaczego międzynarodowa wymiana zdąża zawsze do przybrania postaci surowej zamiany.

Między wymianą międzynarodową a indywidualną należy zaznaczyć jeszcze jednę różnicę: oto, że pierwsza przedstawia się prawie wyłącznie pod postacią zamiany surowej towaru za towar, a gotówka wchodzi w grę w nieznacznym tylko stosunku. Jeżeli się w statystyce ceł przeglądnie liczbę wpłat i wypłat gotówką i jeżeli się ją zestawi z liczbą ogólną wywozu i przywozu, spostrzeże się, że pieniądzmi nie spłaci się nigdy wyżej 8—10% ogólnej sumy. Jest to zjawisko, które należy zapamiętać, bo jak zobaczymy przy sposobności rozbioru systemu ceł opiekuńczych, widoczną jest dążność do twierdzenia, że kraj tak, jak jednostka, powinien płacić gotówką za to, co kupuje i w gotówce otrzymywać cenę sprzedanych towarów. Tak się rzecz nie ma: wymiana między krajami odbywa się, jak między dzikimi (z zastrzeżeniem zresztą co do udoskonalenia sposobu) towar za towar, *do ut des*. Przyczyny tego pozornie dziwnego zjawiska są następujące:

Przedewszystkiem wymiana międzynarodowa, gdyby miała być wyrównywaną w gotówce, wymagałaby ilości gotówki przechodzącej granice możności danego kraju. Anglia ma w obiegu 3—4 miliardów pieniędzy, których zresztą niezbędnie potrzebuje dla swego wewnętrznego obiegu: jakżeż mogłaby wziąć udział w takim razie w międzynarodowej wymianie, która dla niej wynosi około 15 miliardów? Francya nawet, kraj najlepiej w świecie zaopatrzony w gotówkę, (liczy się ją na 8 miliardów mniej więcej), w trudnem byłaby położeniu, gdyby musiała gotówką pokrywać swe zakupy dokonywane za granicą, a które zwykle przenoszą 4 miliardy rocznie.

Co więcej, przyjmując nawet, że kraj pewien zdołałby w razie zbiegu okoliczności dość nieprawdopodobnego, zawsze pieniądze wydawać, lub zawsze je otrzymywać, w każdym razie ten stan niezwykły nie mógłby trwać długo, siła cięż-

kości stosunków usunęłaby go wkrótce, zastępując innym wprost przeciwnym.

Przypuśćmy, że to Francya wymaga i otrzymuje zawsze pieniądze w zamian za swe wywożone towary, w takim razie musiałaby około trzech miliardów rocznie pobierać za granicą, a więc w 2 lub 3 latach ilość pieniędzy krążących byłaby podwójną, w 10 latach — poczwórną. To też i ceny wszystkich towarów musiałyby się zwiększyć w dwójnasób lub poczwórnie. Przeciwnie znów w krajach zagranicznych, pozbawionych gotówki na naszą korzyść, ceny nieustannie spadałyby. Otóż w takich warunkach można uważać za pewne, że bieg wywozu wkrótce wstrzymałby się, bo towary nie przechodzą nigdy z okolic, które za nie drogo płacą w okolice, gdzie są taniemi tak, jak rzeka nie wraca się do źródła. Przeciwnie wytworzyłby się prąd odwrotny o nieprzepartej sile, któryby obce towary wprowadzał do Francyi. W istocie tak, jak zwyżka cen we Francyi zmusiłaby kraje zagraniczne do wstrzymania się od zakupów, tak znów ta sama zwyżka cen łącząca się ze zniżką cen zagranicznych, skłoniłaby znaczną ilość Francuzów do robienia zakupów zagranicą.

Ilekroć zatem kraj jakieś towary wysyła za granicę, powinien spodziewać się zwrotu towarów z zagranicy w równej wartości; jeżeli zaś spłatę tę w naturze uniemożliwia za pomocą środków prohibicyjnych, niechaj się spodziewa natychmiastowego wyschnięcia źródła swego wywozu. Można więc to ogólne prawo międzynarodowego handlu ująć w następującą zasadę: *wszelki wywóz, który przez dłuższy czas stale się utrzymuje, wywołuje i oznacza koniecznie odpowiedni przywóz.*

Lecz prawo to sprawdza się również w odwrotnym kierunku: *wszelki przywóz* także — o ile się go powtarza i o ile odbywa się regularnie — *wywołuje i oznacza odpowiedni wywóz.* Kraj kupujący nie może bowiem oczywiście płacić zawsze gotówką (chyba, że wytwarza ją w swych kopalniach, w którym to razie staje się ona materyałem wywozowym, jak każdy inny) w dniu, w którym mu jej zabraknie, będzie musiał przywóz, o ile nadal trwać będzie, zapłacić

towarami; lecz zresztą zanim do tego przyjdzie, zniżka cen długo naprzód wstrzyma zakupy dokonywane przez krajowców zagranicą i skłoni cudzoziemców do robienia zakupów w tym kraju. Jest to rozumowanie to samo, co wyżej, tylko z zamianą ról. Bieg gotówki nie może długo odbywać się w tym samym kierunku tak, jak przypływ i odpływ morza; prędzej, czy później zwraca się i oddaje gotówkę, którą zabrał.

III.

Co należy rozumieć przez bilans handlowy?

Skoro handel międzynarodowy zdąża do przybrania postaci zamiany surowej, zdaje się z tego wynikać, że w handlu danego kraju wywóz powinien się równoważyć z przywozem mniej więcej. A jednak tak nie jest; jeżeli badamy statystykę wywozów i przywozów, obliczaną z dostateczną dokładnością we wszystkich prawie krajach, widzimy, że równowagi tej prawie niema, lecz *bilans handlowy* (jest to wyrażenie uświęcone) przechyla się bądź na stronę przywozu, bądź na stronę wywozu.

Weźmy n. p. Francyę. Oto są liczby handlu francuskiego (handlu szczegółowego) z ostatnich lat pięciu:

Rok	1885.	Przywóz	4088	milionów.	Wywóz	3088	milionów.
„	1886.	„	4208	„	„	3249	„
„	1887.	„	4026	„	„	3246	„
„	1888.	„	4107	„	„	3247	„
„	1889.	„	4316	„	„	3704	„
Razem.		Przywóz	20.745	milionów.	Wywóz	16.534	milionów.

Wynika więc z powyższych liczb, że w okresie 5-letnim tylko Francya zakupiła zagranicą za przeszło 4 miliardy towarów więcej, niż sprzedała, co przedstawia roczną nadwyżkę przywozu nad wywóz 800 milionów franków.

Czyż mamy to uważać za zaprzeczenie dopiero co zaznaczonego prawa? Czyż więc Francya winna była płacić

miliard co roku? To nie jest prawdopodobnem, bo łatwo jest stwierdzić drogą najpowierzchowniejszego badania faktów, że wcale nie daje się uczuwać zmniejszenie monety obiegowej. Co więcej — ilość jej zwiększyła się, te same urzędy celne, które spisują wywóz i przywóz towarów, spisują także przybytek i ubytek szlachetnych kruszców [1]). Oto odnośne liczby z tego samego czasu:

Rok 1885.	Przybytek	479	milionów.	Ubytek	339	milionów.
„ 1886.	„	445	„	„	333	„
„ 1887.	„	271	„	„	397	„
„ 1888.	„	266	„	„	301	„
„ 1889.	„	448	„	„	233	„
Razem.	Przybytek	1.909	milionów.	Ubytek	1.603	milionów.

Tak więc zapas gotówki wzrósł w tym samym okresie o więcej niż 300 milionów, czyli 60 milionów rocznie.

Jeżeli bierzemy pod uwagę Anglię, liczby zadziwiają nas jeszcze więcej. Roczna nadwyżka przywozu nad wywóz dochodzi tam przeciętnie 4 miliardów, t. j. w jednym roku powinnaby zniknąć gotówka Anglii do ostatniego szeląga, bo nie ma jej tam więcej. Tymczasem wcale do tego nie przychodzi i przeciwnie widzimy tam, tak dobrze, jak we Francyi, zwykle nadwyżkę przybytku gotówki ponad jej ubytek.

Jakież jest więc rozwiązanie zagadki? Bardzo proste: oto chcąc się dowiedzieć, czy handel zagraniczny danego kraju zachowuje równowagę, nie należy się ograniczać wyłącznie na badaniu bilansu przywozu i wywozu, jak to w rozdziale poprzednim przyjęliśmy, lecz uwzględnić *bilans wierzytelności i długów*. Otóż bilans płatniczy nie pokrywa się z bilansem handlowym; wywóz stanowi wprawdzie wierzytelność na zagranicę i to główną, lecz mogą być inne także; przywóz stanowi dług wobec zagranicy, lecz także nie jedyny.

[1]) Bez wątpienia sprawozdania te celne nie są bardzo dokładne, bo niema w nich ilości gotówki, którą podróżni mają przy sobie. Lecz ponieważ te omyłki są równie wielkie prawdopodobnie przy wpływie, jak wypływie, przeto stosunek obu cyfr nie powinien uledz zmianie.

Jakież są więc te wierzytelności i te długi międzynarodowe oprócz wywozu i przywozu?

Jest ich wiele, lecz możemy zaznaczyć trzy główne:

1. *Koszta przewozu* wywożonych towarów, t. j. fracht i ubezpieczenie. Jeżeli kraj wywozowy sam ponosi koszta przewozu, co nie zawsze się zdarza, ma wierzytelność na zagranicę, która z pewnością nie będzie widnieć w jego wywozie, bo powstaje dopiero po wyjściu towaru z portu i w czasie jego przewozu do miejsca przeznaczenia. Kraj taki, jak Anglia, ma z tego tytułu ogromną wierzytelność wobec zagranicy, cenioną na 1.200 milionów; nietylko bowiem przewozi faktycznie ogół własnych towarów, lecz także największą część towarów krajów obcych, czego oczywiście nie czyni za darmo [1]). Francya przeciwnie ma długi z tego tytułu, połowę bowiem zaledwie swego wywozu i $^1/_3$ część przywozu przewozi na własnych okrętach.

2. *Odsetki od kapitałów, umieszczonych za granicą.* Bogate kraje umieszczają za granicą wielką część swych oszczędności i z tego tytułu mają do podniesienia zewnątrz corocznie bardzo znaczne sumy w postaci kuponów od rent, akcyi, lub obligacyi, lub nawet pod postacią czynszów dzier-

[1]) Nadwyżka ta, którą koszta przewozu obciążają wartość towarów, wyjaśnia nam zjawisko pozornie niezrozumiałe: oto jeżeli się porówna ogół wywozu i przywozu wszystkich krajów całego świata, musi się stwierdzić znaczną nadwyżkę przywozu nad wywóz i tak wartość ogólnego przywozu świata całego ocenia się na 43—44 miliardów, podczas gdy ogólna wartość wywozu nie ma przenosić 38—39. Otóż gdybyśmy zamiast porównywać wartość towarów przybyłych i wysłanych porównali ich ilość, okazałoby się, że dwie te sumy byłyby równe, bo jest jasnem, że *nie może być na świecie więcej towarów przybyłych, niż wysłanych*, chyba, żeby po drodze się mnożyły. Ponieważ przeciwnie niektóre po drodze giną skutkiem rozbicia się okrętu, jasnem jest, że liczba przybyłych powinna być nieco mniejszą od wysłanych. Lecz ponieważ zamiast brać pod uwagę ilość, bierze się wartość i ponieważ te wartości wzrastają po drodze skutkiem kosztów przewozu, niema w tem nic dziwnego, że towary, przywiezione na miejsce przeznaczenia, przedstawiają wartość wyższą, niż wywożone, t. j. w miejscu wysyłki.

żawnych, lub zysków i przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych. Do dwu miliardów ma wynosić haracz, nałożony z tego tytułu przez Anglię na zagranicę lub oraz własne kolonie. Nietylko zaciągnęły na rynku londyńskim ogół swych pożyczek Indye i kolonie Australskie, lecz nadto iluż to przedsiębiorstwami kierują, rozporządzają Anglicy w świecie całym. Zdobyli oni sobie w stanach Zjednoczonych obszary, których powierzchnię ocenia się na 8 milionów hektarów, co się równa Irlandyi. Francya także ma wierzytelności znaczne na zagranicę, zwłaszcza w Europie; mają one przedstawiać nie mniej, jak jeden miliard odsetek rocznie. Przeciwnie Hiszpania, Turcya, Egipt, Indye, rzeczypospolite Ameryki południowej zajmują z tego tytułu miejsce między dłużnikami. W każdym razie należy zaznaczyć, że skoro kraje te zaciągają nową pożyczkę, to jak długo jej inne kraje nie pokryją — są wierzycielami chwilowo tych krajów, które mają przysłać gotówkę.

3. *Wydatki cudzoziemców*, pozostające w kraju. Ponieważ cudzoziemcy wydają nie wytwory własnej pracy, lecz dochody z swych posiadłości ziemskich lub kapitałów umieszczonych w ich kraju rodzinnym, ztąd kraj, zwiedzany przez cudzoziemców, ma w nich stałe źródło dochodu. Francya, Włochy, Szwajcarya, Algerya są z tego tytułu wierzycielami Anglii, Rosyi, Stanów Zjednoczonych na bardzo znaczne sumy. Przypuśćmy falujące zaludnienie z 50.000 cudzoziemców, wydających 20 franków dziennie na głowę, co nie jest zbyt wiele, to będą oni musieli dla pokrycia swych wydatków sprowadzać z ojczyzny rocznie sumę 365 milionów. Jest to niejako cena pensyonu, który mają opłacić.

Oto są główne wierzytelności. Wystarczają one dla stworzenia równowagi i rozwiązania zagadki na miejscu. We Francyi n. p. jeżeli się liczy na jej korzyść z jednej strony 3 miliardy wywozu, 1 miliard odsetek od kapitałów umieszczonych za granicą i 300—400 milionów wydatków, które czynią w niej cudzoziemcy — a na jej niekorzyść z drugiej strony 4 miliardy przywozu i kilkaset milionów za przywóz tych towarów, które odbywają drogę pod obcą flagą — widzi-

my, że równowaga szukana powoli się odnalazła i że możemy nawet liczyć pewien zysk na korzyść Francyi. Ten sam rachunek możnaby zrobić dla Anglii.

Tak więc zewnętrzny handel danego kraju znajduje się w równowadze dokładnej nie wtedy, kiedy zachodzi równowaga między przywozem a wywozem, bo tego nigdy niema, lecz kiedy zachodzi między wierzytelnościami a długami.

W razie popsucia się tej równowagi, zdąża ona do naprawy sama przez się na podstawie wyżej wymienionego prawa. Równie, jak powiedzieliśmy, że każdy nowy wywóz towarów oznacza bieg odwrotny przywozu, można twierdzić, że *każda nowa wierzytelność na zagranicę zdąża do wywołania odpowiedniego przywozu z tego kraju.* I zarówno tak, jak przywóz prawidłowy oznacza odpowiedni wywóz, taksamo każdy dług zaciągnięty względem zagranicy, zdąża do wywołania wywozu do tego kraju.

A przyczyny tego prawa są zupełnie te same, a mianowicie: zmiany w cenach lub tylko w kursie weksli, zdążające do przywrócenia stosunku między wywozem a przywozem.

IV.

Na czem polegają korzyści wymiany międzynarodowej?

W międzynarodowej wymianie, jak przy każdej wymianie, daje się wartość równą wartości otrzymanej. Gdzież więc tkwi korzyść wymiany?

Korzyść jest ta właśnie, którą zaznaczyliśmy przy sposobności rozbioru wymiany między jednostkami. Polega po prostu na oszczędności pracy.

Przypuśćmy, że we Francyi wytworzenie cetnara zboża wymaga 6 dni pracy, podczas gdy w Ameryce jedynie 3 dni pracy, w tym razie Francya, zamiast bezpośrednio zboże wytwarzać, zysk mieć będzie w nabywaniu zboża amerykańskiego, dając w zamian równą wartość, a więc towar, który

kosztuje także tylko 3 dni pracy; tak więc zaoszczędzi 3 dni pracy przy każdym cetnarze przywiezionym. Inaczej mówiąc, sprawia ten sam skutek, jak dawniej, połową pracy. Oto jest, jak to już widzieliśmy, istotna korzyść z wszelkiej wymiany; podobnie ma się też rzecz z wymianą międzynarodową.

Korzyść ta, płynąca z wymiany międzynarodowej, nie łączy się koniecznie z niższością produkcyjną kraju, który otrzymuje przywóz, choć zachodzi najczęściej ten wypadek. Kraj pewien może mieć w tem swój interes, by drogą przywozu nabyć pewne dobra, *nawet wtedy, gdyby mógł je wytworzyć w warunkach korzystniejszych, niż wszystkie inne.* Zjawisko to na pierwszy rzut oka zdaje się być dziwnem, a jednak zdarza się dość często. Przypuśćmy, że Antylle mogłyby wytwarzać zboże w warunkach korzystniejszych, niż Francya, n. p. w 3 dniach pracy cetnar, zamiast w 6 dniach; czyżby nie był to czysty zysk dla nich wytwarzać w takim razie bezpośrednio zboże i czyby nie było lekkomyślnością sprowadzać je z Francyi? A jednak możliwem jest, że Antylle będą mieć pewien interes w tej czynności. Przypuśćmy tylko, że mogą opłacać zboża francuskie artykułem, który mogą wytwarzać w warunkach jeszcze korzystniejszych, niż zboże, n. p. cukrem, który będzie kosztował tylko 1 dzień pracy. Jasnem jest, że czynność ta będzie bardzo korzystną, bo dostarczy im tę samą ilość zboża za pracę trzy razy mniejszą.

Tak więc dany kraj mógłby przewyższać na wszystkich punktach swych sąsiadów, a mimo to mieć zysk na przywozie ich produktów. Nawet w tym wypadku łączyłoby się z korzyścią dla niego poświęcić się wytwarzaniu przedmiotów, przy których wyższość jego jest widoczną i oddawać je mniej uprzywilejowanym sąsiadom na to, aby w zamian otrzymywać przedmioty, przy których jego wyższość, choć jeszcze rzeczywista, jest już znacznie mniejszą. Rozumie się samo przez się, że dopiero co zaznaczone korzyści mogą być bardzo łatwo i nawet powinny być wzajemnemi, z wyjątkiem błędu lub przypadku. Przy każdej wymianie rzeczywiście obie strony o tyle tylko się na nią zgadzają, o ile wiedzą lub spodziewają się, że osiągną tym sposobem pewną korzyść, korzyść

oszczędzenia sobie pewnej ilości pracy, lub korzyść nabycia pewnego przedmiotu, potrzebnego w zamian za przedmiot niepotrzebny. Lecz choć należy uważać za pewne, że każda strona, biorąca udział w wymianie, ma pewien interes w wymianie, nic nas nie uprawnia do twierdzenia, że korzyść ta jest równą po obu stronach: co więcej, jest to mało prawdopodobnem.

Nikt nie myślałby o zadaniu kłamu korzyściom dopiero co zaznaczonym, gdyby handel międzynarodowy w oczach wszystkich zjawiał się w jego formie właściwej, t. j. surowej zamiany towaru za towar. Nikt nawet w tym razie nie wahałby się z twierdzeniem, że w przywozie raczej, niż w wywozie, w rzeczy, którą się otrzymuje, a nie rzeczy, którą się daje, należy szukać prawdziwej korzyści handlu międzynarodowego. Gdzież jest ten wymieniający, któryby rzeczywiście w surowej zamianie *do ut des* nie widział przedmiotu, który chce nabyć, celu swej czynności, a przedmiotu odstępowanego nie uważa za prosty środek nabycia?

Niestety handel międzynarodowy nie przedstawia się oczom szerszej publiczności w postaci surowej zamiany: widzi się tylko sprzedaże dokonywane za granicą z jednej strony, zakupy dokonywane za granicą z drugiej, i nie myśli się o stworzeniu koniecznej łączności między temi dwoma rodzajami czynności. Ztąd to rodzi się większość trudności przy rozwiązywaniu tego zagadnienia.

V.

Dlaczego korzyści międzynarodowej wymiany nie należy mierzyć ani nadwyżką wywozu, ani nadwyżką przywozu?

Jeżeli takie są korzyści handlu międzynarodowego, należy się zatem strzedz częstej zresztą dążności mierzenia zysków, płynących z handlu międzynarodowego, bądź to

nadwyżką wywozu nad przywóz, jak to czyni teorya ceł opiekuńczych, bądźto *nadwyżką przywozu nad wywóz*, jak teorya skrajnie wolno-handlowa. Jeden i drugi z tych sposobów oceniania zysków z międzynarodowej wymiany opiera się również na analogii, której niedokładność już przedstawialiśmy, a która polega na porównywaniu roli wielkiego kraju z położeniem kupca.

Pierwsza teorya mówi nam: oto kupiec londyński zakupuje chińską herbatę, aby ją odprzedać we Francyi, herbata w chwili przywozu warta jest 100.000 fr. w chwili wywozu warta 150.000 fr. — zysk jego mierzy nadwyżka ceny sprzedaży nad cenę kupna, a więc wyższość wywozu nad przywóz.

Druga teorya mówi nam: oto kupiec londyński wysyła ładunek drobiazgów na Złote wybrzeże w wartości 100.000 fr., wymienia je tam na kość słoniową i złoty piasek, co przedstawia wartość 500.000 fr. Po powrocie do Londynu zysk jego mierzy nadwyżka wartości towarów, które powróciły, nad wartość towarów, które wyjechały, a więc wyższość przywozu nad wywóz.

Oba wnioski równomiernie są uzasadnione w tych wypadkach, do których się odnoszą, lecz oba stają się fałszywe, jeżeli chcemy z nich wytworzyć ogólną zasadę i rozciągnąć na cały handel danego kraju. Że każda z tych czynności może być źródłem zysku dla tej lub owej klasy kupców, nie ulega wątpliwości, lecz wielki kraj nie jest kupcem; nie jego zawodem kupowanie dla odprzedawania.

Jeżeli weźmiemy n. p. Francyę, to okoliczność, że kupuje mniej więcej za 4 miliardy, a sprzedaje zaledwo za 3 miliardy, nie upoważnia wcale do wysnucia ztąd wniosku, że zyskała na tej różnicy 1 miliard, ani tem mniej, że go straciła. W istocie, jak już widzieliśmy, w zamian za owe 4 miliardy towarów dała 3 miliardy towarów i 1 miliard wartości, reprezentowany przez wierzytelności na zagranicę. Dała więc wartość równą wartości otrzymanej, nie należy więc w całości tych czynności szukać ani straty, ani zysku, które mo-

żnaby przedstawić w cyfrach, lecz po prostu korzyści ekonomiczne o wiele donioślejsze, które już zaznaczyliśmy w poprzednim rozdziale.

Jakiż to dziwaczny pomysł chcieć mierzyć dobrodziejstwa wymiany i handlu, bądź to krajów, bądź jednostek, zyskiem kupców! Widzimy przecież, że zyski ich stanowią przeciwnie ciężar dla wytworców i konsumentów, ciężar prawny, słuszny, bo odpowiada oddanej usłudze, lecz nie mniej należy go *odciągnąć* od korzyści wymiany. Oceniać korzyści handlu według zysków, osiągniętych przez kupców, to tak, jak to powiedział bardzo dobrze Cairnes, jak gdyby ktoś chciał mierzyć korzyści oświaty dochodami profesorów.

VI.

Jak się to dzieje jednak, że międzynarodowy handel narusza koniecznie interesy pewnych klas.

Nie należy wcale, z tego cośmy powiedzieli przed chwilą wysnuwać wniosku, że handel międzynarodowy przedstawia same tylko korzyści dla całego świata — dowodziłoby to złego zrozumienia jego skutków. Z samego wyjaśnienia skutków handlu międzynarodowego, któreśmy podali wynika, że ten sposób wymiany ma na celu i wywołuje w rezultacie oszczędzenie pewnej ilości pracy. Otóż, ponieważ społeczeństwa nasze opierają się na podziale pracy, przeto nie możnaby oszczędzić sobie pewnej ilości pracy, bez *odsunięcia na bok pewnej ilości pracowników*. Handel z Chinami przedstawia korzyść dla konsumentów i dla Francyi w ogóle, ponieważ pozwala jej otrzymywać jedwab z mniejszym wydatkiem i mniejszą ilością pracy: lecz rolnicy i pracownicy w Sewennach, żyjący dotąd z tej gałęzi przemysłu — będą w pewnym stopniu wywłaszczonymi.

Prawdą jest, że wszelki nowy przywóz, jak to wyżej przedstawiliśmy, wywołuje odpowiedni wywóz i że jedwabie chińskie zapłaci się n. p. wytworami mody t. zw. „articles de Paris“, które trzeba będzie w tym celu wytworzyć; nie należy jednak zapominać, że jedwabie sprowadzone z Chin przedstawiają, rzecz jasna, wartość znacznie mniejszą, niż jedwabie francuskie, które im ustąpiły miejsca w konsumcyi, bo bez tego nie mogłyby ich zastąpić na targu. Przedstawiają dajmy na to wartość 100 milionów tylko, podczas kiedy produkcya francuska jedwabnicza przedstawiała wartość 140 milionów. A zatem, aby temu przywozowi przeciwstawić odpowiedni wywóz, wystarczy, że paryski przemysł wyszle do Chin swe artykuły za 100 milionów. Ostatecznym wynikiem będzie zmniejszenie się wytwórczości krajowej o 40 milionów, przedstawiające odpowiednie zmniejszenie pracy. Gdyby nie wynikł z tego inny skutek, jak przeniesienie pracy z jednego miejsca na inne, a to rzuca się w oczy — wynikłoby z tego smutne następstwo dla pewnych klas ludności. Jasnem jest, że wytwórcy jedwabiu w Sewennach, nie mogąc przeistoczyć swych przędzalń na fabryki artykułów paryskich, muszą stracić swe kapitały umieszczone w swych fabrykach; a ponieważ prządki, które zatrudniali, nie mogą również zająć się obecnie wyrabianiem zabawek dla Chińczyków, nie jest wcale pewnem, czy w ogóle znajdą jakieś zatrudnienie. Tak więc wynika ztąd ruina dla pierwszych, nędza i bezrobocie dla drugich.

Można tu jednak podnieść kilka okoliczności łagodzących: można twierdzić tak, jak przy maszynach, że handel międzynarodowy skutkiem swych pośrednich wpływów może zwiększyć ilość pracy, którą zaczął zmniejszać, a to dwoma różnemi drogami.

1. Ponieważ zniżka cen, wynikająca z samej wolnej wymiany pociągnie za sobą *wzrost konsumcyi* i co za tem idzie, wzrost wytwórczości. N. p. zniżka ceny jedwabiów spowoduje, że będziemy ich więcej używać. Przypuśćmy nawet, że ten zwiększony popyt odnosi się tylko do chińskich jedwabiów a nie do francuskich, to jednak trzeba będzie do zapłaty tego zwiększającego się przywozu — zwiększenia wywozu

także artykułów paryskich, przedstawiającego nie już, jak dopiero co wymieniliśmy, 100 milionów, lecz być może 140 jak przedtem;

2. Ponieważ zniżka cen, zmniejszając wydatki konsumentów na oznaczony przedmiot, pozwala im *skierować tak uzyskaną oszczędność na inny wydatek* lub ją umieścić na procent. Tym sposobem, co się zabierze pracy z jednej strony, może ujść w innym kierunku w postaci oszczędności lub nowych wydatków i podsycić inne gałęzie wytwórczości, to też możliwem jest, że ostatecznie praca narodowa nic na tem nie straci.

Kwestya wolnego handlu i ochrony celnej.

I.

Dlaczego wolny handel stanowi kwestyę?

Nie ma przedmiotu w ekonomii politycznej ani też w żadnej innej dziedzinie wiedzy, któraby wywołała tyle ruchu, spowodowała napisanie tylu tomów, a być może tyle strzałów armatnich, co handel międzynarodowy.

I dlaczegoż to? Czyż handel dwu krajów nie odpowiada zupełnie handlowi między dwoma jednostkami? Czyż nie jest tak, jak tamten, zwykłą i normalną postacią wymiany i w takim razie na cóż nam osobnej teoryi dla handlu międzynarodowego? Jeżeli wymiana sama przez się jest już korzystną, zkąd to pochodzi, że ktoś obawia się niebezpieczeństwa, mającego wyniknąć z tej zupełnie przypadkowej okoliczności, że strony wymieniające dzieli słup graniczny?

To stanowisko zajmuje też ekonomia polityczna; nie przypuszcza i nie rozumie, jakby handel międzynarodowy mógł podlegać innym zasadom, niż inny handel: dla niej kwestya ta nie istnieje — powinna być wykreśloną ze spisu materyi. Wymiana jest formą podziału pracy, której cudowne wyniki już wyjaśniliśmy, a jej pożytek nie zależy zupełnie od tego, czy wymieniający należą do jednego państwa, czy

do różnych. Ekonomiczna wiedza w pieluchach jeszcze była za czasów fizyokratów i Adama Smitha, a już wtedy wydała tę formułkę: *laissez faire, laissez passer* — tak więc pierwszy jej krzyk był już oświadczeniem się za wolnym handlem i odtąd też pomimo kilku odszczepieństw, można powiedzieć, pozostała w ogóle wierną swemu dawnemu hasłu.

Nie udało się jej jednak przekonać ani ustawodawców, ani ludów — a był czas, mniej więcej trzydzieści lat temu, gdy zdawało się, że wygrała sprawę. Wówczas to Anglia uświęciła doktryny wolnej wymiany, a Francya za jej przykładem idąc, wciągnęła do tego całą prawie Europę. Nawrócenie się to jednak, pozornie stanowcze, okazało się nietrwałem; reakcya była równie nagłą, jak gwałtowną i dziś prócz Anglii i Belgii nie ma żadnego kraju w całym świecie, któryby hołdował jeszcze zasadzie *free trade* (wolnego handlu).

Przyczynę tej sprzeczności między teoryą a praktyką łatwo jest odkryć. Trudno zaprzeczyć temu, że wolny handel jest systemem, który należy stawiać wyżej nad inne z punktu widzenia teoretycznego, że godzi się najlepiej z powszechnem dobrem ludzkości, lecz ludy i rządy nie mają zwyczaju zważać na ogólne interesa rodu ludzkiego, zajmują się wyłącznie interesami pewnego kraju, w którym żyją i trudno im z tego robić zarzut. Sądzą one zatem, słusznie czy niesłusznie — to jest właśnie kwestya — że handel międzynarodowy, pozostawiony sobie samemu naraża na niebezpieczeństwo upadku produkcyę danego kraju, na ograniczenie jego sił wytwórczych i wymierza, choć pośrednio cios w byt narodowy.

Oto weźmy na przykład przywóz zboża amerykańskiego, który nie dozwala rolnikom francuskim produkować go z pewnym zyskiem. W tem samem położeniu znajdują się oni wobec mięsa Stanów Zjednoczonych, włoskiego wina, australskiej wełny i chińskiego jedwabiu. Czyż więc rolnicy, stanowiący połowę ludności francuzkiej, mają opuścić ziemię i przenieść się do miast? W takim razie, ileżby to niebezpieczeństw dla kraju pociągnęło za sobą podobne przeniesienie, nietylko z punktu widzenia ekonomicznego, lecz także z punktu wi-

dzenia zdrowia publiczego, moralności. politycznej trwałości, siły wojskowej i przyszłości kraju! Któż zresztą nam ręczy, że ta ludność wypędzona ze wsi, znajdzie w mieście pracę lepiej się opłacającą? Czyż nie jest również możliwym upadek przemysłu fabrycznego pod wpływem przywozu zagranicznego? Jeżeli kraj pewien znajduje się w tem nieszczęśliwem położeniu, że we wszystkich gałęziach produkcyi niższym jest od pewnych krajów zagranicznych, będzie musiał ustępować miejsca na wszystkich polach i pozostanie mu tylko jeden chyba ratunek: przenieść ludność i kapitały, które mu jeszcze zostały, do tych właśnie krajów, które tak zwycięsko prowadzą z nim walkę konkurencyjną, aby przynajmniej korzystać z pomyślnych warunków, zapewniających mu tę wyższość. Jeżeli Francya nie może znieść konkurencyi amerykańskiej, niech się przeniesie do Ameryki. — Oto jest, jak mówią — logiczny wniosek, wynikający z systemu, który w handlu międzynarodowym widzi sposób urządzenia, pozwalający wyciągnąć największy możliwy zysk z ziemi i ludzi ją zamieszkujących, bez troski o to, że ludzie ci dzielą się na narody i że każdy z nich ma prawo i chęć do życia.

Prawdą jest — dodają — że konkurencya wewnętrzna i handel wewnętrzny mogą wywołać te same skutki w swoim zakresie. Możliwem jest, że wolność i łatwość połączenia między Cantal a Paryżem pociągnie za sobą wyludnienie i przemysłową śmierć tej prowincyi, lecz tutaj jedna część Francyi zyskuje, co druga traci — nikt temu nie powinien przeszkadzać. Lecz gdyby wolność i łatwość połączeń między Ameryką a Francyą musiały tym samym sposobem pociągnąć za sobą wyludnienie i ekonomiczną śmierć Francyi — należałoby temu przeszkodzić i to już nietylko w interesie ojczyzny, lecz także mając na oku wyższy interes cywilizacyi — bo ostatecznie narody mają odegrać w tym świecie rolę nieco szlachetniejszą, niż prostych wytwórców ekonomicznych, a taniość nie może być jedyną racyą ich bytu.

II.

System ceł opiekuńczych.

Tu tkwi niebezpieczeństwo — a jakiż ztąd płynie wniosek praktyczny? Czyżby należałoby znieść handel międzynarodowy? Możnaby sądzić, że to jest rzeczywiście logicznem zakończeniem dopiero co przedstawionego rozumowania. Tak się jednak rzeczy nie mają: zwolennicy ceł opiekuńczych nie są wcale wrogami międzynarodowego handlu, tak przynajmniej utrzymują i dowodzą tego zresztą dostatecznie wysiłkami, czynionemi dla zdobycia go dla siebie i ofiarami, które ponoszą dla połączenia różnych krajów świata za pomocą sieci kolei żelaznych i wielkich dróg morskich.

Za to jednak uważają handel międzynarodowy za stan wojenny, za jednę z form walki o byt między narodami. Tak, jak cała sztuka wojenna polega na tem, aby najechać i zająć nieprzyjacielskie terytoryum, nie dozwalając najechać, ani zająć własnego, tak samo cała taktyka handlu międzynarodowego powinna polegać według nich na zalaniu obcego kraju naszym wywozem, nie dopuszczając do nas przywozu. Chodzi więc o utworzenie narodowego przemysłu dość silnego, aby był w stanie wyprzeć wytwory przemysłu obcego, a nawet walczyć zwycięzko z obcym przemysłem na jego własnej ziemi. Oto jest zadanie, które postawili sobie zwolennicy ceł opiekuńczych od wieków, a do którego zdążają zapomocą bardzo skomplikowanego systemu postępowania.

Nie mogąc wchodzić tu w szczegóły tego systemu, który zresztą bardzo zmienił się nawet w swych zasadniczych rysach, wyliczymy tu przynajmniej jego cechy charakterystyczne.

Przedewszystkiem co do wywozu, nietylko powinno się go przychylnie oceniać, lecz nadto wzmacniać za pomocą premii wywozowych, co przedstawia same tylko dobre strony:

1. bo wywóz dostarcza krajowi korzyści, wynikających z każdej czynności sprzedaży dokonanej w zwykłych warunkach;

2. bo pozwala na przypływ gotówki do kraju, lub przynajmniej tworzy w kraju wierzycieli zagranicy — co jest zawsze korzystnem;

3. bo rozszerza po świecie równocześnie z handlowemi stosunkami kraju — potęgę polityczną i moralne jego wpływy. Sprzedawać krajom obcym, to znaczy, pozyskać sobie w nich tak dobrze w przenośni, jak w właściwem tego słowa znaczeniu — *klientów*.

Przywóz przeciwnie przedstawia liczne niebezpieczeństwa. — Przedewszystkiem w ogóle, ponieważ stanowi odwrotną czynność do wywozu, przynoszącego korzyści, musi pociągać za sobą następstwa szkodliwe:

1. bo zamiast przysparzać nam zysków na niekorzyść zagranicy, pozwala przeciwnie korzystać zagranicy na nas;

2. bo zamiast pozwolić na przypływ gotówki do kraju — prowadzi do jej ucieczki;

3. bo zamiast wytwarzać nam za granicą klientów, robi z nas klientów zagranicy.

4. a co najważniejsze, ponieważ tworzy konkurencyę dla przemysłu krajowego.

Powinno się zatem, jeżeli nie odrzucać go stanowczo, to przynajmniej dopuszczać tylko do pewnego stopnia[1]), a ztąd system ceł opiekuńczych zmuszony był do wytworzenia dość licznych rozróżnień.

Przeciwko przywozowi wytworów egzotycznych (takich, których kraj nie wytwarza, z tych lub innych powodów: jak n. p. kawa lub czekolada we Francyi, tytoń, wino i herbata w Anglii) nie podnoszą zwolennicy ceł opiekuńczych żadnych zarzutów. Ponieważ jednak są to niestety właśnie przedmioty, które zdaniem finansistów znakomicie nadają się do opodatkowania, na nic się im nie zda życzliwość protekcyonistów. Co się tyczy przywozu surowców, a nawet

[1]) Jest to reguła, którą stary Katon podawał, już dawno temu, właścicielom ziemskim: *patrem familias vendacem, non emacem esse oportet. (De agricultura).* Możnaby stworzyć z tego hasło dla protekcyonistów (zwolenników ceł ochronnych).

artykułów spożywczych, to dawniej (n. p. według systemu List'a) chętnie dopuszczano ich przywóz do kraju. Lecz kiedy dziś postęp i taniość przewozu niesłychanie ułatwiły przywóz surowców i wytworów rolniczych, wytwórcy jednych i drugich, będący w ogóle rolnikami, zapytali nie bez słuszności, dlaczegoby ich nie miało się wziąć także w opiekę. I rzeczywiście cła od artykułów spożywczych (zboże, bydło, wino i t. d.) stały się regułą dla wszystkich krajów, hołdujących systemowi ceł opiekuńczych, a logika stosunków przeniesie to bez zwłoki także na surowce (wełna, jedwab, skóry i t. d.).

W każdym razie, ilekroć chodzi o przywóz, który ma wzmocnić wywóz, należy go dopuścić bez ograniczeń, jeżeli się pragnie wywozu. Robi się to rzeczywiście pod postacią *czasowych dopuszczeń (admissions temporaires)*, t. j. że przyznaje się surowcom wolność od cła (n. p. żelazu, zbożu i t. p.) tylko pod warunkiem, że towar ten napowrót się wywiezie w postaci wytworu rękodzielniczego (maszyny, mąki i t. d.) w pewnym terminie [1]). Wreszcie, co się tyczy wytworów rękodzielniczych, nie można się wahać, ma się więc do wyboru jedynie między prohibicyą a cłem przywozowem [2]). Drugi ten środek w ogóle przenosi się nad pierwszy, a nawet prawie wyłącznie się go przyjmuje, a to z powodu, że łączy on, w myśl teoryi ceł ochronnych, następujące dwie strony dodatnie:

1. popiera przemysł narodowy w odpowiednim stosunku, zwiększając cło stosownie do potrzeb:

---

[1]) Producent, przywożący te surowce, powinien dać poręczenie, że je napowrót wywiezie w oznaczonym czasie, ztąd pochodzi nazwa tego systemu: *acquits à caution* (kwit poręczający). Używa się także innego systemu t. zw. *drawback* różni się on od poprzedniego tem, że cło opłacone przy wejściu towaru, zwraca się przy wyjściu — oba te systemy są wynikiem różnych okoliczności, których tu szczegółowo rozbierać nie możemy, są przyczyną niezliczonych trudności, a nawet szkód skarbu.

[2]) Cła przywozowe znane są dziś pod nazwą *jakościowych*, o ile wymierza się je według ciężaru lub objętości, a *wartościowych (ad valorem)*, o ile zależą od wartości. Każdy z tych systemów ma swe dobre i złe strony.

2. dostarcza państwu w postaci cła dochodów, których nie ponosi kraj, bo je płaci zagranica.

III.

Czy niebezpieczeństwo, o którem głoszą protekcyoniści, istnieje rzeczywiście?

Wśród niebezpieczeństw podniesionych przez protekcyonistów, wiele jest urojonych, lecz także wiele jest uzasadnionych.

Nie ma potrzeby obawiać się, aby przywóz wyciągnął gotówkę z kraju, bo drogą spostrzeżenia i rozumowania dojść można do sądu, że zdarzyć się to może tylko przypadkowo i chwilowo.

Nie ma potrzeby obawiać się, żeby zagranica przez sprzedaż wzbogacała się na nas, bo jeżeli my od niej kupujemy— to tylko dlatego, że sami znajdujemy w tem pewną korzyść, a rola kupującego może łączyć się z równą korzyścią, choć innego rodzaju, jak rola sprzedającego.

Nie ma potrzeby obawiać się, abyśmy byli skazani na sam tylko przywóz, bez nadziei wywozu, bo właśnie przywóz wywołuje wywóz. I odwrotnie nie można żywić nadziei wyłącznego wywozu, bez konieczności przywozu, bo wywóz wywołuje koniecznie przywóz.

A zresztą, gdyby w handlu międzynarodowym wszystkie kraje chciały wyłącznie grać rolę sprzedającego, a nikt nie chciał grać roli kupującego — jakżeżby mógł się handel ten odbywać?

Nie ma potrzeby obawiać się, żeby przywóz, robiąc z nas klientów zagranicy, spowodował naszą zależność od niej, bo nigdy nie widzi się tego, by klienci zależeli od dostawców, lecz przeciwnie dostawcy sami starają się o pozyskanie względów swych klientów.

Nie ma potrzeby obawiać się, aby przywóz zgniótł pracę narodową, bo zapomina się o tem, że każdy przywóz

wywołuje zawsze wywóz w równej wartości i że, co za tem idzie, praca narodowa zyska z jednej strony to, co po innej utraci. Nie ma więc potrzeby brać sobie do serca tego przerażającego obrazu, który dopiero co przedstawiliśmy, obrazu narodu spędzonego ze swej ziemi zagraniczną konkurencyą i zmuszonego do wywędrowania zagranicę. Przypuszczając nawet, że kraj pewien miałby to nieszczęście być niższym od swych sąsiadów we wszystkich gałęziach produkcyi, to jednak mimo to musiałby wytwarzać dla zapłacenia zagranicznych wytworów, któreby chciał spożywać chybabyśmy przypuszczali, że zagranica uniósłszy się wspaniałomyślnością, dostarczy mu darmo wszystkiego, czego potrzebuje — a w takim razie położenie jego będzie raczej godnem pozazdroszczenia niż opłakanem. Gdyby się zdarzyło, że pewien kraj byłby w położeniu tej ogólnej niższości, gdyby był rzeczywiście uboższym od wszystkich innych, gdyby za tę samą ilość pracy lub nawet większą jeszcze był w stanie zdobyć sobie mniejszą tylko ilość wytworów — wtedy już prohibicya zagranicznych wytworów nic chyba nie zmieni w tem przykrem położeniu, nie wstrzyma wychodźtwa na wielką skalę, jeżeli w ogóle nędza przytłumi uczucie przywiązania do ziemi rodzinnej.

Lecz prawdą jest, że wolny handel właśnie dlatego, że pozwala otrzymać tę samą ilość dóbr mniejszą ilością pracy może zmniejszyć popyt pracy w stosunku do osiągniętej oszczędności i dokonanego postępu.

Prawdą jest, że wolny handel pociąga za sobą prawie zawsze wielkie przeniesienie pracy z miejsca na miejsce, co może znów wywołać tu i owdzie ruinę włożonych kapitałów i bezrobocie zajętych rzemieślników w rozmiarach prawdziwych przewrotów.

Prawdą jest, że kraj może się obawiać, widząc jak pod wpływem konkurencyi upada ta lub inna gałąź przemysłu, którą uważa za istotną dla swego bezpieczeństwa, lub pożyteczną dla dobrego rozwoju swego społecznego organizmu. Może się obawiać przedewszystkiem, jeżeli tu chodzi o świeżo powstałe państwo, stłumienia w zarodku budzącego

się do życia przemysłu, który mając czas do kształcenia się mógłby wydać piękne owoce.

W świeżo powstałych państwach przemysł rodzący się dopiero ma rzeczywiście do walczenia z wielkiemi trudnościami. Nie łatwo mu przychodzi dotrzymać placu przemysłowi zagranicznemu, będącemu w posiadaniu obszernych rynków zbytu, który może posunąć udoskonalenie podziału pracy do najwyższego stopnia i rozwinąć produkcyę na wielką skalę. Walka jest tem trudniejszą, im wyższe są w tych nowych państwach płace robotnicze, a im mniej są wyćwiczeni robotnicy. Powszechnie jest wiadomem, że nie łatwo przychodzi sadzić młode drzewka w sąsiedztwie starych, bo te zabrały już cały krąg światła i całą powierzchnię ziemi naokoło, nie zostawiając zatem miejsca dla nowych, ani na zapuszczenie korzeni, ani na rozrost gałęzi. Rozumiemy to bardzo dobrze, dlaczego n. p. kolonie australskie, zaopatrujące cały świat w wełnę, starają się o rozwój przemysłu sukienniczego zamiast ją posyłać do Anglii w tym celu. Podobnie, gdyby francuska kolonia Algier przerabiała na miejscu swą alfę na papier, zamiast ją posyłać w stanie surowym do Anglii, lub gdyby francuska kolonia Senegal mogła przerabiać swe arachidy na oliwę — byłoby to wielką korzyścią nietylko dla nich, lecz dla świata całego, bo nie ma pracy więcej jałowej jak przenoszenie z jednego krańca świata na drugi ciężaru nieruchomego, lub bezużytecznych materyałów. Jest to prawdziwa praca Syzyfa, bo wszelki bezużyteczny przewóz wywołuje bezużyteczną stratę pracy. Gdyby więc trzeba nawet ponosić przez czas pewien ofiary dla tego, aby przemysł mógł powstać, puścić korzenie i wytrzymać walkę z obcymi, sądzimy, że byłby to wydatek na miejscu, który pewnego dnia wróciłby się z procentem.

W tych granicach możemy śmiało twierdzić, że państwo ma obowiązek wkroczenia za pomocą środków, które uzna za najodpowiedniejsze. Cel nie przyjmowania pomocy państwa, który sobie postawiła szkoła liberalna, mało nas obchodzi nietylko, ponieważ zasada ta nie ma wcale naukowej wartości, lecz nadto, ponieważ kwestya obecna należy więcej

do dziedziny politycznej, niż ekonomicznej. Chodzi tu w istocie nie o oznaczenie najlepszego możliwie sposobu organizacyi handlowej lub przemysłowej, lecz o najlepszy sposób obrony przemysłowej i handlowej potęgi danego kraju. Że system ceł opiekuńczych stanowi ciężar dla kraju, który musi się uciec do tego środka i że zmusza go do znacznych ofiar, przyznajemy w zupełności i pod tym względem zgadzamy się ze zwolennikami wolnego handlu, dodajemy jednak, że kraj nie zawaha się przed równemi lub większemi jeszcze ciężarami, ilekroć chodzi o zachowanie i uratowanie przewagi politycznej, wojskowej, morskiej lub kolonialnej; dlaczegóżby miał się przed niemi cofnąć tam, gdzie chodzi o przewagę przemysłową lub handlową, będącą z punktu widzenia jego narodowego bytu i przyszłych losów co najmniej równie ważną?

IV.

Niekorzyści ceł przywozowych.

Jeżeli można się zgodzić na zasadniczą myśl ochrony celnej, a mianowicie, że państwo ma prawo bronić w pewnych danych wypadkach tych gałęzi przemysłu, które uzna za pożyteczne dla kraju, to z drugiej strony nie wydaje się nam możliwem usprawiedliwienie środka używanego w tym celu przez państwa, choć uświęconego praktyką wielu wieków, a mianowicie ceł przywozowych.

System ten przedstawia liczne niekorzyści:

1. Zdąża złą drogą do swego celu, bo wytwarza *nierówną* ochronę, niedostateczną dla słabych, zbyteczną dla silnych. Tak dajmy na to cło 5 franków od cetnara zboża podnosi jego cenę z 20 na 25 franków. Właściciel ziemski, uprawiający je na średnim gruncie lub nie posiadający dostatecznych środków uprawy — produkując 10 cetnarów z hektara — uzyska zwiększenie dochodu o 50 franków, co prawdopodobnie nie będzie dostatecznem do pokrycia kosztów uprawy. Właściciel ziemski, który dzięki ziemi bujnej

lub udoskonalonym środkom uprawy, zbiera 30 cetnarów z hektara, a zatem powinien się łatwo obchodzić bez ochrony, przeciwnie zyska na niej 150 franków z hektara.

2. Stanowi przeszkodę znaczną dla handlu zagranicznego, bo zmniejszając przywóz towarów, *zmniejsza w równym stosunku wywóz*, co stanowi rażący kontrast do wysiłków wszystkich ludów, zdążających do ułatwienia połączeń między krajami, przebijających góry, przecinających przesmyki, przerzynających morza liniami parowców subwencyonowanych i lin telegraficznych, urządzających międzynarodowe wystawy, zawierających monetarne układy i t. d.

3. Najcięższy cios zadaje produkcyi przemysłowej *podniesienie kosztów produkcyi* bądźto wprost przez podrożenie surowców, bądź pośrednio przez podrożenie robotników. Ztąd pochodzą stałe i trudne do usunięcia zatargi między różnemi gałęziami produkcyi; jeżeli się nałoży cła przywozowe na wełnę lub jedwab dla ochrony producentów baranów lub jedwabników, podnoszą się krzyki oburzenia ze strony przędzalń jedwabiu lub wełny; jeżeli się nakłada cło przywozowe na nici jedwabne, wełniane lub bawełniane, niszczy się przemysł tkacki itd. Skombinowany system „czasowych dopuszczeń“ jest tylko środkiem łagodzącym zupełnie niedostatecznym.

4. Zadaje wytwórczości narodowej cios jeszcze cięższy, *odbierając jej bodźca w postaci zagranicznej konkurencyi*. W jednej ze swych mów politycznych wspomniał Bismark o owych szczupakach, które rzuca się do stawów pełnych karpi, aby je ożywić i przeszkodzić im w osiadaniu na dno. Porównanie to możnaby tu śmiało zastosować. Jeżeli chcemy — a jest to właśnie życzeniem zwolenników ceł opiekuńczych — aby kraj pewien zachował swe stanowisko przemysłowej i handlowej potęgi, powinien być zmuszonym do stałej zmiany swego zasobu środków produkcyjnych i swej techniki wytwórczej, do ciągłego wyłączania zużytych lub przestarzałych maszyn tak, jak wąż ciągle się odradza, zmieniając skórę; ponieważ jednak czynność ta jest zawsze bardzo niemiłą, wątpliwem jest, czy wytwórcy zechcieliby zgodzić się na to własnowolnie, gdyby ich w tym kierunku nie parła jakaś siła zewnętrzna.

5. Wreszcie, co najważniejsze, utrzymuje zawsze w kraju smutne złudzenie, *że zyskiem jest to, co właściwie jest ciężarem.* System ceł ochronnych przypuszcza w istocie, że cła przywozowe, ponieważ ponosi je zagranica, nie nakładają na kraj żadnego ciężaru, lecz przeciwnie wywołują uzupełnienie państwowych dochodów. Jest to złudzenie, z którego korzysta system ceł opiekuńczych, broniąc się od upadku, choć właściwie powinno mu to właśnie zgotować zgubę.

W istocie cła opiekuńcze wywołują zwiększenie się odpowiednie wysokości cen nietylko przywiezionych towarów, lecz także wszystkich towarów podobnych, wytwarzanych wewnątrz danego kraju tak, że społeczeństwo musi opłacać z własnej kieszeni pod postacią zwyżki cen dziesięciokrotnie korzyść państwa. Przypuśćmy, że wchodzi do Francyi 10 milionów cetnarów obcego zboża w cenie po 20 franków w chwili przybicia do brzegu. Skutkiem konkurencyi tego zboża zagranicznego, 80 milionów cetnarów zboża, przedstawiającego mniej więcej wytwórczość Francyi, sprzedaje się się także po 20 franków i na to też się użalają. Nałóżmy więc cło przywozowe na zboże zagraniczne po 5 franków od cetnara.

Państwo więc drogą administracyi celnej otrzyma (o ile cło nie ma na celu zmniejszenie ilości przywozu) $10 \times 5 = 50$ milionów franków. Lecz społeczeństwo nietylko zapłaci 5 fr. więcej za każdy cetnar zagranicznego zboża, dajmy na to 50 milionów — czyli tyle właśnie, ile państwo otrzymuje — lecz nadto zapłaci 5 fr. więcej za każdy cetnar zboża wytworzonego we Francyi, bo wytwórcy francuscy starać się będą oczywiście sprzedawać zboże swe po tej samej cenie, co zagraniczni, więc $80 \times 5 = 400$ milionów franków. To znaczy razem wziąwszy, że cła ochronne przyniosą 50 milionów fr. państwu, a 400 milionów fr. krajowym wytwórcom, lecz będą kosztować konsumentów 450 milionów.

Jest to argument rozstrzygający przeciw cłom przywozowym i systemowi ceł ochronnych, który, mimo wszystkich wysiłków ze swej strony, nie zdołał nigdy go odeprzeć.

Odpowiadają na to zwykle zapewnieniem, że cła przywozowe płacą wytwórcy zagraniczni i że ceny towaru przywiezionego nie zwiększają się. Przyjmując nawet na chwilę, że odpowiedź ta opiera się na słusznych podstawach, należałoby ztąd wysnuć zatem wniosek, że skoro ceny się nie zmienią, narodowy przemysł nic na tem nie zyska i do krytyk, które dopieroco przytoczyliśmy przeciw cłom opiekuńczym, należałoby dodać ostatnią i bardziej jeszcze rozstrzygającą, że *są bezskuteczne.*

Lecz z drugiej strony, choćby mogła odpowiedź ta znaleść pewne uzasadnienie w niektórych wypadkach, to nie można jej przyjąć w zasadzie. Skutkiem prawa dobrze znanego w nauce o podatkach pod nazwą prawa odbicia, każdy podatek, płacony przez producenta lub kupca, zwraca się zwykle na jego towar i odbija się na konsumencie. Daleko prędzej zajdzie ten sam wypadek przy obcokrajowym wytwórcy. Jakżeż bowiem zresztą można przypuszczać, aby kraj jakiś miał zdolność przerzucenia całości lub części swych podatków na zagranicę? Przypuszczając nawet, że ma tę możność, jasnem jest, że każdy kraj spieszyłby się, by z niej korzystać ze swej strony, nakładając swe podatki na zagranicę, a tak żaden nie miałby ztąd korzyści.

V.

Dlaczego należy wyżej cenić system premii?

Dochodzimy zatem do tego przekonania, że jeżeli państwo uważa za potrzebne w pewnych okolicznościach popierać narodowy przemysł, nie powinno się uciekać do systemu ceł przywozowych, lecz do systemu o wiele prostszego i bardziej otwartego *premii* — bądźto w postaci poręczenia dochodu, bądź nawet w postaci bezpośrednich subwencyi.

System ten w istocie nie przedstawia żadnych z tych niekorzyści, które zaznaczyliśmy jako konieczne następstwa systemu ceł przywozowych:

1. Można go stopniować dowolnie w miarę tego, o ile zachodzi rzeczywista potrzeba ochrony z pominięciem innych, którzy jej nie potrzebują. Zarzuci ktoś, że to będzie zbytnia dowolność — lecz system ceł ochronnych jest równie dowolnym i to dowolnym ślepo, podczas gdy ten jest nim rozumnie.

2. Nie stanowi tamy dla zagranicznego handlu i pozwala na pełny rozwój przywozu i wywozu, bo nie podnosi ceny wytworów.

3. Nie hamuje wcale produkcyi, bo nie zwiększa ceny surowców i kosztów produkcyi, lecz przeciwnie je zmniejsza.

Prawdą jest, że zapewniając przemysłowi narodowemu pewne bezpieczeństwo, może sprzyjać zbytnio rutynie — lecz jest to ciemna strona każdego systemu ochrony, ale premie przynajmniej można ustanawiać pod pewnemi warunkami, wytwarzającemi bodźca dla popieranej gałęzi produkcyi.

4. Wreszcie co najważniejsze, system ten nie rości sobie pretensyi większych, niż na to zasługuje, wyznaje on otwarcie, że jest ofiarą nałożoną na kraj dla dobra publicznego. Nie stara się wcale o dwuznaczność, publiczność wie, że płaci za tę ochronę, a nawet zna cenę, którą płaci. Również można uważać za pewne, że państwo środków tego rodzaju chwyci się tylko w miarę jasnej, oczywistej korzyści, a w każdym razie nie poza przewidziany przypadek, ani oznaczoną granicę. To właśnie stanowi wyższość ekonomiczną i moralną tego systemu. Lecz ta właśnie okoliczność mało zachęca protekcyonistów i rzadko żądają jego zastosowania: jest to system zanadto przeźroczysty. Dotychczas system premii wprowadzono we Francyi w postaci premii od handlu morskiego, tak dla budowy, jak żeglugi i słusznie przeniesiono je nad opłaty okrętowe.

W państwach nowo powstałych zdarza się dość często, że rząd zaręcza pewien dochód kapitalistom od kapitałów, włożonych w to lub owo przedsiębiorstwo przemysłowe.

VI.

O kilku zdrobniałych naśladownictwach systemu ochronnego.

Od lat kilku wytworzyło się stronnictwo, które zamiast żądać ogólnej ochrony, domaga się przynajmniej *wzajemności* odnośnie do celnych taryf. System ten nosi w Anglii nazwę *fair trade* w przeciwieństwie do *free trade*.

Jeżeli jednak chcemy w tem widzieć teoryę naukową — w takim razie nie ma ona racyi bytu. Jeżeli system ceł ochronnych jest dobry, zdaniem rządu — należy go więc zastosować; jeżeli uważa się go za zły, należy go odrzucić; lecz czy kraje sąsiednie przyjmują go, czy nie, jest to ich sprawa, nie nasza. Bezwątpienia, jeżeli Europa wytwory amerykańskie okłada cłami — zadaje cios Stanom Zjednoczonym, lecz zadaje go także sobie, a szkoda, którą wyrządziliśmy sąsiadowi, nie wynagrodzi nam żadną miarą szkody, którą wyrządzamy sobie sami.

Drugi system pośredni nosi nazwę *ceł wyrównawczych (compensateurs)*. Twierdzi on, że skoro dany kraj ponosi większy ciężar podatkowy, niż obce, powinien dla wprowadzenia równowagi w konkurencyi obciążyć wytwory zagraniczne cłami, stanowiącemi równoważnik ciężarów, ponoszonych przez krajowców.

Rozumowanie to opiera się w całości na zasadniczej myśli, że cła opłacają producenci zagraniczni. Jeżeli, jak to staraliśmy się udowodnić, myśl ta jest czystem złudzeniem i jeżeli cła w rzeczywistości spadają w postaci podniesienia cen na krajowców, to okaże się w pełnem świetle cała dziwaczność tego t. zw. wyrównania, które pod pozorem załatwienia sporu nakłada podwójny ciężar na barki bardziej obciążonego.

Lecz, jeżeli chcemy poprostu obciążyć obce towary opłatami w równej wysokości z ciężarami, które ponoszą te same wytwory wewnątrz kraju, nikt nie wystąpi przeciw tej zasadzie skarbowej równości.

ROZDZIAŁ VII.

Kredyt.

I.

Czynności kredytowe.

Zamiana, choćby najdoskonalej urządzona, pozostaje zawsze urządzeniem, które nie zdoła uczynić zadość wszystkim potrzebom obrotu, chcąc bowiem zyskać jakiś przedmiot w drodze zamiany, trzeba być w możności dać w zamian równowartość — tymczasem nie każdy jest w stanie dać takową. Łatwo bowiem zrozumieć, że byłoby to bardzo uciążliwem, gdyby każdy, potrzebujący mieszkania, musiał kupić dom. Ztąd powstała konieczność wprowadzenia innej formy obrotu, zbliżonej do zamiany, a jednak różniącej się od niej, t. j. *pożyczki* w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Dzięki tejże, mogę dostać tymczasowo jakiś przedmiot i używać go przez pewien czas, pod tym tylko warunkiem, że temu, kto mi go pożycza, dam wynagrodzenie, odpowiednie do przeciągu czasu, przez który z jego przedmiotu korzystałem. Wynagrodzenie to zwiemy, stosownie do poszczególnych przypadków, *czynszem dzierżawnym*, *czynszem najmu* lub *procentem*. Nie tu miejsce do zastanawiania się, czy wynagrodzenie to jest godziwem i słusznem, czy nie, z kwestyą tą spotkamy się dopiero, omawiając rozdział dóbr.

Wszelako słowo „kredyt“ ma w potocznej mowie bardziej ograniczone znaczenie, nie oznacza ono pożyczenia jakiegobądź przedmiotu, n. p. ziemi, domu, lecz wyłącznie pożyczenie jakiejś sumy pieniężnej. Tłumaczy się to głównie tem, że pieniądz w jakiemś społeczeństwie jest tą formą, w którą przyobleka się głównie kapitał, więc pożyczka kapitału przedstawia się zazwyczaj, jako pożyczka pieniężna. Tem też więcej zaznaczyć należy, że pożyczka pieniężna

przedstawia typ odrębny, różniący się zasadniczo od pożyczki ziemi lub domu. Jej cechą charakterystyczną jest to, że biorący pożyczkę nie mógłby z rzeczy pożyczonej ciągnąć korzyści inaczej, jak tylko pod warunkiem, że mu wolno będzie takową zniszczyć i zużyć. I tak: ten, kto pożycza kapitał w formie worka talarów, jakikolwiekby chciał z nich zrobić użytek, musi oczywiście wypróżnić worek aż do ostatniego grosza; również ten, kto pożycza wór zboża, czy to w celu zasiania go, czy zjedzenia, musi je zużyć, jużto rzucając je w ziemię, jużto mieląc w młynie [1]).

Otóż ta właśnie cecha powoduje przy konktrakcie, o którym mówimy, ważne zmiany tak odnośnie do dającego, jak i bioracego pożyczkę.

1. Co do wypożyczającego najpierw, to on narażony jest na bardzo znaczne ryzyko. Kiedy bowiem ten, kto wynajmuje dom lub wydzierżawia ziemię wie, że takowa zostanie mu oddaną po skończeniu się dzierżawy, i że się tak wyrażę, nie traci jej z oczu przez cały czas trwania dzierżawy — to przeciwnie ten, kto wypożycza drugiemu rzecz zamienną, wie, że rzecz ta zostanie całkowicie zużytą stosownie do swego przeznaczenia [2]). Prawda, że on spodziewa się i liczy na przedmiot równej wartości, który ma w zamian otrzymać, ten jednak ostatecznie jeszcze nie istnieje, lecz ma być dopiero w tym celu wyprodukowany — a wszystko, co ma nastąpić w przyszłości, jest już tem samem niepewne. Ustawodawcy starali się usilnie o ochronę wierzyciela przed wszystkiemi niebezpieczeństwami, a sposoby zabezpieczenia,

---

[1]) Ta cecha charakterystyczna nie jest pieniądzom tylko właściwa, lecz odnosi się do wszystkich rzeczy, które w znaczeniu prawnem uznane są za znikome, t. j. niszczejące, ginące przy jednorazowem użyciu.

[2]) Prawnicy rzymscy zrozumieli to bardzo dobrze, że rzecz dana jako *mutuum* (pożyczka) zostaje tem samem pozbytą (alienowaną) — w przeciwstawieniu do rzeczy danych w *commodatum*, które zostają tylko użyczone. To też po upływie terminu pożyczki dłużnik nie był obowiązany oddać tę samą rzecz, bo ta już nie istniała, lecz dać wierzycielowi na własność rzecz taką samą równej wartości.

które w tym celu wprowadzili, stanowią jeden z najważniejszych działów ustawodawstwa cywilnego — należą tu: poręczenie, hipoteka, solidarność zobowiązania i t. d. Niemniej jednak potrzeba zawsze pewnego zaufania i dobrej wiary ze strony wierzyciela, w tem też leży przyczyna, dla której ten rodzaj pożyczki oznacza się specyalnie nazwą „kredyt“ — która już swoim etymologicznym pierwiastkiem wskazuje na pewne zaufanie *(creditum, credere, croire)*.

2. Co do biorącego pożyczkę, to nie jest on obowiązany tak, jak dzierżawca lub najmobierca, zachować rzecz sobie pożyczoną i utrzymywać ją w dobrym stanie, by ją módz oddać w oznaczonym czasie. On musi po wyciągnięciu z niej korzyści, t. j. po zużyciu, starać się, by za pomocą tego zużycia wyprodukować z niej przedmiot równej wartości na zaspokojenie wierzyciela w należytym terminie. Musi więc wszelkich dołożyć starań, by wyzyskać, użyć to dobro w sposób jak największą korzyść przynoszący. Jeżeli był zmuszony zużyć je nieprodukcyjnie, n. p. bezpośrednio na własne potrzeby lub choćby tylko z jakiegobądź powodu nie udało mu się wyprodukować dobra co najmniej o równej wartości z pożyczonem, to grozi mu upadek. To też w historyi wszystkich krajów i czasów spotykamy prawdziwą martyrologię dłużników, których kredyt przyprowadził do upadku. Produkcya na kredycie oparta jest więc nieskończenie więcej niebezpieczną, niż wszystkie te jej sposoby, któreśmy dotąd poznali i może oddać rzeczywiste usługi tylko w społeczeństwach bardzo rozwiniętych.

Jedni twierdzą, że kredyt różni się od zamiany tylko tem, iż ma za przedmiot nie poszczególne towary, lecz wyłącznie kapitały. Zdanie to jest słuszne, wiemy bowiem, że jako kapitał uważać należy wszystkie dobra, które zostały użyte na produkcyę nowych dóbr. Skoro zaś czynności, które omawiamy, wymagają produkcyjnego użycia dobra pożyczonego, więc można powiedzieć, że dobra, będące przedmiotem pożyczki, są lub powinny być uważane za kapitał. Tem też gorzej dla dłużnika, któryby był tak nierozważnym, że przeznaczyłby je na zaspokojenie osobistych potrzeb, zapoznałby

bowiem ideę tego kontraktu i to sprowadziłoby też nań ruinę. Inni upatrują różnicę między kredytem a zamianą w tem, że kredyt nie polega na wymianie dwóch dóbr już istniejących, lecz na nabyciu dobra przyszłego za dobro już obecnie istniejące. Zdanie to też jest uzasadnione, bo, jakeśmy widzieli, wierzyciel daje swój przedmiot, by w zamian za niego otrzymać w dniu płatności długu rzecz, której jeszcze nie ma, która ma dopiero być wytworzoną w ciągu tego czasokresu. Ta sama różnica zachodzi, jak zobaczymy, między procentem a eskontem. Jest jednak jeszcze inny rodzaj czynności kredytowych, zajmujący wybitne miejsce pośród czynności handlowych, a znany pod nazwą *sprzedaży na kredyt* (na termin ściśle oznaczony). Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że sprzedaż na kredyt jest tylko zwykłą sprzedażą — więc konsekwentnie powinnaby być zamieszczoną w rozdziale o zamianie. Tak jednak nie jest, bo kupujący nie daje nic w zamian za dostarczony sobie towar, — prawdopodobnie z tego powodu, że nie ma w tej chwili gotówki na zapłacenie — więc tylko uznaje się dłużnym wartości otrzymanej tak, jak biorący pożyczkę [1]), a spodziewa się, że potrafi wyprodukować tę wartość przed terminem płatności i tym sposobem znajdzie się w możności zapłacenia. Ta więc czynność posiada wybitnie cechę przed chwilą określoną: zamiany dobra teraźniejszego za dobro przyszłe.

Takie są zasadnicze czynności kredytowe.

II.

Papiery kredytowe.

Ten rodzaj czynności wymaga już wyższego stopnia rozwoju. Jeżeli bowiem jest korzystnem dla dłużnika, że może w drodze pożyczki lub kupna na kredyt uzyskać kapitał do

[1]) Jakto? — mógłby ktoś powiedzieć — przecież dłużnik płaci odsetki, a ten, kto zawiera kupno z dostawą, nie płaci ich?

dyspozycyi na pewien przeciąg czasu, to znów przeciwnie dla wierzyciela byłoby to wielce uciążliwem, gdyby był zmuszonym obchodzić się bez tego kapitału przez ten sam przeciąg czasu. Przemysłowiec musi codzień robić zakupna i płacić robotników, on więc tylko wtedy będzie się mógł utrzymać, jeśli będzie w stanie ustawicznie zasilać, odnawiać swój kapitał, który mu jest potrzebny do prowadzenia przedsiębiorstwa. Lecz jeśli sprzeda swe produkta na kredyt — więc nie za gotówkę — to zdawałoby się, że nie potrafi utrzymać nadal swego przedsiębiorstwa. Cóż więc ma zrobić? Czy nie możnaby tego tak urządzić, żeby jednym i tym samym kapitałem mogły dwie różne osoby, t. j. biorący i dający pożyczkę, dowolnie rozporządzać? Zaiste tak — doprowadzono do tego i właśnie kredyt spełnił to, na pierwszy rzut oka, niemożliwe zadanie. Wierzyciel lub sprzedawca na kredyt otrzymują, w zamian za ustąpiony przez się kapitał, papier wartościowy, t. j. dokument o różnej formie, jak n. p. weksel własny lub przekazowy i t. p. — i dokument ten posiada pewną wartość, którą można jak każdą inną sprzedać. Gdy więc wierzyciel chce mieć na nowo do rozporządzenia swój kapitał — to poprostu tylko sprzedaje swój papier wartościowy.

Dwie główne formy papierów kredytowych są następujące:

1. *Weksel własny* brzmiący: Za trzy miesiące od daty zapłacę Pawłowi, lub na jego zlecenie, sumę 1000 fr. Wartość otrzymałem w towarach. 1 Sierpnia 1890. Podpisano: Piotr.

2. *Weksel przekazowy* opiewający: Za trzy miesiące od dnia wystawienia zapłacisz Jakóbowi, lub na jego zlecenie, sumę 1000 fr. Wartość otrzymano w towarach. 1 Sierpnia 1890. Podpisano: Paweł.

Zarzut ten jest niesłuszny. Cena przy kupnie — sprzedaży z terminem oznaczonym jest zawsze wyższą, niż przy kupnie za gotówkę — a ta nadwyżka, która się zwie eskontem, stanowi właśnie procent od kapitału pożyczonego kupującemu.

Weksel własny, osobisty, jest poprostu zobowiązaniem się do zapłaty, uczynionem przez dłużnika na korzyść tego, kto mu udziela kredytu. Zawilszą jest forma wekslu przekazowego; jest to polecenie zapłaty, wystosowane przez wierzyciela do dłużnika i to polecenie uskutecznienia zapłaty nietylko samemu wierzycielowi, ale i osobie trzeciej. Dzięki tej właśnie formie swojej, używane są weksle przekazowe głównie do uskutecznienia wypłat z miejsca na miejsce, lub z kraju do kraju.

Każda czynność kredytowa powoduje powstanie jakiegoś papieru kredytowego. W społeczeństwach o wysoko rozwiniętym handlu i przemyśle te czynności kredytowe są nadzwyczaj liczne, a to z tego powodu, że każdy towar zostaje zwykle sprzedany trzy lub cztery razy, a że każda taka sprzedaż jest na termin, więc daje początek papierowi kredytowemu.

To też w takich krajach, jak Francya lub Anglia, obiegające papiery kredytowe przedstawiają poważną sumę wartości około dziesięciu miliardów franków, a suma ta przewyższa sumę wartości największej nawet grupy towarów, bo papiery te przedstawiają wartość zasobu towarów, w obrocie się znajdujących.

III.

Czy kredyt stwarza nowe kapitały?

W społeczeństwach nowożytnych kredyt tak się rozwinął i takiego nabrał znaczenia, że zaczęto mu przypisywać nadzwyczajne własności. Wskutek tego, że mówiono ustawicznie o wielkich majątkach, powstałych przy pomocy kredytu, i zrobiono spostrzeżenie, że największe dziś przedsiębiorstwa przemysłowe oparte są na kredycie, nabrano też stanowczo tego przekonania, że kredyt jest jednym z czynników produkcyi i może tak dobrze, jak ziemia i praca, wytwarzać nowe dobra.

Jest to jednak tylko czyste złudzenie. Kredyt nie jest czynnikiem, lecz tylko jednym ze sposobów produkcyi taksamo, jak zamiana lub podział pracy, a to wielka różnica. Polega on, jak widzieliśmy na przenoszeniu dóbr, kapitału z jednych rąk do drugich — a przenosić to jeszcze nie to samo, co wytwarzać. To też kredyt nie stwarza nowych kapitałów równie, jak zamiana nie stwarza towarów.

Błędne to przekonanie popierał fakt istnienia kredytowych papierów wartościowych. Widzieliśmy, że kapitał wypożyczony zastępują u wierzyciela pozbywalne papiery tej samej wartości. Z tej też przyczyny często przypisywano pożyczce tę cudowną własność, że z jednego robi dwa kapitały: mianowicie *a)* dawny kapitał 10.000 franków, który został przeniesiony drogą pożyczki w obce ręce, i *b)* nowy kapitał, również w wysokości 10.000 fr., który reprezentują znajdujące się w moich rękach papiery wartościowe. Ze stanowiska podmiotowego wychodząc, papiery te w istocie są kapitałem, przynajmniej są nim dla mnie, lecz nie są nim dla społeczeństwa, boć jasnem jest, że papiery te nie mogłyby być zrealizowane, gdyby nie znalazł się ktoś taki, ktoby zechciał w zamian za nie oddać mi kapitał, posiadany przez siebie w pieniądzach lub towarach. Papier ten więc nie jest sam przez się kapitałem, on tylko umożliwia mi uzyskanie innego kapitału w miejsce tego, którym już obecnie swobodnie rozrządzać nie mogę.

Zresztą oczywista, że jakikolwiek chciałbym użytek zrobić z posiadanego papieru, czybym go chciał użyć na zaspokojenie swoich potrzeb, czy na produkcyę — to zawsze muszę wymienić ten papier na jakiś przedmiot do konsumcyi lub produkcyi służący, który już istnieje na targu, temi bowiem przedmiotami *in natura* będę żył, lub za pomocą nich produkował, a nie za pomocą świstka papieru [1]).

[1]) M. *Macleod* zyskał rozgłos jako główny obrońca tezy, że papiery kredytowe stanowią dobra realne, są kapitałami rzeczywistemi. Twierdzeniem tem dowodzi on tylko wielkiej konsekwencyi w swych wywodach, bo wychodzi z założenia, że dobrem jest wszystko, co ma wartość zamienną. Skoro zaś papiery

Choć więc kredyt nie współdziała przy produkcyi w tem znaczeniu, by tworzył nowe dobra i kapitały, to jednak oddaje on jej ogromne usługi przez to, że:

1. Umożliwia jak najlepsze spożytkowanie istniejących kapitałów.

Większa zapewne część kapitałów leżałaby zupełnie bezczynnie, gdyby kapitały nie mogły przechodzić z jednej ręki do drugiej i gdyby każdy człowiek sam był zmuszonym używać produkcyjnie kapitałów, jakie posiada. W każdem cywilizowanem społeczeństwie jest wielu takich, którzy sami nie potrafiliby ciągnąć odpowiednich korzyści ze swoich kapitałów. Tutaj należą:

a) ci, którzy mają za dużo kapitału. Z chwilą bowiem, kiedy majątek przekroczy pewną miarę, właściciel nie jest więcej w stanie, za pomocą osobistej pracy, zużytkować go odpowiednio, — pominąwszy już tę okoliczność, że zazwyczaj w takim razie nie ma najmniejszej ochoty sam się tem trudzić.

2. Ci, których kapitał jest znów zbyt mały. Robotnicy, wieśniacy, służący, którzy trochę grosza zebrali, nie umieliby

---

kredytowe posiadają bezsprzecznie wartość zamienną, powinny więc być zaliczone do dóbr. Taka jednak definicya dóbr jest niewłaściwą — bo, gdyby każdy papier kredytowy, t. j. każda wierzytelność stanowiła dobro realne, to wystarczyłoby do zdwojenia zasobów całej Francyi i podniesienia ich z 200 na 400 miliardów, by każdy Francuz pożyczył cały swój majątek swemu sąsiadowi.

M. Macleod kładzie główny nacisk na to, że papiery te są przecież co najmniej dobrami przyszłemi. Bezwątpienia — lecz właśnie dlatego, że są przyszłemi, nie mogą przydać się na nic i nie mogą iść w rachubę. Będzie je można brać pod uwagę dopiero w dniu, kiedy powstaną — bo właśnie na tem polegać będzie zawsze cała różnica między dobrami teraźniejszemi a przyszłemi, że podczas kiedy pierwsze już istnieją, to drugich jeszcze niema; a tu tymczasem żyć i produkować można tylko za pomocą dóbr już istniejących, a nie dopiero spodziewanych. W przeciwnym wypadku należałoby przy spisie ludności Francyi wliczyć — jako przyszłych członków społeczeństwa — także wszystkich tych, którzy przyjdą na świat w ciągu najbliższych dwudziestu lat!

sami tego mikroskopijnego kapitału produkcyjnie użyć, a tymczasem wszystkie te kapitały razem zebrane mogą wynieść miliardy.

c) Wreszcie ci, którzy ze względu na swój wiek, płeć lub zatrudnienie, nie mogą sami osobiście zatrudnić swoich kapitałów w handlu lub przemyśle: jak górnicy, kobiety, osoby poświęcające się zawodom liberalnym, n. p. adwokaci, lekarze, wojskowi, duchowni i wszelkiego rodzaju urzędnicy.

Z drugiej jednak strony nie brak znowu takich przedsiębiorców, wynalazców, rolników, a nawet robotników, którzyby mogli bardzo korzystnie użyć kapitałów — gdyby je posiadali, lecz na nieszczęście ich nie mają. Kredytowi więc mamy do zawdzięczenia, że kapitały mogą dostawać się z rąk tych, którzy nie mogą lub nie chcą produkcyjnie ich używać, do rąk tych, którzy potrafią to uczynić, przysparzając korzyści i każdemu z nich i krajowi całemu. W ten sposób więc w kraju takim, jak n. p. Francya, wydobywa się ze schowków kapitały, na miliardy się liczące, chroni się je przed nieproduktywną konsumcyą i zatrudnia w drodze kredytu.

2. Kredyt pobudza do większej oszczędności.

Gdyby bowiem nie było widoków znalezienia przy pomocy kredytu korzystnej lokacyi dla uzbieranych oszczędności, to wielu osobom, szczególniej z pośród wyż wymienionych, brakłoby bodźca do zbierania kapitałów, a to właśnie dla braku sposobności do ich wyzyskania [1]).

3. Zmniejsza zapotrzebowanie gotówki

Zastanawialiśmy się już obszerniej nad wpływem kredytu w tym kierunku, więc nie wracamy już do tego.

---

[1]) Kredyt odgrywa wogóle tę samą rolę w odniesieniu do kapitału, co zamiana w odniesieniu do wszystkich dóbr. Widzieliśmy, że zamiana wprawdzie nie tworzy nowych dóbr, przenosząc je z rąk jednej do rąk drugiej osoby, jednak prowadzi do ich lepszego użycia, a tem samem pobudza do większej produkcyi.

IV.

Banki.

Widzieliśmy, że zamiana towarów byłaby bardzo utrudnioną bez współdziałania pośredników, jakimi są kupcy. Również obrót kapitałów byłby prawie niemożliwy, gdyby nie było pośredników, których zwiemy *bankierami*.

Bankierzy są kupcami, jak wszyscy inni, tylko, kiedy inni handlują towarami, to bankierzy pośredniczą w obrocie kapitałów, reprezentowanych bądź przez papiery kredytowe, bądź przez gotówkę. Pierwsi kupują papiery w celu odsprzedaży i zarabiają na tem, starając się zakupić papiery wartościowe po możliwie najniższej cenie, a sprzedać po możliwie najwyższej. Drudzy znów pożyczają sami pieniądze od jednych osób, by je dalej wypożyczać innym osobom i znajdują zarobek swój w tem, że zaciągają pożyczkę na niższy procent, a udzielają jej na wyższy. To są dwie zasadnicze czynności bankierskie — zaciąganie i udzielanie pożyczek, a ponieważ te pożyczki zostają zaciągane we formie depozytów, a udzielane dalej przez banki we formie eskontu — stąd pochodzi nazwa ogólna *„banki depozytowo-eskontowe“*.

Istnieje jeszcze trzecia forma czynności bankowych, odmienna od dwóch poprzednich, choć polega także na pewnego rodzaju pożyczce. Czynnością tą jest *emisya biletów bankowych*. Czynnością tą jednak nie trudnią się wszystkie banki — owszem jest ona zwykle dozwoloną tylko poszczególnym bankom uprzywilejowanym, zwanym dlatego *„bankami emisyjnemi“* [1]).

Rozbierzmy dokładniej te pojedyncze czynności po porządku.

---

[1]) Historya banków wiąże się ściśle z historyą handlu już od średnich wieków i każdy nowo utworzony wielki bank jest nową stacyą i zapowiedzią dalszego rozwoju handlu. Najdawniejsze z nich powstały w rzeczachpospolitych włoskich: w Wenecyi (1156?) Genui (1407). Kiedy w handlu pierwszorzędne miejsce

V.

Depozyta.

Pierwszą, przedwstępną czynnością bankierską jest pozyskanie kapitałów. Może wprawdzie bankier tak dobrze posługiwać się swemi własnemi kapitałami, jak i temi znacznemi sumami, które zebrać można drogą spółki — a które w naszych wielkich zakładach kredytowych dochodzą nieraz setek milionów. Jednakowoż, gdyby bankier mógł obracać tylko kapitałami własnemi, a nawet kapitałami spółki całej — to i sam miałby bardzo niewielkie dochody i społeczeństwu oddawałby niewielkie usługi z powodów, które zaraz poznamy. Potrzeba zatem, by mógł w swem przedsiębiorstwie rozporządzać pieniądzmi wielkiej liczby jednostek, t. j. żeby w tym celu od nich te kapitały pożyczył. Otóż, w jakiej formie należy mu tej pożyczki udzielić? Nie nadaje się do tego pożyczka długoterminowa (renta, obligi, akcye), za pomocą której państwo, miasto lub nawet jakieś przedsiębiorstwo przemysłowe zyskuje kapitały od osób, chcących je gdzieś ulokować. Ta forma pożyczki wymaga bowiem opłacania procentów zawysokich, by bankier mógł jeszcze sam zyskać coś na tej czynności. To, czego bankier potrzebuje od ogółu, to są kapitały obrotowe, ruchome, spoczywające jako gotówka w kieszeni lub w szufladzie biórka. W każdym bowiem kraju spoczywają w ten sposób znaczne kapitały, które na razie nie mają żadnego jeszcze przeznaczenia, leżą bezczynnie, nie przynoszą żadnego dochodu i czekają tylko chwili, w której

---

zajęła Holandya, powstaje słynny wielki Bank amsterdamski (1609), a wkrótce po nim także w Hamburgu i Rotterdamie. Nakoniec założenie Banku angielskiego w roku 1694 wskazuje chwilę, od której Anglia zapanowała wszechwładnie nad handlem wszechświatowym. Bank francuski występuje na widownię dopiero bardzo późno, bo z początkiem XIX wieku, nie liczymy bowiem banku, który założył w r. 1716 Law, a którego smutny koniec znany jest każdemu.

zostaną użyte. Bankier zwraca się więc do ogółu: „Powierzcie mnie te kapitały na ten czas, dokąd nie znajdziecie dla nich zatrudnienia, będę je wam przechowywał i oddam na pierwsze żądanie, skoro ich tylko zapotrzebujecie. Przez ten czas zaś będę wam płacił pewien mały procent n. p. 1, 1½ lub 2% [1]). Będzie to zawsze więcej, niżby one u was przynosiły, bo u was leżałyby bez żadnego użytku — a nadto nie będziecie potrzebowali troszczyć się o nie i strzedz ich. Jeśli zechcecie, będę nawet spełniał czynności waszego kasyera — będę odbierał w waszem imieniu i na wasz rachunek wasze dochody, spieniężał wasze kupony i płacił waszych dostawców stosownie do danego mi zlecenia — co wszystko będzie dla was bardzo dogodnem“.

Tam, gdzie podobną propozycyą publiczność wysłucha i przyjmie, mogą bankierzy łatwym sposobem zgromadzać w swem ręku znaczne kapitały, ściągając gotówkę, która jest rozsypaną w obiegu, podobnie jak dreny odprowadzają zbyteczną wodę z całego gruntu [2]). Kilkakrotnie już wspomnieliśmy, że na przykład w Anglii nie trzymają ludzie bogaci gotówki u siebie, lecz składają wszystkie fundusze u bankiera. Jeśli zaś wypadnie im płacić dostawcy lub wie-

---

[1]) Bank mógłby nie płacić nawet żadnych odsetek. Niektóre banki n. p. Bank francuski i angielski nie płacą ich też zupełnie w przekonaniu, że i tak oddają niemałe usługi tym, którzy u nich pieniądze składają. Widocznie mają słuszność, kiedy mimo to otrzymują ogromne sumy w depozyt. Co więcej, niektóre banki depozytowe, a mianowicie te dawne banki, któreśmy wyliczyli, kazały jeszcze swoim deponentom płacić sobie pewien procent jako wynagrodzenie za przechowywanie.

Jednak większość banków dzisiejszych płaci zazwyczaj lokującym kapitały pewien mały procent, głównie w celu ściągnięcia zapomocą tej premii możliwie największej liczby depozytów. Naturalnie premia ta jest znacznie wyższa, jeśli składający zobowiąże się nie odbierać swego kapitału przez pewien przeciąg czasu — przez 6 miesięcy, rok lub 5 lat.

[2]) Dziennik towarzystwa statystycznego londyńskiego z września 1884 szacuje na 63 miliardów sumę depozytów w ten sposób zebranych przez banki całego świata (z tego 24 miliardów przypada na Anglię wraz z jej koloniami).

rzycielowi, to odsyłają go poprostu do bankiera, by ten ich spłacił i wręczają im równocześnie zlecenie zapłaty, napisane na karteczce, wydartej z ząbkowanej książeczki na ten cel przeznaczej: karteczka ta zwie się *„czekiem“*. Zwyczaj powyższy zaczyna się rozpowszechniać również po innych krajach [1]).

VI.

Interes eskontowy.

Skoro bank uzyskał kapitał pod korzystnemi dla siebie warunkami, to następnie chodzi o to, w jakiej formie ma on rozpożyczać go szerszym warstwom społeczeństwa. Bankier nie może udzielać pożyczek długoterminowych jak n. p. pożyczki hipoteczne, lub udzielane w formie długu obligacyjnego, — nie powinien bowiem zapominać, że kapitały te zostały mu dane tylko w depozyt, że więc jest obowiązany je zwrócić zaraz na pierwsze wezwanie. Dlatego też powinien wdawać się tylko w interesa krótkoterminowe, któreby nie pozbawiały go możności rozporządzania niemi, jak tylko na krótki przeciąg czasu — pozostawiając mu je zawsze pod ręką i na oku. Pytanie jednak, czy istnieje forma pożyczki, któraby czyniła zadość tym wymaganiom?

Jest jedna, która im odpowiada w zupełności. Jeżeli kupiec, sprzedawszy — stosownie do zwyczaju handlowego — swój towar na kredyt, zapotrzebuje gotówki przed nadejściem terminu zapadłości dla jego pretensyi, udaje się do bankiera. Ten wypożycza mu sumę, jaka się kupcowi należy za sprzedane na kredyt towary — sobie zaś odciąga od niej małą kwotę, stanowiącą jego zarobek. Nadto każe sobie ustąpić w zamian za sumę wypożyczoną tę pretensyę, jaką ma ku-

---

[1]) *Czek* nie jest właściwie papierem kredytowym; jest to tylko zlecenie zapłaty z funduszu, który bankier powinien mieć zawsze w pogotowiu w kasie na potrzeby swoich klientów.

piec do tego, komu sprzedał towary, — a więc odnośny weksel. Bankier zachowuje ten weksel u siebie aż do dnia jego płatności — wtedy przedstawia go do zapłaty dłużnikowi — i w ten sposób odzyskuje na nowo kapitał, dany naprzód kupcowi. Czynność ta zowie się eskontem.

Jest to rodzaj pożyczki — w rzeczy samej bowiem bankier, który w zamian za weksel na 1000 fr. za 3 miesiące płatny, daje kupcowi 985 fr. i odbiera te 1000 fr. w dniu płatności od pierwszego dłużnika, znajduje się w tem samem położeniu, jakby wypożyczył te pieniądze na przeciąg trzech miesięcy na 6%, a nawet nieco wyższy procent. Jest to zaś zawsze pożyczka krótkoterminowa, bo weksle, nabywane przez bankierów, są płatne w terminie, który wogóle dochodzi najwyżej do trzech miesięcy. Kupcy przecież nie zawsze są w tem położeniu, by sprzedawali weksle zaraz nazajutrz po dniu ich wystawienia, owszem nieraz zatrzymują je przez pewien czas u siebie, a nawet zdarza się i to, że je pozbywają dopiero w ostatnim dniu przed ich płatnością. W banku francuskim wynosi czas, przez który przeciętnie leżą weksle w portfelu wekslowym banku 40 do 45 dni. Jest to więc bardzo krótki przeciąg czasu, na który bankier pozbywa się gotówki danej mu w depozyt, skoro przeciętnie po upływie krótkiego czasu sześciu tygodni wszystkie pieniądze wracają znów do kasy. To też trudnoby było znaleść inną formę pożyczki, któraby w wyższym stopniu zaspakajała wszystkie wymogi depozytu. Wystarczy więc, żeby żądania zwrotu depozytów rozdzieliły się na czasokres mniej więcej sześciu tygodni — a wtedy bankier, dzięki ustawicznemu przypływowi gotówki do swej kasy, będzie mógł zaspokoić wszystkie te żądania. Trudno jednak przypuścić, by żądania te zwrotu depozytów były tak liczne, przynajmniej wśród stosunków normalnych.

Niemniej jednak należy pamiętać, że bankier narażony jest na pewne niebezpieczeństwa. Gdyby bowiem wszyscy deponenci zmówili się i zażądali w jednym i tym samym dniu wszystkich swoich pieniędzy, to bank z wszelką pewnością nie byłby w stanie wszystkich zaspokoić, skoro ich

pieniądze w tej chwili obiegają po całym świecie. Wprawdzie będzie się starał oddać je jak najprędzej, ale zawsze ostatecznie zachodzi ta różnica między kapitałami oddanemi w depozyt, a danemi jako pożyczka drogą eskontu, że kiedy zwrotu pierwszych można zażądać natychmiast, bez terminu lub zwłoki, to drugich można się domagać dopiero z nadejściem pewnego terminu — a różnica ta wystarczy do sprowadzenia w danej chwili upadłości.

Czyż więc to niebezpieczeństwo — tylko wyjątkowo rzeczywiście zajść mogące — ma powstrzymać banki od obracania kapitałami u nich deponowanemi, a za to skłonić je do przechowywania takowych bez uszczuplania, jak rzeczywisty depozyt, na wzór dawnych banków Wenecyi lub Amsterdamu? Zapewne, że nie — wszyscyby bowiem ucierpieli na tem bardzo.

1. W pierwszym rzędzie ci, którzy pieniądze w banku złożyli, boć oczywista, jeżeli bankier ma przechowywać ich pieniądze w swej kasie, nie tykając ich wcale, trudno mu pomyśleć nawet o płaceniu od nich odsetek, — owszem on sam kazałby sobie je opłacać za swą troskę o ich przechowanie. Lepiej więc wyjdzie na tem deponent, jeśli zgodzi się na zwłokę kilkudniową przy odbieraniu złożonej gotówki, niż gdyby przechowywał w banku pieniądze bez żadnej korzyści, lub musiał jeszcze płacić za to przechowanie.

2. Społeczeństwo całe także, bo społeczne zadanie banków polega na gromadzeniu kapitałów, rozrzuconych i bezczynnych i zamienianiu ich na czynne i produkcyjne. Spełnienie zaś tego zadania stałoby się niemożliwem oczywiście od dnia, kiedyby bank nie mógł swobodnie rozrządzać swemi depozytami. To też i banki nie wahają się ciągnąć korzyści z powierzonych sobie kapitałów, a troszczą się jedynie o to, by był w ich kasie pewien zasób gotówki na zaspokojenie mogącego się zdarzyć żądania zwrotu.

Z góry nie można podać stosunku, jaki winien zachodzić między wysokością zapasu gotówki w kasie, a wysokością depozytów. Każdy bank powinien mieć pod ręką tem więcej gotówki, im słabszy jest jego kredyt, im więcej ma

znacznych depozytów u siebie, nadto winien zwiększać zapas gotówki w chwilach handlowych przesileń, w razie zbliżania się chwili emisyi rent lub obligów — jednem słowem z nadejściem okoliczności, z których może wnosić, że deponenci zapewne zażądają swych pieniędzy.

Zresztą eskont nie jest jedyną formą, w której banki mogą spożytkować swe kapitały. One wypożyczają te kapitały także:

1. w formie *lombardowania papierów wartościowych*, t. j. biorąc w zastaw papiery i starając się tylko o to, by suma pożyczona była niższą od wartości papieru. Te zaliczki na papiery stanowią n. p. jedno z najobfitszych źródeł dochodu Banku francuskiego;

2. w formie kredytu, który otwiera bank dla swoich klientów. Jeżeli bank pozostaje z nimi *w rachunku bieżącym*, to może im pozwolić pobierać ze swej kasy więcej, niż oni tam złożyli, co równa się oczywiście udzieleniu im pożyczki. Jednak skoro ten rodzaj pożyczki otwartej *(à découvert)* — jak go zowią — jest dość niebezpieczny i nie daje żadnego zabezpieczenia, niektóre banki odmawiają takowego. Statuty n. p. Banku francuskiego zabraniają go stanowczo.

VII.

Emisya biletów bankowych.

Leży to w interesie bankiera tak, jak każdego kupca, zwiększyć, o ile się tylko da, rozmiary swego przedsiębiorstwa, — bo z ich podwojeniem, podwoi się i jego dochód. Cóż więc ma robić w tym celu?

Dla bankiera trudność cała nie polega zazwyczaj w znalezieniu odpowiedniego umieszczenia dla posiadanych kapitałów, znajdzie bowiem zawsze dosyć takich, którzy gotowi są przyjąć je w formie pożyczki. Wystarczy, by tylko zniżył stopę dyskontową, a będzie mógł eskontować tyle weksli, ile tylko zechce.

Kto jednak chce wypożyczać drugim kapitały — ten przedewszystkiem musi je sam mieć. W tem też właśnie spoczywa cała trudność, o wiele bowiem łatwiej znaleść takiego, któryby wziął, niż takiego, któryby dał na pożyczkę swój kapitał. Trzebaby, żeby ogół złożył swe kapitały w depozyt, a on tymczasem może właśnie niezbyt się z tem kwapi.

Gdyby bankier posiadał sztukę stwarzania kapitałów w formie gotówki, nie potrzebując czekać cierpliwie, aż mu ją publiczność zechce przynieść — to oczywiście nicby mu już nie stało na przeszkodzie w powiększaniu bez końca swoich czynności.

Otóż bankierzy [1]) wpadli na ten genialny pomysł zamieniania papieru w kapitał, którego im potrzeba, a to przez wydawanie prostych przyrzeczeń zapłaty, t. zw. *not* lub *biletów bankowych*. Jak doświadczenie wykazało, sposób ten postępowania okazał się skutecznym, bo osiągnął w zupełności cel zamierzony.

W zamian za przedstawiony do eskontu papier handlowy bank nie daje gotówki, ale swój banknot. Lecz mógłby się kto zdziwić, że publiczność przystaje na tę zmianę. Oto kupiec przychodzi zeskontować weksel na 1000 fr. i otrzymuje zań poprostu inny papier kredytowy, bo banknot na 1000 fr. Cóż mu potem? On potrzebuje gotówki, a nie wierzytelności, bo jeśli idzie o tę ostatnią — to czyżby nie wolał zatrzymać nadal tę, którą już miał? Otóż pamiętać należy, że choć banknot nie jest w rzeczywistości niczem innem, jak równym wekslowi papierem kredytowym, to jednak przedstawia on wierzytelność o wiele dogodniejszą.

Banknot wyróżnia się stanowczo od weksli i innych papierów kredytowych następującemi swojemi cechami charakterystycznemi:

---

[1]) Palmstruch ,założyciel Banku Stockholmskiego w 1656 r., pierwszy miał wpaść na ten szczęśliwy pomysł. Bankierzy włoscy i amsterdamscy puszczali wprawdzie w obieg bilety bankowe, te jednak zastępowały tylko gotówkę w kasie złożoną, były więc tylko pokwitowaniami na odebrane przez bank depozyta.

1. Nie przynosi żadnego procentu tak, jak każdy pieniądz. Jego wartość jest więc zawsze jedna i ta sama, a nie zmienia się w stosunku do większej lub mniejszej odległości terminu płatności.

2. Jest papierem brzmiącym na okaziciela — jak każdy pieniądz — a przeniesienie własności nie jest utrudnione żadnemi formalnościami, ani nie rodzi odpowiedzialności indosataryusza.

3. Jest on płatny za okazaniem *(à vista)*, a więc kiedy tylko zechcę, podczas gdy papiery handlowe płatne są dopiero w pewnym dniu oznaczonym.

4. Jest zawsze wymagalny, a inne papiery kredytowe ulegają przedawnieniu.

5. Opiewa na jakąś równą, zaokrągloną sumę, odpowiadającą istniejącemu systemowi monetarnemu, na 50, 100 lub 1000 franków, przeciwnie zaś inne papiery kredytowe, będąc wynikiem czynności handlowych, opiewają zwykle na jakąś kwotę nierówną, nieokrągłą.

6. Wreszcie wydaje je i podpisuje jakiś znany bank, n. p. Bank francuski, którego firma budzi powszechne zaufanie, nawet w osobach nie zajmujących się bezpośrednio interesami pieniężnemi. Inaczej ma się rzecz z nazwiskami osób, podpisanych na wekslu. Zazwyczaj są one znane tylko tym, którzy pozostają z nimi we wzajemnych stosunkach. Nadto zauważyć należy, że nikt nie troszczy się w tak wysokim znów stopniu o wypłacalność dłużnika, gdy idzie o przyrzeczenie zapłaty, przechodzące tak bezustannie z rąk do rąk, jak banknot, jakby się musiał o wypłacalność tę troszczyć, gdyby chodziło o papier, który odpowiednio do swego przeznaczenia ma pozostać dłuższy czas w naszem posiadaniu, n. p. renty, obligi. Ten jednodniowy wierzyciel nie potrzebuje wchodzić w to, czy wystawca będzie w przyszłości wypłacalny, ale tylko czy jest nim teraz.

Wszystko to sprawia, że banknoty przyjmuje publi-

czność tak, jakby one w rzeczywistości były gotówką, i że stanowią one pewien rodzaj pieniądza papierowego [1]).

Rozumie się samo przez się, że banki mają ogromne dochody z emisyi banknotów; z jednej strony bowiem zyskują przez nią konieczny środek do rozszerzania swych czynności aż po granice, które im roztropność wskazuje, a które zaraz poznamy, z drugiej zaś strony w formie banknotów zyskują o wiele dla siebie dogodniejszy kapitał, niż w formie depozytów — od tych ostatnich bowiem muszą opłacać od 1 do 2% odsetek, podczas gdy pierwsze mają zupełnie darmo, banki ponoszą bowiem tylko niewielkie koszta druku banknotów.

Nie należy jednak zapominać o tem, że choć ta czynność przynosić może bankom wielkie zyski, to może też sprowadzić na nie wielkie kłopoty. W rzeczy samej bowiem suma not bankowych, będących w obiegu, stanowi dług każdej chwili płatny, bo może być każdego czasu zaprezentowaną do zapłaty, tak jakby pochodziła z depozytów. Wskutek tego więc bank narażony jest odtąd na podwójne niebezpieczeństwo: jest on odpowiedzialnym w razie żądania zwrotu depozytów i żądania wymiany banknotów na gotówkę.

Jeżeli zatem istniała już dla banku konieczność utrzymywania pewnego zapasu gotówki w chwili, gdy miał do czynienia tylko z obowiązkiem zwrotu depozytów, to występuje ona teraz jeszcze w silniejszym stopniu, skoro bank do istniejącego już obowiązku — odnośnie do depozytów —

---

[1]) We Francyi i Anglii bilety bankowe mają *kurs prawny* (walutę zupełną) zarówno z monetą złotą lub srebrną na 5 fr. Nie należy jednak brać tego za jedno, jak się to zwykle zdarza, *z kursem przymusowym*. Banknot ma kurs prawny, jeżeli wierzyciel lub sprzedawca nie może go nieprzyjąć przy wypłatach, zaś kurs przymusowy ma wtedy, kiedy nadto posiadacz banknotu nie ma prawa przedstawić go bankowi do wymiany na gotówkę. Kursem przymusowym objęty jest zawsze i kurs prawny, ale nie na odwrót. W Anglii i Francyi mają banknoty kurs prawny, ale nie przymusowy, — każdy jest obowiązany je przyjąć, — ale też każdy może wymienić je w banku na monetę brzęczącą. W Austro-Węgrzech mają one kurs prawny i przymusowy.

nałożył jeszcze na siebie odpowiedzialność nową, wypływającą z emisyi not bankowych.

Na nieszczęście trudno jest dla banku oprzeć się pokusie, która w postaci większego zysku popycha go do możliwie najwyższego zmniejszenia zapasu gotówki w kasie. Gdyby tak n. p. Bank francuski był bankiem prywatnym, to z całą pewnością jego akcyonaryusze powstawaliby energicznie przeciw trzymaniu dwóch miliardów franków gotówki w kasie i domagaliby się, by ją puścić w obieg czy to za pomocą eskontu, czy jakiejkolwiek innej, dochód przynoszącej, operacyi.

VIII.

Różnica między banknotem a pieniądzem papierowym.

Zdarza się dość często, że niejeden nie rozumie tej różnicy i uważa tak jeden, jak i drugi za pieniądz. Tymczasem banknot posiada trzy właściwości, rzeczby można trzy zabezpieczenia, których nie posiada pieniądz papierowy:

1. Przedewszystkiem banknot jest zawsze wymienny na monetę brzęczącą — na żądanie okaziciela — a pieniądz papierowy nie. Ten ostatni ma wprawdzie formę przyrzeczenia zapłaty pewnej sumy i jest nadzieja, że pewnego dnia państwo, poprawiwszy swe finansowe stosunki, wykupi ten papier, lecz te mniej lub więcej oddalone widoki nie obchodzą zupełnie tego, kto pieniądz taki dostaje i nie ma zamiaru go u siebie zatrzymać.

2. Nadto bilety bankowe wydaje się stosownie do potrzeb obrotu handlowego i wyłącznie tyle tylko, ile obrót ten wymaga, n. p. kwotę równą sumie wekslowej (mniej dyskont), przedstawionej do zeskontowania. Pieniądz papierowy zaś wydaje rząd w celu pokrycia swych wydatków, to też emisya ta nie ma innych granic, ani hamulca, jak potrzeby finansowe państwa w danej chwili.

3. Jak już sama nazwa wskazuje, banknoty emituje bank jakiś — a więc instytucya, mająca na oku głównie czynności handlowe, niezależnie od tego, czy ma charakter mniej lub więcej publiczny — gdy przeciwnie pieniądz papierowy puszcza w obieg państwo.

Tem się więc różni banknot od pieniądza papierowego, choć może niekiedy zbliżyć się do niego, utracając w zupełności lub w części podane wyżej swe cechy istotne.

1. Najpierw może niekiedy banknot mieć kurs przymusowy. Znaczy to, że nie można przedstawić go do wymiany na gotówkę — przynajmniej na jakiś dłuższy lub krótszy przeciąg czasu. Zdarzało się to w chwilach przesileń emisyjnych prawie wszystkim wielkim bankom. W tym wypadku pozostają jeszcze dwie dalsze różnice pomiędzy banknotem a pieniądzem papierowym — a szczególniej druga z powyż podanych, mianowicie, że ilość emitowanych biletów nie jest ani nieoznaczoną, ani bezwzględnie oznaczoną w sposób dowolny, ale odpowiada ona zawsze tylko potrzebom handlu. Jest to więc rękojmia poważna.

2. Może się jednak zdarzyć, że banknoty nietylko otrzymują kurs przymusowy, ale nadto nie bywają emitowane na podstawie obrotu handlowego, lecz jedynie w celu udzielenia pożyczki państwu i dania mu możności pokrycia swych wydatków. Wtedy rzecz tak się przedstawia, że państwo, potrzebując pieniędzy, zwraca się do banku, by ten wybił kilkaset milionów biletów i udzielił ich jako pożyczkę państwu, a ono zobowiązuje się zasłonić bank, nadając banknotom kurs przymusowy [1]). Wtedy druga z podanych cech banknotom właściwych odpada, wysokość emisyi nie ma wtedy żadnych innych granic nad potrzeby państwa, a bilety bankowe stają się wtedy nadzwyczaj podobne do pieniądza papierowego.

---

[1]) Takie właśnie stosunki zapanowały w czasie wojny niemiecko-francuskiej w r. 1870. Rząd francuski zaciągnął na kilka zawodów w banku pożyczkę w ogólnej wysokości 1470 milionów franków, lecz począł od tego, że zaraz z początku nadał banknotom kurs przymusowy.

Nawet i wtedy jednak pozostaje jeszcze trzecia z podniesionych różnic, która sama jedna jest w stanie spowodować mniejszą deprecyacyę banknotów w porównaniu z pieniądzem papierowym. To też doświadczenie uczy, że państwa porzuciły myśl bezpośredniego wydawania pieniędzy papierowych, a uciekają się do pośrednictwa banków. Publiczność sądzi słusznie, że bank będzie się opierał, jak się tylko da najdłużej, przesadnej emisyi banknotów, gdyby mu takową chciano narzucić, bo mogłaby ona sprowadzić upadek banku. Zdanie to nie jest pozbawione pewnej słuszności, bo taka instytucya finansowa, pilnując dobra swego, będzie zawsze przezorniejszą i wstrzemięźliwszą, niż rząd lub minister finansów, któremu chodzi tylko o interes skarbu.

IX.

Kurs weksli.

Kasy wszystkich wielkich banków, a przynajmniej tych, które czynności swe rozciągają i na zagranicę, pełne są weksli, płatnych w różnych miejscach całego świata. Przedstawiają one wartość kilku miliardów i są przedmiotem żywego obrotu. Zwą się papierem na Londyn, na New-York i t. p. stosownie do miejsca płatności wekslu.

Bankierzy, którzy takie weksle mają i ich handlem się trudnią, są oczywiście tylko pośrednikami. Należy więc zbadać, od kogo oni te papiery nabywają, a komu je pozbywają.

Od kogóż więc najpierw je nabywają? Od osób, które powstanie tego wekslu spowodowały, od tych, którzy z jakiejbądź przyczyny mają wierzytelności za granicą, n. p. od kupców francuskich, którzy, sprzedając swe towary za granicą, dostali od swoich kontrahentów weksle, płatne przez tych ostatnich w Londynie lub New-Yorku. Jeśli więc taki kupiec francuski zapotrzebuje gotówki wpierw, nim nadejdzie dzień płatności posiadanego przez niego wekslu, lub gdyby mu poprostu było niewygodnie posyłać ten weksel do zapłaty

za granicę, to idzie z tym papierem do bankiera, który papier ten od niego kupuje, czyli go *eskontuje*.

Komuż go jednak bankier dalej sprzedaje? Wszystkim, którzy ich potrzebują, a takich jest bardzo wielu. Weksle takie są bowiem bardzo poszukiwane przez osoby, które mają jakieś wypłaty zagranicą, n. p. przez kupców francuskich, którzy kupili towary zagranicą. Jeśli więc wierzyciel zagraniczny nie chce przekazywać do nich wekslu, to musieliby oni całą sumę dłużną za towary posyłać w gotówce do miejsca zamieszkania wierzyciela, chyba, żeby dostali papier płatny w tem miejscu zamieszkania wierzyciela, bo wtedy mieliby już o wiele dogodniejszy i tańszy sposób umorzenia swego długu.

Zdawałoby się, że papier taki powinien być zawsze po jednakiej cenie sprzedawanym, a to po cenie równej sumie, na jaką papier opiewa. Czyż weksel na 1000 fr. nie powinien mieć zawsze tylko wartość 1000 fr. — ani mniej, ani więcej? Tymczasem tak nie jest, boć rzecz oczywista, że na wartość jego musi wpływać w pierwszym rzędzie stopień zaufania, jakie budzi podpis wystawcy i termin płatności wekslu. Jednak niezależnie od tych tak oczywistych przyczyn fluktuacyi cen weksli, — choćby więc weksel był pewny i płatny za okazaniem — wpływa codzień na wysokość jego ceny, tak, jak i ceny każdego towaru — stosunek podaży do popytu. Zmiany te zwą się *kursem weksli* i bywają notowane wraz z kursami papierów giełdowych w dzienniku giełdowym. Jasnem jest, co należy rozumieć przez podaż i popyt odnośnie do papierów handlowych. Przypuśćmy bowiem, że 1 miliard wynoszą wszystkie wierzytelności, które ma Francya do żądania od zagranicy za wywiezione tam towary lub z jakiegobądź innego tytułu, z drugiej zaś strony długi jej zagraniczne za dowiezione towary dochodzą do 2 miliardów. Wtedy z całą pewnością popyt za papierami przewyższy podaż, bo kiedy ta ostatnia będzie dochodzić do 1 miliarda, to równoczesny popyt do 2 miliardów. Ci więc, którzy będą chcieli nabyć jakiś papier handlowy w celu umorzenia nim swego długu, zaczną się wzajem licytować, a papiery na zagranicę

będą miały tendencyę zwyżkową i tak n. p. za weksel na 1000 fr., płatny w Brukseli lub Rzymie, będzie można wziąć nie 1000 fr., ale 1002 lub 1005 fr. Technicznie wyrażając się powiemy, że weksel stoi wyżej *pari* i przynosi premię [1]).

Gdybyśmy zaś przypuścili wprost przeciwnie, że zagraniczne wierzytelności Francyi wynoszą 2 miliardy — a jej długi tylko 1 miliard, to wtedy papierów byłoby aż za dużo, bo aż do 2 miliardów byłoby ich do zbycia, kiedy na zupełne zaspokojenie popytu za niemi wystarczy 1 miliard. Wielka więc ich ilość nie znajdzie chętnych nabywców i nie będzie można użyć ich inaczej, jak tylko posyłając je za granicę z żądaniem zapłaty. Również bankierzy będą gotowi sami się tem zająć za odstąpieniem sobie papieru poniżej jego wartości nominalnej, a więc za weksel na 1000 fr. na Brukselę dadzą 998, a może tylko 995 fr. — spadnie on *niżej pari*.

We wszystkich tych wypadkach, kiedy w jakimkolwiek kraju n. p. we Francyi papiery na zagranicę stoją wyżej pari, mówimy, że kurs ich jest dla tego kraju — jak w naszym wypadku dla Francyi niekorzystny. Cóż ma wskazywać to wyrażenie, że kurs papierów jest niekorzystny dla kupujących je? Prawda, że jest niekorzystny dla kupujących, ale za to jest przecież korzystny dla tych, którzy te papiery sprzedają — a o tem nikt nic nie mówi.

Otóż wyrażenie to ma nam wskazać to, co i kurs sam, że w takich warunkach wierzytelności, jakie może mieć w danej chwili Francya za granicą, nie wystarczą na wyrównanie, pokrycie jej długów zagranicznych, że więc będzie ona zmuszoną dla pokrycia tej nadwyżki długów posłać pewną ilość gotówki za granicę. Zwyżka więc kursu papierów, czyli podrożenie papierów na zagranicę jest oznaką niezawodną,

---

[1]) Wymaga to osobnej znajomości oznaczania i szacowania tych zmian kursu weksli. Bierze się zwykle jako podstawę do obliczania weksel na 100 jednostek monetarnych — franków, dolarów, rubli, marek, guldenów i bada się, czy weksel taki był sprzedawany poniżej czy powyżej swej wartości nominalnej. I tak weksel na 100 marek na Hamburg ma wartość nominalną 122 fr. — bo 1 marka=1 fr. 22 ct.

przepowiadającą wywóz gotówki — i dlatego też zwie się *„kursem niekorzystnym“*. — Przeciwnie, ilekroć we Francyi weksle na zagranicę stoją niżej pari, mówi się, że *kurs jest korzystny* dla Francyi. Powód tu jest ten sam, spadnięcie bowiem ceny papierów na zagranicę wskazuje, że po zamknięciu wzajemnych rachunków z zagranicą bilans handlowy da wynik dla Francyi korzystny i że nastąpi przypływ gotówki z zagranicy do kraju. Nie należy jednak do tych wyrazów korzystny lub niekorzystny przywiązywać zbyt wiele znaczenia, — wiemy bowiem, że fakt przypływu lub odpływu gotówki z jakiegoś kraju nie jest jeszcze ani tak bardzo smutnym, ani znów tak bardzo korzystnym objawem i że to wszystko może być tylko chwilowe. Jednak dla bankierów ma tego rodzaju położenie wielkie znaczenie, bo jeśli idzie o wysłanie gotówki za granicę, to z pewnością w ich kasach będą tej gotówki szukać; wszystkie więc objawy, które to zapowiadają mają dla nich wielkie znaczenie, nic więc dziwnego, że tak, jak żeglarz obawiający się burzy ustawicznie zwraca swe oczy na barometr, oni zwracają je na kurs weksli.

W każdym razie jednak zaznaczyć należy, że zmiany te kursu weksli zamykają się w znacznie ciaśniejszych granicach, niż zmiany cen towarów zwyczajnych. Wśród stosunków normalnych, prócz wyjątkowych wypadków, które zaraz poznamy, kurs nie odbiega ani zbyt poniżej ani zbyt powyżej pari, a to z dwóch przyczyn:

1. Dlaczego kupiec mający do uiszczenia jakąś należytość za granicą poszukuje weksli? Jedynie dla zaoszczędzenia kosztów połączonych z przesłaniem gotówki; azatem rzecz oczywista, że nie miałby poco kupować tych weksli, gdyby premia, jakąby mu przyszło zapłacić, za nabycie weksli przewyższała koszta przesyłki gotówki. Z drugiej strony również i kupiec, mający wierzytelności za granicą i bankier, będący pośrednikiem przy obrocie weksli, starają się pozbyć tych weksli tylko w celu uniknięcia kłopotów posyłania takowych do zapłaty za granicę i sprowadzania ztamtąd uzyskanej gotówki, ale też znów wolą wybrać tę

ostatnią ewentualność, niż sprzedać ten papier za bezcen. Łatwo więc zrozumieć, że skoro fakt wystawienia jakiegoś wekslu ma jedynie na celu zaoszczędzenie kosztów przesyłania gotówki, wystawianie to nie miałoby więcej racyi bytu, gdyby było dla obu stron uciążliwszem nad samo przesłanie gotówki, czyli wtedy, gdyby zmiany kursu weksli powyżej, lub niżej pari przekraczały koszta transportu. Tymczasem koszta te choćbyśmy wliczyli w nie także ubezpieczenie, są bardzo niewielkie, wskutek czego i zmiany kursu weksli muszą być drobne.

2. Istnieje jednak jeszcze dalszy powód, miarkujący zbytnią różnicę kursu. Przypuśćmy, że cena weksli poszła w górę nad pari tak, że kupiec, mający weksel na 1000 fr. wystawiony na swego zagranicznego odbiorcę może sprzedać go za 1010 fr.; te zatem 10 fr. powiększają niespodziewanie jego zarobek na tej sprzedaży — a on zamiast zarobić n. p. 10%, jak się spodziewał, zyskuje na tym interesie 11%. Ta nadwyżka zysku po stronie tych, którzy wywozili swe towary za granicę, zachęciłaby wielu innych do pójścia za ich przykładem — czyli innemi słowy zwyżka kursu weksli działa tak, jak *premia za wywóz* [1]).

Jednak wskutek wzrostu wywozu pomnaża się też i liczba weksli na zagranicę, bo wywóz daje im początek, a w dalszym ciągu odpowiednio do ogólnych prawideł podaży i popytu cena weksli tych spada ustawicznie, dopokąd nie dojdzie do pari.

Przeciwnie, jeśli papiery stoją niżej pari, to łatwo wykazać, że dla tej samej przyczyny zniżka ta, sprowadzając

---

[1]) Po wojnie r. 1870 wywóz z Francyi wzrósł znacznie w ciągu kilku lat. Dlaczego? Bo ogromne wypłaty, jakie miano do uskutecznienia w Niemczech, spowodowały stałą zwyżkę papierów na zagranicę tak, że wystawiający weksel na zagranicznego dłużnika, miał tak wielki zysk ze samej sprzedaży wekslu, że mógł zadowolnić się już bardzo małym zarobkiem na samym towarze, a nawet sprzedawać go ze stratą. Przyszło więc do wywozu za granicę nie tyle w celu zarobienia na cenie samego towaru, ile raczej na kursie weksli.

za sobą stratę dla kupca wywożącego, spowoduje też i zmniejszenie się wywozu, a potem tem samem zmniejszenie się podaży weksli na zagranicę, póki kurs ich nie podniesie się znów do pari. Wogóle zachodzi tu tylko zwyczajne działanie podaży i popytu, które przez zwiększenie lub zmniejszenie produkcyi stara się cenę towarów utrzymać w równowadze, ilekroć ta wyjdzie po za swój normalny poziom. To tak powszechne prawo podaży i popytu wywołuje tu jednak bardzo zajmujące zjawisko, którego skutki mają bardzo wielkie znaczenie dla handlu międzynarodowego. Ilekroć tylko bilans handlowy jest dla pewnego kraju niekorzystny t. j. jego dowóz przewyższa wywóz, to zawsze wynikająca stąd zwyżka kursu weksli dąży do zmiany stanu rzeczy i do przywrócenia korzystnego bilansu, a to przez powiększenie wywozu a zmniejszenie dowozu. Kurs weksli zatem oddziaływa ustawicznie na kierunek handlu podobnie, jak te regulatory przy maszynach parowych, które starają się utrzymać zawsze szybkość obrotu maszyny na tym samym stopniu — a zmiana o 3 lub 4 centy w kursie weksli wystarczy już do przywrócenia równowagi bilansu dochodzącego kilku miliardów.

Powiedziano wyżej, że w wyjątkowych razach może kurs weksli ulegać dość znacznym, a nawet nieograniczonym zmianom. Zachodzi to mianowicie:

1. Naprzód, jeśli idzie o miejsca bardzo oddalone lub o takie, z któremi komunikacya jest utrudniona — skoro więc koszta przesłania gotówki byłyby bardzo znaczne, więc też i zmiany kursu weksli mogą być bardzo wielkie. Jasnem bowiem jest, że kupiec, któryby miał coś do zapłacenia w Chartum lub Samarkandzie, będzie się czuł szczęśliwym, jeśli dostanie weksel płatny w tem właśnie miejscu, choćby miał zapłacić zań 10 lub 12% nad wartość jego nominalną. Również i wierzyciel, mający weksel płatny w podobnem miejscu, z ochotą pozbędzie go nawet po kursie 10 lub 12% niższym od pari.

2. Przedewszystkiem jednak zachodzą tak znaczne zmiany kursu, nie mające prawie żadnych granic, jeśli weźmiemy pod uwagę weksle na kraj o zdeprecyonowanej mo-

necie. I tak wartość nominalna wekslu sto-rublowego na Petersburg wynosiłaby 400 fr. — bo rubel nominalnie równy 4 fr. Tymczasem, jeśli spojrzymy na kurs weksli, to notowano je w lipcu 1890 r. po 286 fr. — jest to więc niezwykły, bo 30-procentowy spadek kursu. Cóż jest tego powodem? Oto zmniejszenie się wartości monety obiegowej, rubla papierowego w Rosyi, które musiało naturalnie odbić się i na papierach, płatnych w tej monecie.

Dla tych więc nawet, którzy nie znają zresztą wcale stosunków ekonomicznych i finansowych poszczególnych krajów, wystarczy przeczytać tylko kurs weksli, by mogli zdać sobie dokładnie sprawę o położeniu tych państw i poznać, czy one wywożą więcej, niż dowożą do siebie, czy przeciwnie, i czy mają monetę zdeprecyonowaną, — wreszcie jak wielkim jest ten spadek jej wartości.

Zresztą kurs weksli może się podnieść nad pari w tych wszystkich wypadkach, gdzie dłużnikowi z jakiegobądź powodu trudno wystarać się o gotówkę czyto wskutek zmniejszenia się kredytu wogóle, czy wskutek trudności, jakie stawiają banki w eskontowaniu weksli. I tak w czasie, kiedy Francya płaciła miliardy kontrybucyi Niemcom, trudno jej było oczywiście zebrać tak ogromny okup, więc rząd francuski chcąc się uiścić starał się wszędzie o weksle na Niemcy, a nawet na Londyn, by zapłacić w drodze arbitrażu [1]). Tak więc kurs weksli na Niemcy, a nawet na Londyn trzymał się przez dłuższy czas wyżej pari.

---

[1]) *Arbitraż* jest czynnością handlową dość zawiłą. Oto na czem polega. Nie tylko w Paryżu są weksle na Londyn, są one po wszystkich miastach handlowych. Jeśli więc w Paryżu stoją one bardzo wysoko, można ich szukać na innych miejscach, gdzie z powodu odmiennego stanu rzeczy można je będzie taniej zakupić. Tę więc głównie czynność polegającą na zakupnie papierów tam, gdzie one nisko stoją w celu sprzedawania ich tam gdzie stoją wysoko, zwiemy arbitrażem. Charakterystyczną jego cechą jest dążność do ułatwienia wszystkim krajom wypłat przez kompenzacyę. Wysoki kurs papierów w pewnem miejscu wskazuje, że jego długi są wyższe niż wierzytelności, że więc nie będzie ono mogło długów tych umorzyć za pomocą samej tylko kom-

V.

Podnoszenie stopy eskontu.

Bank niejednokrotnie narażony jest na niebezpieczeństwo, że będzie musiał wymienić wielką ilość swych banknotów na gotówkę, zachodzi to szczególniej w czasie wielkich wypłat na rzecz zagranicy. Skoro bowiem wypłaty te nie mogą być uskutecznione w banknotach, lecz tylko w gotówce, więc potrzeba się zwrócić do banku z żądaniem wymiany biletów na monetę brzęczącą.

Jeżeli wskutek niepomyślnych zbiorów zboża, trzeba go będzie sprowadzić z zagranicy np. dwadzieścia milionów centnarów, to już około 400 milionów franków trzeba będzie posłać celem zapłaty do Ameryki lub Rosyi. Bank zaś musi zważać na to, że potrzebną gotówkę — jeśli nie w całości, to przynajmniej w znacznej części będą chcieli kupcy zaczerpnąć z jego kasy. Jakeśmy bowiem widzieli kasy bankowe są zbiornikami, w których gromadzi się większa część kapitałów obrotowych z całego kraju i to w formie gotówki, one też są tem źródłem, z którego czerpie się tę gotówkę w nagłych wypadkach. Położenie to mogłoby się stać dla banku niebezpieczne, gdyby jego zapas gotówki w monecie brzęczącej nie był dość znaczny. Na szczęście kurs weksli jest tą wskazówką, która ostrzega bank o zbliżaniu się tej chwili krytycznej — a to w sposób o wiele pewniejszy, niż barometr żeglarza, a manometr maszynistę. Jeśli bowiem kurs zaczyna być dla kraju niepomyślnym, t. j. papiery na zagranicę zaczynają podnosić się nad pari — to z tego wnioskować trzeba, że o wiele więcej jest takich, którzy mają coś do płacenia zagranicą, niż takich, którzy mają tam jakieś

---

penzaty. Lecz może ono to zrobić przy pomocy papierów, których mu dostarczą z zagranicy osoby trudniące się arbitrażem. One zaś zakupują te papiery w krajach, gdzie na odwrót więcej mają wierzytelności zagranicznych, niż takichże długów, tam bowiem weksle te zagraniczne stoją nisko.

wierzytelności, a skoro w ciągu dalszym wzajemne te rachunki nie dadzą się załatwić za pomocą samej tylko kompenzaty, trzeba więc będzie posłać gotówkę w celu pokrycia tej nadwyżki. Niebezpieczeństwo więc stwierdzono już i bank musi się chwycić środków zaradczych w celu odwrócenia go.

Chcąc uniknąć możliwości pojawienia się w większej liczbie żądania wymiany biletów na gotówkę, musi bank przedsięwziąć kroki potrzebne już to do zwiększenia swego zapasu gotówki, już to do zmniejszenia ilości banknotów znajdujących się w obiegu.

Nie leży wprawdzie w mocy banku podnieść dowolnie zapas gotówki, lecz za to od banku tylko zależy nie puścić ani jednego banknotu więcej w obieg, nie udzielając nikomu pożyczki, ani w formie zaliczki ani w formie eskontu, (widzieliśmy bowiem, że bank za pomocą tych dwóch czynności puszcza w obieg swe banknoty). To zaś wystarcza zupełnie dla osiągnięcia celu. Z jednej bowiem strony wskutek wstrzymania emisyi banknotów, nie powiększa się nadal ta ich ilość, która już jest w obiegu, z drugiej zaś strony codzień wpływa do kasy bankowej znaczna ilość biletów bankowych, zmniejszając równocześnie ich sumę w obiegu, lub znaczna ilość gotówki, która zwiększa jej zapas w kasie banku — a wpływy te do kasy sprowadzają ustawiczne zapłaty wskutek nadejścia terminu płatności weksli znajdujących się w portfelu bankowym.

Ilość banknotów, będących w obiegu można porównać z bieżącą wodą, która odnawia się ustawicznie, wpływając jednym, a uchodząc drugim kanałem. Banknoty puszcza się w obieg drogą emisyi t. j. eskontu, a zostają z obiegu wycofane, powracając do banku drogą bankowego incassa.

Jeśli więc bank wstrzyma emisyę, zostawiając otwarty przypływ do kasy, to oczywiście wszystkie banknoty zostaną wkrótce z obiegu wycofane [1]).

---

[1]) Przypuśćmy, że bank ma w kasie swej weksli kupieckich za 1 miliard, gotówki 1 miliard i wreszcie 2 miliardy

Jednakowoż takie zupełne zaprzestanie udzielania zaliczek i eskontowania byłoby znów środkiem zbyt radykalnym. Z jednej bowiem strony, niszcząc zupełnie kredyt, wywołałoby to ogromne przesilenie w kraju, z drugiej zaś przyprawiłoby bank o wielkie szkody, albowiem, wstrzymując swe czynności pozbawiłby się tem samem dochodu.

Jednak bank może osiągnąć cel zamierzony także w sposób łagodniejszy, zmniejszając tylko sumę udzielanych przez się pożyczek drogą eskontu. Wystarczy więc tylko podniesienie stopy procentowej lub stawianie większych wymagań przy przyjmowaniu weksli, przedstawionych do eskontu, a to przez odmówienie eskontu weksli o zbyt odległym terminie płatności lub o nie dość pewnych podpisach.

Prawda, że środek ten jest mniej przyjemnym dla kupców, a to tem więcej, że wchodzi w zastosowanie właśnie w chwili największego braku pieniędzy i popytu za gotówką i jeszcze bardziej utrudnia jej pozyskanie.

---

banknotów w obiegu. Przy takim składzie rzeczy niebyłby oczywiście w stanie uczynić zadość żądaniom wszystkich, gdyby wszyscy posiadacze biletów bankowych wskutek jakiegoś nieprzewidzianego wypadku zjawili się z żądaniem wymiany banknotów na gotówkę.

Jednak bank, zamiast narażać się na podobne niebezpieczeństwo, zaprzestaje odtąd na przyszłość eskontować. Następstwa tego są takie, że weksle, znajdujące się w posiadaniu banku, jeden po drugim stają się płatnymi i w ten sposób ta suma 1 miliarda ulokowana w wekslach kupieckich wpływa odtąd ustawicznie i najdalej w 90 dniach wpłynie w całości do kasy bankowej. Jakaż więc zaszła zmiana w położeniu? Jeśli zapłacono te weksle gotówką, to w kasie jest 2 miliardy gotówki — tyle właśnie, ile banknotów w obiegu, bank nie potrzebuje więc już niczego się obawiać. Jeśli zaś ten miliard zapłacono banknotami, to zostało ich w obiegu tylko jeden miliard, a ponieważ bank ma właśnie tę sumę gotówki, więc teraz również wolny jest od niebezpieczeństwa. Choćby nawet miliard ten zapłacono w połowie gotówką, a w drugiej banknotami to i tak bank może już być spokojnym, bo jego zapas gotówki wynosiłby wtedy 1500 milionów a ilość banknotów w obiegu także 1.500 milionów, tak samo rzecz się ma i w innych możliwych wypadkach.

Twierdzą nawet niektórzy, że ten sposób postępowania wywołuje sam często przesilenia i zdanie to jest słusznem. Jestto środek drastyczny, lecz mimo to dobry dla tych, którzy się znajdują w podobnem położeniu, a bank rozsądnie urządzony nie powinien nawet wahać się, czy go można użyć w celu obrony swej gotówki (zwie się to „zamknięcie listy“ „serrer l'ecrou“), bo skuteczność jego została już dostatecznie przez praktykę stwierdzoną. Wydaje on dobre owoce nietylko dla banku przez to, że odpiera grożące niebezpieczeństwo, ale sprowadza pożyteczne dla całego kraju następstwa, zmieniając na korzyść jego położenie ekonomiczne.

Weźmy pod uwagę kraj, będący w przededniu wielkich wypłat zagranicą. Podniesienie stopy procentowej dla eskontu (t. zw. dyskonta) ze względu na te mające się uskutecznić wypłaty, zmienia stan rzeczy przez to, że robi kraj wierzycielem zagranicy na znaczne sumy, a to powoduje przypływ gotówki do kraju z zagranicy lub przynajmniej wstrzymuje wysyłanie gotówki z kraju. W istocie taki będzie przebieg rzeczy:

Pierwszym wynikiem podniesienia dyskonta będzie obniżenie wartości wszystkich papierów handlowych. Weksel bowiem na 1000 fr., który przy 3% eskoncie można było sprzedać za 970 fr. teraz, kiedy dyskont wynosi 7%, nie będzie więcej wart, jak 930 fr. — jestto więc obniżenie jego wartości o więcej jak 4%. To też bankierzy, trudniący się w poszczególnych krajach arbitrażem[1]), zaczną z pewnością skupować we Francyi te papiery, dopokąd tylko będą stać tak nisko, a przez to staną się dłużnikami Francyi do wysokości tych sum, jakie każdy z nich obrócił na to zakupno papierów.

Drugiem następstwem będzie zniżka kursu wszystkich papierów giełdowych. Każdy kapitalista wie, że giełda jest bardzo wrażliwą na wysokość stopy eskontu i że jej podniesienie powoduje prawie zawsze zniżkę kursów. Przyczyna leży w tem, że papiery giełdowe (szczególnie tak zwane

[1]) Patrz co do tego przypisek na str. 281.

międzynarodowe, bo notowane na głównych giełdach europejskich) zastępują bardzo często miejsce papierów handlowych[1]), to też muszą dzielić ich losy. Kupiec, który nie może wcale lub bez wielkich strat uzyskać gotówki za swe weksle kupieckie, będzie próbował pozyskać ją za pomocą sprzedaży innych papierów wartościowych. Tak samo zaś jak spadek kursu weksli kupieckich sprowadził popyt za niemi ze strony bankierów zagranicznych, tak też i spadek papierów giełdowych wywoła ich zakupna w większej ilości przez bankierów zagranicznych, czyli znowu zostanie Francya wierzycielką zagranicy odnośnie do znacznych kwot, jakich użyto na te zakupna.

Jeśliby wreszcie to podniesienie dyskonta trwało przez dłuższy czas bez przerwy, to miałoby ono jeszcze ten trzeci skutek, że wywołałoby ogólną zniżkę cen towarów. Kupiec bowiem, potrzebując gotówki, stara się ją pozyskać przedewszystkiem przez sprzedaż weksli kupieckich, które posiada. Skoro to źródło albo się wyczerpie, albo byłoby dlań za kosztowne, zwraca się do papierów giełdowych, o ile je wogóle posiada, a wreszcie, gdy już i to źródło zaczyna się wyczerpywać, to musi wtedy, chcąc uzyskać gotówkę, sprzedać towary, które ma na składzie. I oto ztąd ta ogólna zniżka cen. Zniżka ta wywołuje znowu dalej ten sam skutek, tylko że w większych rozmiarach, bo wywołuje ona zakupna ze strony zagranicy, zwiększa temsamem wywóz z Francyi i robi ją w dalszym ciągu wierzycielką zagranicy.

Wogóle wszystkie te następstwa dadzą się określić w słowach, że podniesienie stopy eskontu wytwarza sztuczny brak gotówki[2]), a wskutek tego wywołuje się ogólną zniżkę

---

[1]) Jeśli kto ma co do płacenia w Londynie to najprostszym sposobem jest postaranie się o weksel kupiecki płatny w Londynie, lecz równie dobrze można się posługiwać w tym celu kuponami renty włoskiej, obligami kolei lombardzkich lub banku otomańskiego i t. p,, które są także płatne w Londynie.

[2]) Nazwaliśmy go sztucznym, jednak odpowiada on rzeczywistemu, lub przynajmniej zaczynającemu się urzeczywistniać brakowi takowej, a mianowicie przez ucieczkę gotówki zagra-

wszystkich papierów i towarów, co bez wątpienia jest złem, lecz to sprowadza znów samo przez się w dalszym ciągu znaczny popyt z zagranicy, a następnie napływ gotówki — i ta właśnie korzyść stanowi środek zaradczy, jakiego potrzeba w tem położeniu.

XI.

Poszczególne rodzaje kredytu.

Trzy szczególnie formy kredy stanowią przedmiot niezliczonych rozpraw i dały początek powstaniu licznych i różnych zakładów — a to: kredyt rolniczy długoterminowy, rolniczy krótkoterminowy i kredyt ludowy.

§ 1. Kredyt rolniczy długoterminowy.

Dzisiaj uprawa roli, jeśli ma być wydatną, wymaga coraz to znaczniejszych kapitałów, właściciele ziemi zaś nie zawsze mają te kapitały, a dla braku ich nie mogą ciągnąć z ziemi takich korzyści, jakieby się osiągnąć dały. Byłoby więc pożądanem i to nietylko dla nich samych, ale i dla dobra całego społeczeństwa, by rolnikom ułatwić nabywanie potrzebnych kapitałów do starannej uprawy roli. To jest właśnie zadaniem kredytu rolniczego długoterminowego, który będąc dobrze urządzonym dostarcza rolnikom potrzebnych na ten cel kapitałów.

Najdawniejszą i najprostszą formą tego kredytu jest pożyczka na hipotekę. Z punktu widzenia wierzyciela posiada ona znaczną wyższość, to też właśnie ta forma jest najwięcej poszukiwaną przez kapitalistów. Wyższość tę stanowi

---

nicę. Leczy się więc jedno złe za pomocą innego zła — odpowiednio do przepisów jednej ze szkół w medycynie: *similia similibus*.

prawie zupełne jej bezpieczeństwo, ziemia bowiem ma wartość, która nie może ani zniszczeć zupełnie, ani być skradzioną[1]).

Ale obok tych stron dodatnich ma pożyczka hipoteczna także i wielkie niedogodności i to dla obu stron: dla dłużnika, bo nakłada nań uciążliwy obowiązek opłacania procentu rzadko kiedy niższego od 5%, podczas gdy poczynione wkłady w gospodarstwie rolnem dają zwykle niższe odsetki, — dla wierzyciela samego, skoro pożyczka hipoteczna daje mu wprawdzie bezpieczeństwo, że kapitał odbierze, ale uniemożliwia mu prędkie odzyskanie na nowo tego kapitału, bo nie tak łatwo będzie mu znaleźć nabywcę na swą wierzytelność, a nadto często już po terminie jej płatności będzie musiał chwytać się ostatecznego środka przymusowego tj. wywłaszczenia dłużnika, które i dla niego samego jest przykre, a dla dłużnika zgubne.

Chcąc zaradzić tym niedogodnościom postanowiono nadać tym wierzytelnościom hipotecznym charakter wierzytelności handlowych. System zwany często, choć niezbyt właściwie „uruchomieniem własności gruntowej“ — został w niektórych krajach wprowadzony w życie z całą znajomością rzeczy[2]). Atoli zauważyć należy, że poprawka ta ma na oku tylko dobro wierzyciela, a nie zmienia w niczem na lepsze położenia dłużnika t. j. właściciela ziemi. Tem też wątpliwszą jest jej wartość, że uwzględnia samych tylko wierzycieli hipotecznych i to w stopniu o wiele wyższym, niż ja-

---

[1]) Sumę pożyczek hipotecznych w całej Francyi obliczono na 13 do 14 miliardów t. j. koło 15—16% ogólnej wartości ziemskiej. Są kraje, w których długi hipoteczne prawie dorównywują wartości własności ziemskiej.

[2]) W Niemczech może właściciel sam wystawiać na swą ziemię papiery hipoteczne, które potem pozbywa w miarę potrzeby na podobieństwo bankiera, wydającego czeki do swej kasy. W Australii na mocy ustawy *Act Torrens* papiery hipoteczne mogą też łatwo być przenoszone. Co do szczegółów patrz liczne dzieła ogłaszane w ostatnich czasach odnośnie do postępowania przy uruchomieniu własności gruntowej (Challamel, Worms i t. d.)

kakolwiek inna forma pożyczki, pozwalając im pozbywać swe papiery w ten sam sposób, jak się pozbywa papiery handlowe — a to sprzeciwia się naturze stosunku, bo papiery hipoteczne muszą zawsze do pewnego stopnia posiadać tę stałość i nieruchomość, która jest właściwą ziemi, będącej podstawą kredytową każdego papieru hipotecznego

Inny, lepszy system polega na zakładaniu specyalnych ad hoc banków zwanych pospolicie *Bankami hipotecznemi lub ziemskiemi*. Banki te są pośrednikami pomiędzy kapitalistami, a właścicielami ziemi, bo pożyczają pieniądze od pierwszych w celu wypożyczania ich drugim t. j. rolnikom. Naturalnie nie robią tego darmo, bez zysku dla siebie, boć przecież to ich pośrednictwo przynosi korzyści obu stronom. Kapitaliści dostają od banku papiery równie pewne, jak papiery hipoteczne, bo oparte również na gospodarstwach ziemskich, ale nadto papiery te prędzej znajdą nabywcę, bo na pokrycie ich nie służy pewna bezwzględnie oznaczona ilość ziemi, ale cały wogóle majątek towarzystwa, — a zazwyczaj jestto jakieś zamożne towarzystwo, które emituje te papiery, to też w obiegu są one stawiane na równi z rentami, akcyami lub obligacyami kolei żelaznych. Właściciele ziemscy zaś odnoszą potrójną korzyść z pośrednictwa banku: 1. pożyczka taka jest długoterminową n. p. 75-cio letnią, 2. zwrot jej dokonywa się zwolna, w sposób prawie odczuć się nie dający w drodze rocznych upłat, 3. wreszcie stopa procentowa jest tu zazwyczaj stosunkowo umiarkowana [1]).

---

[1]) We Francyi istnieje tylko jedno towarzystwo tego rodzaju, bardzo zamożne, używające od 1852 r monopolu a noszące nazwę „Credit Foncier de France“. Towarzystwo to udziela pożyczek na 75 lat. Procent nie jest zbyt nizki, bo około 5%, lecz odsetki te obejmują już w sobie i roczne upłaty obrachowane na umorzenie kapitału w ciągu tych 75 lat w ten sposób, że po upływie tego czasokresu właściciel jest już zupełnie wolnym od długu, płaci więc w rzeczy samej niższy procent, niż ten, jakiby musiał płacić zwykłemu wierzycielowi. Jednak pomimo tych zalet, usługi przez to Towarzystwo oddane rolnictwu,

Nie należy zresztą przeceniać zbytnio użyteczności kredytu rolniczego długoterminowego — jakąkolwiekbyśmy mu formę nadali. Nie stawiamy tego jako regułę absolutną ale sądzimy, że zbytnia łatwość uzyskania pożyczki nie leży znów ani w interesie małych ani wielkich właścicieli ziemskich; może ona jednemu posłużyć do zrobienia majątku, ale w dziesięciu innych wypadkach może się stać przyczyną ruiny. Raczej bylibyśmy więc gotowi oświadczyć się za wprost przeciwnym kierunkiem i zalecalibyśmy przyswojenie sobie tego rodzaju instytucyi, jak „homestead“ Stanów Zjednoczonych, która z jednej strony uniemożliwia właścicielowi ziemskiemu zaciągnięcie na nią pożyczki, z drugiej jednak strony daje mu rękojmię, że ziemia ta utrzyma się w rękach jego i jego rodziny [1]).

§ 2. Kredyt rolniczy krótkoterminowy.

Ten rodzaj kredytu jest na pierwszy rzut oka bardzo zbliżony do kredytu długoterminowego, bo celem jego jest rów-

---

nie są znów tak wielkie, bo choć suma udzielonych przez nie pożyczek dochodzi do poważnej cyfry 3 miliardów, to przecież przeważna część ich użytą została na budowle, a zaledwie może $^1/_4$ część na wkłady w gospodarstwie. To też właściwszą byłaby może dla tego towarzystwa nazwa „Banku budowlanego miejskiego“.

[1]) Na mocy ustawy „Homestead“ może każdy właściciel amerykański, uprawiający swą ziemię, ze skutkiem prawnym ogłosić swój dom z pewnym kawałkiem ziemi naokoło — za nieulegający sądowemu zajęciu. Obszar tego kawałka ziemi jest różny, stósownie do ustaw poszczególnych Stanów. Niekiedy nawet to wyjęcie z pod zajęcia sądowego nie jest pozostawione woli właściciela, ale bezwzględnie przymusowe — i zdaniem naszem tylko w tym wypadku może ono być skutecznem. Rozumie się samo przez się, że właściciel musi wyrzec się chęci uzyskania kredytu, przynajmniej na ten obszar swej ziemi, który ulega prawu „homestead“. Niedawno postawiono wniosek, by taką ustawę zaprowadzić w Anglii i Francyi. Celem jej byłoby oczywiście utrzymanie jak najdłużej drobnej własności ziemskiej.

nież dostarczyć właścicielowi ziemi potrzebnego mu kapitału. Atoli zachodzi między niemi dość wyraźna różnica co do ich celu ekonomicznego i co do charakteru prawnego, jak co do organizacyi zakładów bankowych, które go mają udzielać. Ten rodzaj kredytu może zdaniem naszem oddać o wiele ważniejsze usługi. Zadaniem kredytu krótkoterminowego jest dostarczyć funduszu, potrzebnego właścicielowi nie na pierwsze rozpoczęcie i urządzenie gospodarstwa rolnego, ale na opędzenie bieżących potrzeb produkcyi, więc kapitału obrotowego. Trzeba bowiem pamiętać, że z natury samej rolnictwa wypływa, iż daje ono dochód dopiero z końcem roku a niekiedy nawet po upływie jeszcze znaczniejszego przeciągu czasu, wymaga zaś ustawicznie nowych wydatków. Rolnik potrzebuje więc coraz to nowych zaliczek, których ma mu dostarczyć ten właśnie kredyt krótkoterminowy.

Pokrycie ma pożyczka rolnicza krótkoterminowa nie w ziemi samej, ale w całym kapitale obrotowym rolniczym, można więc na jej zaspokojenie zająć tylko gospodarskie ruchomości, bydło i zboże zebrane. Prawnicy zwą ją pożyczką na ruchomości, nie zaś na nieruchomości.

We Włoszech i Niemczech kredyt rolniczy krótkoterminowy występuje pod formą „towarzystw wzajemnego kredytu“, w których właściciele ziemscy udzielają sobie nawzajem pożyczek, lub korzystają z kredytu, jaki pozyskali wskutek samego faktu zawiązania towarzystwa, a to w celu zaciągania pożyczek od osób trzecich pod korzystniejszemi warunkami. Najsławniejsze z tego rodzaju towarzystw są tak zwane banki Raiffeisen'a, które niezbyt dawno [1]) dopiero powstały. We Francyi przeciwnie nie ma instytucyj, któreby zajmowały się specyalnie udzielaniem kredytu krótkotermi-

[1]) Stowarzyszenia te są w ten sposób zorganizowane, że: 1. ich członkowie nie wnoszą żadnych wkładek do kasy towarzystwa, tworzą się więc takie towarzystwa bez kapitału; 2. nie przynoszą członkom żadnej dywidendy; 3. wszyscy członkowie odpowiadają za długi towarzystwa solidarnie całym swym majątkiem.

nowego rolnikom, choć niejednokrotnie podnoszono myśl ich założenia, w rzeczywistości więc nie ma tu odrębnej formy rolniczego kredytu krótkoterminowego.

§ 3. Kredyt ludowy.

Znane przysłowie: „pożyczaj tylko bogatemu“, znajduje też często zastosowanie w praktyce życia, tymczasem biedni mogą tak samo, a nawet więcej niż bogaci potrzebować kredytu. Jakże go więc dla nich pozyskać?

Cel ten można łatwo osiągnąć za pomocą stowarzyszenia (asocyacyi). Sam jeden rzemieślnik czy rękodzielnik, choćby był jak najuczciwszym i najpracowitszym, nie jest w stanie dać wierzycielowi dostatecznego zabezpieczenia, bo choroba, brak roboty lub śmierć mogą w jednej chwili obrócić w niwecz jego najlepsze zamiary. Gdy jednak ci robotnicy czy rzemieślnicy w liczbie dziesięciu, stu czy tysiąca połączą się w jedną całość, której członkowie w razie potrzeby odpowiadaliby solidarnie za siebie, to wtedy będą dawać zupełne bezpieczeństwo, to też znajdą łatwo kredyt, nie potrzebując mieć żadnej styczności z lichwiarzami. Nadto ich osobiste wkładki, choćby były jak najmniejsze, utworzą z biegiem czasu wskutek ich wielkiej ilości poważny wspólny kapitał, z którego będą mogli sami sobie udzielać pożyczek.

Instytucye takie przedewszystkiem w Niemczech rozwinęły się nadzwyczaj pomyślnie [1]) dzięki inicyatywie Schulzego z Delitzsch, to też tam te banki ludowe, zwane też stowarzyszeniami udziałowo-kredytowemi lub towarzystwami zaliczkowemi — noszą imię swego inicyatora.

---

[1]) Banków ludowych w Niemczech jest przeszło 2000, z tejże liczby jednak tylko 900 (co prawda najznaczniejszych), bilanse są znane. W r. 1887 miały one własnego kapitału 165 milionów frk., a pożyczonego 513 milionów — rozporządzają więc wogóle kapitałem do 700 milionów frk. dochodzącym! One same dostawały pożyczki na 3·81% — a pożyczały swym członkom na 5·55% — a nadto rozdzielały między nich zysk w ten sposób osiągnięty w formie dywidendy.

We Francyi przeciwnie, mimo że nie brak było inicyatywy, banki takie nie mogły się pomyślnie rozwinąć. Atoli w tym wypadku nie ma tak dalece nad czem ubolewać. Wprawdzie instytucya taka może oddać pewne usługi pewnej klasie społeczeństwa, a to małym rzemieślnikom lub kramarzom — wogóle tym, którzy pracują na własny rachunek, ale nie ma co przywiązywać zbyt wielkich nadziei do niej, jeśli idzie o płatnych robotników, więc o wielką masę klasy robotniczej. Odnośnie do tej bowiem wyraz „kredyt ludowy“ jest całkiem źle użytym. Robotnik, jeśli się ucieka do kredytu, to zazwyczaj używa go na potrzeby swe osobiste, a nie na produkcyę; cóż będzie robił innego z tym kapitałem, skoro nie pracuje samodzielnie, na własną rękę? Co najwięcej, to mogłaby taka instytucya pojedyńczym jednostkom z pomiędzy robotników pomódz w pozyskaniu gotówki, potrzebnej im do przejścia ze stanu robotnika płatnego w stan drobnego rzemieślnika [1]).

[1]) Już sam przykład stowarzyszeń kredytowych niemieckich wykazuje to dostatecznie. Właściwi robotnicy stanowią w tych stowarzyszeniach zaledwie 8% ogólnej liczby członków, rzemieślnicy, drobni przemysłowcy, kupcy i kramarze więcej niż 57%, drobni rolnicy 27%; resztę stanowią oficyaliści, czeladnicy, służący i drobni kapitaliści.

Kwestya monopolu i wolności bankowej.

Zachodzi pytanie, czy władza ustawodawcza powinna wywierać wpływ przy zakładaniu i organizacyi banków, szczególniej, jeśli idzie o emisyę banknotów — a jeśli wpływ ten istnieć ma, to w jaki sposób i w jakich granicach powinna go wywierać? Pytanie to więc właściwie rozpada się na dwa oddzielne:

1) Czy prawodawca ma zastrzedz prawo emisyi wyłącznie dla jednego banku jako przywilej, czy też przyznawać je każdemu, kto tylko zechce z tego prawa korzystać? Jest to więc pytanie dotyczące monopolu i wolnej konkurencyi.

2) Czy ustawodawca ma pozwolić bankowi (wszystko jedno czy uprawionym jest jeden bank, czy więcej) na emisyę banknotów w dowolnej ilości i sumie, czy też ma to prawo emisyi poddać pewnym ograniczeniom? Jest to znów pytanie, — czy „zasada pokrycia kruszcowego“ *(currency principle)* czy „zasada bankowa“ *(banking principle)* ma znaleźć zastosowanie.

I.

Monopol czy wolność emisyi banknotów?

W różnych krajach próbowano już i jednego i drugiego i wszystkich pośrednich systemów. We Francyi panuje system

monopolu. Wyłączne prawo emisyi banknotów ma tam powszechnie znany wielki „Bank francuski“ [1]).

W Stanach Zjednoczonych przeciwnie panuje system wolnej konkurencyi; każdy więc bank, byle dopełnił tylko pewnych warunków, o których obszerniej pomówimy — może emitować banknoty. To też jest tam przeszło 2000 banków, które z tego prawa korzystają.

W Anglii istnieje dość zawiły system pośredni. „Bank angielski“ nie posiada wyłącznego przywileju emisyjnego,

---

[1]) „Bank francuski“ jest dziełem Napoleona I, z czasów jego pierwszego konsulatu, który go założył w 1800 r., lecz dopiero od 1803 r. posiada przywilej emisyi banknotów. Początkowo atoli przywilej ten rozciągał się tylko na Paryż i te miasta, gdzieby założono filię, równocześnie zaś w innych miastach główniejszych na prowincyi posiadały ten sam przywilej inne banki. Po 1848 r. wskutek zlania się z Bankiem francuskim wszystkich banków departamentalnych służy Bankowi francuskiemu obecnie wyłączny przywilej, odnawiany już kilkakrotnie w ciągu lat 30 — a mający stracić swą moc obowiązującą w 1897 r. Bank francuski nie jest jednak instytucyą rządową. Jest on towarzystwem akcyjnem, jak inne, tylko zamiast być rządzonym wyłącznie przez akcyonaryuszy, ma gubernatora i wicegubernatora przez rząd mianowanych.

W zamian za przywilej musiał bank przyjąć na się pewne obowiązki.

1) wolno mu eskontować tylko weksle, zaopatrzone trzema podpisami i z terminem nie dłuższym, jak trzechmiesięcznym.

2) Nie może płacić odsetek od swoich depozytów.

3) Może dawać zaliczki na niektóre papiery wartościowe lub sztaby kruszcu, ale nie może udzielać bez pokrycia kredytu tym, którzy zostają z Bankiem w rachunku bieżącym. Wyjątek stanowi państwo. Temu bowiem jest Bank obowiązany dawać pożyczki często nawet bardzo znaczne.

Wszystkie te obowiązki nie wydają się znów tak koniecznemi i prawdopodobnie możnaby je znieść zupełnie bez sprowadzenia przez to złych następstw. Ale zato należałoby nałożyć na Bank jeden ważny obowiązek — a mianowicie, by Bank przypuścił do udziału w swym zysku państwo. To zastrzeżenie współudziału w zyskach istnieje już we Francyi odnośnie do kolei żelaznych, będących własnością towarzystw prywatnych, a odnośnie do banków istnieje w Belgii i Niemczech.

na prowincyi istnieje obok niego kilkaset banków, które także emitują banknoty. Przecież nie jest to już czysty system wolnej konkurencyi, bo ilość banków, mających prawo emisyi, jest ściśle ograniczona. Te tylko banki bowiem posiadają to prawo, które go wykonywały już w 1844 roku. (Jestto rok wydania znanej ustawy o organizacyi banków, normującej te właśnie stosunki. Wydano ją na wniosek ministra Roberta Peel'a). Ponieważ zaś te banki prywatne nie są wiecznotrwałe, więc „Bank angielski“ jest w rzeczy samej niemal wyposażony monopolem, bo liczba banków prowincyonalnych, mających prawo emisyi, zmniejszyła się już znacznie od 1844 roku.

Któryż teraz z tych wszystkich systemów jest najlepszy? Głównym argumentem, jaki przytaczają na poparcie systemu konkurencyi, jest owo twierdzenie klasyczne, że monopol sprowadza drogość, a konkurencya taniość. Twierdzą więc, że, gdyby „Bank francuski“ nie miał monopolu emisyi, to stopa eskontowa weksli byłaby niższą, a tem samem handel i przemysł mogłyby większe odnosić korzyści z kredytu.

Na to można odpowiedzieć, że przedewszystkiem nie wykazał jeszcze nikt w sposób stanowczy, by konkurencya prowadziła koniecznie do taniości, a monopol do drożyzny. Jest to tylko ekonomiczna zasada, która doznaje licznych modyfikacyj, a której prawdziwość w naszym szczególnym wypadku jest co najmniej wielce wątpliwą. Samo doświadczenie nie zdaje się bowiem tego wykazywać, żeby eskont tam miał niższą stopę, gdzie banki są liczniejsze. Nadto należy zauważyć, — że zarzut ten nie ma nic wspólnego z kwestyą, o którą tu chodzi. Pytanie bowiem, czy ma być monopol, czy wolna konkurencya nie dotyczy czynności bankowych wogóle, a tem mniej eskontu. Nikt nie zaprzecza żadnemu bankowi prawa zajmowania się eskontem — więc tu istnieje konkurencya i bez wyraźnego przepisu prawa — i to we wszystkich krajach, np. we Francyi. Tutaj i co do eskontu i co do innych czynności bankowych istnieje dla Banku francuskiego konkurencya, którą rozwijają bez ża-

dnych przeszkód nie tylko bankierzy prywatni, ale i potężne towarzystwa o ogromnych kapitałach.

Pytanie to sporne ma dotyczyć wyłącznie emisyi banknotów, a ta ma większe znaczenie dla całego ogółu, niż dla handlu. To też ten system powinien być uznanym za lepszy, który będzie dawał ogółowi lepszą rękojmię, który będzie w wyższym stopniu zapewniał stałość wartości banknotów. Banknoty są dla ogółu poprostu pieniądzem — gdy idzie o emisyę pieniędzy, to nikt nie zaleca systemu konkurencyi, lecz każdy zastrzega to prawo bicia monety wyłącznie państwu. Zupełnie więc będzie właściwem, jeśli odnośnie do banknotów państwo, skoro samo ich nie emituje, będzie miało prawo przekazać ich emisyę temu wyłącznie bankowi, który będzie posiadał zupełne zaufanie rządu i kraju całego. Ze względu na stałość swej wartości, banknoty „Banku francuskiego“ dały jej dowody, bo w ciągu 90 lat nawet w chwilach najkrytyczniejszych spadały bardzo rzadko niżej pari i to zawsze tylko na bardzo krótki przeciąg czasu. To też brak wszelkiego ważnego powodu do pozostawienia emisyi banknotów wolnej konkurencyi banków — przynajmniej we Francyi.

Zresztą przypuściwszy nawet, że w razie istnienia większej ilości banków emitujących, banknoty nie ulegną żadnej zniżce kursu, to i tak powstanie inna niedogodność mianowicie ta, że banknoty te przynajmniej co do formy zewnętrznej będą różne, chyba żeby dla uniknięcia tej różności banknotów zaprowadzono pewien rodzaj syndykatu banków, jak to jest w Szwajcaryi, lub gdyby państwo wyznaczyło dla wszystkich banków jedną i tę samą formę banknota, jak to zrobiły Stany Zjednoczone. Gdyby natomiast w każdem państwie istniał tylko jeden emitujący bank narodowy, a więc liczba takich banków narodowych byłaby wogóle niewielką, to możnaby się spodziewać, że z czasem może przecież zaprowadzone zostaną banknoty międzynarodowe, które będą miały kurs we wszystkich krajach — a tem samem spełniłaby się oddawna już podnoszona myśl zaprowadzenia pieniędzy wszechświatowych.

II.

Czy ilość emitowanych banknotów ma być dowolna czy ograniczona?

Czy uznamy system monopolu czy wolnej konkurencyi jako słuszny, to zawsze pozostaje nierozstrzygniętem pytanie drugie: czy emisyę banknotów przez te banki (jeden lub więcej) należy zostawić ich dowolności, czy też należy ją jakoś prawnie uregulować? Przedewszystkiem zachodzi kwestya, czy ustawodawca jest w stanie zabezpieczyć wymianę banknotów na gotówkę i czy jest jaki środek, któryby ograniczając bank, dawał równocześnie żądane bezpieczeństwo? Otóż istnieją trzy systemy, z których każdy znalazł już praktyczne zastósowanie w różnych krajach

1) Pierwszy polega na oznaczeniu pewnego stałego stosunku między sumą zapasu gotówki a sumą banknotów, które są w obiegu [1]).

Ten system panuje w „Banku angielskim“ na mocy ustawy z 1844 r. Według tej ustawy Bank angielski nie może emitować banknotów więcej, jak tylko do wysokości łącznej sumy swego zapasu gotówki i swego kapitału zakładowego. Skoro zaś ten kapitał wynosi około 400 milionów franków (16,200.000 funtów szt.) więc też suma emitowanych banknotów nie może nigdy być wyższą od zapasu gotówki o więcej jak o 400 milionów fr. [2]). Tego rodzaju ograniczenia nie możnaby uważać za dostateczną, rzeczywistą rękojmię, gdyby chodziło o inny bank, a nie angielski. W istocie bowiem kapitał banku nie da się tak odrazu, bezpośrednio zrealizować

---

[1]) Jest to tak zwana „zasada pokrycia kruszcowego“ *(currency principle)* w przeciwstawieniu do „zasady bankowej“ *(banking principle)*, którą zaraz poznamy.

[2]) W celu ścisłego przestrzegania tego postanowienia jest Bank angielski podzielony na dwa odrębne oddziały. Jeden z nich zajmuje się czynnościami bankowemi depozytowemi i eskontowemi, a nie emituje żadnych banknotów, drugi zaś zajmuje się tylko

a w naszym szczególnym wypadku jest on prawie że fikcyjnym, bo mają go przedstawiać wierzytelności Banku u państwa (przynajmniej do wysokości 275 milionów fr.). To też wskutek tego banknoty, które może emitować Bank w sumie 400 milionów ponad swój zapas gotówki są poprostu pewnego rodzaju pieniądzem papierowym.

Nadto ograniczenie to w życiu praktycznem, a to szczególniej w chwilach przesileń jest wielce niedogodne. Kilkakrotnie musiano też zawiesić czyli wstrzymać działanie tej ustawy i pozwolić Bankowi na wyższą emisyę. Boć naturalnie skoro n. p. Bank ma 500 milionów gotówki i 900 milionów banknotów w obiegu, to nie może już ani jednego wekslu eskontować. Czemżeby bowiem zapłacił za przedstawiony sobie do eskontu papier? banknotami? — ależ te doszły już do swego dozwolonego maximum 400 milionów, — gotówką, która jest w kasie, też nie, bo gdyby zapas jej zmniejszono na 499 milionów, a równocześnie pozostawiono te 900 milionów banknotów w obiegu, to już odnośny przepis ustawy byłby naruszonym. Tymczasem Bank angielski nie może odmowić eskontu zupełnie, jeśli nie chce sprowadzić upadłości przynajmniej połowy firm angielskich, ustawodawca jest więc zmuszony interweniować w takich wypadkach i znosić to przez siebie samego ustanowione ograniczenie.

Podobny system zaprowadzono i w niektórych innych krajach, w innych znów wolano ustanowić stały stosunek, zazwyczaj stosunek jednej trzeciej części gotowki do sumy emitowanych banknotów. Trudności pozostają w tym razie te same, jeśli nie większe[1]).

2. Drugi system polega na prostem ustanowieniu maximum dozwolonej emisyi.

---

emisyą — a nie może załatwiać żadnych innych czynności bankowych. Ten drugi wydaje pierwszemu w miarę tegoż potrzeb banknoty, lecz skoro mu ich wydał już za sumę 16 milionów funtów, to nie wydaje mu ich już więcej, jak tylko za gotówkę lub za sztaby kruszcu szlachetnego.

[1]) Łatwo przekonać się, że w razie ustanowienia stałego stosunku jak 1 : 3 nietylko eskont, ale i sama wymiana bankno-

System ten jest bez wątpienia więcej elastycznym, niż poprzedni: (jest to właśnie system zaprowadzony we Francyi od r. 1870). Jest on połączony z mniejszemi trudnościami, ale też trzeba przyznać, że daje małą rękojmię, bo i jakież może mieć praktyczne znaczenie ten przepis, że bankowi nie wolno emitować więcej banknotów, jak tylko pewną oznaczoną ilość, skoro on może za to zmniejszyć swój zapas gotówki aż do zera. Gdzież tu więc jest rękojmia dla ogółu?

3. Trzeci system polega na nałożeniu na bank obowiązku dania zabezpieczenia dla emitowanych banknotów w papierach zupełnie pewnych, zazwyczaj w rencie państwowej w wysokości przynajmniej równej emisyi banknotów. Ten system zaprowadzony jest w Stanach Zjednoczonych. Każdy bank musi złożyć państwu jako zabezpieczenie papiery renty państwowej w wysokości wyższej o jednę dziesiątą od wartości nominalnej banknotów, które chce emitować (banknotów tych dostarcza zresztą bankowi rząd — bank sam nie może ich drukować).

System ten jest zapewne dobrym, jeśli idzie o zabezpieczenie kredytu banku w czasach normalnych; lecz w chwilach przesileń, a więc właśnie wtedy, kiedy się największa tego okazuje potrzeba, system ten okazuje się zupełnie bezsilnym. W takich wypadkach kurs wszystkich papierów, a z niemi i rent musi spaść; jeżeli więc bank dla zadośćuczynienia obowiązkowi wypłaty banknotów w gotówce, będzie musiał spieniężyć tę wielką sumę papierów rentowych, którą właśnie musiał złożyć jako zastaw, to tem nie osiągnie zamierzonego celu, nie poprawi swojego położenia, a zniszczy zupełnie kredyt państwa.

---

tów na gotówkę może w danej chwili stać się dla banku niemożliwą. Niechże bank ma stosownie do przepisu 100 milionów gotówki a 300 milionów banknotów — wtedy nie może nawet jednego banknotu wymienić, nie chcąc przekroczyć przepisanego stosunku jednej trzeciej w gotówce z ogólnej sumy banknotów bo 99 nie jest trzecią częścią 299. Sprowadza się więc właśnie to niebezpieczeństwo, którego chciano uniknąć.

Jak się z powyższego okazuje, żaden z używanych systemów nie zdoła dać zupełnej gwarancyi, że bank będzie w stanie wypłacić swe banknoty monetą brzęczącą. Chcąc ten cel z zupełną pewnością osiągnąć trzebaby żądać od banku, by ten utrzymywał w swej kasie zapas gotówki, równy i sumie banknotów w obiegu i sumie depozytów banku. Wtedy wprawdzie bezpieczeństwo byłoby zupełnem, ale też i bank nie oddawałby już społeczeństwu żadnych usług, bo nie obracałby w sposób produkcyjny kapitałami ruchomemi całego kraju, a ograniczałby się tylko do przechowywania ich w swoich piwnicach [1]). Banknoty nie służyłyby wtedy do zaoszczędzania, do uzupełnienia chwilowego braku gotówki, bo byłyby tylko papierem reprezentującym gotówkę w kasie schowaną. Słowem — banki przestałyby wtedy być instytucyami kredytowemi. Kto zatem chce korzystać z dobrodziejstw kredytu, musi pogodzić się z tem niebezpieczeństwem. Chcieć pogodzić dodatnie strony kredytu z dodatniemi stronami obrotu za gotówkę równocześnie, jest to zajmować się kwadraturą koła, jedno wyklucza drugie. Czyż więc należy uznać za słuszną zasadę zupełnej wolności bankowej i pozwolić bankom emitować banknoty według ich własnego uznania i bez żadnego dozoru ze strony państwa, skoro wszystkie ograniczenia w tym kierunku okazały się bezcelowemi conajmniej — jeśli nie uciążliwemi lub niebezpiecznemi nawet? Wielu pisarzy przemawia z tego powodu za wolnością bankową (zasada bankowa), a wywodom ich nie brak pewnej siły przekonywującej.

Główny ich punkt oparcia spoczywa w twierdzeniu, że nie potrzeba się nigdy obawiać przesadnej emisyi banknotów. Obawa ta, jak powiadają, jest zupełnie bezpodstawną, samo już oddziaływanie wzajemne praw bezwzględnych, w dziedzinie ekonomii istniejących, potrafi utrzymać tę emisyę we właściwych granicach, choćby nawet banki chciały tę granicę przekroczyć. Przyczyny tego mają być następujące.

---

[1]) Chyba tylko te niewielkie usługi, że zapobiegałoby się przypadkowemu ginięciu i ścieraniu się monety.

1. Przedewszystkiem banknoty emituje bank tylko na podstawie i z powodu pewnych czynności bankowych, czy to eskontu czy zaliczki na papiery wartościowe. Żeby więc jakiś banknot dostał się do obiegu, nie wystarczy, by sam tylko bank chciał go puścić w obieg, lecz trzeba nadto jeszcze, by ktoś zdecydował się wsiąć go od banku we formie pożyczki. Więc potrzeby ogółu, a nie sama tylko wola banku oznacza wysokość emisyi. Ilość banknotów puszczonych w obieg zależy jedynie od ilości papierów, przedstawionych do eskontu, a znów ilość tych ostatnich od żywszego lub słabszego obrotu dóbr.

2. Nadto banknoty dostają się w obieg tylko na krótki przeciąg czasu — i w kika tygodni po puszczeniu ich w obieg wracają do kasy bankowej z powrotem. To też można o nich powiedzieć: „jak przyszło tak poszło“ *(Le flux les apporta; le reflux les remporte).*

Bank wydaje np. banknot na 1000 fr., eskontując weksel, ale po upływie 40 lub 50 dni lub najwyżej trzech miesięcy dostanie banknot na 1000 fr. z powrotem, skoro przedstawi ten weksel do zapłaty. Wprawdzie banknot nie będzie ten sam może, — ale to rzecz zupełnie obojętna, dość że tyle ich wraca do kasy bankowej, ile ich bank w obieg puścił.

3. Choćbyśmy wreszcie przypuścili, że bank może ich emitować za dużo, to będzie to niemożliwem, by się długo utrzymały w obiegu, bo jak tylko będzie ich w obiegu za dużo, to muszą spaść niżej *pari* — a wtedy znów, choćby ta zniżka była jak najmniejszą — posiadacze banknotów zwrócą się natychmiast do banku z żądaniem wymiany na gotówkę. Wtedy nadarmo będzie się bank silił zasypać kraj banknotami, bo wtedy on ze swej strony będzie niemi zalany.

W tych uwagach tkwi niejedno ziarno prawdy, bo i samo doświadczenie stwierdziło ich słuszność. Banki nie mogą nigdy puścić w obieg więcej banknotów, niż jak tego wymagają potrzeby obrotu. Nie należy się jednak łudzić, że w razie panowania zupełnej wolności co do wysokości emisyi banknotów, nie zajdą nigdy żadne poważne zawikłania nietylko w czasach normalnych, ale także i w chwilach prze-

sileń, które w rozwoju ekonomicznym naszych nowożytnych społeczeństw są coraz częstszemi zjawiskami.

W teoryi prawdziwem jest twierdzenie, że ilość banknotów w obiegu będących zależy od potrzeb ogółu, a nie od woli banku. Tu przecież zauważyć należy, że jeśli jeden z banków zechce pozyskać sobie klientów i robić konkurencyę innym bankom, to będzie mógł zawsze przez odpowiednie obniżanie stopy eskontowej, powiększać prawie bezustannie swe czynności, a tem samem i ilość swej emisyi. Również prawdą jest, że wskutek tej nadmiernej emisyi nastąpi ich deprecyacya, a w ciągu dalszym żądanie, by bank je wymienił na gotówkę, — ale też ten spadek ich wartości nie będzie chwilowym, jeden dzień trwającym, ale może kilkotygodniowym. Wtedy dla banku, który za dużo banknotów emitował, już wszelki ratunek będzie zapóźny — on nie potrafi już zadość uczynić swym zobowiązaniom i zginie zasypany żądaniami swych wierzycieli. Prawda, że on pierwszy zostanie ukarany za swą nieostrożność przez swój upadek, lecz nikt takiej kary nie żądał — boć szło przecież o szczęśliwe przetrwanie chwili krytycznej, a nie o ukaranie za pomocą niej samej jej sprawców.

W tem właśnie tkwi jeden z argumentów, przemawiających za systemem monopolu. Można bowiem snadnie przypuścić, że bank, zajmujący tak wybitne i uprzywilejowane stanowisko w danym kraju, a wzbogacony doświadczeniami z własnej przeszłości, zachowa przy emisyi całą potrzebną ostrożność i rozwagę — a to stanowi jedyną skuteczną rękojmię. Zresztą stwierdza to zapatrywanie historya wszystkich większych banków, a przedewszystkiem banku francuskiego, któremu, jeśli można było co zarzucić w ciągu tych dziewięćdziesięciu lat jego istnienia — to chyba tylko za daleko posuniętą ostrożność, która pozbawiała go możności osiągnięcia niejednej korzyści ze swych czynności [1]). A właśnie Bank francuski

[1]) Były chwile, że zapas gotówki tego Banku przewyższał sumę banknotów w obieg puszczonych. Zazwyczaj emisya banknotów przewyższa ledwie o $^1/_4$ lub $^1/_5$ część sumę inkassa.

nie miał nigdy nałożonych z góry żadnych ograniczeń co do emisyi banknotów. Dopiero od niedawna ustanowiono maximum dla emisyi na $3^1/_2$ miliarda — maximum zresztą czysto teoretyczne, do którego emisya nigdy jeszcze nie doszła [1]).

Przeciwnie, w Stanach Zjednoczonych pod panowaniem systemu wolnej konkurencyi, ustawodawca ścieśnia ustawicznie granicę emisyi. Jakeśmy dopiero widzieli, nie wystarcza, by bank na zabezpieczenie banknotów emitowanych złożył w papierach rządowych sumę wyższą, — ale trzeba nadto, by bank wykazał się pewnym kapitałem, by przynajmniej do wysokości 15% wartości powierzonych sobie depozytów trzymał gotówkę w kasie, by posiadał zawsze pewną sumę w gotówce w kasach publicznych i t. d. Pozostają nam więc do wyboru następujące dwa systemy: albo *monopol z zupełną wolnością co do wysokości emisyi* — albo *wolna konkurencya z surowemi przepisami, ograniczającemi emisyę banknotów*. Tak w jednym, jak w drugim przypadku będziemy zmuszeni pogodzić się z pewnego rodzaju wolnością, lecz, o ile się zdaje, mniej niebezpieczną będzie ona w pierwszym systemie, niż w drugim.

Taksamo bilans z dn. 12 lipca 1890 r. podaje sumę banknotów w obiegu na 2.850 milionów, a gotówkę w kasie na 2.481 milionów.

[1]) Zresztą to maximum pochodzi dopiero z ostatnich lat, nie spotykamy się z niem w statutach Banku, ale wprowadziła je zupełnie niespodzianie ustawa finansowa z 1883 r. Przedtem istniało ono tylko w chwilach przyznania banknotom kursu przymusowego. Ograniczenie to jest raczej skierowane przeciwko państwu, jak przeciw Bankowi. Zaprowadzono je nie z obawy, że Bank gotów zapuścić się w przesadną emisyę, lecz z obawy, by państwo nie żądało od Banku zbyt wielkich pożyczek.

CZĘŚĆ III.

O stosunku produkcyi do konsumcyi.

ROZDZIAŁ I.

Niedostateczność produkcyi.

I.

Wzrost ludności. Prawo Malthusa.

Czy produkcya zdoła zawsze wystarczyć potrzebom? Jest to pytanie dość niepokojące.

Z jednej strony należy pamiętać, że liczba ludzi, według fizyologicznych praw rozmnażania się, ustawicznie wzrasta, a z drugiej, że potrzeby każdego człowieka, stósownie do znanych nam już praw psychologicznych, wzmagają się w większym może jeszcze stopniu. Jest to zadaniem produkcyi ludzkiej zaspokoić ten podwójny wzrost — raz dostarczać coraz to więcej wytworów dla każdego członka społeczeństwa, powtóre dostarczać ich w ilości dostatecznej dla wzmagającej się ustawicznie liczby tych członków. Pytanie więc, czy produkcya będzie zawsze mogła odpowiednio się wzmagać?

Wiadomo, że *Malthus* w swej, znakomitej zresztą, teoryi twierdził, jakoby ludność miała tendencyę wzrastania w stosunku postępu geometrycznego, podczas gdy ilość środków

żywności może się zwiększać tylko w postępie arytmetycznym [1]). Niema się więc co łudzić, by produkcya wzrastała równo z konsumcyą, lecz owszem musi zawsze pozostawać w tyle. Twierdzi on zatem, że równowagę między niemi mogą przywrócić tylko jakieś niezwykłe zaburzenia, wypadki nawiedzające stale ród ludzki, a to: wojny, zarazy, głód, nędza, nierząd i inne klęski straszne, które jednak z tego punktu widzenia przedstawiają mu się w zupełnie odmiennem świetle, jako prawdziwe prawa Opatrzności boskiej. W każdym razie ma jednak nadzieję, że w przyszłości ludzie nauczą się zapobiegać działaniu tych klęsk i robić je nieszkodliwemi, a natomiast sami dobrowolnie ograniczą wzrost ludności. W tym celu zaleca Malthus niezawieranie związków małżeńskich, dopóki się niema dostatecznych środków na utrzymanie rodziny, lub przynajmniej pomnażanie swej rodziny tylko w miarę posiadanych środków utrzymania [2]). Tak więc w kwestyi utrzymania równowagi między środkami do życia a liczbą ludności liczy on o wiele mniej na możliwy wzrost produkcyi, a więcej na dobrowolne ograniczenie wzrostu ludności. Prawie cały już wiek upłynął od ogłoszenia tej słynnej teoryi, a w rzeczywistości dotąd jeszcze nie spełniły się te pessymistyczne przepowiednie Malthusa. Owszem — w niektórych krajach, mimo szybkiego wzrostu ludności, daje się spostrzedz jeszcze szybszy wzrost produkcyi wytworów.

---

[1]) Podwójne to prawo wyraził on za pomocą tej podwójnej formułki, która zresztą miała, stósownie do jego zamiaru, służyć tylko do łatwiejszego zrozumienia jego wywodów, a którą tylko nierozsądni biorą w dosłownem jej brzmieniu:

Wzrost ludności: 1, 2, 4, 8, 16, 32, 64, 128, 256 . . .

Wzrost produkcyi: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 . . .

[2]) Nauka ta o przymusie moralnym (*moral restraint*) doprowadziła w praktyce do czynów wielce niemoralnych, które zdyskredytowały i tę doktrynę i jej autora. Niesłusznem byłoby jednak robić Malthusa odpowiedzialnym za to, bo tak, jak ją stawia Malthus, jest ona wprawdzie bardzo surową, ale zupełnie moralną, możnaby mu tylko z tego robić zarzuty, że nie potrafił przewidzieć smutnych następstw praktycznych swej nauki.

Stopień wzrostu ludności w niektórych krajach cywilizowanych oznaczają zwykle na 1% rocznie [1]), co wywołuje podwajanie się ludności w ciągu 72 lat. Jest to więc zawsze o wiele powolniejszy wzrost, niż Malthus przypuszczał. Prawda, że w niektórych krajach wzrost ten dokonywa się o wiele prędzej — i tak ludność Stanów Zjednoczonych zdwajała się co 25 lat w ostatnich stu latach — a w koloniach Australii w ciągu niespełna dziesięciu lat [2]). Ten atoli niezwykły przyrost ludności polega o wiele więcej na przypływie ludności z zewnątrz kraju, niż na zwyżce urodzeń nad zgony, a więc nie pozostaje w związku z kwestyą, o której tu mowa. Prawda, że i ten na pozór niewielki wzrost ludności 1 na 100 byłby rzeczywiście zastraszający i mógłby usprawiedliwić najgorsze przypuszczenia Malthusa. Przypuśćmy bowiem, że ludność całej ziemi wynosi obecnie 1.500 milionów mieszkańców, gdyby więc wzrastała w stosunku 1 na 100 — to w połowie przyszłego stulecia dosięgłaby cyfry 3 miliardów, a koło roku 2250 wynosiłaby 48 miliardów — a przecież to dopiero 360 latby upłynęło. Wystarczy więc przyjąć nawet o wiele dłuższy przeciąg czasu, by twierdzić z pewną podstawą, że za jakie 800 lat cała ziemia będzie tak zaludniona, jak dzielnice w Paryżu, a za 1200 lat, co w rezultacie będzie stanowić bardzo krótki czasokres w dziejach świata, powinienby przypadać jeden człowiek na jeden metr kwadratowy tak, że ludzie nie mieliby gdzie mieszkać, ani się poruszać.

Niewątpliwie do tego jednak nie dojdzie, lecz jakież są przyczyny, które wzrost ludności powstrzymają? Gdybyśmy je znali, to tem samem znalibyśmy i rzeczywiste prawa wzrostu ludności, tych zaś — przyznać to trzeba — nie znamy. Biologia daje nam jednę wskazówkę w tym kierunku —

---

[1]) W Niemczech, Anglii i Rosyi roczny przyrost ludności wynosi 9, 10 a nawet 13 na 1000, ale w innych krajach jest o wiele niższy. We Francyi jest prawie najniższy, bo wynosi ledwie $2^1/_2$ na 1000. Nie odpowiada to bardzo teoryi Malthusa.

[2]) Wzrost ludności Stanów Zjednoczonych: w 1790 roku było 4 miliony ludności, w 1890 r. 64 milionów.

a gdyby takowa okazała się w rzeczywistości słuszną, to stanowiłaby nową pokrewną gałęź tej nauki. Zdolność rozmnażania się poszczególnych gatunków zmienia się w stosunku odwrotnym do rozwoju, wykształcenia indywidualnego. I tak gatunki niższe rozmnażają się w znacznie wyższym stopniu, szybciej, niż istoty wyżej rozwinięte, — a zwłaszcza niż człowiek. W obrębie zaś rodu ludzkiego, klasy niższe, mniej wykształcone mają wogóle więcej dzieci, niż klasy wyższe. Tak więc prawo to zdaje się utrzymywać i wytwarzać pewien antagonizm fizyologiczny między zdolnością rozmnażania się, a stopniem wykształcenia, to też można przypuszczać, że siła płodności rodu ludzkiego będzie ustawicznie stopniowo się zmniejszać w miarę, jak rozwój umysłowy jednostek będzie się wzmagał.

II.

Granice produkcyi rolniczej.

Prawo obniżającego się przychodu z ziemi.

Teraz poznamy, jak groźnym może się stać wzrost konsumcyi wobec tego, czego po wzroście produkcyi spodziewać się wolno.

Malthus, jak wiemy, przypuszcza, że ilość środków żywności powiększać się może w stosunku postępu arytmetycznego. Zdanie to jednak uznać należy za zbyt optymistyczne. Francya produkuje dziś około 100 milionów hektolitrów zboża, a przed 70 laty t. j. 1821 produkowała go koło 50 milionów [1]). Możnaby więc przypuścić, że za 70 lat produkcya ta podniesie się na 150 milionów, lecz cóż może nas upoważniać do przypuszczenia, że produkcya ta będzie i na-

[1]) Produkcya wzrosła w dwójnasób, raz dlatego, że ilość ziemi uprawianej wzrosła z 4.6 milionów hektarów na 7 milionów, powtóre, ponieważ wydajność jej wzrosła z 10 na 15 hektolitrów z hektara.

dal w przyszłości w takich samych czasokresach wzrastać o 50 milionów.

Przypuszczenie takie byłoby niedorzecznem. Wszak nie ulega wątpliwości, że ilość produkcyi z danego obszaru gruntu da się z góry do pewnego stopnia oznaczyć, bo rolnik nie jest w stanie powiększać w nieskończoność sprzyjających uprawie składników tego gruntu, a choćby nawet mógł tak, jak ogrodnik w swoich inspektach połączyć wszystkie rodzaje sztucznej ziemi, to i tak jeszcze nie byłby w stanie doprowadzić do tego, by jakiś kawałek ziemi wydał jakąś niezmierną ilość kłosów, z którychby znów każdy miał nieskończoną ilość ziarn, ani też nie może choćby o godzinę przyspieszyć czasu ich dojrzenia. Prawa przyrody, oddziaływując w sposób zupełnie od woli ludzkiej niezależny na zaistnienie i dalszy rozwój wszystkich jestestw żyjących, ograniczają też w sposób bezwzględny wszelkie wpływy ludzkie. Każde jestestwo żyjące, czy to zwierzę czy roślina, potrzebuje pewnej przestrzeni, by się przy życiu utrzymać i pewnego przeciągu czasu, by się zupełnie rozwinąć; a te dwa konieczne warunki wystarczają już zupełnie do tego, by produkcyi rolnej nałożyć pewne nieprzekraczalne granice, których w dziedzinie przemysłu — jak to zaraz zobaczymy — nie ma.

Równocześnie atoli przyznać trzeba, że granice te są bardzo obszerne, bo dziś z pewnością nawet najdoskonalszy ze znanych sposobów uprawy spożytkowuje zaledwie małą bardzo cząstkę materyi i siły przyrodzonej, ukrytej w danym kawałku ziemi. Jeśli maszyny parowe są dziś jeszcze tak mało wydoskonalone, że według obliczeń inżynierów spożytkowują zaledwie 7 do 8% całego ciepła, wytworzonego przez spalony w nich węgiel, to z pewnością i ta maszyna, którą zwiemy ziemniaczyskiem, pastwiskiem czy polem zbożowem jest równie mało wydoskonaloną. Gdyby nauka rolnictwa umiała obliczyć, ile ziemia wydaćby powinna w teoryi, to przekonalibyśmy się niezawodnie, że jej rzeczywista wydajność stanowi tylko nieznaczną cząstkę tego.

Okazuje się więc, że rolnik gdyby tylko chciał, mógłby jeszcze zawsze zwiększać przychody z ziemi, tylko że do-

szedłszy do pewnej granicy wydajności ziemi, może ją dalej podnosić jedynie przy pomocy ustawicznego wzrostu pracy, tak, że nadejdzie chwila, w której wszelki wysiłek, wyłożony na powiększenie przychodu, będzie nieproporcyonalnie wielki w stosunku do uzyskanego rezultatu.

Dajmy na to, że hektar ziemi produkuje 15 hektolitrów, co jest prawie przeciętną we Francyi, i że te 15 hektolitrów zboża przedstawiają 100 dni roboczych, albo, jeśli kto woli w ten sposób się wyrażać, 300 franków kosztów, więc według naszego twierdzenia, chcąc na tym samym kawałku ziemi wyprodukować dwa razy tyle zboża t. j. 30 hektolitrów, trzeba będzie zużyć więcej niż 200 dni roboczych — więcej niż 600 franków na koszta uprawy. Chcąc podwoić produkcyę, trzebaby może potroić, może w czwórnasób, a nawet i dziesięćkrotnie powiększyć ilość pracy i wydatków. To właśnie zwiemy *prawem obniżającego się przychodu z ziemi*..

Prawo to potwierdza codzienna praktyka. Proszę się tylko zapytać wykształconego rolnika, czy ziemia jego nie mogłaby dawać przychodu większego nad ten, jaki mu obecnie daje. Na to odpowie: „Z pewnością dałaby. Zbiór byłby o wiele większy, gdybym chciał dawać więcej nawozu, pogłębić orkę, oczyścić ziemię zupełnie z perzu, skopać grunt pod nawóz na wielką głębokość, w razie potrzeby oglądnął każde ziarno z osobna w ręce, nadto gdybym ochraniał troskliwie plony przed robakami, ptakami i wszelkiemi chwastami“. „A dlaczegoż Pan tego nie czynisz?“ „Bobym nie odebrał swoich wydatków — ta nadwyżka produkcyi kosztowałaby mnie więcej, niżby była wartą.“ Istnieje więc przy produkcyi na każdej ziemi pewien punkt równowagi, którego się nie przekracza, nie dlatego, żeby go nie można przestąpić, ale dlatego, że się nie chce go przekroczyć, bo nie miałoby się w tem żadnej korzyści.

Inaczej, gdyby to było możliwem tak zwiększać bezustannie produkcyę na danym kawałku gruntu, zwiększając tylko proporcyonalnie ilość pracy i kosztów uprawy, to niejeden właściciel ziemi by to zrobił, i zamiast brać pod uprawę

to większe to mniejsze obszary, skupiłby tę uprawę na jednym małym kawałku, boby mu to było o wiele wygodniej. Wtedy też ziemia wyglądałaby zupełnie inaczej, jak dzisiaj. Tymczasem sam fakt, że tak nie robią — ale owszem biorą pod uprawę ciągle coraz gorszą ziemię lub mniej dogodnie położone obszary, dowodzi jasno, że w rzeczywistości można z danego kawałka dostać tylko pewien oznaczony przychód.

Ogrodowy, warzywny sposób uprawy daje większy dochód z ziemi, ilość płodów wzrasta tutaj o wiele szybciej, niż przy prowadzeniu gospodarstwa wyłącznie zbożowego lub chodowli bydła, to też może wydać znaczniejszą ilość środków spożywczych. Prawdopodobnie tedy ten rodzaj uprawy będzie przeważał w przyszłości, i cała Europa za kilkaset lat, będzie się przedstawiać tak, jak dziś przedmieścia Paryża lub innych wielkich miast. Kraje zamorskie będą wtedy odgrywać tę samą rolę, co dziś prowincya, dostarczając zboża i mięsa. Taka uprawa ogrodowa wymaga jedynie wielkiej ilości rąk pracujących i nawozu, a ludność, która wtedy będzie o wiele gęściej skupioną, będzie mogła lepiej zadość uczynić tym wymogom. Wtedy też przy pomocy ziemi inspektowej, sztucznego ciepła nagromadzonego w cieplarniach, a może nawet i sztucznego światła elektrycznego, będzie można produkować na każdym prawie kawałku ziemi rośliny spożywcze.

III.

Granice produkcyi w innych działach przemysłu.

Są gałęzie przemysłu jeszcze więcej przez przyrodę upośledzone, w których nietylko, że nie można spodziewać się ustawicznego wzrostu produkcyi, ale nawet utrzymania jej w przyszłości na tym samym stopniu wydajności, co dzisiaj. Należy tu przemysł górniczy. Z kopalni dobywa się tyle węgla, ile go tam jest, ale z czasem go tam zabraknie. Dziś

już Anglia z trwogą oblicza ilość ton węgla, jaka jej jeszcze pozostała do zużycia.

Tutaj należy jeszcze wymienić inne gałęzie przemysłu, zaliczane zwykle do produkcyi surowców, jak polowanie, rybołowstwo i przemysł leśny. Polowanie, które zajmowało tak wybitne miejsce w życiu ludów pierwotnych, dziś wykreślone zostało z listy gałęzi produkcyi w krajach cywilizowanych, bo przestało dawać dochód, któryby się opłacał, mimo surowych przepisów administracyjnych. Nawet w okolicach tak odludnych, jak pustynie Afryki lub oba bieguny, stają się dla myśliwych coraz większą rzadkością słonie, strusie, bobry, wydry i wieloryby. Dziś już narzeka bezustannie ludność okolic nadmorskich, że w wodach nadbrzeżnych nic już nie ma i że na połów ryb muszą puszczać się na pełne morze, a więc używać silnie zbudowanych statków. Ostatecznie, gdyby nie interwencya ustawodawcza, to dziś w Europie zupełne zniszczenie i wycięcie lasów — a tem samem brak drzewa budulcowego byłyby już faktem dokonanym.

Zresztą te działy produkcyi mają przynajmniej tę właściwość, że możemy do pewnego stopnia odwrócić od nich grożącą im zagładę przez zmianę sposobu postępowania. Zamiast polować na strusie możemy je hodować, zamiast w drodze połowu możemy mieć ryby przez zarybianie, zamiast karczowania można zaprowadzić regularne, systematyczne wyręby i zalesiania; a więc znaczy to tosamo, co w miejsce produkcyi prowadzącej do zupełnego wyczerpania, wprowadzić produkcyą, ulegającą tylko takim ograniczeniom, z jakiemi spotykamy się przy produkcyi rolniczej.

Z drugiej znów strony są pewne gałęzie produkcyi szczęśliwsze od rolniczej o tyle, że prawo obniżającego się przychodu nie ma u nich zupełnie zastósowania. Tu należą: przemysł w ścisłem znaczeniu, handel i środki komunikacyjne [1]).

---

[1]) Przemysł angielski wyrabia tyle metrów materyj bawełnianych, że możnaby niemi 120 razy opasać naokoło całą kulę ziemską (5 miliardów yardów). A gdyby tylko miał gdzie je

Nie tylko, że tutaj nie ma się co obawiać, by koszta rosły stosunkowo szybciej, niż przychód, ale przeciwnie koszta obniżają się ze wzrostem produkcyi. To też producenci nie boją się tutaj, by nie zdołali zaspokoić wszystkich potrzeb konsumcyi, ale raczej tego się obawiają, że konsumcya nie spotrzebuje wszystkich przez nich wytworzonych produktów. Jest to też jedna z bardzo żywo ich obchodzących kwestyj, a to do tego stopnia, że dość często widzimy za dni naszych przemysłowców, zmuszonych do wzajemnego porozumienia się, którego celem jest zgodne ograniczenie produkcyi z obawy przed zatamowaniem wszelkiego odbytu (te zmowy zwą się *Kartelami* lub *Ringami*).

Istnieje zatem istotna różnica pomiędzy temi obiema wielkiemi gałęziami produkcyi, a da się ona łatwo wytłomaczyć przez różnice, jakie już z natury istnieją między temi dwoma rodzajami działalności ludzkiej. Rolnikowi przypadła w udziale rola, że się tak wyrażę, bierna, bo on wyczekuje, by przyroda sama dokończyła zaczętą przezeń pracę stósownie do swoich praw, których on ani nie zna, ani zmienić nie może. Musi czekać cierpliwie całemi miesiącami, by ziarno w ziemię rzucone zamieniło się w kłosy, a lata całe, aż żołędź w dąb się rozwinie. Przeciwnie przemysłowiec poddaje materyał swój surowy zmianom, których sposób działania jest mu zawsze znany. Pomocną jest mu w tem siła robotników, którzy pod jego kierownictwem pracują z automatyczną dokładnością. Jego nie wiąże niezmienny porządek pór roku,

---

podzieć — to nic nie wstrzymałoby go w wyrabianiu tych materyj w takiej ilości, że wystarczyłoby na pokrycie niemi całej ziemi. Niektórzy twierdzą, że przemysł właściwy i handel są też ograniczone, albowiem odbyt jest ograniczony. Przemysłowiec nie zawsze jest w stanie rozwinąć swą produkcyę, bo nie może znaleść nowych miejsc zbytu dla siebie; towarzystwo kolejowe, które swą sieć zbyt rozszerza, naraża się na zmniejszenie zysków... Ale takie zarzuty są dziwne i niesłuszne, bo nam chodzi o to, czy przemysł jest w stanie zaspokoić ustawiczny wzrost potrzeb — a tu nam przeciwstawiają przypadek, w którym produkcya przewyższa zapotrzebowanie.

bo i w zimie może dzień i noc palić w swych piecach i utrzymywać w ruchu swe warsztaty.

Atoli nie trzeba się znów łudzić, by przemysł w ścisłem tego słowa znaczeniu posiadał znów zdolność wzmagać produkcyę bez końca, bo naprzód on może przerabiać oczywiście tylko materyały, dostarczone mu przez produkcyę rolniczą i górniczą, podlega więc na równi z niemi tym samym co one ograniczeniom; a nadto zależy od ilości pracy i kapitału, jaką w danym okresie może rozporządzać.

IV.

Oddziaływanie tych granic produkcyi na cenę.

Jeśli prawo obniżającego się (w stosunku do wydatków) przychodu jest rzeczywiście tak bezwzględnem, jakeśmy to wskazali, to powinno mieć dwa praktyczne następstwa, któreby jasno wykazywały słuszność naszego twierdzenia. Powinno ono wtedy wywołać:

z jednej strony stałą zwyżkę cen płodów naturalnych, a szczególniej rolniczych;

z drugiej zaś strony przeciwnie ustawiczną zniżkę w cenach wytworów przemysłowych i kosztach przewozu.

Otóż z temi obydwoma objawami spotykamy się rzeczywiście we wszystkich rozwijających się społeczeństwach i to tak powszechnie, że muszą one uderzyć badacza nawet najmniej bystrego. Nie ma gospodyni, którąby nie utyskiwała na bezustanne drożenie wszystkich artykułów żywności: mięsa, drobiu, ryb, dziczyzny, masła, jaj, jarzyn, owoców i t. p. a więc właśnie produktów rolniczych.

Podrożenie to byłoby jeszcze większe, — gdyby nie wzrastająca ustawicznie łatwość przewozu, która drożyznę tę zmniejsza. Kiedy bowiem prawo obniżających się przychodów dąży do podniesienia ceny płodów rolniczych, to znów równocześnie zniżka w kosztach przewozu wpływa na obniżenie

się ceny tych płodów. Tem właśnie tłómaczy się, dlaczego zboże, ten najważniejszy ze wszystkich produkt rolniczy, już od dwudziestu lat nie doznało widocznej zwyżki ceny. Dla tego też prawo nieproporcyonalnego przychodu nie ma żadnego znaczenia, ilekroć tylko dany kraj może sprowadzać sobie z zagranicy brakującą mu ilość środków żywności, a koszta ich przewozu nie są znów zbyt wysokie. Ten właśnie wypadek zachodzi co do zboża, które, choć dość wielką stosunkowo do swej wartości zajmuje objętość, daje się jednak łatwo przewozić. Gdyby transport mięsa, czyto żywego (bydła), czyto już zakonserwowanego, był równie łatwym, to i co do niego nie miałoby zastosowania to prawo obniżającego się przychodu i ceny mięsa nie byłyby tak zmienne. Być może, że stoimy w przededniu takiego trwałego ustalenia się tych cen — już nawet zaczyna się ono objawiać. Spadek cen wytworów przemysłu jest niemniej widocznym, to też nie ma potrzeby przytaczać na poparcie tego cyfr. Wystarczy zwrócić tylko uwagę na ceny odzieży wogóle, bielizny, papieru, zegarków, szkła, książek, wstążek, jednem słowem wszystkich towarów codziennego użytku [1]).

[1]) Badając statystycznie te zmiany cen, należy jednak wprowadzić jedną ważną poprawkę — a to wpływ obniżenia się wartości pieniędzy. Boć oczywiście ta deprecyacya pieniędzy, objawiając się ogólnej zwyżce cen, musi sprowadzić jeszcze większe drożenie płodów rolniczych, a znów częściowo neutralizować rzeczywisty spadek cen produktów przemysłowych — podobnie, jak kiedy pociąg w ruchu będący przez swoją własną szybkość zmniejsza w oczach naszych szybkość pociągu, idącego w tę samą stronę — a znów przeciwnie zwiększa szybkość pociągu pędzącego w stronę wprost przeciwną.

Jeśli spostrzeżemy, że cena jakiegoś produktu rolniczego, który w 1848 r. kosztował 1 fr., podniosła się dziś na 2 fr., to nie należy nam twierdzić, że cena jego się zdwoiła, lecz — przyjmując, że dziś 2 fr. mają tę samą wartość, co przed 30 laty 1 fr. 50 c. — powiemy, że wartość tego przedmiotu w rzeczywistości podniosła się tylko o 50%. Na odwrót znów, jeśli jakiś wytwór przemysłowy kosztował w 1848 r. 4 fr., a dziś kosztuje 2 fr., nie powiemy, że wartość jego spadła tylko o połowę — ale o 63% — a to znów na tej samej podstawie, że dziś 1 fr. znaczy tyle, co wtedy 0·75 fr.

Omawiane przez nas prawo wywiera zgubny wpływ na położenie uboższych klas społeczeństwa. Sprowadza ono bowiem podrożenie przedmiotów, które im są najpotrzebniejsze, bez których obejść się nie mogą i które też wśród ich wydatków najpoważniejszą stanowią pozycyę — a sprowadza tylko zniżkę cen przedmiotów mniej dla nich ważnych, które w ich budżecie nieznaczne tylko zajmują miejsce. To też, jeśli postęp, wynalazki i odkrycia mają w produkcyi wywołać rzeczywiście korzystne dla ogółu zmiany, to muszą skierować całą swą działalność i swe wysiłki raczej w kierunku produkcyi artykułów żywności, a nie produkcyi przemysłowej. Lecz na nieszczęście jest to właśnie gałąź, w której najtrudniej o rzeczywisty postęp — produkcya rolnicza jest stosunkowo nadzwyczaj jeszcze mało rozwiniętą — a powody tego są nam już znane.

ROZDZIAŁ II.

Nadmiar produkcyi.

I.

Jak utrzymać równowagę między produkcyą a konsumcyą?

Produkować za mało — jest źle, a za dużo też źle; to drugie wprawdzie może mniejsze zło, — jak wielu mniema, ale w rzeczywistości także jest złem. Wszelki nadmiar w produkcyi wywołuje zawsze marnotrawstwo, bezpotrzebne trwonienie dóbr, zdolności produkcyjnych, a nawet niekiedy sprowadza pewnego rodzaju wstrząśnienia zwane przesileniami. Zdrowy, normalny stan społeczeństwa całego polega zupełnie tak samo, jak u każdej istoty żyjącej na właściwej równowadze między produkcyą i konsumcyą.

Równowaga ta istnieje i utrzymuje się raz dłużej, raz krócej w każdem rozwijającem się społeczeństwie — ale na podstawie jakiego prawa?

Gdyby każdy produkował dla siebie samego wszystko, czego potrzebuje, — jak to miał robić Robinson na swej wyspie — nie byłoby wtedy żadnych wstrząśnień. Każdy z nas jest do pewnego stopnia zdolny przewidzieć naprzód swe potrzeby i do nich zastosować swą produkcyę

Myśl przewodnia tego dałaby się pogodzić z podziałem pracy — bo wtedy każdy konsument zamawiałby z góry to, czego mu potrzeba, a każdy producent pracowałby niejako tylko na obstalunek.

Ale trzeba znów wziąć pod uwagę to, że w naszem społeczeństwie dziewięć dziesiątych z pomiędzy konsumentów przybywa na targ, nie zastanowiwszy się nad tem zawczasu i dokładnie, czego im potrzeba, a znowu dziewięć dziesiątych producentów przywozi na targ towary, bez poprzedniego zamówienia ich przez kogokolwiek. Tymczasem, pomimo braku wszelkiego poprzedniego porozumienia się między nimi równowaga produkcyi do konsumcyi jakoś w znośnym stosunku się utrzymuje. Prawda, że niejednokrotnie zostaje zachwianą, i że nieraz spotykamy się to z niedostatecznością, to znów z nadmiarem produkcyi, ale ostatecznie przeciętnie, chwiejąc się mniej lub więcej gwałtownie, stara się ona utrzymać w normalnem położeniu.

Jest to ulubione dowodzenie wszystkich tych ekonomistów, którzy, jak Bastiat, starają się dowieść, że istnieje jakiś mimowolny, zupełnie od nas niezależny porządek, jakaś konieczna harmonia we wszystkich stosunkach ekonomicznych. Być może, że to czynią w dobrej wierze. W rzeczy samej, jeśli zważymy, że w tak wielkich miastach, jak Londyn i Paryż, miliony mieszkańców codziennie pewne są, że znajdą to, czego im potrzeba, (o ile tylko będą mieć dość pieniędzy, by za to zapłacić) — dalej, gdy się zważy, że ta równowaga utrzymuje się sama przez się, bez jakiegokolwiek poprzedniego porozumienia się mieszkańców — i bez istnienia jakiejś władzy kierującej i że ta równowaga istnieje w całym kraju,

że prawdopodobnie nawet najlepiej zorganizowany rząd nie byłby w stanie zapewnić tak z dnia na dzień środków utrzymania dla całego narodu — czego najlepszym przykładem trudności, na jakie napotyka w zaopatrzeniu pojedynczych oddziałów wojska, wobec tego wszystkiego trudno zaprzeczyć, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem godnem szczególniejszej uwagi.

Wytłómaczenie tego zjawiska jest zresztą dość proste. Prawem, przywracającem bezustannie chwilowo zachwianą równowagę między produkcyą a konsumcyą, jest to samo prawo podaży i popytu, z którem spotkaliśmy się już raz jako regulującem rozdział robotników pomiędzy poszczególne gałęzie produkcyi. To samo prawo ma wpływ na wartość, a wyraziliśmy je zdaniem, że dobra mają większą lub mniejszą wartość w miarę tego, jak ich zasób odpowiada mniej lub więcej wielkości naszych potrzeb. Ilekroć bowiem jakikolwiek towar zostanie wyprodukowany w ilości większej ponad potrzebę, wartość jego musi spaść. Ta zniżka wartości powoduje zmniejszenie się dochodu producentów, a szczególniej zniża się zysk przedsiębiorców. Oczywiście przemysłowcy wycofają się ztąd, gdzie ich spotkały same zawody i straty a produkcya tych przedmiotów będzie się zmniejszać, dopokąd nie spadnie do ilości potrzebnej na konsumcyę. Przeciwnie znów, ilekroć przedmiot jakiś zostanie wyprodukowany w ilości zamałej w stosunku do potrzeb, wartość jego podniesie się. Wywoła to następstwa wprost przeciwne tym, któreśmy dopiero omówili — a więc producenci, a szczególniej przedsiębiorcy będą mieli większe zyski. Zachęceni tym większym, niż zwykle zyskiem inni producenci, kapitaliści i robotnicy zwrócą się do tej gałęzi produkcyi, a wyrób tegoż przedmiotu zwiększy się aż do wysokości popytu.

Przesilenia.

Równowaga między produkcyą a konsumcyą narażona jest, i to dość często, na wstrząśnienia. Ilekroć nastąpi naruszenie tej równowagi, mówimy wtedy, że istnieje *przesilenie* (kryzys).

Przesilenia są więc niejako chorobami w odniesieniu do organizmu społecznego i występują pod rozmaitemi postaciami tak, jak choroby, które dotykają człowieka. Jedne z nich powtarzają się peryodycznie, inne zaś w nierównych odstępach czasu. Jedne trwają krótko, lecz gwałtownie, podobnie do objawów febry, inne — jak mówi E. Laveleye — długo, jak anemia. Jedne dotykają tylko pewien dany kraj, inne znów tak, jak zaraza, rozszerzają się na cały świat.

Niektórzy ekonomiści starali się stworzyć teoryę, któraby do wszystkich przesileń miała zastósowanie i odkryć prawo, które niemi rządzi [1]). Usiłowania te jednak okazały się daremnemi. Można przecież dopatrzeć się między niemi pewnych wspólnych cech i odnieść je do jednej i tej samej przyczyny, którą jest właśne przez nas omawiane gwałtowne zerwanie równowagi, czyto po stronie produkcyi bardzo wielu towarów, czyto po stronie produkcyi niektórych tylko, ale szczególnie ważnych dla gospodarstwa społecznego, jak zboże, kapitały, pieniądze kruszcowe lub papiery kredytowe. W każdym z omawianych przez nas wypadków zachwianie równowagi objawić się może bądź we formie zatamowania odbytu wskutek nadmiaru produkcyi, lub w formie

[1]) Starał się to wykazać Stanley Jevons, który doszedł do wniosku, że przesilenia powtarzają się regularnie co 10 lat. Od początku bieżącego stulecia naliczył też rzeczywiście dziewięć takich po sobie regularnie następujących przesileń: w latach 1815, 1827, 1836, 1839, 1847, 1857, 1866, 1873, 1878. Ale łatwo to nagiąć dane statystyczne do swoich twierdzeń, jeśli się bierze w rachubę zarówno małe, jak wielkie, powszechne, jak czysto miejscowe czyli lokalne przesilenia. Jeśli się będzie brać na uwagę wszystkie, jakie w Anglii zaszły, to narachuje się ich najmniej 15, a jeśli znów wszechświatowe, to będzie ich ledwie 3, a to w r. 1825, 1847, 1857 i ostatnie z 1878 r., które trwało 10 lat. To powtarzanie się co lat 10 schodzi się nadto, według Jevons'a, z takiem samem powtarzaniem się lat złego urodzaju, które znów mają mieć swą przyczynę w zjawianiu się co 10 lat plam na słońcu. Tak więc cała kwestya przesileń, ich przyczyn i rozwoju, znajduje ostateczne swe uzasadnienie w zjawiskach astronomicznych. Czyż można sobie wyobrazić dziwaczniejsze zestawienie?

braku wytworów. Zdawałoby się, że ta druga forma winnaby być o wiele groźniejszą, gdy tymczasem — jak poznamy — pierwszej z nich więcej obawiać się nam należy (chyba, że idzie o pieniądze), to też tę właśnie formę nazywają zwyczajnie przesileniem.

1. *Zbytnie nagromadzenie lub brak towarów.*

Za wielka produkcya towarów (*general glut*, jak ją zwą Anglicy) stanowi jedną z najczęstszych przyczyn przesileń ekonomicznych, stanowi ona nawet poniekąd zło chroniczne, organiczną wadę nowożytnego przemysłu. Rozwój produkcyi na wielką skalę, wynalazków w dziedzinie mechaniki i środków przewozowych umożliwiły przemysłowi zalanie targu tak nadzwyczaj wielką ilością produktów, że konsumcya nie jest w stanie ich wszystkich zużyć. Z pewnością dzieje się to nie dlatego, żeby potrzeby nie były dość wielkie i nie dały się prawie w nieskończoność rozszerzać, ale dlatego, że chcąc towary rozsprzedać, nie wystarczy znaleść ludzi, którzyby mieli na nie ochotę, ale osoby, któreby nadto miały także środki na ich zakupno. Tymczasem dochody ogółu ludności nie wzrastają tak szybko, jak produkcya przemysłowa [1]). Nadto dziś przeważna część krajów stara się zamknąć swe targi przed napływem towarów z zagranicy, a umożliwić swoim własnym producentom krajowym wywóz

---

[1]) Zdaniem szkoły kollektywistów, należy wyłącznie w tym fakcie upatrywać przyczyny przesileń. Muszą one ustawicznie wzmagać się, dopóki nie sprowadzą zupełnego przeobrażenia nowożytnej organizacyi przemysłu. Klasa robotnicza — jak mówią — pozbawiona przez kapitalistów prawie połowy owoców swej pracy, nie jest nawet w stanie za otrzymaną płacę zakupić wytworzonych przez się wyrobów. Ztąd ich nadmiar. Gdyby jednak dostawali należny im udział, to i u nich zdolność konsumcyjna byłaby zupełnie równą ich zdolności produkcyjnej, a wtedy nie byłoby więcej przesileń. Takie tłómaczenie jednak nie wystarcza, bo choćbyśmy nawet przypuścili, że rzeczywiście klasa robotników jest wyzyskiwaną — to i tak zachodziłoby tu poprostu przeniesienie tej możności, zdolności konsumcyjnej z jednej klasy na drugą, bo i czemużby wyzyskujący nie mógł mieć tej samej zdolności konsumcyjnej, co wyzyskany?

za granicę tak, że te towary, nie mogąc znaleść dla siebie zbytu ani w kraju, ani za granicą, gromadzą się, jak woda w zbiornikach bez odpływu.

Chcąc więc uzyskać odbyt na swoje towary i chcąc dać możność konsumcyi powolnego spotrzebowania takowych, zmuszeni są producenci zniżyć ceny — ogólna zniżka cen powoduje nieuchronnie z jednej strony zmniejszenie się zysków i bankructwa, a z drugiej zmniejszenie płacy i bezrobocia.

Przesilenia, występujące pod drugą formą, t. j. braku produktów, mogą niekiedy stać się bardzo groźne. Wystarczy przypomnieć sobie klęski, spowodowanie nieurodzajem bawełny, t. zw. „głodem bawełnianym“, wskutek powstania w Stanach Zjednoczonych (1865 r.). Nieurodzaj na zboże może też sprowadzić ogromny głód na kraje ubogie, jak Indye lub Algier, a nawet w krajach tak zamożnych, jak europejskie, może większy nieurodzaj spowodować przesilenie.

Wygląda to na paradoks, a przecież może się zdarzyć, że te przesilenia, spowodowane niedostatecznością produkcyi, będą mieć te same następstwa, co przesilenia wskutek nadmiaru produkcyi, a więc przepełnienie rynków zbytu i spadek cen towarów. Wystarczy wziąć tylko pod uwagę, że w razie niepomyślnych zbiorów zboża jego cena idzie w górę, wskutek tego wszyscy ci, którzy potrzebują tego zboża, a dochody mają niewielkie — a więc przeważna większość ludzi — muszą ograniczyć swe wydatki na inne potrzebne im przedmioty, z tego więc powodu wielka ilość tamtych przedmiotów nie znajdzie dla siebie odbytu, albo nie będzie go mogła znaleść, jak tylko ze stratą. Dlatego to nieurodzaj w Indyach wywołuje prawie zawsze przesilenie w produkcyi fabryk angielskich.

2. Nadmiar lub brak kapitałów.

Kapitały są tak samo przedmiotem, którego wyprodukowanie w zbyt wielkiej ilości może się stać niebezpiecznem. Prawda, że nigdy nie można mówić, by kapitałów było bezwzględnie zadużo tak samo, jak tego nie można mówić o towarach. Ale też znów, jak w danej chwili zapas towarów

może okazać się za wielkim stosunkowo do potrzeb konsumcyi, tak też może ilość nagromadzonego kapitału okazać się względnie za wielką, bo nie będzie ich można wszystkich równocześnie produkcyjnie zatrudnić. W krajach wysoko ekonomicznie rozwiniętych oszczędności rosną, jak lawina śniegu, wskutek tego w kraju takim, w którym od kilkuset lat we wszystkich warstwach ludności oszczędzano, kapitały gromadzą się w olbrzymich sumach. Dalszem naturalnem następstwem tej obfitości kapitałów jest obniżenie się stopy procentowej [1]), więc znów wymyślają nowe korzystniejsze sposoby ich zatrudnienia, zakładają to za granicą to w kraju różne nowe przedsiębiorstwa, bardzo często z ogromną lekkomyślnością — a wszystko to kończy się tem, co dziś zwą w żargonie giełdowym, *Krachem*. Kilka takich krachów zapisało się nadzwyczaj smutnie w historyi, — jak krach wiedeński z 1873 r. i paryski z 1882 r.

Przeciwnie znów niekiedy daje się czuć brak kapitałów, zwłaszcza bezpośrednio po takim krachu lub po wojnie, która pochłania znaczne kapitały. Wtedy powstaje znów przesilenie o wprost przeciwnych rysach charakterystycznych, bo o wysokiej stopie procentowej i eskontowej i braku gotówki.

---

[1]) Zachodzi ta różnica między towarami a kapitałami, że kiedy nadmiar towarów obniża ich wartość i tem samem doprowadza do upadku producentów, to przeciwnie nadmiar kapitałów powoduje wzrost ich wartości i wzbogaca kapitalistów. Łatwo ten na pierwszy rzut oka niezwykły objaw wytłómaczyć. Obniżenie się stopy procentowej zmniejsza też i zdolność kapitalizacyi na przyszłość, a przez to zyskują koniecznie na znaczeniu kapitały już nagromadzone. Przypuśćmy, że obecnie stopa procentowa wynosi 5%, więc papiery, dające 50 fr. renty, warte są 1000 fr. Gdyby więc n. p. jutro, wskutek nadmiaru kapitałów, dochód otrzymywany w nowych przedsiębiorstwach spadł na 3% — to papiery renty, dające jeszcze zawsze 50 fr., byłyby warte przeszło 1.600 fr., jak nas o tem poucza zwykła reguła trzech. Wynikiem tego jest oryginalny objaw, że kiedy kupcy narzekają na nadmiar towarów, to kapitaliści cieszą się ze zbytniego nagromadzenia kapitałów, dopóki jaki niespodziewany krach nie zmieni tego ich usposobienia na wprost przeciwne.

Niekiedy wreszcie zostaje zachwianym normalny stosunek, jaki powinien istnieć między wielkością kapitału zakładowego a obrotowego, a to w tym kierunku, że za mało jest tego kapitału obrotowego w stosunku do zakładowego. Do takiego stanu dochodzą szczególnie te kraje, które nierozważnie poświęcają wszystkie swe oszczędności na budowę nowych dróg żelaznych, a w których wskutek tego nikt ani centa nie obraca na zasilenie przemysłu lub na stworzenie dostatecznego dla kolei obrotu handlowego.

3. Zbytek lub brak gotówki.

Czy wielka obfitość gotówki może doprowadzić do przesilenia? Ogół zapewne nie widzi w tem nigdy przesilenia, że ma dużo pieniędzy, jak są również pomiędzy ekonomistami tacy, którzy twierdzą, że nie można nigdy mówić o nadmiarze gotówki.

Tymczasem nie da się zaprzeczyć, że i tu istnieje pewien stosunek pomiędzy ilością pieniędzy, które powinny być w obiegu w danym kraju a potrzebami tego kraju i że, gdyby ta ilość pieniędzy nagle wzrosła, to spowodowałaby z pewnością przesilenie, objawiające się w ogólnej zwyżce cen, a dające się dotkliwie we znaki konsumentom, a zwłaszcza wierzycielom i osobom, mającym stałe dochody. Tyle tylko trzeba przyznać, że choćby i podobne nieszczęście nawiedziło jaki kraj, to znowu nie tak trudno pozbyć się tego nadmiaru gotówki i że już sam naturalny bieg rzeczy postara się uwolnić nas od tego kłopotu.

Każdy jednak przyznać musi, że zbyt wielka ilość pieniędzy w obiegu może spowodować groźne nawet przesilenie, jeśli tem pieniądzem jest pieniądz papierowy lub banknot. Nie będziemy się tu rozwodzić nad temi właśnie przesileniami, bośmy już raz omawiali przyczyny i środki do zapobieżenia temu.

Natomiast zmniejszenia się ilości pieniędzy w obiegu boją się wszyscy bezustannie. Obawa ta pochodzi bez wątpienia, po części z niezwykłego znaczenia pieniędzy w świecie,

i jakeśmy to już kilkakrotnie wykazali, nie jest bezpodstawną [1]). Gdy bilans płatniczy państwa jest przez dłuższy czas dla niego niekorzystny i zapas jego gotówki niezbyt znaczny, musi dojść do tego, że ilość pieniędzy w obiegu będzie za małą do potrzeb obrotu. Wtedy zmniejszają się inkassa bankowe, kurs weksli zaczyna spadać niżej pari, stopa eskontowa się podnosi i wielu kupców, nie mogąc uczynić zadość swym zobowiązaniom, ogłasza niewypłacalność. Są to tak zwane *przesilenia pieniężne.* Są one z tego powodu bardzo niebezpieczne, że posiadają w wysokim stopniu charakter epidemii — ale też za to są najlepiej już zbadane, to też łatwiej je przewidzieć i niebezpieczeństwo odwrócić.

II.

Czy zachodzi obawa nadmiaru produkcyi? Prawo zbytu.

Na postawione przez nas pytanie producenci odpowiedzą z pewnością twierdząco. Obawa nadmiaru produkcyi i ogólnego zastoju *(general glut)* jest bowiem zmorą, trapiącą umysł każdego przemysłowca, — a objaw ten łatwo sobie wytłómaczyć. Każdy producent wie o tem przecież dobrze, że jego wytwory znajdą tem lepszy odbyt, im mniej tego rodzaju wytworów będzie na targu, że więc rzadkość jest dlań dobrą — a obfitość wytworów szkodliwą. Ekonomiści starali się nie od dziś dnia wytłómaczyć im, że pomnożenie ilości produktów jest nietylko korzystnem dla konsumentów, — bo to się rozumie samo przez się, — ale również dla producentów. Rozumie się, że nie myśleli im dowodzić, że nadmiar produkcyi w pewnej gałęzi jest niemożliwym, ani zaprzeczać, iż podobny nadmiar należy uważać jako niekorzystny, bo byłoby to stawać w rażącej sprzeczności z faktami, któreśmy w po-

[1]) E. Laveleye widzi w tem główną przyczynę wszelkich przesileń.

przednim rozdziale poznali. Ale za to twierdzą, że w razie nadmiaru w jakiejś gałęzi produkcyi, najlepszym środkiem na to złe będzie właśnie stósowne zwiększenie produkcyi w innych gałęziach. Że przesilenie, będąc wynikiem nadmiaru, nie da się inaczej usunąć, jak tylko znów za pomocą nadmiaru według zdania medycyny: *„similia similibus“*. Leży to zatem w interesie każdego producenta, by produkcya była i obfitą i możliwie najróżnorodniejszą. Teorya ta znaną jest pod nazwą *„prawa zbytu“*. Postawił ją pierwszy J. B. Say, twierdząc przy tem śmiało „że ona zmieni dotychczasowy tryb postępowania w całym świecie“. Zdanie to jego można zamknąć w tych słowach *„wytwory tem prędzej znajdą dla siebie zbyt, im ich będzie więcej i im będą różnorodniejsze“*.

Na pierwszy rzut oka wydaje się ta teorya bezzasadną, a jednak należy ją uznać za słuszną. Chcąc ją zrozumieć, trzeba zapomnieć zupełnie o istnieniu pieniędzy i przypuścić, że cały obrót odbywa się w drodze zamiany bezpośredniej produktów za produkta [1]).

Czyż nie będzie to korzystnem dla kupca, przybywającego n. p. na jedno z wielkich targowisk środkowej Afryki, jeśli znajdzie tam targ zaopatrzony jak najobficiej w wiele i różne towary? Prawda, że nic mu z tego nie przyjdzie, jeśli zastanie tam w znacznej ilości ten sam towar, który i on ma do zbycia n. p. strzelby, ale za to będzie mu to bardzo na rękę znaleźć tam jak najwięcej wszystkich innych towarów, jak kość słoniową, złoty piasek, gumę i t. p. Każdy nowy towar, ukazujący się na rynku, sprowadza poszukiwanie, czyli, jak się ta teorya wyraża, zbyt na towary tego samego rodzaju, tem więc lepiej, im ich jest więcej. Gdyby tak nasz kupiec źle trafił i przywiózł za wiele strzelb, to jeszcze najlepszem, coby go mogło spotkać, byłoby to, by

[1]) Przypuszczenie to jest zresztą zupełnie trafnem, bo jakeśmy już widzieli, każdy wymienia wytwory za pieniądze tylko w tym celu, by za te same pieniądze nabyć następnie, prędzej lub później, znów inne przedmioty — że więc w myśli możemy bez żadnego uszczerbku dla wyników opuścić zupełnie ten środek zamiany.

także i inni przynieśli na targ za wiele innych towarów, wówczas bowiem nie byłoby już w stosunku do innych towarów za dużo strzelb; to też słusznie mówi J. B. Say: „do sprzedaży towaru najwięcej pomaga produkcya innych towarów“.

Tak samo ma się rzecz przy kupnie — sprzedaży. Każdy z nas znajdzie tem łatwiej miejsce zbytu dla swoich wytworów lub usług, im zamożniejsi będą inni, a ci znów będą tem zamożniejsi, im więcej będą posiadać produktów. To też producentowi, który wytworzył za dużo jakichś przedmiotów jedynie tylko tego można życzyć, by i inni producenci też za wiele wyprodukowali, bo wtedy nadmiar w jednym kierunku produkcyi zostanie zneutralizowany nadmiarem w innych.

Może Anglia wyprodukowała za dużo materyj bawełnianych? — jeśli tylko przypadło to na rok urodzaju na zboże w Indyach, to bardzo łatwo rozsprzeda swe wytwory bawełniane. To też tłómaczy nam, dlaczego zalanie targu ogromną ilością wytworów przemysłowych, spowodowane ustawicznym rozwojem mechaniki, wywołuje tak zwany *general glut*. Poprostu dlatego, że produkcya rolnicza nie rozwija się tak szybko, a więc i ilość produktów słabiej tu wzrasta; wartość ich zwiększa się w stosunku do wartości wytworów przemysłowych. Konsumenci zmuszeni wydawać wiele na środki pożywienia, nie posiadają już dostatecznych zasobów na zakupno wytworów przemysłowych w wielkiej ilości. Ale, gdyby rozwój w rolnictwie postępował równie szybko, jak w przemyśle i wróciła równowaga między obu działami produkcyi, to każdy konsument potrzebowałby mniej na wyżywienie się, a wtedy bez wątpienia zostałyby spotrzebowane wszystkie dotąd zbyteczne wytwory przemysłowe.

Przypuśćmy wreszcie, że ilość wszystkich wytworów bez wyjątku się zwiększa albowiem mogą ceny spaść i może zapanować ogólny zastój. Lecz czemże to wytłomaczyć? Oto tem, że według tego przypuszczenia pozostaje jeszcze jedno dobro w niezmienionej ilości a mianowicie pieniądze. Wsku-

tek tego stosunek wartościowy pieniędzy do innych towarów wogóle zostaje zmienionym, gotówka staje się stosunkowo rzadką — więc ceny spadają. Gdyby się więc dało odpowiednio zwiększyć ilość pieniędzy, to całe zło byłoby już usunięte, bo gdyby stosunek wartościowy zwany „ceną“ nie zmienił się, to nie byłoby przesilenia. Jednem słowem — teorya zbytu stara się tylko wykazać, że nie ma najmniejszej obawy nadmiaru produkcyi, jeśli tylko wzrost produkcyi odbywa się równocześnie i proporcyonalnie we wszystkich jej kierunkach. W tem znaczeniu teoryę tę pojmując, trzeba ją uznać za niewątpliwie słuszną, to też na długi jeszcze przeciąg czasu nie potrzebuje ród ludzki obawiać się nadmiaru bogactw.

Tymczasem głos ogółu niechętnie przyjął tę teoryę, a to z tej przyczyny, że wzrost produkcyi nie objawia się zazwyczaj wśród takich warunków, jak tego żąda teorya zbytu. Jest to bowiem bardzo rzadkiem zjawiskiem, by równocześnie i równo wzrastała produkcya we wszystkich gałęziach, bo produkcya rolnicza i przemysłowa stanowią pod tym względem dwa rażące przeciwieństwa. Zazwyczaj wzrost produkcyi następuje tylko w pewnych gałęziach nagle i nierównocześnie, to też z tego powodu sprowadza on zachwianie równowagi czyli przesilenia.

ROZDZIAŁ III.

Postęp produkcyi.

I.

Złudzenia co do rozwoju ekonomicznego.

Na temat postępu dają się dziś słyszeć najrozmaitsze zdania, przedewszystkiem przesadza się ustawicznie, mówiąc o postępach w dziedzinie życia społecznego i robi sobie w tym kierunku jak najśmielsze nadzieje. Tymczasem, zba-

dawszy bliżej stan rzeczy, cóż się widzi? Oto rzeczywiście zadziwiające udoskonalenia w komunikacyi i środkach przewozowych, możność łatwego nabycia środków spożywczych i zbytkowych, jakie tylko na obu półkólach istnieją, spadek cen niektórych wytworów przemysłowych i szybkie rozpowszechnienie się tego, co zwiemy wygodami życia — oto do czego ogranicza się rzeczywisty postęp społeczeństw. Jest to już pewien postęp, ale znów nie taki, by sprowadzał istotne zmiany w warunkach życia ludzkiego ani, by zapowiadał ich zmianę. Nie ma zatem podstawy, by ludzkość chełpiła się tak bardzo z dokonanego postępu i raczej należałoby się dziwić, że te wszystkie postępy wiedzy ludzkiej, mechaniki i przemysłu wydały stosunkowo mierne rezultaty.

Nie trudno wytłómaczyć tę rażącą sprzeczność. Wystarczy zaznaczyć, że ten postęp dokonywa się w gałęziach produkcyi mniejszego znaczenia, mniej koniecznych dla życia ludzkiego i jego rzeczywistego dobra.

Weźmy naprzykład maszyny, bo za pomocą nich objawia się głównie postęp w produkcyi.

Według dat statystycznych ministra robót publicznych przedstawiają maszyny używane dziś we Francyi siłę blisko 5 milionów koni. Siłę więc przez te maszyny rozwiniętą można w teoryi oznaczyć na równą sile 100 milionów [1]) ludzi. A że we Francyi nie ma więcej jak 10 milionów dorosłych robotników, więc można powiedzeć, że siła robocza kraju wzrosła w stosunku 1 : 10 albo, jeśli kto woli wyrażać się obrazowo, że każdy robotnik francuzki ma odtąd dziesięciu niewolników na swe usługi, co powinnoby mu zapewnić położenie podobne do życia patrycyuszów rzymskich, i pozwolić mu używać przyjemności bogactwa i próżniaczego życia.

---

[1]) Jeden koń parowy jest co do siły roboczej równy 3 koniom zwyczajnym, a siła jednego konia zwyczajnego bywa uważaną jako 7 razy większa od siły jednego człowieka, to więc dawałoby $3 \times 7 = 21$.

Na nieszczęście jestto czyste złudzenie, i wystarczy tylko zbadać krytycznie te same daty statystyczne, by się o tem przekonać. Prawie cała ta siła ogromna pozostaje wyłącznie na usługach przewozu lądowego lub morskiego, — bo więcej niż 4 miliony koni parowych — a z tego $^7/_8$ w formie lokomotyw służy do tego celu. Otóż ta siła czterech milionów koni parowych, zużyta do przewozu osób i rzeczy, musiała spowodować ogromne zmiany; wzmogło się przez to znacznie poczucie solidarności całego rodu ludzkiego, bo zniesione zostały przeszkody, jakie dotąd stanowiła odległość miejsca ludziom w ich przesiedlaniu się, w wzajemnej wymianie swych wytworów lub swych myśli. Z tego zatem punktu widzenia oddały te maszyny ogromną usługę duchową, której znaczenie nie da się nigdy przecenić, ale też znów nie można twierdzić, by one właśnie zwiększyły ilość wytworów.

Produktami, których zwiększona ilość mogłaby przynieść rzeczywiste i widoczne polepszenie bytu klas robotniczych, są wyłącznie płody rolnicze, bo pierwszym warunkiem materyalnego dobrobytu jest możność wyżywienia się — i to dobrego odżywiania się. Jak szerokie zastosowanie mają tedy maszyny w tej gałęzi produkcyi? Otóż zaledwie jakie 100.000 koni parowych czynnych jest w rolnictwie, a nawet one w przeważnej części nie mają żadnego wpływu na wzrost produkcyi. Żniwiarki, grabiarki i młockarnie zaoszczędzają tylko pracę rąk, ale nie dodadzą ani jednego ziarna do plonów. Dotąd nie wynaleziono jeszcze sposobu wyrabiania, czy to w drodze chemicznej czy mechanicznej, środków spożywczych, które byłyby jakim udoskonalonym sztucznym fabrykatem [1])

[1]) Zagadnienie to da się tak przedstawić. Ponieważ ograniczenia, na które napotyka rolnictwo zmuszają je do tego, że może ono oddziaływać tylko na twory już żyjące, czy nie dałoby się obejść te przeszkody i z zupełnem pominięciem tego współdziałania niezbadanych sił żywotnych starać się o wytworzenie produktów rolniczych z różnych pierwiastków tak, jak chemik wytwarza drogą połączeń chemicznych. Wiadomo, że

Rzeczywiście zatem postępy w rolnictwie nie są wogóle tak znaczne. Ta żywicielka rodu ludzkiego, jak zwą rolnictwo, rozwija się zwolna *pede claudo* i przez te kilka tysięcy lat, odkąd zaczęła swój bieg, nie wiele drogi uszła.

Istnieje jeszcze inny rodzaj przemysłu, nie mniej ważny dla rozwoju dobrobytu t. j. przemysł budowlany. Otóż do tej produkcyi maszyny nie dadzą się prawie zastósować, wyjąwszy do niezwykłych jakichś budowli. To też dziś budują tak, jak za czasów Noego, łącząc ze sobą kamienie lub cegły za pomocą cementu, wapna i t. p. Z tego też powodu ilość domów wygodnych, jeden z koniecznych warunków dobrobytu, zdrowia, życia rodzinnego a nawet moralności, nie wzrasta odpowiednio do potrzeb. Dlatego czynsze dają się dziś dotkliwie czuć bogatym, a doprowadzają do rozpaczy ubogich, bo podniosły się jeszcze wyżej w cenie, niż artykuły żywności. Również nie wyrabia się domów w sposób fabryczny[1]).

---

tkanki wszystkich tworów żyjących tak zwierząt, jak i roślin, składają się prawie wyłącznie z tlenu, wodorodu, azotu i węgla, a w bardzo tylko małej cząstce z niektórych soli mineralnych. Są to wszystko składniki, istniejące w ogromnej ilości na powierzchni ziemi i w atmosferze. Zagadnienie jest więc ze stanowiska teoretycznego możliwem do rozwiązania. Zaiste, gdyby jaki chemik rozwiązał je kiedy praktycznie, to dokonałby dzieła o wiele większego, niż marzenia któregokolwiek z dawnych alchemistów, wtedy na spodzie swego tyglu znalazłby coś więcej, niż rozwiązanie zwykłego zagadnienia chemicznego, bo znalazłby rozwiązanie kwestyi socyalnej, a przynajmniej zmieniłby zupełnie wszystkie prawa ekonomii politycznej. Gdyby kiedy ludzie doszli do wytwarzania środków pożywienia na sposób produktów przemysłowych, to cała dzisiejsza produkcya przestałaby istnieć, bo człowiek żądałby wtedy tylko tyle od ziemi, by mu dostarczyła miejsca dla jego domu i osoby, a na każdym hektarze ziemi, mogłoby wyżyć tylu ludzi, ilu dziś gromadzi się w najludniejszych dzielnicach naszych wielkich miast. Ale czy przyjdzie kiedy do tego, to bardzo wątpliwe, skoro do dziś, mimo kilku świetnych odkryć, chemia nie zdołała zmienić tego w dawnem przysłowiu zawartego prawa: „omne vivum ex vivo".

[1]) Może dojdzie do tego, jeśli wejdą w użycie domy z blachy żelaznej, dające się łatwo każdej chwili rozebrać i przenieść, podobne do tych, jakie ukazały się po raz pierwszy na

II.

Ujemne skutki każdego postępu produkcyi.

Nie dość na tem, iż rezultaty postępu nie są tak świetne, jakby się zdawało, ale nadto należy jeszcze nie zapominać o tem, że wywołują one smutne następstwa dla niektórych klas ludności.

By to zrozumieć, trzeba wpierw zdać sobie dokładnie sprawę, na czem polega tak zwany „postęp produkcyi“. Otóż polega on po prostu na zmniejszeniu ilości pracy, potrzebnej do wytwarzania danego wytworu.

Jednym z najwymowniejszych dowodów na to, jest właśnie wynalezienie maszyn, które dziesięcio—a nawet stokrotnie zwiększyły siły człowieka [1]).

Wszystkie udoskonalenia w organizacyi pracy, jak podział pracy, który pozwala lepiej użytkować czas i zdolności każdego, produkcya na wielką skalę, która zaoszczędza na mieszkaniu i kapitale, handel, zwłaszcza międzynarodowy, wyzyskujący przyrodzone naturalne bogactwa różnych krajów, zastąpienie monety kruszcowej papierową lub papierami kredytowemi, stowarzyszenia udziałowe, które starają się

---

wystawie paryskiej z 1889 r.; wywołałoby to ogromną zmianę stosunków.

[1]) Niektóre pancerniki mają maszyny o sile 10.000 koni, co równa się najmniej sile 200.000 wioślarzy. Jeśli zważymy, że każdy taki statek potrzebuje do obsługi 100 mechaników i palaczy, to zobaczymy, że siła każdego z nich została niejako 2.000 razy zwiększoną.

Numer dziennika „Times“ zawiera prawie 240 stron druku w 8-ce. Przypuśćmy, że wychodzi w 100.000 egzemplarzach, to daje 24 milionów stronic druku w jednej nocy czyli 40 do 50 tysięcy tomów. Do przepisania ich w ciągu tego samego czasu t. j. 6 godzin trzebaby całej armii z 500.000 pisarzy. Przypuśćmy, że potrzeba do tego dziś 100 robotników drukarskich, to praca, którą każdy z nich wykonywa, równa się pracy 5000 pisarzy.

o bezpośrednie zetknięcie się konsumentów z producentami, z wyłączeniem osób pośredniczących t. j. kupców, koleje żelazne, telegrafy — wszystko to ostatecznie ma jedynie na celu zaoszczędzenie na czasie, trudach, wydatkach czyli na pracy.

Prawda, że jest to bardzo korzystnem zmniejszyć ilość pracy, potrzebnej do otrzymania danego wytworu i zaspokoić swe potrzeby zapomocą mniejszych wysileń i trudów— znaczy to tyle, co oddać na usługi i do użytku nowej produkcyi nowe siły.

To wszystko jednak, ta korzyść ogółu da się przeprowadzić, wobec dzisiejszej organizacyi ekonomicznej naszego społeczeństwa, tylko z ujmą, krzywdą niektórych jednostek, bo z chwilą, kiedy pewna ilość pracy staje się niepotrzebną, *tem samem staje się od tej chwili niepotrzebną i pewna ilość robotników*, którzy są zmuszeni odtąd szukać innych sposobów zarobkowania, co im przyjdzie nie łatwo. Oto przyczyny tego stanu rzeczy: Każdy z nas żyje z dochodu, jaki mu daje jego praca w pewnym zawodzie. Ten zajęty jest wyrabianiem koronek, ów uprawą marzanny (do wyrabiania czerwonej farby); otóż pierwszy w razie wynalezienia maszyn do wyrabiania koronek, drugi z chwilą odkrycia czerwonej aniliny w osadach węgla kamiennego, przekonywa się, że zawód, któremu się oddawał, stał się obecnie bezużyteczny — źródło jego dochodu nagle niknie. Może wprawdzie on jeszcze gdzieindziej spożytkować swą pracę, znajdując nowe jakieś zajęcie, ale nie zawsze to tak łatwo znaleść miejsce, a dla osób, które, jak robotnicy właśnie. nie mają pieniędzy na przebycie tego czasu, nim znajdą robotę, musi bezrobocie sprowadzić ciężkie szkody i nędzę. Tak samo ułatwienia w przewozie pozwalając nam sprowadzić po niskiej cenie zboże z Kalifornii lub jedwab z Chin, wiodą do ruiny tych rolników francuskich, którzy produkują zboże lub jedwabniki. Również rozwój stowarzyszeń konsumcyjnych jest powodem upadku wielu drobnych kupców.

Następstw tych nie można brać za czysto przypadkowe, któreby mogły zajść lub nie, są one bowiem koniecznym wy-

nikiem dwóch zasad, na których się opiera cała organizacya nowożytnych społeczeństw, t. j. własności indywidualnej z jednej, a podziału pracy z drugiej strony.

Gdyby nie było podziału pracy, gdyby zatem każdy produkował tylko na własną potrzebę, to nie mogłyby wystąpić powyższe następstwa. Dla Robinsona na wyspie każda maszyna lub wynalazek, któryby mu pozwolił produkować z mniejszym wysiłkiem pracy, byłyby bezsprzecznie pod każdym względem korzystnemi, bo on nie miał nic do stracenia, a wszystko do zyskania.

Gdyby nie istniała własność indywidualna, gdyby więc ludzie żyli we wspólności dóbr, to te następstwa nie byłyby niebezpiecznemi. Cóżby to bowiem obchodziło Pawła czy Jana, że tam jakiś nowy wynalazek czyni jego pracę zbędną, jeśli on wie, że i tak co dzień dostanie swą porcyę żywności u wspólnego stołu. Skoro społeczeństwo stara się o to, by on pracował, to ono samo mu już wyszuka inne jakieś zajęcie, a choćby i nie mogło mu go dać, to tem lepiej dla niego, będzie sobie mógł spokojnie siedzieć z założonemi rękami.

Ztąd jednak nie wynika, jakto twierdzą komuniści, że, skoro własność indywidualna jest przyczyną takiego stanu rzeczy, to należy ją znieść. Należałoby zatem powiedzieć to samo o podziale pracy, że należy go również usunąć, bo i on jest przyczyną tego stanu. Tyle tylko można przyznać, że każdemu postępowi w świecie towarzyszy jakieś zło i że ród ludzki musi drogo opłacać te korzyści, jakie postęp ze sobą przynosi. Prawda, że brzmi to dziwnie, ale wiele jest rzeczy na pozór sprzecznych, a jednak prawdziwych [1]).

---

[1]) Często trzeba postęp okupić nietylko niedostatkiem lub bezrobociem, ale nawet krwią. Weźmy tylko pod uwagę n. p. maszyny. Ani jeden dzień nie upłynie bez tego, żeby kilku robotników nie doznało ciężkich okaleczeń, lub nie zginęło wskutek zapalenia się spirytusu, albo nie zostało rozszarpanych wskutek pęknięcia kotła, albo nie zostało zmiażdżonych przez koła maszynowe. Budowa każdego kilometra kolei żelaznej kosztuje przeciętnie życie jednego człowieka, a przy używaniu tej drogi przypada pięć do sześć wypadków na każde 100 kilometrów

III.

Znaczenie maszyn.

Sprzeczność, zachodząca między interesem ogółu, a interesami jednostek, nie podoba się ekonomistom, szczególniej ze szkoły optymistów, którzy podają, jako artykuł wiary, harmonię stosunków w świecie społecznym. To też starali się oni wykazać, że postęp ekonomiczny, a szczególniej maszyny, bo o te tu przedewszystkiem chodzi, nie czynią żadnego uszczerbku klasie robotników.

Na poparcie swego zdania przytaczają następujące trzy okoliczności:

1) *Spadek cen.* Każdy wynalazek mechaniczny powoduje obniżenie się kosztów produkcyi danego wytworu, a tem samem jego wartości. Robotnik zatem zyskuje na tem jako konsument, a traci zarówno z producentem. Zniżka cen, jako następstwo każdego udoskonalenia w produkcyi, a szczególniej wynalazków mechanicznych ma miejsce zawsze i wszędzie, ale czy ona da zawsze robotnikowi pełne wynagrodzenie za obniżenie się ceny jego pracy? Nie znajdzie on w tej zniżce żadnego odszkodowania, jeśli odnośny produkt nie wchodzi w zakres jego konsumcyi, a to jest bardzo możliwem. Fabryczny wyrób niektórych koronek zniżył znacznie ich cenę, ale to nie stanowi żadnego wynagrodzenia dla biednej kobiety, która je przedtem sama wyrabiała, bo ona się w te koronki nigdy nie ubiera.

Choćby nawet dany produkt stanowił przedmiot konsumcyi robotnika, to z pewnością wchodzi on w jej zakres

---

rocznie. A że sieć kolei wynosi na całym świecie koło 600.000 kilom., trzeba było więc poświęcić 600.000 ludzi na samo jej wybudowanie, a jakie 30.000 ludzi rocznie, chcąc na niej ruch utrzymać. Czemże są więc w porównaniu z tem wojny, choćby najwięcej mordercze? (Nie wypływa z tego, by ruch kolejowy był niebezpieczniejszy od ruchu kołowego, jaki się dawniej odbywał. Statystyka wypadków kolejowych jest tylko dokładniejszą).

tylko w małej bardzo ilości — a tem samem byłoby śmiesznem mówić tu o kompenzacyi. Robotnica, wyrabiająca pończochy, która wskutek wynalezienia maszyny do ich wyrabiania utraciła swój zarobek, pocieszy się bynajmniej nadzieją, że będzie je mogła odtąd nabywać u kupca.

Ażeby to odszkodowanie, o którem mowa, było rzeczywiście zupełnem, to trzebaby, aby postęp mechaniki dokonywał się odrazu we wszystkich gałęziach produkcyi w ten sposób, aby wynikający ztąd spadek cen był powszechny i równoczesny. Wtedy możnaby rzeczywiście twierdzić, że mało obchodzi robotnika to, iż obecnie pobiera płacę mniejszą o połowę, skoro i wszystkie jego wydatki zmniejszyły się także o połowę. Płaca jego nominalnie, na pozór byłaby inną, ale w rzeczywistości pozostałaby niezmienioną. Wykazaliśmy jednak wyżej, że wynalazki mechaniczne nie we wszystkich gałęziach produkcyi mają miejsce, ale tylko w niektórych i że one nie oddziaływują w niczem na wydatki, zajmujące główne miejsce w utrzymaniu i w budżecie robotnika, t. j. na koszta wyżywienia i mieszkania. Jeśli się przyjrzymy wydatkom robotnika na życie, to dwie powyższe pozycye stanowią 60 do 75% z całego jego dochodu, a więc odnośnie do $^4/_5$ swej konsumcyi nie znajdzie dla siebie odszkodowania w żadnej kompenzacie.

2) *Wzrost produkcyi.* Dalej twierdzą, że każdy wynalazek mechaniczny przez to samo, że powoduje obniżenie się cen, musi także sprowadzić wzrost odbytu na odnośny wytwór, ostateczny więc wynik tego jest zawsze ten, że robotnicy odzyskują napowrót to zajęcie, które chwilowo utracili. Zamiast więc pozbawiać ich zajęcia, otwiera im ten wynalazek nowe pole zarobkowania. Przykładów na poparcie nie brak: zwiększenie się ilości książek od chwili wynalezienia sztuki drukarskiej, lub wyrobów bawełnianych od chwili wynalezienia mechanicznych warstatów tkackich i t. d.

Podawany tu sposób odszkodowania robotnika jest zupełnie nowy, ale w rzeczywistości tyle wart dla robotników, co i pierwszy, a to dla wielu przyczyn.

Przedewszystkiem nie zawsze wzrost popytu jest zwykłem następstwem zniżki cen. 1) Ilekroć wytwór jakiś ma zaspokoić jakąś potrzebę ograniczoną, to tem samem i zwiększanie się ilości tego produktu jest ograniczone. — Klasycznym przykładem są trumny, ale należą tu i inne także produkty, jak zboże, sól i niektóre wytwory chemiczne itd. Obniżenie się ceny tych produktów nieznacznie tylko wzmoże ich konsumcyę. 2) Ile razy jedna gałąź przemysłu pozostaje w ścisłym związku z inną, to wzrost produkcyi w pierwszej może postępować tylko krok w krok z jej wzrostem w tej drugiej gałęzi. Ten wypadek jest bardzo częstym w życiu. Produkcya butelek i beczek jest zależną od ilości wyprodukowanego wina, nie można ich więcej sprzedawać, gdy nie ma już wina do ich napełnienia. To też cena ich spadła znacznie. Tak samo produkcya sprężyn do zegarków jest ograniczona produkcyą samych zegarków, produkcya gwoździ do nitowania przez produkcyę szyn lub kotłów, produkcya tych ostatnich jest znów ze swej strony zależna od wielu innych niezawisłych od ich ceny przyczyn, jak rozwój środków przewozowych, ilość kopalń i t. d. 3) Niekiedy wreszcie wynalazki mechaniczne nie sprowadzają wzrostu produkcyi, lecz tylko zmniejszają pracę rąk. Większa część maszyn rolniczych, młockarnie, żniwiarki, siewniki i t. d., nie powiększają ani o jedno ziarno ilości zbiorów. Dźwignie parowe w przystaniach, t. zw. elewatory, służące do ładowania towarów, również nie zwiększają wcale ilości towarów, i t. d.

Choćbyśmy nawet przypuścili, że zniżka ceny sprowadza odpowiedni, lub nawet więcej, niż proporcyonalny wzrost konsumcyi, to trzeba będzie jednak zawsze mniej lub więcej długiego przeciągu czasu, a nawet może życia kilku generacyj, nim ta zmiana w zupełności się dokona. Potrzeba pewnego czasu, by ceny się zniżyły, a to tem więcej, że sprzeczne z tem interesa przemysłowców i zakorzenione nawyknienia będą powstrzymywały ten spadek. Wprawdzie konkurencya doprowadzi ostatecznie do tego, ale przedsiębiorstwa współzawodniczące nie dadzą się przecież w jednym dniu w życie wprowadzić. Trzeba będzie dłuższego przeciągu

czasu, nim nowe warstwy społeczeństwa przyzwyczają się do cen zniżonych, bo one nie zmieniają tak prędko swoich wymagań i zwyczajów. A cóż się stanie tymczasem z robotnikiem, żyjącym z dnia na dzień? Jego wnukowie może znajdą w tem odszkodowanie, ale nie on.

3) *Wzrost funduszu płacy.* Dalej twierdzą owi ekonomiści, że każde zastosowanie maszyn, zaoszczędzających pracę rąk, musi przynieść jakiś zysk, bądź to producentowi w formie zwiększonego zysku przedsiębiorczego, gdy on i nadal sprzedaje produkta po dawnej cenie, bądź to konsumentowi przez zmniejszenie się jego wydatków, jeśli cena produktu obniży się do poziomu obecnych kosztów produkcyi. Choć więc mniej pieniędzy będą mieć robotnicy oddaleni, to jednak pieniądze te nie zginą, ale znajdą się albo w kieszeni przedsiębiorcy albo u konsumenta. A cóż zrobi z tem nowym swoim zyskiem fabrykant, a konsument z tymi nowemi oszczędnościami? Albo je gdzieś korzystnie ulokują, albo wydadzą na zakupno czegoś! Innego wyboru nie mają. Otóż tak w pierwszym, jak drugim razie pieniądze te zasilą jakąś gałąź przemysłu i rozwiną produkcyę, już to przez zakupno nowych wytworów, już to dostarczając produkcyi nowych kapitałów. Praca więc odzyska na nowo przez ten wzrost produkcyi to, co straciła. Ostatecznie zatem, twierdzą dalej, ta suma funduszu płacy, która chwilowo wskutek udoskonaleń mechaniki została uszczuploną, prędzej lub później wróci do dawnej wysokości. Każdy wynalazek mechaniczny wyda więc i pewną ilość pracy i pewną ilość kapitału, a skoro te dwa czynniki pozostają w ścisłym związku ze sobą tak, że jeden bez drugiego obejść się nie może, więc ostatecznie oba się odnajdą i połączą nawzajem.

Rozumowanie to jest ze stanowiska teoretycznego bardzo trafne. Tylko pytanie, gdzie i kiedy to połączenie nastąpi? Może dopiero za dziesięć lat lub na przeciwnym końcu świata. Może te przez konsumentów uskutecznione oszczędności zostaną użyte na budowę kanału w Panamie, lub kolei żelaznych w Chinach. Raz uwolniony kapitał łatwo znajdzie dla siebie lokacyę, bo jest ruchomy i może znaleźć dla siebie zatrudnienie

gdziekolwiekbądź. Ale robotnik nie jest tak ruchliwy, on nie jest zdolny oddawać się jakiemubądź zajęciu i szukać go po całym świecie. Ostatecznie dokaże tego, jeśli nie on to jego następcy, ale ta zmiana zajęcia nie nastąpi tak prędko i będzie bolesną. Nie słyszeliśmy, by kiedykolwiek było inaczej.

Odnośnie do tej piekącej kwestyi maszyn tem więc tylko pocieszyć się możemy, że te wielkie zmiany w dziedzinie mechaniki i życia społecznego, których świadkiem był wiek obecny, prawdopodobnie już dochodzą do swego ostatecznego kresu. Historya przewrotów społecznych ludzkości uczy nas, że po gwałtownych zmianach następowały czasy mniejszego lub większego zastoju; prawdopodobnie więc i wielki przewrot społeczny naszych czasów sprowadzi po sobie długi czas zastoju, lub co najmniej tylko bardzo powolnego postępu, podobny do tego peryodu przeszło tysiąca lat, który trwał przed dzisiejszym przewrotem. Wynalezienie maszyn parowych wywołało już lub w najbliższej przyszłości wywoła prawie wszystkie następstwa, które miało wywołać.

Czy może jeszcze jakie inne maszyny zostaną wynalezione? Któż to wie? a choćby i to przypuszczenie się spełniło, to pewna, że wprowadzenie tych nieznanych maszyn w miejsce parowych nie wywoła już takich zmian, jakie wywołało zastosowanie maszyn parowych w przemyśle rękodzielniczym. Sieć telegrafów i kolei żelaznych jest już prawie dziś, a będzie rzeczywiście za jakie lat pięćdziesiąt w całym świecie rozprowadzoną — co do tego więc zmiana jest już dokonaną i nie pozostanie tu już nic do zrobienia. Przypuśćmy, że wynajdą sztukę dowolnego kierowania balonami. Czyż można przypuścić, by przewożenie osób i towarów balonami wywołało taki sam przewrot ekonomiczny, jak zastąpienie dawnych wozów kolejami żelaznemi?

Ostatecznie ród ludzki w ciągu kilku generacyj zajmie i tę resztę niezajętych dotąd obszarów na naszej kuli ziemskiej tak, że nie będzie już więcej przestrzeni niezaludnionych, a wtedy zniknie i ten przewrot, który wywołała konkurencya krajów nowo osiedlonych na naszych targach.

Wszystko więc każe przypuszczać, że nasi wnukowie nie będą więcej doznawać takich wstrząśnień, jak my, ale będą mogli żyć spokojnie, jak nasi ojcowie.

IV.

Przyszłość produkcyi.

Starając się poznać ze stanowiska ekonomicznego przyszłość nowożytnego społeczeństwa, napotykamy na dwa wprost przeciwne zdania.

Jedni — a to ogół i prawie wszyscy socyaliści, pełni bezgranicznej wiary w postęp nauki i mechaniki i wszechpotęgę ducha ludzkiego, spodziewają się, że zwiększenie produkcyi dóbr będzie tak łatwem, że byle tylko każdy człowiek pracował codzień 3 do 4 godzin, nawet bez zbytniego natężenia, to cały ród ludzki będzie mógł żyć wśród dostatków.

Inni znowu są zdania, że obecna produkcya wystarczyłaby na zaspokojenie umiarkowanych potrzeb wszystkich ludzi, gdyby tylko *rozdział* jej rezultatów był słuszniejszy, i że celem, do którego zdążać należy, jest nie tyle pomnażanie dóbr, jak raczej zmniejszanie swych wymagań. Stuart Mill, wymowny obrońca [1]) tego zdania, sądzi, że zbliżamy się do „stanu spoczynku“, w którym „zobaczymy w końcu, jak rzeka przemysłu ludzkiego będzie uchodzić do stojącego spokojnie morza,“ a w którym za to nie będą więcej „wszystkie osobniki jednej płci zajęte polowaniem na dolary a drugiej znów płci zajęte wychowywaniem tych myśliwych dolarowych“.

Zauważyć należy, że obie te teorye, choć różnemi drogami do tego samego poglądu na przyszłość nas prowadzą a to: że społeczeństwo dojdzie kiedyś do takiego stanu, w któ-

[1]) *Principes d'Économie politique*, tłomaczenie francuzkie tom II str. 294.

rym, już to wskutek obfitości dóbr, już to wskutek zmniejszenia się wymagań, ludzie będą mniej pracować. Wtedy to będą oni mogli poświęcić się życiu politycznemu podobnie, jak to robili Grecy na swojem „Agora“ lub pod swoimi „portykami“, zajęciom artystycznym, ćwiczeniom gimnastycznym lub naukowym rozmyślaniom, naturalnie w godzinach wolnych od pracy z tą tylko różnicą, że to, co dawniej było przywilejem niewielu, stanie się teraz udziałem każdego.

Trzeba więc pod groźbą utraty wiary w przyszłość rodu ludzkiego mieć nadzieję, że to tak kiedyś będzie, ale nie tak prędko zaświta dzień ten na naszym horyzoncie.

W rzeczy samej nie można zbyt wiele liczyć na ograniczenie potrzeb, skorośmy już widzieli, że potrzeby ludzkie z samej swej natury dadzą się w nieskończoność powiększać, i z tego też powodu rosną wraz z rozwojem jednostki.

Jeszcze mniej można się opierać na bezustannym wzroście ilości dóbr, bo widzieliśmy, jak ludzie łudzą się nadzieją postępu i wiemy, że na przekór całemu postępowi, ilość dóbr istniejących na świecie jest niestety wprost niewystarczającą, a to nawet w społeczeństwach najwięcej dumnych ze swej wiedzy i próżnych ze swych bogactw[1]). Ród ludzki na świecie jest podobny do Robinsona na wyspie w pierwszych latach jego osamotnienia. Nie nadszedł jeszcze dlań dzień odpoczynku. Wtedy dopiero będzie mógł odpoczywać zamiast pracować, skoro będzie miał zapewnioną dostateczną ilość środków utrzymania dla tej niezmierzonej masy ludzi, którzy ich są jeszcze pozbawieni. Nie należy zapominać, że do dzisiaj jest na świecie coś koło miliarda ludzi, pozbawionych w mniejszym lub wyższym stopniu środków potrzebnych do pomyślnego rozwoju; a gdyby to tylko chodziło o zaopatrzenie potrzeb żyjących pokoleń! ale przecież ilość ludzi

[1]) Stuart Mill twierdzi, że tylko w krajach zacofanych ma jeszcze wzrost produkcyi pewne znaczenie, ale w krajach rozwiniętych chodzi raczej o lepszy rozdział dóbr. Zdaniem naszem, popełnia on gruby błąd, który nadto stanowi podstawę wszystkich systemów socyalistycznych.

bezustannie wzrasta, a tak cel, do którego usilnie zdążamy, ucieka nam. Jakże więc oddalonym jest dzień, w którym wolnoby nam było iść za poradą Horacego *„carpe diem“* lub urzeczywistnić przepowiednię Antiparosa i „pędzić wreszcie życie próżniacze, używając dóbr, któremi bogowie nas darzą“.

KSIĘGA III.

KONSUMCYA.

Jakie są sposoby użycia dóbr?

Przedmiotem nauki o konsumcyi jest poznanie różnych sposobów użycia dóbr i wskazanie nam głównych ekonomicznych i moralnych przyczyn, które powinny nas skłonić do przeniesienia jednego sposobu użytku nad drugi. Mogłoby się zdawać, że trudno odpowiedzieć na powyższe pytanie, bo użytek z dóbr na pozór zdaje się być bardzo rozmaitym. Ale wystarczy przypatrzeć mu się tylko nieco bliżej, by się przekonać, że wszystkie te sposoby użycia dóbr dadzą się sprowadzić do bardzo małej liczby kategoryj.

Przypatrzmy się n. p. Robinsonowi, co on robi z tą garścią ziarna, którą zebrał w pobliżu swej groty. Miał do wyboru te trzy sposoby jej użycia:

Mógł je zjeść, t. j. obrócić je na bezpośrednie zaspokojenie swych potrzeb.

Mógł je zasiać, więc użyć ich do produkcyi nowych dóbr.

Mógł je schować, czyli odłożyć je na bok jako zapas na przyszłość.

Każdy z żyjących w społeczeństwie ludzi może więc używać dóbr w jeden z tych trzech sposobów; innego możli-

wego sposobu użycia takowych nie ma [1]). Tylko, że wskutek nieuchronnego pośrednictwa pieniędzy w stosunkach między ludźmi, każda z tych trzech czynności przyobleka się dziś w odrębną formę i nosi osobne miano.

Fakt użycia dóbr na zaspokojenie swych potrzeb zwie się *wydatkiem*, bo też tę postać przybiera w rzeczywistości każdy akt konsumcyi [2]) (konsumcya osobista). Użycie dobra do produkcyi nowych dóbr nosi miano *lokacyi* (konsumcya rzeczowa); ulokować swe pieniądze jest to samo, co użyć ich na dalszą produkcyę. Wreszcie wstrzymanie się od bezpośredniego użycia dóbr i odłożenie ich na bok zowie się *zaoszczędzaniem*.

---

[1]) Ależ można je przecież darować komu trzeciemu — mógłby ktoś powiedzieć? Prawda, ale ten obdarowany wstąpi tylko poprostu w miejsce darującego i ze swej strony nie będzie mógł tych dóbr użyć w inny sposób, jak tylko w jeden z trzech powyżej podanych. Przeniesienie dóbr na kogo innego w drodze darowizny lub inny sposób nie dotyczy w niczem ich konsumcyi.

Można je jeszcze zniszczyć n. p. rzucając je w morze. Prawie zawsze interes osobisty właściciela daje dostateczną rękojmię, że ich w ten sposób nie zużyje. Ale ustawodawca, który ma mieć wzgląd na korzyść ogółu, powinien wynaleść środek ku zapobieżeniu temu. Po części stara się o to: podpalenie własnego domu lub zebranych plonów jest przez nasze prawa karanem, a rozrzutny, który marnuje swe mienie, dostaje się pod kuratelę sądową. Możnaby tylko zauważyć, że ustawodawca okazuje się w tym względzie bardzo bojaźliwym i posuwa się za daleko w swem przesadnem uszanowaniu dla świętego prawa własności. Zresztą nas obchodzi tu użycie dobra a nie jego zniszczenie.

[2]) Może się czasem zdarzyć, że konsumcya nie wystąpi pod formą wydatku, n. p. u rolnika, który sam spożywa płody swej ziemi, wszelako, gdyby on ściśle prowadził swe rachunki, to musiałby w poczet swych wydatków wstawić, przynajmniej jako pozycyę fikcyjną, wartość płodów, które spożył *in natura*.

ROZDZIAŁ I.

Wydatki.

I.

Jak należy rozumieć wydatek?

W mowie potocznej przez wydatek rozumie się każde wydanie pieniędzy. Tymczasem nie należy do wydatków zakupno papierów wartościowych, ziemi, domów — o tem mówi się, że to jest „lokacya“.

Nie podpada też pod pojęcie wydatków zakupno surowców przez przemysłowca, nasion i nawozów przez rolnika, towarów przez kupca, ani nawet płace, jakie oni dają swoim robotnikom — to są „zaliczki“. Wyraz wydatek w swojem ścisłem znaczeniu odnosi się więc tylko do pewnego rodzaju zakupna — a to do kupna przedmiotów lub usług, *przeznaczonych wyłącznie na naszą konsumcyę osobistą*. Żywność, ubranie, czynsz za mieszkanie, sprzęty, służba, podróże, to wszystko, co jest przeznaczone na bezpośrednie zaspokojenie naszych potrzeb — to są wydatki. Ze wszystkich sposobów użycia dóbr jest z pewnością użycie ich na wydatki tym, który przez głos ogółu bywa najprzychylniej przyjmowany. Każdy wie, z jaką surowością wyrażała się opinia publiczna o tych, którzy oszczędzają, a jak pobłażliwą była zawsze dla tych, którzy wydają. Kościół zaliczył skąpstwo w poczet siedmiu grzechów głównych, ale nie umieścił między niemi rozrzutności. Nie ma moralisty ani dramaturga, któryby nie wyszydzał nielitościwie skąpstwa, a wielu z nich traktuje pobłażliwie rozrzutność.

I po miastach i na wsi człowiek oszczędny mało jest przez swych sąsiadów lubiany, gotowi są uznać go za swego wspólnego nieprzyjaciela, a ten, kto wydaje (wszystko, co ma), cieszy się popularnością. A dlaczego? Każdy potrafi wskazać tego przyczynę. Oto ten, który oszczędza, może

dobrze na tem wychodzi, ale inni źle na tem wychodzą. Odkładając na bok swe dochody i zatrzymując dla siebie samego swój majątek — czy to w formie gotówki na wzór skąpców ubiegłych wieków, czy to w formie pewnych papierów wartościowych, jak to robią dziś ludzie oszczędni — zawsze postępuje on egoistycznie, bo nie pozwala innym przy tem odnosić korzyści: *nie da nic nikomu zarobić.*

Przeciwnie ten, kto wydaje, „pozwala ludziom żyć“ — jak się to mówi. Pieniądze, które wydaje, czy nawet trwoni, spadają jak ta manna do kieszeni kupców, robotników i producentów wszelkiego rodzaju. „Gdyby bogaci nie wydawali dużo, biedni zginęliby z głodu“ — mówi Montesquieu sam we własnej osobie. Nawet — powiadają — gdy rozrzutny przepuści wszystko, co miał, to ile to jest złem dla niego, o tyle dobrem dla innych, którzy na tem musieli zyskać — i ostatecznie nic z tego nie zginęło.

Tymczasem skorośmy się przekonali, że pojęcie każdego wydatku jest równoznacznem z konsumcyą, trzeba dalej uznać, że każdy wydatek mieści w sobie zniszczenie pewnej ilości dóbr. Ponieważ jednak tutaj, jak zawsze, uwzględniamy operacye pieniężne, dlatego też twierdzenie nasze niełatwo trafia do przekonania. Prawda, że pieniądze wydane nie giną, tylko poprostu przechodzą z kieszeni jednego do drugiego. To — jak mówi Bastiat — „widzi się“; ale „tego się nie widzi“, że przedmioty nabyte za wydane pieniądze zostają rzeczywiście zużyte, giną bezpowrotnie. Dajmy na to, że jakiś bal kosztował 10.000 fr. Te dziesięć tysięcy franków z pewnością się gdzieś znajdą, one nie zginęły. Wprawdzie nie ma ich już ten, kto bal urządzał, ale one są w kieszeniach dostawców. Ale przedmiotów, których dostarczyli ci dostawcy, tych już nie odnajdziemy, te zostały rzeczywiście, bezpowrotnie zniszczone. Ciasta zostały zjedzone, świece się wypaliły, kwiaty zwiędły. toalety dam straciły świeżość i t. d.; wszystkie te dobra wartości 10.000 fr. zostały wymazane z liczby dóbr społeczeństwa. Jest atoli kilka szczegółów odnośnie do tych wydatków, które należy zaznaczyć.

Przedewszystkiem nie każdy wydatek obejmuje w sobie zniszczenie [1]) danego dobra. Przedmioty, które kupujemy, nie zawsze zużywają się przez to, że się niemi posługujemy; ubranie trwa kilka miesięcy, sprzęty kilka lat, domy przetrwają kilka pokoleń, a dzieła sztuki, jak bronzy, marmury i malowidła mają tę właściwość, że są nieśmiertelne i mogą przez to sprawiać ludziom bezustannie zadowolenie. W takich wypadkach nie idą na marne ani pieniądze, ani nawet towary w zamian otrzymane. To też ogół mówi niekiedy, gdy idzie o kupno jakiegoś trwałego przedmiotu ze srebra lub obrazu, że jest to „dobre umieszczenie (lokacya) pieniędzy“. Wyrażenie to jest atoli niewłaściwe, bo choć taki wydatek nie wywołuje zużycia, to znów nie można powiedzieć, by on był produkcyjny i z tego właśnie powodu różnić się będzie zasadniczo od „lokacyi“ we właściwem tego słowa znaczeniu. Jeśli wreszcie zbieracz starożytności płaci dziesięć tysięcy franków za jakąś starą poszczerbaną porcelanę, to oczywiście wydatek ten nie spowoduje rzeczywistego zniszczenia dóbr, choć jest do pewnego stopnia szaleństwem ze strony wydatkującego.

Niejednokrotnie się dzieje, że choć część jakaś dobra zostaje zużytą, to jednak wartość tego dobra zużytego daleką jest od tego, by dorównać wysokości poniesionego w tym celu wydatku. Jeźli n. p. wielka pani płaci za suknię przeciętnie 1500 fr., a to tylko dlatego, że ta pochodzi z zakładu słynnej krawczyni, to wartość dóbr rzeczywiście tu skonsumowanych nie dorównywa cenie, pierwsza bowiem składa się

---

[1]) Jeśliśmy powiedzieli, że pojęcie wydatku wogóle łączy się z pojęciem zniszczenia jakiegoś dobra, to oczywiście nie szło nam tu o zniszczenie samej „materyi“, bo człowiek tak dobrze nie może „materyi“ zniszczyć, jak i stworzyć, — ale idzie tu o zniszczenie jej użyteczności tak, by ta rzecz, lub to, co z niej zostanie, nie było do niczego więcej przydatne, choć przemysł ludzki może potrafi ciągnąć korzyści nawet z tych bezużytecznych resztek, obracając je na jakiś nowy użytek. Tak ma się rzecz z resztkami naszego pożywienia, z których robi się nawóz, a ze szczątków naszego ubrania papier.

tylko z wartości materyału zużytego i ilości pracy wyłożonej przez robotnice — a więc przedstawia może ledwie czwartą część całej ceny. Prawda, że te 1500 fr., które ta pani wydała, są dla niej całkiem stracone — ale nie są one straconemi dla społeczeństwa, bo one przeszły tylko do rąk dostawcy. To też bardzo subtelnie określił to Stuart Mill mówiąc, że rozrzutny nie marnuje znów tyle pieniędzy, jakby się to zdawać mogło, że więc nie można twierdzić, żeby on wszystko rzeczywiście zmarnował, a to nawet wtedy, gdyby mu ani cent w kieszeni nie pozostał. Większa bowiem część jego majątku istnieje w rękach tych wszystkich, którzy go wyzyskiwali, a więc u jego dostawców, rządców, służby i utrzymanek, a może nawet w rękach jego przyjaciół, którzy go ograli w karty. Do pewnego stopnia więc zostały te dobra ocalone przed rzeczywistem ich zniszczeniem.

II.

Dlaczego wydatki regulują produkcyę, ale jej nie utrzymują?

Wystarczy rzucić okiem na stosunki ekonomiczne, by się przekonać, jak ścisły związek zachodzi między produkcyą a konsumcyą i w jak wysokim stopniu rozwój pierwszej zależy od drugiej. Ilekroć konsumcya się zwiększa, produkcya wzrasta — a ile razy konsumcya ulega przerwie lub zmniejszeniu, to i produkcya przestaje być tak czynną. Ztąd wnioskować można, że konsumcya jest rzeczywistą przyczyną produkcyi. To też ogół nie waha się twierdzić, że chcąc, by produkowano wiele, trzeba wiele konsumować czyli wydawać. W wyrażeniu tem jednak zachodzi pewne pomięszanie pojęć.

Niezawodnie — produkcya jakiegoś przedmiotu zależy od popytu nań. Jeśli popyt na co jest wielki, to staramy się i wyprodukować tego jak najwięcej, a gdy popyt ustaje, to zwracamy nasze starania w inną stronę.

Ale i to też oczywista, że chcąc, by jakaś rzecz powstała, nie wystarczy samo tylko jej pożądanie, trzeba nadto, by istniały środki do jej produkcyi. Inaczejby się rzecz miała, gdyby nasza wola była twórczą — ale na nieszczęście nią nie jest. Wiadomo, że do zaistnienia jakiegoś dobra potrzeba pewnej ilości pracy, materyału surowego, ziemi i kapitału — a są to właśnie same przedmioty, których ilości ani nasze wydatki, ani konsumcya istotnie zwiększyć nie jest w stanie, ale przeciwnie może je tylko zmniejszyć. To też rażącym nonsensem byłoby twierdzenie, że im więcej owoców zostanie zerwanych, tem więcej w sadzie urośnie, im więcej będą ryb łowić, tem więcej ich morze dostarczy, im więcej drzewa spalimy, tem wyższe i gęstsze będą lasy. Przyczyną tego jest, jak wiemy, to, że zdolność wytwórcza czynników produkcyi nie zależy od konsumcyi.

Tymczasem nie będzie się wydawać niedorzecznem gdy powiemy, że im więcej wstążek spotrzebujemy, tem więcej ich wyprodukują. A to dlaczego? Bo jeśli na te wytwory będzie większy z naszej strony popyt, niż na inne, to przemysł zaraz postara się o środki do zaspokojenia nas, zwracając w tę stronę pracę i kapitały, zatrudnione w innych gałęziach produkcyi, a wtedy zobaczymy, że produkcya wstążek wzmoże się równocześnie z ich konsumcyą. Ale choćby jak największy był popyt za niemi i choćbyśmy byli gotowi i bardzo wielką ich ilość zużyć, to i takby ich nie wyprodukowano, gdyby poprzód nie było dla nich czynników koniecznych do każdej produkcyi, t. j. pewnej ilości pracujących i kapitałów. Otóż co do ilości robotników, to jej wzrost nie zależy od nas; co do kapitałów, to wprawdzie wzrost ich zależy od nas, ale w jakiej mierze? Czy od wydatków? Z pewnością nie, owszem przeciwnie od oszczędzania. A więc oszczędności, a nie wydatki zasilają produkcyę [1]).

[1]) Ogół dóbr, istniejących w danej chwili w pewnym kraju należy przyrównać nie do wody nagromadzonej w zamkniętym zbiorniku, ale do wody bieżącej, odnawiającej się bezustannie, zasilanej przez te dwa źródła: pracę i ziemię. Otóż niejeden myśli, że im więcej tej wody będzie się czerpać z tego strumienia,

III.

Ile należy przeznaczać na wydatki?

Nierozsądnem byłoby, gdybyśmy na podstawie omówionego faktu, że każdy wydatek wogóle mieści w sobie zniszczenie dóbr, chcieli wnioskować, że każdy powinien się starać wydawać jak najmniej.

Każde dobro jest z istoty swej przeznaczone na konsumcyę, bo ono na to tylko zostało wytworzonem. Konsumcya, jak zresztą już sama nazwa wskazuje, jest „zakończeniem“ każdego procesu ekonomicznego: ona jest ostatecznym celem, do którego zdąża produkcya, obieg i rozdział dóbr. Celem samego zaoszczędzania jest tylko zabezpieczenie jak najdoskonalszego zaspokojenia konsumcyi w przyszłości. Jeśli n. p. Robinson, jakeśmy widzieli, zamiast zjeść garść ziarna, która ocalała z rozbicia okrętu, postanowił ją zasiać, to nie w innym celu jak tylko, by módz w następnym roku zjeść dziesięć razy tyle. Gdyby ludzie mieli ustawicznie oszczędzać na to, by tego nigdy nie skonsumować, postępowaliby jak najniedorzeczniej.

Z drugiej znów strony nie należy ani na chwilę tracić z oczu podnoszonej już kilkakrotnie okoliczności, że ilość dóbr istniejących w świecie jest jeszcze bardzo niedostateczną i że ród ludzki na swej kuli ziemskiej nie jest ani na troszkę bogatszy od Robinsona na wyspie. O tyle więc jest to w interesie całego społeczeństwa i zarazem obowiązkiem każdego osobnika, by używano oszczędnie tych cennych środków, obniżając w pewnej mierze część przeznaczoną na konsumcyę nieprodukcyjną, a zachowując nieco na wyprodukowanie nowych dóbr.

---

tem więcej jej przybędzie. Tak atoli być nie może, bo dopływ tak z jednego, jak z drugiego z tych dwóch źródeł jest ograniczony, a że znów jest wielu takich, którzy z nich czerpią zupełnie dowolnie, więc inni będą musieli zadowolnić się mniejszym udziałem.

Dochody więc każdego z nas, a tem samem i ogólny dochód kraju należy rozdzielić na dwie części — jedną przeznaczoną na wydatki, drugą na oszczędności.

We wszystkich krajach cywilizowanych rozdział ten dokonywa się sam przez się. Że jednak siła natężenia przyczyn skłaniających nas do wydawania i przyczyn pobudzających nas do oszczędzania jest bardzo nierówna, więc też i rozdział ten następuje w stosunku bardzo nierównym: nawet w krajach najbardziej rozwiniętych rzadko się zdarzy, by część przeznaczona na zaoszczędzenie dosięgała $^1/_{10}$ dochodu [1]).

Bardzo doniosłem byłoby gdyby można oznaczyć w sposób naukowy, jak wielką jest część, którą przeznaczać należy na wydatki. Pytanie to jednak nie da się rozwiązać ani dokładnie, ani nawet w przybliżeniu. Można tylko podać w tym kierunku pewne zasady, na które godzą się wszyscy ekonomiści.

1. Każdy wydatek, prowadzący do rozwoju fizycznego lub intellektualnego człowieka, należy ponieść bez wahania się, bo nietylko jest on sam przez się dobry, ale nadto lepszy nawet niż oszczędzanie. Czyż może człowiek użyć dóbr na coś lepszego, jak na wzmocnienie swego zdrowia lub rozwinięcie swego umysłu? Z tej przyczyny należy nietylko zgodzić się, ale nawet polecić takie wydatki, jak na zdrowe pożywienie, dobre ubranie, zdrowe pomieszkanie, wygodne sprzęty lub pouczające książki. Możnaby powiedzieć, że jest to najlepsze ulokowanie pieniędzy, bo odżywiając się i mieszkając jak najlepiej, człowiek nietylko sprowadza coś więcej jak proste zaspokojenie swych potrzeb, ale pośrednio konsumcya ta prowadzi do wzrostu jego zdolności do pracy, jego możności produkowania i wskutek tego osiąga ten sam rezultat, co oszczędność.

To właśnie powinno być znamieniem wydatków publicznych. Nie należy bowiem nigdy zapominać, że tak samo,

---

[1]) Roczne oszczędności Anglii i Francyi można w tej właśnie wysokości podawać, bo wynoszą one 2 do 3 miliardów na ogólny dochód 25 do 30 miliardów.

jak wydatki prywatne, zawierają one w sobie pewne zniszczenie dóbr. Jeśli jednak dobra te zostaną zużyte na rozwój wykształcenia obywateli, więc na szkoły, biblioteki lub na wzmocnienie ich zdrowia, więc na ogrody publiczne, szpitale, zakłady kąpielowe lub gimnastyczne, lub na wykształcenie ich smaku artystycznego przez muzykę, koncerty lub teatry, to takich wydatków nie można ganić. Na to jednak baczyć należy, by nie było w tem wszystkiem więcej zbytku nad to, czego potrzeba do osiągnięcia zamierzonego celu.

2. Przeciwnie każdy wydatek, prowadzący do odmiennych wyników, który więc z natury swej powstrzymuje rozwój fizyczny, intellektualny lub moralny człowieka winien potępić bezwzględnie i moralista i ekonomista, bo osłabia on w przeciągu krótszego lub dłuższego czasu zdolność produkowania. Najlepszym z pomiędzy przykładów, które można w tym kierunku przytoczyć jest konsumcya alkoholu w Europie, opium na Wschodzie [1]).

3. Wreszcie również potępienia godnym jest każdy wydatek, nie odpowiadający żadnej potrzebie, nie przynoszący żadnego zadowolenia, chyba tylko radość ze samego zniszczenia, gdy ponosimy wydatek dla niego samego, gdzie on zamiast być środkiem do celu, sam staje się celem. Tu należą tego rodzaju fakta, jak przytoczony przez J. B. Say'a, że ktoś rozbija szkło deserowe, „żeby ludzie mogli żyć“. Społeczeństwo nie żyło przez to ani dłużej, ani krócej, a tylko musiało stracić trochę czasu na naprawienie głupstwa popełnionego przez tego szaleńca, bo musiało wyprodukować inne

[1]) Francya konsumuje rocznie koło 150 milionów litrów wódki, sprzedawanej pod postacią około 10 miliardów kieliszków po dwa sous, co stanowi roczny wydatek dochodzący miliarda franków. Ale wydatek ten jest jeszcze nieznaczny w porównaniu do ogromnych strat, zrządzonych przez niezdolność do pracy, choroby, obłąkania, zbrodnie i samobójstwa. Rosya, Niemcy, Belgia, Holandya i Szwajcarya konsumują jej jeszcze więcej. Pocieszającym jednak objawem jest to, że „towarzystwa wstrzemięźliwości“ sprowadziły znaczne już zmniejszenie się tej konsumcyi w Norwegii, Anglii i Stanach Zjednoczonych. Alkoholizm jest jedną z kwestyj, któremi się dziś społeczeństwa zajmują gorąco.

szklanki. Słynna perła, którą Kleopatra rozpuściła w winie, nie zrobiła go lepszem, potrawa, którą Ezop kazał przyrządzić z języczków słowiczych i szpaczych, nie była z pewnością więcej soczystą, smaczną od takiejże potrawy przyrządzonej z ptaków nieśpiewających. Nie potrzeba zresztą szukać przykładów tak daleko, każdy kto pije piwo, nie mając pragnienia, lub pali papierosa, nie znajdując w tem przyjemności i robi to jedynie dla tego, że inni robią to samo, sprawia w małych rozmiarach zniszczenie dóbr, podobne do owego królowej Egiptu lub Ezopa; nawet źle wyraziłem się, mówiąc „w małych rozmiarach“, bo gdyby można zliczyć wszystkie rozrzucone po każdym kraju akta podobnej konsumcyi, nie sprawiającej na swe usprawiedliwienie żadnej przyjemności, to przedstawiłaby one wartość o wiele wyższą, niż owa perła Kleopatry.

IV.

Zbytek.

Choćbyśmy przypuścili, że wskazane przez nas zasady wejdą w życie bez podnoszenia przeciw nim żadnych wątpliwości, to jeszcze i tak daleko do rozwiązania postawionego pytania. Cóż bowiem powiedzieć na te tak różnorodne wydatki, które, nie zdążając wprost do rozwoju fizycznego lub umysłowego, uprzyjemniają nam jednak życie, zapewniając mu więcej wygód i rozrywek bardziej wyszukanych?

Na tem polega głośna kwestya *zbytku*, stanowiąca przedmiot ustawicznych rozpraw tak wśród ekonomistów, jak moralistów [1]). Podobnie, jak we wszystkich prawie wa-

[1]) A może trzebaby z góry określić pojęcie zbytku. Uwaga ta jest dość słuszną — tylko, że pojęcie zbytku nie da się ująć w dokładną, ścisłą definicyę. Słowo „zbytek“ obejmuje pojęcie dwóch nieproporcyonalności: — z jednej strony braku równowagi między wydatkami, a stanem majątkowym, — z drugiej braku proporcyi między poniesionemi wydatkami, a osiągniętemi ztąd

niejszych zagadnieniach z dziedziny ekonomii politycznej — tak i tu istnieją dwie szkoły.

Jedna uważa wydatki zbytkowne za takie, które trzeba przynajmniej ze stanowiska ekonomicznego potępić, jeśli ich wogóle nie mamy w drodze prawnej zakazać [1]). Twierdzą oni, że ilość dóbr istniejących jest niedostateczną dla zaspokojenia, choćby tylko najkonieczniejszych potrzeb przeważnej większości naszych bliźnich, że więc wskutek tego należy się starać o możliwie największe pomnożenie tych zasobów, któreby pozostały do rozporządzenia, a nie czerpać z nich tak zupełnie dowolnie na zaspokojenie wybujałych fantazyj; że siły produkcyjne, któremi rozporządzać możemy, są w ogóle ograniczone i że, jeśli części dóbr użyjemy na produkcyę przedmiotów zbytkownych, to tem mniej zostanie ich na produkcyę środków żywności, stanowiących przedmiot konsumcyi ogółu.

Drudzy odpowiadają na to, że zbytek jest jedynym bodźcem do postępu; że w życiu ludzkiem każdy postęp objawia się naprzód w postaci jakiejś potrzeby zbytkowej, że jest on więc konieczną fazą postępu. W istocie każda potrzeba, występująca po raz pierwszy na widownię tego świata, musi wydać się niezwykłą, bo jej z jednej strony nikt jeszcze nie odczuł, a z drugiej zaś, ponieważ wymaga znacznej pracy na swe zaspokojenie z powodu, że produkcya w tym kierunku słabo jest rozwiniętą oraz z powodu koniecznych nieudałych prób z początku. Dziś n. p. bielizna stanowi przedmiot, bez któregobyśmy się obejść nie mogli, a wyrażenie: „mam ledwie tę jedną koszulę“, używane bywa na oznaczenie ostatniego stopnia ubóstwa. Tymczasem, jak to już z góry można było przypuścić, historya uczy, że były czasy, w których koszula stanowiła przedmiot wielkiego zbytku i poda-

---

korzyściami. Zużyć pewną sumę pieniędzy lub, wyrażając się więcej naukowo, pewną stosunkowo znaczną ilość pracy na zaspokojenie jakiejś stosunkowo nieznacznej potrzeby. Oto zbytek.

[1]) Wiadomo, że w starożytności i wiekach średnich wydawano kilkakrotnie „prawa przeciw zbytkowi“, które miały zapobiegać rozszerzaniu się zbytku.

runek niemal królewski. Gdyby więc właściwem i słusznem było zapatrywanie poprzód przytoczone, potępiające każdą potrzebę zbytkową, to stłumionoby w zarodku wszystkie potrzeby właściwe człowiekowi cywilizowanemu i dziś jeszcze żylibyśmy wśród tych samych stosunków, co przodkowie nasi z epoki kamiennej [1]).

Zdaniem naszem dwa te zapatrywania nie są znów ze sobą tak rażąco sprzeczne. Można bardzo słusznie potępić wszystkie wydatki zbytkowe, które sprowadzają zbyt wielki ubytek sił produkcyjnych, a pochwalać lub nawet popierać wszelką nową potrzebę, stojącą w związku z jakimś nowym wynalazkiem lub zdążającą do rozwoju władz umysłowych człowieka. Zaprowadzenie telefonów stanowi bez wątpienia wydatek zbytkowny, przecież trzeba uznać, że ci, którzy mają środki na zrobienie takiego wydatku, dobrze uczynią, ponosząc go, bo nie tylko, że wynalazek ten przyczynia się bardzo do ułatwienia życia ludzkiego, oszczędzając czasu i trudu, ale nadto jedynym sposobem wprowadzenia tego wynalazku w powszechne użycie jest przedewszystkiem oddanie go na usługi klas zamożnych. Ci, którzy pierwsi zaczęli używać koszul lub widelców [2]), może byli uważani za rozrzutnych przez ludzi sobie współczesnych, ale oni to właśnie pierwsi dali dobry przykład innym i wprowadzili przemysł na dobrą drogę. Ale znów, gdy jaka dama każe obszyć swą suknię balową koronkami, które przedstawiają kilkuletnią pracę robotnicy lub, gdy lord angielski dla zabawy swych gości, by ci mogli zastrzelić kilka bażantów, zajmuje na zwierzyniec obszar ziemi, któryby mógł służyć do produkcyi żywności dla kilkuset osób — to wtedy mamy prawo

[1]) Patrz odnośnie do pierwszego zapatrywania E. Laveleya „Zbytek“ *(de Luxe)* — co do drugiego P. Leroy-Beaulieu *Précis d'Économie politique*. Bardzo wiele światła na tę kwestyą rzuca też czterotomowe dzieło M. Baudrillart'a o historyi zbytku.

[2]) Otóż co do widelców, to może lepiejby było, gdyby moda obdarzyła nas laseczkami, jakich używają Japończycy i Chińczycy. One może lepiej odpowiadają potrzebie czystości i elegancyi, a kosztują o wiele mniej.

powiedzieć, że to jest potępienia godne marnowanie dóbr: tu nie ma mowy o postępie.

Jakto, może ktoś powie, więc mogłoby to polepszyć byt robotników angielskich, gdyby lordowie rozpuścili zastępy swych sług, zrzekli się przyjemności swych obszernych ogrodów i zwierzyńców, swych stajen i psiarni i gdyby mniej spijali win? Zdaniem naszem — tak. Liczba robotników zostałaby zwiększoną o tych oddalonych ze służby darmozjadów, pola uprawne zwiększyłyby się o zwrócone kulturze obszary, krowy i trzoda chlewna utuczyłaby się na paszy dawanej dawniej koniom i psom, a zasoby kraju wzmogłyby się o tyle, o ileby mniej konsumowali obecnie lordowie. Gdyby więc wszystkie czynniki produkcyi w ten sposób się pomnożyły, to musiałaby wzróść i ilość dóbr, a gdyby ich było więcej, to byłyby także tańsze, o tyle więc polepszyłaby się dola robotników [1]).

---

[1]) A sztukę czy należy też uważać za zbytek? Zapewne ekonomista musi ją tak nazwać, ale ze wszystkich rodzajów zbytku o tym właśnie można wyrazić się przychylnie, nie porzucając nawet zajętego stanowiska ekonomicznego. Nie idzie tu o zdanie, czy zapłacenie 600.000 frk. za obraz jakiś nie jest do pewnego stopnia szaleństwem — bo i to być może, ale trzeba pamiętać, że te 600.000 frk. możemy zawsze dostać napowrót, nie ma więc co brać ich pod uwagę. Całe więc pytanie ogranicza się do tego, czy ilość pracy i kapitału, jakiego on wymagał, odpowiednią jest do wielkości zadowolenia, jakie nam ten obraz sprawiać może. Otóż to widoczna, że wymaga on stosunkowo nie wielkiej ilości dóbr i pracy — bo czegoż potrzeba, żeby go zrobić? Jeden meter płótna, trochę farb olejnych i kilkutygodniowej lub kilkumiesięcznej pracy jednego człowieka (względnie dwóch lub trzech ludzi, jeśli wliczymy i pozowanie modeli) — i już gotowem jest dzieło, które przy swej ogromnej trwałości jest w stanie przez całe wieki sprawiać ludziom prawdziwą przyjemność. Tu więc bez wątpienia nie ma wcale mowy o braku równowagi między wyłożonym trudem a osiągniętemi wynikami. O tyle jednak można powiedzieć, że sztuka jest zbytkiem, iż każde wielkie dzieło jest zwykle połączone z wielką stratą sił produkcyjnych w danym kraju — a to w tem znaczeniu, że na jednego genialnego artystę przypada zawsze koło stu miernych, których praca jest naturalnie bezpożytecznie stracona.

V.

Wydatki cudzoziemców.

Jeżeli wydatek Francuza we Francyi zrobiony łączy się z pewnem zniszczeniem dóbr, to nie tak się ma rzecz z wydatkami cudzoziemca. Prawda, że on przez swą konsumcyę niszczy także pewną ilość dóbr, ale za to przynosi ich równowartość w pieniądzach i kraj nic na tem nie traci [1]).

Czy wystarczy powiedzieć, że kraj nic nie traci, czy nie można twierdzić, że on na tem zyskuje?

Tak przynajmniej sądzi ogół, nie wahając się upatrywać w wydatkach, które ponoszą cudzoziemcy u nas, źródła nowych bogactw dla kraju. Szwajcarya, Włochy, Nicea, uważają cudzoziemca za kurę, znoszącą złote jaja. Ekonomiści przeciwnie uważają zdanie to za błędne, a wydatki te jako nie przynoszące żadnej korzyści i niemogące w niczem zwiększyć bogactwa kraju. Czemu więc wierzyć należy?

Ekonomiści uzasadniają swe zdanie tem, że cudzoziemcy w zamian za gotówkę, którą dają, konsumują pewną ilość dóbr równych jej zupełnie co do wartości, że więc kraj jako całość wzięty nic na tem nie zyskuje ani nie traci, choć pewne gałęzie przemysłu i poszczególne okolice mogą niezaprzeczenie znaleść przy tem zarobek. Zaprzeczyć się nie da w istocie, że obecność cudzoziemców w pewnej miejscowości może spowodować przypływ ludności i kapitałów, że przedsiębiorstwa hotelowe, fiakierskie i zakłady fotograficzne mogą na tem dobrze wychodzić, ale ci robotnicy i te kapitały zostają odwrócone, odciągnięte od innych zajęć, że więc

---

[1]) Przypuszczamy tu naturalnie, że cudzoziemiec pobiera te pieniądze ze swego kraju rodzinnego, bo gdyby je pobierał od kapitałów ulokowanych we Francyi lub z ziemi tamże położonej, to oczywiście wydatki jego nie wyróżniałyby się w istocie rzeczy niczem od wydatków krajowców.

całkiem naturalnie te inne gałęzie przemysłu muszą tracić na tem o tyle, o ile tamte na tem zyskują.

Ale czy ścisłem będzie wyrażenie, że cudzoziemcy konsumują zawsze równowartą ilość dóbr? Nie zawsze będzie to prawdziwem. I tak nie można tego twierdzić, ilekroć cudzoziemiec zostaje wyzyskanym t. j. ilekroć za przedmiot swej konsumcyi musi zapłacić sumę pieniędzy, przewyższającą znacznie jego wartość rzeczywistą. Wtedy oczywiście płaci on krajowi pewien rodzaj haraczu, prawdziwy podatek pogłówny. Otóż, zastrzegłszy się przeciw moralności tego sposobu postępowania, musimy wyznać, że takie wyzyskiwanie jest już uświęcone przez zwyczaj i że nie ma ani jednego miasta nawiedzanego przez cudzoziemców, w któremby kupcy nie mieli podwójnych cen,—jednych dla cudzoziemców, drugich dla krajowców.

Niemniej tak samo ma się rzecz, gdzie idzie o dobra, które z natury swej nie są zużywalne, ani nie ulegają zniszczeniu odrazu. Jeżeli cudzoziemiec najmuje na pewien czas willę, lub na pewien dzień bierze przewodnika i przez to nabywa prawa rozkoszowania się piękną pogodą, oddychania świeżem powietrzem i zachwycania się malowniczemi widokami, to nie zabiera przez to jeszcze nic z bogactw kraju; owszem płaci mu prawdziwą rentę, równą tej, jaką pobiera właściciel jakiegoś zyskownego monopolu naturalnego. Dlaczegóżby zatem lodowce Szwajcaryi, wybrzeża zatoki nicejskiej, wodospady Norwegii, muzea i ruiny Włoch nie miały stanowić dla tych krajów istotnego źródła bogactw, tak dobrze, jak niemi są pokłady węgla lub lasy [1]).

---

[1]) Ależ to są przecież przedmioty nieprodukcyjne — może ktoś powie? Prawda one nie produkują nic dla ludzkości wogóle, chyba przyjemności, ale przynoszą znaczny dochód krajowi, który potrafił je wyzyskać, pozwalając za opłatą je używać lub oglądać cudzoziemcom. Jeśli n. p. mam w swych dobrach jakieś niezwykłe okazy przyrody zewnętrznej, to choćbym je otoczył płotem i pobierał po franku od każdego zwiedzającego, to jeszcze nie można powiedzieć, by dochód kraju przez to choć trochę wzrósł, ale tylko, że mój dochód zwiększył się znacznie ko-

Otóż opierając się na tem spostrzeżeniu, twierdzą niektórzy, że ostateczny wynik tego mniemanego zysku ogranicza się na zwiększeniu ilości obiegającej po kraju gotówki i że ten jej wzrost nie przynosi żadnej rzeczywistej korzyści. Pieniądz wskutek tego, że go jest więcej, traci na sile kupna, ceny się podnoszą — i na tem koniec.

Mieliśmy już kilkakrotnie sposobność wyłożyć nasze zapatrywanie na ten sposób pojmowania rzeczy, jakoby to było dla kraju obojętnem, czy ma dużo czy mało pieniędzy w obiegu. Obecnie więc ograniczymy się na uwadze, że, gdyby Anglicy zechcieli dać 100 milionów Francyi jedynie za przyjemność przesiadywania w Paryżu lub Nicei, to oczywiście Francya mogłaby każdej chwili wymienić te 100 milionów za angielskie towary tej samej wartości [1]), że więc te ostatnie stanowiłyby we Francyi przyrost dóbr, któryby jej nic nie kosztował [2]).

---

sztem zwiedzających. Gdybym jednak musiał wystawić w tym celu jakieś zamknięte ogrodzenie i zapłacić stróża, wtedy musiałbym oczywiście odtrącić z tego dochodu te wydatki. Tak samo i wydatki, poniesione na pobudowanie domów, na zastępy całe przewodników, woźniców w celu zwabiania turystów przedstawiają oczywiście pewną sumę kapitału i pracy, które trzeba potrącić, a pozostała dopiero nadwyżka będzie stanowić czysty dochód kraju.

[1]) To musiałoby nastąpić, bo równowaga między wywozem a dowozem stara się zawsze wrócić do normalnego położenia, to też i wypłaty za granicę. gdyby miały potrwać dłużej, będą się dokonywać nietylko przez wysłanie pieniędzy, ale i przez przywóz towarów zagranicznych do Francyi.

[2]) Ten przypływ gotówki będzie szczególniej korzystnym dla kraju, cierpiącego na brak gotówki, spowodowany albo nadmierną ilością pieniędzy papierowych w obiegu, albo niekorzystnym bilansem handlowym państwa. To też jedną z okoliczności, która pomogła Włochom do częściowego uwolnienia się od pieniądza papierowego i przywrócenia wypłat w złocie, był z pewnością ustawiczny napływ cudzoziemców.

VI.

Sposób zmniejszania wydatków.

Tylko jeden jest środek zmniejszania wydatków, bez konieczności ograniczenia konsumcyi t. j. bez zmniejszania ilości lub jakości konsumowanych przedmiotów, a jest nim instytucya stowarzyszeń.

Jeśli więcej osób zawiąże stowarzyszenie, by mieć tylko jeden dom, jedno ognisko i wspólny stół, to znajdą w tem środek pozyskania dla siebie tego samego zaspokojenia potrzeb przy wiele niższych wydatkach. Wspólne życie zakonników po klasztorach, żołnierzy po koszarach, studentów na pensyach jest tego codziennym przykładem. Zkąd to pochodzi? Z tych samych przyczyn, dla których produkcya na wielką skalę jest mniej kosztowną, niż produkcya odosobniona. Przyczyny te poznaliśmy już, a dadzą się one z małemi tylko zmianami odnieść tak dobrze do konsumcyi, jak i do produkcyi [1])

Komuniści nie omieszkali wyprowadzić ztąd wniosku, że dotychczasowy sposób życia społeczeństwa ludzkiego, to jest życie w zamkniętem kółku rodzinnem, powoduje nadmierne wydatki, będące prawdziwem marnowaniem dóbr i że stanowiłoby to ogromny postęp i prawdziwe dobrodziejstwo dla społeczeństwa ludzkiego, gdyby życie rodzinne zastąpiono wspólnie prowadzonem gospodarstwem. Najżywiej podniósł i rozwinął tę myśl *Fourier*. Na nieszczęście jednak, choć życie wspólne ma niezaprzeczenie pewne strony dodatnie, powodując wielkie zaoszczędzenie kosztów, to znów z drugiej strony ma ono tę niekorzyść, że przytłumia życie rodzinne,

[1]) Ogromne zaoszczędzenie, jakieby można osiągnąć z konsumcyi prowadzonej na wspólny rachunek, szczególniej co do obsługi, pomieszkania i przyrządzania pożywienia, opisał w sposób bardzo żywy i zajmujący *Fourier* w swoim *Traité de l'Association domestique agricole* i uczeń jego *Considérant* w swoich *Destinées sociales*.

burząc ognisko domowe, jedną z pierwszych potrzeb i najgłówniejszych przyjemności życia ludzkiego. Człowiek już z natury ma pewien wstręt do życia tułaczego po restauracyach [1]).

Ostatecznem przeznaczeniem dóbr jest sprawiać nam pewne zadowolenie, stracilibyśmy więc ten główny cel z oczu, gdybyśmy dla zaprowadzenia niewielkich oszczędności, poświęcili wszystkie warunki wewnętrznego, domowego szczęścia i jeden z najbardziej uszlachetniających czynników w życiu ludzkiem. Wtedy moglibyśmy słusznie powtórzyć słowa poety:

. . . . Propter vitam
Vivendi perdere causam.

Lecz i bez przymuszania się do życia wspólnego, więc bez konieczności spania pod jednym dachem i wspólnego stołowania się, możemy przynajmniej częściowo urzeczywistnić korzyści, połączone ze wspólną konsumcyą. Prowadzą do tego już to zakłady „tanich kuchni“, które przyrządzają potrawy w wielkich ilościach, pozostawiając do woli konsumentów, czy chcą zabierać potrawy do swego domu [2]); już to

---

[1]) „Ojciec rodziny powie zapewne, czytając tę uwagę: „znajduję przyjemność w obiadowaniu razem z mą żoną i mojemi dziećmi i niech się dzieje co chce, a ja wytrwam w tym zwyczaju, który mi się podoba“. To mniemanie byłoby błędnem. Podoba mu się to dziś, bo niema nic lepszego, ale gdyby przez dwa dni przypatrywał się zwyczajom panującym w tem wspólnem życiu w Harmonii, opuściłby żonę i dzieci, które znów ze swej strony byłyby bardzo zadowolone, że nie potrzebowałyby więcej spędzać tak niewesoło obiadów w kółku rodzinnem“. (*Association domestique agricole* II t. str 25.) Czytając te wiersze, nie należy zapominać, że *Fourier* był starym kawalerem.

[2]) Takie kuchnie istnieją w wielkiej liczbie po miastach i oddają wielkie usługi klasom uboższym. Talerz rosołu, mięsa lub jarzyny kosztuje tu przeciętnie 10 do 15 centymów (5 do 7 centów). Szczególniej dobrze są one urządzone w Grenobli. W Londynie doprowadzono nawet do zniżenia tych cen, a to

na mniejszą skalę za pomocą „stowarzyszeń spożywczych“, które ograniczają się do zakupowania artykułów żywności w wielkich ilościach, by je rozsprzedawać częściowo między swych członków. Z temi stowarzyszeniami spotkamy się jeszcze przy omawianiu oszczędności.

ROZDZIAŁ II.

Oszczędność.

I.

Co należy rozumieć przez oszczędność?

W mowie potocznej ma wyraz *oszczędność* ściśle określone znaczenie: wyraża on po prostu fakt wstrzymania się od konsumcyi, a więc „odkładania na bok“ jakiegokolwiek dobra [1]). Ekonomiści zaczęli mącić to tak jasne znaczenie, obejmując pojęciem oszczędności także myśl lokacyi, a fakt gromadzenia dóbr oznaczając wyrazem „tezauryfikacya“. Tymczasem ani fakta same ani logika nie upoważnia nas do robienia takiego rozróżnienia: ani fakta same, bo przecież nie każda oszczędność musi koniecznie być ulokowaną, owszem przeciwnie, często kończy się na późniejszem jej skonsumowaniu, — ani logika, bo jest to niewła-

przez użycie pieców na wielkie rozmiary, z których jeden kosztuje 20 lub 30 000 franków.

[1]) Oszczędność może mieć za przedmiot tylko jeden rodzaj dóbr, szlachetne kruszce, zwłaszcza w postaci sztuk pieniężnych. Do odkładania na bok jakichś dóbr, trzeba jeszcze, by ich przyrodzone własności na to pozwalały, t. j. by one dały się dłuższy czas przechowywać. Otóż tylko mała liczba przedmiotów ma tę własność, większa ich część psuje się prędko i to często psują się prędzej, gdy się ich nie używa, niż gdy się je ma w użyciu. Meble, materye zleżą się, bielizna żółknie w szafie, żelazo rdzewieje, żywność psuje się lub robaki ją zjadają; nawet wino, doszedłszy do pewnego stopnia wytrawności, z czasem traci na wartości.

ściwem oznaczać tym samym wyrazem dwie czynności nietylko różnorodne ale i wprost z sobą sprzeczne. Istota oszczędności polega na zaniechaniu konsumcyi, podczas gdy lokacya polega na skonsumowaniu danych dóbr przez inne osoby. Jedna wyklucza pojęcie konsumcyi, druga sama w sobie ją mieści. Ztąd pochodzi ta dwuznaczność wyrazu „oszczędność“, która nie mało przyczyniła się do niejasności całego przedmiotu.

W tym rozdziale będziemy używać wyrazu oszczędność na oznaczenie samego tylko faktu niekonsumowania dóbr i zachowywania ich na przyszłość — więc jako synonimu tezauryfikacyi.

Widzieliśmy już, że opinia ogółu, będąc przychylną wydatkom, jest przeciwnie bardzo źle usposobioną dla tego drugiego rodzaju użycia dóbr. Człowiek, okazujący pociąg pewien do oszczędzania, uważany bywa za skąpca, żeby już nie wspominać o innych dosadniejszych jeszcze wyrażeniach, a pieniądze, które on składa, mają być stanowczo chlebem wydartym robotnikom.

Tymczasem, gdy weźmiemy oszczędność w znaczeniu tezauryfikacyi, ograniczając ją do samego tylko faktu ścieśnienia konsumcyi i przechowywania pewnej ilości dóbr, to nie widzimy powodu, dla któregoby podobne akta miały być uważane jako przeciwne interesom ogółu — chyba raczej przeciwnie. Każdą sztukę monety można uważać za przekaz, uprawniający posiadacza do pobrania z zapasu istniejących dóbr pewnej ich części. Otóż człowiek oszczędzający oświadcza poprostu, że na teraz zrzeka się wykonania swego prawa i odebrania swej części. To mu przecież wolno; nie krzywdzi przez to nikogo. Część, którąby on mógł skonsumować, skonsumują inni. Bądźmy przekonani, że albo on sam, albo jego spadkobiercy, albo jego dłużnicy, gdyby raz przecież zdecydował się ulokować swe pieniądze, zechcą zużytkować te przekazy.

Zarzucają mu, że wycofuje z obiegu pewną ilość gotówki? Prawda, ale ta gotówka nie ginie, ani się psuje i pewnego dnia wydobytą zostanie ze swego ukrycia. Prawda, że ten akt odkładania dóbr na zapas, gdyby był przedsię-

brany zupełnie bez żadnego celu, lub tylko na to, by od czasu do czasu nacieszyć oczy widokiem pełnej szkatuły — a jest to rys charakterystyczny wszystkich ludzi chciwych, — wtedy zasługiwałby na wszystkie pociski sarkazmu, któremi po wszystkie czasy obrzucają skąpców. Aczkolwiek więc niemądrem jest to postępowanie, o ile ono dotyczy tych, którzy tak robią, — to znów z punktu widzenia interesu społecznego, jest ono zupełnie nieszkodliwem, a przynajmniej o wiele mniej szkodliwem, niż rozrzutność [1]).

Zresztą rozumie się samo przez się, że większa część tych oszczędności ma jakiś cel; albo lokacyę, a więc służenie do produkcyi nowych dóbr, albo przynajmniej stworzenie zapasu na przyszłość, by módz stawić czoło jakiejś potrzebie lub nieprzewidzianemu wydatkowi.

Otóż pod tymi warunkami, a zachodzą one prawie zawsze, oszczędność jest czynnością nie tylko bardzo rozsądną po stronie odkładającego, ale nadto bardzo korzystną dla spo-

---

[1]) Skąpstwo nie jest zdolne wyrządzić społeczeństwu rzeczywistej szkody, jak tylko w przypadkach, gdzie idzie wyłącznie o przedmioty, niedające się przechowywać, bo wtedy spowodowałoby rzeczywiste zniszczenie dóbr. Tak właśnie działa ów skąpiec w bajce Floryana przechowujący jabłka, póki się nie zepsują, a skoro które z nich zgnije, zjada je, ubolewając nad tem. Ale gdy kto gromadzi gotówkę, a to jest jedyna forma tezauryfikacyi, wtedy nie ma się co obawiać tego niebezpieczeństwa. Jedynym wynikiem, jakiby mogło sprowadzić takie zniknienie pewnej ilości gotówki, byłoby chwilowe spadnięcie cen, więc ostatecznie korzyść dla konsumentów i ludzi ubogich.

Atoli przyznać trzeba, że uprzedzenie ogółu, przenoszące rozrzutnych nad skąpych, jest dość uzasadnione ze stanowiska moralnego, jeśli już nie z ekonomicznego. Bo w istocie skąpstwo, a nawet nadmierna oszczędność oznacza wielkie przywiązanie do pieniędzy, kiedy przeciwnie rozrzutność pewną obojętność dla nich, pogardę dla tego nędznego kruszcu. Rozrzutny jest, mówiąc dosadnie a obrazowo „biczem na pieniądze“. A że pragnienie złota „*auri sacra fames*“ jest źródłem wielu złych postępków, więc dlatego to uprzedzenie ogółu jest do pewnego stopnia usprawiedliwione.

łeczeństwa, które nie mogłoby się bez niej obejść, nie chcąc się narazić na niewątpliwy upadek ekonomiczny.

Jak wiemy, niemożliwem jest wytwarzanie nowych dóbr bez współdziałania dóbr już istniejących, czyli bez kapitału. Otóż zkądże społeczeństwo bierze te kapitały? Właśnie z tej części dóbr, które choć mogły być skonsumowane, nie zostały skonsumowane. Społeczeństwo mówi wtedy: „Nie chcecie ich? pożyczcie mi ich, bym ich użyć mogło na wytworzenie nowych dóbr.“ Gdyby wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności w jakiemś społeczeństwie każdy skonsumował wszystko, do czegoby tylko miał prawo, to dla nowej produkcyi nie zostałoby żadnych dóbr wolnych do rozporządzenia i produkcya musiałaby być wstrzymaną.

II.

Konieczne warunki oszczędności.

Trzy są konieczne warunki oszczędności: *możność ograniczenia swej konsumcyi, wola zrobienia tego i zdolność przewidywania na przyszłość* czyli *przezorność.*

1) Ażeby oszczędzać, czyli by składać na zapas pewną ilość dóbr, trzeba przedewszystkiem, by ta ilość dóbr, którą przeznaczamy na konsumcyą, była conajmniej dostateczną na zaspokojenie niezbędnych potrzeb egzystencyi ludzkiej. Otóż na nieszczęście już na tym pierwszym warunku zbywa wielu ludziom.

Wprawdzie potrzeby ludzkie są tak podatne, że można je prawie w nieskończoność ścieśniać i ograniczać, a człowiek, którego cały dochód reprezentuje ledwie jeden funt chleba dziennie, mógłby się może przyzwyczaić nawet do jedzenia raz na dwa dni, a do oszczędzania przez to połowy swego dochodu. Ale oszczędność robiona na tem, co jest konieczną, lub nawet, co jest tylko usprawiedliwioną potrzebą człowieka, oddziaływa raczej szkodliwie niż korzystnie. Powtarzamy bowiem jeszcze raz, że człowiek nie może zrobić lepszego

użytku ze swego majątku, jak używając go na rozwój swoich sił fizycznych, duchowych lub moralnych, a to nawet ze stanowiska czysto ekonomicznego.

Z tego się okazuje, że oszczędność jest pewnego rodzaju zbytkiem, który jest dostępnym tylko dla społeczeństwa zamożnego, a i pośród tego tylko dla małej liczby osób dość majętnych[1]).

2. Nie dość na tem, by módz oszczędzać, trzeba jeszcze chcieć, a ten drugi warunek jest równie trudnym do spełnienia, jak pierwszy. Każde zaoszczędzenie przez to samo, że połączone jest z ograniczeniem konsumcyi, zawiera w sobie pewne przykre uczucie lub przynajmniej uczucie braku, poświęcenia, a żaden człowiek nie znosi braku z wielką ochotą.

Każdego więc człowieka, zamierzającego oszczędzać, powstrzymuje od tego myśl o mniejszem lub większem poświęceniu, jakieby musiał zrobić, a z drugiej znów strony podnieca go mniejsza lub większa korzyść, jaką się spodziewa odnieść z oszczędności. Bierze więc pod rozwagę te dwie potrzeby — teraźniejszą, której zaspokojenia trzebaby się zrzec, n. p. głód, który mu dokucza — i przyszłą, której zaspokojenie chciałby sobie zapewnić n. p, pragnienie zapewnienia sobie utrzymania na stare lata. Wola jego waha się między temi dwoma wprost sobie przeciwnemi dążeniami

---

[1]) Tymczasem bezustannie odzywają się głosy, że robotnicy mogliby łatwo oszczędzać, skoro mają dość pieniędzy na to, by wydawać miliony na wódkę i tytoń. Prawda, że lepiej by zrobili robotnicy, składając do kas oszczędności pieniądze, przeznaczone na tę bezużyteczną lub szkodliwą konsumcyę, ale jeszczeby lepiej zrobili, gdyby ich używali na zapewnienie sobie i swej rodzinie zdrowszego pomieszkania, lepszej odzieży i posilniejszego pożywienia, na częstsze zasięgnięcie porady lekarskiej lub gruntowniejsze wykształcenie i t. p. Wydatek na wódkę i tytoń uszczupla u nich nie konsumcyą zbytkowych rzeczy lecz koniecznych. Więc tem gorzej czynią — może ktoś powiedzieć? — Może — ale w każdym razie, jeśli ich mamy upominać, to nie tyle by oszczędzali, jak raczej by lepiej rozdzielali swe wydatki.

i stósownie do tego, które z nich z większą występuje siłą, oświadcza się ostatecznie za jednem lub za drugiem z nich [1]). To też ofiara, jakiej wymaga oszczędzanie, jest nadzwyczaj różnorodną, stósownie do położenia majątkowego każdego — i zdolną jest przechodzić prawie wszystkie stopnie pośrednie od zera aż do nieskończoności.

Dla człowieka, nie mającego nic więcej nad środki do życia potrzebne, zaoszczędzanie stanowi czynność wielce bolesną, połączoną z pozbawieniem się zaspokojenia potrzeb najistotniejszych.

Przeciwnie dla człowieka, który ma do swego rozporządzenia nadmierną ilość dóbr, oszczędzanie nie stanowi wcale ofiary, godnej uwagi, może ono nawet stać się dlań koniecznością, boć ostatecznie zdolność konsumowania ma u każdego, choćby najrozrzutniejszego człowieka, pewne granice. Tak nasze potrzeby jak i żądania mają pewien kres, a nawet natura sama oznaczyła takowy w uczuciu nasycenia.

3. Ostatecznie i wola oszczędzania nie urzeczywistniłaby się sama przez się, gdyby nie pozostawała pod wpływem zdolności, właściwej tylko człowiekowi. Zdolność ta, polegająca na utrzymaniu równowagi pomiędzy potrzebą teraźniejszą a przyszłą i na obejmowaniu, że się tak wyrażę, oczyma ducha w danej chwili i jednej i drugiej z tych potrzeb, zwie się *przezornością*.

Wobec tego, że potrzeba obecna jest rzeczywistością — bo materyalnie czuć się nam daje, a przyszła jest czystą abstrakcyą, bo my ją tylko myślą odczuwamy — przezorność wymaga pewnego oswojenia się umysłu z pojęciami oderwanemi, umysłu wyższego — i stanowi też objaw rozwiniętej cywilizacyi [2]).

Nasze zajęcia, zwłaszcza wśród dzisiejszych społeczeństw nowożytnych, nasze wychowanie, zmuszają nas do

---

[1]) Zaznaczyliśmy już, że przy pracy zachodzi podobne przeciwdziałanie tych pobudek.

[2]) Patrz Bagehot'a *Economic Studies — The growth of capital.*

ustawicznego myślenia o przyszłości. Uczeni, starający się odsłonić tajemnice przyszłości, politycy niespokojni o jutro, ci, którzy rzucili się w wir bieżących interesów spekulacyjnych, zwykli kupcy, zajęci wypłatami z końcem miesiąca i zestawieniami majątku z końcem roku, wszyscy bezwiednie, mniej lub więcej jesteśmy przyzwyczajeni mieć do czynienia z tem czemś nieznanem i liczyć się z tem. Lecz ten wysiłek umysłowy jest zupełnie obcy dla człowieka dzikiego, który odczuwa jedynie potrzeby w danej chwili go gniotące a który, jak to doskonale powiedział Montesquieu, ścina drzewa u samego korzenia, żeby dostać owoce.

Zdolność ta rzadko daje się spostrzedz nawet u ludzi nam współczesnych, którzy swoim stanem społecznym są zbliżeni do stanu ludności pierwotnej. Dlatego też brak przezorności jest rysem charakterystycznym ludów dzikich, jak również i klas niższych lub zepsutych naszego społeczeństwa.

Może ktoś zwrócić uwagę na to, że pobierania procentu nie zaliczyliśmy do koniecznych warunków oszczędzania. Pochodzi to ztąd, że jeśli procent stanowi nieodłączny warunek lokacyi, to przecież znów byłoby to wielkim błędem lub co najmniej przesadą, upatrywać w nim *conditio sine qua non* oszczędzania. Gdyby jutro zniesiono pobieranie procentu na zasadzie jakiejś powszechnej uchwały, to z pewnością nie znalazłby się ani jeden człowiek, któryby był gotów pieniędzy swych pożyczyć, ale znaleźliby się z pewnością tacy, którzyby oszczędzali, bo nie należy o tem zapominać, że oszczędność nie ma na celu jedynie lokacyi kapitałów. A nawet, gdyby kapitał zaoszczędzony nie mógł wśród takiego stanu rzeczy zwiększać się ani odnawiać za pomocą oprocentowania, lecz byłby przeznaczonym na skonsumowanie w miarę potrzeb, wtedy prawdopodobnie byliby ludzie zmuszeni robić większe zapasy t. j. większe oszczędności niż dzisiaj — a to byłoby dla ogółu raczej złem niż dobrem.

III.

Zakłady ułatwiające oszczędzanie.

W każdym kraju cywilizowanym istnieją przeróżne w pomysłowy sposób urządzone zakłady, których przeznaczeniem jest ułatwiać oszczędzanie. Zawdzięczają one swój początek bądź to władzy rządowej, bądź to inicyatywie prywatnej. Na szczególniejszą uwagę zasługują: *Kasy oszczędności* i *udziałowe stowarzyszenia spożywcze.*

§ 1. Kasy oszczędności.

Kasy oszczędności są zakładami, ułatwiającemi oszczędzanie przez to, że podejmują się strzedz kwot zaoszczędzonych. Składającemu w nich pieniądze wyświadczają usługę, bo zabezpieczają jego oszczędności przed złodziejami, a może jeszcze więcej przed nim samym.

I w rzeczy samej naljepszym środkiem zachowawczym dla złożonych oszczędności jest usunięcie ich z rąk tego, kto je zrobił, bo przez to zapobiega się bardzo silnie działającej pokusie wydania ich. Skarbonki, dobrze znane dzieciom w formie puszki glinianej, do której wrzuca się pojedyncze sztuki pieniędzy przez mały otwór, stanowią tylko dowcipne a praktyczne zastósowanie tej myśli. Chcąc przyjść napowrót do posiadania wrzuconego tam pieniądza, trzeba rozbić tę skarbonkę, a choć to nie tak trudno, to jednak, jak sądzą, potrafi ono dać dziecku czas do namysłu i uzbroić to dziecko przeciw pokusie.

Kasa oszczędności jest taką właśnie, tylko udoskonaloną skarbonką. Deponent ma wprawdzie możność rozporządzania temi małemi kwotami, które w tym zakładzie złożył; ale w każdym razie nie ma ich już w swoich rękach ani w swej kieszeni, a ich wydobycie wymaga zawsze pewnych formalności i w każdym razie więcej czasu, niż rozbicie skarbonki.

Kasy te, by zachęcić do składania oszczędności, zapewniają deponentowi także pewien mały procent. Procent ten atoli należy uważać jedynie jako rodzaj nagrody, jako bodziec do oszczędzania — to też nie powinien on być zbyt wysokim. Przeznaczeniem bowiem kas oszczędności nie jest bynajmniej, by spełniały funkcyę zakładów do lokacyi kapitałów [1]). Zakłada się je w celu umożliwienia ludziom zebrania jakichś zasobów na przyszłość i do złożenia sobie jakiegoś małego kapitaliku. Ale skoro ten kapitał raz już złożono, a jego właściciel chce go ulokować czyli zatrudnić — to nie pozostaje mu nic innego jak tylko wyjąć go z kasy oszczędności — bo jej zadanie już się skończyło, a zajmą się tem już inne zakłady [2]), któreśmy poznali jako zakłady kredytowe, banki, zakłady dla kredytu rolniczego długoterminowego i t. d.)

§ 2. Współdzielcze czyli udziałowe stowarzyszenia spożywcze.

Zakłady, znane pod nazwą udziałowych stowarzyszeń konsumcyjnych, mają na celu ułatwianie oszczędzania przez usunięcie potrzeby odmawiania sobie czegoś, co, jak widzieliśmy, jest jednym z nieodzownych warunków wszelkiego

[1]) To też we Francyi maksymalny depozyt pojedynczej osoby w kasie oszczędności oznaczono na 2000 franków — a jeszcze i ta granica jest za wysoką i byłoby lepiej, gdyby wrócono do dawniejszej, która wynosiła 1000 fr. Stopę procentową oznaczono na 4% — jest ona za wysoką, skoro pieniądze ulokowane w papierach renty państwowej dają ledwie 3%.

[2]) We Francyi kasy oszczędności zakładają albo osoby prywatne, albo władze gminne, albo rząd (szczególniej kasy oszczędności pocztowe). Ale wszystkie one są obowiązane odsyłać pieniądze, jakie otrzymują, do państwowej Kasy depozytowej — a więc do rąk rządu. Ten przepis ustawy, istniejący dla zapewnienia składającemu zupełnego bezpieczeństwa, uległ żywej i słusznej krytyce. Z jednej strony bowiem przez złożenie w ręce państwa sumy, która dziś dochodzi do 3 miliardów, a która wzmaga się rocznie o 200 lub 300 milionów — wzmaga się nadmiernie dług państwa — a to tem niebezpieczniejszy, że winien być zwróconym na pierwsze zaraz żądanie. Nadto

zaoszczędzania. Doszły one więc do rozwiązania tej na oko nierozwiązalnej zagadki i stworzyły, jak to ktoś dobrze powiedział „automatyczne oszczędzanie“ — a to przy pomocy równie prostego jak i zręcznie obmyślanego mechanizmu.

Większa lub mniejsza liczba osób zakłada stowarzyszenie, które zakupuje na wspólny rachunek, a więc hurtownie bądź wszystkie, bądź niektóre z przedmiotów swej konsumcyi. Zakupione po cenach hurtownych towary, odsprzedaje stowarzyszenie swym członkom po cenach drobnostkowych a zysk osiągnięty w ten sposób na różnicy obu tych cen, zostaje rozdzielony z końcem roku pomiędzy wszystkich stowarzyszonych w miarę wysokości ich zakupów. Tak n. p. członek, który w ciągu roku zakupił za 500 frk. towarów korzennych, gdyby stowarzyszenie na sprzedaży miało 12% zysku, z końcem roku przekona się, że zaoszczędził 60 franków, a to bez żadnej z jego strony ofiary, bo nie był zmuszony w niczem ograniczać swej konsumcyi. Jego konsumcya była tak samo wielka jak dawniej, a obejmowała przedmioty w lepszym niż dawniej gatunku; nie zapłacił za nie drożej, a przynajmniej nie więcej, jakby musiał zapłacić u zwykłego kupca, a mimo tego przekonuje się, że zaoszczędził, a nawet tem więcej zaoszczędził, im więcej robił zakupów. Można więc poniekąd powiedzieć, choć będzie to brzmieć paradoksalnie, „że wynaleziono sposób robienia oszczędności za pomocą wydatków“ [1]).

---

równocześnie z tą ciężką odpowiedzialnością powstaje też dla rządu niebezpieczna pokusa. Z drugiej znów strony te pieniądze pochłonięte przez skarb publiczny, nie przynoszą żadnego zgoła zysku, choć mogłyby gdzieindziej z łatwością dawać większe zyski. To też we Włoszech, gdzie kasy oszczędności są wybornie urządzone, używają one większej części swych zapasów gotówki na długo—lub krótkoterminowe pożyczki dla rolników. A że płacą bardzo niski procent od wkładek, to też mogą pobierać również niewielki procent od rolników, co stanowi nieocenioną korzyść dla rolnictwa.

[1]) Zakłady te zawdzięczają swój początek słynnemu stowarzyszeniu „Pionierów z Rochdale“ założonem w 1844 roku. Od tej chwili rozpowszechniły się one po wszystkich krajach

ROZDZIAŁ III.

Lokacya kapitału.

I.

Co należy rozumieć przez lokacyę?

Majątek ulokować znaczy tyle, co użyć go do produkcyi — jeśli więc idzie o zboże, to zasiać je zamiast zjeść, — jeśli o węgiel, to spalić go w piecu jakiejś maszyny zamiast na kominku, — konia zaprządz do pługa nie do powozu — pieniędzy nie wydawać, ale pobierać z nich do-

---

i rozwijają się pomyślnie szczególniej w Anglii. Stowarzyszenia angielskie liczą przeszło milion członków (t. j. milion rodzin, $^1/_7$ całej ludności). Zawierają one czynności za 900 milionów franków rocznie i przynoszą klasie robotniczej rocznie 100 milionów oszczędności. We Francyi w ostatnich latach pewna liczba tych stowarzyszeń połączyła się w jeden związek, idąc za wzorem stowarzyszeń angielskich. Odbywają one corocznie wspólne walne zgromadzenie i założyły, na wzór słynnego „Wholesale“ w Manchester, wielki magazyn, mający robić zakupy na wielką skalę na rachunek związkowych stowarzyszeń.

Niektóre z tych stowarzyszeń mają na celu jedynie zmniejszenie wydatków swych członków, a nie składanie oszczędności i wtedy odprzedają one swoim członkom towary po możliwie najniższych cenach, t. j. po tej cenie, jaką samo stowarzyszenie zapłaciło. Ten jednak rodzaj stowarzyszeń jest gorszy i na większą narażony krytykę. Nie pozwala bowiem stowarzyszeniu rozciągnąć swej sieci interesów na szerszy okręg i ma tę słabą stronę, że podburza przeciw sobie drobnych kupców.

Inne znów przeciwnie stawiają sobie cel wznioślejszy, czy to stopniowe usuwanie pośredników pomiędzy producentem a konsumentem i uwolnienie w ten sposób społeczeństwa od niepotrzebnego ciężaru, albo powolne usamowolnienie klas robotniczych przez umożliwienie im stworzenia wielkich kapitałów, któreby im dozwoliły założyć współdzielcze stowarzyszenie produkcyjne i prowadzić szczęśliwie walkę z kapitalistycznym przemysłem. Stowarzyszenia angielskie posiadają około 125 milionów franków kapitału zakładowego.

chód. Z podanych przykładów wynika, że lokacya jest tak samo, jak wydatek sposobem konsumcyi dóbr — jedyną, ale też ważną różnicę stanowi ta okoliczność, że lokacya jest konsumcyą, służącą do reprodukcyi nowych dóbr. Co do pieniędzy (a tylko pod tą postacią można rozpatrywać różne sposoby użycia majątku), to ich lokacya może przybrać dwie różne formy. Ten, kto chce swych pieniędzy użyć produkcyjnie, może wybrać jeden z tych dwóch sposobów:

1) Pożyczyć te pieniądze bezpośrednio jakiejś osobie prywatnej, albo zakupić obligi długu państwa lub kolei żelaznych w formie papierów renty, obligacyj i t. p. Jest to sposób produkcyjnego użycia pieniędzy, o którym mówi się prawie zawsze, ilekroć jest mowa o lokacyi.

2) Użyć pieniędzy wprost na założenie na swój własny rachunek jakiegoś przedsiębiorstwa handlowego, przemysłowego lub na zakupno ziemi lub wybudowanie domu w celu wynajmowania. Jest to także sposób lokacyi pieniędzy, lub przynajmniej pobierania z nich dochodu.

Tak w pierwszym, jak i w drugim wypadku, pieniądze ulokowane otrzymują nazwę kapitału i to całkiem słusznie, bo przecież dają one, lub dawać powinny (wyjąwszy jakieś nieszczęście lub niepowodzenie), swemu właścicielowi dochód w formie procentu, dywidendy, zysku, lub jakichś korzyści. Prawda, że lokacya nie zawsze przynosi korzyści tym, którzy ją zrobili, a jeszcze mniej krajowi. Te 30 miliardów, które wypożyczyło państwo francuskie od początku bieżącego stulecia, co najmniej w trzech czwartych poszły na prowadzenie wojen i zabijanie ludzi, czego nie można uważać za czynność produkcyjną w samej sobie [1]). Ale te 10 miliardów, których użyto na koleje żelazne, miliard zużyty bardzo szczęśliwie na przekopanie kanału Sueskiego i wiele innych jeszcze

[1]) Skoro te 30 miliardów nic dla kraju nie wyprodukowały, więc jak sobie to wytłomaczyć, że one przynoszą swoim właścicielom t. j. posiadaczom renty państwowej rocznie koło 1 miliard renty? W bardzo prosty sposób. Państwo przeznacza co rok jeden miliard z dochodów podatkowych — więc z wyniku pracy wszystkich Francuzów — na zapłacenie procentu od tych

przedstawiały użycie bardzo produkcyjne i to tak dla tych, którzy swe pieniądze w ten sposób ulokowali, jak również dla kraju. Lokacya jest więc bezsprzecznie najkorzystniejszym, z punktu widzenia całego społeczeństwa, sposobem użycia majątku wogóle. Tymczasem ogół jest innego zdania; zazwyczaj sądzą, że człowiek, który wydaje swe pieniądze, przyczynia się więcej do podniesienia dobrobytu i daje więcej zajęcia robotnikom, niż ten, kto poprzestaje na ulokowaniu swych pieniędzy, zwłaszcza na lokacyi kapitałów przez zakupno papierów wartościowych i schowaniu ich do swego biurka. Mogłoby się zdawać, że to jest tylko odmienny rodzaj tezauryfikacyi. Ale kto tak sądzi, nie zdaje sobie sprawy z tego, czem jest lokacya kapitału.

Przypuśćmy, że ktoś użył swych pieniędzy na zakupno obligacyj kolejowych. Daje więc towarzystwu kolejowemu pieniądze za te papiery. A cóż ono robi z temi pieniądzmi? Czy je ono ciągle trzyma w kasie? Bez wątpienia nie, bo gdyby miało tylko ten zamiar, to z pewnością nie brałoby tych pieniędzy. Użyje ich na zakupno węgla, szyn, progów pod szyny, na zapłacenie swych urzędników lub robotników, wyrabiających lokomotywy dla towarzystwa, albo budujących czy naprawiających jego tor kolejowy. Tak samo ma się rzecz we wszystkich pomyśleć się dających wypadkach lokacyi kapitału [1]). W każdym więc razie pieniądze ulokowane, zostają wydane, jeśli nie przez właściciela, to przynajmniej przez tego, komu on ich pożyczył [2]); zasilają one więc tak

---

zgubnych operacyj. Chcąc postępować uczciwie, nie może robić inaczej, skoro jako dłużnik zobowiązało się do tego umową. Zresztą rentierzy mogą powiedzieć, że choć ich pieniądze nie zostały użyte na pomnożenie bogactwa krajowego, to przynajmniej posłużyły na opłacenie jego zwycięztw lub haraczu.

[1]) Zostają one wydane także w razie pożyczenia ich państwu, choć nie zawsze w sposób produkcyjny. Ale jeśli państwo zaciąga pożyczkę, to z pewnością potrzebuje tych pieniędzy na zapłacenie swych dostawców, lub wyrób karabinów.

[2]) Trzeba być przygotowanym na następujący zarzut. Gdyby każdy miał sobie za obowiązek lokować wszystkie swe pieniądze, wtedy niktby nadal nic nie konsumował. Wtedy produkcya mu-

samo handel, służą też na zakupno towarów lub zapłacenie robotników tylko że, zamiast żeby je obrócono na wydatki nieprodukcyjne, obrócono je na produkcyjne. Jedyna różnica mogłaby polegać na tem, że możnaby wydawać je daleko za granicą. Jeżeli np. kapitalista za swe oszczędności kupuje obligi panamskie — to jego pieniądze posłużą na zapłacenie murzynów lub chińskich robotników, a gdyby te pieniądze był poprostu wydał, to może zyskaliby na tem wprost robotnicy jego kraju — o tyle więc ci ostatni mogą się na tę lokacyę żalić.

W każdym razie wystarczy zrobić te dwa spostrzeżenia:

1) że ten, kto sam wydaje, nie zawsze robi te zakupna w tej okolicy, gdzie mieszka, owszem zdarza się to rzadko.

2) że, jeśli oszczędności Francuza przyczyniają się do tego, by robotnik zagraniczny mógł pracować, to na odwrót oszczędności zagraniczne mogą znaleźć lokacyę we Francyi i dać zajęcie robotnikom francuskim — i że w ten sposób mogą ci znaleźć w tem częściowe odszkodowanie. Chcąc cały ten ważny przedmiot jasno przedstawić, trzeba niekiedy za-

---

siałaby ustać i nie byłoby więcej ani żadnego przedsiębiorstwa ani zajęcia dla nikogo?

Na to trzeba odpowiedzieć, że przedewszystkiem zarzut taki zawiera sam w sobie sprzeczność, bo każda lokacya łączy się ściśle z pojęciem produkcyi: gdyby więc produkcya miała ustać, to oczywiście wszelka lokacya byłaby niemożliwą i kapitaliści musieliby wtedy, radzi nie radzi oddać się konsumcyi.

Nadto w ciągu tego rozumowania zapomniano, że lokacyi może dokonywać tylko mniejszość ludzi t. j. ci, którzy mają więcej, niż im trzeba. A gdyby nawet — choć przypuszczenie to jest nie do urzeczywistnienia, wszyscy bogaci postanowili żyć o suchym chlebie i wodzie, to jeszcze nie byłoby to tak wielkiem nieszczęściem. Prawda że produkcya przedmiotów konsumcyi klas bogatych upadłaby z powodu braku popytu na nie, ale za to rozwijałaby się dalej produkcya przedmiotów koniecznych, stanowiących konsumcyę ogółu, a że odtąd w tego rodzaju produkcyi lokowanoby wszystkie majątki, więc z tej przyczyny zyskałaby ona silny bodziec, przedmiotami temi zaopatrywanoby obficiej targi, a przez to samo byłyby one tańsze, co byłoby dla każdego wielkiem dobrodziejstwem.

pomnieć o pieniądzach, bo wiemy dobrze, że pieniądze występują przy tych czynnościach tylko jako pośredniki obrotu, reprezentanci kapitału, a same niczego nie produkują.

Kto podpisuje obligacyę kolei żelaznej na 400 fr., przynoszącą 15 fr. procentu, mógłby, gdyby był ekonomicznie wykształcony, odezwać się w ten sposób:

„Oto przekaz na 400 fr., który daje mi prawo wzięcia z ogółu dóbr istniejących odpowiedniej ich ilości na moją konsumcyę. Co do mnie, to wolę nie korzystać z mego prawa; daję wam więc ten przekaz, za pomocą niego możecie wy korzystać z tego prawa, z którego ja nie korzystałem i podjąć tyle a tyle węgla, żelaza lub czegobądź, czego będziecie potrzebować do waszej produkcyi, albo za pomocą niego mogą wasi robotnicy, gdy im te przekazy dacie jako płacę, nabyć przedmioty potrzebne im do utrzymania. Tylko, ponieważ nie mam zamiaru robić wam lub waszym robotnikom podarunku z tej części dóbr, do której miałem prawo, więc żądam, byście mi dali rocznie 15 fr. z tych nowych dóbr, które wyprodukujecie przy pomocy pracy własnej lub waszych robotników.“

Widzimy więc ostatecznie, że, kiedy wydać pieniądze znaczy tyle, co skonsumować na swój własny rachunek pewną ilość dóbr, to ulokować swe pieniądze jest to samo, co przenieść na innych swe prawo i swą możność konsumowania. Przeniesienie to nie odbywa się za darmo[1]), ale mimo to widzimy jak niesłusznem jest zdanie, jakoby lokacya polegała na zachowywaniu pieniędzy dla siebie, a konsumcya na rozdawaniu ich innym — i jak przeciwnie głęboką jest myśl Stuarta Mill'a: „Oddajemy usługę robotnikom nie przez to, że konsumujemy, ale przez to, że nie konsumujemy.“

---

[1]) Socyaliści twierdzą nawet, że przeniesienie to dokonywa się pod bardzo uciążliwemi dla nowonabywcy warunkami i stanowi wyzysk robotników. Spotkamy się z tem jeszcze przy omawianiu zysku, bo teraz byłaby sprawa ta nie na czasie.

II.

Konieczne warunki lokacyi.

Jest ich dwa: pewność, że się odzyska swe pieniądze, czyli innemi słowy: *bezpieczeństwo i nadzieja osiągnięcia jakiejś korzyści.*

1) Chcąc ulokować swe oszczędności t. j. użyć ich w sposób produkcyjny, trzeba się z niemi rozłączyć, trzeba je skonsumować w sposób reprodukcyjny, trzeba zgodzić się na ich zużycie. Niktby się na to nie zgodził, gdyby nie był zupełnie pewnym, że dobra te, których się na pewien czas pozbywa, nie pójdą na marne, ale otrzyma je z pewnym przyrostem. Tylko ta pewność dodaje nam podobnej ufności, stanowi ją: *a)* spokój pod względem stosunków politycznych, który daje nam rękojmię przeciw konfiskatom ze strony uciemiężającego rządu, przeciw zaburzeniom wewnętrznym lub najazdowi nieprzyjacielskiemu; *b)* dalej bezpieczeństwo prawne, zapewniające nam nasze prawa do ulokowanego kapitału, a to za pomocą tych wszystkich instytucyj prawnych, które mają zapewnić wykonanie umów (tu należą: poręczenie, hipoteki, przywileje i środki egzekucyjne), *c)* wreszcie zaufanie w ludzką uczciwość, oparte na wzroście moralności ogółu i uczciwości każdego w dotrzymywaniu swych zobowiązań, bo bez tego ostatecznie wszystkie inne zabezpieczenia na nicby się nie przydały.

Gdyby tej pewności nie było, oszczędzający nie byliby skłonni wypuszczać ze swych rąk kapitałów i woleliby raczej składać i przechowywać je w postaci gotówki lub innych kosztownych rzeczy, nie przynoszących wprawdzie dochodów, ale przynajmniej nie narażonych w tym stopniu na utratę. Dlatego to w czasach niepewnych, jakiemi były np. wieki średnie, albo w krajach o słabej władzy rządowej, jak np. na Wschodzie, napotykamy zwyczaj składania skarbów, a tak mało lokacyi kapitałów. Handel towarami zbytkownemi, które przy małej objętości mają wielką wartość i dają się

przez to łatwo przewieźć i ukryć, jest wówczas jedynym możliwym dla kapitałów sposobem użycia. Nawet ziemia sama nie daje pożądanego bezpieczeństwa, bo choć jej nie można porwać, to znów może uledz konfiskacie, spustoszeniu lub przeciążeniu podatkami [1]).

2) Osiągnięcie jakiejś korzyści, czy to w postaci zysku, gdy kto sam osobiście zatrudnia swe kapitały, czy to w postaci procentu w razie wypożyczenia ich.

Bo gdyby istotnie kapitał ulokowany miał wracać do rąk swego właściciela tylko tak wielkim, jakim odeń wyszedł, to nie opłaciłoby się z rąk go wypuszczać i lepiej byłoby go przechowywać. Koniecznem następstwem zniesienia procentu i zysku nie byłoby, jak mówią niesłusznie, przytłumienie wszelkiej oszczędności, ale niewątpliwie zaniechanie wszelkiej lokacyi. Nie trzeba znów ztąd wnosić, by zniżka stopy procentowej miała koniecznie zmniejszyć lokacyę, owszem może oddziaływać na nią dodatnio. Każdy, kto robi oszczędności jakieś, składa je zazwyczaj w celu zapewnienia sobie odpowiedniego z nich dochodu, któryby mu wystarczał na utrzymanie, np. 10.000 fr. Jeśli stopa procentowa wynosi $5^0/_0$ trzeba, chcąc cel ten osiągnąć, ulokować 200.000 franków, ale gdyby stopa procentowa spadła na $2^0/_0$, trzebaby do otrzymania tego samego dochodu, ulokować kapitał 500.000 franków. Otóż nie ulega wątpliwości, że wtedy zniżka stopy procentowej byłaby tylko bodźcem do większej pracy i większej oszczędności. Jednak jest i tu pewna granica, tylko że trudnoby ją było dokładnie oznaczyć. Gdy do niej dojdziemy — np. gdyby stopa procentowa spadła na 1 pro 1000, gdyby więc dla zapewnienia sobie dochodu 10.000 fr. trzeba było zaoszczędzić kapitał z 10 milionów —

[1]) Przeciwnie czasy, w których żyjemy, nastręczają kapitalistom tysiące nieznanych ojcom naszym sposobów lokacyi; niezmierzoną jest ich ilość, a wiele z nich przedstawia zupełne bezpieczeństwo. W 1815 r. były ledwie 4 rodzaje papierów wartościowych, notowanych na giełdzie paryskiej, w 1890 r. było ich 800, nie licząc setek innych, notowanych na giełdach poszczególnych departamentów lub na giełdach zagranicznych.

to prawdopodobnie wtedy nikt nie lokowałby więcej swoich pieniędzy. Większość ludzi byłaby bowiem tego zdania, że nie warto wypuszczać ich ze swych rąk dla tak małego dochodu. Oszczędzanoby i nadal, by zapewnić sobie zaspokojenie swych potrzeb w przyszłości, ale zamiast używać pieniędzy w sposób produkcyjny, poprzestanoby na składaniu ich w jakiemś miejscu bezpiecznem, by je konsumować z dnia na dzień, gdy się po temu nadarzy sposobność [1]).

[1]) Nie będziemy się tu rozwodzić w osobnym rozdziale, jakeśmy to zrobili omawiając oszczędność, nad zakładami mającemi ułatwiać lokacyę kapitału. Wszystkie przedsiębiorstwa finansowe i przemysłowe, szczególniej w formie towarzystw akcyjnych, czynności mające za przedmiot kredyt rolniczy krótko- lub długoterminowy, zwłaszcza za pośrednictwem banków, jak „Credit Foncier," ustawiczne pożyczki państwowe, zwłaszcza w formie emisyi papierów publicznych, podają dziś każdemu, kto chce swe pieniądze ulokować, niezliczone sposobności po temu. Wiele z tych lokacyj daje kapitaliście bezpieczeństwo dostateczne, dostarczając mu nadto możność wybierania między formą obligu (przynoszącego stały dochód w formie procentu), a formą akcyi (przynoszącą zmienny dochód w formie dywidendy). Wszystkie robią mu nadzieję na mniejszy lub większy procent, bardzo często na rzeczywiste premie w formie zwrotów wyższych, niż suma pożyczona, a nawet wygranych losów w wysokości od 100.000 fr. do 500.000 fr., co, mówiąc nawiasem, jest wielce wątpliwym co do swej moralności sposobem postępowania.

KSIĘGA IV.

ROZDZIAŁ DÓBR.

CZĘŚĆ I.

Różne zasady rozdziału dóbr.

ROZDZIAŁ I.

I.

Kwestya socyalna.

Czy kwestya socyalna istnieje? Rozdział bogactw obejmuje wszystkie zagadnienia, które zwykle nazywają kwestyami socyalnemi lub przez skrócenie kwestyą socyalną, niebędącą zresztą niczem innem, jak odwiecznym sporem między bogatymi a biednymi.

Przedewszystkiem jednak zapytajmy, czy kwestya socyalna istnieje? Szkoła liberalna przeczy temu stanowczo, a fakt, że kwestya ta od tysiąca lat jest na porządku dziennym, nie dowodzi wcale, zdaniem jej, że mamy jakąkolwiek podstawę do zadawania sobie tego pytania. Toż nie od dziś zastanawiają się ludzie nad zbudowaniem *perpetuum mobile*.

Niema kwestyi socyalnej, albowiem niema danych do rozwiązania pytania, jak należy dzielić dobra pomiędzy ludzi

— powiada szkoła liberalna [1]). Nierozumnem jest szukanie jakiejkolwiek formułki, mającej na celu uszczęśliwienie ludzi, choćby ona była wyrazem najidealniejszej sprawiedliwości. Nie dzielimy dóbr, *one się same dzielą* stósownie do praw naturalnych, których ludzie nie wynaleźli i których zmiana nie leży w ich interesie, gdyż one zawierają w sobie tyle sprawiedliwości, ile jej nam dać może jakikolwiek porządek społeczny. Wynikiem samodzielnego działania tych praw naturalnych jest to, że każdy w dzisiejszem społeczeństwie *bywa wynagradzanym w stosunku do oddanych społeczeństwu usług.*

A dzieje się to w ten sposób. Każdy z nas daje społeczeństwu to, co posiada: właściciel dóbr swe żniwa, przemysłowiec wytwory swej pracy, a ten, który nic niema, daje swe siły fizyczne lub umysłowe. Wartość tego towaru lub tych sił ustala się na targu na podstawie zwykłych praw wartości, które streścić można w zasadzie: Rzeczy mają mniejszą lub większą wartość stósownie do tego, czy odpowiadają mniej lub więcej silnym pragnieniom ludzi, czy są wstanie zaspokoić mniej lub więcej piekące potrzeby, słowem czy są *mniej lub więcej użyteczne* w najszerszem tego słowa znaczeniu. Twierdzić, że każdy według wartości przedmiotu lub pracy, których dostarcza, wynagrodzonym będzie, jest to twierdzić innemi słowy, że przypadająca na każdego część dóbr społecznych odpowiada tej sumie pożytku społecznego którą przysporzył, odpowiada „usługom, które oddał". — Oto ulubiona formułka szkoły Bastiata.

Formułka ta jest dowcipną, wydaje się ona zupełnie wystarczającą i zrozumiałą tym, którzy zadawalniają się przekonaniem o doskonałości obecnego stanu rzeczy. A jednak, by zrozumieć jej braki, wystarczy przypomnieć sobie naszą teoryę wartości. Gdyby praca była miernikiem wartości rze-

---

[1]) Godnym uwagi jest, że wielcy ekonomiści klasyczni, Turgot, Adam Smith, J. B. Say, Ricardo niezastanawiali się nawet, nie zadawali sobie pytania co do lepszego rozdziału dóbr społecznych.

czy, rozumowanie byłoby słusznem. Byłoby niem i wówczas, gdyby tym miernikiem był pożytek społeczny w zwykłem tego słowa znaczeniu, to znaczy, gdyby podstawą wartości rzeczy był ich rzeczywisty współudział w produkcyi społecznej, ale tak nie jest. Wartość rzeczy wypływa z szeregu różnorodnych przyczyn, których działanie w całości nazywamy prawem podaży i popytu, prawem co prawda naturalnem, lecz właśnie z tego powodu nie mającem nic wspólnego z jakąkolwiek ideą sprawiedliwości lub moralności tak, jak każde inne prawo naturalne n. p. prawo ciążenia.

Przykład wyjaśni to lepiej. Oto górnik, który dostaje 4 franki dziennie za wydobywanie węgla i śpiewaczka, której płacą 4000 fr. za jeden występ w teatrze. Na zapytanie, dlaczego pierwszemu, który wytwarza „chleb przemysłu“, płacą 1000 razy mniej, jak drugiej, sprawiającej tylko przelotną przyjemność kilku dyletantom, szkoła Bastiata odpowie nam śmiało: „Albowiem ona oddaje społeczeństwu usługę tysiąc razy większą, niż ów górnik... a dowodem tego jest gotowość społeczeństwa zapłacenia jej tysiąc razy więcej niż jemu. Społeczeństwo może się mylić, ale my nie możemy inaczej oznaczyć wartości oddanych usług, jak ceną, którą im społeczeństwo przyzna na targu“ [1]).

Któż nie widzi, że to tylko rodzaj gry słów odnośnie do wyrazu usługa? Jeśli śpiewaczce płacą daleko więcej niż górnikowi, nie wypływa z tego bynajmniej, że współudział jej w pracy społecznej był użyteczniejszym, lub że rodzaj zadowolenia, które może wywołać, odpowiada silniejszym potrzebom ludzi wogóle, to dowodzi tylko, że odpowiada pragnieniom małej liczby ludzi bogatych. Dowodzi także, że łatwiej znaleźć górników, niż śpiewaczki, mające gardło w dany sposób ukształtowane.

---

[1]) Może nie od rzeczy będzie przypomnieć odpowiedź pewnej śpiewaczki z czasów Katarzyny. Carowa wyraziła swe niezadowolenie, że śpiewaczka żąda większej zapłaty, niż jej marszałkowie i usłyszała radę: „Niech pani każe śpiewać swym marszałkom“.

Przykład, który przytoczyliśmy jest drobnostką, ale w życiu na każdym kroku spotkamy podobne. Z dwóch rolników, którzy wyłożyli zupełnie ten sam trud i którzy przyniosą na targ worki zboża zupełnie tego samego gatunku, a więc najdokładniej równe ze stanowiska pożytku społecznego, ten weźmie wyższe wynagrodzenie, któremu los pozwolił ujrzeć, jak grad lub mróz niszczył zbiory jego sąsiadów. Gdy angielski lord, właściciel wielkich obszarów w Londynie, pozwala przedsiębiorcom budować na nich domy, zastrzegając sobie wynagrodzenie za najem, podwyższane nadto przy każdem odnowieniu dzierżawy z powodu zwyżki ziemi i czynszów, łatwo zrozumieć, że wynagrodzenie jego, które dosięga może kilku milionów funtów szterlingów, opiera się na przyrodzonem prawie podaży i popytu, ale nie jest równie łatwem zrozumieć, w czem to wynagrodzenie stosuje się do oddanych usług. Ale nawet uważając za usługę pozwolenie zamieszkania na swej ziemi, niepodobna zdać sobie sprawy, z jakiej słusznej lub społeczeństwu pożytecznej przyczyny otrzymał szlachetny lord przywilej oddawania usług, tak drogo opłacanych, swym bliźnim.

Niech więc mówią, że obecny sposób dzielenia dóbr jest *naturalnym*, my się na to zgodzimy, — choć można wskazać w większej części krajów przyczyny dziejowe i do pewnego stopnia sztuczne, jak n. p. podbój lub niektóre prawa, prowadzące do ucisku, które zmieniły w szczególny sposób ten rozdział — niech nawet mówią, że ten sposób rozdziału jest *koniecznym* i na to przystaniemy w pewnej mierze, gdyż wnet przekonamy się, że nie łatwo go zastąpić innym. Ale niech nie mówią, że opiera się na zasadzie słuszności, gdyż jeszcze raz powtarzamy, opiera się na prawie podaży i popytu, które samo przez się nie jest ani moralnem, ani niemoralnem, i które jest zupełnie obojętnem wobec naszych dążeń do sprawiedliwości tak, jak słońce, które świeci i dla dobrych i dla złych.

Oto, dlaczego istnieje kwestya socyalna. Ludzie nie godzą się na przyjęcie porządku społecznego, niezależnego od

żadnego ideału sprawiedliwości i nieustannie usiłują zastosować go do prawa.

I.

O nierówności majątków.

W kwestyi rozdziału dóbr widzi się i odczuwa przedewszystkiem to, że bogactwa są nierówno rozdzielone.

Można nawet powiedzieć, że ta nierówność z pewnością staje się z każdym dniem coraz nieznośniejszą dla ludzi, w miarę jak znikają wszystkie inne nierówności, które ich niegdyś dzieliły. Nasze prawa urzeczywistniły równość wobec prawa cywilnego a powszechne głosowanie nadało równość polityczną, szerząca się coraz bardziej nauka dąży nawet do stworzenia pewnego rodzaju równości wykształcenia — ale nierówność bogactw nie zmienia się, a gdy niegdyś była jakby przysłoniętą innemi, daleko głębszemi nierównościami, teraz natomiast wysuwa się na pierwsze miejsce w naszych demokratycznych społeczeństwach i ściąga na siebie całe niezadowolenie. A przecież, gdyby dzisiaj nie było innej wady w rozdziale dóbr, jak pewna nierówność, nieszczęście nie byłoby zbyt wielkiem. Prawdę mówiąc, nie byłoby to nawet nieszczęściem.

Jeśli co, to z pewnością nierówność jest przyrodzoną; jest to jej wybitnem znamieniem. Nauka nie upoważnia nas do wiary, że kiedykolwiek uda się nam doprowadzić do jej zniknięcia, w każdym razie nie radzi nam dążyć do tego. Przeciwnie oznajmia nam przez usta swych najpoważniejszych lub przynajmniej najbardziej poważanych przedstawicieli, że nierówność jest konieczną dla rozwoju rodzaju ludzkiego tak, jak dla rozwoju wszystkich rodzajów zwierzęcych, że jest warunkiem niezbędnym postępu. Ograniczając się nawet do ściśle ekonomicznej dziedziny, można stwierdzić, że nierówność dóbr jest znakomitą podnietą, a może jedynym bodźcem produkcyi, że utrzymuje w ruchu wszystkich ludzi na najniższych

i na najwyższych szczeblach drabiny społecznej przez nadzieję pewnego stopniowego posuwania się naprzód, że ona jedna może rozwinąć całą potęgę osobistej inicyatywy, jednocząc wielkie kapitały w najzręczniejszych rękach i wreszcie, że ona jedna może stworzyć w pracach ludzi ożywczą różnorodność, dzięki nieskończonej ilości potrzeb i pragnień, które w nich rozbudza.

To wszystko prawda, ale nie rozwiązuje pytania, bo nierówność a nierówność to różnica. Istnieje rzeczywiście dobroczynna nierówność, która przyspiesza pochód społeczeństw ludzkich i przygotowuje życie lepsze dla wszystkich. Istnieje nierówność szkodliwa, która powstrzymuje rozwój organizmu społecznego, pozwalając żyć na jego koszt warstwom pasożytów. Chodzi teraz o to, by dowiedzieć się, do której z tych dwóch kategoryj zaliczyć należy nierówności, znamionujące nowożytne społeczeństwa.

By wywołać zbawienne i pożądane skutki, nierówność powinna mieć trzy znamiona: powinna być w pewnym stosunku *do oddanych usług*, *nie* zbyt *wielka* i nie powinna być *trwałą*.

Gdy nierówność udziałów nie pozostaje w żadnym stosunku do nierówności oddanych usług, gdy wypływa z przyczyn sztucznych, nie przyrodzonych, jak n. p. z dawnych zdobyczy lub z ustawodawstwa, uświęcającego długi ucisk, wówczas utrzymuje w społeczeństwie zaniepokojenie; czas nie leczy tej rany, przeciwnie pogarsza ją.

Gdy stałość i pewnego rodzaju przeznaczenie staje się znamieniem nierówności, gdy owocem jej są *kasty*, gdy potomkowie bogaczów są z pokolenia w pokolenie bogatymi, a synowie nędzarzy biednymi, wówczas wytwarza skutki niezadowalniające, nawet ze względu na postęp produkcyi. Odbiera odwagę tym, którzy stoją na najniższych szczeblach, pozbawiając ich nadziei wydźwignięcia się: usypia tych, którzy stoją wysoko, pewni swego niezmiennego stanowiska. Odciąga od pracy ręce zanadto biednych, bo oni już nie mają możności wytwarzania i zanadto bogatych, bo ci nie mają chęci. Zaszczepia te dwa nieszczęścia, które od tak dawna

prześladują nasze społeczeństwa, a znane są pod nazwą *lenistwa i ubóstwa*; tak jedno, jak drugie prowadzi do nieprodukcyjnej konsumcyi. W ten sposób krańcowa nierówność uwieczniając te dwie warstwy pasożytów na dole i na górze drabiny społecznej, przeciwdziała naturalnemu a zbawiennemu procesowi rozwoju społecznego.

Nareszcie, gdy nierówność majątków staje się bardzo wielką i przekracza pewne granice, pociąga za sobą cały szereg okrutnych nierówności, które oburzają sumienie i robią zamęt w państwie; tam gdzie biedny jest bardzo biednym, z konieczności skazanym jest na nieuctwo, na występki, na zbrodnię, na chorobę i przedwczesną śmierć.

Trzeba przyznać, że w naszych społeczeństwach — bądź co bądź w mniejszym stopniu, jak w starożytnych — odnaleźć można prawie wszystkie niezadowalniające rysy, które powyżej wskazaliśmy.

Po pierwsze, te nierówności są bardzo wielkie i przewyższają o wiele te, które wypływają z natury rzeczy. Różnice w wysokości olbrzyma i karła, w sile fizycznej najsilniejszego i najsłabszego człowieka, a nawet prawdopodobnie w sile umysłowej gieniusza i głupca — przypuśćmy, że moglibyśmy je zmierzyć jakimś dynamometrem, są niczem w porównaniu z zadziwiającą różnicą, która istnieć może między bogatym a biednym. Większość rodzin, zamieszkujących Francyę, jeden z krajów, gdzie dobrobyt jest najbardziej rozszerzonym, musi zadowalniać się dochodem niższym od tysiąca franków, a z drugiej strony są majątki na tym świecie, które obliczamy na setki milionów. Amerykanin Vanderbilt pozostawił majątek, oceniony na przeszło miliard, na jednego więc człowieka przypada dochód, z którego żyćby mogło 40 lub 50.000 rodzin. A przecież nikt, nawet sam Vanderbilt nie śmiałby twierdzić, że jego umysł lub zdolności są 50.000 razy większe, niż zdolności z nim współcześnie żyjących ludzi. Ta nierówność wywołuje wszystkie inne, o których mówiliśmy. Nie wspominajmy już występku i nieuctwa; zwróćmy szczególną uwagę na to dobro, do którego — tak przynajmniej zdawałoby się — wszyscy ludzie powinni mieć

równe prawa — chcę mówić o życiu. Ono jest bardzo nierówno rozdzielone między bogatych i biednych, statystyka dowodzi, że przeciętna długość życia jest dwa razy większą w warstwach bogatych, jak w biednych. Tak więc — o krwawa ironio losu — w miarę jak zmniejsza się udział dóbr, przeznaczony człowiekowi, zwiększa się danina, którą płacić musi chorobie i śmierci [1]). Nadto mają te nierówności w wielu krajach znamię stałości. Albowiem, jeśli amerykańscy miliarderzy mogą w pewnej mierze powiedzieć o sobie, że są „dziećmi swych czynów“, to nie można tego powtórzyć na przykład o angielskich lordach, którzy w liczbie kilkuset trzymają w swem ręku i przekazują z ojca na syna mniej więcej połowę ziemi angielskiej od czasów podboju Normanów. Pewne przepisy prawodawcze, jak substytucya, powstrzymują tych lordów od upadku ekonomicznego, mimo popełnianych szaleństw i utrzymują ich, w razie potrzeby wbrew ich woli, na tem wysokiem stanowisku, z którego nie powinni schodzić, a na które inni nie mogą się wydrapać.

---

[1]) Liczne rachunki statystyczne dowodzą, że przeciętna długość życia Anglika w warstwach bogatych dosięga 55 do 56 lat, podczas gdy w warstwach robotniczych spada do 28 lat, a nawet niżej. P. Lona *(Économiste français* 1882. I. str. 479) podaje następujące cyfry rocznej śmiertelności w Paryżu.

Warstwy bogate i zamożne 156 na 10,000 mieszkańców.
Warstwy biedne . . . 285 na 10,000 mieszkańców.

P. Leroy-Beaulieu w swym dziele o „*Rozdziale dóbr*“ chce zrównoważyć do pewnego stopnia nieszczęścia, wynikające z ubóstwa i nieszczęścia, których powodem choroba lub przyczyny moralne. „Jakże mała jest liczba biednych w porównaniu z ludźmi prześladowanemi chorobami, słabościami nieuleczalnemi lub organicznemi n. p. skrofułami lub suchotami? A cóż dopiero w porównaniu z jeszcze większą liczbą ludzi, dręczonych dotkliwemi cierpieniami moralnemi? Zapewne ubóstwo jest złem, jednak dla umysłu filozoficznego jednem z najmniej rozpowszechnionych wśród społeczeństw ludzkich“. Znakomity ekonomista zapomina, że ubóstwo samo przez się jest przyczyną bardzo dotkliwych cierpień moralnych, również bardzo ważną przyczyną skrofuł i suchot, że więc przeznaczenie nie rozłożyło nieszczęść prześladujących ludzkość na dwóch przeciwnych szalach wagi, lecz skupiło je *po jednej stronie.*

W końcu one nie odpowiadają wcale oddanym społeczeństwu usługom, a co przedewszystkiem drażni, to brak widocznej ich przyczyny. Nie pozostają w żadnym stosunku do trudu łożonego, przeciwnie zdaje się, że zgodnie z gorzką uwagą Stuarta Milla, skala wynagrodzenia zniża się w miarę, jak praca staje się uciążliwszą, aż do tego stopnia, gdzie najcięższa praca ledwo starczy do zdobycia koniecznych warunków życia. Również nie stosują się do cnót i zasług ludzkich. Przeciwieństwo między człowiekiem uczciwym i biednym, a złym szczęśliwym i bogatym jest bardzo zwykłym objawem, starym jak świat, przecież jednak ciągle się powtarzającym.

III.

Dlaczego kwestya rozdziału dóbr jest tak trudną do rozwiązania?

Gdyby dobra rozsypane były po tym świecie w nieprzebranej ilości, jest rzeczą jasną, że kwestya podziału nie istniałaby; trzebaby tylko pozwolić każdemu czerpać z nieprzebranego źródła. Czy jest spór o podział wody źródlanej? Tak, lecz tylko w oazach Sahary. — Tam, gdzie dobra są w ilości niewystarczającej, tam nasuwa się kwestya rozdziału, która staje się tem ostrzejszą, im mniejszą jest ilość, przeznaczona do rozdziału. Rozbitki na łodzi Meduzy walczyli nożami o kromkę chleba.

Nie jesteśmy wprawdzie na łodzi Meduzy, ale w każdym razie jesteśmy bardziej zbliżeni do drugiej, jak do pierwszej z tych ostateczności. Wbrew powszechnemu przesądowi, ilość wytwarzanych dóbr jest małą, niedostateczną i to nawet w krajach, zwanych bogatemi. To właśnie utrudnia i zarazem zaostrza kwetyę rozdziału. Jest rzeczą jasną, że człowiek choćby był na tym świecie najzręczniejszym w dzieleniu, to nie potrafi wykroić z małej ilości, przeznaczonej do podziału, wielkich części. Łatwo jest przytoczyć niezbity dowód na to, co powiedzieliśmy. Ogólna ilość dóbr, które mogą

istnieć w takim kraju, jak Francya, oszacowana jest na 200 miliardów. Jeśli podzielimy tę liczbę przez liczbę oznaczającą ludność Francyi, a więc przez 38 milionów, otrzymamy jako iloraz 5,263 franków. Przypuściwszy, że dobra byłyby rozdzielone na zasadzie równości między wszystkich Francuzów, każda rodzina (licząc cztery osoby na rodzinę) otrzymałaby mniejwięcej kapitał 21000 franków, a z tego połowę mniej więcej w ziemi. Może kto powie, że to położenie byłoby w każdym razie lepszem od teraźniejszego? Niezawodnie, ale trzeba przynajmniej przyznać, że byłoby to położenie bardzo skromne dla każdego i z pewnością bardziej zbliżone do ubóstwa, jak do bogactwa. Ten sam rachunek zastosowany do Anglii lub do Stanów Zjednoczonych doprowadziłby do zupełnie podobnych, analogicznych wyników a zastosowany do każdego innego kraju do wyników znacznie gorszych [1]).

Do tego samego wniosku dojść można innym sposobem, mianowicie obliczając małą ilość bogaczy, nawet w krajach, zwanych bogatymi. Stanowią oni zawsze tylko nieznaczną część ludności. Paweł Leroy-Beaulieu, oblicza liczbę milionerów we Francyi najwyżej na 20,000, a obliczenie to potwierdzają rozmaite spostrzeżenia, poczynione w krajach, w których wprowadzenie podatku osobisto-dochodowego, pozwoliło zebrać o wiele dokładniejsze dane statystyczne.

I tak w Prusiech w r. 1889 na 9,603.375, obowiązanych do płacenia podatku, naliczono 88,639, to j. mniej jak jeden na 100, których dochód przewyższał 2000 marek a tylko 10,860, a więc trochę więcej jak 1 na 1000, których dochód przewyższał 20,000 marek.

Ztąd widać, jak bardzo mylnem jest zdanie ogółu i większej części socyalistów, którzy wyobrażają sobie, że do rozwiązania kwestyi socyalnej wystarczy uszczuplić udział bogatych, by o tę samą kwotę zwiększyć udział biednych. Ten dziecinny i nierozsądny sposób postępowania, przypuściwszy

[1]) Cały majątek Włoch szacują zaledwie na 54 miliardów, a więc przypada na głowę 1760 franków, a mniejwięcej 7000 franków na rodzinę (Pantaleoni *Giornale degli Economisti*, sierpień 1890).

nawet możliwość jego urzeczywistnienia, zwiększyłby tylko w stosunku śmiesznie małym dochód olbrzymiej większości, tak, jak, gdyby zdołano rozdzielić po całej powierzchni ziemi francuzkiej wszystkie jej góry wraz z Mont-Blanc, podniesionoby tylko o kilka stóp poziom ziemi.

Zapominają o tem, że jeśli jest tylu ludzi na tym świecie, którzy posiadają tak małą część dóbr, to nie tylko dlatego, że dobra są źle rozdzielone, ale przedewszystkiem dlatego, że ich ilość jest niedostateczną. Trudności kwestyi szukać należy nietyle w nierównym podziale—na to znalazłaby się dość łatwo rada — ile w niedostateczności dóbr.

Ze stwierdzenia tego faktu wynika, co następuje. Każdy sposób rozdziału, któryby przedłożono, powinien być odrzuconym bez wahania, choćby zresztą odpowiadał ideałowi sprawiedliwego rozkładu, jeśliby spowodował zmniejszenie produkcyi, albowiem w tym razie, zwiększałby zło, które ma leczyć. Rozwiązanie kwestyi rozdziału zależy więc od niezbędnego warunku, którym jest: *nietamowanie działalności produkcyjnej*. Zobaczymy, że właśnie o ten szkopuł rozbijają się wszystkie systemy socyalistyczne. Rozwiązanie kwestyi powinno zadość uczynić jeszcze jednemu warunkowi, który jest w pewnym związku z poprzednim, mianowicie nie powinno *niszczyć wolności osobistej*. Otóż przypuściwszy, że znajdziemy idealnie sprawiedliwą zasadę rozdziału, czyż nie będzie potrzeba władzy, przeznaczonej do wprowadzenia w życie tego prawa przez udzielenie każdemu jego części, podobnie, jak matka dla każdego dziecka kraje chleb? czyż ujęcie w przepisy rozdziału, nie zmusi do ujęcia w przepisy produkcyi i pracy? Czyż którakolwiek władza, przeznaczona do podziału, potrafi w dniu żniw odliczyć każdemu jego snopki, a mimo tego zostawić każdemu wolność siana i pracowania według swej woli? To nie jest prawdopodobnem. Trzebaby więc dla uniknięcia tej przeszkody wynaleźć sposób rozdziału, działający sam przez się, samodzielnie i bez konieczności ciągłego wkraczania władzy rozdzielającej.

Ten drugi warunek nie jest o wiele łatwiejszym do spełnienia, od pierwszego — ale czas zapytać się, jakie sposoby rozwiązania podają różne szkoły socyalistyczne.

ROZDZIAŁ II.

Systemy socyalistyczne.

I.

Komunizm.

Przypuśćmy więc, jak to czynili dawniejsi reformatorowie społeczeństw, — że żyjemy w nowym świecie na wyspie Utopii Morusa i tam, pomijając wszystko, co mogłoby nam przeszkadzać, przeszłość dziejową, zwyczaje lub prawa, szukamy zasady sprawiedliwego rozkładu, która nam służyć powinna za podstawę rozdziału dóbr.

Najpierw można zapytać, po co w ogóle dzielić? Każdy rozdział będzie przyczyną nowych nierówności; dlaczego odtąd nie pozostawić wszystkiego wspólnie w rękach społeczeństwa, jak w rękach jednej i tej samej rodziny? To jest w istocie najprostszy i zarazem najdawniejszy ze wszystkich dotąd utworzonych systemów — *komunizm*[1]).

---

[1]) Liczba autorów począwszy od Platona w jego *Rzeczypospolitej* lub nawet Fenelona w *Telemaku*, którzy stworzyli mniej lub więcej komunistyczne teorye, jest bardzo wielką, lecz za naczelników szkół można uważać jedynie: Gracchusa, (Baboeufa), Roberta Owena i Cabeta. Baboeuf, który się nazwał Gracchusem, (ponieważ sądził, że trybun rzymski, twórca ustaw agrarnych, wynalazł równy rozdział) był naczelnikiem spisku „Równych“, za czasów dyrektoryatu, został skazanym na śmierć i straconym w r. 1797. Rozwinął cały plan ustroju społecznego w programie zaczynającym się od słów: „Przyroda dała każdemu człowiekowi równe prawo do użycia wszystkich dóbr“. W każdym razie ruch ten miał raczej znamię rewolucyjne jak społeczne.

Organizacyi tej nie można zaliczyć bezwarunkowo do urojeń, skoro niewątpliwie istniała, jeśli nie w kolebce wszystkich społeczeństw ludzkich, jak tego dowodzono w sposób zanadto bezwzględny, to przynajmniej w początkach wielkiej części z pomiędzy nich.

Dziś jeszcze, nie mówiąc już o katolickich klasztorach, znajdujemy w Stanach Zjednoczonych dość liczne i bardzo charakterystyczne przykłady stowarzyszeń ściśle komunistycznych, a niektóre z nich istnieją blisko sto lat. Choć nie wydały wyników zbyt świetnych, dowiodły przecież samem swem istnieniem, że wspólność dóbr jest organizacyą, mogącą się urzeczywistnić pod pewnemi warunkami [1]). Aczkolwiek

---

Owen, urodzony w Szkocyi w r. 1771, (umarł w r. 1857), był natomiast wielkim filantropem; już z początkiem tego wieku w swych zakładach w New-Lamark stworzył zawiązek wielkich urządzeń dobroczynnych naszego czasu: ograniczenie godzin pracy, zakaz pracy dzieci, stowarzyszenia robotnicze udziałowe, kasy oszczędności, magazyny spożywcze, a nawet szkoły świeckie. Nie zadowolnił się tem, marzył o stworzeniu społeczeństw komunistycznych i założył takowe w Stanach Zjednoczonych pod nazwą New-Harmony w r. 1826. Po kilku latach powodzenia, osady te rozpadły się.

Cabet, autor *Ikarii*, jednej z licznych powieści, będących naśladownictwem *Utopii* Tomasza Morusa, założył w r. 1848 stowarzyszenie Ikaryjczyków, które dziś jeszcze istnieje w stanie Jowa. Istnienie jego zakłócały wewnętrzne spory. Kilka lat temu rozpadło się na dwie części, liczba członków jest nieznaczną (75 w *Młodej Ikaryi*). Położenie jego finansowe jest niepomyślne Fouriera niesłusznie zawsze zaliczają do prawdziwych komunistów. Fourier był komunistą tylko o tyle, o ile chodziło o produkcyę i konsumcyę, a wcale nim nie był pod względem rozdziału dóbr. Życie wspólne w falansterze było dla niego tylko środkiem zorganizowania konsumcyi i produkcyi w warunkach bardziej ekonomicznych, ale celem jego nie było stworzenie równości między ludźmi; miało natomiast pozostawić nietkniętemi nietylko nierówności, wynikające z pracy lub zdolności, lecz nawet, Fourier wyraźnie to powiada, nierówności wynikające z nierównych *włożonych kapitałów*.

[1]) Patrz Nordhoff, *Communistic societies* i Richard Ely *The Labor movement in America*. Tych stowarzyszeń komunistycz-

doświadczenia poczyniono tylko w małych rozmiarach, dowodzą one jasno, że komunizm nie wyklucza bezwarunkowo pracy i produkcyi, jak lekkomyślnie twierdzono. Członkowie tych stowarzyszeń są w ogóle ludźmi dość pracowitymi. Co prawda nie znajdujemy tam tej silnej podniety, jaką jest własność osobista, skoro każdy pracuje i wytwarza na rachunek wszystkich, zamiast pracować i wytwarzać jedynie dla siebie, ale zazwyczaj, robiąc ten zarzut komunizmowi zapominamy o tem, że w naszych nowożytnych społeczeństwach brak właśnie tej podniety dla olbrzymiej większości ludzi, to jest dla tych wszystkich, którzy jako najemnicy pracują wyłącznie na rachunek cudzy. Należy przypuszczać, że stowarzyszony, pracujący na rachunek stowarzyszenia, którego sam jest członkiem, weźmie się z większym zapałem do dzieła, jak najemnik, pracujący na rachunek przedsiębiorcy. Dowód więc jest obosiecznym, zwraca się przeciw tym, którzy nim walczą.

Prawdziwej przyczyny niepowodzenia systemów komunistycznych, szukać należy w warunkach, niezbędnych do ich urzeczywistnienia, są one bowiem zupełnie niezgodne z kierunkiem rozwoju nowożytnych społeczeństw. By się o tem przekonać, wystarczy zastanowić się nad temi warunkami, a zbadać je możemy w kilku istniejących gminach komunistycznych, które się utrzymały:

1) Trzeba bardzo małych stowarzyszeń, w których liczba członków nieprzekraczałaby kilku set lub tysiąca. Zresztą komuniści zrozumieli to dobrze, i tak Fourier w swym falansterze uważał liczbę 1500 osób za najwyższą. Owen oznaczał ją na 500 do 2000 [1]) Przyczyna tego jest bardzo prostą:

---

nych jest 70—80, liczba członków wynosi 6—7000, a cały ich majątek w sumie około 120 do 150 milionów franków przedstawia niezawodnie znaczną wartość. Jest to około 20.000 franków na głowę, a więc o wiele więcej jak w ten sam sposób wyrachowany udział jednostki w naszych najbogatszych cywilizowanych społeczeństwach.

[1]) Te, które widzimy w Stanach Zjednoczonych, są bardzo nieliczne. Najznaczniejsze pomiędzy niemi, Stowarzyszenie

w miarę jak zwiększa się liczba stowarzyszonych, zmniejsza się interes każdego stowarzyszonego w powodzeniu stowarzyszenia. Gdy jest nieznaczną, każdy może liczyć na wynagrodzenie, zastósowane do jego osobistych wysiłków, lecz w stowarzyszeniu komunistycznem, któreby objęło wszystkich Francuzów, interes jednego wyrażałby się stosunkiem $\frac{1}{38000000}$ a ta mała cząstka nie wzbudzi w nikim gorliwości.

Próżne byłyby próby uniknięcia tej trudności, jak tego domagali się niektórzy komuniści, przez utworzenie wspólności tylko w łonie jednej gminy i rozdzielenie kraju, tak wielkiego jak Francya, na 36.000 odrębnych gmin. W tym wypadku trud byłby straconym, istniałyby gminy bogate i gminy ubogie, a nierówność ludzi zmieniłaby się w nierówność związków.

2) Trzeba stowarzyszeń rządzących się jak najostrzejszą karnością. Łatwo zrozumieć, że równość wymagana w tego rodzaju stowarzyszeniach, narażonąby została każdą chęcią jednostki zużycia więcej nadto, co jej przeznaczono, lub zachcianką uchylenia się od swych obowiązków. Zakłady, w których panuje życie wspólne, klasztory, kasarnie i szkoły, rządzą się surowem posłuszeństwem. Dzieje rzeczypospolitej Ikaryjskiej są godne uwagi z tego punktu widzenia. Widzimy nowych obywateli usiłujących ciągle omijać przepisy, które uważają za nieznośne, niewykonalne i Cabeta walczącego napróżno o władzę dyktatora w interesie gminy. Względne niepowodzenie tego stowarzyszenia przypisać właśnie należy niezachowaniu karności.

Godzi się zauważyć, że we wszystkich prawie wypadkach uczucie religijne posunięte aż do fanatyzmu, było jedynie w stanie utrzymać w tych gminach karność konieczną dla ich istnienia. Wszystkie związki komunistyczne w Stanach Zjednoczonych z wyjątkiem Ikaryjczyków, są sektami

---

Shakersów, składa się z kilku gmin, z których największa Mount-Lebanon, liczyła w r. 1876 trochę mniej niż 400 członków (Nordhoff *Communistic societies*).

religijnemi, a rzeczypospolite Jezuitów w Paragwaju były przykładem prawdziwej teokracyi.

Dziś umysły nie są wcale skłonne do poddania się jarzmu jakiejkolwiek władzy, a najmniej jarzmu religijnemu; wobec takiego usposobienia ludzkości, przepowiedzieć można każdemu systemowi komunistycznemu niepowodzenie. A mimo tego przez zadziwiającą nielogiczność, jedyną szkołą socyalistyczną, która dziś jeszcze naucza czystego komunizmu jest szkoła anarchistów [1]).

II.

Kolektywizm.

Kolektywizm jest złagodzonym Komunizmem. Chce on utrzymać tylko niepodzielność narzędzi produkcyi, to jest ziemi i kapitałów, a co do wytworów, chce dzielić je według pewnych zasad, nad któremi zastanowimy się w następnym rozdziale.

Kolektywizm jest systemem, około którego skupili się prawie wszyscy dzisiejsi socyaliści (z wyjątkiem anarchistów, którzy dochowali wierności komunizmowi [2]). Kolektywizm nie stawia sobie za zadanie stworzenia nowego społeczeństwa, opartego na tej czy owej zasadzie słuszności. Rości on sobie

---

[1]) Trzeba w każdym razie zaznaczyć dla wytłomaczenia choć w części tej sprzeczności, że anarchiści chcą odbudować społeczeństwo właśnie w postaci niezliczonej ilości małych stowarzyszeń, wolnych i opartych na samorządzie.

[2]) Kolektywizmu nie można złączyć ściśle z imieniem jednego człowieka tak, jak inne systemy socyalistyczne. Colins w Belgii, Pecqueur i Vidal we Francyi 40 lub 50 lat temu poczęli rozróżniać — jest to rys znamienny systemu — narzędzia produkcyi i przedmioty konsumcyi. Lecz dopiero Ferdynand Lasalle, a przedewszystkiem Karol Marx, dwaj niemieccy żydzi dostarczyli temu systemowi broni, którą robi wyłom w dzisiejszym ustroju naszych społeczeństw. Plan przyszłego ustroju kolektywistycznego rozwinął Cezar de Paepe, Belgijczyk. W osta-

prawo uzasadnione czy nie, być przedstawicielem tego porządku rzeczy, *do którego dążą nowożytne społeczeństwa* bez względu na swą wolę pod wpływem nieuniknionego rozwoju. W tych wszystkich społeczeństwach, utrzymują jego zwolennicy, skutkiem rozwoju wielkiego przemysłu, wielkiego handlu i wielkiej własności, produkcya osobista znika, a w jej miejsce wstępuje produkcya zbiorowa.

Ponieważ wszystkie narzędzia produkcyi, kopalnie, drogi żelazne, okręty, banki, maszyny przechodzą codziennie z rąk pojedynczych właścicieli w ręce wielkich bezimiennych towarzystw, będziemy więc wnet świadkami końca tej ewolucyi, która zniesie prawo własności osobistej na wszystkich dobrach tego rodzaju i przeleje je na społeczeństwo.

Spodziewają się po uspołecznieniu, że się tak wyrażę, *czynnych dóbr*, to jest tych, które służą do produkcyi, usunięcia wielu błędów dzisiejszej organizacyi społecznej.

Usunęłoby ono najpierw te skrajne nierówności, które nas zastanowiły, albowiem przyczyną tych nierówności nie jest nic innego jak skupienie się kapitałów lub ziemi w rękach pewnych warstw, które się mnożą w nieskończoność przez dziedziczenie, wypożyczanie na procent, a zwłaszcza przez użycie na produkcyę w cudzem gospodarstwie, które według nauki Karola Marksa nie jest niczem innem, jak wyzyskiem cudzej pracy. Z dniem, w którym żadna jednostka nie będzie mogła posiadać kapitałów, zniknie równocześnie i ten monopol wraz z wszystkiemi swemi skutkami.

Usunęłoby próżniactwo, albowiem w dniu, w którym nikt nie będzie właścicielem ani ziemi ani kapitałów, zabraknie miejsca dla warstwy kapitalistów — pasożytów, żyjących ze swych lokacyj, lub swych czynszów dzierżawnych.

---

tnich czasach napisano kilka zajmujących rozpraw, opisujących przyszłe społeczeństwo. Patrz dzieło Amerykanina Gronlund *Cooperative commonwealth* i również amerykańską powieść, która doczekała się ogromnego rozgłosu, *Looking backward* Bellamyego.

Usunęłoby ubóstwo, albowiem w razie, gdyby społeczeństwo zostało właścicielem całej ziemi i wszystkich kapitałów, to pod warunkiem zapewnienia pracy tym, którzy pracować będą w stanie, a przynajmniej bytu do pracy niezdolnym. Z drugiej strony kolektywizm, zachowując własność osobistą na przedmiotach spożycia z prawem rozporządzenia niemi do woli, przyrzeka nam uniknąć niebezpieczeństw komunizmu i ochronić w zupełności wolność osobistą.

Nie wdając się tutaj w krytyczną ocenę tego systemu, która wymagałaby długich roztrząsań, ograniczymy się do wzmianki, że rozróżnienie między narzędziami produkcyi a przedmiotami spożycia, na którem właśnie oparł kolektywizm cały swój system, tworzy bardzo kruchą podstawę.

Rozróżnienie to nie ma wartości ze stanowiska moralnego. Narzędzie produkcyi, bez względu na to, czy nazwiemy, czy nie nazwiemy go kapitałem, może być tak dobrze wytworem pracy jak przedmiot spożycia, może więc również stanowić zupełnie uprawnioną własność. Toż zdrowemu rozsądkowi przeciwną jest myśl, że powóz jako przedmiot konsumcyi, będzie mógł być przedmiotem uprawnionej własności, podczas gdy łódka i sieć rybaka nie będą nim mogły być, bo to są narzędzia produkcyi. Co prawda kolektywiści odpowiedzą może a nawet już odpowiedzieli, że nie mają zamiaru konfiskować kapitałów, używanych tylko jako narzędzia do pracy osobistej, lecz jedynie te, *które ich właścicielom dają możność zatrudniania innych ludzi na ich własny rachunek*, więc kopalnie, wielkie dobra, huty i t. d. W takim razie jednak rozróżnienie to schodzi po prostu do twierdzenia, że skonfiskujemy wielkie a nie małe kapitały, traci więc wszelką wszelką wartość naukową; nie jest niczem więcej jak zwykłym systemem zrównania.

I ze stanowiska praktycznego na rozróżnienie to zgodzić się nie można. Widzieliśmy powyżej, że wielka liczba dóbr z powodu swych różnorodnych własności może być zarówno zaliczoną do kapitałów jak do przedmiotów spożycia, a nawet, że oznaczenie mianem kapitału zależy

nie tyle od przedmiotu jako takiego, ile od sposobu jego użycia. Którykolwiek przedmiot spożycia może stać się katałem przez to jedynie, że zużyje się go w produkcyi. System kolektywistyczny, znosząc własność osobistą na kapitałach, dochodzi więc *do zakazywania jednostkom wszelkiego produkcyjnego zużycia dóbr* i pozwala wyłącznie na zużycie nieprodukcyjne, naprzykład pozwala im zjeść swe zboże, ale nie wolno go zasiać. Jest to wynik dość dziwny, a w każdym razie nie dawałby on dobrych rękojmi dla przyszłej produkcyi.

Należy nadto zauważyć, że, by zapewnić poszanowanie takiemu zakazowi, to znaczy, by uniemożliwić każdej jednostce swobodne rozporządzanie przeznaczoną jej częścią dóbr, na której nawet kolektywista przyznaje jej prawo własności, trzeba uciec się do środków *w wysokim stopniu ograniczających wolność*, trzeba zabronić sprzedaży, pożyczki i produkcyi prywatnej. Wówczas prawo własności, pozbawione swych zasadniczych przywilejów, będzie tylko urojeniem, a więc znów zejdziemy do poziomu czystego komunizmu. Jeśli przeciwnie kolektywizm zazdrośnie będzie czuwał nad poszanowaniem wolności jednostek, jeśli nie będzie naruszał przynajmniej ich praw własności na przyznanej im części dóbr, prawa rozporządzania nią w drodze darowizny lub w zamian za wzajemne świadczenie za życia i na przypadek śmierci, w tym razie, choćb ywłasność osobista była bardzo ograniczoną, wystarczy do odbudowania w kilku latach porządku społecznego, który zgoła nie będzie się różnił od dzisiejszego. Zdaje się więc, że system kolektywistyczny napróżno chwali się i spodziewa zająć stanowisko pośrednie między komunizmem a indywidualizmem, zdaje się, że nie będzie mógł uniknąć konieczności zlania się z jednym lub powrotu do drugiego systemu.

III.

Różne zasady rozdziału.

Szkoły socyalistyczne, nie zgadzające się z komunizmem, szukają zasady rozdziału. Sam kolektywizm zmuszonym jest szukać jej, jeżli nie dla kapitałów, to przynajmniej *dla dochodów*. Zagadnienie nie jest łatwem, nawet badając je ze stanowiska czysto teoretycznego. Nic nam nie pomoże twierdzenie, że rozdział ma być sprawiedliwym. Albowiem czem jest sprawiedliwość? Jest to oddaniem każdemu tego, co mu się należy, *suum cuique tribuere*. Otóż w tem właśnie polega trudność oznaczenia tego, co ma przypaść każdemu. Na jakiej zasadzie oprzemy nasz sąd?

Systemy socyalistyczne, stosownie do szkół, przyjęły jednę z następujących czterech zasad:

Każdemu część równa.
Każdemu według potrzeb.
Każdemu według zdolności.
Każdemu według pracy.

Zbadajmy je po kolei.

§ 1. Każdemu część równa.

Wspominamy o tej pierwszej zasadzie tylko dla całości obrazu, albowiem sami socyaliści ją już oddawna porzucili; dziś nikt nie *dzieli* w dosłownem tego słowa znaczeniu. Socyaliści, zwolennicy równości, dziś już nie żądają rozdziału, są oni komunistami, a to nie jest jedno i to samo; są to nawet wprost przeciwne sobie bieguny, ponieważ komunizm nie jest wcale systemem rozdziału, raczej zaprzeczeniem wszelkiego rozdziału.

Mimo tego jest prawdopodobnem, że system ten był używanym w wielu społeczeństwach pierwotnych. W istocie starożytni prawodawcy, których imiona przekazały nam dzieje

lub legendy, Minos, Lykurg, Romulus, prawdopodobnie przystąpili do równego podziału ziemi, jeźli nie według głów, to według rodzin. A gdy po kilku pokoleniach pierwotna równość znikła naturalnym biegiem rzeczy, odnowiono ją przez nowe podziały w oznaczonych okresach czasu. Starodawny ten zwyczaj utrzymał się w wielu okolicach Niemiec i Anglii w ciągu średnich wieków, a dziś odnajdujemy go w złagodzonych formach z pewnymi zmianami w Rosyi i Azyi [1]).

Podobny system można urzeczywistnić w całej pełni w społeczeństwach pierwotnych, które składają się z małej liczby ludzi i nie znają innego rodzaju dóbr jak ziemi. Ale chyba rozum stracił ten, ktoby choć przez chwilę myślał o zastosowaniu go do naszych tak wielkich społeczeństw, których dobra są tak różnorodne, a uczestnicy tak liczni.

§ 2. Każdemu według potrzeb.

Jeżeli zasada ta wyraża myśl, że najlepszym systemem podziału jest system, zapewniający każdemu człowiekowi to wszystko, coby było koniecznem do zaspokojenia jego potrzeb lub pragnień, w takim razie projekt ten jest dobrym — temu nikt nie zaprzeczy.

Lecz do zapewnienia każdemu człowiekowi ilości dóbr, wystarczającej do zaspokojenia jego potrzeb, trzeba, by dobra istniały w ilości nieograniczonej lub przynajmniej nader obfitej, a w tym razie byłoby zbyteczną rzeczą zajmować się ich rozdziałem — nie byłoby już sporu. Niestety — tak nie jest. Miasto może przez stosowne zarządzenia każdemu mieszkańcowi rozdawać wodę według jego potrzeb, ale byłoby w wielkim kłopocie, gdy miało dostarczać na żądanie bez ograniczenia chleba, wina, mięsa, odzieży, mieszkań, mebli,

[1]) Ustrój gmin rosyjskich, znanych pod nazwą *mir* — z peryodycznemi podziałami ziemi co trzy lata lub w dłuższych okresach, podczas których każda rodzina ma prawo osobistego użytkowania swego działu — uważają za zastosowanie systemu równego rozdziału.

powozów i t. d. Trzeba więc pod wpływem konieczności zmienić zasadę i zadowolić się twierdzeniem, że dobra będą rozdzielone w stosunku do potrzeb każdego.

Ale w takim razie zasada ta narażoną jest na najcięższe zarzuty.

Wymaga ona najpierw ocenienia potrzeb ludzkich; brak nam jednak wszelkiej powszechnej miary do przedsięwzięcia podobnego ocenienia. O ile wyższe są potrzeby artysty od potrzeb rękodzielnika?

Wymaga nadto uzasadnionego osądzenia użyteczności i moralności potrzeb, ponieważ zapewne nie będzie można wziąć za podstawę podziału jakichkolwiek potrzeb lub pragnień, lecz tylko te, które uznane będą za uprawnione; w przeciwnym bowiem razie będzie to tylko wyznaczeniem premii dla wszelkich wybryków. Któraż tedy władza oceni potrzeby ludzi, przyjmie jedne, a odrzuci drugie?

Nawet pomijając wszystkie praktyczne trudności, które zaznaczyliśmy, należałoby zapytać się, czy jest zgodnem ze sprawiedliwością głosić, że osoba, która ma mało potrzeb i skromne upodobania, będzie przez to samo miała prawo do mniejszej części, jak każda inna, której potrzeby fizyczne lub umysłowe są silniejszemi. Czyż na prawdę sprawiedliwość wymaga, by obdarzony dwa razy większym apetytem odemnie, miał też i pożywienie podwójne? Bądź co bądź można sobie wyobrazić, że społeczeństwo oparte na tej zasadzie, nie wywoła budujących wrażeń.

Chcąc wprowadzić w życie tę zasadę, dochodzimy po prostu do tego: ludzie powinni żyć w społeczeństwie, jak w łonie wielkiej rodziny, gdzie rzeczywiście każdy spożywa stosownie do wieku, płci, dobrego lub złego stanu zdrowia i — nie zapominajmy o tem — stosownie do zasobów rodziny; a nasza zasada, w te słowa ujęta, zlewa się zupełnie z komunizmem.

§ 3. Każdemu według zdolności.

Jest to osławione godło szkoły Saint-Simona: „Każdemu według jego zdolności, według jego zasług“ [1]). Lecz któż będzie miał obowiązek oznaczyć zdolności i zasługi każdego i wynagrodzenie, do którego będzie miał prawo? Uczyni to rząd, który zamianuje każdą jednostkę w każdej gałęzi pracy zupełnie tak samo, jak dziś mianuje urzędników, naznacza im posadę i zapłatę, zastosowaną do ich przypuszczalnych zasług. Więc rząd ten będzie chyba nieomylnym papieżem — jak nim zresztą był kapłan w systemie Saint-Simona — by módz myśleć o przyznaniu mu tak niezwykłej władzy. Saint-Simoniści przedewszystkiem z naciskiem podnoszą, że w naszych społeczeństwach podział dóbr opiera się jedynie na przywileju urodzenia, a całkiem pomija zdolności tych, którzy je otrzymują. To prawda, ale sumienie publiczne jest z pewnością mniej obrażonem widokiem majątku rozdzielanego przez przypadek urodzenia, aniżeli gdyby rozdawała go łaska i samowola rządu. Przypuściwszy, że zastąpionoby wybór rządu przez głosowanie wyborców lub nawet przez system konkursów i egzaminów, obejmujących wszystkie rodzaje pracy i zawody od najniższych do najwyższych, nie doprowadzonoby do niczego dobrego.

Jesteśmy przekonani, że system ten jest bez wartości ze stanowiska nietylko praktycznego, ale i nie wiele więcej wart ze stanowiska sprawiedliwości. Wyższość umysłowa lub fizyczna nie powinna być wzmocnioną nowym przywilejem, to znaczy prawem do większego udziału w dobrach materyalnych.

---

[1]) Saint Simon, zmarły w r. 1825, pozostawił po sobie luźny system polityczno-religijny, stworzył on jednak wielką szkołę, która oczarowała najznakomitsze umysły tego czasu; dwaj jego uczniowie, Bazard i Enfantin, najwięcej pracowali nad rozwojem jego nauk, nadali im więcej ścisłości, szczególniej pod względem ekonomicznym.

§ 4. Każdemu według jego pracy.

Zasadę tę można rozumieć dwojako, nadaje się też jej dwa bardzo rozmaite znaczenia, które należy starannie odróżniać, czego zwykle nie czynią.

a) Po pierwsze może oznaczać: *Każdemu wytwór jego pracy*, to znaczy, każdy powinien posiadać to, co wytworzył [1]). Zasada ta wydaje się na pierwszy rzut oka bardzo zgodną ze sprawiedliwością, bo cóż może być słuszniejszego, jak przyznać każdemu człowiekowi prawo do tej części dóbr, którą sam stworzył, która więc nie istniałaby bez niego? Wydaje się również bardzo łatwą do zastosowania, bo cóż może być prostszego, jak pozostawić każdemu tę rzecz właśnie, którą wytworzył? To uwalnia od wszelkich rachunków, od wszelkiego wmięszania się władzy; prawodawca nie ma już więcej obowiązku wydzielania części, — każdy sam ją sobie wydziela, wytwarzając ją — jego zadanie ogranicza się do zapobieżenia zabraniu części sąsiada. W końcu wydaje się czynić zadosyć, lepiej niż każda inna, temu głównemu warunkowi, o którym nie powinniśmy nigdy zapominać, to jest podnieca produkcyę. Cóż można wymyśleć lepszego dla podniecenia działalności osobistej do najwyższego stopnia jak powiedzieć każdemu człowiekowi: „Rób co chcesz lub co możesz, a co wytworzysz, będzie twoim udziałem. Tem lepiej dla ciebie, jeśli twa część jest wielką, tem gorzej, jeśli małą.“

A przecie, mimo swej pozornej prostoty, zasada ta pozostawia wiele do życzenia tak ze stanowiska naukowego, jak praktycznego. Najpierw zamiast być w zastosowaniu bardzo łatwą, jest całkiem niewykonalną.

Możnaby ją zastosować w społeczeństwie bardzo pierwotnem, gdzie podział pracy nie istnieje, rozpowszechnioną jest mała własność i mały przemysł, gdzie każdy, żyjąc z pracy rąk, nie wytwarza nic ponad to, co spożywa i nic

---

[1]) „Robotnik powinien posiadać cały wytwór swej pracy,“ oto śpiewka, która się powtarza w żądaniach robotników.

nie spożywa ponad to, co wytwarza. A w takich stosunkach kwestya socyalna nie nasunie się. Lecz w naszych wielkich nowożytnych społeczeństwach, podział pracy z jednej, a wielka produkcya z drugiej strony, nie pozwalają rozróżnić i oznaczyć wytworu pracy jednostki. Spróbujmy w przedsiębiorstwie towarzystwa kolei żelaznej lub choćby w skromnej pracowni orzec, co jest wytworem pracy każdego zatrudnionego. Niech kupiec, niech ajent przewozowy lub profesor pokażą nam w uchwytnej postaci wytwór swej pracy! W dniu, w którym produkcya przestanie być osobistą i zamieni się w zbiorową, zasada, każdemu według jego pracy, niema znaczenia, jest nierozumną.

Stanley Jevons przyrównywa przebieg produkcyi, w której wchodzą w grę wszystkie czynniki produkcyi, do kuchni trzech czarownic z Makbeta, które rzucają i mięszają w kotle najróżnorodniejsze materye, by ugotować swój piekielny napój. Przez jaki ścisły rozbiór dojdziemy do rozpoznania w tej mięszaninie części, należnej każdemu?

Nadto, gdyby nawet zasadę tę można wprowadzić w życie, doprowadziłaby, wykonana dosłownie, do wyników, które nie przypadłyby do smaku ani ekonomistom klasycznym, ani socyalistycznym.

Doprowadziłaby z jednej strony do zniesienia dziedziczności i własności gruntowej — dziedziczności, ponieważ dziedzic nie może twierdzić, że dobra, które otrzymał w drodze spadku lub darowizny, są wytworem jego pracy, a własności gruntowej — ponieważ ziemia, grunt, nie jest wytworem pracy ludzkiej.

Doprowadziłaby z drugiej strony do najciaśniejszego indywidualizmu, do zupełnego zaprzeczenia tej jedności, która jest spójnią społeczeństwa ludzkiego — na przykład do zniesienia wszelkiego wsparcia dla biednych, ponieważ oni nic nie wytworzyli, nie powinni też mieć czegokolwiek. Każdemu wytwór jego pracy, to właściwie, pod postacią bardziej naukową, znane przysłowie: każdy dla siebie. Gdybyśmy zechcieli uzmysłowić sobie, do czego doprowadziłoby urzeczywistnienie tej zasady w wielkich rozmiarach, wystarczy

zobaczyć którąkolwiek wioskę francuzką, zamieszkałą przez biednych chłopów, gdzie każdy zgarbiony ciągle grzebie na swym szmacie ziemi, żyje tylko dla swej pracy i wcale się nie troszczy ani o sąsiadów, ani nawet o krewnych.

b) Przestańmy więc rozumieć zasadę tę w jej dosłownem znaczeniu, „każdemu wytwór jego pracy“, a spróbujmy zmienić ją w następujący sposób: *Każdemu według jego pracy.* Zasada ta różni się bardzo od poprzedniej, bierze bowiem za podstawę nie wyniki pracy, lecz pracę, jako taką, kładzie nacisk nie na wytwór otrzymany, lecz na trud łożony.

Ze stanowiska bezwzględnej sprawiedliwości teorya taka wydaje nam się wyższą od tych, które już zbadaliśmy. Jest słusznem wynagradzać każdego w stosunku do łożonego trudu, poniesionych ofiar, do dobrej woli, której dowody złożył — i to niezawiśle od zewnętrznych warunków, naprzykład od wyższości lub niższości sił fizycznych i umysłowych, od sprzyjających lub wrogich okoliczności, które mogły pracę jego uczynić mniej lub więcej wydajną. Praca, zamiatającego ulicę, zasługuje ze stanowiska bezwzględnej sprawiedliwości na takie samo wynagrodzenie, co praca takiego James Watta lub Lessepsa, jeśli działał ze świadomością, to znaczy, jeśli ten człowiek zrobił wszystko, co mógł zrobić; to jest wyobrażenie, które wyrobiliśmy sobie o Bożej sprawiedliwości, twierdzimy bowiem, że będzie wymierzała nagrody i kary ludziom, nie według tego, co zrobili, lecz raczej według tego, co zrobić chcieli, będzie obliczała zamiary, a nie wyniki.

Lecz do zastosowania tej zasady trzeba nam jakiejkolwiek miary, za pomocą której możnaby było ocenić i porównać trud, łożony przez pracujących. Otóż takiego miernika brak nam zupełnie, chyba, że zechcemy mierzyć wyniki pracy otrzymanym wytworem, w takim razie jednak powrócimy do poprzedniej zasady. Dynamometr zapewne może nam dać wskazówki co do siły fizycznej człowieka, lecz zgoła nie co do stopnia zmęczenia, wywołanego tym wysiłkiem.

Szkoła kolektywistyczna chwali się wynalezieniem tego powszechnego miernika *w czasie, poświęconym pracy.* We-

dług tego systemu każdy otrzymywałby wynagrodzenie w stosunku do liczby godzin, poświęconych pracy produkcyjnej. Godzina pracy byłaby więc szukanym powszechnym miernikiem [1]).

Lecz cóż za urojenie chcieć ocenić trud włożony w jakąś pracę przez jej długość!

Nasze trudy, niemniej jak nasze radości, nie dadzą się wymierzyć zegarkiem. Każdy wie, że robotnik na wsi, który pracuje na akord, w tym samym czasie dokona trzy razy większej roboty, zużyje trzy razy tyle sił i zada sobie trzy razy tyle trudu co ten, który pracuje za wynagrodzeniem dziennem. W tym przykładzie zastanawiamy się nad pracami tego samego rodzaju, lecz któż zechce mierzyć czasem pracę wyrobnika, uprawiającego ziemi i malarza malującego na płótnie? A możeby zmierzyć ją na sążnie?

Czyż nie należy obawiać się, że lenistwo nie wyjdzie aż nadto dobrze na tym systemie, boć jeśli, by uzyskać prawo do podwójnego udziału, wystarczy zużyć dwa razy więcej pracy do wykonania swej roboty, postępowanie takie zaiste jest bardzo dogodnem dla jednostki, lecz w wysokim stopniu niebezpiecznem dla społeczeństwa?

Na ten zarzut odpowiada Karol Marx, że czas konieczny do wytworzenia jakiegokolwiek przedmiotu będzie oznaczonym i ustalonym na podstawie danych statystycznych. I tak znając liczbę hektolitrów zboża, produkowanych corocznie we Francyi, liczbę robotników, zajętych ich produkcyą i wreszcie liczbę godzin, zużytą przez tychże robotników, nie trudno oznaczyć przez proste dzielenie czas, *społecznie* potrzebny,

---

[1]) Jest to system Karola Marxa, niegdyś naczelnika międzynarodówki, dziś jeszcze nauczyciela i wyroczni stronnictwa Karol Marx, zmarły w r. 1883, wydał w r. 1867 dzieło pod tytułem: *Kapitał*, które doczekało się zasłużonej sławy „Miernikiem ilości pracy, jest jej długość w czasie. Praca, która jest podstawą istoty i wartości towarów jest pracą równą, do której żadnych rozróżnień zastósować nie można, *jest zużyciem tej samej siły*".

to znaczy, przeciętną liczbę godzin, potrzebnych do produkowania hektolitra zboża.

Ten dowcipny pomysł odpowiada w pewnej mierze krytyce, którą poprzednio zaznaczyliśmy, ale tylko o tyle, o ile oddala się od zasady, którą miano zastósować. Gdyby oceniono długość przeciętnej pracy społecznej potrzebnej do wyprodukowania jednego hektolitra zboża — dajmy na to na 10 dni; jest rzeczą jasną, że człowiek zręczny lub szczęśliwy, któryby potrafił w tym samym przeciągu czasu wytworzyć dwa hektolitry, otrzymałby podwójną część, a człowiek niezręczny lub nieszczęśliwy, który nie potrafi wytworzyć więcej niż połowę hektolitra, dostanie tylko połowę części. Nie jest to już zasada *każdemu według jego pracy*, każdemu według jego trudu; jest to zasada *każdemu według wyników jego pracy*, co jest zupełnie różnem. Wynika z tego, że jeżeli zamierzamy trzymać się ideału sprawiedliwości, który nasza zasada miała urzeczywistnić i dla której została stworzoną, trzebaby wziąć za podstawę pracę osobistą, a nie społeczną — sprawiedliwość jest osobistą lub niema jej wcale; ona nie może bawić się w przecięcia.

IV.

Dlaczego nie ma rozwiązania?

Cel, do którego dążymy, ucieka przed nami; nie znajdujemy zasady podziału, całkowicie zadosyćczyniącej ideałowi sprawiedliwości, a tych znowu zasad, któreby spełniały ten warunek, nie można wprowadzić w życie.

Naprożno upierać się przy daremnej pogoni. Przyznajmy, niema sprawiedliwego rozdziału, jeśli przez to rozumiemy zasadę rozwiązującą kwestyę socyalną. W ogóle nigdy nie udało się zamknąć sprawiedliwości w jakiejkolwiek formułce, a gdy przypadkiem niekiedy zdawał się cel bliskim, formułka stawała się niesprawiedliwością: *Summum ius, summa iniuria.*

Porządek społeczny nie rozwinął się logicznie z żadnej z góry danej zasady, jest wynikiem szeregu wypadków bardzo zawiłych, zawłaszczenia lub zdobyczy, obyczajów lub praw, pracy lub oszczędności; jedne z nich są mniej lub więcej zgodne z utworzonym przez nas ideałem sprawiedliwości, drugie są z nim mniej lub więcej sprzeczne. Jedno tylko można zrobić, to jest przyjąć go takim, jakim jest, dobrym i złym zarazem, pracować usilnie nad usunięciem przyczyn ukrytej w nim niesprawiedliwości i nad rozwinięciem zarodków sprawiedliwości, które zawiera w sobie. Rozwiązanie kwestyi socyalnej polega na zapewnieniu każdej istocie ludzkiej pewnego minimum, bez którego niepodobna stać się i pozostać „człowiekiem“, w szerokiem tego słowa znaczeniu — następnie polega na zapewnieniu warstwom robotniczym, temu coraz ważniejszemu czynnikowi rozwoju, czegoś ponadto minimum, to znaczy, wzrastającego udziału w dobrodziejstwach cywilizacyi, w której postępie robotnicy odgrywają coraz ważniejszą rolę. Jeśli pozostanie nadwyżka dóbr, najodpowiedniej będzie oddać ją w ręce, które potrafią zrobić z niej najlepszy użytek. Nierówny rozdział dóbr nie miałby wielkiego znaczenia, gdyby bogaci byli tylko niczem innem jak zawiadowcami, obowiązanymi do użycia swych bogactw dla dobra wszystkich i gdyby wiernie spełniali to zadanie społeczne. Wskazówki dziejowe w tej mierze są bardzo wyraźne. Przekonamy się naprzykład, że własność ziemska nie odpowiada żadnej zasadzie sprawiedliwego rozkładu, choć często silono się dowieść tego; przeciwnie można ją wytłómaczyć w swych kolejnych postaciach bardzo łatwo, jako środek coraz to lepszego zużytkowania ziemi.

By zmienić rozdział dóbr w rozumieniu powyżej zaznaczonym, można liczyć do pewnego stopnia na działanie naturalne praw ekonomicznych, naprzykład prawa popytu i podaży; inicyatywa jednostek, ujawniająca się w stowarzyszeniach może także dużo zrobić.

Przecież nie sądzimy, żeby wolna konkurencya lub asocyacya te dwie przeciwne, współzawodniczące siły, mogły działać bez wdania się prawodawcy, państwa. Nie chodzi

o nadanie władzy państwowej prawa wyznaczania każdemu należnej mu części dóbr, (zapatrywanie to już potępiliśmy) — lecz przez prawodawstwo spadkowe, podatkowe, umowne, naprzykład za pomocą praw o pożyczkach oprocentowanych, o dzierżawach, najmie, w ostateczności za pomocą praw, zatwierdzających przepisy o przymusowem wywłaszczeniu, państwo jest w możności oddziaływania w sposób skuteczny na rozkład dóbr. Czyniło to zawsze i bardzo często z wielkim skutkiem, lecz nie zawsze w sposób najzgodniejszy ze sprawiedliwością i pożytkiem społecznym [1]).

Przypatrzmy się teraz, jaka zasada kieruje w naszych społeczeństwach rozdziałem dóbr? Jest tylko jedna: własność osobista; zastanowimy się nad nią w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ III.

Prawo własności.

I.

O powstaniu prawa własności.

Prawo własności indywidualnej jest prawem, które pewna osoba może wykonywać *na pewnej rzeczy z wykluczeniem wszelkiej innej osoby.*

Ekonomiści ze szkoły Bastiata upatrują podstawę tego prawa w pracy. Człowiek jest właścicielem rzeczy, które stworzy przez swą działalność i które są do pewnego stopnia prawnem rozszerzeniem jego osobistości. Lecz ten, ktoby w praktyce chciał zastosować to znamię, naraziłby się na przykre rozczarowanie. Zróbmy inwentarz naszej ojcowizny, czyż dom ten jest wytworem waszej pracy? — Nie, odziedziczyłem go

---

[1]) Dowodem tego jest, że główną przyczyną uderzających różnic między Francyą a Anglią pod względem rodzaju bogactw jest odmienne ustawodawstwo spadkowe w tych dwóch krajach.

po mej rodzinie. Las, łąki, czyż są wytworem waszej pracy? Nie, nie są wytworem niczyjej pracy. Ten towar, który napełnia wasze magazyny, lub to zboże, które napełnia wasze spichlerze, czyż są wytworem waszej pracy? — Nie, to wytwór pracy mych robotników lub dzierżawców. — A więc?

Prawnicy są rozumniejsi i dokładniejsi. Jest godnem uwagi, że ani kodeks cywilny francuski, pochodzący z czasów rewolucyi, ani tem mniej prawo rzymskie, nie wspominają o pracy w definicyach prawa własności. Przyjmują własność jako fakt dokonany i określają ją jej właściwościami, o jej usprawiedliwianiu nie myślą. — Nawet nie wymieniają pracy pomiędzy licznemi znanemi im sposobami nabycia własności, które wyszczególniają.

Zawłaszczenie zazwyczaj uchodzi w różnych prawodawstwach za źródło, z którego wypływa prawo własności. Jest to prawdą, albowiem jak słusznie powiedział Graham — Sumner [1]): „Logicznie i historycznie zawłaszczenie poprzedza wszelką produkcyę. Społeczeństwa pierwotne uważają posiadanie za najlepszy tytuł własności. Pierwszeństwo zawłaszczenia jest jedynym tytułem, który może być wyższym od prawa silniejszego". Ponieważ z zawłaszczeniem spotykamy się w początkach własności i ponieważ zwykle niemożliwem jest dotrzeć do źródła, więc w praktyce życia zastępuje je zasiedzenie; ależ zasiedzenie nie jest niczem innem jak rzeczywistem, faktycznem posiadaniem, zupełnie tak samo, jak zawłaszczenie i pozbawione, tak jak ono, wszelkiej wartości moralnej. — Przyjmijmy zatem własność osobistą, jako fakt historyczny i zbadajmy jej właściwości i rzeczy, na które się rozciąga.

---

[1]) Graham-Sumner: „*Des devoirs respectifs des classes de la société*".

II.

Co zawiera w sobie prawo własności?

Prawo własności określają prawnicy rzymscy jako *ius utendi, fruendi et abutendi,* a kodeks cywilny francuski jako „prawo używania i rozporządzania rzeczami w sposób całkiem nieograniczony". W tem określeniu — wiedzą o tem wszyscy słuchacze prawa — jedynym charakterystycznym przymiotem prawa własności jest nieograniczone prawo rozporządzania *ius abutendi.* Ograniczone do *ius utendi* lub *fruendi,* prawo własności będzie już tylko prawem użytkowania lub używania. Teraz zajmiemy się przeglądem różnych postaci, w których objawia się bezwzględne prawo rozporządzania swą rzeczą [1]).

§. 1. Właściciel może rozporządzać swą rzeczą pod tytułem obciążającym przez sprzedaż, dzierżawę, pożyczkę lub może powierzyć ją płatnym robotnikom w celu użycia jej na produkcyę. Ten sposób rozporządzania pociąga za sobą ważne następstwa w kwestyi rozdziału dóbr. Musi koniecznie stworzyć w społeczeństwie „warstwy" — z jednej strony dłużnicy, dzierżawcy, najemnicy, ci wszyscy będą w mniejszej lub większej mierze pracowali na cudzy rachunek, z drugiej strony właściciele kapitaliści lub właściciele przedsiębiorcy, którzy będą zbierali owoce cudzej pracy. Ocenimy te różnorodne następstwa wtedy, gdy zajmiemy się różnemi klasami osób, biorących udział w produkcyi. Na razie ograniczamy się do stwierdzenia, że są to nieodłączne przymioty prawa własności. Co się tyczy możności sprzedawania lub wymieniania, to wystarczy zaznaczyć, że bez niej prawo własności nie mia-

[1]) Zajmujemy się tutaj tylko sposobami rozporządzania własnością, które wpływają na rozdział dóbr, ponieważ zawierają w sobie przeniesienie własności. Temi, które są tylko zużyciem osobistem dobra (konsumcya reprodukcyjna lub nieprodukcyjna — zaoszczędzanie), zajmowaliśmy się w części poświęconej *konsumcyi.*

łoby żadnego znaczenia. Zniesienie wymiany wobec tego, że ustrój naszych społeczeństw opartym jest na podziale pracy, że każdy z nas wytwarza tylko dla zamiany, byłoby równoczesnem zniesieniem wszelkiego podziału pracy i powrotem społeczeństwa do stanu pierwotnego. To też nikt nie myślał o zaprzeczeniu właścicielowi prawa wymiany rzeczy.

Z raz przyznanego prawa sprzedaży, to jest prawa odstąpienia rzeczy za wynagrodzeniem pieniężnem, wypływa koniecznie prawo odstąpienia jej pod jakiemikolwiek warunkami, na przykład odstąpienia na pewien czas w zamian za zapłatę, składaną corocznie przez przeciąg tegoż czasu (jest to dzierżawa, najem, pożyczka oprocentowana) — lub odstąpienia robotnikom pod warunkiem wykonania pewnej pracy.

§. 2. Właściciel może rozporządzać swą rzeczą pod tytułem darmym przez darowiznę lub zapis.

Ten sposób zużycia pociąga za sobą również ważne następstwa dla rozdziału dóbr, albowiem pozwala tym, którzy nabyli dobra przez swą pracę, przenieść je na inne osoby, które nic nie uczyniły dla otrzymania ich. Może więc stworzyć w społeczeństwie próżniaka, obok każdego pracowitego, może stworzyć warstwy nieprodukujące, które skupią w swym ręku majątki, choć nie pracowały, by na nie zasłużyć — *fruges consumere nati.*

To prawda, ale nie można pozbawić właściciela rzeczy prawa darowania jej za życia lub na przypadek śmierci. Jeśli może ją zużyć dla własnego zadowolenia — może w sposób głupi, dlaczego nie mógłby dać jej innym do zużycia? Jednem z głównych dobrodziejstw prawa własności jest możność świadczenia dobrego innym. Jest wielu na tym świecie — przynosi to zaszczyt naturze ludzkiej, którzy pracują i oszczędzają nie tyle dla siebie samych, ile dla innych. Jeśli zmusicie ich do troszczenia się tylko o siebie samych, będą pracowali mniej, a wydawali więcej. Ileż to dóbr, rzucanych na pastwę nieprodukcyjnej konsumcyi, dzięki zbytkownemu życiu! Ileż to lat, straconych dla pracy produkcyjnej, dzięki przedwczesnemu cofnięciu się! Pozbawiając ludzi prawa rozporządzania owocami swej pracy, niszczymy

jednę z najpotężniejszych sprężyn produkcyi. Dobra, któremi byśmy nie mogli rozporządzać i których nie moglibyśmy przenosić na innych, straciłyby przez to część swej użyteczności, stałyby się mniej pożądane i czynionoby mniej wysiłków dla wytworzenia tych dóbr. Nie ma powodu życzyć sobie, aby bogaci rzadziej rozporządzali swemi dobrami pod tytułem darmym; przeciwnie dobrzeby było, aby czynili to częściej, aby żaden nie zapomniał w testamencie swoim o dziełach filantropijnych i naukowych; w ten sposób przyczynią się za przykładem bogatych Amerykanów do powiększenia wspólnej ojcowizny społeczeństwa.

§. 3. Prawo własności na rzeczy trwa tak długo, jak rzecz sama, a więc krócej lub dłużej, stosownie do mniejszej lub większej trwałości rzeczy. Jest jednak pewien rodzaj dóbr, co prawda jeden tylko, ale stanowiący z powodu swej doniosłości przeszło połowę istniejących dóbr, — który trwa wiecznie: jest to ziemia. Jest inny rodzaj również znacznych dóbr, których znamieniem jest także trwałość. Tę trwałość możnaby nazwać sztuczną, gdyż nie wypływa właściwie z ich istoty, lecz z pewnych umów: są to kapitały złożone w papierach wartościowych, jak n. p. renty państwowe i t. d. Zważywszy, że prawo trwa tak długo, jak przedmiot, na który się rozciąga, dojdziemy do wniosku: Prawo własności na tych różnych rodzajach dóbr trwa *wiecznie*, tak jak wiecznemi są te dobra.

Jest to bardzo doniosły przymiot prawa własności, wywołujący ważne następstwa dla rozdziału dóbr, a przedewszystkiem ten skutek, że prawo własności, które w tym wypadku przeżyje swego pierwotnego właściciela, przejść musi koniecznie na jakąkolwiek inną osobę, na dziedzica. *Dziedzictwo* staje się nieuniknionym wynikiem wieczystego prawa własności.

Przeważna część socyalistów uważa dziedzictwo zapewniające synom bogaczy, może aż do setnego pokolenia kolejne bogactwo, niezdobyte żadnemi zasługami, za jednę z największych wad porządku społecznego, za główną przy-

czynę wszystkich nierówności, objawiających się w rozdziale dóbr [1]).

Zobaczymy później, że ten groźny skutek dziedziczenia równoważą pewne korzyści społeczne. Na razie zaznaczymy, że jest może pewnem dziecińśtwem opierać się przenoszeniu dóbr drogą spadku, gdy nie można przeszkodzić przechodzeniu w ten sam sposób przywilejów donioślejszych, niż majątek, na przykład zdrowia, zdolności, cnót, stanowiska, poważania społecznego, nazwiska nawet, które czasami często znaczy tyle, co majątek. Jeśli co, to z pewnością dziedziczenie zasługuje na nazwę prawa przyrodzonego.

Najodpowiedniejszym sposobem rozwiązania zawiłej kwestyi dziedziczenia, to jest rozwiązania pytania, komu przypaść mają dobra, które przetrwały swego właściciela, jest następujący:

1. W każdym wypadku, w którym właściciel rozporządził swemi dobrami w testamencie — uszanować bez zmiany jego wolę taką, jaką jest. Nie tylko, jak widzieliśmy, wolność darowania i zapisania jest naturalnym przymiotem prawa własności, lecz nadto — kierując się wskazaną przez nas zasadą dobrego rozdziału dóbr, polegającą na oddaniu ich w ręce tych, którzy z nich zrobią najlepszy użytek — należy przypuszczać, że właściciel najłatwiej wyszuka tych, którzy majątku jego dobrze użyją.

2. W każdym wypadku, w którym właściciel nie rozporządził swemi dobrami — przekazać je państwu jako *bonum vacans*. Społeczeństwo, a względnie jego przedstawiciel

---

[1]) Widzieliśmy, że przedewszystkiem szkoła Saint-Simona domagała się zniesienia dziedziczenia. Fourier, wbrew powszechnemu mniemaniu, zupełnie na nie się zgadzał. Dzisiejsza szkoła kolektywistyczna dopuszcza dziedziczenie w pewnej mierze jako następstwo własności osobistej. Ustępstwo to mogłoby wydać się dziwnem, gdybyśmy zapomnieli, że kolektywizm wyklucza własność osobistą na ziemiach i kapitałach, to jest właśnie na tych dobrach, które są wieczne, dobrach, co do których jedynie dziedziczenie mogłoby wywołać doniosłe skutki.

państwo, jest naturalnym dziedzicem wszystkich jednostek, które nie rozporządziły swemi dobrami. Albowiem w istocie dzięki współpracownictwu wszystkich, dzięki owym zasobom społecznym idei, myśli, wynalazków, środków działania i przewozu, z których wszyscy korzystamy, każdy z nas mógł coś zrobić i mógł stać się właścicielem.

Jest więc słuszną rzeczą, aby po naszej śmierci i wobec braku wszelkiej innej osoby, na którąbyśmy przelali nasze prawo, nasze dobra wróciły i zwiększyły tę ojcowiznę społeczną, z której w pewnej mierze wyszły.

Innemi słowy, wyrażając się po prawniczemu, *wolność testowania* z jednej, a *zniesienie dziedzictwa beztestamentowego* z drugiej strony — oto są główne zasady, które powinny wpływać na prawodawcę przy urządzeniu prawa dziedziczenia.

Zapatrywania rozmaitych szkół pod tym względem są bardzo różne [1]).

Szkoła socyalistyczna zgadza się z drugiem naszem twierdzeniem, ze zniesieniem dziedziczenia beztestametomego,

---

[1]) Chodzi nam tylko o zasady ogólne, boć jest rzeczą jasną, że żadna z tych zasad nie może być zastosowaną dosłownie.

Co się tyczy wolności testowania, nie trzeba zapominać, iż każdy właściciel wobec dzieci, rodziców i żony — to jest wobec tych, którym dał życie, którym je zawdzięcza, z którą je dzielił — jest zobowiązanym przynajmniej do alimentów, obowiązek ten wkładają nań wszystkie prawodawstwa za życia, a śmierć nie znosi go, lecz przeciwnie zwiększa. Jest więc słusznem, *by wolność testowania była ograniczoną przez zapewnienie pewnej części spadku tym osobom.* Lecz kodeks cywilny daje im część zanadto wielką. Słusznie powiedział Montesquieu „Prawo natury nakazuje rodzicom żywić dzieci, ale nie czynić ich dziedzicami".

Co się tyczy zniesienia dziedzictwa beztestamentowego, byłoby barbarzyństwem dosłownie stosować tę zasadę, gdy przypuszczać należy, że, jeżli zmarły nic nie powiedział, milczenie to pochodzi poprostu z opieszałości lub nieostrożności z jego strony. *Dziedziczenie beztestamentowe dzieci, rodziców, a nawet braci i sióstr, powinno być w każdym razie dopuszczone, jako rozumne tłómaczenie woli spadkodawcy.* Gdyby chciał ich wydziedziczyć, byłby to z pewnością powiedział. Gdy jednak chodzi o kuzyna w 12-tym stopniu lub nawet o siostrzeńca, jest niedo-

ale nic nie chce słyszeć o pierwszym, o wolności zapisu; ta jest jej nienawistną, gdyż jest jednym z ważnych przymiotów prawa własności — i podejrzaną, gdyż przypuszcza, że spadkodawca w rozdaniu swych dóbr będzie się kierował nie tyle pożytkiem społecznym, ile upodobaniami osobistemi, przyczyni się więc do zmartwychwstania niesprawiedliwych, dawnych czasów.

Szkoła katolicka uważa za doskonałą wolność zapisu, albowiem widzi w niej przywrócenie władzy ojcowskiej, i może także, choć nie przyznaje tego wyraźnie, przywrócenie prawa pierworodztwa i odbudowanie arystokracyi ziemskiej. Lecz sprzeciwia się silnie zniesieniu dziedziczenia beztestamentowego, ponieważ chce utrzymać dobra w ręku rodziny, do czego zresztą dążyli wszyscy prawodawcy, ulegający prądom konserwatywnym [1]).

Szkoła ekonomiczna liberalna nie chce ani jednej ani drugiej zasady. Nie chce wolności testowania, albowiem i ona obawia się powrotu do dawnych czasów, do tej przeszłości, do której zniszczenia przyczyniła się. Tem bardziej nie życzy sobie zniesienia dziedziczenia beztestamentowego, albowiem państwo w roli ogólnego dziedzica nie zachwyca jej bynajmniej i sądzi, że ze stanowiska pożytku społecznego i dobrego użycia dóbr, będzie lepiej, jeśli dobra wpadną w czyjekolwiek ręce, byleby nie w przepaść budżetów państwowych.

---

rzecznością stosować to samo rozumowanie i tłómaczyć milczenie zmarłego jako nadanie prawa. W każdym razie prawo dziedziczenia beztestamentowego w żaden sposób nie pobudza działalności produkcyjnej, a raczej zaszczepia lenistwo przez wzbudzanie nadziei spadku. Spadek po amerykańskim wuju, jest sposobem nabycia, nie różniącym się niczem od loteryi i wywiera ten sam demoralizujący wpływ zarówno na tego, który zeń korzysta, jako też na tych, którzy mu zazdroszczą.

[1]) W systemie spadkowym twórców kodeksu cywilnego, odbiły się poniekąd sprzeczne prądy rewolucyjne, idee równości znalazły swój wyraz w równym podziale. Lecz, by pozostać wiernym ideom współwłasności rodzinnej, rozciągnęli dziedziczenie beztestamentowe aż do dziedziców 12-go stopnia i wykluczyli żonę.

Mimo tego można zaznaczyć w ostatnich czasach pewien zwrot w obu kierunkach, które wskazaliśmy. Pewna liczba ekonomistów i prawników żąda równocześnie: 1. rozszerzenia wolności testowania przez podniesienie rozporządzalnej części najmniej do wysokości połowy spadku; 2. ograniczenia prawa dziedziczenia beztestamentowego naprzykład do czwartego lub co najwyżej szóstego stopnia.

III.

Jak daleko powinno sięgać prawo własności.

W naszych nowożytnych społeczeństwach własność osobista rozciąga się na każdą rzecz, którą człowiek może pochwycić lub owładnąć. Tylko rzeczy z istoty swej nie nadające się do takiego zawłaszczenia, powietrze, morze, wielkie rzeki pozostały poza obrębem jego władzy. Stan ten jednak niekoniecznie jest zgodnym z prawem; nie powiedziano, że każdy przedmiot, którym można owładnąć, może stać się przedmiotem własności. Zdaje się, że w sprawie tej należy poczynić pewne rozróżnienia.

Dotąd podano dwa. Zbadajmy je kolejno.

§ 1. Na czem polega różnica pomiędzy kapitałami a przedmiotami konsumcyi?

Szkoła kolektywistyczna dopuszcza prawo własności osobistej na każdym przedmiocie, przeznaczonym do konsumcyi, a wyklucza je na każdym przedmiocie, przeznaczonym do produkcyi, to znaczy, jak powiadają programy stronnictwa, na ziemi, na kopalniach, na tem, co jest pod ziemią, budynkach, maszynach i kapitałach wszelkiego rodzaju.

Mówiliśmy już i osądziliśmy to rozróżnienie. Napróżno szukaliśmy, na jakiej słusznej podstawie możnaby je oprzeć. Jeżeli wyjdziemy ze założenia przyjętego przez szkołę ko-

lektywistyczną, a upatrującego w pracy podstawę własności osobistej, to nie da się zaprzeczyć, że kapitały, w jakiejkolwiek postaci się przejawiają, są wytworami pracy, nie różniącemi się niczem od innych dóbr, chyba zastosowaniem.

Również powód, który podają kolektywiści dla poparcia swego rozróżnienia, jest raczej dowodem faktycznym, a nie rzeczywistym.

Ponieważ produkcya bez kapitałów jest niemożliwą, posiadający je znajdą się w położeniu korzystniejszem, które dozwoli im nałożyć warunki bliźnim, kapitałów nieposiadającym i na przykład pozwoli im użyć ich jako niewolników do pracy przynoszącej im, posiadaczom kapitałów, zyski. Na to trzeba odpowiedzieć, że posiadanie jakichkolwiek dóbr — bez względu na to, czy to są kapitały, czy przedmioty konsumcyi — nadaje zawsze temu, który potrafił je zdobyć, stanowisko uprzywilejowane i pozwala mu w pewnej mierze nakładać warunki innym ludziom. Jedynym środkiem zapobieżenia takiemu wynikowi, byłoby zniesienie wielkich majątków i zaprowadzenie pewnej równości majątków czyli powrót do komunizmu; w istocie, kolektywizm zawsze w końcu doprowadza do tej ostateczności [1]).

Można jednak w pewnej mierze przyznać słuszność uroszczeniom kolektywizmu. Narzędzia pracy, których dziś używają w wielkim przemyśle pod nazwą kapitałów, a w postaci hut, maszyn, kopalń, są tak wielkie, że jeden człowiek, nie może ich w ruch wprawić, jak niegdyś rękodzielnik swój

[1]) Nadto należy zauważyć, że z dniem, w którym własność osobista na kapitałach przestanie istnieć, oszczędność osobista nie będzie miała podstawy. Dziś oszczędność osobista tysiącami źródeł ożywia i odnawia zapasy kapitałów danego kraju. W dniu, w którym źródła te przestaną płynąć, jak zapewnimy utrzymanie, odnowienie i stopniowe zwiększanie kapitału społecznego? Państwo — odpowiadają nam — z dochodu społecznego, złączonego teraz ze swoim, odłoży pewną część do kapitału rezerwowego. Bardzo nieostrożnym jest ten, który przyszłość ekonomiczną kraju zależną czyni od oszczędności państwa!

warsztat; wymagają one współdziałania wielu setek, a czasami nawet wielu tysięcy ludzi. Ponieważ *produkcya rozwija się w kierunku kolektywistycznym, byłoby słusznem, by i uwłaszczenie stawało się kolektywistycznem w tej samej mierze*; pożądanemby było, żeby huta, maszyna, kopalnia miasto być własnością przedsiębiorcy lub towarzystwa, stała się własnością zbiorową wszystkich jednostek, współdziałających przy przedsiębiorstwie. To jest cel, do którego dążą stowarzyszenia udziałowe, cel zupełnie uprawniony, choć trudny do urzeczywistnienia. Jeśli jednak kiedykolwiek stowarzyszenia udziałowe wezmą górę, nie pociągnie to za sobą wcale zniesienia własności kapitałów; poprostu własność przejdzie z rąk kapitalistów w ręce robotników.

§ 2. Na czem polega różnica między ziemią a wytworami?

Wynaleziono inne rozróżnienie, które wydaje się o wiele słuszniejsze: z jednej strony wszystkie wytwory, wszystkie rzeczy ruchome, jeśli chodzi o wyrażenie prawnicze, które przez to samo, że są wytworami, muszą być wynikiem jakiejkolwiek pracy, małej czy wielkiej; z drugiej strony *podstawa produkcyi*, ziemia i kopalnie, która przez to samo, że poprzedza wszelką produkcyę, nie może być pracą człowieka, lecz tylko dziełem przyrody. Jeśli chcemy pozostać wiernymi zasadzie, która w pracy upatruje podstawę własności osobistej, powinniśmy prawo własności na pierwszym rodzaju dóbr uznać za uprawnione, gdyż dobra te są *sztuczne*, a na drugim za nieuprawnione, gdyż w tym razie dobra są *naturalne*.

Rozróżnienie to oddziaływa silnie na umysły przez swą prostotę i logikę; jest ono bardzo dawnem, gdyż, jak przekonamy się w rozdziale następnym, sięga początków własności; jest zarazem bardzo nowożytnem, ponieważ złączyło pod swym sztandarem w naszych czasach nie tylko socyali-

stów, lecz także kilku ekonomistów i filozofów współczesnych [1]).

Szkoła optymistyczna zaczepia silnie to rozróżnienie, które jest w stanie wstrząsnąć przedewszystkiem własnością ziemską. Głosi, że ziemia jest wytworem pracy uprawiającego ją rolnika zarówno, jak gliniany dzban, urobiony ręką zduna. Co prawda człowiek nie stworzył ziemi, ale i nie stworzył gliny; praca nigdy nic nie stwarza, ogranicza się do przetwarzania materyałów, dostarczanych jej przez przyrodę, a wielkość tej działalności przetwarzającej pracy nie zależy od tego, czy się ją zastosuje do ziemi samej, czy też do materyałów, wydobytych z jej łona. I przytacza nam jako przykład ziemie, które chłopi w Pirenejach lub w Valais znieśli na stoki swych gór ze wszech stron dźwigając w koszykach na plecach. Jeden ze starożytnych pisarzy opowiada nam, że chłop, oskarżony o czary z powodu żniw obfitych, zebranych na jego gruncie, choć pola sąsiednie były pustkowiem, został zawezwany przed pretora Rzymu i tam, miasto wszelkiej obrony, wskazując na ręce zawołał: *Veneficia mea haec sunt*, „oto moje czary“. Własność ziemska dla odparcia skierowanych przeciw niej zaczepek może powtórzyć tę samą dumną odpowiedź.

Mimo częściowej prawdy, którą to rozumowanie niezaprzeczenie zawiera, nie wystarcza nam ono do obalenia twierdzenia o różnicy między ziemią, a dobrami, wydobytemi z jej łona. Ziemia jest *narzędziem* pracy, ale nie jej *wytworem*; wyprzedziła wszelką pracę ludzką i ona tylko umożliwia człowiekowi produkcyę. Zresztą nie jest materyałem nieczynnym, jak glina w rękach zduna; ona żyje, ona wytwarza,

---

[1]) Rozróżnienie to stanowi podstawę systemu socyalistycznego już zmarłego Colinsa, który pozostawił jednak szkołę w Belgii. Na niem oparli swe systemy Henryk George w Stanach Zjednoczonych, Wallace w Anglii; z pewnemi zastrzeżeniami uznali je pp. de Laveleye, Walras, Herbert Spencer i Secrétan. Mimo tego żaden z nich nie jest socyalistą w zwykłem tego słowa znaczeniu, wielu z nich nawet należy do szkoły indywidualistycznej lub liberalnej.

ona także pracuje, ona oddaje na usługi człowieka cały skarb sił przyrodzonych, słońce, deszcz, rosę, a przedewszystkiem miejsce, które, jak widzieliśmy, jest niezbędnym warunkiem wszelkiej produkcyi; czyżby więc nie miała użyteczności i wartości niezawisłej od pracy człowieka? Bezsprzecznie, człowiek wydoskonala i zmienia codziennie przez swą pracę to cudowne narzędzie produkcyi, którego przyroda mu dostarczyła, by je lepiej zastosować do swych celów, a w tym razie nadaje mu widocznie nową użyteczność i wartość. Lecz łatwo jest zawsze rozpoznać pierwotną wartość ziemi pod nagromadzonymi pokładami pracy człowieka.

Wyraźnym jej objawem jest *las* i *step*, które nigdy nie były zaorane lub uprawiane, a które przecież można wynająć lub sprzedać za wysokiem wynagrodzeniem, te wydmy piaszczyste w okolicach Aigues-Mortes, które chyba tylko wiatr morski użyźniał, a które stały się majątkiem dla szczęśliwych właścicieli z powodu przypadkowego odkrycia, że można na nich sadzić szczepy winne, nie ulegające fylokserze, te wielkomiejskie *parcele budowlane*, po których nigdy pług nie orał, a których wartość jest znacznie wyższą niż wartość którychkolwiek pól uprawnych.

Wartość przyrodzona ziemi objawia się jeszcze w sposób bardzo dotykalny, nawet dla gruntów uprawnych, *w nierównej urodzajności* pojedynczych obszarów, która sprawia, że z dwóch pól, uprawianych tą samą pracą i tym samym nakładem, jedno będzie majątkiem, a drugie nie będzie miało prawie żadnej wartości.

Objawia się jeszcze, jak to zobaczymy później, w nadwyżce, złączonej z ziemią niezależnie od wszelkiej pracy ludzkiej i zapewniającej właścicielowi dochód wzrastający bez przerwy.

Rozróżnienie więc wydaje nam się w zasadzie słusznem. Zachodzi pytanie, czy własność ziemską należy potępić bez dalszych dochodzeń? Przed wydaniem wyroku tak stanowczego, zbadajmy wprzód, jak własność ziemska wytworzyła się wśród społeczeństw.

IV.

Historyczny rozwój własności ziemskiej.

W naszych nowożytnych społeczeństwach, przynajmniej w starych krajach Europy, prawie wszystka ziemia jest własnością prywatną. Uwłaszczenie to nie tylko uświęciły wszystkie prawodawstwa, ale nadto opinia publiczna uznała je za prototyp własności; jeżeli mowa o „własności“ bez żadnego innego określenia, każdy wie, że to o własność ziemską chodzi.

Mimo tego można uważać za udowodnione, dzięki licznym badaniom, przedewszystkiem z ostatnich lat, że własność ziemska pochodzi z czasów stosunkowo nie zbyt dawnych, że była nieznaną w pierwszych okresach cywilizacyi i że nawet, nim powstała, miała wiele trudności do zwalczenia. Długo nie znano innej własności prywatnej, jak tej, która rozciąga się na przedmioty ruchome lub domy, bo te rzeczy właśnie można było uważać za wytwór pracy osobistej [1]).

Można rozróżnić w rozwoju własności ziemskiej sześć kolejnych okresów, które po krótce naszkicujemy.

1) Łatwo zrozumieć, że własność ziemska nie może wytworzyć się w społeczeństwie, które żyje z polowania, lub u ludów, które wiodą żywot koczowniczy. Rodzi się dopiero z rolnictwem. A nawet nie powstaje jeszcze w pierwszych okresach życia rolniczego, po pierwsze, ponieważ ziemia w tym okresie istnieje w ilości zbytniej, nikt więc nie czuje potrzeby wymierzania swej części, po drugie, ponieważ uprawa

---

[1]) Ze źródeł historycznych ludów cywilizowanych dowiadujemy się, że u ludów tych tak, jak dziś u ludów niecywilizowanych, własność obejmowała najpierw rzeczy ruchome. Hebrajski język — powiada Meyer — nie zna wyrazu na oznaczenie własności ziemskiej. Zdaniem Mommsena, własność u Rzymian pierwotnie nie była złączoną z rzeczami nieruchomemi, lecz tylko z posiadaniem niewolników i bydła, *familia pecuniaque*. Etymologia słowa *mancipatio* wskazuje również na rzecz ruchomą.

roli jest jeszcze w powijakach, rolnik więc opuszcza swe pole, gdy je wyczerpie, i zajmuje inne. Ziemię uprawiają jeżli nie wspólnie, to przecież bez rozróżnienia, co twoje, a co moje; należy ona do całego społeczeństwa, a raczej do *plemienia*. Owoce tylko należą do wytwórcy.

2. Z czasem ludność staje się mniej ruchliwą i ustala się coraz bardziej na ziemi; staje się także liczniejszą i czuje potrzebę uprawy wydatniejszej. Wówczas po pierwszym okresie następuje drugi, okres czasowego posiadania *z peryodycznemi podziałami*. Ziemię, choć uważają ją zawsze za własność społeczeństwa, dzielą równo pomiędzy wszystkich naczelników rodziny nie na stałe, lecz na pewien czas; najpierw tylko na rok, bo tego wymaga zwykła kolej zajęć rolniczych, następnie pomału, w miarę jak uprawa roli doskonali się i rolnicy potrzebują dłuższego przeciągu czasu dla swych prac — na coraz to dłuższe okresy czasu. Ten zwyczaj peryodycznego podziału znajdujemy dziś jeszcze w wielkim kraju Europy, w Rosyi, w postaci dobrze znanego *miru*. Ogół mieszkańców każdej wsi, t. zw. mir, posiada ziemię i dzieli ją pomiędzy swych członków zwykle co trzy lata, chociaż okres ten zmienia się w pojedynczych wsiach [1]).

3) Nadchodzi czas, w którym te peryodyczne podziały wychodzą ze zwyczaju, ci, którzy dobrze uprawili, niechętnie poddają się zwyczajowi, pozbawiającemu ich peryodycznie wytworu ich pracy na rzecz gminy, — i dochodzimy do powstania *własności rodzinnej*, to jest każda rodzina obejmuje na stałe własność swego udziału. W każdym razie nie jest to jeszcze własność osobista, skoro prawo rozporządzania nie

---

[1]) Pola gminy podzielone są na 3 grupy: obszary zabudowane wraz z ogrodami stanowią własność dziedziczną i nie podlegają podziałowi; dalej rola i łąki, które dzielą, o ile możności, na równe części w stosunku do liczby mieszkańców. Zgromadzenie ojców rodzin, mir, zajmuje się wydzielaniem udziałów i porządkiem uprawy. (Co do szczegółów, patrz: Anatole Leroy-Beaulieu *la Russie*, Laveleye *Własność pierwotna*). Kilku pisarzy twierdzi, że gminy rosyjskie dążą do zmiany tego systemu na system własności osobistej, lecz nie jest to jeszcze udowodnionem.

istnieje; naczelnik rodziny nie może ani sprzedać lub darować ziemi, ani rozporządzić nią po śmierci, właśnie dlatego, że uważają ją za wspólną ojcowiznę, a nie za własność osobistą. System ten odnajdujemy dziś jeszcze w rodzinach i gminach Europy wschodniej, przedewszystkiem *w zadrugach* Bułgaryi i Kroacyi, liczących do 50 i 60 osób; zanikają one jednak szybko z powodu popędu do niezależności, objawiającego się u młodszych członków rodziny.

4. Dzieje rozwoju własności ziemskiej byłyby niezupełnemi, gdybyśmy nie zwrócili uwagi na zdarzenie, które choć z istoty swej przypadkowe, stało się częścią rozwoju wszystkich społeczeństw ludzkich, — chcę mówić o zdobyczy. Nie ma prawdopodobnie ani jednego skrawka ziemi, któregoby w jakiejś epoce plemię zdobywcze nie odebrało siłą ludności pierwotnej i nie przywłaszczyło sobie. Zwycięzcy właśnie dlatego, że byli zwycięzcami i panami, nie troszczyli się nigdy o uprawę roli i przyznając sobie poprostu własność prawną, „*dominium eminens*“ — jak mówiono niegdyś, pozostawiali ludności podbitej posiadanie ziemi w postaci *dzierżawy*. Dzierżawa ta była zbliżoną mniej lub więcej do prawdziwej własności, lecz była zawsze ograniczoną warunkami nadania, otrzymanego przez rolnika, służebnościami, które na niej ciążyły, opłatami, które musiał płacić właścicielowi i zakazem pozbycia bez jego upoważnienia. System ten przez długie wieki był podstawą urządzeń społecznych i politycznych Europy pod nazwą systemu feodalnego; dziś jeszcze odnajdujemy go w wielu krajach, a nawet w Anglii, gdzie wszelka własność, w teoryi przynajmniej, jest dzierżawą i dotąd skrępowaną jest licznemi więzami, z których usiłuje się uwolnić z wielkim trudem.

5. Rozwój indywidualizmu i równości cywilnej, zniesienie systemu feodalnego, przedewszystkiem w tych krajach, które uległy wpływom rewolucyi francuskiej z r. 1789, wytworzyło piąty okres, urzeczywistniający się w naszych czasach, powstanie *wolnej własności ziemskiej* ze wszystkiemi przywilejami, zawartemi w prawie własności. A jednak i ta własność ziemska, którą na przykład znajdujemy w kodeksie

Napoleońskim nie ze wszystkiem zgadza się z własnością na rzeczach ruchomych; różni się od niej licznemi szczegółami, dobrze znanemi prawnikom, które najsilniej występują w mniejszych lub większych trudnościach, połączonych z prawom pozbycia i nabycia [1]).

Pozostawał więc tylko jeden krok na drodze zupełnego zrównania własności ziemskiej z własnością na rzeczach ruchomych i zaznaczenia tem samem ostatecznego kresu w tym rozwoju: *uruchomienie* własności ziemskiej, to jest danie możności każdej jednostce nietylko posiadania ziemi, lecz także rozporządzania nią z tą samą łatwością, co każdym innym przedmiotem ruchomym. Ten ostatni krok uczyniono w kraju nowożytnym, w Australii; był nim sławny system, znany pod nazwą *systemu Torrensa* [2]), który pozwala właścicielowi rzeczy nieruchomej włożyć swą ziemię poniekąd do pugilaresu w postaci świstka papieru i przenieść ją z jednej osoby na drugą, z taką samą łatwością, jak banknot lub co najmniej

[1]) Wystarczy przypomnieć niepozbywalność posagu nieruchomego kobiet zamężnych, formalności, wymagane przy przeniesieniu prawa własności na nieruchomościach, olbrzymie opłaty nałożone na te przeniesienia i t. d.

[2]) System Torrens, nazwany imieniem człowieka, który zaprowadził go 40 lat temu w Nowej Walii, polega głównie na: 1. *rejestrze*, w którym każda nieruchomość posiada wyłącznie sobie zastrzeżoną stronę z planem i opisem, na stronie tej streszczone są poniekąd dzieje nieruchomości od dnia, w którym nieruchomość ta stała się własnością prywatną; 2. na papierze (wartościowym), dokładnej, czasami nawet fotograficznej, odbitce strony rejestru, który w rękach właściciela zastępuje zupełnie nieruchomość, właściciel może ten tytuł, jako nieruchomość, pozbywać, dawać w zastaw i t. d. Celem tego systemu, jak to sam autor oświadczył, jest uwolnienie własności ziemskiej od więzów, które ją krępowały, „więzów podobnych do tych krat, mostów spuszczanych i wałów, które broniły dostępu do zamków naszych przodków“. System ten przyjęty kolejno przez wszystkie kolonie w Australii i kilka innych angielskich kolonij, niedawno zastosowanym został w Tunisie, a w najbliższej przyszłości zaprowadzonym będzie w Brazylii. Dotychczasowe próby wprowadzenia go w Anglii nie udały się. Co do szczegółów, patrz moją rozprawę *Étude sur l'Acte Torrens*.

weksel. Od pewnego czasu starają się zaprowadzić ten system w krajach starej Europy; jest prawdopodobnem, że logika faktów i naturalny bieg rozwoju, który tutaj nakreślimy, doprowadzą w istocie wszędzie do zwycięztwa tego systemu [1]).

V.

O uprawnieniu własności ziemskiej.

Widzieliśmy, jak własność ziemska powoli wyłoniła się z pierwotnej wspólności, jak skrystalizowała się jako własność osobista, coraz to bardziej podobna do własności na rzeczach ruchomych i jak wreszcie dotrzymywała kroku postępom rolnictwa i rozwojowi cywilizacyi. Przyczyny ekonomiczne, które poniekąd zmusiły własność ziemską do skrystalizowania się w ten sposób, możemy teraz łatwo oznaczyć.

Z jednej strony wzrost ludności zmusił ludzi do uprawy bardziej intenzywnej, w celu wydobycia z ziemi coraz to znaczniejszej ilości środków do utrzymania życia.

Z drugiej strony, konieczność bodźca do pracy, zapewnienia rolnikowi nietylko prawa do wytworów jego ziemi, lecz do ziemi samej jako narzędzia jego pracy, prawa najpierw czasowego, lecz ciągle przedłużanego w miarę jak postęp rolnictwa wymagał prac coraz dłuższych, które w końcu stało się wieczystem.

Czy przyczyny te, które wpłynęły w przeszłości na wytworzenie się własności ziemskiej osobistej, straciły swą siłę odporną wobec zarzutów jej przeciwników? — Sądzimy, że nie.

---

[1]) Ostatecznym wynikiem tego rozwoju własności ziemskiej jest wniosek, że czasy własności zbiorowej minęły bezpowrotnie wobec tego, że własność, jak to widzieliśmy, oddala się od tego punktu wyjścia ciągłym ruchem w kierunku wprost przeciwnym. Mimo tego przyszłość może zaprzeczyć temu wnioskowi. Nie jest niemożliwem, że rozwój własności ziemskiej zrobi nam tę samą

Z jednej strony ustawiczny, raz mniejszy, raz większy wzrost ludności, z drugiej strony tyle razy przez nas stwierdzona niedostateczność produkcyi dóbr dowodzi, że trzeba dziś, jak niegdyś, wybrać ten sposób użytkowania z ziemi, który umożliwia wyżywienie jak największej liczby ludzi na danej przestrzeni, a własność osobista najlepiej czyni zadosyć tej konieczności. — Napróżno kolektywiści zapewniają, że własność zbiorowa ziemi doprowadziłaby dziś do wyników o wiele świetniejszych od tych, które dać może własność osobista, ponieważ ona tylko pozwala zastosować środki pomocnicze wielkiej produkcyi i korzystać z nich w odpowiedni sposób. Przekonaliśmy się już, że w rolnictwie nie możemy spodziewać się po wielkiej produkcyi tych samych korzyści, co w przemyśle przetwórczym; pozwala ona co prawda na zmniejszenie kosztów ogólnych, ale także wytwarza mniejszą ilość środków do utrzymania życia, a w produkcyi rolniczej powinniśmy przedewszystkiem starać się o jak największy przychód brutto.

Zresztą zachodzi pytanie, jakby wyglądało użytkowanie ziemi za panowania systemu własności zbiorowej — a kolektywiści bynajmniej nie zgadzają się pod tym względem. Czy państwo, czy gminy podejmą się tego zadania? Trzeba przyznać, że wyniki dotychczasowe w kilku przypadkach, o których sądzić możemy, na przykład w zarządzaniu lasami, kolejami państwowemi lub dobrami gminnemi, nie są zachęcające. Sądzimy więc, że ziemia ze stanowiska ścisłej logiki powinna należeć do społeczeństwa, ponieważ jednak społeczeństwo nie potrafiłoby jej w pełni zużytkować, czyni dobrze,

---

niespodziankę, jak rozwój innych instytucyj, na przykład rozwój handlu lub obrotu pieniężnego, w razie jakiegoś ruchu wstecznego, który zwróci go na stanowisko mniej lub więcej zbliżone do punktu wyjścia. Godnem uwagi jest, że Herbert Spencer, jeden z naczelników, a nawet skrajnych zwolenników szkoły indywidualistycznej, przewiduje to samo: „Możliwem jest, że wspólna własność ziemi, zajętej w części lub w całości przez ludzi możnych, odrodzi się w miarę, jak przemysł dosięgnie szczytu swego rozwoju“. *Sociologie*, tłumaczenie francuskie, t. III, str. 741.

powierzając ją jednostkom pod warunkiem jak najlepszego zużytkowania dla dobra ogółu.

Podstawą własności ziemskiej wydaje nam się nie tyle prawo naturalne, jak raczej prawo cywilne, nie zasada bezwzględnej sprawiedliwości, lecz wzgląd na dobro publiczne. Zachodzi tylko pytanie, czy własność ziemska nie rozszerzyła się zbytecznie zagarniając niemal całą powierzchnię wszystkich krajów i czy nie byłoby słuszniejszem pozwolić jej sięgnąć tylko tam, gdzie sięga uprawa, skoro to jest jedyny tytuł prawny, który jej przyznajemy [1]). Własność osobista pochłonęła własność zbiorową na dobrach gminnych, lasach i pastwiskach; pociągnęło to za sobą szkodliwe skutki, na które nieraz słusznie zwracano uwagę.—Wprawdzie w miarę jak własność zbiorowa, pierwotna znika, powstaje i rozwija się w naszych społeczeństwach inna, znaczniejsza, w postaci państwowych kolei, przedsiębiorstw gazowych, wodociągów, tramwajów, będących własnością miejską i t. d.; lecz jedna nie zastępuje drugiej.

---

[1]) Ustawodawstwo muzułmańskie, rozumniejsze może w tym razie, jak ustawodawstwa oparte na prawie rzymskiem, dopuszcza własność osobistą tylko na ziemiach, które były przedmiotem skutecznej pracy i które nazywa ziemiami *żywemi* w przeciwieństwie do ziem nieuprawnych, zwanych ziemią martwą, która powinna pozostać we własności zbiorowej. „Kto ożywi ziemię martwą, powiada prorok, będzie miał prawo wyłączne na niej, a nie będzie należała do nikogo innego“. Oto prace, które powodują w ten sposób uwłaszczenie: „Wykopanie studni, nawodnienie i odwodnienie, budowanie na ziemi martwej, uprawianie, wykarczowanie krzaków, które uniemożliwiają uprawę, skopanie gruntu, zrównanie ziemi i wydobycie z niej kamieni“. Dzięki zastósowaniu tych przepisów w Algeryi i na wyspie Jawie własność zbiorowa zajmuje jeszcze dużo obszaru. Lecz we Francyi z 21 milionów hektarów nieuprawnej ziemi ($^2/_5$ powierzchni Francyi) tylko 6 milionów należy do państwa lub gmin; resztę zajęła własność prywatna.

VI.

Prawo renty gruntowej.

Własność ziemska, jeśli ją badamy w jej początkach, możemy ją dziś jeszcze widzieć naprzykład w stepach rzeczypospolitej argentyjskiej lub w Australii — niema ujemnych, lecz tylko dodatnie strony. Dlatego też wytwarza się tak łatwo. Ponieważ obejmuje tylko ziemie wykarczowane i rozszerza się wraz z postępem uprawy, wydaje się jakby uświęcona przez pracę, ponieważ zajmuje małą część gruntu, a ziemi nie brak, nie tworzy żadną miarą monopolu i podlega, jak każde inne przedsiębiorstwo, prawu wolnej konkurencyi.

W miarę, jak społeczeństwo się rozwija, a ludność staje się liczniejszą, charakter własności ziemskiej powoli zmienia się; zwolna przybiera postać monopolu, który wzrasta w nieskończoność i przynosi wielkie zyski właścicielom, a wielką szkodę społeczeństwu. Ten rozwój wyłożył Ricardo po raz pierwszy w uczonej teoryi, która zrobiła go sławnym i przez przeszło pół wieku była osią wszystkich rozpraw ekonomicznych.

Z początku, powiada Ricardo, potrzeba nie zmuszała ludzi do uprawiania wszystkich gruntów, *wybierali więc co najlepsze*. A jednak mimo urodzajności tych gruntów nie wydobywali z ziemi większego dochodu jak ten, któryby wydobyć mogli z jakiegokolwiek zużycia swej pracy i swego kapitału. W istocie w obec tego, że istnieją jeszcze grunta niezajęte, podlegają właściciele ziem zajętych prawu wolnej konkurencyi, która zniża wartość ich wytworów do poziomu kosztów produkcyi.

Nadchodzi czas, w którym wzrost ludności wymaga wzrostu produkcyi, a ponieważ wszystkie grunta pierwszej kategoryi, są w całości uwłaszczone, *trzeba rozpoczynać uprawę na gruntach mniej urodzajnych*, to jest na gruntach, na których koszt produkcyi jest większym. Przypuszczając, że na ziemiach pierwszej kategoryi, otrzymać można z he-

ktara 30 hektolitrów zboża kosztem 300 fr., a więc hektolitr po 10 franków, to na ziemiach drugiej kategoryi wyprodukujemy tym samym kosztem tylko 20 hektolitrów, a więc koszt produkcyi jednego hektolitra wyniesie 15 fr. Jest rzeczą jasną, że właściciele tych gruntów nie będą mogli sprzedawać zboża niżej tej ceny, ponieważ straciliby na tem i zaprzestaliby produkcyi, a my właśnie przypuszczamy, że bez nich obejść się nie można. Również jest jasnem, że właściciele gruntów, najpierw uprawianych, nie zechcą sprzedawać swego zboża taniej, niż ich sąsiedzi, będą więc sprzedawać je także po 15 fr.; ponieważ zaś tak, jak dawniej koszt jego wynosi tylko 10 fr., więc zysk ich podniesie się o 5 fr. na hektolitrze, a 150 fr. na hektarze. Otóż ten zysk nazywa się w teoryi Ricarda i słowniku nauki gospodarstwa społecznego, gdzie zdobył prawo obywatelstwa, *rentą gruntową*.

Rozumiemy przez to oddzielny dochód własności ziemskiej, zależny od przyczyn naturalnych lub społecznych, a nie od pracy lub wydatków właściciela [1]).

Później ciągły wzrost ludności wytworzy znów potrzebę zwiększenia zasobu środków do utrzymania życia i zmusi ludzi do uprawiania [2]) jeszcze gorszych gruntów, na których

---

[1]) By oznaczyć rentę z dochodu danego gruntu, trzeba odjąć od dochodu brutto nie tylko koszta uprawy i zapłatę robotnika, lecz nadto to wszystko, co przedstawia zwykły zysk lub procent od kapitałów włożonych w uprawę. *Renta* i *czynsz dzierżawny nie pokrywają się nawzajem*, albowiem z jednej strony wysokość czynszu dzierżawnego zawiera w sobie zazwyczaj procent od kapitałów, których właściciel dostarcza dzierżawcy w postaci bundynków, maszyn i t. d., z drugiej strony dzierżawa ustanowioną jest zazwyczaj w ten sposób, że dzierżawcy pozostawia się część renty, chyba, że dzierżawca znajduje się w położeniu przymusowem. Łatwo zrozumieć z tego, co wyżej powiedzieliśmy, *że nie renta powoduje zwyżkę ceny, lecz odwrotnie zwyżka ceny powoduje rentę*.

[2]) Dlaczego ciągle przypuszczamy, że ludzie dla zwiększenia produkcyi będą musieli rozciągnąć uprawę na coraz to nowe ziemie? Czyż nie mogą zwiększać produkcyi stosownie do swych potrzeb na urodzajnych ziemiach? W istocie — mogą, ale według prawa obniżającego się przychodu, każde zwiększenie wy-

z hektaru tylko 15 hektolitrów zboża zebrać będzie można, hektolitr więc będzie kosztował 20 fr. i cena wszystkich hektolitrów podniesie się na targu w tym samym stosunku pod wpływem wymienionych już przyczyn. Odtąd właściele gruntów najpierw obsianych będą świadkami podniesienia się renty do 10 fr., a właściele gruntów drugiej kategoryi do swego zysku wliczą z kolei rentę 5 fr.

Ten porządek uprawy, jak go nazywa Ricardo, może ciągnąć się w nieskończoność, wywołując zawsze podniesienie się ceny środków do utrzymania życia na niekorzyść konsumentów, a wzrost renty na korzyść właścicieli, którzy doznają zwiększania się swych dochodów bez łożenia trudu i znajdują źródło swego majątku w ogólnem zubożeniu.

Teorya ta jest dziś trochę przestarzałą, uznali ją za zanadto pesymistyczną nietylko ekonomiści ze szkoły optymistycznej, lecz nawet socyaliści. Zaufanie w postęp jest wielkie, to też nikt nie chce wierzyć, że technika produkcyi rolniczej niezdolną jest do rozwoju [1]). Choć przyjęliśmy prawo obni-

---

dajności poza pewną granicę, pociągnie za sobą niestosunkowe zwiększenie wydatków, a więc wywoła zwyżkę w kosztach produkcyi. Jeśli na tych ziemiach, z których otrzymywano 30 hektolitrów na hektarze kosztem 300 franków, zechcemy wyprodukować 60 hektolitrów, może je otrzymamy, lecz trzeba będzie wydać 800 lub 900 franków, a cena każdego hektolitra podniesie się do 25 lub 30 franków. W tem miejscu trzeba odczytać rozdział *o prawie obniżającego się przychodu*, z którem prawo Ricarda jest ściśle związane.

[1]) W teoryi, która jest wprost przeciwna teoryi Ricarda i która swego czasu również była głośną, pisarz amerykański Carey starał się udowodnić, że porządek uprawy był wprost odwrotnym. Ziemie najurodzajniejsze — powiada Carey — właśnie z powodu swej urodzajności utrudniają niezmiernie wykarczowanie (obfita roślinność, wielkie lasy, wyziewy i febry); mogą więc być uprawiane dopiero w miarę, jak rolnictwo rozporządza coraz to lepszemi środkami pomocniczemi. Teorya ta jest prawdziwą dla młodych społeczeństw; była jeszcze prawdziwą dla Stanów Zjednoczonych, gdy Carey ją stworzył, ale już nie jest prawdziwą dla dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, a już od wieków nie da się zastosować do Europy; byłoby nierozumnem

żającego się przychodu, które może pewnego dnia sprawdzić ponure przewidywania Ricarda, przypuściliśmy zarazem, że dzień ten jest bardzo oddalonym i że można go cofnąć prawie w nieskończoność.

Nie przyjmując w całości ani prawa Ricarda, ani historycznego porządku uprawy, możemy uważać za pewnik, że przeznaczeniem wartości ziemi jest ciągły wzrost z powodu przyczyn, zupełnie niezależnych od działalności właściciela. W istocie, jeśli zwrócimy uwagę na to, że ziemia posiada znamiona, których *żadne inne dobro* nie posiada w tym samym stopniu:

1) odpowiada istotnym i trwałym potrzebom rodzaju ludzkiego,

2) istnieje w ilości ograniczonej,

3) trwa wiecznie,

wówczas łatwo zrozumieć, że wartość jej musi dążyć do ciągłego wzrostu w miarę rozwoju społecznego. Wzrost ludności jest główną przyczyną, która oddziaływa na zwiększanie się wartości ziemi, ponieważ im więcej jest ludzi, tem więcej trzeba żądać od niej środków do ich żywienia i miejsca pod mieszkanie: nadto ogólny wzrost dóbr, budowa dróg i kolei żelaznych, powstawanie wielkich miast, a nawet rozwój porządku i bezpieczeństwa publicznego, pociągają za sobą nieunikniony wzrost tej nadwyżki w wartości ziemi, którą ekonomiści angielscy bardzo trafnie nazwali *unearned increment* (zwyżka niezapracowana) [1]). Jest jedna tylko przyczyna,

---

twierdzić, że we Francyi i w Anglii najurodzajniejszemi są dotąd nieuprawne ziemie.

Lecz choć teorya Careya nie została uznaną, trochę zanadto optymistycznem jest mniemanie, że przez długie wieki będzie można powiększać produkcyę na ziemiach już uprawnych.

[1]) Rozumie się samo przez się, że nadwyżka w wartości ziemi występuje najwyraźniej w krajach młodszej cywilizacyi, w Stanach Zjednoczonych, albowiem tam przyczyny, które zaznaczyliśmy powyżej, działają najsilniej. Jej zawdzięczają swe majątki rodziny Astorów i Vanderbiłdtów, jej zawdzięcza swe powodzenie teorya Henryka Georgea o unarodowieniu ziemi.

która ogranicza, a nawet cofa ten ruch wstępny, — jest nią współzawodnictwo krajów zamorskich, wywołane przez wielkie przedsiębiorstwa kolonizacyjne i wielkie ulepszenia środków przewozu; przyczyna ta objawia się teraz w całej pełni, to też wielu ludzi nie chce wierzyć w prawo podnoszenia się renty.

Ekonomiści ze szkoły optymistycznej, uważający ziemię za wytwór pracy nie mogą przyjąć bez oporu teoryi, która przedstawia właściciela ziemskiego jako rodzaj pasożyta, ciągnącego zyski z wszelkiego postępu społecznego. Nie przeczą istnieniu nadwyżki, bo temu zaprzeczyć się nie da, ale chcą ją wytłómaczyć wydatkami i ulepszeniami dokonanemi przez właścicieli, twierdzą nawet, że gdybyśmy zliczyli wszystkie wydatki, poniesione przez właścicieli, doszlibyśmy do przekonania: nie ma ziemi wartającej tyle, ile kosztowała.

Dowód jest dosyć przekonywującym, ale wykazy statystyczne dowodzą jego niedokładności; według nich ziemie nieuprawiane i nie ulepszane, które nie były przedmiotem żadnej pracy, żadnego ulepszenia, naprzykład stepy lub parcele budowlane cieszą się tą samą zwyżką wartości, co i inne.

Jest rzeczą pewną, że gdybyśmy zliczyli wszystkie nakłady, włożone w ziemię francuzką począwszy od dnia, w którym pierwszy Celt począł ją karczować za czasów druidów, doszlibyśmy do sumy nieskończenie wyższej od dzisiejszej

---

W Europie, gdzie przyczyny te działają słabiej, gdzie wzrost ludności jest bardzo powolnym, jak naprzykład we Francyi, nadwyżka w wartości ziemi jest mniej widoczną. A przecież z ankiet rolniczych, zwołanych w r. 1851 i 1882 wynika, że wartość ziemi w tym okresie czasu, a więc w 30 latach zaledwie podniosła się z 61 na 91 miliardów. Jestto nadwyżka miliarda rocznie czyli blisko 2%.

W Anglii rentę z gruntów oceniano w r. 1800 na 500 milionów, a w r. 1880 na 1500 milionów — potroiła się zatem. W tym samym przeciągu czasu ludność Anglii również w przybliżeniu potroiła się (8,890.000 w r. 1800, 24,850.000 w r. 1879).

wartości ziemi; lecz, żeby rachunek był sprawiedliwym, trzeba dodać wszystkie żniwa, zebrane w tym samym czasie, a wówczas prawdopodobnie przekonanoby się, że ziemia dawała rentę, wzrastającą stopniowo z biegiem czasu [1]).

VII.

Unarodowienie ziemi.

Jeżeli przyjmiemy za założenie prawo renty gruntowej lub *unearned increment*, to znaczy, jeśli uznamy, że wielką część, a nawet całkowita wartość ziemi zawisłą jest od przyczyn społecznych, ogólnych i zupełnie niezależna od pracy jednostek, nasuwa się myśl, że byłoby sprawiedliwem zwrócić tę część temu, komu ją zawdzięczamy, to jest społeczeństwu. Do osiągnięcia tego celu chciano użyć różnych środków, które oznaczamy ogólnem mianem systemów unarodowienia ziemi.

1) Pierwszy z nich polega na odebraniu własności ziemskiej znamienia charakteru wieczystości i zamienia ją w rodzaj dzierżawy, emfyteuzy, jak mówią prawnicy, lub prościej w dzierżawę czasową.

Państwo, nominalny właściciel ziemi, odstępowałoby ją jednostkom pod uprawę na dłuższy okres czasu na 50, 70, a nawet 99 lat tak, jak to robi z koncesyami na koleje że-

[1]) Często można spotkać się ze zdaniem: „Właściciele nie zyskują wiele, ziemia nie daje więcej jak 3, a nawet $2\frac{1}{2}\%$. Trzeba spytać tych, którzy tak rozumują, na podstawie jakiego prawa naturalnego ziemia zobowiązaną jest dawać im bez końca 3% renty rocznie? Bez wątpienia odpowiedzieliby: „Kupiliśmy tę ziemię za 100.000 franków, powinna nam więc przynieść rocznie 3000 franków“. Zazwyczaj nie myśli się o tem, że odpowiedź ta jest tylko *petitio principii*. Nie dlatego ziemia powinna przynieść 3000 franków, że za nią zapłacono 100.000 franków; ale ponieważ, dzięki monopolowi własności ziemskiej, grunt przynosi posiadaczowi 3000 franków renty, dlatego więc zapłacono zań 100.000 franków.

lazne. Po nadejściu terminu państwo objęłoby w posiadanie ziemię (tak, jak około r. 1948 obejmie we Francyi koleje żelazne) i odstąpiłoby ją znów na pewien okres czasu, lecz rozumie się samo przez się, nałożywszy na nowych koncesyonaryuszy obowiązek zapłacenia, czy to ryczałtem, czy też w rencie rocznej, spodziewanej w przyszłości zwyżki dochodów. W ten sposób państwo, jako przedstawiciel społeczeństwa, korzystałoby z całej nadwyżki, która zapewniłaby mu w końcu prędzej czy później ogromny dochód, umożliwiający zniesienie wszelkich podatków.

System taki dałby się pogodzić z dobrą uprawą ziemi, choć niektórzy przeczą temu trochę lekkomyślnie, zwłaszcza gdyby nie zapomniano o odnowieniu koncesyi na pewien czas przed nadejściem terminu. Trzeba nawet przyznać, że taki stan rzeczy byłby pomyślniejszym dla dobrej uprawy, jak położenie dzisiejsze w niejednych krajach, naprzykład w Irlandyi lub Anglii, — gdzie niemal cała ziemia uprawiana jest przez dzierżawców *at will*, tj. dzierżawców, których można dowolnie oddalić.

Wprowadzenie jednak w życie takich zmian, napotkałoby na nieprzezwyciężoną przeszkodę w trudnościach, połączonych z odkupem ziemi od obecnych właścicieli, gdyby go chciano przeprowadzić sprawiedliwie. Przedsięwzięcie doprowadziłoby bezwarunkowo do bankructwa [1]). Naprawdę o zastosowaniu podobnego systemu można myśleć tylko tam,

[1]) Całą wartość własności ziemskiej we Francyi możemy ocenić na 100 miliardów. Przypuśćmy, że możnaby ją za tę cenę odkupić. Trzebaby zaciągnąć pożyczkę w wysokości 100 miliardów. Przypuśćmy nadto, że ta olbrzymia emisya renty nie osłabi siły kredytowej państwa i że państwo będzie mogło wypożyczyć na 4%. I tak w tym wypadku budżet wydatków wzrośnie o 4 miliardy. Z drugiej strony z budżetu dochodów należy wykreślić wszystkie podatki, obciążające ziemię, z powodu zlania się w jednej osobie praw dłużnika i wierzyciela. A wówczas niedobór wyniósłby 5 miliardów. Wprawdzie państwo wliczyłoby do swych dochodów czynsz dzierżawny, lecz według tych samych liczb statystycznych czysty dochód z ziemi wynosi trochę mniej niż 3%.

gdzie odkup jest zbytecznym, a przypuszczenie to urzeczywistniają kraje zamorskie lub okolice, jeszcze nie zamieszkałe, Australia, Stany zjednoczone, rozmaite państwa Ameryki Południowej, Syberya. Tam państwo, które teraz odstępuje kolonistom prawo wieczystej własności albo za darmo, albo za niskiem wynagrodzeniem, mogłoby łatwo zmienić system i zatrzymując dla siebie własność ziemi, wydawać koncesye na posiadanie czasowe, ograniczone, a dość długie, by zapewnić wykarczowanie i uprawę [1]).

2. Drugi system, broniony przez Milla ojca i syna, któremu Henryk George przyczynił nowego blasku, polegałby poprostu na obciążenie własności ziemskiej wzrastającym podatkiem; podatek ten powinienby być tak urządzony, by się podnosił w miarę wzrostu przychodu z ziemi.

System ten spotkał się z doniosłym praktycznym zarzutem; każdą zwyżkę wartości ziemi wywołują zwyczajnie dwa czynniki, jeden zawisłym jest od przyczyn społecznych

---

Przypuśćmy, że państwo potrafiłoby gospodarować tak dobrze, jak prywatni właściciele (przypuszczenie również bardzo nieprawdopodobne), dochody z tego źródła przyniosłyby tylko trochę mniej niż 3 miliardy, powiększałyby się one co prawda ciągle stosownie do prawa o wzroście wartości ziemi: mimo tego skarb państwa przez długi czas musiałby walczyć z olbrzymim niedoborem, a środkiem pokrycia byłoby albo wyniszczenie kraju podatkami albo — bankructwo.

[1]) W ten sposób postępuje rząd holenderski w swych rozległych posiadłościach kolonialnych. Ziem, których jest właścicielem, nie sprzedaje, lecz odstępuje je na 75-letnie okresy użytkowania.

Nawet w Europie system ten mógłby znaleźć zastosowanie w górnictwie. Państwo powinno przyjąć za zasadę przy wydawaniu nowych koncesyj na kopalnie, wyznaczanie pewnego ściśle ograniczonego przeciągu czasu, naprzykład 50 lub nawet 99 lat i rozdawanie nowych koncesyj lub odnawianie wygasłych w drodze licytacyi. Nie ma własności, której wartość wzrastałaby równie prędko, jak wartość kopalń. Wartość koncesyi na kopalnie węgla w Pas-de-Calais wzrosła z 27 milionów początkowo (1853—63) na 296 milionów dzisiaj. W ciągu 30 lat zwiększyła się więc dziesięciokrotnie.

i zewnętrznych, które wyliczyliśmy, lecz źródłem drugiego jest praca właściciela i jego nakłady. Nakładając taki podatek, trzeba wystrzegać się naruszenia tej drugiej części, nietylko pod grozą zgwałcenia sprawiedliwości — pamiętajmy, że część ta jest wytworem pracy — lecz nadto pod grozą odstraszenia wszelkiej inicyatywy i wszelkiego postępu w przedsiębiorstwach rolniczych, które i bez tego, wiemy o tem dobrze, są aż nadto zastarzałe. W praktyce podział taki jest niemożliwym, sam właściciel nie potrafiłby go przeprowadzić, a cóż dopiero przedstawiciel państwa.

Lecz bez uciekania się do tych skrajnych środków można monopol własności ziemskiej i prawo wzrostu renty uczynić prawie zupełnie nieszkodliwem, zapewniając wszystkim możność nabycia własności i wolny obrót dobrami ziemskiemi przez ustawodawstwo, zastosowane do tego celu. Cóż to szkodzi, że prawo własności jest wiecznem, jeżli jest ruchomem i nie pozostaje długo w tych samych rękach. Wieczystość prawa własności jest w tym wypadku tylko pustem słowem. Zachodzi pytanie, jakiemi środkami można dojść do tego celu.

VIII.

Ustrój własności ziemskiej.

Ustrój własności ziemskiej i prawa, które nią rządzą, zależą od sposobu pojmowania tej instytucyi.

Jeżli ustawodawca jest tego samego zdania, co my, a więc przypuszcza, że podstawą tej własności jest pożytek społeczny i potrzeba wydobycia z ziemi jaknajwięcej środków do utrzymania życia, powinien starać się o przejście i zachowanie ziemi w tych rękach, które potrafią zrobić z niej najlepszy użytek, to znaczy w tych rękach, które ją uprawiają.

Niektóre ustawodawstwa w celach politycznych starały się o wynik wprost przeciwny, to jest o ześrodkowanie i zachowanie własności w rękach warstw panujących, które rzą-

dzą, ale nie uprawiają roli. Tak dzieje się w Anglii. Prawo pierworodztwa, substytucye, formalności i koszta połączone z każdem pozbyciem i obciążeniem ziemi ześrodkowały własność na całym obszarze wysp wielko-brytańskich w rękach kilkuset rodzin, zasiadających w izbie lordów; ustawodawstwo to wyniosło ponad nędzny tłum bogatą arystokracyę i przedstawiło światu obraz olbrzymich majątków, nabytych bez pracy i wzrastających jakby cudem w próżnujących rękach.

Być może, że ten stan rzeczy przyczynił się do wielkości państwa angielskiego — nie przeczymy, mimo tego trzeba przyznać, że jest nietylko niesprawiedliwym, ale nadto podkopać może raz na zawsze w opinii publicznej instytucyę własności ziemskiej. To też nigdzie nie zaczepiają jej tak silnie, jak w Anglii [1]).

Inaczej ułożyły się stosunki w krajach demokratycznych, a przedewszystkiem we Francyi. Tam prawa nie przeszkadzają, lecz przeciwnie popierają *podzielność* ziemi całą swą powagą przez ustawę o równym podziale między wszystkich współdziedziców [2]) i ułatwiają *przeniesienie* własności przez

[1]) Jako przykład można przytoczyć olbrzymie powodzenie w ostatnich czasach w Anglii dzieł Henryka Georga i jego nauki o unarodowieniu ziemi, a nadto zarządzenia nawet najbardziej konserwatywnych ministerstw, mające na celu zmianę irlandzkich stosunków rolniczych. Liczbę właścicieli na wyspach brytańskich obliczają na 1,200,000, lecz olbrzymia większość, co najmniej trzy czwarte są to właściciele małego obszaru (mniejszego niż morg, to jest zaledwie 40 arów). Lepsze będziemy mieli pojęcie o podziale własności na wyspach brytańskich, gdy przypomnimy sobie, że połowa Anglii i Walii znajduje się w ręku 4500 osób, połowa Irlandyi w ręku 744 osób a połowa Szkocyi w ręku tylko 70 osób!

[2]) Artykuł 826 kodeksu cywilnego francuzkiego nakazuje podział równy spadku nietylko pod względem wartości, lecz *w naturze*, skutkiem czego każda posiadłość wielka czy mała podlega po śmierci właściciela rozkawałkowaniu (choć artykuł 832 przez szczególną sprzeczność poleca unikanie, o ile możności, podziału roli). Prawo to krytykuje ostro szkoła katolicka

zakaz substytucyi i przez ograniczenie zapisów na rzecz kościoła.

Wynikiem tego prawodawstwa jest to, że ziemię posiadają w części przynajmniej ci, którzy powinni ją uprawiać, ono też stworzyło ten silny francuski stan włościański, którego zazdroszczą nam ekonomiści angielscy, którego istnienie będzie długo chroniło nasz kraj przed wszelkiem zastosowaniem systemu kolektywistycznego.

Łudzi się jednak ten, kto wierzy, że sama wolność zawierania umów doprowadzi do celu, do którego dążymy, to znaczy do oddania własności ziemskiej mogącym zrobić z niej najlepszy użytek. Twierdzenie to głosi szkoła liberalna, opierając się na zasadzie, że w krajach wolnej wymiany rzeczy same przez się dostają się tym, którzy umieją je najlepiej zużytkować, a my sami uznaliśmy wyżej prawdziwość tego zdania. Lecz nie można porównywać ziemi z towarem lub jakiemkolwiek narzędziem produkcyi, na którego kupno i sprzedaż wpływają jedynie czynniki ekonomiczne. W posiadaniu ziemi szukają ludzie władzy politycznej, stanowiska społecznego lub przyjemności życia wiejskiego; czynniki te mogą pchnąć ich do nierozumnego rozszerzania swych posiadłości i mogą wstrzymywać ich od sprzedaży ziemi nawet wówczas, gdy już jej nie będą w stanie zużytkować.

Doświadczenie dowodzi, że nieraz wolność zawierania umów, zastosowana do ziemi, pociągnęła za sobą zniszczenie małej własności na rzecz wielkiej, wyrwanie ziemi z tych rąk, które ją uprawiały, na rzecz spekulantów i wytworzenie

---

i szkoła Le Playa — i słusznie. Łatwo zrozumieć, że prawo przeszkadza tworzeniu się wielkich posiadłości nietylko z powodów politycznych, lecz także ekonomicznych — *latifundia perdidere Italiam* — lecz gdy prawo rozkawałkowuje bez litości gospodarstwa rolne przy każdem spadkobraniu, zarówno rolę chłopa, jak rolę wielkiego właściciela, niszczy więc tym sposobem wielką część tychże gospodarstw, psując ich organizacyę, wówczas prawo przeciwdziała interesom rolnictwa, a nie popiera interesu demokracyi.

proletaryatu wiejskiego rolniczego [1]). Możemy ztąd wnioskować, że w wypadkach, w których wolność nie zapewniła podziału własności ziemskiej, zgodnego z celem tej instytucyi, trzeba przyznać ustawodawcy prawo użycia swej władzy dla przeprowadzenia zmiany [2]).

---

[1]) Wypadki takie zdarzają się w niektórych krajach Indyi skutkiem zanadto gwałtownego wprowadzenia własności osobistej na ziemi wraz z prawem pozbycia; to samo objawi się niewątpliwie u ludności tubylczej w Algeryi w razie nieostrożnego zastosowania tak zwanego *Act Torrens*.

[2]) Jest dość trudnem oznaczyć dokładnie wszelkie możliwe rodzaje interwencyi prawodawcy; zależy to od okoliczności. Prawodawca może naprzykład zakazać posiadania więcej ziemi nad pewną przepisaną miarę w celu przeszkodzenia nagromadzeniu się zbyt wielkich obszarów w ręku jednostki. W Szkocyi jeden właściciel posiada 1,326,000 akrów (przeszło 5000 km. kw.);

na odwrót może wyznaczyć pewne minimum, by uniknąć zbytniego, szkodliwego dobrej uprawie, rozdrobnienia;

może nakazać ze względu na dobro ogółu wywłaszczenie każdego właściciela, nie uprawiającego swej ziemi. W Chinach wszelka nieobrobiona ziemia wraca na mocy ustawy do państwa a w Anglii projekt podobnej ustawy wniosło stronnictwo radykalne;

może zmusić opornych właścicieli do zamiany tych kawałków gruntu, które są zanadto rozrzucone. Tego rodzaju środków chwycono się w kilku państwach niemieckich; jest to t. zw. *komasacya gruntów;*

może wyjąć z obrotu część gruntu, by nie pozwolić dłużnikom zagarnąć ojcowizny rodzinnej. To urządzenie znanem jest w Stanach Zjednoczonych pod nazwą *Homestead;* może wreszcie pewnemi warunkami ograniczyć dzierżawę, czynsz, wynagrodzenie za nadwyżkę wartości i t. d. Wiadomo, że rząd angielski był zmuszonym tego rodzaju interwencyę bardzo ostrą, można nawet powiedzieć bardzo socyalistyczną, zastosować wobec właścicieli landlordów w Irlandyi.

Kodeks cywilny francuzki nie może uchodzić za obrońcę wolności w kwestyi własności ziemskiej, ponieważ, jak już wspomnieliśmy, nakazuje podział ziemi przy każdej zmianie właściciela drogą spadku.

CZĘŚĆ II.

Udział różnych warstw w dochodzie społecznym.

Jeżeli rozejrzymy się w około i zbadamy, w jaki sposób ludzie żyją, zkąd czerpią swe dochody, nie będziemy mogli na pierwszy rzut oka rozeznać się w ich różnorodnych i powikłanych stosunkach. A przecież łatwo rozróżnić kilka wielkich warstw w obrębie społeczeństwa, których znamiona są dość wybitne. Możemy naliczyć pięć takich warstw. Jedni: włościanie - właściciele, rękodzielnicy, kramarze, posiadają narzędzie pracy, ziemię lub kapitał, które *zużytkowują przez swą własną, osobistą pracę*[1]).

Niestety niema dla nich osobnej nazwy w słowniku ekonomicznym. Ponieważ ich znamieniem jest praca niezawisła, nazwiemy ich *wytwórcami samoistnymi*. Również niema osobnej nazwy na oznaczenie właściwego im dochodu, który pobierają.

Inni posiadają ziemię lub kapitały w ilości tak wielkiej, że nie mogą ich zużytkować przez swą pracę osobistą. Są więc zmuszeni w tym celu *używać pracy innych ludzi*. W słowniku ekonomicznym utarła się dla nich nazwa *przedsiębiorców*, a dochód, który im przypada w udziale, nazywa się *zyskiem*.

[1]) Do tej warstwy zaliczyć można zawody, zwane *liberalnemi*, adwokatów, artystów, lekarzy i t. d., ludzie ci żyją ze swej pracy osobistej, sprzedając swe usługi wprost publiczności i posiadają zawsze kapitał, potrzebny do wykonywania swego zawodu.

Inni, zwykli proletaryusze, których jedynym majątkiem ręce, są zmuszeni *pracować w usługach kapitalistów lub właścicieli* i z ich rąk otrzymywać narzędzia nieodzownie potrzebne do produkcyi. Zazwyczaj nazywamy ich *zarobkującymi*, lub mniej dokładnie *robotnikami*. Udział, który na nich przypada, nazywa się *płacą* [1]).

Inni znów nic nie robią i *żyją z dochodów corocznych*, których im dostarcza jakikolwiek kapitał, ziemia, dom lub kapitał pieniężny w postaci czynszu dzierżawnego, wynagrodzenia za najem, procentu lub dywidendy. Nazywamy ich *kapitalistami*.

Poza temi wielkiemi warstwami znajduje się jeszcze jedna, której, choć ukrytą jest w cieniu, nie powinniśmy pominąć. Są to ci wszyscy, którzy nie żyją ani z pracy, bo nic nie robią, ani z kapitałów, bo ich nie mają, źródłem ich dochodu — *dobroczynność publiczna lub prywatna*. To *ubodzy*, a dochodem ich jest jałmużna [2]).

Pierwsza i trzecia warstwa tworzy we wszystkich krajach znaczną większość: trzy inne są zawsze w mniejszości [3]).

---

[1]) Możnaby tutaj zaliczyć wszystkich *urzędników*, którzy pobierają *pensye* od państwa lub od gmin; jest ich we Francyi 300.000 (nie licząc wojska, którego jest drugie tyle). W każdym razie, ponieważ są w służbie nie jednostek, lecz społeczeństwa, stanowisko ich różni się zasadniczo i prawnie i faktycznie od stanowiska robotników; należałoby raczej utworzyć z nich osobną klasę. Bezsprzecznie trzeba jednak zaliczyć do tej klasy wszystkich tych, którzy usługi swe poświęcają pewnym osobom, jest to służba domowa, czerpiąca swe dochody z płacy.

[2]) Wywoła może pewne zdziwienie brak jeszcze jednej warstwy, t. j. właścicieli ziemskich, niema jednak żadnego powodu tworzyć z nich odrębnej warstwy. Włościanin-właściciel jest wytwórcą samoistnym, właściciel, który używa cudzej pracy, jest przedsiębiorcą, a właściciel, wydzierżawiający swe dobra, kapitalistą. Wprost przeciwne wszelkiemu naukowemu podziałowi jest łączenie w jedną warstwę, jak to się to zazwyczaj dzieje, tak różnorodnych stanowisk społecznych.

[3]) Często twierdzą, że dziś już niema klas; lepiejby było zadowolnić się skromniejszem powiedzeniem, że dziś już niema *kast*, a jest to prawdą z dwóch powodów:

ROZDZIAŁ I.

Wytwórca samoistny.

I.

Dlaczego stanowisko to jest najkorzystniejszem dla dobrego rozdziału dóbr?

Według poprzedniego określenia, samoistnym wytwórcą jest ten, kto nie pracuje na rachunek cudzy i nie zatrudnia nikogo na własny rachunek: wystarcza sam sobie, otrzymuje całkowity wytwór swej pracy, a nikt mu tego wytworu odmówić nie może.

Typem tej warstwy wytwórców jest *włościanin*, który sam (lub z pomocą swej rodziny) uprawia ziemię i pracuje wyłącznie własnym kapitałem, który zbiera, co posiał. Do tej warstwy należą także: *rękodzielnik*, który pracuje dla publiczności, używając do tego rąk własnych lub rąk ucznia

---

1) Ponieważ niema prawnej przeszkody, wzbraniającej jednostce przejść z jednej warstwy do drugiej, jeśli jednostka może to uczynić: to też nie brak ludzi, którzy wznieśli się ze stanowiska robotnika na stanowisko samoistnego wytwórcy, przedsiębiorcy lub nawet kapitalisty, również nie brak takich, którzy zeszli w szeregi ubogich.

2) Ponieważ ta sama osoba może równocześnie należeć do kilku warstw, a jest to nawet objawem bardzo zwykłym. Wielu małych wytwórców, prawie wszyscy przedsiębiorcy, a nawet pewna liczba zarobkujących posiada więcej lub mniej papierów wartościowych, jak obligacye, renty lub akcye, należą tedy po części przynajmniej do warstwy kapitalistów. Część robotników skutkiem pobierania zapomóg od towarzystw dobroczynności, należy do warstwy ubogich. Właśnie to pomięszanie źródeł dochodu jest powodem, że nie mamy statystyki różnorodnych warstw, uczestniczących w rozdziale dochodu społecznego.

Mimo tego rozmaite warstwy, które wyliczyliśmy, mają znamiona tak wybitne, że możemy o nich spokojnie użyć słowa *klasa* w jego naukowem znaczeniu.

(szewc, krawiec, ślusarz, kowal i t. p.), nawet *kramarz*, który sam zawiaduje swym małym kapitałem, włożonym w handel.

Ten system, gdyby był ogólnym, byłby bardzo korzystnym dla dobrego rozdziału dóbr. Dzięki swej wielkiej prostocie, zapobiegłby wielu sporom, powstającym dziś między różnemi warstwami, biorącemi udział w produkcyi, przedewszystkiem między pracą a kapitałem. Nie doprowadziłby do zupełnej równości majątkowej, — a byłoby to bardzo dobrem, — albowiem nietylko nie zniósłby tych przyczyn nierówności majątkowej, które zawisłe są od przyrodzonych różnic między ludźmi, lecz także tych, które zależne są od nierównej wydajności ziemi i narzędzi, użytych do produkcyi, a nawet nie zniósłby tych, które zawisły od szczęścia lub nieszczęścia, ściśle związanego z każdym czynem człowieka, nie pozwoliłby jednak tym nierównościom majątkowym przekroczyć pewnych granic, jeśli przyjmiemy za założenie nasze przypuszczenie, to jest, jeśli każdy wytwórca używa wyłącznie własnej pracy. Ilość ziemi lub kapitału, który jednostka może wprawić w ruch jedynie z pomocą swych rąk, jest oczywiście dość ograniczoną, kilka hektarów, jeśli chodzi o ziemię, kilka tysięcy, jeśli chodzi o kapitał pieniężny. Społeczeństwo, rozwijające się w tych warunkach, nie zazna tedy innych nierówności majątkowych, jak te, które zależą od przyrody lub od zmiennego biegu wypadków.

Dlatego też większość socyalistów w oskarżeniach, skierowanych przeciw obecnemu porządkowi społecznemu, oszczędza zazwyczaj tę warstwę społeczeństwa: ogranicza się do oświadczenia, że skazaną jest nieodwołalnie na zgubę i przepowiada, że ci, którzy jeszcze przedstawiają tę warstwę w naszych społeczeństwach, pozbawieni będą swego stanowiska społecznego — takim bowiem ma być naturalny rozwój ekonomiczny. A dlaczego? Albowiem, o ile system ten korzystnym jest dla dobrego rozdziału dóbr, o tyle niezgodnym jest — ich zdaniem — z wymaganiami wielkiej produkcyi. Warunkiem produkcyi odosobnionej jest mały przemysł i mała uprawa; otóż przyszłość należy do wielkiego przemysłu i wielkiej uprawy, których zupełnem urzeczywistniem jest system produkcyi

zbiorowej. Utrzymać system produkcyi odosobnionej byłoby „uwiecznieniem mierności we wszystkiem.“

Zdaniem naszem sąd ten jest trochę powierzchownym. Ta mierność, którąby nazwać można *aurea mediocritas* nie powinna nas przestraszać; w starożytności ludzie, mogący sądzić o tym przedmiocie równie dobrze, jak my, widzieli w tej *aurea mediocritas* jeden z warunków szczęścia. Ze stanowiska produkcyi żaden inny system nie może bardziej spotęgować działalności produkcyjnej, ponieważ każdy pracuje dla siebie, a choć system ten wytwarza grunt zanadto podatny dla rozwoju zasady indywidualizmu, egoizmu, łatwo jednak znaleźć można zbawienną przeciwwagę w zastosowaniu zasady stowarzyszania się. Nie wyklucza nawet, aczkolwiek wielu przeczy temu, formy wielkiej produkcyi, ponieważ można ją zastosować przez połączenie (assocyacyą) większej liczby drobnych przedsiębiorstw. Prawdą jest, że mimo swych licznych zalet stan ten zagrożonym jest silnie przez nieustanny rozwój wielkiego przemysłu. W każdym razie, powtarzamy raz jeszcze, postęp rozwoju może kryć niejednę w sobie niespodziankę i nieraz powołuje do życia kształty, o których sądzono, że zginęły na wieki. Wystarczy znaleźć sposób zastąpienia maszyny parowej siłami przyrodzonemi, nadającemi się do zużytkowania w domu, aby mały przemysł pobudzić do nowego życia. Co do drobnych gospodarstw zaznaczyć możemy, że nietylko istnieją dotąd, ale nawet rozwijają się bez przerwy.

Francya jest jednym z tych uprzywilejowanych krajów, w których warstwa wytwórców samoistnych jest najliczniejszą; jej częściami składowemi są nietylko włościanie, którzy przedstawiają jeden z najwybitniejszych typów narodu francuskiego, lecz także rękodzielnicy i kramarze [1]). To właśnie daje pewną

[1]) Jest dość trudnem obliczyć ilość właścicieli-włościan we Francyi; w każdym razie nie należy wyobrażać sobie, jak to mówią czasami, że większa część ziemi jest w ich ręku. Najpierw tylko czwarta część ziemi uprawnej (12,750.000 hektarów na 49 milionów) należy do małej własności (niżej 6 hektarów). Nadto z 5 czy 6 milionów właścicieli, którzy dzielą się tą po-

podstawę ustrojowi, właściwemu Francyi i pozwala jej łatwiej niż komukolwiek innemu przetrwać straszne przesilenia dziejowe. Wynikiem tego jest wprawdzie zamiłowanie w utartych ścieżkach, pewna ociężałość w jej przedsiębiorstwach ekonomicznych i pewna niezdolność do zrozumienia korzyści stowarzyszenia. Zważywszy jednak wszystko, należy obawiać się, żebyśmy nie mieli powodu żałowania takiego stanu rzeczy, jeśliby się kiedykolwiek zmienił.

ROZDZIAŁ II.

Przedsiębiorca.

I.

Stanowisko przedsiębiorcy i uprawnienie zysku.

O ile stanowisko samoistnego wytwórcy było łatwem do zrozumienia, o tyle niejasną jest rola tej nowej warstwy, uczestniczącej w rozdziale dochodu społecznego.

Nazwa przedsiębiorcy, uświęcona w słowniku ekonomicznym, oznacza każdego człowieka, który, rozporządzając narzędziem produkcyi (ziemią lub kapitałem), zanadto wielkim, by módz je wprawić w ruch przez swą pracę osobistą, *zużytkowuje je przez pracę płatnych robotników*. Właściciel gruntu, obejmującego więcej niż 4 lub 5 hektarów,

---

wierzchnią, przeszło połowa posiada tylko skrawki gruntu (mniej niż 1 hektar), które nie wystarczają na wyżywienie i zmuszają ich do wynajmowania się za dziennem wynagrodzeniem.

Liczba włościan w ścisłem tego słowa znaczeniu, to jest właścicieli gruntów, wystarczających na ich wyżywienie, nie przekracza 3 milionów, co, wliczywszy rodziny chłopów, da nam 10 lub 12 milionów jako liczbę mieszkańców. Drobny przemysł liczy mniej więcej trochę więcej niż milion przedstawicieli, a drobny handel trochę mniej niż milion kramarzy, szynkarzy i t. d. Wiemy już, że ta ostatnia liczba zgoła nie jest pocieszającą.

nie może sam uprawić swej roli i musi zatrudniać robotników. Również właściciel kapitału 8 lub 10 tysięcy franków, nie może włożyć tych pieniędzy w przedsiębiorstwo przemysłowe lub handlowe bez zastosowania cudzej pracy.

Jak dotąd w stanowisku tem nie widzimy nic nadzwyczajnego. Człowiek, posiadający za wiele dóbr, używa ich do zatrudniania ludzi, mających dóbr za mało; jest to zupełnie uzasadnionem, a nawet ci, którzy lubią widzieć sprawy tego świata w różowem świetle, dostrzegą łatwo rodzaj harmonii w objawie tym, że kapitalista nie może zużytkować swego kapitału bez robotnika i na odwrót robotnik swej siły fizycznej bez kapitalisty.

Ale czekajmy końca. Właściciel lub kapitalista, który zatrudniał robotników na swej ziemi lub powierzył im swój kapitał, uważa każdy wytwór przedsiębiorstwa, czyto płody rolnicze, czy wyroby przemysłowe, *za swą własność a cena, uzyskana przy sprzedaży, po odciągnięciu kosztów produkcyi, tworzy jego dochód, jego zysk.* Otóż tutaj sprawa staje się zawikłaną, albowiem można zapytać się, jakiem prawem przedsiębiorca zagarnia dla siebie wartość, która jest wytworem pracy jego robotników?

Przedsiębiorca odpowiada za pośrednictwem ekonomistów, że wytwór jest w całości jego dziełem, albowiem bez jego inicyatywy nie istniałby; jeśli go nie zrobił, to przecież *kazał go zrobić.* Zresztą w jego głowie zrodziła się myśl wykonania wytworu, co, ściśle rzecz biorąc, jest początkiem i podstawą produkcyi; on także dostarczył środków do urzeczywistnienia tej myśli. Któż więc miałby do tej rzeczy większe prawo jak on? Robotnicy? Oni przecież wykonali tylko otrzymane polecenia, oni byli tylko narzędziami w ręku przedsiębiorcy. A dowodem tego, że codziennie widzimy rozwój jednego przedsiębiorstwa tam, gdzie drugie upada, choć oba rozporządzają równie dobrymi robotnikami. Przemysł podobnym jest do wojny. Któż wygrywa bitwę? Dowodzący. Wprawdzie dobrzy żołnierze przyczyniają się do tego tak, jak dobra broń, lecz są to warunki zwycięztwa, a nie są to przyczyny, zwycięztwo wywołujące; dowodem tego, że te same

wojska, taksamo uzbrojone, pod rozkazami złego dowódzcy zostaną pobite. W przedsiębiorstwie także od dowódzcy wszystko zależy. Przedsiębiorca jest „kapitanem przemysłowym,“ on rozstrzyga o zwycięztwie lub o klęsce. Jeśli mu się uda, on sam zbiera owoce swego zwycięstwa; jeźli przegra, on sam ponosi skutki klęski, straty majątkowe są jego karą.

Socyaliści wyszydzają ten obraz. Przedsiębiorca ten, powiadają, jest pasożytem lub, jeśli kto woli, spekulantem, którego jedynem zadaniem jest kupowanie w celu odsprzedaży. Co kupuje? Pracę robotnika w postaci roboty. Co sprzedaje? Tę samą pracę w postaci towarów. Kupuje ją po niskiej cenie na targu pracy, gdzie robotnicy muszą się zaprzedać, by wyżyć i gdzie podaż jest zawsze wielką.

Sprzedaje ją drogo, bo wyciska z tej pracy to wszystko, co praca dać może, przedłużając jak najbardziej czas trwania dnia roboczego, podniecając robotnika złudną ponętą pracy na akord, wysysając siły kobiet i dzieci z pomocą maszyn, które pozwalają zatrudniać ich słabe ręce. Zapłacić za pracę jak najmniej, wyciągnąć z niej jak najwięcej,—oto cała zagadka zysku przedsiębiorcy, oto, jak powiada Karol Marx, „tajemnica niesprawiedliwości“.

Z tych dwóch portretów, jeden jest bardzo pochlebnym, drugi posępną karykaturą, lecz ani jednemu, ani drugiemu nie brak pewnych cech prawdziwości. Jest pewnem, że w dzisiejszym ustroju ekonomicznym naszych społeczeństw stanowisko przedsiębiorcy przeważa.

Nie zapominajmy, że pierwiastki składowe produkcyi znajdują się w wielu rękach; jedni, tłum proletaryuszów, posiadają tylko siłę fizyczną, a nie mają ani ziemi, ani kapitałów, inni, posiadacze ziemi i kapitałów, nie myślą wcale o oddaniu się pracy ręcznej. Lecz wytworzenie jakiegokolwiek dobra, a przedewszystkiem wytwarzanie w wielkich rozmiarach wymaga koniecznie złączenia tych różnych czynników produkcyi w jeden proces wytwórczy. Któż więc złączy w swem ręku rozproszone pierwiastki i skieruje je ku jednemu celowi? Czyjem zadaniem będzie

przewidywanie potrzeb, utrzymywanie równowagi między produkcyą a konsumcyą, wzkazywanie drogi pracy i kapitałom danego kraju? Jasną jest rzeczą, że temu zadaniu nie podoła proletaryusz, podejmie go więc kapitalista, a również jasną jest rzeczą, że ten, kto przedsiębiorstwo wprowadził w życie, zachowa dla siebie zysk, o ile przedsiębiorstwo zysk przyniesie. Chociaż zadanie przedsiębiorcy w gospodarstwie społecznem jest poniekąd wynikiem nacisku stosunków ekonomicznych, to przecież niemniej jest szkodliwem o tyle, o ile uniemożliwia prawie rozwiązanie kwestyi podziału dóbr, o ile zaostrza walkę między kapitałem a pracą, o ile dzieli społeczeństwo na dwa wrogie obozy. Zaiste nie można bronić robotnikom roszczenia sobie praw do wszystkich dóbr, wytworzonych pracą ich rąk: przedewszystkiem nie można im wzbronić spoglądać z goryczą na pokolenia przedsiębiorców, wzbogacające się jedne po drugich w tej samej fabryce lub w tej samej kopalni, w których i oni i ich ojcowie pracowali, pozostając wiecznie biednymi. Prawda jest, co powiedziano o robotnikach, że byli tylko narzędziami. Lecz w tem właśnie leży nieszczęście naszego ustroju społecznego, że człowiek może być narzędziem dla człowieka [1]).

Czy jest wyjście z tej matni? Dwa tylko wskazać można.

Albo powrócić do systemu, który omawialiśmy w poprzednim rozdziale, do systemu produkcyi odosobnionej.

Wszelka próba jednak byłaby tylko czczem marzeniem; można tylko dążyć do zachowania pozostałości tego systemu.

Albo oprzeć produkcyę na stowarzyszeniach — lecz nie na rozpowszechnionych dzisiaj spółkach akcyjnych, będących kapitalistami, którzy zatrudniają tysiące robotników, towarzystwami, które zjednoczyły w sobie wszystkie złe strony przed-

---

[1]) Pierwszym przepisem moralności, wypowiedzianym przez Kanta, jest:

Pamiętać w każdym wypadku, że powinniśmy uważać osobę naszego bliźniego za cel, a nie za środek.

siębiorstw jednostkowych, a nie posiadają ich stron dobrych[1]). Stowarzyszeniami temi powinny być stowarzyszenia udziałowe pracowników, pracujące na własny rachunek i wprawiające w ruch narzędzia produkcyi, których są właścicielami, coby pozwoliło im zatrzymywać dla siebie cały wytwór swej pracy. Zmiana ta przywróciłaby zwykły bieg rzeczy, to znaczy uczyniłaby kapitał narzędziem pracy, a nie pracę narzędziem kapitału, jak to dziś się dzieje[2]).

[1]) Wielką ich niedogodnością jest ujawnianie rozdziału, istniejącego między kapitałem a pracą przez utworzenie w tem samem przedsiębiorstwie dwóch odrębnych warstw: z jednej strony robotników, pracujących w przedsiębiorstwie, z którego nie ciągną zysków; z drugiej strony akcyonaryuszów, pobierających zyski z przedsiębiorstwa, w którem nie pracują i którego często nie znają. Ponieważ właścicielem i kierownikiem przedsiębiorstwa jest towarzystwo, osoba prawnicza i niewidzialna, przeto ta własność i ta władza traci wiele uroku w oczach robotników. Wreszcie, nawet ze stanowiska produkcyi, przedsiębiorstwa zbiorowe przedstawiają w pewnej mierze niedogodności, właściwe wielkim administracyom publicznym, któreby przedstawiał w razie swego urzeczywistnienia system produkcyi zbiorowej, to jest brak inicyatywy osobistej, biurokratyzm, pewne trwonienie pracy i kapitału.

[2]) Szkoła kolektywistyczna znalazła inne dobrze, nam już znane, wyjście; jest nim usunięcie wszystkich kapitalistów i przedsiębiorców, przez zniesienie własności prywatnej na kapitałach i narzędziach produkcyi, a nadanie jej społeczeństwu. Społeczeństwo będzie odtąd jedynym przedsiębiorcą; ponieważ nie będzie szukało zysków lub, co na jedno wyjdzie, przeleje zyski, jako dochody publiczne do wspólnego skarbca, lud tedy będzie odtąd uwolnionym od ogromnego okupu, pobieranego corocznie przez przedsiębiorców i kapitalistów w postaci zysków, procentów, dywidend, czynszów. Okup ten wynosi rocznie najmniej 8 do 10 miliardów we Fracyi. Tę oszczędność wartoby zrobić, *jeśliby można udowodnić, że ci kapitaliści i przedsiębiorcy nie oddają żadnych usług i że są pasożytami.* Lecz jeśli przeciwnie, wypływa to jasno z naszych poprzednich wywodów, przedsiębiorcy ci zajmują stanowisko bardzo ważne, na którem trudno ich zastąpić, — jeśli zagarnięcie przez państwo całego rolnictwa, przemysłu i handlu pociągnie za sobą zmniejszenie może do połowy produkcyi dóbr, wówczas okaże się, że rachunek był mylnym, i że oszczędność kosztuje za wiele.

Zobaczymy jednak później, gdy zajmiemy się stowarzyszeniami udziałowemi, jak trudno zapewnić im powodzenie, a główna przeszkoda polega na zastąpieniu przedsiębiorcy.

II.

Prawa rządzące zyskiem.

Jeśli zgodzimy się na zadanie społeczne przedsiębiorcy, musimy równocześnie uznać zysk za uprawniony. Chodzi tylko o wyznaczenie praw, którym zysk podlega. Produkcya każdego dobra wymaga, jak już o tem wiemy, zużycia pewnej ilości innych dóbr w postaci materyałów, narzędzi i płac (tj. dóbr, zapasów potrzebnych do wyżywienia robotnika). Jeśli zadanie dobrze spełniono, wartość dóbr wytworzonych przewyższa wartość dóbr zużytych; a jeśli przeciwnie zadanie źle rozwiązano, wartość dóbr wytworzonych nie dorówna wartości dóbr zużytych. Jest to zadanie bardzo trudne, które wymaga bardzo dokładnego ocenienia potrzeb konsumcyi i zawiłych, często zawodzących kombinacyj. Zadanie to spada na barki przedsiębiorcy; jeśli je dobrze rozwiąże, otrzyma jako wynagrodzenie różnicę między wartością wytworzoną, a wartością zużytą, jeśli przeciwnie, źle je przeprowadzi, zapłaci różnicę między wartością wytworzoną, a wartością zużytą, — poniesie straty.

Wartość dóbr zużytych w procesie wytwórczym stanowi to, co przedsiębiorca nazywa *kosztami produkcyi*; nadwyżka wartości wytworzonej w porównaniu z wartością zużytą tworzy to, co nazywa *przychodem czystym* lub *zyskiem*.

Nie ma żadnego prawa, któreby określało granicę zysku. Jeśli przedsiębiorca jest w stanie wytworzyć wartość znaczną, wydając mało, wówczas zysk jego może być wielkim, a będzie to również korzystnem dla społeczeństwa, albowiem ta różnica wartości dowodzi, że poświęcono rzeczy stosunkowo nieużyteczne, dla wytworzenia rzeczy stosunkowo bar-

dzo użytecznej lub co najmniej zaspokajającej piekącą potrzebę [1]).

Wiemy jednak, że pod wpływem wolnej konkurencyi wartość rzeczy dąży ciągle do zrównania się z kosztami produkcyi. Zjawisko to tłumaczyliśmy już niejednokrotnie. Jeśli tedy wolność przemysłu nie jest ograniczoną, jeśli wytwórca nie jest w położeniu uprzywilejowanem, czyto skutkiem monopolu prawnego, patentu wynalazcy lub ceł przywozowych, wyjątkiem lub chwilowym objawem będzie przedsiębiorca, pobierający wysokie zyski.

Zachodzi tylko pytanie, gdzie jest granica zniżki zysku, wywołanej wolną konkurencyą? Rozumie się samo przez się, nie można przypuszczać, że wolna konkurencya może zysk zrównać z zerem, zniżając cenę wytworów do poziomu kosztów produkcyi, albowiem w tym razie przedsiębiorca nic nie zyskując, przestałby wytwarzać. Zawsze istnieć musi między kosztami produkcyi a ceną, uzyskaną przy sprzedaży, pewna nadwyżka, która przedstawia minimum zysku. Chodzi teraz o oznaczenie tego minimum. Składają się nań 3 czynniki.

---

[1]) Nie należy ztąd wnosić, że interes przedsiębiorcy i interes społeczeństwa pokrywają się nawzajem. Dla społeczeństwa miernikiem kosztów produkcyi jest ilość dóbr zużytych, materyałów i ilość zużytej pracy. Dla przedsiębiorcy miernikiem kosztów produkcyi są pieniądze, które musi wypłacić robotnikom w postaci płac i kapitalistom w postaci procentu; otóż ponieważ tu chodzi nie o zniszczenie, lecz po prostu o przeniesienie dóbr, ponieważ wydatek przedsiębiorcy jest dochodem innych warstw społecznych, przeto mało zależy społeczeństwu na tem, czy koszta te są wielkie, czy małe. Weźmy jako przykład grunt, z którego roczny zbiór przedstawia wartość 50000 franków. Właściciel powiada: „Z tego odciągnąć muszę 40000 franków na zapłatę robotnika, a więc dochód mój jest małym, wynosi tylko 10.000 franków“. To prawda, ale społeczeństwo musi do swych dochodów doliczyć 40.000 franków, wypłaconych robotnikom. Dlatego to twierdzą czasami, że ze stanowiska społeczeństwa *przychód czysty nie różni się od przychodu brutto*; jestto twierdzenie niezupełnie prawdziwe.

1. *Procent i amortyzacya* kapitału włożonego w przedsiębiorstwo, obliczona według zwykłej stopy procentowej w kraju. W każdem społeczeństwie, w którem istnieje targ kapitałów, to znaczy istnieją pobierający procent od swych kapitałów bez żadnej pracy, nikt z pewnością nie zechce włożyć pieniędzy w przemysł lub w handel, jeśli niema tego silnego przekonania, że uzyska w ten sposob conajmniej tyle, ile mu przynoszą jego kapitały, spoczywające w kasie.

2. *Premia asekuracyjna* za ryzyko, które w całości ponosi przedsiębiorca. Nie chodzi tu o powiększenie zysku, lecz o uniknięcie strat.

Jeśli w danej gałęzi przemysłu, na dziesięć przedsiębiorstw jedno przeciętnie upada, trzeba premii wystarczającej do zrównoważenia możliwych strat, albowiem jeśliby widoki zysku nie równoważyły widoków strat, nikt nie byłby tak nieroztropnym, żeby zająć się tego rodzaju przedsiębiorstwem.

To nie wszystko. Przypuśćmy, że przedsiębiorstwo należy do udałych. W razie powodzenia, na dziesięć lat szczęśliwych przypadnie jeden rok niepomyślny. Dajmy na to, że ten rok niepomyślny uszczupli kapitał przedsiębiorcy o połowę; trzeba koniecznie, by poprzednie lata zapewniły mu nadwyżkę, wystarczającą do pokrycia tej straty.

Widzimy z tego, że ryzyko jest wielkie, to też premia asekuracyjna powinna być dość znaczną.

3. *Wynagrodzenie za pracę przedsiębiorcy*, pracę różnorodną, obejmującą jednocześnie kierunek, inicyatywę i nadzór. Oczywiście wynagrodzenia za taką pracę nie można dokładnie oznaczyć, zależy ono od obyczajów, nawyknień i od stopnia ogólnego dobrobytu. Można jednak dać pewne wskazówki w tej mierze — wynagrodzenie powinno być równe płacy, którąby przedsiębiorca wyznaczyć musiał inżynierowi lub zarządcy, zdolnemu zastąpić go w kierownictwie. Są nawet przedsiębiorcy, którzy mają zwyczaj wstawiać do swych rachunków pewną kwotę, jako wynagrodzenie dla siebie. W istocie, jeśliby przedsiębiorstwo nie wynagradzało dosta-

cznie jego pracy, przemysłowiec wybrałby oczywiście inny zawód, w którymby potrafił lepiej zużytkować swe zdolności.

Oto są pierwiastki, które rozpoznać można w zysku, przyjąwszy za założenie, możliwe tylko w teoryi, istnienie zupełnie wolnej konkurencyi. Rozumie się samo przez się, że w codziennem życiu wysokość zysku będzie zmienną; najczęściej wzniesie się powyżej, choć czasami spadnie i poniżej tej granicy.

Zazwyczaj jednak mamy przesadne wyobrażenia o wysokości zysku. W każdem przedsiębiorstwie zysk skupionym jest w jednym ręku, a płaca rozdzieloną między setki i tysiące uczestników — zestawienie to wywołuje złudzenia co do wzajemnego stosunku tych kwot. Jeśliby po usunięciu przedsiębiorcy rozdzielono zysk pomiędzy wszystkich robotników zatrudnionych w fabryce, często powiększyłoby to tylko w nieznacznym stosunku część, przypadającą każdemu z nich [1]).

Trzeba zaznaczyć, że każdy z tych pierwiastków jest zmiennym i że każdy z nich — zdaniem powszechnie głoszonej nauki — ulega stopniowej zniżce, a z tego wnioskują bezsprzecznie bardzo logicznie, że i wysokość zysku ulega zniżce.

Stopa procentowa zmniejsza się, powiadają, w miarę, jak zmniejszają się kapitały; premia asekuracyjna przeciw stratom zniża się w miarę, jak straty stają się coraz rzadsze, wreszcie i wynagrodzenie za kierunek maleje w miarę, jak dzięki rozwojowi wychowania publicznego praca kierownika staje się coraz to bardziej dostępną każdemu. Są to twierdzenia bardzo wątpliwe. Zapoznamy się z niemi bliżej omawiając zniżkę stopy procentowej.

---

[1]) Przytoczymy przykład. W r. 1881 zarządy kopalń węgla w departamencie Nord, rozdzieliły 20, 529, 406 franków jako płace, a 2,761, 914 franków jako zysk (dywidenda). Zysk więc równał się 13% płac, znaczy to, że gdybyśmy, jak to żądają socyaliści, usunęli akcyonaryuszów i rozdzielili ich dywidendę między robotników, zarobek dzienny każdego z robotników podniósłby się tylko z 4 franków przeciętnie na 4·54 fr.

III.

Czy wysokość zysku pozostaje w stosunku odwrotnym do wysokości płac?

Ricardo powiedział, że wysokość zysku pozostaje w stosunku odwrotnym do wysokości płac. Twierdzenie to oburzało bardzo ekonomistów ze szkoły optymistycznej, ponieważ przyznaje istnienie trwałej i koniecznej sprzeczności między interesami przedsiębiorcy, a interesami robotników. A przecież prawdziwość tego zdania bije w oczy, pod tym jednym warunkiem, który dodać trzeba przy wygłaszaniu każdego twierdzenia naukowego: *nie zmieniając założenia.*

Jest jasnem, że, jeśli przedsiębiorstwo wytwarza więcej, nie wyklucza to równoczesnego zwiększenia się wysokości płacy i zysku. Oto sztuka sukna, sprzedawana po 2 fr. Przypuśćmy, że z tego 1 fr. dostaje się przedsiębiorcy, a 1 fr. robotnikowi. Jeżli fabryka potrafi z pomocą tej samej ilości robotników i z tym samym kapitałem przez udoskonalenie techniki i przez pracę rozumniejszą wytworzyć 4 sztuki sukna za 8 fr, jest jasnem, że udział przedsiębiorcy i udział robotnika, zysk i płaca, może zwiększyć się w czwórnasób, to jest podnieść się równocześnie o 4 fr. Wprawdzie nierozumnem jest przypuszczenie, że jakakolwiek fabryka może zwiększyć w czwórnasób swą produkcyę, nie zmieniając swych dawnych cen. Lecz nawet przypuściwszy, że cena każdej sztuki sukna spadnie do połowy, to jest do 1 fr., wartość ogólna czterech sztuk wyniesie zawsze jeszcze dwa razy tyle, co wartość dawniejsza t. j. 4 fr.; umożliwi to w każdym razie równoczesne zdwojenie zysku i płacy.

To nam tłómaczy ciekawe zjawisko, że w świeżo odkrytych krajach, w Stanach Zjednoczonych i w Australii, widzimy płace bardzo wysokie 10, 12 i 15 fr. dziennie, a obok tego zyski, wynoszące 15, 20 a nawet czasami 100% kapitału włożonego. Siła wytwórcza tych społeczeństw, łączących zdobycze najwyżej rozwiniętej cywilizacyi i środki

produkcyi, dostarczane przez dziewiczą jeszcze ziemię, jest niezmiernie wielką i przychód brutto każdego procesu wytwórczego jest o wiele wyższym, niż u nas, wobec tego też udział każdego z uczestników może być znaczniejszym [1]).

ROZDZIAŁ III.

Zarobkujący.

I.

Umowa o płacę.

Robotnik i przedsiębiorca — to dwie osobistości, których los jest bardzo różnym, a których przeznaczenie złączyło nierozerwalnie: nie kochają się, a nie mogą się rozejść. Niepodobna wytworzyć czegokolwiek temu, kto nic nie ma prócz swych rąk, nieuzbrojonych narzędziem produkcyi, a w dzisiejszym ustroju społecznym jedynie właściciel lub

---

[1]) Godnem uwagi jest, że te wielkie zyski i wielkie płace nie przeszkadzają wcale przemysłowi tych krajów wytwarzać po niższych cenach, niż w innych krajach, gdzie przecież płace i zyski są mniejsze, nawet niż w Indyach naprzykład, gdzie robota prawie nic nie kosztuje.

Ten trochę na parodoks zakrawający wynik łatwo wytłomaczyć: zwiększenie płacy równoważy się większą zdolnością wytwórczą pracujących. Praca Anglika, któremu płaci się 10 fr. dziennie, może być tańszą od płacy robotnika indyjskiego, pobierającego pół franka dziennie; potrzeba tylko, żeby jeden wyrabiał 30 lub 40 metrów materyi bawełny dziennie, podczas gdy drugi w tym samym czasie zrobi metr.

Często przez zwolenników ceł ochronnych powtarzane zdanie, że wolna wymiana przez konkurencyę, którą wywołuje między wszystkiemi krajami, zniża płacę, dając wyższość krajowi najmniej płacącemu swym robotnikom, jest bezpodstawne i niezgodne z rzeczywistością. Konkurencya międzynarodowa zapewnia wyższość nie temu krajowi, który najmniej wydaje na płace, lecz krajowi mającemu największą siłę wytwórczą.

kapitalista dostarczyć mu może narzędzia produkcyi. Również kapitalista lub właściciel, jeśli jego narzędzie produkcyi jest trochę znaczniejszem, nie może wyzyskać go bez zatrudnienia innych ludzi.

Przeznaczenie tedy złączyło pracę i kapitał, wobec tego oczywiście najlepiejby było, gdyby te dwa czynniki zawarły spółkę. Robotnik powiedziałby: „Ja dostarczam pracy, ty kapitału — podzielmy się.“ I tylko na tej drodze znajdziemy rozwiązanie kwestyi socyalnej. Lecz najprostsze rozwiązania często najtrudniej zastosować; i to rozwiązanie, choć jego urzeczywistnienie nie jest niemożliwem, jak to twierdzi kilku ekonomistów, spełnienia swego nie jest bliskiem.

Podstawą stowarzyszenia jest pewna równość stanowiska stowarzyszonych i pewna wspólność celu, a tego chyba nie można powiedzieć o ubogim i bogatym, o proletaryuszu i o kapitaliście. Jeden chce zrobić majątek, drugi walczy o środki do utrzymania życia; jeden upatruje zyski dla siebie w dalekiej lub bliskiej przyszłości, drugi pracuje na chleb codzienny; jednego zasadą jest: kto niczego nie ryzykuje, nic nie ma, drugi nie ryzykuje, bo nic nie ma do stracenia.

Oto dlaczego system spółki między przedsiębiorcą a robotnikiem nie mógł zwyciężyć i ustąpić musiał systemowi płacy. System płacy polega na *umowie wypowiedzialnej, mocą której robotnik zrzeka się wszelkiego prawa do wytworu swej pracy, w zamian za kwotę pieniężną*, płatną tygodniowo lub miesięcznie.

Umowa ta daje podwójną korzyść; przedsiębiorcy zapewnia zupełną własność wytworu wraz z kierunkiem i odpowiedzialnością za przedsiębiorstwo, — robotnikowi zapewnia stały, bezpośredni dochód, niezależny od dobrego lub złego stanu przedsiębiorstwa.

Umowa taka sama przez się nie jest niesprawiedliwą, a na dowód posłużyć może, że i inne warstwy, biorące udział w produkcyi używają tej umowy. Naprzykład kapitalista, umawiając się z przedsiębiorcą, woli zazwyczaj formę umowy, zwaną „pożyczką na procent,“ niż formę umowy, zwaną spółką handlową. Również właściciel, układając się z przed-

siębiorcą, zwanym dzierżawcą, woli formę umowy, zwaną dzierżawą, niż formą umowy, zwaną spółką rolniczą *(métayage)*. I jedni i drudzy zrzekają się chętnie wszelkiego prawa do wytworu w zamian za stałe roczne wynagrodzenie. Jeśli umowa taka ma być sprawiedliwą, powinny strony umawiające się zajmować równe stanowisko. Warunkowi temu czynią zadosyć przykłady, które przytoczyliśmy; kapitalista i właściciel ziemski nietylko stoją na równi z pożyczającym i dzierżawcą, lecz nawet znajdują się w położeniu korzystniejszem i z pewnością nie pozwolą odebrać sobie swego ewentualnego prawa do wytworu bez odpowiedniego wynagrodzenia. Najczęściej szala przechyla się na ich stronę, znać to na warunkach umowy. Inaczej dzieje się, gdy chodzi o umowę co do płacy, tutaj szala przechyla się na stronę przeciwną; przedsiębiorca może dyktować warunki robotnikowi, a wówczas robotnika czeka los Ezawa, który, by nie umrzeć z głodu, sprzedał swe prawo starszeństwa za misę soczewicy.

Nadto nie stając już na stanowisku sprawiedliwości, lecz pożytku społecznego, trzeba zwrócić uwagę na jednę wielką wadliwość umowy o płacę: od chwili, gdy robotnik nie ma udziału w wytworze swej pracy, nic mu na tem nie zależy, żeby wytwarzać wiele, przeciwnie ma wszelki powód do dostarczania jak najmniejszej ilości pracy w zamian za wynagrodzenie, otrzymane od przedsiębiorcy. Tylko poczucie obowiązku lub uczucie obawy — i to nie przed batem, jak niewolnika, lecz obawy utraty miejsca i zarobku, — może skłonić go do innego postępowania; z tych dwóch czynników pierwszy nigdy nie rozciągnie swego wpływu po za grono wybranych, słabnie zresztą w miarę, jak zwiększa się przepaść między przedsiębiorcą a robotnikiem, a drugi, jest to zaszczytnem dla ludzi, nigdy jeszcze nie wymógł na człowieku czegoś dobrego.

Wreszcie stan ten podtrzymuje nieuniknioną sprzeczność interesów pomiędzy przedsiębiorcą a robotnikiem; strejki, nieszczęśliwy wynik systemu płacy, również nie dodają uroku tym stosunkom.

Że umowa o płacę w pewnych szczególnych wypadkach ma swe dobre strony, nikt temu nie przeczy, lecz byłoby przeciwnem naturalnemu porządkowi rzeczy, gdyby podstawą naszego społecznego życia była zawsze ta forma umowy, która wyklucza tłum robotników bez względu na ich wolę od wszelkiego udziału w wytworze ich pracy i pozbawia ich wszelkiego interesu w produkcyi. Nie należy tedy uważać tego porządku rzeczy za ostateczny [1]).

II.

Prawa rządzące płacą.

Czy istnieją prawa naturalne, od których zależy wysokość płacy? Na pozór zdawaćby się mogło, że szukanie za niemi to daremny trud, ponieważ wysokość płacy różną jest w każdym zawodzie i w każdem miejscu, zależy zresztą w każdym poszczególnym przypadku od wolnej umowy między przedsiębiorcą a robotnikiem.

To samo jednak możnaby powiedzieć o cenie rzeczy, że zmienną jest stosownie do istoty towaru, do czasu lub miejsca; możnaby również powiedzieć, że wynika z wolnej umowy między sprzedającym a kupującym, a to wszystko nie przeszkadza przecież wyszukiwaniu praw, od których zależną jest cena. Nie ma w tem sprzeczności. Cena i płaca wypływają z ugody pomiędzy ludźmi, lecz ugody powstały pod wpływem pewnych ogólnych przyczyn, o których odkrycie chodzi. Wierzyć w istnienie praw przyrodzonych w nauce gospodarstwa społecznego, znaczy to wierzyć, że ludzie, zawierając umowy, kierują się pewnemi czynnikami psychologicznemi lub okolicznościami zewnętrznemi, które mają

---

[1]) Zwracamy uwagę czytelnika, że szkoła klasyczna nie zgadza się z tym wnioskiem, przeciwnie, zdaniem jej, system płacy jest nie tylko uprawniony i korzystny, lecz jest ostateczną formą stosunku robotnika do kapitalisty.

ogólne znaczenie i które można wydzielić z wielkiej ilości poszczególnych wypadków. Badać prawa, od których zależy wysokość zarobku, znaczy to badać przyczyny ogólne, wpływające na wzrost płacy w ubiegłem piędziesięcioleciu, na to, że płace w Stanach Zjednoczonych są wyższe jak w Europie, znaczy to zadawać sobie pytanie, czy system płacy dąży do zwyżki, czy do zniżki [1]).

Ponieważ w dzisiejszym ustroju społecznym praca jest tylko towarem, który jako robotę kupuje i sprzedaje się na targu, (a raczej *wynajmuje się* — rozróżnienie bardzo ważne ze stanowiska prawniczego), tak, jak każdy inny towar, przeto cena roboty zależy również od tych samych praw, które ustalają cenę każdego innego towaru, praw, które poznaliśmy mówiąc o wartości, i które podciągnąć można pod prawo podaży i popytu. Przypominamy, że według tego prawa, wartość rzeczy zależną jest od dwóch czynników, od użyteczności i ilości. To samo tyczy się roboty; cena jej zależeć więc musi zarazem od jej użyteczności, i od jej ilości: od jej użyteczności, to jest od siły wytwórczej w danym kraju i w danej chwili i od tego, czy współudział roboty jest potrzebnym; — od jej ilości, to jest od liczby robotników, żyjących z pracy swych rąk i sprzedających tę pracę na targu.

---

[1]) Możnaby badać kwestyę tę ze stanowiska czysto teoretycznego, to znaczy, jaką *powinna* być wysokość zarobku w stosunkach idealnych; innemi słowy, przypuściwszy, że kapitał i praca współdziałają w każdem przedsiębiorstwie, możnaby oznaczyć część należną każdemu z nich. Oto Paweł dostarczający Piotrowi łodzi i wędek. Piotr przynosi po pewnym czasie 10 koszów ryb. Ile z tego przypadnie na Pawła? (kapitał). Ile na Piotra? (pracę). Tak postawioną kwestyę uważamy za nierozwiązalną. Wielu jednak ekonomistów próbowało swych sił na tem polu. Ekonomista niemiecki Thünen, w dobrej zresztą książce o *Płacy naturalnej*, starał się udowodnić matematycznie, że płaca naturalna jest średnią geometryczną z dwóch czynników: jednego, który jest wartością, zużytą na utrzymanie robotnika, drugiego, który jest wartością, wytworzoną przez jego pracę: $S = \sqrt{ap}$.

Ekonomiści tak, jak szukali praw wartości, tak też pracowali nad stworzeniem „prawa płacy,“ chcąc je wyprowadzić z jednej jedynej przyczyny — mojem zdaniem w obu wypadkach pracowali z równie niepomyślnym skutkiem. Rozróżniamy tutaj trzy wielkie, równie sławne teorye, którym podporządkować można mniej lub więcej wszystkie inne. Po kolei zapoznamy się z niemi, a najpierw przeciwstawimy tak, jak uczyniliśmy mówiąc o zysku, teorye szkoły socyalistycznej i liberalnej.

§ 1. Teorya prawa spiżowego.

Szkoła socyalistyczna uważa, że w dzisiejszym ustroju ekonomicznym płaca nie może podnieść się ponad omówioną już przez nas najniższą stopę zarobku. Ta najniższa stopa jest zarazem najwyższą, a oto ich rozumowanie:

Praca, zdaniem szkoły socyalistycznej, czyli siła robocza *(Arbeitskraft)* jest w dzisiejszym ustroju społecznym tylko towarem, który sprzedaje i kupuje się na targu, według tych samych praw, jak każdy inny towar. Robotnicy sprzedają, a przedsiębiorcy kupują. Otóż prawem wspólnem dla wszystkich towarów jest, że wartość ich tam przynajmniej, gdzie wolna konkurencya nie jest ograniczoną, stosuje się do kosztów produkcyi. Ekonomiści nazywają to *ceną naturalną* lub *wartością normalną*. To samo musi się tyczyć także towaru, zwanego pracą. I dla niej miernikiem ceny, czyli płacy, są koszta produkcyi [1]).

Musimy jeszcze dowiedzieć się, co należy rozumieć przez koszta produkcyi w odniesieniu do robotnika.

Weźmy za przykład maszynę. Kosztami produkcyi są: 1) Wartość zużytego węgla; 2) Premia, którą trzeba rok

[1]) „Miernikiem ceny jakiegokolwiek towaru, a więc i pracy jest stosunek podaży do popytu. Od czegóż jednak zależy cena każdego towaru lub stosunek podaży i popytu za tym towarem? Od kosztów, potrzebnych do jego wytworzenia.“ Lassalle: *Bastiat Schulze-Delitsch*, rozdział IV.

rocznie odkładać na amortyzacyę, to jest na zastąpienie starej, niezdatnej już do użytku maszyny, nową.

A kosztami produkcyi pracy są: 1) wartość środków, potrzebnych do utrzymania życia i zdrowia robotnika, zdolnego do pracy; 2) premia amortyzacyjna, potrzebna do zastąpienia robotnika, niezdolnego już do pracy, czyli koszta wychowania dziecka na młodzieńca.

Słowem, płaca musi ograniczyć się do wartości, niezbędnie potrzebnej dla wyżywienia robotnika i jego rodziny, czyli, uogólniając ten pogląd, do wartości, wystarczającej dla utrzymania i wychowania ludności robotniczej.

Oto teorya, zwana powszechnie *prawem spiżowem*. To dźwięczne miano, wynalezione przez Lassalla, zdobyło sobie rozgłos i powtarzane bywa w proklamacyach stronnictwa robotniczego, jakby zwrotka Marsylianki socyalistycznej [1]).

Miano to jest dobre — oczywiście, o ile teorya jest prawdziwą, albowiem nakłada ona na warstwy robotnicze straszne jarzmo i przedstawia położenie ich w świetle rozpaczliwem.

Gdzież znajdzie pomoc robotnik, dążący do poprawy swego losu? Czy może mieć nadzieję zwiększenia zarobku zapomocą lepszej i większej pracy? Bynajmniej: wobec tego, że płaca jego jest niezależną od stopnia wytwórczości jego pracy, zwiększenie tejże pracy byłoby zyskiem przedsiębiorcy, który go kupił i który wyłącznie z niego korzysta. Niech się więc strzeże wpaść w zastawione na niego sidła, niech na przykład nie przyjmuje pracy na akord lub współudziału w dochodach! Jeśli da się skusić tym ponętom, wynalezionym w celu wyciśnienia z robotnika jak największej pracy, przysporzy tylko zysków przedsiębiorcy, bez korzyści dla siebie?

---

[1]) Szkoła kolektywistyczna rozsławiła tę, przez siebie ochrzczoną teoryę, ale wynalazła ją szkoła klasyczna. Pierwszy Turgot oświadczył, „że w każdej gałęzi pracy płaca robotnika spaść powinna do tego, co jest koniecznem do utrzymania życia“. J. B. Say i Ricardo użyli prawie tych samych słów na określenie tego prawa, a wyrzutów nie szczędzono im za to.

Czyż może przynajmniej spodziewać się polepszenia swego stanowiska przez ograniczenie się w wydatkach i przez oszczędne życie? Niech o tem nie myśli, bo pogorszyłoby to tylko jego położenie. Z dniem, w którym robotnik potrafi zmniejszyć środki, potrzebne do utrzymania jego życia, zmniejszy się i płaca, albowiem wysokość płacy spada zawsze do poziomu środków, koniecznych do wyżywienia. Jeśliby robotnik był na tyle nierozumnym i nauczył się żyć ziemniakami, jak Irlandczyk, lub garścią ryżu, jak Chińczyk, płaca jego zrównałaby się wnet z kwotą, potrzebną do zakupna kilku worków ziemniaków, lub kilku ćwiartek ryżu. Jego powściągliwość i jego oszczędność wyszłaby na jego niekorzyść i stałby się ofiarą cnót, które mu głoszono z kazalnicy.

Czy może pokładać swe nadzieje w rozwoju produkcyi i w zwiększeniu się zamożności? To najgorsze ze wszystkiego. Jeśli w istocie, dzięki wydoskonaleniu maszyn, dzięki odkryciom naukowym doprowadzonoby do zniżki w wartości wszystkich środków, potrzebnych do utrzymania życia, płaca według prawa spiżowego zmniejszyłaby się w tym samym stopniu. Postęp będzie tak wielkim, że godzina pracy — przypuśćmy — wystarczy do wytworzenia środków, potrzebnych do wyżywienia przez dzień jednego człowieka; robotnik mimo tego będzie pracował dwanaście godzin dziennie, w ciągu jednej godziny wytworzy wartość, wystarczającą do wynagrodzenia go, a pozostałych jedenaście godzin będzie pracował na wyłączną korzyść przedsiębiorcy.

Teorya ta, oddziaływująca bardzo silnie na wyobraźnię, jest właściwie tylko grą słów.

Jeśli zechcemy tłumaczyć ją dosłownie, rozumiejąc ją w ten sposób, że płaca robotnika nie może nigdy wznieść się ponad to, co mu jest do życia niezbędnie potrzebne, rzeczywistość zadała kłam prawu spiżowemu. Potrzeby czysto materyalne, potrzeby życia zwierzęcego, są dla człowieka niewielkie: chłop irlandzki, a nawet francuski w okolicach odległych od miasta, żyją prawie z niczego. Jeśliby więc ta najmniejsza ilość środków, koniecznych do utrzymania życia, była zwykłą wysokością płacy, płace byłyby z pewnością

o wiele niższe od tych, które widzimy wszędzie. Nadto teorya ta w dosłownem znaczeniu nie wystarczy do wytłumaczenia:

Dlaczego wysokość płacy nie jest jednaką we wszystkich zawodach, albowiem nie można znaleść powodu, dla któregoby rytownik lub mechanik musiał zużywać więcej gramów azotu lub węgla, jak inny rękodzielnik;

Dlaczego płace robotników wiejskich są mniejsze w zimie, choć wówczas właśnie wydają więcej na opał i jedzenie, a większe w lecie, w porze roku, w której najłatwiej wyżyć biednym ludziom;

Dlaczego płace są wyższe we Francyi, niż w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych, niż w Anglii, albowiem niepodobna zrozumieć, z jakiego powodu Francuz musi jeść więcej, niż Niemiec, Amerykanin, niż Anglik.

Dlaczego płace dzisiejsze są bezsprzecznie większe, jak przed stu laty?

Czy może jemy więcej, jak nasi ojcowie? Zaniechajmy więc dosłownego tłumaczenia. Oświadczą nam może, że nie chodzi jedynie o tę najniższą stopę zarobku, która jest konieczną do utrzymania życia i która jest równie niezmienna, jak niezmiennym jest organizm człowieka, lecz o tę najniższą stopę, która jest konieczną do zadosyćuczynienia różnorodnym potrzebom człowieka, żyjącego w otoczeniu cywilizowanem, o stopę, zmienną stosownie do zmian cywilizacyjnych otoczenia. W tem szerokiem znaczeniu teorya prawa spiżowego staje się prawdopodobniejszą, zarazem jednak trzeba to przyznać, bardziej ludzką, a nawet możnaby powiedzieć, zanadto uspokajającą. Jeśli po prostu teorya ta ma znaczyć, że płaca robotników stosuje się do zwyczajów i sposobu życia warstwy robotniczej, do ogółu potrzeb cielesnych lub społecznych, wrodzonych lub sztucznych, znamionujących otoczenie, w którem żyć jest przeznaczeniem robotnika, jeśli zgodzimy się na to, że ta najniższa płaca nie jest „spiżową“, lecz giętką, ruchomą, zmienną, stosownie do klimatu, czasu, narodowości, że dąży do ciągłego wzrostu w miarę, jak zwiększają się potrzeby, pragnienia, wymagania ludzi cywilizowanych, — w tym razie nie przeczymy jej

i pragniemy gorąco, by teorya ta była wyrazem prawdy, ponieważ nie należałoby już nazywać jej prawem spiżowem, lecz, jak powiedziano, złotem prawem płacy, niestety, otwarcie mówiąc nie śmiemy się tego spodziewać.

Kończąc, zaznaczamy, że nie zgodziwszy się z teoryą, która wartość rzeczy czyni zawisłą od kosztów ich produkcyi, nie możemy bez popadnięcia w sprzeczność przyjąć tej samej teoryi odnośnie do pracy.

§. 2. Teorya wytwórczości pracy.

Szkoła optymistyczna broni wprost przeciwnego twierdzenia, zdaniem jej płaca stosuje się do wytwórczości pracy robotnika[1]). Nie twierdzi wprawdzie, że płaca jest tak wielką, jak całkowita wartość, wytworzona przez pracę robotnika — byłoby to niemożliwem, w tym razie bowiem przedsiębiorca nie zyskiwałby nic, traciłby nawet i zaprzestałby prowadzenia przedsiębiorstwa[2]), lecz twierdzi, że robotnik pobiera w postaci płacy to wszystko, co pozostaje z całkowitego wytworu po odciągnięciu części, przypadających innym współpraco-

[1]) Teorya ta powstała niedawno. Amerykanin Fr. Walker pierwszy wyłożył ją w swej książce: *The Wages Question*. Zgodził się na nią ekonomista angielski Stanley Jevons. Pp. Beauregard, Chevallier i Villey przyznali się także do niej w trzech równocześnie ogłoszonych i przez akademię nagrodzonych pracach.

[2]) Robotnicy ciągle dopominają się o *całkowity wytwór swej pracy*. Jestto zdanie powtarzane we wszystkich programach stronnictwa. Żądanie to byłoby uzasadnionem, gdyby robotnik dostarczał wszystkich składników produkcyi tj. nietylko pracy, lecz także surowców i narzędzi tak, jak wytwórca samoistny; nie na tych jednak warunkach opiera się umowa o płacę. Na zgromadzeniu publicznem odezwał się pewien robotnik w następujący sposób: „Ten, kto zgotował rosół, powinien go zjeść“. Dobrze, ale czy to robotnik ugotował rosół? Nie, przedsiębiorca dostarczył garnka (narzędzie), mięsa (surowiec) i opału. A więc zapatrywanie robotników, chcących dla siebie wyłącznie zagarnąć rosół, względnie całkowity wytwór pracy, jest zupełnie nieuzasadnionem w dzisiejszym ustroju ekonomicznym.

wnikom, po odciągnięciu naprzykład procentu od kapitału, boć przecie robotnik kapitału nie dostarcza, i premii asekuracyjnej przeciw możliwym stratom, boć ich przecie nie ponosi.

Szkoła optymistyczna tak dowodzi swego twierdzenia: Wartość pracy nie może na równi z wartością jakiegokolwiek towaru podlegać wyłącznie prawu popytu i podaży pod wpływem wolnej konkurencyi. Czy robotnik jest narzędziem produkcyi? Zgoda, lecz właśnie wartość narzędzia produkcyi zależy od wytwórczości tegoż narzędzia. Gdy przedsiębiorca wydzierżawia grunt, czyż wysokość czynszu nie jest obliczoną według wytwórczości tej ziemi; a dlaczegożby, gdy wynajmuje pracę, wysokość pracy nie stosowała się do wytwórczości pracy? Gdyby teorya ta była prawdziwą, byłaby o tyle zachęcającą, o ile poprzednia była przerażającą. Jeśli w istocie wysokość płacy zależy od wydajności pracy robotnika, przyszłość jego od niego zależy. Im więcej będzie wytwarzał, tem więcej zyska: wszystko to, co zwiększa i wydoskonala jego działalność wytwórczą, rozwój ciała, cnoty ducha, wykształcenie zawodowe, wynalazki i maszyny, musi koniecznie zwiększać jego płacę.

Według tej teoryi, umowa o płacę byłaby korzystniejszą pod względem wyników, jak spółka lub współudział w dochodach! Albowiem *tylko* robotnik korzystałby z całego wzrostu wydajności pracy. Inni współpracownicy pobieraliby dochód stały i zmniejszający się raczej, niż wzrastający [1]).

Niestety wystarczy wyliczyć te następstwa, by udowodnić, jak dalece teorya ta przeciwną jest rzeczywistości. Przyznaliśmy już, że wytwórczość pracy wywiera wpływ na wysokość płacy, albowiem, zwiększając ogólne bogactwo w kraju, pomnaża ilość dóbr, przeznaczoną do podziału i zwiększa w końcu część, przypadającą każdemu z uczestników produkcyi, a więc także część robotnika, — również, że wy-

[1]) To samo powiada w kilku słowach Stanley Jevons: „Płaca robotników zawsze w końcu jest równą wytworowi ich pracy, po odciągnięciu renty, podatków i produkcyi“.

twórczość pracy wywiera wpływ na wysokość płacy, albowiem z chwilą wzrostu wydajności pracy, zwiększa się i popyt za nią. Lecz teorya ta pomija jeden z zasadniczych pierwiastków, wpływających na wysokość płacy, większą lub mniejszą liczbę robotników, jest to pierwiastek zazwyczaj rozstrzygający. Nie jest prawdopodobnem, że siła wytwórcza pracy w Stanach Zjednoczonych jest mniejszą dziś, niż przed dwudziestu laty, a przecież wysokość płacy zmniejszyła się znacznie, ponieważ liczba proletaryuszów wzmogła się, już to z powodu przybycia robotników z zagranicy, jużto z powodu kolonizacyi niezajętych przedtem obszarów.

§ 3. Teorya funduszu płac (wage-fund).

Teoryę tę uważano przez długi czas za teoryę klasyczną, przynajmniej w gronie ekonomistów angielskich; dopiero niedawno zaczepiono ją gwałtownie. Podobnie jak pierwsza wychodzi i ta z założenia, że cena roboty stosuje się do prawa podaży i popytu, lecz określa podaż i popyt w następujący sposób:

Podaż, to robotnicy, proletaryusze, którzy poszukują pracy, chcąc zapracować na chleb codzienny i wystawiają na sprzedaż swe siły fizyczne. Popyt, to kapitaliści, którzy poszukują lokacyi dla swych kapitałów; wiemy, że jedynym sposobem wytwórczego zużycia kapitału jest dać pracę robotnikom. Stosunek tych dwóch czynników rozstrzygnie o wysokości płacy.

Cobden użył malowniczego, bardzo często odtąd powtarzanego porównania dla określenia tego prawa. „Gdy dwóch robotników ugania się za jednym przedsiębiorcą, wówczas zawsze płace zniżają się; gdy dwóch przedsiębiorców ugania się za jednym robotnikiem, wówczas zawsze płace podnoszą się“. Teoryę tę, ujętą w te słowa, uważać można za niezbitą; zresztą nie różni się niczem zasadniczem od tego, cośmy wyłożyli.

Ale zachwiano podstawami tej teoryi, chcąc nadać jej niewłaściwą ścisłość i zamieniając prawo płacy na działanie arytmetyczne.

Weźcie, powiedziano, kapitał obrotowy w pewnym kraju (to, co Anglicy nazywają funduszem płac, wage fund, albowiem myślą, że przeznaczeniem jego jest wyżywiać robotników w ciągu ich pracy). Weźcie następnie liczbę pracujących. Podzielcie pierwszą cyfrę przez drugą, a iloraz będzie właśnie oznaczał wysokość płacy. Dajmy na to, że kapitał, znajdujący się w kraju wynosi 10 miliardów, liczba robotników, w kraju tak wielkim, jak Francya, 10 milionów, a otrzymamy okrągłe 1000 fr. jako przeciętną roczną płacę.

Jest jasnem, że według tej teoryi, płaca tylko wtedy może się zmienić, gdy jeden z czynników się zmieni. Wzrost jest zatem tylko w dwóch następujących wypadkach możliwym:

1) Jeśli wage-fund, to jest ilość dóbr, przeznaczona do rozdziału, dzielna zwiększa się — a zwiększać się może jedynie przez oszczędność.

2) Jeśli ludność robotnicza, to jest, dzielnik, zmniejsza się — a zmniejszać się może tylko o tyle, o ile robotnicy stosują się do zasad Malthusa, czyto wstrzymując się od małżeństwa, czyto mając mało dzieci.

W tej postaci teorya ta jest równie niezachęcającą dla warstwy robotniczej, jako prawo śpiżowe i dochodzi do tych samych mniejwięcej wniosków. Według niej dzielnik (tj. liczba ludności robotniczej) musi zwiększać się szybciej, jak dzielna (to jest kapitał, którym rozporządzać można), a więc wynika z tego, że iloraz (to jest płaca) musi dążyć do zmniejszenia się pokąd nie osiągnie najniższej stopy, granicy, której już przekroczyć nie może. A przyczynę zjawiska tego upatruje teorya ta w tem, że produkcya dzieci jest o wiele łatwiejszą od produkcyi kapitałów. Ta wymaga wstrzemięźliwości, tamta wprost przeciwnego postępowania. Ludność zwiększa się sama przez się, a o kapitale tego powiedzieć nie można.

III.

O zwyżce płac.

Stopniowa zwyżka płacy w ostatniem pięćdziesięcioleciu, nie da się zaprzeczyć. Z licznych rachunków statystycznych, zbieranych we wszystkich krajach, można wyciągnąć wniosek, że płace robotników wiejskich podwoiły się mniejwięcej w tym przeciągu czasu, a płace robotników, zatrudnionych w przemyśle, zwiększyły się mniejwięcej o dwie trzecie [1]).

Lecz jakiż wniosek wyciągnąć należy z tej zwyżki? Szkoła optymistyczna opierając się na niej uważa poprawę bytu warstw robotniczych za niezawodną, wielką, nieograniczoną, uważa, że dokonuje się samodzielnie, że więc leży w interesie robotników nie zmieniać naturalnego biegu rzeczy.

Szkoła socyalistyczna uznając za pewnik, że w dzisiejszym ustroju ekonomicznym bogatsi, stają się coraz bogatszymi, biedni, coraz biedniejszymi, nie może zgodzić się na ten sposób pojmowania rzeczy. Nie zaprzecza wprawdzie zwyżki płacy, jako takiej, bo zaprzeczyć nie może, ale

---

[1]) Trzebaby zebrać bardzo dużo dat, by twierdzenie to uzasadnić, albowiem kilka wyrwanych dowolnie liczb nie dowodziłoby niczego. Nie możemy tutaj przytaczać całych tablic statystycznych. Znajdzie je czytelnik w książce p. Beauregard: „Praca i jej cena“. Ograniczymy się do podania cyfr statystycznych, zebranych przez pana de Foville, a dających ogólne wyobrażenie o zwyżce płac. Tablica ta przedstawia dochód rodziny robotników rolnych w ciągu stu lat:

1788	200 fr.
1813	400 „
1840	500 „
1852	550 „
1862	720 „
1872	800 „

Zaznaczyć należy, że zwyżka była znaczniejszą na wsi niż w miastach, na prowincyi, niż w stolicy; objaw ten tłómaczy wędrówka ze wsi do miast, z prowincyi do stolicy.

dowodzi, że zwyżka ta nie poprawia doli warstw robotniczych, a to z następujących powodów:

1) Zwyżka płac jest *pozorną*, a nie rzeczywistą; jestto po prostu złudzenie, wywołane przez zniżkę wartości pieniądza. Jeśli pieniądz w ciągu pięćdziesięciu lat stracił połowę swej wartości, obojętną jest dla robotnika wypłata 2 fr. zamiast 1 fr. Nie poprawi to jego położenia.

Twierdzenie to jest w części prawdziwem. Nie ulega wątpliwości, że pieniądz stracił część swej wartości, przedewszystkiem od czasów odkrycia kopalń australskich i kalifornijskich około r. 1850, i że ta zniżka w wartości miary pieniężnej spowodowała ogólny wzrost cen, że więc 2000 fr. dochodu dzisiaj nie daje dwa razy tyle wygody i dobrobytu, co 1000 fr. w r. 1850.

Zachodzi tylko pytanie, czy zniżka w wartości pieniądza, lub, co na jedno wychodzi, zwyżka ogólna cen, była tak wielką, jak zwyżka ogólna płacy.

Otóż jest rzeczą zupełnie pewną, że ceny nie podwoiły się, i że nawet przeciętnie nie podniosły się o dwie trzecie, zniżkę pieniądza oceniają zazwyczaj na najwyżej jednę trzecią.

A więc robotnik, który pobiera 2000 fr. lub tylko 1666 fr. zamiast 1000 fr., jak przed czterdziestu laty, ma dochód większy nietylko pod względem ilości pieniędzy, lecz także co do siły kupna i zdolności konsumcyjnej. Zwyżka jego płacy jest częściowo pozorną, ale częściowo także rzeczywistą [1]).

---

[1]) Chcąc dokładnie oznaczyć wzrost dobrobytu, wywołany wzrostem płacy, trzeba przeglądnąć budżet wydatków robotnika i obrachować wzrost ceny odnośnie do głównych pozycyj budżetowych. Rachunek ten przeprowadzono kilkakrotnie bardzo starannie i udowodniono, że rzeczywista zwyżka istnieje. Cena pożywienia (mięsa, jarzyn, wina, masła i t. d.), zwiększyła się bardzo znacznie, o przeszło 100%, cena mieszkania może jeszcze więcej; a są to bardzo ważne pozycye w budżecie robotnika. Z drugiej strony, chleb, największy wydatek robotnika, bardzo nieznacznie podniósł się w cenie; wyroby przemysłowe, naprzykład ubrania, potaniały, a jeszcze bardziej zmniejszyły się koszta, łożone na podróże, pisanie listów, wykształcenie.

2) Przypuśćmy nawet, powiadają dalej socyaliści, że zwyżka płac jest częściowo rzeczywistą, w każdym razie nie odpowiada wzmaganiu się bogactwa ogólnego i wzrostowi dochodów innych warstw społeczeństwa. Dajmy na to, że ilość dóbr, przeznaczona do rozdziału między kapitalistów i proletaryuszów, wynosiła 50 lat temu, 10 miliardów; z tego 5 miliardów przypadało każdej warstwie, dziś zaś ilość dóbr, przeznaczona do rozdziału, podniosła się do 20 miliardów, z tego jednak przypada proletaryuszom 7 miliardów, a kapitalistom 13; w tym razie zwyżka płacy, choćby była rzeczywistą, nie poprawi położenia robotnika, udział robotników zwiększył się o 40%, a udział kapitalistów o 160%, to jest cztery razy więcej. Dobrobyt robotników wzmógłby się, ale *nie czuliby się bogatszymi*, albowiem — nie zapominajmy, — bogactwo jest rzeczą względną, a taka to już jest natura człowieka, że nawet wygoda wydaje mu się nędzą w przeciwstawieniu do zbytku jego bliźnich.

Jest to może najsilniejsze oskarżenie przeciw dzisiejszemu porządkowi społecznemu, jakiem rozporządza obóz socyalistyczny. W istocie ze stanowiska sprawiedliwości społecznej, robotnicy mają prawo nie tylko do poprawy bytu, lecz także do dochodu, wzrastającego w tym samym stosunku, w jakim wzrasta dochód innych warstw społeczeństwa. Zdaje się jednak, że wzrost dochodu warstwy robotniczej nie jest równie szybkim, jak wzrost ogólnego bogactwa. Jeżli, naprzykład, zbadamy na podstawie urzędowych źródeł, wartości przekazywane corocznie w drodze spadku lub darowizny, przekonamy się, że podczas, gdy w r. 1835 wynosiły 2,059 milionów, a w 1855 r. 3,133 milionów, wzrosły w r. 1865 do 6,429 milionów. Ponieważ wartość spadków jest w pewnym, stałym stosunku do ogólnej wartości majątków prywatnych, przeto twierdzić można, że majątki prywatne w ciągu 50 lat zwiększyły się przeszło trzechkrotnie, a przeszło dwukrotnie w ciągu 30 lat. Wzrost ten jest o wiele szybszym niż wzrost płac, albowiem, według najbardziej optymistycznych obliczeń, płace robotników, zatrudnionych

w przemyśle, co najwyżej podwoiły się, a prawdopodobnie wzrosły tylko o dwie trzecie.

IV.

Czy istnieją środki poprawy bytu robotników?

Istnieją trzy drogi, któremi można dążyć do poprawy bytu warstw robotniczych i które każdy zachwala mniej lub więcej, stosownie do swego stanowiska naukowego lub politycznego.

Pierwszą jest *strejk*, to jest walka między przedsiębiorcą a robotnikiem.

Drugą jest *ustawodawstwo*, czyli interwencya państwa.

Trzecią jest *współdziałanie* czyto robotnika z przedsiębiorcą, czy to robotników między sobą.

Zapoznamy się kolejno z temi środkami, lecz najpierw zapytać się godzi, czy można wierzyć w ich skuteczność.

Skrajni przedstawiciele szkoły liberalnej, nie wierzą w skuteczność żadnego z nich. Ich zdaniem wysokość płacy jest wynikiem praw naturalnych, a więc zmienić jej nie może żaden sztuczny środek.

Wierzyć, że związek robotników, przepis ustawy, lub ta czy owa forma stowarzyszenia, podnieść może wysokość płacy, jest równie dziecinnem, jak przypuszczać, że do sprowadzenia pogody wystarczy popchnąć wskazówkę barometru.

Jeśli czasami wynikiem strejku była zwyżka płacy, to dlatego tylko, że ta zwyżka powinna była nastąpić, i że nastąpiłaby i bez tego.

Strejk w tym razie oddziaływa w ten sam sposób, jak lekkie uderzenie palcem w puszkę w celu przyspieszenia ruchu igiełki, powolnie posuwajacej się pod wpływem podnoszenia się rtęci i w celu nadania jej równowagi.

Wysokość płacy podniesie się sama przez się, powiadają, jeśli powinna podnieść się, a jeśli nie może podnieść się, to nic jej do tego nie zmusi. Zresztą we wszystkich społeczeństwach

w zwykłych warunkach płace objawiają dążność do wzrostu [1]); trzeba więc ułatwiać ten rozwój przez wzmacnianie i popieranie tych czynników, które dotychczas skutecznie działały, to jest wolnej konkurencyi i swobody zawierania umów.

Ta spokojna filozofia, nieuzasadniona ani spostrzeżeniami, zaczerpniętemi z życia, ani dowodami naukowemi, zachwiała powagą szkoły liberalnej.

Jest udowodnionem, że strejk, obawa przed strejkiem lub stworzenie potężnych stowarzyszeń, dążących do tego celu poprawiło dolę robotnika; historya robotników angielskich w ciągu ostatnich 50 lat dostarcza nam przekonywujących dowodów. Również nie można zaprzeczyć, że los robotników poprawił się znacznie we wszystkich krajach, a przedewszystkiem w Niemczech, dzięki interwencyi państwa. Chociaż forma przedsiębiorstw udziałowych i współdzielczych wydała, jak dotąd małe owoce, uprawnia nas to jednak dostatecznie do wiary w jej skuteczność.

W teoryi wysokość płacy zawisłą jest od praw naturalnych — powiedzmy krótko, od prawa podaży i popytu — lecz nie wypływa z tego wcale, żeby wola człowieka nie mogła zmienić jej w drodze związku, współdziałania lub nawet interwencyi państwa. Byłoby niezawodnie nierozumnem — wracając do poprzedniego porównania — zmieniać stan barometryczny przez posuwanie palcem igiełki, ale jest zupełnie naukowo uzasadnionem zmieniać stan barometryczny przez przeniesienie barometru w inną atmosferę, na przykład wynosząc go na góry lub stawiając pod dzwonem maszyny pneumatycznej. Można więc dążyć w zupełnej zgodzie z rozumem do poprawy bytu robotników, zmieniając warunki ekonomiczne i działając na przyczyny, które jużto podnoszą, już to zniżają wysokość płacy.

---

[1]) Na przykład bardzo korzystnem byłoby utworzenie *giełdy pracy*, stosownie do wniosków p. de Molinari, gdzieby podaż i popyt za pracą mógł się skupić — zapewniłoby to pracy ruchliwość, która w tak wysokim stopniu właściwą jest kapitałom.

Jeśli zresztą cena roboty jest zawisłą tak, jak cena każdego innego towaru, od prawa podaży i popytu, nie dowodzi to jeszcze wcale, że stan ten jest normalnym; przeciwnie, stan ten jest niezwykłym, przeciwnym naturze — możnaby nawet powiedzieć. Nie jest naturalnem, że praca ludzka, podstawa całej produkcyi jest tylko towarem, szacowanym na targu, i podległym tym samym zmianom kursu, jak węgiel lub bawełna. Ten stan rzeczy wywołał reakcyę, — reakcyę, popartą przez opinią publiczną i prawo; robotnicy żądają, by się z nimi obchodzono, jak z ludźmi, a nie jak z rzeczami, żądają nie tej ceny, która na targu płaci się za towar, lecz udziału, który sprawiedliwość nakazuje dać współpracownikowi, towarzyszowi w pracy społecznej. Domagają się, by inne warstwy, biorące udział w produkcyi zrobiły im trochę miejsca. A myśl, że system płacy powinien raczej być stowarzyszeniem — nawet wówczas, gdy forma płacy istnieje — musi wywrzeć głęboki wpływ na istotę umowy o płacę, a w dalszym ciągu na wysokość płacy.

Wprawdzie ta zwyżka płac nie sięgnie poza pewne granice, i to granice dość ciasne przypuściwszy, że produkcya dóbr nie zwiększy się[1]). W tym razie ilość dóbr, przeznaczona do rozdziału nie zmieni się, a płace podniosą się kosztem zysków. Jeśli zaś zważymy, że zyski zmniejszyły się przez wolną konkurencyę, że trzeba zostawić coś przedsiębiorcy na pokrycie możliwych strat, że trzeba wynagrodzić jego pracę i zapłacić procent od jego kapitałów, łatwo zrozumieć, że zwyżka płac nie może być znaczną.

Płace mogą zwiększać się, nie wywołując zniżki zysków wtedy, gdy ceny wytworów idą stosunkowo w górę. Oto oczywiście starają się przemysłowcy. Przerzucają na publiczność zwyżkę płacy, do której zmuszono ich. Lecz w tym razie zwyżka płacy spada na konsumenta, a prawdopodobnie w ostatnim rzędzie na robotników, bo oni tworzą rdzeń konsumentów.

[1]) Lecz jest prawdopodobnem, że ogólna zwyżka płac, umożliwiając wszechstronny rozwój robotnikowi, powiększy wydajność pracy, a więc i ilość dóbr, przeznaczoną do podziału.

V.

Strejki.

Zrobić strejk znaczy porozumieć się w celu zawieszenia pracy. Warunkiem tedy strejku jest poprzednie umówienie się, czyli, jak zwykle powiadają, *zmowa*. Choć robotnicy niewątpliwie mają prawo zmawiać się — albowiem uważając pracę za towar, trzeba każdemu dozwolić sprzedaży pod warunkami, które on naznaczy — to przecież prawo do zmowy dopiero w ostatnich czasach zostało uznane w różnych państwach (we Francyi w r. 1864).

Strejk jest środkiem wojennym, łączą się tedy z nim wszyskie złe skutki, właściwe wojnie: powoduje olbrzymie marnowanie sił wytwórczych [1]), rodzi dużo cierpień i pozostawia zawsze w sercu zwyciężonego (przedsiębiorcy czy robotnika) zarzewie przyszłych starć. Lecz nie da się zaprzeczyć, że ten gwałtowny środek przyczynił się do podniesienia wysokości płac, zmuszając przedsiębiorców do przyznania większego dochodu swym robotnikom. Nie można osądzać skuteczności strejków według liczby udałych lub nieudałych strejków, zapisanych w rocznikach statystycznych. Jeden, pomyślnym wynikiem uwieńczony, strejk może podnieść płace w wielu gałęziach przemysłu. Zresztą na podniesienie płacy oddziałuje nie tyle sam strejk, ile ciągła *obawa* strejku. Strejk zarówno jak wojna, tylko wówczas może być skutecznym, gdy się opiera na silnej organizacyi. Zmowa przy-

---

[1]) Biuro statystyczne pracy w Stanach Zjednoczonych oszacowało na 98 milionów dolarów straty wywołane przez strejki i zmowy przedsiębiorców w ciągu sześciu lat (1881—86). (Przez zmowę przedsiębiorców, *lockout*, rozumieć należy porozumienie się pracodawców, mające na celu przez równoczesne zamknięcie fabryk zmusić robotników do ustępstw).

padkowa i chwilowa nie wystarcza. Trzeba stowarzyszeń trwałych i dość silnych, by wywierały wpływ nie tyle strejkiem samym, ile raczej potęgą swą. Im stowarzyszenia będą silniejsze i liczniejsze, tem mniej będzie strejków — tak, jak utrzymywanie wielkich armii w każdem państwie Europy zabezpiecza pokój. Tak dzieje się w Anglii, gdzie stowarzyszenia robotnicze, głośne *Trades-Unions*, (towarzystwa zawodowe), stały się potęgą w państwie i przyczyniły się bardzo do poprawy bytu warstw robotniczych w Anglii [1]).

---

[1]) *Trades Unions* mają milionowe kapitały zakładowe i tysiące członków, (na przykład towarzystwo mechaników 60,000), kierują nimi ludzie rozumni i wybitni, wybierani niejednokrotnie do izby poselskiej, *trades unions* zwołują corocznie wielkie zjazdy i tworzą istotną potęgę w społeczeństwie. Dotychczas nie użyły tej potęgi do szerzenia idei socyalistycznej, lecz zakreśliły sobie cel łatwiejszy do urzeczywistnienia, a mianowicie zwiększenie zarobku lub zmniejszenie długości pracy. Nie zawsze jednak posługiwały się najrozumniejszemi środkami, prowadzącemi do celu. Niezbyt często walczyły obosieczną bronią strejków, lecz wychodząc z założenia, że cena roboty zależy, pomijając już jej wytwórczość, wyłącznie od małej podaży, starały się zanadto usilnie o zmniejszenie tej podaży wszelkiemi możliwemi sposobami, ograniczając liczbę uczniów, zakazując pracy na akord i nawet sposobów, potęgujących wydajność pracy robotnika. Członkowie tych towarzystw stali się arystokracyą robotniczą — z powodu tego zasklepienia się w sobie, a tłum robotników, zatrudnionych pospolitemi pracami, niewymagającemi zawodowego wykształcenia odwrócił się od stowarzyszeń. Między tym tłumem szerzy się coraz bardziej socyalizm w miarę, jak *trades unions* stają się konserwatywnemi. (Por. w *Revue d'Économie politique* z lipca i sierpnia 1890 r. rozprawkę M. Brentana: „O robotnikach w Anglii“). W Stanach Zjednoczonych istnieją także *trades-unions*, ale obok nich rozwijają się sławne towarzystwa „rycerzy pracy“, opierające się głównie na mniej wykształconych robotnikach.

We Francyi izby robotnicze rozwijają się gorzej i wiele z nich skupia w sobie tylko nieznaczną mniejszość robotników danego zawodu. Jest to bardzo niekorzystnem, albowiem mała liczba członków popycha izby do gwałtów, a słaba organizacya nie pozwala im skutecznie bronić warstwy robotniczej. To też przedsiębiorcy nie chcą z niemi umawiać się, a nawet przeszka-

Stanowisko robotnika, członka jednego z tych towarzystw jest wobec przedsiębiorcy daleko korzystniejsze i na tem polega skuteczność tych wojujących stowarzyszeń. W zwykłych stosunkach, gdy robotnik jako jednostka godzi się z przedsiębiorcą, musi przyjąć koniecznie ofiarowaną mu cenę, a to z następujących powodów:

1. Ponieważ kapitalista może czekać, a robotnik nie może. Jest on w położeniu kupca, który koniecznie musi sprzedać swój towar, by wyżyć — towarem w tym razie jest praca.

2. Ponieważ zazwyczaj przedsiębiorca obejść się może bez jednego robotnika, podczas gdy robotnik nie tak łatwo obejdzie się bez przedsiębiorcy. Zawsze znaleść można innego robotnika; w razie potrzeby można sprowadzić go z zagranicy, w razie potrzeby nawet można zastąpić go maszyną.

Nie tak prędko znachodzi się innego przedsiębiorcę; nie można sprowadzić go ani koleją, ani okrętem, a dotychczas nie wynaleziono jeszcze sposobu zastąpienia go maszyną.

3. Ponieważ przedsiębiorca zna lepiej stosunki targu, bada je z wyższego i dalszego punktu widzenia.

Lecz z chwilą, gdy robotnicy utworzą stowarzyszenie zawodowe, zajmują to samo stanowisko, co przedsiębiorca. Albowiem towarzystwo:

1. Daje możność robotnikowi odrzucenia pracy; wspomaga robotnika tymczasem z kapitału towarzystwa i ze składek stowarzyszonych;

2. Łączy wszystkich robotników zakładu, a więc przedsiębiorca umawia się już nie z jednym, lecz z wszystkimi;

3. Zakłada dla nich biuro wywiadowcze, i dostarcza im

---

dzają swym robotnikom należeć do izb; jest to błędnem, ponieważ, gdyby stowarzyszenia te skupiły całą warstwę robotniczą; żądania ich stałyby się daleko łatwiejszemi do urzeczywistnienia. Prawdopodobnie nie jest jednak wskazanym zmuszać przedsiębiorców do zatrzymywania robotników, członków tych stowarzyszeń — jak tego chce ustawa, już uchwalona przez izbę posłów.

także biegłych i doświadczonych kierowników, którzy mogą ocenić położenie tak dobrze, jak przedsiębiorca i którzy bronią ich przed podstępem.

VI.

O interwencyi państwa.

Państwo może oddziałać na polepszenie doli robotników w sposób bardzo różny.

§ 1. Środkiem najskrajniejszym, którego żądają wojowniczo usposobieni robotnicy — jest oznaczenie najniższej stopy zarobku. Środek ten jest niedorzecznym. Nie wystarcza bowiem zabezpieczyć robotnikowi najniższą stopę zarobku, trzebaby także zapewnić mu przedsiębiorców, którzy zechcą zatrudniać ich po tej cenie; otóż żadna potęga na świecie nie będzie w stanie zmusić kapitalistów do zatrudnienia robotników, — jeśli nie osiągną dostatecznych zysków [1]).

§ 2. Istnieje cały szereg środków ustawodawczych, nie naruszających systemu płacy i nie dążących nawet do zmiany wysokości zarobku, których celem jest polepszenie doli robotnika, czy to przez sprawiedliwe ograniczenie czasu pracy, czy to przez zabezpieczenie ich przeciw nieszczęściom, wynikającym z ich zawodu. Środki te, czyli tak zwane *ustawodawstwo robotnicze*, jest na porządku dziennym wszystkich parlamentów Europy. By zbadać te różnorodne środki, mu-

[1]) Dotychczas nie zrobiono doświadczenia z najniższą stopą zarobku, choć robotnicy często domagali się tego. Dawniej ustawodawca wydawał prawa, oddziaływujące w kierunku odwrotnym, a mianowicie ustanawiające *najwyższą stopę zarobku*. Częściej jeszcze naznaczał najwyższą cenę za ten lub ów towar, (dotąd dochowały się w niektórych miastach stałe ceny chleba). Mała skuteczność tych środków ustawodawczych naprowadza na wniosek, że ustawodawca nie jest w stanie oznaczyć ceny za pracę.

sielibyśmy przekroczyć ramy niniejszej pracy; ograniczymy się tedy do ich wyliczenia.

Pięć nieszczęść grozi robotnikowi: trzy grożą każdemu człowiekowi, *choroba, starość i śmierć*, dwa są właściwe jego zawodowi, *nieszczęśliwe wypadki i bezrobocie*. Wszystkie wywołują ten sam skutek, pozbawiają go czasowo lub raz na zawsze pracy, z czegóż więc utrzyma siebie i swą rodzinę? Wszystkie mogą popchnąć proletaryusza lub jego dzieci do nędzy, a nawet do zbrodni. Leży więc w interesie społeczeństwa, nie mówiąc już o powodach moralnych, o ile możności zaradzić tym nieszczęściom.

Tutaj nasuwa się pytanie, czy inicyatywa osobista, objawiająca się oszczędnością i stowarzyszaniem się, potrafi zapobiedz im, czy też należy odwołać się do pomocy państwa. Zdaje mi się, że oszczędność i to oszczędność biedaka nie podoła tylu nieprzyjaciołom.

Co się tyczy strat, wynikających z choroby, wystarczają zupełnie do ich pokrycia, *towarzystwa wzajemnej pomocy*. Mała wkładka, zazwyczaj w wysokości 1 fr. miesięcznie wystarcza do zapłacenia lekarza, apteki i pewnego odszkodowania za dnie choroby.

We wszystkich krajach, a szczególniej we Francyi, istnieje dużo towarzystw wzajemnej pomocy. Ustawodawstwo popiera je rozmaitemi przywilejami, w których zbadanie tutaj wdawać się nie możemy. Również niewielka premia asekuracyjna może zabezpieczyć robotnika przed nieszczęśliwemi przypadkami, lecz przypuściwszy nawet, że robotnik mógłby zapłacić z własnych pieniędzy ten wydatek, to jednak nie zechce on tego uczynić. Zabezpieczenie przeciw nieszczęśliwym wypadkom wymaga pewnej przezorności, którą nawet i w wyższych warstwach rzadko znaleść można.

Zabezpieczenie na starość, czyli utworzenie kapitału, dostarczającego renty dożywotnej od 60 lub 65 roku życia, wymaga ofiar, na które kieszeń robotnika nigdy zdobyć się nie może.

To samo tyczy się dwóch innych nieszczęść, śmierci i bezrobocia.

Słusznie można twierdzić, że część strat, szczególniej straty, wynikające z nieszczęśliwego wypadku i starości, ponosić powinien przedsiębiorca. Istotnie część przedsiębiorców, a przedewszystkiem wielkie towarzystwa akcyjne, utworzyły dobrowolnie towarzystwa ubezpieczeń od wypadków i na wypadek starości; koszta ponoszą w całości lub przynajmniej większą ich część, każąc płacić robotnikom nieznaczne wkładki, potrącane przy wypłacie zarobku.

Ten wspaniałomyślny przykład nie znalazł wielu naśladowców, już to z powodu braku dobrej woli, już to braku odpowiednich funduszów, gdyż tego rodzaju zakłady potrzebują wielu urzędników i wielkich kapitałów.

Musimy więc zadać sobie pytanie, czy państwo nie ma obowiązku bronić warstwy robotniczej przed temi stratami, czyby to nie było zgodnem z dobrą administracyą, albowiem wynikiem najmniejszego z tych nieszczęść jest nędza, a tłum nędzarzy jest dla społeczeństwa niebezpieczeństwem i zarazem powodem znacznych wydatków.

Wychodząc z tego właśnie założenia rząd niemiecki przez wydanie całego szeregu ustaw, różnie ocenianych, stanowiących jednak najważniejszy owoc prac ustawodawczych w ostatnich czasach — stworzył cały system ubezpieczeń przeciw nieszczęśliwym przypadkom i przeciw starości, system, który łączy wszystkich przedsiębiorców i robotników, zatrudnionych w przemyśle lub w rolnictwie, bez względu na ich wolę, w wielkie związki przemysłowe i okręgowe. Koszta premii asekuracyjnej przeciw nieszczęśliwym przypadkom ponoszą w całości przedsiębiorcy; koszta premii przeciw chorobie w $^1/_3$ części przedsiębiorcy, a w $^2/_3$ robotnicy; koszta premii przeciw starości i kalectwu ponoszą w połowie przedsiębiorcy, a w połowie robotnicy.

Ponieważ w tym wypadku koszta są bardzo wielkie, państwo pomaga jednym i drugim, zobowiązując się płacić za każdego emeryta 50 marek rocznie. Nie można jeszcze sądzić o wartości i rzeczywistych wynikach tego olbrzymiego, nadzwyczaj zawikłanego mechanizmu, który w każdym razie jednak pozostanie pomnikiem ustawodawstwa naszych cza-

sów i najśmielszą, jak dotąd, próbą urzeczywistnienia socyalizmu państwowego [1]).

Co się tyczy bezrobocia, tego nieszczęścia, które nowożytny rozwój ekonomiczny wywołuje w pewnych, stałych okresach czasu, niepodobna zapobiedz stratom przez towarzystwa i ubezpieczenia, albowiem w odróżnieniu od poprzednio wyliczonych nieszczęść, dotyka nietylko jednostki, lecz także całe tłumy robotników, zajętych w jednym zakładzie lub w jednym zawodzie, a czasami nawet cały przemysł kraju. Robotnik może żyć przez pewien czas ze swych małych oszczędności, o ile ma jakie, lub zastawia w *mons pietatis* [2]) tych kilka ruchomości, które posiada; jest to jednak niedostateczna pomoc.

Czy państwo może uczynić coś dla zabezpieczenia robotnika przed stratami wynikającemi z bezrobocia? Przez pewien czas broniono tego zapatrywania i żądano, by państwo przyszło w pomoc robotnikom zapewniając im *prawo do pracy*. Prawo to miało wielki rozgłos podczas rewolucyi w r. 1848, dziś jednak pokryła go pleśń zapomnienia.

Państwo nie jest w stanie zapewnić każdemu pracę, rodzaj pracy odpowiedni jego zdolnościom, a przedewszystkiem pracę produkcyjną, chyba, że obejmie wszystkie przedsiębiorstwa przemysłowe, czyli, że zamieni się w państwo kolektywistyczne. Prawo do pracy może być tylko rodzajem wsparcia z funduszów publicznych, zapatrywanie to przeważa dzisiaj. To też w rozdziale o ubogich powrócimy do tego przedmiotu.

---

[1]) We Francyi państwo oddawna utworzyło narodową kasę ubezpieczenia na wypadek starości lub śmierci, która ofiaruje robotnikom warunki trochę korzystniejsze, niż towarzystwa ubezpieczeń, obliczone na zysk, mało jednak z niej korzystają.

Różne ustawy wniesiono w ostatnich latach, których celem jest utworzenie kasy ubezpieczeń na starość na wzór niemiecki.

[2]) *Mons pietatis* (bank pobożny) jest to zakład zastawniczy. Aczkolwiek są to zakłady dobroczynne, nieobliczone na zysk, zmuszone są do pożyczania na wysoki procent, gdyż operacye ich są bardzo kosztowne.

§ 3. W końcu państwo może dążyć do poprawy bytu warstw robotniczych nie naruszając płacy, lecz skracając długość dnia pracy. Sprawa ta wywołała w ostatnich latach całą literaturę ekonomiczną.

Szkoła liberalna dopuszcza ograniczenia pracy tylko odnośnie do dzieci, albowiem dzieci jako małoletnie nie są zdolne do obrony swych praw. Wszyscy zgadzają się na to i wszystkie ustawodawstwa europejskie, nie licząc kilku haniebnych wyjątków, zakazały pracy dzieci po fabrykach do pewnego wieku. Wiek tylko jest różnym, we Francyi np. 12 lat jest granicą; jest to za mało. Prawo, dotychczas jeszcze nie uchwalone, ma oznaczyć ją we Francyi na lat 13.

Co się tyczy pracy mężczyzn, a nawet kobiet, szkoła liberalna potępia ustawowe ograniczanie tejże pracy. Sądzi, że i jedni i drudzy najlepiej wiedzą, co zrobić z czasem, którym rozporządzają, że ograniczenie pracy jest dla nich niedźwiedzią przysługą, boć pracą zarabiają na chleb codzienny; jest to zresztą niedźwiedzią przysługą i dla społeczeństwa, albowiem ograniczenie pracy doprowadzi do ograniczenia produkcyi dóbr. Lecz wszystkie inne szkoły, nietylko właściwa szkoła socyalistyczna, ale także socyaliści państwowi i chrześcijańscy są przeciwnego zdania; twierdzą, że ustawodawca ma prawo i obowiązek troszczyć się nawet i o pracę mężczyzn; — że umowa o płacę tylko na papierze zawisłą jest od wolnej woli stron, w rzeczywistości zaś jest inaczej; — że robotnik, jeśli pracuje dwanaście godzin dziennie, to nie dobrowolnie, on inaczej bowiem postąpić nie może; że zresztą ograniczenie pracy nie wywoła zmniejszenia produkcyi dóbr, ani nawet zmniejszenia płacy, jeśli będzie powszechnem; a w końcu, że gdyby nawet wywołało ten skutek, robotnik przecież będzie czuł się szczęśliwszym, mniej mając dochodu i mniej pracy.

Z drugiej strony w naszych czasach związki ekonomiczne, lub jeśli kto woli, konkurencya narodów między sobą jest bardzo silną; dlatego też jedno państwo nie może ograniczyć u siebie czasu pracy, bo osłabi swe stanowisko ekonomiczne. Dążyć więc należy do tego celu w drodze po-

rozumienia się wszystkich państw cywilizowanych, a wówczas kwestya stanie się *międzynarodową*, co wcale nie ułatwia jej rozwiązania [1]).

Szczególniej za ograniczeniem pracy kobiet przemawiają bardzo doniosłe względy. Praca kobiet w fabryce jest równoznaczną ze zniszczeniem ogniska domowego i z opuszczeszczeniem dzieci przez matki, często z prostytucyą młodych dziewcząt.

Kilka państw rozpoczęło działać w tym kierunku. Dla mężczyzn Szwajcarya i Austrya oznaczyły długość dnia pracy na jedenaście godzin. We Francyi istnieje wprawdzie prawo z r. 1848, które ustanawia jako granicę dwanaście godzin, ale nie jest wykonywanem. Co się tyczy kobiet, ustawy zazwyczaj nie zakazują im pracy, ani nawet nie ograniczają jej, lecz zakazują już to pracę nocną, już to pracę w kopalniach lub pracę w okresie przed i po połogu. We Francyi niedozwolono im tylko pracy w kopalniach; lecz nowa ustawa ma rozszerzyć te ograniczenia.

VII.

Stowarzyszenia współdzielcze.

Trzecim środkiem ulżenia doli robotników jest stowarzyszenie, czy to stowarzyszenie między przedsiębiorcą a robotnikami, zwane *stowarzyszeniem udziałowem*, czy też stowarzyszenie, złożone wyłącznie z robotników, zwane *stowarzyszeniem produkcyjnem*. Z pomiędzy trzech środków, których zbadaniem zajęliśmy się, ten może wydał dotychczas najmniejsze owoce. A mimo tego jest to z pewnością najlepszy, powinien też wzbudzić najwięcej zaufania; przewyższa pier-

[1]) W r. 1890 zwołano konferencyę międzynarodową do Berlina, w której wzięli udział przedstawiciele wszystkich krajów Europy. Konferencya powzięła cały szereg uchwał, szkoda tylko, że, jak dotąd, nie urzeczywistniono ich.

wszy (strejk) o tyle, o ile pokój przewyższa wojnę, a drugi (interwencyę państwa) o tyle, o ile wolność przewyższa przymus.

§ 1. Stowarzyszenia udziałowe.

Udział w zyskach ma na celu zmianę systemu płacy zastępując go stowarzyszeniem między przedsiębiorcą, a robotnikiem.

Przekonaliśmy się już, że stowarzyszenie jest w zasadzie najdoskonalszą formą przedsiębiorstwa wytwórczego, ale równocześnie dowiedzieliśmy się z jak wielkiemi trudnościami praktycznemi ma do walczenia. Zadaniem udziału w zyskach jest pokonanie tych trudności.

Jest to instytucya pochodzenia francuskiego. Po raz pierwszy wprowadził ją w życie malarz pokojowy, Leclaire; powodzenie było ogromne, dotychczas niedoścignione, można je wytłumaczyć przez pewne właściwości tej gałęzi przemysłu. W Europie teraz zastosowano ją w mniej więcej stu zakładach, a prawie wszystkie doświadczenia przyniosły korzyści nietylko robotnikom, ale także przedsiębiorcom. Zresztą w większej części tych zakładów udział w zyskach nie jest równoznacznym ze stowarzyszeniem; różni się mianowicie tem, że przedsiębiorca ma zawsze prawo odprawienia robotników; że robotnicy nie mają współudziału w kierownictwie; że nie ponoszą strat; że wreszcie wynagrodzeniem ich jest, ściśle rzecz biorąc, płaca, a udział w zyskach objawia się tylko jako dodatek, a czasami jako gratyfikacya, której wysokość zależy zupełnie od dobrej woli przedsiębiorcy [1]).

[1]) Rodzaje udziału w zyskach mogą być bardzo rozmaite. Części, przypadające robotnikom, można obrachować już to według osiągniętych zysków, lub ilości wytworów, — już to według oszczędności, porobionych przy obrabianiu surowca (na przykład towarzystwa kolei żelaznych wyznaczają swym palaczom wynagrodzenia, obliczone według ilości zaoszczędzonego przez nich węgla).

Prawdopodobnem jest, że instytucya ta w rozwoju swym coraz bardziej zbliżać się będzie do prawdziwego stowarzyszenia. Teraz już oddała usługi, o których wspominaliśmy [1]):

1. Wiąże robotnika z powodzeniem przedsiębiorstwa i skutkiem tego popycha go do rozwinięcia wszystkich swych zdolności:

2. Łączy interesa przedsiębiorcy i robotnika, zapobiega więc w ten sposób sporom i strejkom;

3. Zatrzymuje robotnika z roku na rok w tej samej fabryce i zapewnia mu stałe zatrudnienie;

4. Ułatwia oszczędność, dzieli bowiem dochód robotnika na dwie części, zarobek tygodniowy, przeznaczony na wydatki bieżące i dywidendę, wypłacaną z końcem roku, którą można odłożyć na czarną godzinę [2]).

---

[1]) Szkoła liberalna zasadniczo nie jest przeciwna udziałowi w zyskach, ale mówi o nim z pewnem szyderczem niedowierzaniem. Główne zarzuty, z któremi występuje, są następujące:

1. Robotnicy nie mają prawa do zysku, albowiem w każdem przedsiębiorstwie zyski są dziełem przedsiębiorcy, a nie robotników; zyski powstają nie tyle z właściwej fabrykacyi, ile ze sprzedaży wytworów, w której robotnicy zgoła nie uczestniczą. A jednak nikt się temu nie dziwi, że kapitaliści, jeśli są akcyonaryuszami, pobierają zyski z przedsiębiorstw, które w każdym razie jeszcze w mniejszym stopniu są ich dziełem, niż robotników,

2. Robotnicy nie powinni brać udziału w zyskach, ponieważ ze względu na swe położenie nie są w stanie ponosić strat. Byłoby to niesprawiedliwością. — Najpierw — odpowiadamy na to — można znaleść sposób zaradzenia tej trudności, na przykład przez utworzenie kasy ubezpieczeń przeciw możliwym stratom, opartej po części na wkładkach, potrącanych z płac. Lecz przedewszystkiem zauważyć się godzi, że dzisiejszy ustrój systemu płacy kryje w sobie jeszcze większe niesprawiedliwości, albowiem robotnik, który *nigdy* nie ma udziału w zyskach, ponosi przecież *zawsze* straty, czy to jako zmniejszenie płacy, jeśli nie powodzi się przedsiębiorstwu, czy też jako zupełną utratę płacy, jeśli przedsiębiorstwo zamyka swe fabryki.

[2]) Najczęściej nawet przedsiębiorca, by dopilnować zaoszczędzenia, nie wypłaca całej dywidendy z końcem roku, lecz umieszcza część jej w kasie ubezpieczeń na starość.

§. 2. Stowarzyszenia produkcyjne.

Stowarzyszenie wytwórcze idzie dalej jak udział w zyskach; pierwsze zatrzymuje przedsiębiorcę, drugie jest zniesieniem systemu płacy. W tym wypadku robotnicy, zamiast pracować na rachunek przedsiębiorcy, łączą się z zamiarem wytwarzania na własny rachunek, zarazem jednak ponoszą wszelkie straty. Ponieważ są właścicielami narzędzi produkcyi, zachowują oczywiście dla siebie cały wytwór swej pracy. Stanowisko ich jest zupełnie podobne do znanego nam już stanowiska samoistnego wytwórcy; tylko zamiast jednostki, występuje tutaj całe grono ludzi pracujących. Przeobrażenie to jest koniecznem ze względu na wymagania wielkiej produkcyi.

Francya uchodzi za ojczyznę tego rodzaju stowarzyszeń. Prawdopodobnie też ona zrobiła początek, gdyż pierwsze francuskie stowarzyszenie wytwórcze sięga roku 1833. Po rewolucyi z r. 1848 wszczął się wielki ruch w tym kierunku i wówczas założono we Francyi, a głównie w Paryżu około 200 robotniczych towarzystw wytwórczych, ale nie wiele z nich przetrwało do naszych czasów. Potem jeszcze zakładano i inne z niewiele większem powodzeniem. Mimo tego istnieje ich mniej więcej 60; stosunki niemieckie i angielskie są pod tym względem podobne do francuskich. Przeszkody, z któremi towarzystwa wytwórcze mają do walczenia, są bardzo liczne i tłómaczą aż nadto dobrze ich niepowodzenie.

1. Pierwszą i najgroźniejszą jest *brak wykształcenia ekonomicznego* w warstwach robotniczych, który nie pozwala im wynaleść zpośród siebie ludzi zdolnych do kierowania przedsiębiorstwem przemysłowem, a jeśli nawet znajdą ich, skłania robotników do niepowierzania im zarządu, ponieważ wyższość ich często staje się przyczyną usunięcia od obowiązków zawiadowcy. Z tego samego powodu robotnicy, jeśli znajdą ludzi zdolnych, jeśli powierzą im kierownictwo, nie zapewniają im udziału w dochodach przedsiębiorstwa, odpowiedniego usługom, które wyświadczyli. — Należy spo-

dziewać się, że różne rodzaje stowarzyszeń, przedewszystkiem te, o których mowa, a nawet także stowarzyszenia spożywcze będą dla robotników szkołą wykształcenia ekonomicznego.

2. Drugą jest *brak kapitału.* Można — wiemy już o tem, usunąć z przedsiębiorstwa produkcyjnego kapitalistę, ale w żadnym razie nie można usunąć kapitału, a dzisiejsza wielka produkcya wymaga coraz to większych kapitałów. Któż ich dostarczy biednym robotnikom? Czy może potrafią uzyskać je oszczędnością, składaniem centa do centa? Jest to możliwem, a nawet zdarza się w małych przedsiębiorstwach przemysłowych dzięki bohaterskim poświęceniom; są to jednak tylko wyjątkowe wypadki, oszczędność robotników nie jest w stanie stworzyć potrzebnych kapitałów. — Czy może państwo ma ich dostarczyć w drodze pożyczki? Spróbowano tego sposobu w r. 1848, lecz rozdane trzy miliony nie przyniosły szczęścia obdarzonym towarzystwom. Darowany pieniądz, a zwłaszcza darowany przez państwo, najłatwiej roztrwonić [1]).

A jednak nie uważamy trudności tej za niezwyciężoną. Silnie zorganizowane towarzystwa robotnicze, złożywszy dowody trwałości, dostałyby łatwo potrzebne im kapitały w drodze pożyczki, a na dowód przytoczyć można niemieckie towarzystwa kredytowo-udziałowe, które zdołały wypożyczyć setki milionów; zresztą mogłyby uzyskać wprost potrzebne kapitały, tworząc najpierw stowarzyszenia spożywcze, a na dowód przytoczyć można stowarzyszenia spożywcze angielskie, które także zebrały setki milionów ze swych zysków.

3. Wreszcie ostatnim szkopułem jest to, że *dążą do odbudowania tych właśnie form, które miały zniszczyć,* to jest przedsiębiorstwa wraz z systemem płacy — widzimy, jak trudno jest zmienić ustrój społeczeństwa! Z chwilą bowiem, gdy stowarzyszeniom tym dobrze się wiedzie, większa ich część zasklepia się w sobie, odmawia przyjęcia nowych

[1]) Łatwo zrozumieć, że to jest ulubiony środek socyalistów. Lassalle żądał od państwa kilkuset milionów na poparcie stowarzyszeń udziałowych; chodziło mu o wyposażenie ich kapitałem, wystarczającym do zwycięzkiej konkurencyi z przedsiębiorcami.

członków i zatrudnia płatnych robotników, zamieniają się więc poprostu w spółki małych przedsiębiorców. Jest to główny zarzut socyalistów, skierowany przeciw tym instytucyom, a pewnego uzasadnienia odmówić mu nie można. Z drugiej strony żądać od robotników, pracujących od początku, pracujących nad założeniem przedsiębiorstwa z powodzeniem dzięki oszczędności i wytrwałości, by podzielili się owocami swej pracy z robotnikami, przychodzącemi pod koniec, gdy powodzenie dzieła jest już zapewnione, jest to wymagać od nich niezwykłego zaparcia się siebie.

Należy spodziewać się, że przeszkody to będzie można usunąć przez rodzaj przygotowania, a przygotowanie te może być dwojakie:

1. Może niem być udział w zyskach, jeśli przedsiębiorca sam się poniekąd usunie, a rozporządzi udziałem w zyskach w ten sposób, że robotnicy za jego życia będą wspólnikami, a po śmierci jego dziedzicami. Uczynili to, przytaczam tylko najbardziej znane przykłady, p. Godin, zakładając t. zw. „familister“ w Guise i pani Boucicau, właścicielka znanych magazynów „au Bon Marché“ w Paryżu.

2. Mogą niem być stowarzyszenia spożywcze, które, gdy się dostatecznie rozwiną i potworzą związki między sobą, mogą założyć stowarzyszenia produkcyjne, dostarczając im kapitałów, kierowników i odbiorców — to znaczy wszystkich czynników, brakujących im zazwyczaj do powodzenia. Do tego celu dążą towarzystwa spożywcze angielskie. Założyły już szereg przemysłowych stowarzyszeń udziałowych, a wspierają kilka innych.

Stowarzyszenie produkcyjne, jako też udziałowe nie spotkało się z uznaniem ani ekonomistów szkoły liberalnej, którym wydaje się porządek społeczny dobrym, a więc zmiana jakakolwiek niepożądaną, ani skrajnych socyalistów, którym rewolucya wydaje się nieuniknioną, a więc nie trzeba je przeszkadzać. Ale ludzie, wierzący w istnienie kwestyi socyalnej, w potrzebę jej rozwiązania i chcący uniknąć rewolucyi socyalnej, na tych instytucyach oparli swe nadzieje.

ROZDZIAŁ IV.

Kapitalista.

I.

Prawo do próżnowania.

W każdem społeczeństwie istnieje grono ludzi, którzy nic nie robią, a przecież pobierają dochody i to zazwyczaj największe dochody. Zdaje się, że istnienie tej warstwy próżniaków jest w rażącej sprzeczności z zasadą: Każdemu wytwór jego pracy. Skoro nie pracują, nie mają prawa do życia, a zwłaszcza do dobrobytu. Słusznie można zapytać tych uprzywilejowanych śmiertelników, co za bóg zapewnił im odpoczynek: *Deus vobis haec otia fecit?*

O odpowiedź nie trudno. Osoby te są właścicielami domu, gruntu lub jakiegokolwiek kapitału; otóż zamiast produkcyjnie zużytkować swą ziemię lub kapitał na własny rachunek, albo zamiast mieszkać w swym domu, wolą z tej lub owej przyczyny, może właśnie dlatego, by nic nie robić, wynająć lub pożyczyć swe dobra innym osobom w zamian za kwotę pieniężną, wypłacaną corocznie, a zwaną procentem lub wynagrodzeniem za najem. Z tego żyją; żyją z kapitałów, mówi się o nich.

Czy należy wzbronić im tego? Na jakiej podstawie? Jeśli odrzucimy zasadę własności osobistej, oczywiście wyklucza się przez to samo prawo pożyczania i możliwość pobierania dochodu ze swych kapitałów. Jeśli jednak przyjmiemy ją, niema sposobu odmówienia producentowi prawa rozporządzania swą rzeczą według swej woli, przedewszystkiem zaś prawa wynajmowania i pożyczania jej za pewnem wynagrodzeniem.

Mimo tego szkoła kolektywistyczna odmawia mu tego prawa — wiemy już o tem. Przyznaje wprawdzie wytwórcy prawo dowolnego użycia części dóbr, którą prawnie zarobił,

nawet prawo darowania jej komukolwiek, pozwala mu nawet pędzić życie próżniacze, jeśli z części swej utrzymać się zdoła, — ale zabrania mu pożyczać jej, jakoteż używać jej produkcyjnie za pomocą pracy płatnych robotników, albowiem w obu wypadkach, żyłby z wytworu cudzej pracy.

Nie da się zaprzeczyć, że kapitalista żyje z cudzej pracy, lecz nie można twierdzić, że żyje *cudzym kosztem*, jeśli dzięki pożyczce lub dzierżawie ktoś drugi zarobi lub zyska kwotę pieniężną większą, niż procent lub czynsz, który musiał zapłacić; prawdopodobnie taki zachodzi tutaj stosunek, albowiem w przeciwnym razie, dlaczegoby pożyczający, dzierżawca lub najmujący zgodził się płacić roczne wynagrodzenie, a nawet żądał wynajmu?

Na to zgoda, powiedzą, gdyby przynajmniej pożyczone dobra były rzeczywiście wytworem osobistej pracy próżniaka i gdyby twierdzić można, że żyje z wyników dawniejszej pracy! Ale tak nie jest. Właściciel, żyjący ze swych czynszów dzierżawnych, nie wytworzył ziemi; właściciel, który żyje z wynagrodzenia za najem, nie wybudował domu, kazał go wybudować płatnym robotnikom; nawet kapitalista, żyjący z procentów nie zapracował swego kapitału, lecz zazwyczaj odziedziczył go po przodkach.

W odpowiedzi na to odwołać się tylko możemy do naszych poprzednich wywodów, tam wykazaliśmy, jak prawo własności osobistej w drodze logicznego rozwoju z wytworów pracy osobistej rozciągnęło się na ziemię, na dobra odziedziczone i na wytwory, które „kazano zrobić“. Można sprzeciwiać się rozszerzeniu prawa własności, na te różne rodzaje dóbr, ale raz przyjąwszy to prawo, nie można obcinać go, nie można pozbawiać go jednego z jego zasadniczych przywilejów.

Ze stanowiska prawniczego, łatwo więc wytłómaczyć istnienie warstwy próżniaków. Czyż zarzuty z punktu widzenia pożytku społecznego są bardziej uzasadnione?

Niema socyalisty, któryby się na to nie zgodził, a Stuart Mill wypowiedział to samo zdanie. Istotą kwestyi jest odpo-

wiedź na pytanie: *jaki pożytek przynosi społeczeństwu ta warstwa.*

Próżniacy nie są koniecznie piątem kołem u wozu. Próżniactwo może być użyteczne, może być prawdziwą funkcyą społeczną. Słowo próżniak, w naukowem znaczeniu, nie oznacza tych, którzy nic nie robią, lecz po prostu tych, którzy dzięki swemu stanowisku nie potrzebują troszczyć się o chleb codzienny, mogą więc zajmować się innemi sprawami, a nie pracą wytwórczą lub przynoszącą zyski. Starożytni uważali za niezbędne, by obywatele cały czas swój poświęcali sprawom publicznym. Dziś nawet, by zadosyć uczynić pewnym obowiązkom społecznym, by pracować na polu polityki i dyplomacyi, by sprawować rządy, by godnie odgrywać rolę znawcy w dziedzinie piśmiennictwa i sztuki, nie można mieć dłoni zgrubiałych od pracy codziennej a umysł zajęty myślą o zdobyciu koniecznych środków do życia. Do zadosyćuczynienia tym wielkim zadaniom nie wystarcza kilka godzin wolnych od pracy w fabryce lub w biurze.

Próżniactwo w tych okolicznościach, jest dobrze zrozumianym podziałem pracy [1]) i wykonywane w wyżej opisany sposób, bynajmniej nie powinno być potępiane, lecz uważane za najwyższą nagrodę, do której dążyć mogą ci, co dość napracowali się, i dość wytworzyli. Wprawdzie przez długie jeszcze wieki próżniactwo będzie tylko przywilejem małej liczby ludzi, albowiem, jak już powiedzieliśmy, społeczeństwa

---

[1]) Zachodzi tylko pytanie, czy ci, którzy w naszych społeczeństwach wykonują te wielkie zadania społeczne, spełniają je z pożytkiem dla społeczeństwa, czy też, przeciwnie, nie działają na szkodę społeczeństwa używając wolnych chwil do wynalezienia nowego sposobu roztrwonienia majątku.

Zachodzi także pytanie, czy część, która im się dostała w ogólnym rozdziale dóbr, jest sprawiedliwie wymierzoną. Nie można jej szacować we Francyi na mniej, jak na 4 lub 5 miliardów (3 miliardy z procentów, dywidend lub zaległości, 1 miliard z czynszów dzierżawnych, 1 miliard z wynagrodzeń za najem. Jestto może za wiele w porównaniu z oddanemi usługami.

nasze ze względu na swe ubóstwo nielicznym tylko wybrańcom przyznać mogą piękny zbytek spoczynku. Lecz powinniśmy spodziewać się, że liczba współuczestników w tym przywileju będzie bezustannie wzrastała.

Zbadajmy teraz z osobna trzy rodzaje kapitalistów.

II.

Czynsz dzierżawny.

Z pomiędzy trzech, wyliczonych przez nas warstw kapitalistów, najwięcej narażeni na krytykę są z pewnością właściciele ziemscy.

Słaba strona ich stanowiska jest bardzo widoczną; uznaliśmy istnienie własności ziemskiej za niezbędne dla doprowadzenia wytwórczości rolniczej do najwyższego stopnia rozwoju i dla wydobycia z ziemi jaknajwiększego dochodu.

Doszliśmy więc do wniosku, że właścicielom powierzono wielkie zadanie społeczne, jako *zarządcom, którym społeczeństwo oddało uprawę ziemi, przeznaczając im tytułem ostatecznego wynagrodzenia to wszystko, co zdołają wytworzyć.*

Niech i tak będzie: właściciel jednak źle wypełnia powierzone mu posłannictwo społeczne, gdy zamiast uprawiać ziemię, robi z niej narzędzie zbytku i środek życia bez pracy.

Trudno przypuścić, że ziemię dano kilku ludziom w tym jedynie celu, by mieli z niej dochód, *fruges consumere nati* tak, jak król rozdzielał niegdyś probostwa i włości lennicze synom rodziny. Powody więc które skłoniły nas do uznania własności, nie wystarczają do usprawiedliwienia czynszu dzierżawnego.

Nadto, widzieliśmy, że dzięki nieuniknionemu działaniu prawa o rencie gruntowej i stopniowo wzrastającej zwyżce w wartości ziemi, czynsz dzierżawny musi ciągle podnosić się, że więc ta warstwa nieczynnych właścicieli widzi bezustanne zwiększanie się swego dochodu, choć się do tego

wcale nie przyczynia. Tak to wytworzyła się arystokracya ziemska w Anglii. Przyczyny wyjątkowe i chwilowe, naprzykład teraźniejsza konkurencya zboża amerykańskiego, mogą powstrzymać ten rozwój, ale nie mogą go zmienić.

Wreszcie wynikający z umowy dzierżawnej, rozdział ról właściciela, i rolnika, przeciwny jest interesom uprawy. By zrobić z ziemi możliwie najlepszy użytek, trzeba ją kochać, trzeba się do niej przywiązać. Otóż, gdy ziemia jest wydzierżawioną, uczucie to nie objawia się ani u właściciela, który na niej nie mieszka, a czasami nawet jej nie zna, ani u dzierżawcy, który jest tylko przelotnym gościem i uważa się za obcego na niej.

A przecież mimo tego wszystkiego możność wydzierżawiania ziemi jest tak silnie związana z prawem własności, że znosząc ją ogranicza się bardzo prawo własności. Zabronienie tego mogłoby nawet wywołać poszkodowanie interesów rolnictwa, albowiem skutkiem zbiegu okoliczności ziemia może być własnością ludzi, którzy z powodu wieku, płci, zawodu, koniecznego oddalenia od swych włości lub z powodu rozciągłości swych rozrzuconych dóbr, sami nie są w stanie jej uprawiać; cóż więc mogą zrobić lepszego, jak wypuścić ją w dzierżawę?

Lecz dla złagodzenia tych niedogodności, ustawodawca powinien uważać za swój obowiązek:

1) Przeciwdziałać ile możności zwyczajowi dzierżawy popierając *uprawę ziemi bezpośrednio przez właścicieli.* Prawo francuskie dąży do tego celu o tyle, o ile ułatwia tworzenie małej własności [1])

Też same prawa jednak są szkodliwe, gdy utrudniają pozbycie nieruchomości, należących do górników, kobiet lub osób prawniczych. W tym razie zmuszają poniekąd ludzi do

---

[1]) Mniej niż połowa ziemi we Francyi, 40%, jest wypuszczona w dzierżawę, a 60% uprawiają bezpośrednio sami właściciele. Jestto stosunek bardzo korzystny; w niewielu tylko krajach (z wyjątkiem kolonii i państw młodszej cywilizacyi), dzierżawa obejmuje mniej niż połowę ziemi.

dzierżawy, bo obarczają własnością ziemską osoby, które bezpośrednio na gruncie gospodarować nie mogą. Pod pozorem ochrony interesów prywatnych, szkodzą interesom publicznym.

2) W razie, gdy dzierżawa jest nieuniknioną, dążyć do ochrony interesów uprawy przez długoterminowe umowy dzierżawne i przez zapewnienie odszkodowania dzierżawcy ustępującemu, równego zwyżce w wartości ziemi, o ile ona jest wytworem jego pracy.

III.

Czynsz najmu.

Ze stanowiska teoretycznego prawo do wynagrodzenia za najem nie jest narażone na te same zarzuty, co prawo do czynszu dzierżawnego, boć trudno udowodnić, że dom nie jest wytworem pracy. Można co prawda zastosować to wierdzenie do ziemi, ale grunt w tym wypadku jest tylko dodatkiem do budowy.

Również ze stanowiska praktycznego łatwiej bronić wynagrodzenia za najem. Trudno potępiać osoby, które zamiast budować domy dla siebie, budują domy w celu wynajmowania ich innym. Przeciwnie, przez to oddają wielką usługę wszystkim potrzebującym mieszkania. Wprawdzie, gdyby wyświadczały tę przysługę darmo, lub nawet, jak tego żąda kilku dowcipnych socyalistów, dopłacały swym lokatorom za strzeżenie domów, byłoby to jeszcze wygodniejszem dla publiczności; ponieważ jednak w tym razie każdy budowałby domy tylko dla siebie, byliby ci, co nie mają za co wybudować domu, narażeni na nocleg pod gołem niebem.

A przecież z pomiędzy wszystkich kapitalistów najbardziej znienawidzonym wśród warstwy robotniczej jest ten, którego nazywają „kamienicznikiem“, za najcięższy podatek

zaś uważa robotnik ten, który musi uiścić w dniu zapłaty czynszu za mieszkanie.

Bo też istotnie własność domów rozwija się w jeszcze wyższym stopniu, jak własność ziemi w kierunku monopolu; wszystkie przyczyny społeczne, ekonomiczne, polityczne, które popychają ludność do skupiania się po wielkich miastach, centralizacya polityczna, wielka produkcya, rozwój kolei żelaznych, uroczystości, teatr, kawiarnie działają na bezustanne zwiększanie się ceny mieszkań; przynosi to wielkie zyski właścicielom domów, ale zarazem wielką szkodę publiczności[1]). Jest to jeden z najsmutniejszych wyników rozwoju ekonomicznego.

W starożytności nie znano wynajmowania mieszkań; dom był nietylko ogniskiem rodziny, lecz także ołtarzem bogów domowych, a każdy, bogaty czy ubogi, posiadał swój dom. Dziś, gdy dzięki nowożytnym wymaganiom ludzie napowrót zaczynają wieść życie koczownicze i nie osiedlają się w miejscu rodzinnem, olbrzymia większość społeczeństwa żyje w wynajętych mieszkaniach.

Bogatym nie robi to różnicy, potrafią się łatwo zastosować do tego, ale biedni źle na tem wychodzą. Wzrost ceny mieszkań zmusza robotników do gromadzenia się w nędznych dziurach i wywołuje smutne skutki, czy to ze stanowiska hygieny, czy też ze stanowiska moralności. Wiele wad, prześladujących ludność robotniczą, rozluźnienie węzłów rodzinnych, uczęszczanie do karczmy, przedwczesna rozpusta, a nawet kilka plag, które trapią społeczeństwo, n. p. śmiertelność i epidemie, pochodzi z tej przyczyny. Życie godne człowieka jest zresztą ściśle związane z pewną wygodą ogniska domowego.

Jedynem zbawiennem lekarstwem byłby zwrot w kierunku wprost przeciwnym dotychczas panującemu, to jest

---

[1]) Czterdzieści lat temu ludność miejska stanowiła trochę mniej, niż $^1/_4$ całej ludności francuskiej (24.42%), a dziś stanowi trochę więcej niż $^1/_3$ (35%). Słowem ludność miejska wzrosła w ciągu 40 lat o 50%.

wstrzymanie rozrostu wielkich miast i powrót na wieś ludności, która rolę opuściła. A choć nie należy tracić nadziei [1]), na razie przecież nic nie zapowiada jej bliskiego urzeczywistnienia.

Trzeba więc szukać innego lekarstwa, a najlepszem jest budowanie domów mieszkalnych dla robotników, któreby się mogły stać kiedyś ich własnością przez spłatę małego rocznego czynszu wraz z amortyzacyą. Rozmaite towarzystwa — w bliższe szczegóły tutaj wdawać się nie możemy — z których najciekawszem jest stowarzyszenie robotników dla wybudowania sobie własnych domów, ułatwiają osiągnięcie tego celu [2]). Józef Prudhomme miał, jak wieść niesie, powiedzieć: „Ludzie, którzy nie mają z czego zapłacić pomieszkania, powinni mieć swój dom“. Wydaje się to może na pierwszy rzut oka trochę paradoksalnem, a przecież w stworzeniu ogniska domowego dla robotnika szukać należy rozwiązania tej kwestyi.

IV.

Procent.

Uprawnienie czynszu dzierżawnego i wynagrodzenia za najem, niezaprzeczane w starożytności i średnich wiekach, zaczepiono dopiero wtedy, gdy rozpoczęto walkę z własnością ziemi i domów. Lecz ciekawym zbiegiem okoliczności, upra-

---

[1]) Powiedziałem, że nie trzeba tracić nadziei, albowiem stworzenie tanich środków przewozu umożliwi robotnikom i urzędnikom wyszukanie mieszkania czystszego i tańszego po za obrębem wielkich miast (omnibusy, tramwaje, koleje miejskie), rozszerzy zatem wpływ miasta do najdalszych zakątków wiejskich.

[2]) Towarzystwa te *(building societies)* są bardzo liczne w Anglii i w Stanach Zjednoczonych; w Filadelfii wyniki ich działalności są tak świetne, że każdy robotnik posiada swój dom, a miasto nosi piękną nazwę *city of homes*, miasto domów.

wnienie procentu gwałtownie zaczepiono, zanim jeszcze ktokolwiek myślał o zniesieniu własności osobistej, na długi czas nawet przed istnieniem socyalistów. I to w szeregach jego nieprzyjaciół nie stanęło kilku mizantropów, lecz najświetniejsi przedstawiciele wiedzy ludzkiej, filozofia starożytna z Arystotelesem, katolicyzm z wszystkimi ojcami Kościoła, reformacya z Lutrem, prawo cywilne z Pothierem na czele..... trudnoby było skończyć, chcąc wyliczyć wszystkich przeciwników tego źródła dochodu, wyklętego, jako lichwa. Pożyczka na procent, mniej lub więcej zakazywana w ciągu wieków przez prawa świeckie i kościelne, nosi na sobie dziś jeszcze znamię wiekowego potępienia — ustawa francuska z roku 1807 ogranicza ją do 5%, choć nigdy ustawowo nie określono wysokości czynszu dzierżawnego lub wynagrodzenia za najem.

Tak powszechny objaw musi mieć przyczynę. Łatwo ją wyszukać.

Jeśli chodzi o dzierżawę, każdy widzi, że dochód płynie z ziemi w postaci żniw i każdy czuje, że dzierżawca nie płaci czynszu właścicielowi z własnej kieszeni. Dzierżawca — rozumieją to wszyscy — zwraca tylko wytwory powierzonego mu narzędzia wytwórczego, a ponieważ zwraca część, musi więc pozostać jakiś zysk dla niego.

Jeśli chodzi o pożyczkę, dzieje się przeciwnie, dochód w postaci procentu z pożyczonego worka pieniędzy jest niewidocznym. Arystoteles mawiał: „Nigdy jeszcze pieniądz sam przez się nie pomnożył się“. A więc — myślano sobie — procent płaci pożyczający z własnej kieszeni.

Nadto trzeba przyznać, że w starożytności, zarówno jak w średnich wiekach, sąd ten był uzasadnionym. Przez długi czas pożyczka na procent była przeważnie kredytem spożywczym. Plebejusz w Rzymie, zaciągający pożyczkę u patrycyusza, by kupić sobie chleba, rycerz średniowieczny, zadłużający się u żyda w celu kupienia sobie broni, obracali pożyczkę na swój użytek osobisty, a więc nie na cel wytwórczy. W tych warunkach pożyczka była zawsze przyczyną

upadku majątkowego i to właśnie tłumaczy ten starożytny, powszechny przesąd.

Dziś jednak dzieje się inaczej. Stosunki zmieniły się. Niegdyś bogaci pożyczali ubogim; dziś ubodzy pożyczają bogatym. Dawniej pożyczano na chleb codzienny, a teraz z długów wyrastają majątki. W minionych wiekach trzeba było bronić zadłużonych przeciw chciwości wypożyczających pieniądze, w naszych czasach trzebaby chyba bronić wierzycieli przed wyzyskiem ze strony dłużników. Słowem, dopiero w XIX wieku kredyt przedstawia się w swej właściwej roli, jedynej, którą odgrywać powinien w ustroju ekonomicznym, to jest jako środek produkcyi.

Wprawdzie potępienia godne i szkodliwe rodzaje dawniejszego kredytu nie znikły jeszcze zupełnie. Nie zapomnieli o nich synowie, podpisujący weksle, biedni ludzie kupujący na kredyt u małych kupców, a przedewszystkiem rządy, zaciągające długi na kupno dział, lecz to tylko wyjątki; na szczęście największa część olbrzymich kwot pieniężnych, które kredyt codziennie przesuwa z ręki do ręki, używaną jest w celach wytwórczych.

Odtąd już przesąd przeciw uprawnieniu procentu pozbawionym jest podstawy. Pożyczony kapitał służy do produkcyi, procent tak, jak czynsz dzierżawny, jest tylko cząstką, pobraną z uzyskanych dochodów, a nie opłatą, nałożoną na osobistą pracę, zaciągającego pożyczkę.

Należy pamiętać nadto, że do kapitału nie można zastosować tego, cośmy powiedzieli o ziemi, społeczeństwo powierzyło ziemię właścicielowi pod warunkiem pracowania na niej. Ale kapitału społeczeństwo nie powierzyło kapitaliście — on go stworzył.

Jeśli uprzytomnimy sobie zadanie kapitału w produkcyi, pytanie o uprawnieniu procentu rozwiązuje się samo przez się, a zbijanie dowodów, które nagromadzili prawnicy i teologowie w uczonych rozprawach za lub przeciw pożyczce na procent, staje się zbytecznem. Nawet socyaliści przestali o tem mówić.

Przenieśli jednak spór na inne pole. Nie przeczą już temu, że procent jest koniecznym, a więc uprawnionym wynikiem własności osobistej kapitałów, ale zaczepiają własność osobistą kapitału. O teoryi tej mówiliśmy już poprzednio, tam więc czytelnika odsyłamy.

V.

Czy stopa procentowa zmniejsza się?

Nie wiele teoryj cieszy się tak powszechnem uznaniem w nauce gospodarstwa społecznego, jak teorya o stopniowej i ciągłej zniżce stopy procentowej. Ekonomiści, zwolennicy szkoły klasycznej, przytaczają ją jako przykład prawa przyrodzonego i harmonijnego zarazem. A oto dowody, któremi bronią tej teoryi:

Procent składa się z trzech pierwiastków:

1. *Cena lokacyi kapitału,* która jest pierwiastkiem zasadniczym, zależnym od prawa popytu i podaży, to jest od mniejszej lub większej obfitości kapitałów na targu;

2. *Premia asekuracyjna przeciw możliwym stratom,* albowiem, chociaż dający pożyczkę nie jest wspólnikiem przedsiębiorcy, a więc nie ma nic do czynienia ze stratami, naraża się przecież zawsze na jedno niebezpieczeństwo, na niewypłacalność swego dłużnika;

3. *Udział w wytworze przedsiębiorstwa,* albowiem i tym razem, choć dający pożyczkę nie jest w spółce z przedsiębiorcą, a więc nie bierze udziału ani w dochodach, ani w stratach, mimo tego udział, który otrzyma, będzie tem większy, im więcej dłużnik z pożyczonego kapitału wytworzyć zdoła.

Różnorodne działanie tych trzech pierwiastków objawia się w wysokości stopy procentowej. Znaną jest rzeczą, że stopa procentowa wzrasta oczywiście, o ile inne okoliczności nie uległy zmianie, jeśli ilość kapitałów zmniejsza się lub możliwość strat zwiększa się, lub jeśli zużycie kapitałów

staje się bardziej produkcyjnem. Ponieważ te trzy przyczyny działają równocześnie w koloniach i w krajach młodszej cywilizacyi, n. p. w Australii i w Stanach Zjednoczonych, zwykła stopa procentowa dosięga w tych państwach 8 lub 10%, a nawet więcej. Otóż te same powody, które przyczyniają się do zwyżki stopy procentowej w społeczeństwach, będących jeszcze w kolebce swego rozwoju, działają w kierunku przeciwnym w starzejącem się społeczeństwie i wpływają na stopniową zniżkę stopy procentowej. Mamy wszelką podstawę do przypuszczenia, że w miarę rozwoju społecznego kapitały będą zarazem: *mniej produkcyjne*, albowiem sposobność do zużycia będzie rzadszą i mniej zyskowną; — *liczniejsze*, albowiem oszczędność długiego szeregu pokoleń nagromadzi ich wiele; — *lepiej zabezpieczone*, albowiem życie spokojniejsze, obyczaje jeśli nie lepsze, to przynajmniej bardziej cywilizowane, administracya sprężystsza, posłuch wobec rządu, przyczynią się do wzmocnienia bezpieczeństwa pod względem politycznym, prawnym, a nawet moralnym.

Gdyby to prawo o stopniowej zniżce stopy procentowej było prawdziwem, byłoby bardzo dobroczynnem zarówno ze stanowiska rozdziału dóbr, jakoteż ze stanowiska produkcyi: ze stanowiska rozdziału dóbr, albowiem przez nieustanne zmniejszanie opłaty, nakładanej przez kapitał na ogólną produkcyę, zwiększałoby udział pracy w dochodach społecznych [1]); — ze stanowiska produkcyi, albowiem przez ciągłe zniżanie ceny lokacyi kapitału, a więc w dalszym ciągu i kosztów produkcyi, ułatwiłoby urzeczywistnienie dotychczas niewykonalnych przedsiębiorstw [2]).

---

[1]) Od stopy procentowej zależnym jest nietylko dochód kapitalistów, lecz pośrednio wysokość zysku, czynszu za najem, nawet czynszu dzierżawnego, a więc dochód wszystkich warstw posiadających.

[2]) Oto ziemia, którą wykarczować można, oto domy mieszkalne dla robotników, które zbudować można, lecz dochód z nich wyniesie tylko 3%. Jeśli zwykłą stopą procentową jest 5%, trudno będzie znaleść kapitały na te przedsiębiorstwa, a w razie wprowadzenia ich w życie, przyniosłyby tylko straty;

Niestety, nie odmawiając znaczenia dowodom, powyżej przytoczonym, nie możemy zgodzić się na to prawo bez zastrzeżeń.

Wartość kapitału tak samo, jak wartość ziemi, pracy, każdego innego towaru zawisłą jest od jego użyteczności i od jego rzadkości. Otóż wprawdzie kapitały, według bardzo rozumnych przewidywań, będą stawały się coraz liczniejsze, lecz niema powodu, dla któregoby stawały się mniej użyteczne. Podaż może wzrastać bez końca, lecz ze względu na coraz większe wymagania produkcyi, musi także i popyt wzrastać bez końca. Co się tyczy strat, nie ma na to dowodu, że dzisiaj są mniejsze w przemyśle niż niegdyś, lub, że będą zmniejszały się w miarę, jak człowiek stanie się odważniejszym i bardziej przedsiębiorczym, na przykład wtedy, gdy będzie podróżował balonem, zamiast koleją albo parowcem [1]). Doświadczenie również nie potwierdza prawdziwości tego prawa, pod koniec bowiem państwa rzymskiego, pietnaście wieków temu, stopa procentowa była mniej więcej taka sama, jak dziś, a w wieku XVIII w Holandyi była niższą od stopy dzisiejszej. Wreszcie, jeśli zniżka stopy procentowej ma być nieskończoną, trzeba być logicznym i wy-

---

nikt więc nie zechce tego zrobić. Przypuśćmy jednak, że stopa procentowa spadnie do 2%, wówczas wszyscy rzucą się do tego. Turgot w sławnem zdaniu porównuje zniżkę stopy procentowej do stopniowej zniżki wód, umożliwiającej uprawę coraz to nowych ziem.

[1]) Paweł Leroy- Beaulieu, jeden z najgorętszych zwolenników teoryi o stopniowej zniżce stopy procentowej, opiera się głównie na tem twierdzeniu, że przedsiębiorstwa przynoszą coraz to mniejsze dochody. Co się tyczy przemysłu przetwórczego, proroctwo to nie sprawdza się, co się tyczy przemysłu rolniczego zgadza się z rzeczywistością z powodu prawa o stosunkowem zmniejszaniu się wydajności ziemi, (choć Leroy-Beaulieu popada w sprzeczność i nie chce uznać tego prawa). Lecz właśnie z prawa o zmniejszaniu się wydajności ziemi wynika potrzeba użycia trzy lub cztery razy więcej kapitałów; czyż więc nie byłoby bardziej uzasadnionem przeciwne twierdzenie, mianowicie, że kapitały będą o tyle potrzebniejsze, o ile wydajność ziemi się zmniejszy.

ciągnąć z tego wniosek, że kiedyś dojdzie do zera. Ekonomista angielski M. Foxwell miał na tyle odwagi; zdaniem jego przyjdzie czas, kiedy kapitaliści zamiast pobierać procent od tych, którym powierzą swój majątek będą ich jeszcze wynagradzali za trud przechowania i zarządu. Będzie to dzień zadowolenia dla socyalistów, ziszczą się marzenia Proudhona o „bezpłatnym kredycie“, jak dotąd jednak socyaliści nie łudzą się tą nadzieją — i nie mylą się.

ROZDZIAŁ V.

Ubodzy.

I.

Prawo do wsparcia.

Rozmaite warstwy ludzi, nad któremi dotychczas zastanawialiśmy się, czerpią dochody już to z jakiegokolwiek kapitału, już to z pracy. Lecz w każdem społeczeństwie istnieje szereg ludzi, którzy nie mają ani jednego, ani drugiego źródła dochodu, nic bowiem nie posiadają i nie pracują. Są więc narażeni na śmierć głodową. Dlaczego jednak nie pracują? Pochodzić to może z trzech przyczyn:

1. Z braku *sił* do pracy (dzieci, starcy, wszyscy dotknięci chorobami lub słabościami chronicznemi);

2. Z powodu niemożności znalezienia *środków* do pracy. Chęć do pracy nie wystarcza, trzeba jeszcze „znaleść robotę“ jak to powiadają, to znaczy rozporządzać surowcami i narzędziami, a w razie przesilenia i bezrobocia brak i jednych i drugich;

3. Z braku *chęci* do pracy. Każda praca, wiemy o tem, wymaga wysiłku mniej lub więcej przykrego. Wielu ludzi woli narazić się na niebezpieczeństwo śmierci głodowej, niż zadać sobie ten trud i poddać się karności, stanowiącej niezbędny warunek każdej pracy.

Co ma robić społeczeństwo z temi trzema rodzajami ubogich? — Nie może uwolnić się od konieczności zajęcia się nimi. Musi zająć się pierwszym, z pobudek czysto ludzkich. Wprawdzie w zwykłych stosunkach rodzina powinna wspomagać tych krewnych, którzy sami nie mogą sobie dać rady, lecz rodzina w naszych czasach jest często rozrzuconą, a czasami na przykład dla nieprawych dzieci nie istnieje [1]). W tych razach społeczeństwo powinno zastąpić rodzinę; gdyby społeczeństwo cywilizowane pozwalało umrzeć z głodu swym dzieciom i starcom, powrót do czasów pierwotnych byłby lepszym, wówczas zabijano ich, a to było mniej okrutnem.

Musi zająć się drugim rodzajem, ponieważ jest poniekąd odpowiedzialne za to położenie. Ustrój ekonomiczny społeczeństwa zrodził ten sztuczny, a nawet, możnaby powiedzieć, przeciwny naturze, rozdział pomiędzy pracującym, a narzędziem pracy, zmusił więc robotnika do szukania zarobku. Prawo postępu, które objawia się w wielkiej produkcyi w wynalazkach maszyn, w handlu międzynarodowym, w konkurencyi, wywołuje przesilenia i bezrobocia. Sprawiedliwość tedy wymaga, żeby społeczeństwo, które ciągnie zyski z każdego dokonanego postępu i które w tej wielkiej walce o byt zbiera wszystkie korzyści zwycięstwa, ponosiło i jego ciężary, niosąc pomoc rannym i zwyciężonym.

Społeczeństwo musi zająć się i trzecim rodzajem, choć nie przedstawia on nic sympatycznego, ponieważ jest niebezpieczeństwem publicznem. Ten tłum żebraków i włóczęgów jest najlepszym materyałem na zbrodniarzy. A ponieważ społeczeństwo, gdy raz popełnią jakikolwiek występek, będzie musiało dać im pomieszkanie i żywić ich w więzieniu, a nic więcej nie kosztuje, jak utrzymanie więźnia [2]), jest zatem rozumniej i zarazem oszczędniej, zająć się nimi już przedtem. Te różne rodzaje ubogich mają prawo oczekiwania

---

[1]) We Francyi rodzi się co roku 70 do 80.000 dzieci nieprawych.

[2]) W nowych wzorowych więzieniach, które teraz budują, jedna izba więzienna kosztuje 6000 fr.

pomocy od społeczeństwa, zwane *prawem do wsparcia*. Szkoła socyalistyczna nie lubi tego słowa, uważa je za poniżające i woli używać słów *prawo do bytu* lub *prawo do pracy*, jeśli chodzi o ludzi zdolnych do pracy. To są ładne słowa, lecz w głębi rzeczy oznaczają tylko prawo żądania od społeczeństwa, to jest od swych współobywateli, środków do utrzymania życia [1]). Ten kto żyje kosztem swych bliźnich, albowiem sam utrzymać się nie może — choć niema w tem nic poniżającego, a nawet, naszem zdaniem, jest to należnem mu prawem — żyje przecież tylko ze wsparcia, jakiemkolwiek mianem nazwiemy ten sposób życia.

Trzeba tylko używać słowa „prawo do wsparcia“ w prawdziwem jego znaczeniu, trzeba zarazem uznać zobowiązanie ze strony społeczeństwa, nietylko zobowiązanie przyrodzone, lecz i zobowiązanie prawne. Wielu ekonomistów sądzi, że wspieranie jest obowiązkiem społeczeństwa, lecz nie prawem ubogiego; jest to tylko prawnicze rozróżnienie. Ilekroć osoba jakaś znajdzie się w pewnych okolicznościach, które prawo oznaczy, społeczeństwo nie będzie mogło uwolnić się od obowiązku wspomożenia jej, wydatek, potrzebny na ten cel, wpisany będzie do budżetu państwa lub gmin; jest to znamię odróżniające wsparcie prawne od tego, które zawisłem jest od dobrej woli wspierającego.

Szkoła klasyczna, a przedewszystkiem szkoła Maltusa, sprzeciwia się jednak „prawnemu wsparciu“. Zarzuty jej streścić można w tem często powtarzanem zdaniu: *„Liczba ubogich wzrasta w stosunku prostym do zapewnionego im wsparcia“*. A oto dowody na to:

1. Prawo do wsparcia przyczynia się do rozwoju *nie przezorności*. Wielu ludzi, którzyby mogli byli dać sobie rady, gdyby na niczyją pomoc nie liczyli, nie myśli o zaoszczędzeniu grosza na starość lub dla dzieci, właśnie dlatego, że spodziewa się pomocy państwa dla siebie i dla dzieci.

---

[1]) Jasną jest rzeczą, że żądając prawa do pracy, ma się na myśli poprostu zarobek, praca jest tylko środkiem. Zresztą praca jest właściwie obowiązkiem, a nie prawem.

„Drwij sobie z trosk“ — powiada piosnka robotników wiejskich w Anglii — „parafia jest dobrą matką, ona nas wszystkich wyżywi“.

2. Prawo do wsparcia *przyczynia się do wzrostu ludności ubogiej*. Cóż im to szkodzi, przecież troska o wychowanie nie do nich należy. Oni mogą tylko zyskać na tem, bo wsparcia, rozumie się samo przez się, rozdzielane bywają w stosunku do liczby dzieci. Tą drogą dochodzi się do wyznaczania premii za zwiększanie się liczby nędzarzy, a w głębiach społeczeństwa wytwarza się osobna warstwa ubogich, zapisanych bez wyjątku na liście wsparcia publicznego; przekazują z pokolenia na pokolenie swe prawa i zarazem swe błędy, otacza ich pogarda, oni jednak zwyrodnieli do tego stopnia, że zadowolnieni są ze swego położenia i nie pracują nad jego poprawą.

3. Prawo do wsparcia *osłabia warstwy wytwórcze społeczeństwa na korzyść warstw niewytwórczych* i przeciwdziała tym sposobem prawu przyrodzonego doboru, które właśnie udoskonala ustrój społeczny, zapewniając przewagę żywiołom silnym nad żywiołami słabemi. Istotnie, jest rzeczą jasną, że warstwy ubogie nie są najzdrowszą i najdzielniejszą cząstką ustroju społecznego. Społeczeństwo zaś może ich żywić tylko podatkami, pobieranemi z wytworu pracy zdolnych do wytwarzania. Wobec ciągłego wzrostu warstwy ubogich, haracz, nałożony przez nią na warstwy pracujące, zwiększa się również bez końca i może strąci w końcu z kolei produkujące warstwy w przepaść ubóstwa [1]). Teorya ta o stosunkowem wzrastaniu liczby ubogich jest zanadto skrajna, wszyscy bo-

[1]) W każdem społeczeństwie jest wielu ludzi, których dochody ledwo pokrywają wydatki i którzy stoją na pograniczu między zamożnością, a ubóstwem. Szalę przeważyć może niewielki podatek, który wystarczy do zepchnięcia ich na drugą stronę granicy, w szeregi ubogich. W Anglii zdarzało się, że mali właściciele nie mogli uiścić się z opłaty parafialnej na rzecz ubogich, bo była zanadto uciążliwą dla nich, wywłaszczano ich zatem z ziemi, a skutkiem tego, pozbawieni dochodów przechodzili z warstwy wspierających do warstwy wspieranej.

wiem wiedzą (statystyka nie pozwala zaprzeczyć temu), że w Anglii liczba potrzebujących pomocy zmniejsza się z roku na rok. Z tych dowodów jeden tylko można wyciągnąć wniosek, to jest, że należy jak najostrożniej zorganizować prawo do wsparcia publicznego, ale nie można ukuć z nich broni przeciw prawu, jako takiemu.

Wprawdzie nadzieja otrzymania pensyi, wypłacanej jako wsparcie z funduszów publicznych, osłabia działalność wytwórczą lub oszczędność; lecz pewny przytułek, oczekiwanie spadku lub poprostu posiadanie papieru wartościowego wywołuje zupełnie te same skutki.

Wprawdzie utrzymanie i zachowanie wśród społeczeństwa wszystkich chorych, słabych, nieudolnych, leniwych lub poprostu niewinnych i dobrodusznych szkodzić może ekonomicznemu rozwojowi; lecz rozwój moralny nie jest mniejszej wagi, a byłby ciężko skrzywdzonym w społeczeństwie, któreby przyjęło za zasadę niemiłosierne usunięcie wszystkich nędzarzy.

Wprawdzie liczba urodzeń jest wyższą w warstwach wspieranych niż w warstwach, które same sobie wystarczają; jeśli jednak wychowamy te dzieci na dobrych obywateli, będzie to dobrodziejstwem, a nie nieszczęściem, zwłaszcza we Francyi, ponieważ tam warstwy wyższe nie chcą lub już nie mogą wytwarzać dzieci.

II.

Organizacya pomocy publicznej.

Wsparcie z funduszów publicznych powinno opierać się na następujących zasadach:

1) Powinno być gminnem (lub parafialnem, jak powiadają w Anglii). Gminie łatwiej jest, niż państwu, rozróżnić prawdziwych ubogich od oszustów dlatego, ponieważ tworzy zazwyczaj małe stowarzyszenie, to też gmina zwykle mniej pieniędzy rozdaje między oszustów. W tym ustroju każdy ma prawo do pomocy tylko w tej gminie, w której

urodził się lub w której żyje [1]). W każdym razie, ponieważ mogłoby się zdarzyć, że ciężary ztąd wynikające byłyby zanadto nierówno rozłożone, mogą gminy łączyć się w stowarzyszenia (tak jak w Anglii), a państwo może im przyjść z pomocą, gdyby dochody ich były niewystarczające.

2) Wsparcie z funduszów publicznych powinno być *obowiązkowem*, jak to już powiedzieliśmy, to znaczy, że na pokrycie wydatków powinny istnieć osobne źródła dochodów. We Francyi jest inaczej. Istnieje tam wprawdzie wsparcie z funduszów publicznych (niema kraju cywilizowanego, w którymby wsparcie tego rodzaju zgoła nie istniało), a nawet wydaje się na ten cel przeszło 50 milionów rocznie [2]), ale wydatki te zależą wyłącznie od dobrej woli gmin, departamentów lub państwa. A przecież prawo to odnajdujemy w licznych, z kolei po sobie następujących, konstytucyach francuskich, ponieważ jednak żadna ustawa nie określiła bliżej tego wsparcia, przeto prawo do wsparcia pozostało nadal czczym frazesem ustawodawczym. Głównemi czynnikami wsparcia z funduszów publicznych we Francyi są *domy dobroczynności*, jakoteż *szpitale i przytułki*. Zadaniem domów dobroczynności jest dostarczanie pomocy w pomieszkaniach ubogim; przytułki opiekują się starcami, dziećmi i kalekami (ślepymi, głuchymi i obłąkanymi); szpitale zaś przyjmują chorych. Zarząd zakładów tych sprawują komisye administracyjne. Źródłami dochodów są przedewszystkiem dobra, które zakłady te nabyły jako osoby prawnicze w drodze darowizny lub zapisu; nadto rozporządzają zasiłkami, przy-

---

[1]) Ten warunek *prawnego miejsca pobytu*, jak go nazywają, pociąga za sobą co prawda pewne niedogodności, wywołuje on mianowicie trudności i nieustanne spory między gminami; lecz we Francyi warunek ten miałby może tę zaletę, że przywiązywałby robotników do gminy, w której urodzili się, że więc położyłby w pewnej mierze tamę wyludnianiu się wsi i rozrostowi wielkich miast.

[2]) Budżet wsparcia z funduszów publicznych wynosi 40 milionów dla gmin, (z tego przypada na sam Paryż 21 milionów), a 13 dla państwa.

znawanemi im dobrowolnie, a nie z mocy ustawy, przez gminy i kilku innemi nieznacznemi funduszami [1]).

W Anglii tak, jak we wszystkich krajach protestanckich [2]), wsparcie z funduszów publicznych jest obowiązkowe. Zajmuje się niem szereg ustaw, z których pierwsza sięga czasów królowej Elżbiety, a całość jest pomnikowem dziełem ustawodawstwa angielskiego. Każda parafia pokrywa wydatki z tytułu wsparcia osobnym podatkiem zwanym *poor-rate*, (podatek na ubogich), cały dochód z tego źródła wynosi mniej więcej 200 milionów franków.

3) Wsparcie z funduszów publicznych powinno być wykonywane w odrębnych, na ten cel przeznaczonych zakładach, zastosowanych do rozmaitego rodzaju ubogich:

a) Dla kalek, starców, dzieci, ślepych i t. d. powinny istnieć *przytułki* i ochrony, w którychby każdy w razie potrzeby mógł znaleść pomieszczenie.

b) Dla ubogich, zdolnych do pracy, ale pozbawionych zatrudnienia, trzeba założyć *domy pracy*, gdzie każdy będzie *swobodnie wchodził i wychodził*. Najlepsze byłyby *osady rolne*, w którychby zatrudniano ubogich pracą na roli [3]).

---

[1]) Państwo przyznało im dochód z kilku małych podatków, na przykład 10% pobieranych od teatrów i widowisk publicznych.

[2]) Państwa europejskie można podzielić pod względem ustawodawstwa o wsparciu z funduszów publicznych na dwie zupełnie różne kategorye.

Wszystkie kraje protestanckie przyjmują zasadę obowiązkowego, to jest ustawą nakazanego wsparcia z funduszów publicznych, kraje katolickie znają tylko dobrowolne wsparcie z funduszów publicznych. Powód tego ciekawego przeciwieństwa jest czysto historycznym. W ciągu średnich wieków zakony katolickie podjęły się utrzymywania ubogich, w krajach zaś, w których reformacya zwyciężyła, państwo zagarniając majątki stowarzyszeń kościelnych, zazwyczaj ponosiło ciężary, połączone z nimi, a więc także obowiązek wspierania ubogich.

[3]) Odrzuciliśmy zasadę prawa do pracy, lecz trzeba zachować *obowiązek do pracy*, są to dwa różne pojęcia, jeśli chodzi o ubogich, zdolnych do pracy. Trudno jednak znaleść pracę produkcyjną, a zwłaszcza nie łatwo jest zmusić potrzebujących wsparcia do pracowania. W Anglii zamykają ubogich w sła-

c) Dla włóczęgów i żebraków trzeba zbudować *domy pracy przymusowej*, a ponieważ celem ich jest wywarcie wpływu umoralniającego i uszlachetniającego, przeto według tego oznaczyć należy czas zamknięcia w tych zakładach [1]).

d) Dla chwilowo zubożałych należy założyć *schroniska nocne* i *kuchnie ludowe*, gdzie znajdą pomieszkanie i żywność na przeciąg dwóch lub trzech dni.

Nie znaczy to, że wsparcie z funduszów publicznych powinno bezwarunkowo wykluczyć z zakresu swego działania udzielanie pomocy w pomieszkaniu. Ten sposób wsparcia ma wielkie zalety, przedewszystkiem jest o wiele mniej kosztownym i nie niszczy życia rodzinnego przez przymusowe

---

wnych *work houses* i używają ich do prac poniżających nawet przez swą bezużyteczność (na przykład do robienia sznurów z przędzy i do rozplątywania tych samych sznurów w celu zrobienia z nich napowrót przędzy). Wyniki osad rolnych w Holandyi i w Niemczech są o wiele więcej zadowalniające. Ubodzy pracują tam daleko chętniej, nie czują, że są uwięzieni, a przedewszystkiem praca ich jest bardziej wytwórczą, albowiem większość tych zakładów pokrywa mniej więcej koszta, połączone z ich utrzymaniem. Nadto wielu z tych ubogich zostaje dzierżawcami, a nawet właścicielami, a to właśnie jest głównym celem wszelkiego wsparcia. (Szczegóły o tej instytucyi i o wszelkich rodzajach wsparcia z funduszów publicznych lub prywatnych znaleźć można w małej książce p. pastora Robin: *Hospitalité et travail*).

[1]) Ustawodawstwo francuskie jest pod tym względem niedorzecznem. Kodeks karny uważa za przekroczenie „nie mieć ani mieszkania, ani środków utrzymania;“ skutkiem tego trybunały skazują rok rocznie na kilka dni więzienia kilkanaście tysięcy nieszczęśliwych ludzi, których jedyną winą brak pomieszkania i pożywienia. Więzienie dostarcza im jednego i drugiego na przeciąg kilku dni, lecz uwolnieni z konieczności popełniają znowu ten sam występek, wpadają z recydywy w recydywę, aż w końcu ciągłe przesiadywanie w więzieniu zamieni ich w zatwardziałych zbrodniarzy. Dopiero wtedy, gdy ustawa stworzy przytułki dla wszystkich biednych, można wydać prawo zakazujące żebraniny i karzące włóczęgę, w takim razie jednak prawo to powinno bacznie wystrzegać się zamykania tego rodzaju przestępców na kilka tylko dni i łączenia ich z zbrodniarzami zawodowemi.

rozłączenie. Lecz administracya publiczna zazwyczaj nie potrafi wykonać tego rodzaju wsparcia i nie umie odróżniać prawdziwych ubogich od oszustów, skutkiem czego wspiera często — wiemy o tem z doświadczenia — ubogich, niegodnych tego i przyczynia się do niepomiernego wzrostu liczby biednych. To właśnie doprowadza nas do ostatniej zasady.

e) W tych wypadkach, w których wsparcia z funduszów publicznych udziela się w pomieszkaniu, trzeba o ile możności jak najczęściej zwracać się, jeżli chodzi o zasięgnięcie wiadomości, a nawet o rozdzielenie wsparcia, do dobrej woli jednostek. Ajenci wyznaczeni z urzędu przez prefekta, na wzór tych, z których składają się nasze biura dobroczynności, lub nawet wybierani przez komisye na wzór tych, którym poruczono te obowiązki w Anglii, nie dorównają nigdy ochotnikom miłosierdzia. Właśnie na tem szczęśliwem połączeniu wsparcia publicznego z miłosierdziem prywatnym polega wyższość słynnego systemu *elberfeldzkiego* (od miasta Elberfeld [1]).

III.

Czy liczba ubogich wzrasta?

Odpowiedź na pytanie, czy liczba ubogich wzrasta, jest jedną z najsporniejszych. Łatwo można się domyśleć, że

---

[1]) Nie możemy tutaj wchodzić w szczegóły tego słynnego systemu (patrz w *Revue d' économie politique*, *1887*, *Le systéme d' Elberfeld par M. St. Marc*).

Pomoc w pomieszkaniu w każdym razie powinna być zależną od dwóch warunków:

1. *Nie powinna być nigdy wypłacaną w pieniądzach*, lecz w naturze, na przykład w postaci bonów do kuchni ludowej, lub w postaci przedmiotów, zakupionych przez tego, który rozdziela wsparcie.

2. *Nie powinna nigdy być wypłacaną bez poprzedniego zasięgnięcia wiadomości*, a to wymaga koniecznie założenia osobnej ajencyi. W Paryżu istnieje taka ajencya dzięki inicyatywie prywatnej i oddaje wielkie usługi.

odpowiedź szkoły socyalistycznej jest twierdzącą, uważa ona za pewnik, że bogaci stają się coraz bogatszymi, a biedni coraz biedniejszymi. Szkoła optymistyczna broni odmiennego zdania i udowadnia statystyką, głównie angielską, zmniejszanie się liczby ubogich. Liczby statystyczne nie mają wiele wartości pod tym względem, albowiem pojęcie ubóstwa jest nieokreślone, giętkie. Szukając odpowiedzi na to pytanie, zajmijmy się raczej rozmaitemi, omówionemi już przez nas powodami ubóstwa i spróbujmy wykazać w jaki sposób one oddziaływują. Przypomnijmy sobie nasz podział biednych na trzy kategorye; jedni nie mogą pracować, bo są kalekami lub nie mają sił po temu, drudzy nie mogą, bo nie mają zatrudnienia, inni wreszcie, bo nie chcą.

Co się tyczy pierwszej kategoryi, zdawałoby się, że postępy hygieny i nauki powinnyby zmniejszyć liczbę dotkniętych nieuleczalnemi słabościami lub przynajmniej powinnyby umożebnić pracę wytwórczą niektórym z pomiędzy nich, na przykład głuchoniemym lub ślepym. Lecz z drugiej strony pewne przyczyny, a zwłaszcza alkoholizm, wywołują przerażający wzrost obłąkanych. Również coraz częściej powtarzają się urodziny dzieci nieślubnych, a to jest także bardzo ważnym powodem ubóstwa.

Co się tyczy drugiej kategoryi biednych, nie ma wątpliwości, bezrobocie, wynikające z wynalazków technicznych lub z nadmiaru produkcyi, przesilenia ekonomiczne, których powodem wielka produkcya i konkurencya międzynarodowa, są zjawiskami nowszych czasów i nie były znane dawniejszym pokoleniom.

Co się tyczy trzeciej kategoryi, postępy wychowania publicznego, wzrastające poczucie godności ludzkiej, z koczowniczem życiem niezgodny rozwój życia cywilizowanego, powinny przyczynić się do zniknięcia lenistwa i włóczęgi, tak zwykłej w społeczeństwach średniowiecznych i starożytnych, lub dziś jeszcze w krajach wschodnich. A przecież przewidywania tego nie potwierdza rzeczywistość. Liczba włóczęgów

i żebraków jest niezmierną w naszych cywilizowanych społeczeństwach, a zgoła nie zmniejsza się [1]).

Zważywszy tedy wszystkie za i przeciw, dochodzimy do wniosku, że przyczyny, wywołujące rozwój ubóstwa, w naszych nowożytnych społeczeństwech, są silniejsze niż te, które działają w kierunku przeciwnym. Mimo tego trudno zgodzić się na wniosek, że ubóstwo będzie istniało wiecznie i zwiększało się bez przerwy. Nie można jednak zupełnie zwątpić o przyszłości rodzaju ludzkiego, trzeba tedy wierzyć w zmniejszenie się z biegiem czasu oddziaływania kilku przynajmniej z omówionych powyżej przez nas, i to najważniejszych przyczyn. Ubóstwo, zawisłe od powodów osobistych i przyrodzonych, jako to od wieku podeszłego, od chorób, słabości fizycznych i moralnych, zniknie dzięki dobrze zorganizowanemu systemowi ubezpieczeń, — lecz ubóstwo, wywołane przez przyczyny ogólne i ekonomiczne nie zniknie, chyba w razie zmiany obecnego porządku społecznego.

---

[1]) Na 119.000 winowajców, stawionych przed sądy franfrancuskie w r. 1886, liczono 33.000 włóczęgów lub żebraków. Ilość osób śpiących w Paryżu każdego wieczora pod łukami mostów lub w łomach kamiennych obliczają na mniej więcej 8.000.

SPIS RZECZY.

Str.

Przedmowa autora 1

Wiadomości ogólne.

I. Przedmiot ekonomii politycznej 3
II. O metodzie nauki ekonomii politycznej 6
III. Czy istnieją prawa naturalne w ekonomii politycznej? 11
IV. Cztery szkoły ekonomiczne 17
§. 1. Szkoła liberalna 17
§. 2. Szkoła socyalistyczna 22
§. 3. Szkoła chrześciańska 25
§. 4. Szkoła historyczna 28

KSIĘGA I.

Dobro i wartość.

ROZDZIAŁ I.

Dobra czyli bogactwa 32
I. Pożądanie dóbr 32
II. Potrzeby człowieka 35
III. Definicya dobra 39

ROZDZIAŁ II.

Wartość 44
I. Co to jest wartość? 44
II. Jaka jest przyczyna wartości? 47
III. Krytyczny pogląd na teorye wartości 53

Str.
IV. Zmiany wartości 60
V. Oddziaływanie wolnej konkurencyi 64
VI. Czy konkurencya obniża ceny 68

ROZDZIAŁ III.

Cena 70
I. Jak się mierzy wartość przy wymianie? 70
II. O wyborze wspólnej miary (miernika) wartości . . 73
III. Co to jest cena? 80
IV. Czy miara (miernik) wartości nie jest zagadnieniem nierozwiązalnem? 82
V. Czy pieniądz wyróżnia się czemś wśród wszystkich innych dóbr? 86

KSIĘGA II.

Produkcya.

CZĘŚĆ I.

Warunki produkcyi indywidualnej.

Czynniki produkcyi 92

ROZDZIAŁ I.

Przyroda 94
I. Warunki naturalne 95
II. Miejsce 98
III. Surowce 99
IV. Siły poruszające 102

ROZDZIAŁ II.

Praca 106
I. Jaką rolę odgrywa praca w produkcyi? 106
II. W jaki sposób praca wytwarza? 109
III. Które prace nazwać należy produkcyjnemi? . . . 111
IV. Trud jako składowy czynnik pracy 117
V. Czas jako składowy czynnik pracy 120

Str.

ROZDZIAŁ III.

Kapitał 124
I. Funkcya kapitału w produkcyi 124
II. Jak należy rozumieć produkcyjność kapitału? . . 127
III. Jaka różnica zachodzi między kapitałem a innemi dobrami? 130
IV. Trwałość kapitałów stałych i obiegowych 133
V. Jak się tworzy kapitał? 136

CZĘŚĆ II.

Społeczne warunki produkcyi.

Organizm społeczny 140

ROZDZIAŁ I.

Assocyacya 143
I. Różne formy assocyacyi w produkcyi 143
II. Korzyści i niekorzyści wielkiej produkcyi . . . 149
III. Czy produkcya rolnicza ma się odbywać w wielkich przedsiębiorstwach 153

ROZDZIAŁ II.

Podział pracy 156
I. Różne rodzaje podziału pracy 156
II. Korzyści i niekorzyści podziału pracy 160
III. Wolność pracy 164

ROZDZIAŁ III.

Wymiana 166
I. Rola wymiany w produkcyi 166
II. Korzyści wymiany 169
III. Środki do ułatwienia wymiany 171
IV. Rola kupców w produkcyi 171
V. Niekorzyści wynikające z nadmiernej liczby kupców 174
VI. Środki przewozowe 176
VII. Rozkład zamiany na kupno i sprzedaż 178

ROZDZIAŁ IV.

Str.
Pieniądz kruszcowy 181
I. Dlaczego wybrano szlachetne kruszce na środek wymiany 181
II. Wynalazek pieniądza stemplowanego 184
III. Jakie przymioty musi posiadać dobry pieniądz . . 185
IV. Prawo Greshama 189
Kwestya mono- i bimetalizmu 193
I. Konieczność używania kilku kruszców i wynikające ztąd trudności 193
II. Jakim sposobem kraje bimetaliczne mają w rzeczywistości jednę tylko monetę? 197
III. Czy należy przyjąć monometalizm? 201
IV. Czyby stosunku wartości obu kruszców nie można ustalić drogą porozumienia t. j. układu między-narodowego 205

ROZDZIAŁ V.

Pieniądz papierowy 207
I. Czy można pieniądz kruszcowy zastąpić papierowym? 207
II. Czy stworzenie pieniądza papierowego jest rownoznacznem ze stworzeniem nowego dobra 212
III. Niebezpieczeństwa wynikające z używania pieniądza papierowego i środki służące do ich uniknięcia . . 215
IV. Jak można usunąć pieniądz papierowy? 219

ROZDZIAŁ VI.

Międzynarodywa wymiana 225
I. Dlaczego zbyt wielką wagę przywiązuje się do handlu zewnętrznego? 225
II. Dlaczego międzynarodowa wymiana zdąża zawsze do przybrania postaci surowej zamiany? 227
III. Co należy rozumieć przez bilans handlowy? . . . 229
IV. Na czem polegają korzyści wymiany międzynarodowej? 233
V. Dlaczego korzyści międzynarodowej wymiany nie należy mierzyć ani nadwyżką wywozu, ani nadwyżką przywozu? 235

Str.

VI. Jak się to dzieje jednak, że międzynarodowy handel narusza koniecznie interesy pewnych klas? . . . 237
Kwestya wolnego handlu i ochrony celnej . . . 239
I. Dlaczego wolny handel stanowi kwestyę? 239
II. System ceł opiekuńczych 242
III. Czy niebezpieczeństwo, o którem głoszą protekcyoniści, istnieją rzeczywiście? 245
IV. Niekorzyści ceł przywozowych 248
V. Dlaczego należy wyżej cenić system premij? . . 251
VI. O kilku zdrobnialych naśladownictwach systemu ochronnego 253

ROZDZIAŁ VII.

Kredyt 254
I. Czynności kredytowe 254
II. Papiery kredytowe 257
III. Czy kredyt stwarza nowe kapitały? 259
IV. Banki 263
V. Depozyta 264
VI. Interes eskontowy 266
VII. Emisya biletów bankowych 269
VIII. Różnica między banknotem a pieniądzem papierowym 273
IX. Kurs weksli 275
X. Podnoszenie stopy eskontu 282
XI. Poszczególne rodzaje kredytu 287
Kwestya monopolu i wolności bankowej 294
I. Monopol czy wolność emisyi banknotów? 294
II. Czy ilość emitowanych banknotów ma być dowolna czy ograniczona? 298

CZĘŚĆ III.

O stosunku produkcyi do komsumcyi.

ROZDZIAŁ I.

Niedostateczność produkcyi 305
I. Wrost ludności. Prawo Malthusa 305

Str.
II. Granice produkcyi rolniczej 308
III. Granice produkcyi w innych działach przemysłu . 311
IV. Oddziaływanie tych granic produkcyi na cenę . . 314

ROZDZIAŁ II.

Nadmiar produkcyi 316
I. Jak utrzymać równowagę między produkcyą a konsumcyą? 316
II. Czy zachodzi obawa nadmiaru produkcyi? . . . 324

ROZDZIAŁ III.

Postęp produkcyi 327
I. Złudzenia co do rozwoju ekonomicznego 327
II. Ujemne skutki każdego postępu produkcyi . . . 331
III. Znaczenie maszyn 334
IV. Przyszłość produkcyi 339

KSIĘGA III.

Konsumcya.

Jakie są sposoby użycia dóbr? 342

ROZDZIAŁ I.

Wydatki 344
I. Jak należy rozumieć wydatek? 344
II. Dlaczego wydatki regulują produkcyę, ale jej nie utrzymują 347
III. Ile należy przeznaczać na wydatki? 349
IV. Zbytek 352
V. Wydatki cudzoziemców 356
VI. Sposób zmniejszania wydatków 359

ROZDZIAŁ II.

Oszczędność 361
I. Co należy rozumieć przez oszczędność? 361
II. Konieczne warunki oszczędności 364
III. Zakłady ułatwiające oszczędzanie 368

Str.

ROZDZIAŁ III.

Lokacya kapitału 371
I. Co należy rozumieć przez lokacyą? 371
II. Konieczne warunki lokacyi 376

KSIĘGA IV.

Rozdział dóbr.

CZĘŚĆ I.

Różne zasady rozdziału dóbr.

ROZDZIAŁ I.

I. Kwestya socyalna 379
II. O nierówności majątków 383
III. Dlaczego kwestya rozdziału dóbr jest tak trudną do rozwiązania? 387

ROZDZIAŁ II.

Systemy socyalistyczne 390
I. Komunizm 390
II. Kolektywizm 394
III. Różne zasady rozdziału 398
IV. Dlaczego nie ma rozwiązania? 406

ROZDZIAŁ III.

Prawo własności 408
I. O powstaniu prawa własności 408
II. Co zawiera w sobie prawo własności? 410
III. Jak daleko powinno sięgać prawo własności? . . . 416
IV. Historyczny rozwój własności ziemskiej 421
V. O uprawnieniu własności ziemskiej 425
VI. Prawo renty gruntowej 428
VII. Unarodowienie ziemi 433
VIII. Ustrój własności ziemskiej 436

CZĘŚĆ II. Str.

Udział różnych warstw w dochodzie społecznym . 440

ROZDZIAŁ I.

Wytwórca samoistny 442
I. Dlaczego stanowisko to jest najkorzystniejszem dla dobrego rozdziału dóbr? 442

ROZDZIAŁ II.

Przedsiębiorca 445
I. Stanowisko przedsiębiorcy i uprawnienie zysku . . 445
II. Prawa rządzące zyskiem 450
III. Czy wysokość zysku pozostaje w stosunku odwrotnym do wysokości płac? 454

ROZDZIAŁ III.

Zarobkujący 455
I. Umowa o płacę 455
II. Prawa rządzące płacą 458
III. O zwyżce płac 468
IV. Czy istnieją środki poprawy bytu robotników? . . 471
V. Strejki 474
VI. O interwencyi państwa 477
VII. Stowarzyszenia współdzielcze 482

ROZDZIAŁ IV.

Kapitalista 488
I. Prawo do próżnowania 488
II. Czynsz dzierżawny 491
III. Czynsz najmu 493
IV. Procent 495
V. Czy stopa procentowa zmniejsza się? 498

ROZDZIAŁ V.

Ubodzy 501
I. Prawo do wsparcia 501
II. Organizacya pomocy publicznej 505
III. Czy liczba ubogich wzrasta? 509

Nr. 3.

Spis dzieł i broszur z dziedziny prawa, ekonomii, statystyki i nauk społecznych.

KATALOG DZIEŁ

NAKŁADOWYCH i KOMISOWYCH

TUDZIEŻ

W WIĘKSZEJ ILOŚCI NABYTYCH

przez

Księgarnię

SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ

W KRAKOWIE,

Rynek główny, Pałac Spiski.

1886 — 1893.

Pod prasą znajduje się:

Nr. I. **Katalog nakładowy i komisowy** Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej, który zawierać będzie dzieła, dotyczące **bibliografii, historyi nauk i literatury w Polsce.**

Nr. II. obejmujący dzieła i broszury z dziedziny **teologii teoretycznej i praktycznej, historyi Kościoła św., kazania,** tudzież **książki pobożne** i **do nabożeństwa.**

Mamy zaszczyt uwiadomić, iż od r. 1891 znajduje się

główny skład wszystkich wydawnictw

Akademii Umiejętności

w naszej księgarni

Obszerny **katalog,** zaopatrzony w indeks abecadłowy, wysełamy na żądanie darmo.

KSIĘGARNIA
SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ

przyjmuje prenumeratę na wszystkie pisma

polskie, francuskie, niemieckie, angielskie i włoskie (z wyjątkiem gazet codziennych),

i dostarcza je punktualnie i szybko.

Katalog nowy na żądanie **darmo** i **opłatnie.**

W KRAKOWIE, W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
Nakładem Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie.

Objaśnienie skróceń: Ak. Um. znaczy wydanie Akademii Umiejętności.

Ceny w walucie austryackiej
1 złr. = 2 korony = 2 marki = 90 kopijek.

Balzer Oswald. Reformy społeczne i polityczne Konstytucyi trzeciego maja. Kraków 1891 w 8-ce str. 80. 1·—

Bank mobilizacyjny czyli projekt nowego systemu kredytu rolnego, z zastósowaniem do wolności handlowej między narodami. Poznań 1853 w 8-ce, str. 42. (Autorem jest radca Golański). . . . . —.60

Bathie A. Nowy wykład ekonomii politycznej, wygłoszony na wydziale prawnym w Paryżu 1864—5, tłómaczył W. Strażyński, 2 tomy, Kraków, 1870 w 8-ce, tom I str. 346, tom II. str. 393 . . . . 5.—

Blumenstock Alfred Dr. Opieka papieska w wiekach średnich. Ak. Umiejęt. Kraków, w 8-ce str. 157 . 1.—

— Plany reform skarbowo-wojskowych w pierwszej połowie panowania Zygmunta Starego. Lwów 1888, w 8-ce, str. 112. Jako dodatek „Ordinatio bellicae motionis ex anno 1506". Kraków 1888, w 8-ce, str. 7. — Obie broszury razem . . . . . 1.—

— Studya nad historyą własności nieruchomej u ludów germańskich: I stosunek człowieka do ziemi u Franków salickich przed wkroczeniem na terytoryum rzymskie. Kraków 1891. Ak. Umiej. w 8-ce str. 126 . . . . . 1.20

— Wiadomość o rękopisach prawno-historycznych biblioteki cesarskiej w Petersburgu; sprawozdanie z poszukiwań. Kraków Ak. Um. 1891, w 8-ce, str. 88 . . . . . 1.80

— Zbiór kanonów paryskiej Biblioteki św. Genowefy. 1891, Kraków Ak. Um. w 8-ce dużej, str. 44 —.40

Borkowski Leszek vide „Sejm".

Czacki Tadeusz. O litewskich i polskich prawach, o ich duchu, źródłach związku i o rzeczach zawartych w pierwszym statucie dla Litwy, 1529 roku

wydanym. 2 tomy. Kraków 1861, w 8-ce, tom I. str. 350 tom II-gi str. 352 . . . . . 2.50

Dargun Lotar Dr, prof. Uniw. Jagiel. „Iuris ignorantia". Kraków 1893, w 8-ce str. 23, ... —.15

Delert J. B. X. Małżeństwo według nauki Kościoła świętego katolickiego, poprzedzone przedmową o ślubach cywilnych. Poznań 1860, w 8-ce str. 32, . . —.60

Golański vide „Bank"

Gołuchowski vide „Rozbiór kwestyi".

Górski Antoni Dr, Prof. Uniw. Zarys prawa handlowego austryackiego, tom I. Kraków w 8-ce, str. 291 . . . . . 2.50

Treść: Pojęcia wstępne i rzecz o osobach prawa handlowego.

Halban Dr. vide **Blumenstock.**

Helcel A. Z. Dawne prawo prywatne polskie. Tom I, obejmuje wstęp, zasady ogólne i prawo rzeczowe. Kraków 1874, Ak. Um., w 8-ce, str. 234 . . . 1.20

— vide „Lisicki". — „Pomniki prawa polskiego".

Jaworski Władysław Leopold Dr. Nauka o służebnościach według prawa austryackiego. Zeszyt I-szy. Kraków 1892 w 8-ce str. 141 . . . . . —.90

Kasparek Franciszek Dr, Prof. Uniw. Jagiel. O radzie stanu i jej znaczeniu w monarchii konstytucyjnej. Kraków 1885, w 8-ce, str. 81 . . . . . —.80

— Prawo polityczne ogólne z uwzględnieniem austryackiego, razem ze wstępną nauką ogólną o państwie, 2 tomy. Kraków 1877, w 8-ce, tom I. Uwagi wstępne. — Nauka ogólna o państwie str. 988, tom II. str. 1016. Cena złr. 14, zniżona . . . . . 8.—

— Podręcznik prawa politycznego tom I. Kraków 1888 w 8-ce str. 458 . . . . . 4.—
Tom II w druku.

— Udział Polaków w uprawie prawa międzynarodowego. Lwów 1885, w 8-ce str. 113 . . . . . —.80

— Zadanie filozofii prawa i jej stanowisko w dziedzinie nauk prawnych. Kraków 1887, w 8-ce, str, 78 —.60

Kętrzyński Wojciech Dr. Studya nad dokumentami XII w., Kraków 1891, Ak. Um. w 8-ce, str. 122 z 17 tablicami podobizn 3.50

Kleczyński Józef Dr, Prof. Uniw. Jag. Spisy ludności w Rzeczypospolitej Polskiej. Kraków 1892, Ak. Um. w 8-ce, str. 29, ... —.40

— Statystyka miasta Krakowa, zestawiona przez bióro statystyczne miejskie pod kierunkiem i reda-

kcyą prof. . . Zeszyt I. Kraków 1887, w 8-ce, str. VI i 121. oprawne . . . . . 2.—
— Zeszyt II. Kraków 1889, w 8-ce, str. VI i 149 oprawne . . . . . 2.—
— Zeszyt III, Kraków 1892 w 8-ce, str. VII i 167 z tabl. kolor. oprawne . . . . . 2.—

Koczyński Michał. Prawidła jurysdykcyi cywilnej z 1852 roku, tudzież ustawy egzekucyjnej z roku 1887 i noweli procesowej z 1874 roku, objaśnione z jurysprudencyi s. n., z wywodów i wniosków władzy ustawodawczej, w przekładzie poprawnym, z dołożeniem przepisów związkowych. Kraków 1891 w 16-ce str. 186. . . . . 1.20
— Ustawa sądowa. Kodeks procedury cywilnej dla Galicyi zachodniej, tom I. Kraków 1882, w 12-ce 4.—
tom II. Kraków 1885, w 12-ce . . . . . 4.—
Suplement do tejże ustawy. Kraków 1885 w 12-ce 1.—

„Kronika prawnicza“. Organ krakowskiego Towarzystwa prawniczego pod redakcyą Prof. Dra F. Kasparka serya I i II-ga (Nr. 1—20). 1888—1890. Kraków 1891. w 8-ce str. 180 . . . . . 2.—
Serya III wychodzi. — Prenumerata roczna w Krakowie złr. 1, z przesyłką złr. 1.15. — Numer pojedyńczy . . . . . —.15

Krzymuski Edmund Dr. Prof. Uniw. Jagiel. O najnowszym projekcie kodeksu karnego austryackiego. Kraków 1890, w 8-ce, str. 61 . . . . . —.50
— Szkoła pozytywna prawa karnego we Włoszech. Lwów 1889, w 8-ce, str. 70 . . . . . —.80
— Wykład prawa karnego, ze szczególnem uwzględnieniem ustaw austryackich, 2 tomy, w 8-ce. Kraków 1887 tom I. str. 336, tom II. str. 272, broszur. złr. 6.— oprawne w półskórek 7.20
— Wykład procesu karnego austryackiego. Kraków 1891, w 8-ce, str. 510 . . . . . 5.—

Krzyżtopór Adam. (Tomasz Potocki). O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce. Poznań 1859, w 8-ce, str. XXX i 551 . . . . . 2.50
— Poranki Karlsbadzkie, czyli rozbiór zarzutów, uzupełnień i uwag nad pismem o urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce. Poznań 1858, w 8-ce, str. 352 . . . . . 2.—

Lelewel Joachim. Polska wieków średnich, tom III. Poznań 1859, w 8-ce str. 636 i 7 tablic. 4.50

Zawiera: Początkowe prawodawstwo polskie cywilne, kryminalne, objaśnione we dwu pismach: a) historyczny rozbiór prawodawstwa polskiego, cywilnego i kryminalnego do czasów Jagiellońskich z przydaniem dyplomatów; b) krytyczny rozbiór statutu wiślickiego, z tablicami dla objaśniania składu tego statutu. Rozpatrzenie niektórych względów i pomników prawodawstwa.

— Toż, tom IV. Poznań 1851, w 8-ce, str. 546 i 5 tablic. Zawiera między innemi: „Rozpatrzenie niektórych względów i pomników prawodawstwa". — „Wyrazy prawne" (str. 1—235) 3.60

— Pojedynki w Polsce. Poznań, 1857 w 8-ce, str. 20 . . . . . —·30

— Trzy konstytucye polskie: 1791, 1807, 1815, porównał i różnice ich rozważył... w roku 1831. Poznań, 1861 w 16-ce, str. 108 . . . . . —·40

Leo Juliusz Dr, Profesor Uniw. Jagiell. Reforma podatku od spirytusu. Kraków, 1888 w 8-ce, str. 21 . . . . . —·25

Lisicki Henryk. Antoni Zygmunt Helcel, 1808—1870, 2 tomy. Lwów, 1882 w 8-ce, tom I. str. 390, tom II. str. 398 . . . . . 5·—

Madeyski Stanisław Dr, Profesor Uniw. Jagiell. Układanie kontraktów, systematyczne studyum z prawa cywilnego, tudzież wysnute z nich wskazówki praktyczne. Tom I. Kraków, 1878 w 8-ce, str. 228 1·25

— Wrażenia z życia parlamentarnego. (Odczyt wypowiedziany w Krakowie dnia 15 marca 1891 r.) Kraków, 1891 w 8-ce, str. 21 . . . . . —·25

— Zarys nauki o posiadaniu, jako podstawa do wykładu powszechnego prawa prywatnego austryackiego. Kraków, 1887 w 8-ce, str. 70 . . . . —·70

Milewski Józef Dr, Profesor Uniw. Jagiell. Cła opiekuńcze. Kraków, 1888 w 8-ce, str. 135 . . . 1·—

— W sprawie reformy waluty w Austro-Węgrzech. Kraków, 1892 w 8-ce, str. 39 . . . . . —·80

— W sprawie waluty. Referat na pierwszy zjazd prawników i ekonomistów polskich. Kraków, 1887 w 8-ce, str. 23 . . . . . —·10

Mittelstaedt Jan. Zarysy ekonomii politycznej, zgodne z religią chrześcijańską, zastosowane do gospodarstwa wiejskiego. Warszawa, 1859 w 8-ce, str. 139 —·75

Mora A. M. Fundamenta budowy społecznej, zastosowane do narodu polskiego. 2 tomy. Poznań, 1852 w 8-ce, tom I. str. 250, tom II. str. 323 . 2·70

— „O własności“. Poznań, 1849, w 8-ce, str. 100 —·45

O dziesięcinach kościoła rzymsko-katolickiego w Galicyi austryackiej. Poznań, 1854 w 8-ce, str. 121 . . —·75

Opowiadania z rosyjskiego „Prawa“ państwowo-kościelnego. I. Wydział paszportowy. Poznań, 1890 w 32-ce, str. 223 . . . . . 1·20

O reformie żydów. Projekt podany w r. 1841. Poznań, 1854 w 8-ce, str. 30 . . . . . —·30

Orłowski M. Przepisy budownicze i ogniowe dla obszarów dworskich i gmin wiejskich w Galicyi. Gorlice, 1893 w 16-ce, str. 84 . . . . . —·40

— Ustawa drogowa dla Galicyi z dnia 18 sierpnia 1886 r. Podręcznik, zastósowany do praktycznego użytku władz autonomicznych i rządowych na prowincyi. Gorlice, 1891 w 16-ce, str. 160 . . . . —·80

Zawiera: Nr. 15 Dz. ustaw krajowych wraz z nowelą tejże z dnia 7 lipca 1885. Nr. 39 Dz. ustaw kraj., tudzież ustawy i rozporządzenia w związku z ustawą drogową będące.

O śmierci cywilnej, i o prawach byłych wychodźców polskich, ze stanowiska sądowego. Poznań, 1859 w 8-ce, str. 106 . . . . . —·90

Ostrowski Tomasz. Pomysły o potrzebie reformy towarzyskiej w ogólności, a mianowicie co do Izraelitów w Polsce. Paryż, 1834 w 8-ce, str. 372 2·—

Pamiętnik słuchaczy Uniwersytetu Jagiellońskiego, wydany staraniem i nakładem młodzieży akademickiej na uroczystość otwarcia „Collegii novi“. Kraków, 1887 w 8-ce, str. 570 . . . . . 5·—

Zawiera między innemi: Wsetecka R. Rady Kalimachowe, (str. 3 do 170). Feintuch Marcin. O woźnych sądowych w Wielkopolsce w XIV. i początkach XV. wieku, (str. 170 do 195). Bystrzonowski K. Rys ustawodawstwa austryackiego w sprawie zaopatrzenia ubogich, (str. 262 do 314). Bett Józef. Znaczenie §. 1019 k. c. w przedmiocie umów na korzyść osób trzecich, (str. 352 do 374). Benis Artur. Ochrona praw autorskich w dawnej Polsce, (str. 419 do 504).

Pamiętnik pierwszego Zjazdu historycznego polskiego, imienia Jana Długosza, odbytego w Krakowie w czterechsetną rocznicę jego śmierci. Kraków, Akad. Um. 1881 w 8-ce, str. 154 . . . . . 1·—

Zawiera między innemi: Bobrzyński Michał. Zapiski sądowe i ich wydawnictwo, str. 42—52. — Bobrzyński Michał. Jakie są desiderata pod względem wydawnictwa ustaw polskich? str. 126—129. — Polkowski Ignacy ks. O ile do poznania ustawodawstwa kościoła w Polsce potrzebne jest zupełne wydanie statutów synodalnych, tak prowincyonalnych jak dyecezyalnych i jakie warunki rzeczonemu wydawnictwu ustanowićby należało, str. 129—133.

Paszkowski Leon, Dr. Jakie stanowisko w kwestyi reformy waluty zająć powinniśmy? Kraków, 1890 w 8-ce, str. 53 . . . . . —·75

— W sprawie konwersyi długów krajowych. Kraków, 1891 w 8-ce, str. 61 . . . . . —·75

— W. Ks. Krakowskie wobec konwersyi indemnizacyi. Kraków, 1892 w 8-ce, str. 34 . . . . —·75

Pauli Żegota. Spór o Morskie Oko. Kraków, 1891 w 8-ce, str. 7 . . . . . —·10

Piekosiński Franciszek Dr., Uwagi nad ustawodawstwem Wiślicko-Piotrkowskiem Króla Kazimierza Wielkiego. Kraków, Akad. Umiej., 1891 w 8-ce, str. 91 . . . . . —·90

— Prawa, przywileje i statuta miasta Krakowa, tom I. część 1 i 2 (od r. 1507—1586). Kraków, Akad. Umiej., w 4-ce, str. XXXVII i 1—624, XXII i 625—1204 . . . . . 10·—

— — tom II., część 1, od r. 1587—1696. Kraków, Akad. Umiej., 1890 w 4-ce, str. LII i 597 . . . . 5·—

— — tom II., część 2, od r. 1696—1795. Kraków, Akad. Umiej., 1892 w 4-ce, str. XXV i 598—1105 . . . . . 5·—

Pomniki starodawne prawa polskiego, poprzedzone wywodem historyczno-krytycznym, t. zw. Prawodawstwa Wiślickiego Kazimierza W. przez A. Z. Helcla, tom I. w 4-ce, str. CCLVII. i 428. Warszawa, 1856 . . . . . 8·—

— tom II., z ksiąg rękopiśmiennych dotąd nieużytych, głównie zaś z ksiąg dawnych sądowych ziemskich i grodzkich ziemi krakowskiej, wyciągnął i wydał Antoni Zygmunt Helcel. Kraków, Akad. Umiej. 1870, w 4-ce, str. XIX. i 958 z portretem Helcla 6·—

— tom III., Kraków, 1874, w 4-ce, str. XXVI. i 290 3·—

Treść: Correctura statutorum et consuetudinum Regni Poloniae anno MDXXXII decreto publico per Nicolaum Taszycki, Bernardum Maciejowski, Georgium Myszkowski, Benedictum Izdbieński, Albertum Policki et Nicolaum Koczanowski confecta et conventioni generali Regni anno MDXXXIV proposita, ex rarissima editione authentica opera Michaelis Bobrzyński nunc iterum edita.

— tom IV. Kraków, 1875, w 4-ce, str. XVI i 290 . 3·—

Treść: Statuta synodalia episcoporum cracoviensium XIV et XV saeculi e codicibus manuscriptis typis mandata, additis statutis Vielunii et Calisii a. 1420 conditis, (et ex rarissimis editionibus, etiam authenticis, nunc iterum editis), editionem curavit Udalricus Heyzmann.

— tom V. Kraków, 1878, w 4-ce, str. 316 i XL . . 3·—

Treść: Rerum publicarum scientiae, quae saeculo XV in Polonia viguit Monumenta litteraria, editionem curavit Michael Bobrzyński: I. Tractatus de natura iurium et bonorum regis et de reformatione regni ac eius Reipublicae regimine, quem in lucem edidit Stanislaus Zaborowski, Regni Poloniae thesauri Notarius (str. 1—104); II Clarissimi Baronis Joannis Ostrorog, juris utriusque doctoris, Monumentum pro comitiis generalibus Regni sub rege Casimiro pro Reipublicae ordinatione congestum, e codice ms. in bibliotheca principum Czartoryski Cracoviae asservato opera M. Bobrzyński editum (str. 105—144); III. Magistri Pauli Vladimiri Tractatus de potestate papae et imperatoris respectu infidelium nec non de Ordine Cruciferorum Constantiensi Polonorum contra dictos fratres traditi oecumenico et de bello concilio, accedit liber de doctrina potestatis papae et imperatoris, editus contra Paulum Vladimiri, per Johannem Falkenberg, e codice mss. editionem curavit M. Bobrzyński (str. 145—316); IV. Statuta synodalia Andreae, episcopi posnaniensis, saeculo XV confecta, edidit Udalricus Heyzmann (str. I—XL).

— tom VI. Kraków, 1880, w 4-ce, str. 468 . . . 3·—

Treść: Decreta in iudiciis regalibus tempore Sigismundi I, regis Poloniae a. 1507—1531 Cracoviae celebratis lata, ex actis originalibus in archivo Galiciae Cracoviensi asservatis, edidit Michael Bobrzyński.

— tom VII. Kraków, 1882—1885, w 4-ce, str. XVI i 626 6·—

Treść: (Zeszyt I). Acta expeditionum bellicalium palatinatus Calissiensis et Posnaniensis in Valachos et in Turcas a. 1497—1498, in Archivo regio Posnaniensi asservata, edidit Michael Bobrzyński (1 - 191). — (Zeszyt II). Puncta in judiciis terrestribus et castrensibus observanda a. 1544 conscripta, edidit Michael Bobrzyński (str. 193 252). — Abbreviatio processus iuridici vigore constitutionis conventus generalis Varsoviensis a. 1641 confecta, ex actis in Archivio Regni Galiciae Cracoviae asservatis, nunc primum edita opera Michaelis Bobrzyński (str. 253 - 272). (Zeszyt III). Inscriptiones clenodiales ex libris iudicialibus palatinatus Cracoviensis, collegit et edidit Boleslaus Ulanowski (str. XVI i 273—626).

Sprzedaje się ten tom także pojedynczemi zeszytami: Cena zeszytu I. 2 złr. 50 ct.; II. 1 złr.; III. 3 złr. 50 ct.

— tom VIII. Kraków, 1884, w 4-ce, str. XL, 982, z 12 tablicami podobizn . . . . . 8·—

Treść: Antiquissimi libri iudiciales terrae Cracoviensis, editionem curavit Boleslaus Ulanowski.

— tom IX. Kraków, 1889, w 4-ce, str. XXXIV, 320 i 75 3·—

Treść: Akta sądu leńskiego wyższego w Gródku Goleńskim 1405—1546, wydał Franciszek Piekosiński (str. XXXIV i 330). Akta sądu kryminalnego kresu muszyńskiego 1647—1765, wydał Franciszek Piekosiński (str. 75).

Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie.

— tom X, część I. Kraków, 1888, w 4-ce, str. XVI i 1—127 . . . . . 1·—

Treść: Libri formularum saeculi XV, edidit Boleslaus Ulanowski (str. XVI i 1—127).

Pomysły do ostatecznego uregulowania kwestyi włościańskiej. Poznań, 1860, w 8-ce, str. 120 . . . . . —·75

Potocki Tomasz, vide „Krzyżtopór Adam".

Rettinger Józef, Dr. Podręcznik austryackiego prawa wekslowego. przekład poprawny, z uwzględnieniem tekstu niemieckiego oraz ustaw wekslowych, wydanych dla Węgier, Bośnii i Hercegowiny. Kraków, 1888, w 8-ce, str. 166 . . . . 1·50

Rostworowski Michał. Wolna szkoła nauk politycznych w Paryżu. Kraków, 1892, w 8-ce, str. 22 —·25

Rozbiór kwestyi włościańskiej w Polsce i w Rossyi w r. 1850. (Autor: Józef Gołuchowski). Poznań, 1851, w 8-ce, str. 714 . . . . . 2·70

Rozmaitości naukowe, wydawane przez Bandtkego, tom II. Kraków, 1829, w 4-ce, str. 172 . . . . 1·—

Zawiera między innemi: Krzyżanowski A. O różnicy organizacyi władz sądowych, a w szczególności o sądzie przysięgłych w sprawach cywilnych w Anglii, str. 33—47.

— Toż. Tom III. Kraków, 1831, w 4-ce, str. 164 . 1·—

Zawiera między innemi: Krzyżanowski A. O granicach niepodległości sądownictwa, str. 1—13. Bandtke Jerzy Sam. O urzędach i sądach w Polsce pod Piastami, str. 26—48. Sądy Boże, lenności i inne zwyczaje pod panowaniem Piastów, str. 48—75. Dodatki do rozprawy J. S. Bandtkego.

Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń Wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności.

☞ Opuszczamy tomy wyczerpane (I, II i XIV), tudzież te, które nie zawierają nic dotyczącego.

— Tom III., 1875, w 8-ce, str. 350 i LXXXIV . . 2·50

Zawiera między innemi: Najdawniejsza księga ziemska krakowska i trzy późniejsze z wieku XIV i początku XV, wiadomość nadesłana, str. 76—85. Burzyński Piotr. O uprawnieniu dzieci nieślubnych podług prawa polskiego, str. 140—189.

— tom IV. 1875, w 8-ce, str. 464 i XXXVIII . . . 2·50

Zawiera między innemi: Bobrzyński Michał. O założeniu wyższego i najwyższego sądu prawa niemieckiego na zamku krakowskim, str. 1—169.

— tom VI. 1877, w 8-ce, str. 353 i XXVI, z 2 tablicami . . . . . 2·50

Zawiera między innemi: Zielonacki Józafat. Czy według prawa rzymskiego można było zasiedzieć na mocy wyroku,

a w ogólności: jak prawo rzymskie pojmowało tytuł zasiedzenia? str. 1—20. Burzyński Piotr. O prawie bliższości w dawnej Polsce, str. 21—52. Maciejowski Wacław Aleksander. Antoni Zygmunt Helcel jako prawnik-historyk, str. 53—258. Bobrzyński Michał. O nieznanym układzie prawa polskiego przez Jana Sierakowskiego z r. 1554, str. 259—295. Heyzmann Udalryk. Uwag kilka nad uprawnieniem dzieci nieślubnych przez następne małżeństwo, str. 296—322.

— tom VIII. 1878, w 8-ce, str. 454 i XI . . . . 2·50

Zawiera między innemi: Burzyński Piotr. O decymach i naroknikach, tudzież o dziesięcinie monarszej w dawnej Polsce, ustęp z dziejów gminy i skarbowości publicznej polskiej, str. 194—254.

— tom IX. 1878, w 8-ce, str. 320 i XXVI z 7 tablicami . . . . . 2·50

Zawiera między innemi: Piekosiński F. O monecie i stopie menniczej w Polsce w XIV i XV wieku, str. 1—320 i 7 tablic.

— tom XIII. 1881, w 8-ce, str. 429 i VIII . . . . 2·50

Zawiera między innemi: Kasparek Franciszek. Uwagi krytyczne o galicyjskiej organizacyi gminnej i wnioski reformy, str. 1—136. Zoll Fryderyk. O prawie na rzeczy własnej (ius in re propria) ze stanowiska prawa rzymskiego, str. 311—360.

— tom XV. 1882, w 8-ce, str. 413 i XV, z 2 tablicami 2·50

Zawiera między innemi: Dargun Lotar. O pokrewieństwie przez same tylko matki u dawnych Germanów, str. 248—350.

— tom XVI. 1883, w 8-ce, str. 508 i XII, z mapą . 2·50

Zawiera między innemi: Piekosiński Franciszek. Obrona hipotezy najazdu, jako podstawy ustroju społeczeństwa polskiego w wiekach średnich, z uwzględnieniem stosunków Słowian pomorskich i zaodrzańskich, str. 1—146, z mapą. Balzer Oswald. O prawnej i bezprawnej ucieczce zbrodniarzów, według statutów Kazimierza Wielkiego, str 147—189. Krzymuski Edmund. Teorya karna Kanta, ze stanowiska jego ogólnej nauki o rozumie praktycznym, str. 190—301.

— tom XVII. 1884, w 8-ce, str. 406 i XXIX, z 2 tablicami . . . . . 2·50

Zawiera między innemi: Zoll Fryderyk. Kilka uwag o błędzie właściciela ze względu na swoją własność, ze stanowiska prawa rzymskiego, str. 39—63. Kwiatkowski Saturnin. Urzędnicy kancelaryjni koronni i dworscy z czasów Władysława III Warneńczyka 1434—1444, str. 118—220.

— tom XVIII. 1885, w 8-ce, str. 325 i XLV . . . 2·50

Zawiera między innemi: Piekosiński Franciszek. O sądach wyższych prawa niemieckiego w Polsce wieków średnich, str. 1—68. Kasparek Franciszek. Prace instytutu dla prawa narodów w przedmiocie prawa międzynarodowego prywatnego, str. 69—144. Fierich Maurycy. O przysiędze stanowczej i o przesłuchaniu stron jako świadków w procesie cywilnym z uwzględ-

dnieniem projektów nowej austryackiej ustawy sądowej, str. 145—274.

— tom XIX. 1887, w 8-ce, str. 404 i XXVII, z 14 mapami . . . . . 2·50

Zawiera między innemi: Abraham Władysław. O justycyaryuszach w Polsce w XIV i XV wieku, str. 1—59. Kasparek Franciszek. O Radzie Stanu i jej znaczeniu w monarchii konstytucyjnej, str. 60—140.

— tom XX. 1887, w 8-ce, str. 458 i XIII . . . . 2·50

Zawiera między innemi: Zoll Fryderyk. O składzie senatu rzymskiego na zasadzie ustawy Ovinia, str. 41—66. Ulanowski Bolesław. O prawie azylu w statutach Kazimierza Wielkiego, str. 114—172. Abraham Władysław. Proces inkwizycyjny w ustawach Innocentego III i we współczesnej nauce str. 305—458.

— tom XXI. 1888, w 8-ce, str. 344 i LII, z 1 tablicą 2·50

Zawiera między innemi: Piekosiński Franciszek. O łanach w Polsce wieków średnich, str. 49—95. Kasparek Franciszek. Zadanie filozofii prawa i jej stanowisko w dziedzinie nauk prawnych, str. 96—172. Ulanowski Bolesław. Laudum Vartense, str. 173—313.

— tom XXII. 1888, w 8-ce, str. 358 i XLIV . . . 2·50

Zawiera między innemi: Dargun Lotar. O źródłach prawa miast polskich w wieku szesnastym: I. O źródłach przepisów karnych w dziełach Groickiego, str. 1—74. Abraham Władysław. Statuta synodu prowincyonalnego w Kaliszu z r. 1420, str. 75—181.

— tom XXIII. 1888, w 8-ce, str. 386 i XX . . . 2·50

Zawiera między innemi: Ulanowski Bolesław. Mikołaj z Błonia, kanonista polski z pierwszej połowy XV wieku, str, 1—60. Ulanowski Bolesław. O pokucie publicznej w Polsce. str. 61—172. Potkański Karol. Zagrodowa szlachta i włodyczе rycerstwo w województwie krakowskiem, w XV i XVI wieku, str. 173—267. Bobrzyński Michał. Prawo propinacyi w dawnej Polsce, str. 313—386.

— tom XXIV. 1889, w 8-ce, str. 365 i LXV . . . 2·50

Zawiera między innemi: Blumenstok Alfred. Opieka papieska w wiekach średnich, str. 1—157. Ulanowski Bolesław. Przyczynek do historyi stosunków pomiędzy kościołem a państwem w Polsce w wieku XV, str. 215—246. Zoll Fryderyk. O podstawie rzymskiego prawa spadkowego beztestamentowego, w porównaniu z dzisiejszemi prawodawstwami, str. 312—365.

— tom XXV. 1891, w 8-ce, str. 403 i XVIII . . . 2·50

Zawiera między innemi: Dargun Lotar. O źródłach prawa miast polskich w wieku XVI. II. O źródłach porządku sądowego spraw miejskich prawa Magdeburskiego, przez Bartłomieja Groickiego, str. 120—156. Ostrożyński Władysław. Ostatni projekt reformy prawa i procesu karnego w Polsce, str. 157—224. Szachowski Stanisław. Rzecz o symonii, str. 225—403.

— tom XXVI. 1891, w 8-ce, str. 440, z 16 tablicami . . . . . 6·—

Zawiera między innemi: Milewski Józef. Stosunek wartości złota do srebra, str. 321—438.

— tom XXVII, 1891, w 8-ce, str. 410, z tablicą litografowaną . . . . . 4·—

Zawiera między innemi: Blumenstok Alfred. Zbiór kanonów paryskiej biblioteki św. Genowefy, str. 334—377.

— tom XXVIII. 1892, w 8-ce, str. 453, z 5 tablicami i mapą . . . . . 4·—

Zawiera między innemi: Ulanowski Bolesław. O założeniu i uposażeniu klasztoru Benedyktynek w Staniątkach, str. 1—131. Piekosiński Franciszek. Uwagi nad ustawodawstwem wiślicko-piotrkowskiem Króla Kazimierza Wielkiego, str. 209—299.

Scriptores rerum polonicarum (Pisarze dziejów polskich), wydanie Akad. Umiej.

Opuszczamy tomy, zawierające niedotyczący materyał.

— Tom IX. (Archiwum Komisyi historycznej, tom III) 1886, w 8-ce, str. 499 . . . . . 3·—

Zawiera między innemi: Kryński Adam Antoni. Stanisława Skrodzkiego Porządek prawa bartnego dla starostwa łomżyńskiego z r. 1616, str. 1—44. Ulanowski Bolesław. Wyjątki z najdawniejszej księgi miejskiej lubelskiej, str. 45—60. Ulanowski Bolesław. Wybór zapisek sądowych kaliskich z lat 1409—1416, str. 152—270. Ulanowski Bolesław. Materyały do historyi prawa i heraldyki polskiej, str. 271—471.

— tom XIII. (Archiwum Komisyi historycznej, tom V), 1889, w 8-ce, str. 465 . . . . . 3·—

Zawiera między innemi: Ulanowski Bolesław. Kilka uwag o statutach synodów dyecezyalnych krakowskich z XIV i XV stulecia, str. 1—32. Ulanowski Bolesław. Praktyka w sprawach małżeńskich w sądach duchownych dyecezyi krakowskiej w wieku XV, str. 87—195. Ulanowski Bolesław. Modus inquirendi super statu ecclesiae generalis, z pierwszej połowy XV stulecia, str. 197—218. Ulanowski Bolesław. Examen testium super vita et moribus Beguinarum per inquisitorem hereticae pranitatis in Sweydnitz a. 1332 factum, str. 233—255. Blumenstok Alfred. Ordinatio bellicae motionis ex anno 1506, str. 257—263. Ulanowski Bolesław. Formulae ad ius canonicum spectantes ex actis Petri Wysz, episcopi cracoviensis, 1392—1412, maxima parte depromptae, str. 265—358. Ulanowski Bolesław. Analecta ad historiam iuris canonici in dioecesi Premisliensi, str. 359—436.

— tom XV. (Archiwum Komisyi historycznej, tom VI), 1891, w 8-ce, str. 463 . . . . . 3·—

Zawiera między innemi: Ulanowski Bolesław. Acta capitulorum Cracoviensis et Plocensis selecta, od 1438 — 1525, str. 1—295. Blumenstok A. Wiadomość o rękopismach prawno-historycznych biblioteki cesarskiej w Petersburgu, str. 379—463.

Sejm ustawodawczy Rakuzki, ze szczególniejszą uwagą na poselstwa polskie. Poznań, 1849—1850, w 8-ce, 2 części po str. 153 . . . . . 1·80

(Autorem: Borkowski Leszek).

Stafiej S. Dr. Dwadzieścia pięć lat autonomii w powiecie krakowskim. Sprawozdanie wydziału z czynności reprezentacyi powiatowej krakowskiej oraz ważniejsze wiadomości statystyczne o powiecie krakowskim, na podstawie aktów urzędowych, napisał sekretarz Rady powiatowej krakowskiej. Kraków, 1892, w 4-ce, str. 79 . . . . . 1·50

Stankiewicz Maurycy. Spis przedmiotów, zawartych w stu tomach Przeglądu polskiego 1866—1891. Kraków, 1891, w 8-ce, str. 118 . . . . 1·25

Zawiera między innemi: Prawo, str. 45—47. Nauki społeczne, ekonomia, statystyka, skarbowość, przemysł, handel, str. 53—57.

Szymański Roman Dr. O siłach moralnych w ustroju społecznym z powodu towarzystwa ku wspieraniu moralnych interesów ludności polskiej pod panowaniem pruskiem. Poznań, 1870, w 8-ce, str. 136 —·45

Ulanowski Bolesław Dr., Profesor Uniw. Jagiell. O założeniu i uposażeniu klasztoru Benedyktynek w Staniątkach. Z 5 tablicami litografowanemi. Kraków, Akad. Umiej., 1891, w 8-ce, str. 131 . 2·—

— Trzy broszury prawne z roku 1607 i 1612. Kraków, Akad. Umiej., 1893, str. X i 73 . . . —·40

Volumina legum, tom IX. Kraków, Akad. Umiej., 1889, in folio, str. 503 . . . . . 4·—

Obejmuje: „Prawa, przywileje i konstytucye od roku 1782 do r. 1792".

Wdowiszewski Wincenty. Przepisy budownicze, ogniowe i porządkowe dla miasta Krakowa. Podręcznik dla właścicieli domów, urzędników miejskich, państwowych, adwokatów, przedsiębiorców, fabrykantów, inżynierów, budowniczych i t. d. Kraków, 1891, w 8-ce, str. 216 . . . . . 1·80

oprawne w płótno . . . . . 2·20

Wisłocki Władysław Dr. Acta rectoralia Almae Universitatis studii Cracoviensis inde ab anno MCCCCLXIX Tomi I. fasciculus I. Cracoviae, Acad. lit. 1893, w 8-ce, str. 160 . . . . . 1·50

Zbiór praw, tyczących się narodowości polskiej i języka polskiego w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. Poznań, 1861, w 8-ce, str. 97 . . . . . —·25

Zoll Fryderyk Dr., Profesor Uniw. Jagiell. Pandekta, czyli nauka rzymskiego prawa prywatnego, z krótkiem uwzględnieniem historycznego rozwoju pojedyńczych jego instytucyj. Tom I, Kraków, 1888—1891, w 8-ce, str. 338 . . . . . 3·—

Zoll Fryderyk (junior). Twórczość w przemyśle studyum ekonomiczno-prawnicze. Kraków, 1892, w 8-ce, str. 63 . . . . . —·60

Hochverrathprozess, Der erste, vor dem Staatsgerichtshofe in Berlin, geführt im Jahre 1854. Graetz, 1864, w 8-ce, str. 52 . . . . . —·45

Najtańszem czasopismem polskiem jest

„NOWA BIBLIOTEKA UNIWERSALNA".

Rocznie 120 arkuszy **(około 2000 stron)** druk czytelny, staranny — papier welinowy — format 8-ki.

Prace pierwszorzędnych autorów — każde dzieło oddzielnie paginowane, z tytułem i spisem rzeczy — ozdobne okładki płócienne po 35 ct., z wprawieniem po 50 ct. od tomu.

Tytuły dzieł wydanych w „Nowej Bibliotece Uniwersalnej":

a) Powieści i Nowelle: Abgar-Soltan: Rusini, obrazki i szkice. Z carskiej imperyi, powieść. — **Bałucki:** Burmistrz z Pipidówki, powieść humorystyczna. Mój pierwszy występ literacki, powieść humorystyczna. — **Czajkowski:** Stefan Czarnecki, powieść historyczna. — **Gawalewicz:** Majster do wszystkiego, powieść. Biedni ludzie, nowelle. — **Korzeniowska:** Nad siły, powieść z bruku warszawskiego. — **Lisicka:** Obrazki z życia, nowelle. — **Łanskaja:** Misyonarze św. Rossyi. — **Łoziński W.:** Madonna Busowiska, nowella. — **Naganowski:** Hessy O'Grady, powieść irlandzka. — **Rodziewiczówna:** Ona, powieść. Szary proch, powieść.

b) Poezye: Krasiński Z.. Dzieła, 4 tomy, z przedmową Prof. Stanisława Tarnowskiego

c) Opowiadania historyczne i Wspomnienia: Bodzantowicz: Zawsze oni, w 2 tomach, opowiadanie. — **Jełowicki A. ks.:** Moje wspomnienia. — **Karwicki:** Wędrówka nad Horyniem. — **Lichocki:** Pamiętnik prezydenta m. Krakowa z r. 1794 — Rys kampanii r. 1803. — **Szumski:** Wspomnienia o 3 pułku ułanów z r. 1831. — **Wodzicki:** Pamiętnik z czasów krakowskiej Rzeczypospolitej. — **Wybranowski:** Dawne dzieje. — **Wysocki:** Pamiętnik z kampanii węgierskiej 1848 r.

d) Studya i szkice literackie i filozoficzne: Chmielowski: Studya i szkice literackie, 2 tomy. — **Chołoniewski ks.:** Sen w Podhorcach, studyum filozoficzne. — **Gostomski:** Pan Tadeusz. — **Tarnowski:** Chopin i Grottger, sylwetki.

e) Dzieje polskie i powszechne: Kalinka ks.: Dzieła, dotąd 4 tomy. — **Macaulay:** Szkice historyczne, tłómaczenie St. Tarnowskiego. — **Szajnocha:** Pisma historyczne, 2 tomy.

Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie.

Materyał ten rozpada się w 6-ciu wydanych już rocznikach w sposób następujący:

I. Rocznik 1887 mieści w komplecie: Szajnocha, Pisma tom I. — Konarski, O religii poczciwych ludzi. — Bałucki, Burmistrz z Pipidówki (powieść). — Nadto początek słynnego dzieła Bodzantowicza, Zawsze oni (dokończenie w roczniku 1888).

II. Rocznik 1888 zawiera w komplecie: Wodzicki, Pamiętnik z czasów Rzeczypospolitej krakowskiej. — Szajnocha, Pisma tom II. — Chołoniewski, Sen w Podhorcach. — Wysocki, Pamiętniki z kampanii węgierskiej. — Chmielowski, Studya i szkice literackie, tom I. — Nadto jako ciąg dalszy z rocznika 1887: Bodzantowicz, Zawsze oni.

Te dwa roczniki stanowią całość.

Cena złr. 8. — w opraw. ozdobnej, **każdy tom oddzielnie, złr. 13.**

III. Rocznik 1889 następujące powieści: Gawalewicza: Majster do wszystkiego, Biedni ludzie. — Bałuckiego: Mój pierwszy występ literacki. — Naganowskiego: Hessy O' Grady. — Rys kampanii r. 1809. — Chmielowskiego, Studya i szkice literackie (początek tomu II.).

IV. Rocznik 1890: Dzieła Krasińskiego, 4 tomy, z przedmową prof. Tarnowskiego. — Dwie powieści Rodziewiczównej; Ona i Szary proch. — Karwickiego: Wędrówka nad Horyniem. — Chmielowskiego: Studya i szkice literackie, serya II (początek w r. 1889).

V. Rocznik 1891 mieści: Koniec dzieł Krasińskiego (początek w roczniku 1890). — Nadto w komplecie: Jełowicki: Moje wspomnienia. — Powieść Czajkowskiego: Stefan Czarniecki — Pamiętniki z r. 1794 Lichockiego. — Dzieła Ks. Kalinki (I tom).

Te trzy roczniki stanowią całość.

Cena złr. 12. — oprawne ozdob., **każdy tom oddzielnie, złr. 19·50.**

VI. Rocznik 1892 zawiera: Dzieła Ks. Kalinki (II i III tom). — St. Tarnowskiego: Chopin i Grottger. — W. Łozińskiego nowellę: Madonna Busowiska — Słynne szkice historyczne Macaulaya, po raz pierwszy tłómaczone przez St. Tarnowskiego. — Powieść Abgar-Sołtana: Z carskiej imperyi, — tegoż opowiadania p. t. Rusini. — Szumskiego: Wspomnienia o 3 pułku ułanów. — Powieść Korzeniowskiej Nad siły.

Ten rocznik wraz z drukującym się rocznikiem 1893, stanowi całość. — Cena złr. 8.

VII. Rocznik 1893 zawiera: Dzieła ks. Kalinki tom IV. — A. Lisickiej nowelle p. t. Obrazki z życia. — Macaulaya Szkiców historycznych tom II. — Wybranowskiego Wspomnienia. — Łanskiej słynną powieść p. t. Missyonarze świętej Rossyi. — W. Gostomskiego studyum literacko-estetyczne o Panu Tadeuszu Mickiewicza. — Nadto zamieści jeszcze: rozgłośną 3-tomową powieść z czasów życia Chrystusa Pana, której autorem znamienity autor angielski F. W. Farrar, — tudzież cykl powieści ulubionego Abgar-Sołtana p. t. Z dworu wiejskiego.

Dzięki doborowej treści, zaliczaną bywa Nowa Biblioteka Uniwersalna do **najlepiej redagowanych, a pomimo to najtańszych** wydawnictw polskich, odstępujemy bowiem **kompletny rocznik za złr. 4 — z przesyłką pocztową franko złr. 4·60;** w **Poznańskiem** z dostawą franko Marek **9**, — w **Ameryce** franko dolarów **2·50**. — Półrocznie o połowę mniej.

Nabywający naraz roczniki: 1887, 1888, 1889, 1890, 1891 i 1892 płacą (zamiast złr. 24) **tylko złr. 20** — już z przesyłką franko, — w Poznańskiem Marek **40** — w Ameryce dolarów **12.**, — w oprawie ozdobnej (każdy tom oddzielnie Złr. **35** — Marek **70** — dolar. **20**.

Cena katalogowa wyliczonych dzieł przenosi złr. 100.



Bibl. AP W
26750/2